JERZY KLISTAŁA

ŻOŁNIERZE RYBNICKIEGO ZWZ/AK, POP, PTOP W OBOZACH KONCENTRACYJNYCH:

Auschwitz-Birkenau, Mauthausen, Gusen, Dachau, Ravensbrück, Buchenwald, Majdanek, Oranienburg, Sachsenhausen, Flossenbürg – i innych...

JERZY KLISTAŁA

ŻOŁNIERZE RYBNICKIEGO ZWZ/AK, POP, PTOP W OBOZACH KONCENTRACYJNYCH:

Auschwitz-Birkenau, Mauthausen, Gusen, Dachau, Ravensbrück, Buchenwald, Majdanek, Oranienburg, Sachsenhausen, Flossenbürg,... i innych

Copyright by Jerzy Klistała 2008

Okładka – projekt własny autora

Wydanie wznowione i poszerzine o nowe opracowania

Publikacja ukazała się dzięki finansowemu wsparciu:
Fundacji Pamięci Ofiar Obozu Zagłady Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu
Jacek Pustelnik
Senator Antoni Motyczka
Krystian Żymełka

ISBN

Wydawca, druk: Wydawnictwo „Prasa Beskidzka" Sp. Z o. o.
ul. Dubois 4, 43-300 Bielsko-Biała

Bielsko-Biała 2008 r.

„…Auschwitz trudno jest poddać racjonalnej refleksji, nawet po kilku dziesięcioleciach od chwili ujawnienia prawdy o tym, co działo się w obozie. Gdy myślę o Auschwitz mam uczucie ogromnego zagubienia, wręcz bezradności. Czyż można bowiem mówić lub pisać o miejscu, które stało się świadkiem zbrodni na setkach tysięcy, tak jak to czyni się opisując inne miejsca na kuli ziemskiej?…”

Janusz Jagucki – ks. biskup, zwierzchnik Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce.
(fragment z artykułu:
„Pytania do człowieka i do mnie samego …”
PRO MEMORIA Nr 15 z czerwca 2001 r.)

PRZEDMOWA

Przez wiele powojennych lat, jeśli ich nie skazywano w sfingowanych procesach, głównie przez ówczesne sądy wojskowe, to umniejszano ich udział w walce z hitlerowskim okupantem. Odzierano ich z godności i szacunku, skazywano na zapomnienie. Oni - żołnierze ZWZ/AK - tuż po dramacie września, skupieni w różnych organizacjach jako pierwsi podjęli walkę i stali się siłą zbrojną Polskiego Państwa Podziemnego.

O ile po kolejnych przemianach w Polsce Ludowej o wielkich dowódcach AK trudno było dalej milczeć, o tyle pamięć o tych, którzy stanowili sól Armii Krajowej - szeregowych żołnierzach podziemnego frontu - mordowanych w lochach gestapo, zsyłanych do obozów zagłady, pamięć o ich bohaterstwie i poświęceniu Ojczyźnie nie przekraczała progu rodzinnego domu lub domowych archiwów. Pozostawała i pozostaje nadal jedynie w kruchej pamięci najbliższych. Różne są przyczyny, dla których ta - jakże ważna dla naszej narodowej pamięci - wiedza nie trafia na warsztaty osób, które profesjonalnie zobowiązane są do badania i ujawniania prawdy o dramacie i poświęceniu całego pokolenia ludzi, którzy już odeszli lub którym godność nie pozwala na mówienie o własnym bohaterstwie. Dlatego każda praca, nawet stanowiąca tylko okruch wiedzy o ludziach, którzy własne dobro, bezpieczeństwo rodzin i bliskich poświęcili w imię obrony ponadczasowych ideałów, godna jest nie tylko uwagi, ale i upowszechnienia - szczególnie wśród młodego pokolenia, które pozbawione prawdy o przeszłości, prawdy tej szukać będzie na współczesnych bezdrożach rozdartego świata wartości.

Książka Jerzego Klistały jest efektem mozolnych poszukiwań i prób odtworzenia okupacyjnych wydarzeń, w czasie których zwyciężał duch walki o wolność i godność ludzką. Ukazane w tej książce postaci fascynują wiernością Ojczyźnie i skromnością - mimo iż dokonują rzeczy heroicznych. Jest to więc książka o cichym heroizmie śląskich rodzin, o walce, przyjaźni w warunkach ekstremalnych - w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, kiedy wywołanie „numeru" do stawienia się w bloku, w którym odbywał się ów jedyny „sąd w piekle", znaczyło ostatnią rozmowę ze współwięźniem, przyjacielem z rodzinnych stron, prośbę o przekazanie matce, żonie, dzieciom ostatnich pozdrowień i słów nadziei. Jest to więc książka o tych, którzy na śmierć szli cicho i godnie, ze spokojem spełnienia się jako człowieka i obywatela państwa napadniętego i zniewolonego. Są w niej fragmenty wyciskające łzy, choć nie ma w niej taniego patosu. Bohaterowie przemawiają do nas swoim życiem bardziej niż uczone księgi. I nie ważna staje się tu sprawa warsztatu pisarskiego czy naukowego autora.

Lekturę tej książki polecić można nie tylko rybniczanom i nie tylko pokoleniu, które lata okupacji pamięta, ale przede wszystkim młodym - po to, aby mogli poprzez prezentowane w niej sylwetki bohaterów utwierdzić się w przekonaniu, iż mają zaszczyt żyć na ziemi, która wydała ludzi wiernych

ideałom, o których nie wolno zapomnieć, jeżeli ma się aspiracje do odegrania roli większej, niźli tylko konsumenta współczesnej tandety.

dr Józef Musioł

OD AUTORA

…walczyć będę ze wszystkich sił moich, aż do ofiary mego życia…!

Oto fragment roty przysięgi, którą patrioci z Rybnika zrzeszeni w organizacji konspiracyjnej Związek Walki Zbrojnej/AK oraz innych organizacjach konspiracyjnych potraktowali dosłownie.

Okres okupacji hitlerowskiej nadal jest wspominany przez rybnickie rodziny z wyjątkowym smutkiem. Wielu członków tych rodzin przeciwstawiło się okupantowi w patriotycznym porywie, w związku z czym zostali aresztowani i przekazani do obozów koncentracyjnych, gdzie większość z nich zginęła. Tak też było z moim ojcem, wujkiem i ich znajomymi - żołnierzami ZWZ/AK z Rybnika. Dorastałem w przekonaniu, że prawda o tamtych wydarzeniach jest właściwie utrwalona. Gdy jednak zacząłem szukać obszerniejszych materiałów o ZWZ/AK, znalazłem zaledwie skromne wiadomości dotyczące tej organizacji, a także wiele przekłamań w owych opracowaniach.

Kiedy pytałem Karola Miczajkę, jednego z członków ZWZ/AK, dlaczego tak mało jest publikacji na temat przeżyć wojennych, konspiracyjnych i obozowych rybniczan, wyjaśnił mi, iż wielu z nich wróciło do domu szczęśliwych, że przeżyło piekło obozowej wegetacji, ale i z nastawieniem, aby o tych przeżyciach jak najszybciej zapomnieć, pozbyć się koszmarnego balastu tamtych czasów. Poza tym, przynależność do ZWZ/AK była źle oceniana przez powojenne władze, niewielu więc przyznawało się do niej. Mijały lata, czas goił rany, malała też chęć opisania tych przeżyć dla przyszłych pokoleń – trzeba było myśleć o przyszłości…

Postanowiłem zainteresować się tą tematyką, opisać przeżycia osób związanych z Rybnickim Obwodem ZWZ/AK przede wszystkim po to, aby ocalić pamięć o ich bohaterskich postawach. Poza tym wydaje mi się, iż mimo tak wielu lat jakie upłynęły od zakończenia wojny, wydarzenia z okresu 1939-1945 pozostają wciąż ważne dla mieszkańców ziemi rybnickiej – pozwalają lepiej zrozumieć historię naszego regionu, naszą tożsamość.

Gwoli uczciwości dodaję, że w tych pierwszych moich poszukiwaniach a następnie opracowaniach, skupiałem się zbyt jednostronnie na opisywaniu wspomnień o osobach zrzeszonych w ZWZ/AK z Rybnika i tego regionu (stąd ten szczegółowszy wywód o ZWZ/AK). Później jednak uświadomiłem sobie, że równej wielkości pamięć – serdeczne słowa, należą się innym działaczom ruchu oporu, gdyż równie bohatersko przeciwstawiali się hitlerowskiemu najeźdźcy zrzeszeni w organizacjach: Służba Zwycięstwu Polski (SZP), Polska Organizacja Powstańcza (POP), Polska Organizacja Partyzancka (POP), Polska Tajna Organizacja Powstańcza (PTOP). Trzeba też jasno i otwartym tekstem pisać, że obok prawicowego nurtu zbrojnego, walczyło i lewicowe podziemie – rewolucyjne: Gwardia Ludowa (GL), „Czerwona Pomoc”, Rewolucyjny Ruch

Oporu (RRO) i inne. Członkowie tych organizacji także walczyli o wyzwolenie Polski spod okupacji hitlerowskiej.

W każdym więc przypadku, za działalność w organizacjach konspiracyjnych, aresztowane a następnie więzione osoby, umierały już w pierwszych dniach po zatrzymaniu, lub wkrótce po pobycie w ciężkich warunkach obozowego bytu. Byli jednak i tacy, którzy dotrwali do końca funkcjonowania obozów i podobozów. Niestety niektórzy z nich umierali już jako wyzwoleni - z wycieńczeni obozowymi uwarunkowaniami. Inni, wróciwszy do swoich rodzin, domów, długo jeszcze przystosowywali się do życia na wolności. Za bardzo przyzwyczajeni byli do cierpień, które musieli znosić jeszcze do przysłowiowego „wczoraj". Czy tak łatwo można uporać się z własnymi psychicznymi okaleczeniami?

Każdy z więźniów marzył o dożyciu dnia, kiedy się skończy piekło obozowej egzystencji, o powrocie do swoich domów, do bliskich, do normalnego życia. Gdy natomiast otwarły się bramy, gdy przyszło to, o czym marzyli – wolność, nie potrafili się z tą prawdą uporać! Pojawiły się pytania: czy pozbędą się snów i widoków, które w obozie były jawą – o ogrodzeniu w którym płynął prąd elektryczny, o komorach gazowych, o krematoriach w których palenie zwłok było codzienną rzeczywistością? Czy wyzbędą się odczucia pokory wobec władzy absolutnej, jaką prezentowały w obozie potwory z SS? Czy będą umieli oddychać normalnym powietrzem, gdy tam w obozie oddychało się dymem i swądem z palonych ciał?

Korzystam z okazji, by od żyjących świadków tamtej ponurej rzeczywistości, wydobywać informacje o nich samych i o nieżyjących współwięźniach.

Kolejny raz przekazuję słowa ogromnej wdzięczności Karolowi Miczajce, dzięki któremu możliwe było napisanie mojej pierwszej książki, zaś niniejsze opracowanie stanowi wznowienie i uzupełnienie obu pierwszych książek *Działacze rybnickiego ZWZ/AK w obozach koncentracyjnych*. Dziękuje Panu Karolowi za cierpliwość jaką niejednokrotnie okazywał, gdy poruszałem tak bolesne dla niego tematy. Przekazuję słowa serdecznej wdzięczności Senatorowi Antoniemu Motyczce, Dorocie Podlodowskiej – Graczyńskiej oraz Krystynie Morawiec za okazaną pomoc w zdobyciu funduszy na druk książki.

Niechaj uzupełnieniem do przedmowy będą zdania, które towarzyszyły mi od pierwszych słów napisanych o przeżyciach działaczy rybnickiego ZWZ/AK w KL Auschwitz: *Pozostali tam nasi najdrożsi – ci, co poświęcili się za innych, co zginęli natychmiast, i tacy, którzy konali w powolnej agonii, wśród najgorszych męczarni i odczłowieczenia. Jak można o tym milczeć?*[1]

*

[1] Halina Birenbaum, *Przekazać światu*, „Pro Memoria" 1998, nr 9, s. 101.

POCZĄTKI OKUPACJI W RYBNICKIEM

Z ogólnie dostępnych publikacji można się zorientować, jakie okoliczności polityczne w 1939 r. zapowiadały na Górnym Śląsku – w tym także w Rybnickiem – wybuch wojny polsko-niemieckiej, a także jak wyglądało życie rybniczan pod okupacją.[2] Przedstawiam poniżej bardzo skrótowo najważniejsze fakty dotyczące tego okresu, aby wprowadzić Czytelnika w konieczny kontekst historyczny.

W 1939 r. atmosfera polityczna na Śląsku była bardzo napięta. Coraz częściej i głośniej komentowane były pogarszające się stosunki polsko-niemieckie. Docierały niepokojące informacje o działalności V Kolumny i prohitlerowskiej mniejszości niemieckiej, organizowano masowe ucieczki obywateli polskich narodowości niemieckiej do Rzeszy. Pod wpływem hitlerowskiej propagandy ludność cywilna przekraczała nielegalnie granicę Polski wywożąc z kraju walutę. Wiele osób – członków zniemczonych organizacji politycznych – jechało do Niemiec na polecenie Rzeszy, aby tam przejść kursy przygotowujące do akcji dywersyjnych. W maju 1939 r. organom bezpieczeństwa udało się zlikwidować szajkę przemytników z Rybnika, zajmującą się werbowaniem osób do ucieczki i nielegalnym przeprowadzaniem ich przez granicę. Od czerwca tego roku mówiono o wyjątkowo złych, grożących wybuchem wojny stosunkach polsko-niemieckich. Groźbę tę potwierdzały nasilające się od lipca 1939 r. napady i prowokacje dywersantów niemieckich na Górnym Śląsku.

Szczególnie dotkliwe i oburzające opinię publiczną całego kraju były napady hitlerowskich bojówek na polskie osady górnicze w bezpośrednim sąsiedztwie Rybnika. Pod koniec sierpnia 1939 r. po zbrojnej akcji Niemcy zajęli urząd celny i posterunek graniczny w Gierałtowicach. Jeden z oddziałów dywersantów zaatakował budynek straży granicznej w Krywałdzie, ostrzeliwane były także polskie budynki w Szczygłowicach. W tym też czasie około stuosobowy oddział hitlerowców zaatakował posterunek graniczny w Chwałęcicach. Próbowano również opanować budynek straży granicznej w Żarnowicach oraz fabrykę materiałów wybuchowych koło Krywałdu.

Spekulacje na temat wybuchu wojny skończyły się, gdy 1 września 1939 r. o godzinie 5:00 regularne oddziały Wehrmachtu wkroczyły na ziemię rybnicką. Przeważające i lepiej uzbrojone oddziały niemieckie szybko poradziły sobie z obrońcami Rybnika i po krótko trwającej walce los miasta i jego mieszkańców był przesądzony.

Bezpośrednio po zajęciu Rybnika okupant – przy ochoczej pomocy miejscowych Niemców, zwolenników Hitlera – przystąpił do urządzania placówek swojej władzy. Od pierwszych chwil okupacji rozpoczęły się też prześladowania mieszkańców Rybnika. Wkraczając do Polski hitlerowcy posiadali przygotowane wcześniej wykazy osób – miejscowej inteligencji oraz

---

[2] Zob. Alfons Mrowiec, *Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Rybnickiem*, Katowice 1958; *Rybnik. Zarys dziejów miasta od czasów najdawniejszych do 1980 roku*, red. Jan Walczak, Katowice 1986, rozdz. VI.

najbardziej aktywnych działaczy propolskich z różnych grup społecznych i zawodowych. Informacje o tych ludziach wywiad niemiecki otrzymywał jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych od zniemczonych organizacji i partii mniejszościowych działających na terenie Polski. Na podstawie tych danych sporządzono i wydrukowano w Berlinie księgę gończą „Sonderfahndungsbuch Polen". Zawierała ona m. in. nazwiska 54 osób z samego Rybnika, wśród których znaleźć można było wybitnych działaczy niepodległościowych, społecznych, kulturalno-oświatowych, byłych powstańców, urzędników. Ludzi tych, jednostki wojskowe okupanta miały zlikwidować w pierwszej kolejności.

Nie były to oczywiście jedyne osoby skazane na zagładę przez hitlerowców – miejscową ludność wyniszczano na znacznie większą skalę. Już w pierwszych dniach okupacji rozpoczęły się masowe aresztowania rybniczan. Na początku września zatrzymano ponad 300 Polaków, spośród których około 250 wywieziono 16 września 1939 r. z rybnickiego więzienia do Rawicza, a stamtąd w połowie października do Buchenwaldu, gdzie utworzono tzw. Polen zwingerlager. Druga fala masowych aresztowań miała miejsce w październiku i listopadzie. Około 100 osób zamknięto wówczas w więzieniach w Rybniku i w Żorach oraz w byłym Zakładzie ss Urszulanek, gdzie stacjonowała niemiecka policja. Po raz trzeci masową akcję aresztowań Niemcy przeprowadzili w kwietniu i maju 1940 r. Wtedy też – 13 kwietnia 1940 r. – wyruszył z Rybnika pierwszy transport do obozu koncentracyjnego w Dachau. Następne pociągi kierowano także do KL Mauthausen-Gusen. Oczywiście aresztowania i wywózki pojedynczych osób miały miejsce przez cały okres okupacji. Komendę nad rybnickim więzieniem zlecono „volksbundowcowi" o nazwisku Wieczorek. Pod jego nadzorem stało się ono jedną z pierwszych w Polsce katowni patriotów polskich. Od listopada 1939 r. funkcjonowało w Rybniku również więzienie sądowe. Przeznaczone było dla mężczyzn skazanych na kary aresztu z okręgów: rybnickiego, żorskiego i wodzisławskiego. Z placówki tej korzystała także niemiecka policja. Osadzała tu więźniów, których po wyroku skazującym wysyłano do obozów koncentracyjnych.

Już na początku września 1939 r. w lesie między Krywałdem, Pilchowicami i Nieborowicami utworzono prowizoryczny obóz koncentracyjny. Znalazło się w nim wielu członków Ochotniczych Oddziałów Powstańczych, miejscowych inteligentów oraz aktywnych przed wojną działaczy społecznych i narodowych. Większość z nich zginęła w tym obozie – Niemcy co jakiś czas wpędzali grupki więźniów w zarośla i tam dokonywali egzekucji. Dnia 6 września 1939 r. rozstrzelano tam dowódcę obrony Rybnika, kapitana Jana Kotucza.

Rybniczan wywożono również do obozów zagłady mieszczących się w Lyskach, Pszowie, Pogrzebieniu, Żorach, w Gorzycach oraz Gorzyczkach. Trafiała tam przede wszystkim ludność Rybnika i okolic, która odmówiła podpisania tzw. volkslisty. W pobliżu wieży ciśnień w rybnickiej dzielnicy „Meksyk" siłami jeńców wojennych ustawiono drewniane baraki i ogrodzono je wysokim płotem z metalowej siatki. Umieszczono tam rodziny wysiedlone z

Zagłębia Dąbrowskiego oraz dzieci, których rodzice zostali aresztowani i wywiezieni do obozów koncentracyjnych. Stamtąd dzieci miały być przewiezione do sierocińców na terenie Rzeszy. Niemcy zakładali także obozy dla jeńców wojennych i obozy pracy przy pobliskich zakładach i kopalniach.[3]

Niemałą rolę w zwalczaniu tak faktycznych, jak i domniemanych wrogów hitleryzmu odegrało gestapo (Geheime Staatspolizei) – policja polityczna Rzeszy, podlegająca od 1939 r. RSHA (Reichssicherheitshauptamt), czyli Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy.

Przytaczając przykłady terroru stosowanego wobec miejscowej ludności zwracam uwagę na fakt, że pomimo okrucieństwa okupanta znaleźli się w Rybniku patrioci, którzy w zorganizowanych grupach bojowych czynnie przeciwstawiali się bezwzględnemu aparatowi przemocy. Już w listopadzie 1939 r. powołana została do życia Polska Organizacja Powstańcza (POP), która rozwijała się bardzo prężnie. Niestety działała tylko do wiosny 1940 r., gdyż została zdekonspirowana, a jej założyciel i kierownik – Stanisław Wolny – zginął w KL Auschwitz 23 sierpnia 1942 r. Pod koniec 1939 r. uaktywniła się na Śląsku kolejna organizacja o charakterze wojskowym – Siła Zbrojna Polski (SZP), utworzona przez Józefa Korola (ps. „Hajducki", „Starosta"). Jej ogniwa działały także w Rybniku. Została jednak zdekonspirowana w 1940 r., a jej założyciel zginął w Wiśle-Jaworniku.

Kolejną grupą ruchu oporu działającą w Rybnickiem była Polska Tajna Organizacja Powstańcza. Oto co na jej temat napisał Alfons Mrowiec:

Z początkiem 1940 r. grono druhów XIII drużyny harcerskiej w Gotartowicach powołało do życia Polską Tajną Organizację Powstańczą (PTOP). Jej założycielem byli: Franciszek Buchalik, Paweł Buchalik i Alojzy Frelich, który został komendantem, oraz Alojzy Mura. PTOP nie stawiała sobie w pracy celów wojskowych, lecz jedynie podtrzymywanie polskości i niesienie pomocy rodzinom więzionych Polaków. Organizatorzy nabyli aparat radiowy, postarali się o maszynę do pisania i powielacz. W dniu 11 lipca 1941 r. ujrzała światło dzienne dwustronicowa gazetka „Zew Wolności". Od tego czasu co tydzień gazetka docierała do odległych nawet miejscowości powiatu, a nawet powiatów sąsiednich, niosąc Polakom słowa pocieszenia i apele do wytrwania. Wytrawnymi kolporterami „Zewu Wolności" byli: Paweł Holek — zastępca komendanta Frelicha, Bolesław Śpiewok, Paweł Podleśny, Paweł Juraszczyk, Bolesław Kocztorz, Ernest Buchalik, Walenty Sojka, Jan Emrych i Benedykt Stajer. Z przyczyn dotychczas nie wyjaśnionych, PTOP została zdekonspirowana. W nocy z 22 na 23 maja 1942 r. gestapo otoczyło Gotartowice. Przeprowadzono ścisłą rewizję w domach Buchalików i Frelichów. Obydwie rodziny aresztowano. Paweł Holek, otoczony przez gestapowców, ostrzeliwuje się, lecz pada ugodzony serią z automatu. W tę noc aresztowano 15

[3] Wykaz obozów i więzień hitlerowskich zorganizowanych w Rybnickiem Czytelnik znajdzie w *Wypisach do dziejów Rybnika i Wodzisławia Śląskiego*, red. B. Cimała, P. Porwoł, W. Wieczorek, Opole 1985, s. 237-239. Por. także Jan Delowicz, *Obozy hitlerowskie na ziemi rybnicko-wodzisławskiej w latach 1939-1945*, w: *Kroniki rybnickie. Numer pierwszy*, Rybnik 1983.

członków PTOP, a nieco później dalsze 62 osoby. 22 lipca 1942 r.[4] *w Gotartowicach powieszono na oczach spędzonych siłą mieszkańców młodych Buchalików, Pawła i Franciszka. Zginęli z okrzykiem na ustach „Niech żyje Polska". Spośród aresztowanych 21 osób skazano na śmierć przez rozstrzelanie. Wyroki wykonano przeważnie w Oświęcimiu.*[5]

W obozach koncentracyjnych zamordowano wielu członków zdekonspirowanych organizacji SZP, POP oraz PTOP. Nie wpłynęło to jednak odstraszająco na patriotów z Rybnika, którzy nadal organizowali się, aby stawiać opór terrorowi i okupacji hitlerowskiej. Skupili się z czasem w Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), organizacji konspiracyjnej powołanej do życia w październiku 1940 r. (nieformalnie działała ona od kwietnia tegoż roku). Oto podstawowe informacje dotyczące ZWZ:

Związek Walki Zbrojnej, ZWZ, kryptonimy SSS, PZP, konspiracyjna organizacja wojskowa, powołana rozkazem Naczelnego Wodza, generała W. Sikorskiego z 13 listopada 1939. Utworzony w miejsce rozwiązanej tym samym rozkazem Służby Zwycięstwu Polski (SZP), ZWZ wykorzystał dotychczasowy dorobek SZP, przejmując jej siatkę konspiracyjną i kadry.

Komendantem ZWZ został mianowany generał K. Sosnkowski (do 30 czerwca 1940) przebywający w Paryżu, pełniący równocześnie funkcję przewodniczącego Komitetu Rady Ministrów do spraw Kraju. Likwidacja SZP i powołanie w jej miejsce ZWZ miały na celu odsunięcie od wpływów politycznych działaczy i oficerów związanych z obozem sanacji.

Wykonaniu tej idei oraz podporządkowaniu ZWZ rządowi na emigracji służyły dalsze postanowienia podejmowane poza krajem dotyczące podziału terytorium Polski na 6 niezależnych obszarów działania z komendami w Warszawie, Białymstoku, Lwowie, Krakowie, Poznaniu i Toruniu. Komendanci obszarów podlegali bezpośrednio Sosnkowskiemu. Dopiero realia życia okupacyjnego i trudności w kierowaniu ZWZ zmusiły rząd RP do poszukiwania innych rozwiązań organizacyjnych, polegających m. in. na: podziale okupowanego kraju na 3 części obejmujące tereny okupacji niemieckiej, tereny okupacji radzieckiej i tereny włączone do Rzeszy.

W styczniu 1940 wprowadzono nowy podział na tereny okupacji niemieckiej i tereny okupacji radzieckiej, wyznaczając na komendantów odpowiednio S. Roweckiego i generała M. Tokarzewskiego-Karaszewicza. Aresztowanie tego ostatniego przez NKWD przy próbie przekroczenia granicy i brak warunków na prowadzenie działalności na większą skalę w strefie okupacji radzieckiej spowodowały przejęcie od marca 1940 kierownictwa ZWZ w całym kraju przez S. Roweckiego.

Klęska Francji w czerwcu 1940 i przeniesienie rządu RP do Anglii stworzyły trudności w utrzymaniu stałej łączności z krajem. K. Sosnkowski

---

[4] Data podana przez dr Mrowca jest niewłaściwa – egzekucja miała miejsce dnia 27.07.1942 r.

[5] Alfons Mrowiec, *Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Rybnickiem*, Katowice 1958, s. 24.

podjął decyzję o przekazaniu funkcji Komendanta Głównego ZWZ S. Roweckiemu, mianowanemu równocześnie generałem brygady. Szefem sztabu został pułkownik J. Albrecht, następnie od lipca 1941 pułkownik T. Pełczyński.

Komenda Główna składała się z 7 oddziałów: I organizacyjny (podpułkownik A. Sanojca), II wywiadowczy (podpułkownik W. Berka), III operacyjny i szkoleniowy (Pułkownik S. Tatar), IV kwatermistrzowski (podpułkownik A. Świtalski), V łączności (kapitan L. Chendyński), VI Biuro Informacji i Propagandy (pułkownik J. Rzepecki), VII Biuro Finansów i Kontroli (podpułkownik S. Thun) oraz z samodzielnych służb. Niezależnie od oddziałów i służb Komendy Głównej działał Związek Odwetu, powołany w sierpniu 1941.

Pod koniec 1941 siatka terenowa ZWZ składała się z okręgów: Warszawa-Miasto, Warszawa, Kielce, Łódź, Kraków, Śląsk, Lublin, Wilno oraz obszaru Białystok z okręgami: Białystok, Nowogródek, Polesie, obszarów Lwów z okręgami: Lwów, Tarnopol, Stanisławów, Wołyń, obszaru Zachodniego z okręgami Poznań i Pomorze. ZWZ zmierzał do scalenia wojskowych organizacji podziemnych, jednak przystąpiło doń zaledwie kilka organizacji, w tym Gwardia Ludowa, PPS-WRN.

ZWZ prowadził także prace nad planem powstania powszechnego, do którego miało dojść w przypadku wkroczenia wojsk aliantów na ziemie polskie, bądź Armii Czerwonej bez zgody rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Pierwsze akcje zbrojne przeciwko Niemcom o charakterze sabotażowo-dywersyjnym przeprowadził na wiosnę 1940 Związek Odwetu oraz organizacja Wachlarz w drugiej połowie 1941. We wrześniu 1941 ZWZ został uznany za część składową Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, w lutym 1942 przemianowany na Armię Krajową.[6]

* * *

Według Słownika Wyrazów Obcych PWN:

Patriota – człowiek kochający swoją ojczyznę i naród, gotów do poświęceń dla ich dobra.

Patriotyczny – właściwy patriocie, mający na względzie dobro ojczyzny; obywatelski.

Patriotyzm (od rzecz. *patriota*) – postawa społeczno-polityczna i forma ideologii, łącząca przywiązanie do własnej ojczyzny oraz poświęcenie dla własnego narodu – z szacunkiem dla innych narodów i poszanowanie ich suwerennych praw.

Przypominam te hasła, gdyż podczas rozmów jakie prowadziłem zbierając materiały do książek wydanych w 2002 i 2003 r., zaskakiwała mnie dowolna ich interpretacja. Znając przeszłość wielu moich rozmówców - nie byłych więźniów obozów koncentracyjnych, powoduje niesmak to, że wówczas gdy Ojczyzna była zniewolona, w potrzebie, robili wszystko, by „się nie

[6] *Encyklopedia multimedialna FOGRA' 98.*

narazić”. Wstąpienie do jakiejkolwiek organizacji ruchu oporu, pomoc tym którzy na taką odwagę się zdobyli, nie wchodziło w rachubę, gdyż uważali to za potencjalne zagrożenie dla siebie i swoich rodzin. Teraz gdy nie ma zagrożenia, bezwstydnie opowiadają o swoich zasługach w tamtej ponurej przeszłości, o tym co by zrobili, gdyby okupacja trwała dłużej.

Poczułem się dotknięty gdy w geście „uznania” – że piszę o Akowcach, zaliczono mnie do grona ludzi o orientacji „prawicowej”. Według niektórych osób, prawo do wypowiedzi na pewne tematy związane z historią naszego kraju, mają ludzie z „wybranej” - „jedynie słusznej” opcji politycznej, niezależnie od tego, czy mają na ten temat coś do powiedzenia, czy też powielają jako „swoje” - zasłyszane gdzieś informacje (nie zawsze zgodne z prawdą) .

Jestem Polakiem, Ojczyzna ma dla mnie wartość nadrzędną. Bez względu na sympatie polityczne, staram się w sposób obiektywny przedstawiać fragmenty wydarzeń, jakie miały miejsce w mojej Ojczyźnie. Słuchając natomiast niektórych relacji na ten sam temat, brzydzę się, jak na przekłamaniach usiłuje się „zbijać” kapitał polityczny lub materialny. Cóż więc wspólnego z patriotyzmem ma „kupczenie” wydarzeniami z przeszłości?

OŚWIĘCIMSKI TESTAMENT,

Łza
ciemna z oburzenia,
kiedy wstajemy ze snu
i czytamy zapis męki
wygrawerowany paznokciem
w murze –
Testament,
który nam pozostawili,
byśmy chociaż pojęli,
jeśli już odważymy się poznać
to co nie do pojęcia,
usłyszeli krzyki,
które jeszcze we krwi
zakrzepłej na ścianach.

Wiersz Ulricha Grasnicka
(Przełożył Eugeniusz Wachowiak)

... dedykuję mojemu bratu Henrykowi

[...] Niedaleko stąd jest obóz oświęcimski.
Drzyjmy stawiając tam stopy.
Stawiając tam stopy drzyjmy.
Oto w okrutnym muzeum stos włosów,
nie są to warkocze brzóz, lecz włosy kobiet,
i piramidy kobiecych sukien,
i spleśniałe buciki dziecięce.
Gdy zmęczenie, głód i tortury
zamieniły uwięzionych w szkielety,
zmieniły ciała w szkielety,
nagich i ograbionych
duszący gaz zwalał z nóg. [...]

fragment wiersza:
TRZY WSPOMNIENIA Z POLSKI
autorka SIBILLA ALERAMO

AUGUSTYN TEODOR pseud. "Tadeusz Twardowski",
Więzień więzienia Montelupich w Krakowie, KL Auschwitz nr 6164, KL Mauthausen nr 117524, podobozu Melk, podobozu Ebensee.

AUGUSTYN TEODOR pseud. "Tadeusz Twardowski",

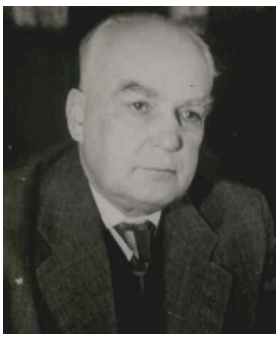

Urodził się 17.04.1895 r. w Rozbarku Bytomskim, w rodzinie robotniczej. Ukończywszy niemiecką szkołę powszechną i nie mając warunków do dalszego kształcenia się, podjął pracę zarobkową jako robotnik w górnictwie, a po jakimś czasie przeniósł się do pracy w hucie. W 1915 r. został powołany do armii niemieckiej – biorąc udział w walkach frontowych, skutkiem czego dwukrotnie ranny, jako inwalida został zwolniony z wojska (w 1917 r.) i wrócił do pracy w przemyśle – w hutnictwie, angażując się równocześnie w pracę konspiracyjną, mającą na celu szerzenie polskości na Śląsku.

Współpracował z tak wybitnymi działaczami jak doktor Rostek[7], doktor Hlond[8] i profesor Ligoń[9]. W 1919 r. był organizatorem oddziałów POW Górnego Śląska w Rozbarku i Bytomiu, w miejscowościach tych organizował także oddziały bojowe. Uczestniczył we wszystkich trzech powstaniach śląskich. W pierwszym powstaniu, przy pomocy konfidentów prowadził wywiad, używając pseudonimu Tadeusz Twardowski. Był członkiem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół"[10] oraz chóru „Halka". Od połowy grudnia 1919 r. do końca maja 1921 r. należał do kierownictwa Polskiego Komisariatu Plebiscytowego na powiat bytomski – sekretarz powiatowy.

W okresie 1.03. do 15.06.1922 r. pracował przejściowo pod kierunkiem doktora Emila Cyrana w PCK w Katowicach w charakterze rewizora, a po plebiscycie zamieszkał w Rybniku. Od 16.06.1922 r. został zarządcą administracyjnym Zakładu Psychiatrycznego w Rybniku.
We wrześniu 1929 r. - po kursie wojskowym w Grudziądzu, otrzymał nominację na ppor. rezerwy WP. W 1930 r. został służbowo przeniesiony do Zakładu Psychiatrycznego w Lublińcu gdzie pracował jako zarządca od 1.04.1930 do 1.07.1937 r. Następnie, ponownie przeniesiono go do Rybnika gdzie pracował jako zarządca do ostatnich dni sierpnia 1939 r.

We wrześniu 1939 r., opuścił Rybnik, przebywał w Podhajcach, Lublinie i Lwowie, a następnie ukrywał się w Krakowie, pracując na stacji

---

[7] Dr Józef Rostek, lekarz, znany działacz polski w Raciborzu, pierwszy redaktor *Nowin Raciborskich*, Założył w 1891 r. Śląskie Towarzystwo Pomocy Nauk, w 1888 r. Polskie Towarzystwo Górnośląskie - grupujące młodzież raciborską.

[8] Dr Jan Hlond, aktywny członek niepodległościowego Związku Młodzieży Polskiej. W 1918 roku ukończył studia z dyplomem doktora wszechnauk medycznych. W latach przetargów i walk o przynależność państwową Górnego Śląska był członkiem Polskiego Komisariatu Plebiscytowego na powiat bytomski, uczestniczył w trzecim powstaniu śląskim.

[9] Prof. Stanisław Ligoń, śląski pisarz, malarz, ilustrator, działacz kulturalny i narodowy.

[10] Organizacja „Sokół", najbliższy pierwowzór harcerstwa, rozpoczęła swoją działalność po klęsce Powstania Styczniowego, wpierw na terenie Galicji, a następnie na terenie wszystkich trzech zaborów. Jedynie jednak w Galicji organizacja ta cieszyła się poparciem władz austriackich i przyzwolenie na aktywność.

benzynowej. Przez przypadek aresztowany 2.10.1940 r. i więziony w więzieniu na Montelupich w Krakowie. Oskarżony wpierw niesłusznie o udział w zaginięciu kasy szpitala w Kobierzynie, po dokładniejszym sprawdzeniu jego akt personalnych, ujawniło się, że jest w „Specjalnej książce poszukiwawczej" miasta Bytomia - gdzie był znanym działaczem powstańczym. Z więzienia Montelupich 9.11.1940 r. w transporcie zbiorowym przewieziony został do KL Auschwitz, zarejestrowany w obozowej ewidencji jako więzień nr 6164. W obozie brał udział w obozowym ruchu oporu.

W styczniu 1945 r. (nocą 17/18) brał udział w marszu ewakuacyjnym więźniów z Oświęcimia do Wodzisławia Śl., a stamtąd w transporcie zbiorowym koleją (w wagonach towarowych) przewieziony do KL Mauthausen i zarejestrowany jako więzień nr 117524. Po jakimś czasie, przeniesiono go do podobozu Melk i Ebensee.

Polecam książkę jednego z więźniów podobozu Ebensee (filii KL Mauthausen) - Michała Rusinka: *Z barykady w krainę głodu.* Panujący tam głód doprowadzał więźniów do wyjątkowo makabrycznych zachowań. Oto fragmenty tych wspomnień:

[...]W Ebensee dają raz dziennie dziesięć deka trocin chlebowych i w południe zupę z obierek. Obierki powinny w niej być, ale jedzą je blokowi i kapomani.[...]

[...]W Ebensee nie je się chleba, je się trawę. Na wyszczypanych polankach między świerkami chodzą na czworakach więźniowie jak kozy jakieś dziwaczne, nakryte łachmanami.[...]

[...] – *kilka trupów przyniesionych do pieca miało wydarte serca.*[...]

[...] A dnia 24 kwietnia i akurat na 24 bloku, dziesięć metrów naprzeciw naszego baraku, przyłapią dwóch ludzi jedzących ciepłe jeszcze krwawe pośladki.[...]

Takie oto były warunki bytu w opisywanym podobozie!

Augustyn przeżył obozy w których przebywał, wrócił do Rybnika i uczestniczył w odbudowie Zakładu Psychiatrycznego ze zniszczeń wojennych.

Na przełomie lat 1945-1946 r. przeniesiony do szpitala w Branicach na stanowisko kierownika administracji.

W 1947 r. wrócił do Rybnika i pracował w Szpitalu Psychiatrycznym do 1962 r. Był członkiem Zarządu Miejskiego Związku Powstańców Śląskich, Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, brał czynny udział w pracach Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia.

Tadeusz Augustyn z Rafałem Klistałą podczas jednej z wielu dyskusji o sprawach społeczno-politycznych.

Za wybitne zasługi w walce o polskość Śląska, za osiągnięcia w pracy zawodowej i społecznej odznaczony wieloma odznaczeniami: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, dwukrotnie Złotym Krzyżem Zasługi, Śląskim Krzyżem Powstańczym, Krzyżem Niepodległości. Zmarł 6.11.1963 r. – pochowany w Rybniku.

Bibliografia: L. Musiolik *Rybniczanie słownik biograficzny,* Rybnik 2000, s. 10; L. Musiolik *Od Związku Powstańców Śląskich do Związku Kombatantów RP,* s. 37; Tygodnik Rybnickiego Okręgu Węglowego i Ziemi Raciborskiej *Nowiny*, nr 24 (1401) z 1886 r.; Pismo Pracowników Służby Zdrowia *Służba zdrowia,* Nr 50 (746) z 1963 r.; *Ziemia rybnicko-wodzisławska, pod red. J. Ligenzy,* Katowice 1970, s. 304; *Życiorys* T. Augustyna (z archiwum rodziny T. Augustyna – dr S. Wyciszczoka).

Czy na zło można być obojętnym?
Przez mgłę cuchnącą sen straszny widzę:
Czerń się wznosi z ognistej obręczy,
Gdzie miliony ludzi zmieniają się w sadze.

Czy to było wołanie na jawie?
Bo głos słyszę pamiętny, żałobny;
Płacze, jęczy nieżywy już prawie
Brat, co stał się popiołem w tym ogniu. [...]

fragment wiersza: **OŚWIĘCIM**
autor Chalżian Nurgożajewicz Bekchożin

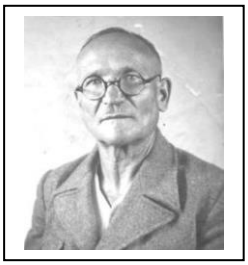

BASISTA MAKSYMILIAN pseud. „Kwiecień", „Gołucki",
Więzień więzienia Montelupich w Krakowie, KL Auschwitz nr 152740.

BASISTA MAKSYMILIAN pseud. „Kwiecień”, „Gołucki”,

Urodzony 7.08.1883 r. w Górkach pow. raciborski, syn Jana i Franciszki z d. Kałuża (Maksymilian był jednym z dziewięciorga dzieci Basistów). Od najmłodszych lat pomagał rodzicom w pracach gospodarskich. W latach 1889-1896 chodził do szkoły ludowej – niemieckiej, a po jej ukończeniu, w czternastym roku życia podjął pracę w hucie „Silesia” jako pracownik fizyczny.

Po dwóch latach, zwolnił się z „Silesii” i w 1899 r. wyjechał z kolegami do Westfalii, gdzie został górnikiem w kop. Prosper II w Bottrop. Dodać należy, że w owym czasie Westfalia była ośrodkiem skupiającym wyjątkowo dużą ilość polskiej emigracji zarobkowej.

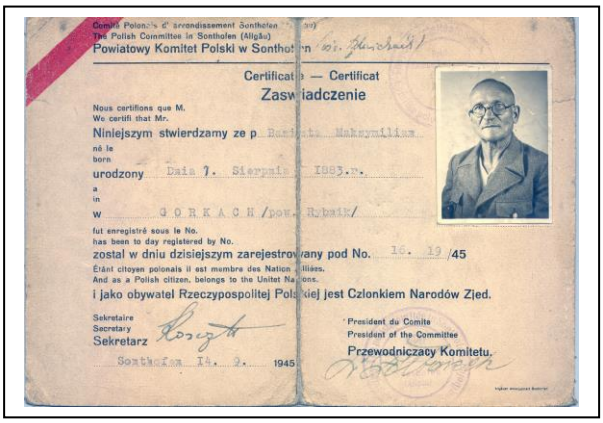
Comité Polonais d' arrondissement Sonthofen
The Polish Committee in Sonthofen (Allgäu)
Powiatowy Komitet Polski w Sonthofen

Certificat — Certificat
Zaświadczenie

Nous certifions que M.
We certify that Mr.
Niniejszym stwierdzamy ze p. Basista Maksymilian
né le
born
urodzony Dnia 7. Sierpnia 1883 r.
a
in
w GÓRKACH /pow. Rybnik/
fut enregistré sous le No.
has been to day registered by No.
został w dniu dzisiejszym zarejestrowany pod No. 10. 19 /45
Étant citoyen polonais il est membre des Nations Unies.
And as a Polish citizen, belongs to the United Nations.
i jako obywatel Rzeczypospolitej Polskiej jest Członkiem Narodów Zjed.

Sekretaire
Secretary
Sekretarz
Sonthofen 14. 2. 1945

President du Comité
President of the Committee
Przewodniczący Komitetu.

Maksymiliana Basisty oprócz pracy w Bottrop, zdobył dla siebie podatny grunt – dla działalności kulturalnej i społecznej. Pełen zapału, wyróżniający się intelektualnie, zajął się niemal natychmiast działalnością kulturalno-oświatową wśród zbiorowości polskiej. Chłonny na wiedzę, przystąpił do intensywnej pracy nad sobą, do samokształcenia.

W 1903 r. został powołany do wojska i wcielony do 56 pułku piechoty w Cleve i Wessel nad Renem.

Po powrocie z wojska na początku 1906 r., zainteresował się nim Wincenty Lutosławski, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Spotkanie to spowodowało wstąpieniem Maksymiliana do „Eleusis”[11] i miało wielki wpływ na kształtowanie się jego młodej osobowości. Dzięki wsparciu kolegów z pracy, w lutym 1906 r. rozpoczął kształcenie się w Seminarium Wychowania Narodowego im. A. Mickiewicza które prowadził W. Lutosławski w Krakowie.
Po ukończeniu Seminarium nie wracał już do Bottrop, lecz odbywał praktykę w słynnej księgarni firmy Gebethner i Wolf w Krakowie, a od 1907 r. rozpoczął naukę rzemiosła drukarskiego w firmie W. L. Anczyca i Spółki. Po trzech latach tj. 15.01.1910 r. został czeladnikiem sztuki drukarskiej. Ukończywszy

[11] „Eleusis” nawiązywała do tradycji Filomatów i Filaretów, początkowo było towarzystwem etycznym. Swój program orientowało na głośny postulat Adama Mickiewicza zawarty w Księgach Narodu i Pielgrzymostwa Polskiego. Program „elsow” – członków „Eleusis” integrował postulaty doskonalenia moralnego i odrodzenia narodowego, pielęgnowanie zasad absolutnej wstrzemięźliwości od wszystkich nałogów.

ostatecznie naukę zawodu u Anczyca, powrócił w rodzinne strony – do Rybnika, gdzie prowadził intensywną działalność polityczną a zwłaszcza kulturalno-oświatową, organizując front oporu przeciw napływowi tzw. niemczyzny.

Znamienna to data 14.04.1910 r., gdyż Maksymilian Basista otworzył w Rybniku księgarnię polską oraz skład materiałów piśmiennych. W tym też 1910 r. zawarł związek małżeński z Marią z d. Burda. W 1911 r. nawiązał kontakt z dyrektorem Towarzystwa Czytelni Ludowych (TCL) ks. Antonim Ludwiczakiem i jako dobry organizator sprawił, że w Rybnickiem powstała gęsta sieć bibliotek TCL, a on sam został wybrany na prezesa TCL w Rybniku (funkcję tę sprawował do 1938 r.). Ważnym akcentem jest założenie w tymże 1911 r. pierwszej polskiej gazety w Rybniku o nazwie „Straż nad Odrą". W tym okresie stronił od polityki, niemniej, w 1912 oraz 1913 r. wspierał strajki rybnickich górników. Najwięcej jednak czasu oraz zabiegów organizacyjnych poświęcił utworzeniu amatorskiego ruchu śpiewaczego i powiązanego z nim amatorskiego ruchu teatralnego. Dzięki jego staraniom 18.05.1913 r. powołano do życia Towarzystwo Śpiewu „Seraf" w Rybniku – został jego prezesem i funkcje te sprawował do 1929 r.

Wybuch pierwszej wojny światowej spowodował zaprzestanie przez Maksymiliana działalności społecznej a także zawodowej. Został zmobilizowany do armii pruskiej i walczył pod Verdun, gdzie w lutym 1915 r. odniósł ciężkie rany. Po szpitalnym leczeniu, niezdatny do służby frontowej, został skierowany do kompani roboczych budujących umocnienia wojskowe, drogi, mosty w okolicach Brześcia, na Litwie, Łotwie, Estonii. Pracując w jednej z tych miejscowości 20.09.1918 r. otrzymał telegramem (telegram był fortelem) od chorej żony, wzywający do pilnego przyjazdu do domu. Otrzymał więc urlop z którego do kompanii roboczej już nie wrócił.

Od listopada 1918 r. wspólnie z Ludwikiem Piechoczkiem organizował wśród młodzieży rybnickiej oddziały bojowe, a 18.01.1919 r. gdy powstała Polska Organizacja Wojskowa – został jej członkiem. Jego dom i księgarnia stały się ośrodkiem działalności kierownictwa POW w Rybniku. Niestety, 23.03.1919 r. został aresztowany wraz z kilkoma innymi członkami POW i 14.04.1919 r. sądzony przez Nadzwyczajny Sąd Wojskowy w Raciborzu, że „z bronią w ręku usiłował oderwać Śląsk od Niemiec i udostępniał lokal księgarni dla zbrodniczej działalności organizacji polskich". Otrzymany wyrok 3 lata więzienia, później sąd przysięgłych złagodził na karę 9 miesięcy, a ponieważ był bardzo schorowany, po wpłaceniu kaucji w wysokości 5000 marek został wypuszczony na wolność.

Po opisanych powyżej perypetiach, Maksymilian Basista opuścił Rybnik i aby uniknąć ponownego aresztowania, ukrywał się w Piotrowicach na Śląsku Cieszyńskim, skąd już 17.08.1919 r. wraz z zorganizowanym oddziałem szturmowym, wyruszył na teren powiatu rybnickiego by nieść wsparcie dla miejscowych powstańców. Niestety, silny opór Grenzschutzu zmusił oddział do odwrotu, i w taki to sposób znalazł się nadgranicznych wówczas Dziedzicach. Tam dotarł do niego rozkaz zorganizowania punktu powstańczego i utworzeniu

grup bojowych, które odpowiednio przeszkolone, miały prowadzić działania destrukcyjne – antyniemieckie na Górnym Śląsku. Gdy powstanie się zakończyło, w pierwszych dniach września 1919 r. znalazł się w Sosnowcu i powołano go do służby w Milicji Górnośląskiej jako kierownik oddziału aprowizacyjnego, a nominacje tę wydał kierownik Ekspozytury Oddziału II Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego.

Końcem listopada tegoż roku, powrócił do Rybnika i zabrał się za uporządkowanie zniszczonej księgarni – przenosząc ją początkiem 1920 r. do własnego domu. Z wielkim zapałem organizował koła śpiewacze, zespoły teatralne, wiece i uroczystości narodowe. To z inicjatywy Maksymiliana Basisty rozpoczęły (przerwaną na czas wojny) działalność chóry: „Słowiczek" w Wielopolu, „Harmonia" w Jejkowicach, „Paderewski" w Grabowni, „Orzeł" w Ochojcu, „Kościuszko" w Zamysłowie, „Kochanowski" w Czuchowie, „Mickiewicz" w Chwałęcicach, „Gwiazda" w Zebrzydowicach.

Powstawały też gniazda Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół". W lutym 1920 r. założył oddział Związku Śląskich Kół Śpiewaczych i jako prezes kierował jego działalnością, zaś w czasie kampanii plebiscytowej był założycielem i redaktorem „Gazety Rybnickiej".

Podczas trzeciego powstania, Maksymilian Basista bez reszty zaangażował się w kolejne ważne wydarzenia na ziemi rybnickiej – był bowiem członkiem komendy powiatowej, odpowiedzialnym za akcję propagandową. W 1923 r. powołano Komisaryczną Radę Miejską pod przewodnictwem A. Prusa, a Basista wszedł w skład pięcioosobowej rady jako sekretarz. W 1930 r. za ogromne zasługi w krzewieniu idei Towarzystwa Czytelni Ludowych, nadano mu godność członka honorowego TCL.

W 1934 r. został wiceburmistrzem w Rybniku, stając się bliskim współpracownikiem Władysława Webera. W zakres jego kompetencji wchodziły sprawy gospodarcze i kulturalne. Jako prezes Stowarzyszenia Kupców i członek Izby Przemysłowo-Handlowej w Katowicach (także Zarządu Wojewódzkiego Kupiectwa Polskiego), doprowadził do powstania w Rybniku Szkoły Handlowej. W latach 1936-1938 organizował Targi Rybnickie.

Gdy 1.09.1939 r. około godz. 5:00 oddziały Wehrmachtu wkraczały do Rybnika, po namowach przychylnych przyjaciół, uchodził z rodzinnego miasta a także Śląska. Jego nazwisko jeszcze przed wybuchem wojny (w 1939 r.) wpisane było do „księgi gończej" Sonderfahndungsbuch Polen (strona zarejestrowania 9B) – czyli przewidziany przez hitlerowców do „likwidacji" w pierwszej kolejności. Przedostał się do Krakowa, skąd 4 września ruszył na dalszą tułaczkę na wschód, docierając do Żółkiewki w Lubelskiem, jednak obawiając się nacjonalistów ukraińskich, powrócił do Krakowa. Miał jednak świadomość, że i to miasto – stolica Generalnego Gubernatorstwa nie jest dla niego bezpieczna. Przybierając więc fałszywe nazwiska „Kwiecień" lub „Gołucki" ukrywał się w okolicznych wioskach – w Mnikowie, Wielkiej Wsi, Ojcowie, Nowym Kościele.

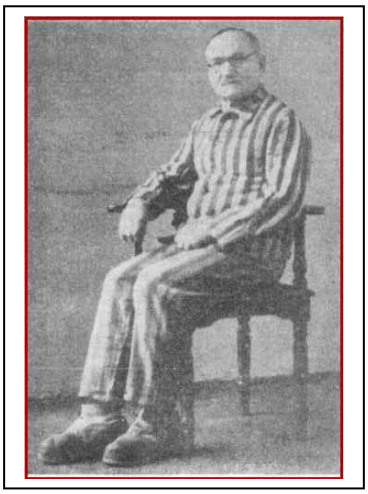

Niestety, 3.09.1943 r. został aresztowany i osadzony w więzieniu krakowskim – na Montelupich, skąd przesłano go do KL Auschwitz i tam został zarejestrowany jako więzień nr 152740. Dnia 11.11.1944 r. transportem zbiorowym przesłany do obozu pracy w Bawarii, lecz po likwidacji tego obozu 2.04.1945 r. dostał się do obozu leśnego w Mattenheim. Mimo trudnych warunków panujących w obozach w których przebywał, przeżył i odzyskał wolność 5.05.1945 r. – wyzwolony przez wojska amerykańskie. Po powrocie do Rybnika (miał już 62 lata), przystąpił kolejny raz do odbudowy księgarni i prowadził ją do 1948 r.

Wówczas to, w związku z upaństwawianiem niemal wszystkiego, jego księgarnia przejęta została przez Spółdzielnię Spożywców. Wznowił wprawdzie działalność społeczną, z której jednak wycofał się zdecydowanie w 1950 r. W uznaniu zasług – odznaczony Orderem Polonia Restituta. Zmarł 3.11.1967 r. w Rybniku.

Informacja dodatkowa. Gdy zbliżały się do Oświęcimia wojska rosyjskie (a więc pod koniec funkcjonowania KL Auschwitz), władze obozowe SS niszczyły dowody popełnianych zbrodni na więźniach, niszczono także dokumentację obozową. Skutkiem tego, nie było śladu pobytu w tym obozie Maksymiliana Basisty. Autor niniejszego opracowania dostarczył do APMA-B wiarygodne informacje na ten temat – w oparciu o zdobyte zeznania świadków. Zdjęcie w ubraniu obozowym nie jest typowym zdjęciem wykonywanym w obozie, lecz wykonanym na własny użytek przez Maksymiliana Basistę po powrocie do domu.

Bibliografia: L. Musiolik *Śląscy patroni rybnickich ulic,* 1994 r. s. 1; L. Musiolik *Rybniczanie słownik biograficzny,* Rybnik 2000, s. 14; I. Libura *Z dziejów domowych powiatu – gawęda o ziemi rybnickiej,* Opole 1984, s. 127-140; *Ziemia rybnicko-wodzisławska,* red. J. Ligenzy, Katowice 1970, s. 186-188, 199, 201, 202, 293-295; A. Mrowiec *Z dziejów okupacji hitlerowskiej w rybnickiem,* Katowice 1958, s. 29, I. Libura

Maksymilian Basista rybnicki księgarz i społecznik (1883-1967), Zeszyty Rybnickie nr 2, rok 1991, s. 37, 38; Zbiory Muzeum w Rybniku: fotografia z ksiegarnią MRy/H/616, legitymacja MRy/ADH/415.

Uklęknij i zapamiętaj -
ta ziemia jest święta -
to ziemia Oświęcimia.
...Te trzewiki małe
z nóżek obolałych
a włosy, krucze włosy
nie doczekały wiosny.
Te koce zimne - szare
szkielety przykrywały.
Uklęknij i zapamiętaj -
tu każde miejsce święte -
tu ziemia Oświęcimia.
Szeptały daremnie usta
po polsku, po rosyjsku -
o gospodi, o boże -
nie daj nam umrzeć -
pomóż!
Oświęcim, już Oświęcim -
Proszę wysiadać – słyszę –
Naprawdę był Oświęcim?
Jest – martwa odpowie cisza ... [...]

wiersz: **OŚWIĘCIM**
autorka: Maria Łotocka

BLACHNICKI FRANCISZEK ks.,

Więzień więzienia w Raciborzu, Rawiczu, Börgermooru, Zwickau, Lengenfeld, KL Auschwitz nr 1201, KL Flossenbürg.

BLACHNICKI FRANCISZEK ks.,

Urodzony 24.03.1921 r. w Rybniku w wielodzietnej rodzinie Józefa i Marii z d. Müller. Ojciec był pielęgniarzem. Do szkoły podstawowej uczęszczał w Orzeszu, a zamieszkawszy z rodzicami w Tarnowskich Górach, tam uczęszczał do gimnazjum, zdając maturę w 1938 r. Chciał pracować w dyplomacji i dlatego we wrześniu rozpoczął służbę wojskową w Dywizyjnym Kursie Podchorążych Rezerwy w Katowicach.

Niestety, plany te pokrzyżował wybuch drugiej wojny światowej - brał udział w kampanii wrześniowej 1939 r. w stopniu plutonowego-podchorążego. Po kapitulacji polskich sił zbrojnych dostał się do niewoli, z której zbiegł i wrócił do Tarnowskich Gór, gdzie rozpoczął działalność konspiracyjną. W marcu 1940 roku musiał uciekać przed gestapo, jednak i tak aresztowano go w Zawichoście. Po długim okresie uciążliwych przesłuchań – przez kilka tygodni w miejscowości zatrzymania, przesłany został do KL Auschwitz i tam 25.06.1940 r. zarejestrowany w obozowej ewidencji jako więzień nr 1201. Zatrudniony był przez dziewięć miesięcy w karnej kompanii – przebywał w bloku 13. Dnia 20.02.1941 r. został osadzony w bunkrze bloku 11 i tam przebywał do 17.03.1941 r.

19.09.1941 r. przeniesiono go z KL Auschwitz do więzienia śledczego w Zabrzu, a stamtąd do więzienia gestapo w Katowicach. W marcu 1942 r. „za działalność konspiracyjną przeciw hitlerowskiej Rzeszy” został skazany na karę śmierci przez ścięcie gilotyną. Na wykonanie wyroku oczekiwał niemal 5 miesięcy, lecz dzięki intensywnym staraniom rodziny, karę śmierci zamieniono mu na 10 lat więzienia. Jak podają źródła kościelne – to w czasie pobytu na oddziale skazańców w Katowickim więzieniu, dokonało się w Franciszku Blachnickim jego przeorientowanie psychiczne, nasilona wiara w Chrystusa oraz decyzja poświecenia swojego życia służbie Bogu.

Przenoszony do różnych więzień: Racibórz, Rawicz, Börgermoor, Zwickau i Lengenfeld w 1944 r. dostał się do KL Flossenbürg (Schwarzwald – Bawaria). Mimo ciężkich warunków panujących w więzieniach i obozach w

których przebywał, przeżył i 17.04.1945 r. doczekał się wyzwolenia przez wojska amerykańskie.

Po powrocie 20.07.1945 r. z tułaczek więzienno-obozowych do Tarnowskich Gór, już 6 sierpnia tegoż roku spełniając podjęte duchowe zobowiązania, wstąpił do Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie – studiował na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, uzyskując magisterium z teologii, natomiast 25.06.1950 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Pracował jako duszpasterz – wikariusz w kilku parafiach diecezji katowickiej: w Tychach, Łaziskach Górnych, Rydułtowach, Cieszynie i Bieruniu Starym, wypracowując system dziecięcych rekolekcji zamkniętych tzw. Oaza Dzieci Bożych, założył ruch oazowy Światło-Życie, Krucjatę Wyzwolenia Człowieka i Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów.

W latach 1954-1956 r., w okresie wysiedlenia biskupów śląskich, uczestniczył w pracach tajnej Kurii w Katowicach. W październiku 1956 roku uczestniczył w organizowaniu powrotu biskupów do diecezji, rozpoczynając jednocześnie pracę w Referacie Duszpasterskim Kurii diecezjalnej w Katowicach i w redakcji tygodnika „Gość Niedzielny", prowadził także Ośrodek Katechetyczny, zaś od 1957 r. prowadził działalność pod nazwą „Krucjata Wstrzemięźliwości" – mającej charakter ruchu odnowy religijno-moralnej, opartego na duchowości o. Maksymiliana Kolbego. Krucjata wydawała swój dwutygodnik pt. „Niepokalana zwycięża". Tak jawna i wszechstronna działalność ks. Franciszka Blachnickiego, zbyt negatywnie oceniana przez ówczesne władze polityczne, spowodowała, że 29.08.1960 r. władze te zlikwidowały Centralę Krucjaty a jej założyciela aresztowano w 1961 r. Po czterech miesiącach aresztu w katowickim więzieniu, osądzony, otrzymał wyrok 13 miesięcy więzienia w zawieszeniu na 3 lata.

Po zwolnieniu z więzienia, w październiku 1961 r. rozpoczął studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W 1963 r. podjął się prowadzenia rekolekcji oazowych metodą 15-dniowych rekolekcji przeżyciowych – dobierając je stopniowo do różnych grup młodzieży, dorosłych i całych rodzin. W latach 1964-1972 pracował na KUL-u w charakterze asystenta i adiunkta – współorganizował Instytut Teologii Pastoralnej, wypracował koncepcję i podwaliny metodologiczne pod katechetykę fundamentalną i teologię pastoralną ogólną. W latach 1964-1980 rozwijał też ożywioną działalność w dziedzinie posoborowej odnowy liturgii w Polsce. Założył „Lubelski Zespół Liturgistów". Przez 10 lat był redaktorem „Biuletynu Odnowy Liturgii". Od roku 1967 był Krajowym Duszpasterzem Służby Liturgicznej.

Praca zapoczątkowana w oazie rekolekcyjnej, była kontynuowana w małej grupie w parafii. W ten sposób oazy rozwinęły się w ruch, zwany obecnie Ruchem Światło-Życie. Celem Ruchu (dotyczącym osób w każdym wieku), było i jest wychowanie świadomych chrześcijan i wypełnienie soborowej wizji Kościoła. Ruch ten rozwijał się nie tylko w Polsce, ale przeniósł się także za granicę – na Słowację, do Czech, nawet do Boliwii.

W 1980 r. znowu pracował naukowo na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w Lublinie. W okresie 1980-1981, gdy powstała Solidarność, powołał do istnienia Niezależną Chrześcijańską Służbę Społeczną, mającą upowszechniać ideę „Prawda – Krzyż – Wyzwolenie", tzn. działać w duchu chrześcijańskiej nauki społecznej i ruchu wyzwolenia bez przemocy. Wyjechał do Rzymu 10.12.1981 r., i tam zastał go stan wojenny.

W roku 1982 osiadł w ośrodku polskim Marianum w Carlsbergu w RFN, gdzie rozpoczął organizowanie Międzynarodowego Centrum Ewangelizacji Światło-Życie. Prowadził w nim pracę duszpasterską wśród polskich emigrantów, wydawał biuletyn „Prawda-Krzyż-Wyzwolenie", zaś w czerwcu 1982 roku założył „Chrześcijańską Służbę Wyzwolenia Narodów" - stowarzyszenie skupiające Polaków i przedstawicieli innych narodów Europy Środkowo-Wschodniej wokół idei suwerenności wewnętrznej i jedności narodów w walce o wyzwolenie. Tę działalność społeczno-wyzwoleńczą prowadził z pobudek religijnych, inspirowany nauką Jana Pawła II, wierny zasadzie „światło-życie". Jeszcze w Polsce, a potem także zagranicą nawiązywał kontakty ekumeniczne z różnymi ruchami odnowy. Zmarł nagle 27.02.1987 r. w Carlsbergu w Niemczech

Odznaczony: pośmiertnie Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta (17.02.1994 r.), Krzyżem Oświęcimskim (5.05.1995 r.).

Dnia 9.12.1996 r. rozpoczął się proces beatyfikacji Sługi Bożego ks. Franciszka Blachnickiego, 1.04.2000 r. jego szczątki zostały przeniesione do Krościenka i złożone w kościele pw. Dobrego Pasterza w jego dolnej kaplicy.

Bibliografia: I. Pająk *Mieszkańcy Śląska, Podbeskidzia, Zagłębia Dąbrowskiego w KL Auschwitz*, Katowice 1998, s. 33; L. Musiolik *Rybniczanie słownik biograficzny*, Rybnik 2000, s. 21, Dokumentacja APMA-B: numerowe wykazów transportów przybyłych do KL Auschwitz, zbiór obozowych fotografii więźniów, księga bunkra, „Transportettel", Ankieta wypełniona osobiście w 1971 r. oraz fragment relacji A. Gołki – byłego więźnia KL Auschwitz nr ob. 1209.

Cisza jak słońce zapisuje pamięć.

W rozwarciu granitowej gardzieli
Turkoczą piasty oczu
I niemy ptak
Rozkwieca zadymione niebo.
Ciała nawijają wiatry,
Wioślarskie uderzenia kolb
Wspierają błoto
Jak żar czytajacy wnętrze ziemi.

To tylko cisza zapisuje pamięć,
wywołuje imiona
tych spod ziemi stłoczonych
i harfa drutów kolczastych
targa omszałe dymy
na salwy,
na wieczne dzwonienie.

To tylko cisza zapisuje pamięć
od kości zbielałą.

wiersz: **CISZA W OŚWIĘCIMIU**
autor: Nikos Chadzinikolau (Chatzenikolau)

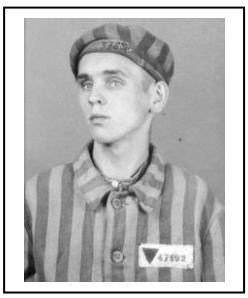

BUCHALIKOWIE ... i inni patrioci z PTOP w Gotartowicach

BUCHALIKOWIE ... i inni patrioci z PTOP w Gotartowicach

Jak we wstępie do niniejszej książki wyjaśniałem, w Rybnickiem, obok tak znaczących organizacji konspiracyjnych jak: POP (Polska Organizacja Powstańcza), SZP (Siła Zbrojna Polska), założona została początkiem 1940 r. organizacja podziemnego ruchu oporu PTOP – utworzona przez harcerzy XIII Drużyny im. Henryka Sienkiewicza[12] i powstańców śląskich z Gotartowic, a dowódcą PTOP był Alojzy Frelich. Drużynowym XIII Drużyny i jej opiekunem był nauczyciel miejscowej szkoły Józef Koprowski, zaś przyjacielem i równie wielkim opiekunem harcerzy był kierownik szkoły - Piotr Korgul, były legionista. Niemniej, bardzo czynnie angażowali się w pomoc i różnego rodzaju przedsięwzięcia harcerzy ich ojcowie - dawni powstańcy, matki oraz rodzeństwo.

Do wspomnianej XIII Drużyny Harcerzy należeli: Franciszek, Paweł i Ernest Buchalikowie, Jan Emrych, Paweł Holek, Paweł Juraszczyk, Bolesław Kocztorz, Sylwester Kula, Paweł Podleśny, Walenty Sojka, Bolesław Śpiewok oraz Edward Korduła i Benedykt Stajer.

Przepojeni patriotyzmem młodzi ludzie, jakże wierni złożonemu Przyrzeczeniu Harcerskiemu:

Mam szczerą wolę całym życiem
pełnić służbę Bogu i Polsce
nieść chętną pomoc bliźnim
i być posłusznym Prawu Harcerskiemu

okazywali dowód niesamowitego męstwa i odwagi, gdy trzeba było zmierzyć się z okupantem hitlerowskim który zniewolił Ich Ojczyznę. Nie bacząc na przeważającą siłę wroga, stanęli z nim do walki – płacąc za to najwyższą cenę – oddając życie.

Jak bardzo była ta działalność szkodliwa dla okupanta – Niemców, posłużę się raportem który dr Mildner[13] składał władzom zwierzchnim w Berlinie – uzasadniając okoliczności walki z tak zaciekłym wrogiem, a raport ten w bardzo szczegółowy sposób ocenia działalność gotartowickiej PTOP:

„Od czerwca 1941 roku w powiecie rybnickim rozpowszechniano wśród robotników polskie nielegalne pismo podżegające „Zew Wolności" („Ruf der Freiheit"). W listopadzie 1941 roku na placu budowy Zjednoczenia Budowlanego Siemens w porcie śródlądowym Kanału Adolfa Hitlera w Łabędach w powiecie gliwickim przechwycono to pismo podżegające. Na terenie portu pracują obok wolnych robotników i jeńców wojennych również robotnicy

---

[12] Według Komisji Historycznej Hufca Ziemi Rybnickiej – sprawdzone przez hm Katarzynę Trzebunia, w 1938 r. patronem XIII Drużyny Harcerzy w Gotartowicach był Henryk Sienkiewicz (notatnik zastępowego zastępu Wilki z 1938 r.). Nie istnieje żaden rozkaz dotyczący zmiany imienia do 1939 r., kiedy harcerstwo przeszło do konspiracji.

[13] Mildner – dr praw, członek NSDAP i SS, nadradca rządowy (Oberregierungsrat), szef placówki policji państwowej Statspolizeileitstelle w Katowicach. Przewodniczący sądu doraźnego Standgericht, którego posiedzenia odbywały się w obozie macierzystym w Oświęcimiu.

cywilni obcych narodowości. Pismo podżegające odbite było na powielaczu, zawierało przeważnie wiadomości rozpowszechniane przez radio londyńskie i usiłowało podburzać przeciwko Niemcom ludność nastawioną propolsko. Jako wydawca tego pisma występowała polska tajna organizacja PTOP (Polska Tajna Organizacja Powstańcza).

Dochodzenie wykazało, że komenda główna PTOP miała swą siedzibę w Gotartowicach w powiecie rybnickim. W tutejszym obwodzie należały do tej organizacji następujące osoby:

1. Frohlich Alojzy, urodzony 15 czerwca 1924 r. w Gotartowicach były student polski, ostatnio zamieszkały w Gotartowicach, ul. Rybnicka 14. Był on komendantem PTOP i ukrywa się. Został wpisany do niemieckiej księgi gończej.

2. Hollek Paweł, urodzony 28 września 1920 r., w Gotartowicach w pow. rybnickim, były polski student, zamieszkały tamże, ul. Sumpf-gasse 8, zastępca komendanta.

3. Buchalik Franciszek, urodzony 15 grudnia 1920 r. w Gotartowicach, w pow. rybnickim, robotnik betoniarski, zamieszkały ostatnio tamże, ul. Rybnicka 17.

Pismo podżegające odbijano najpierw w domu rodzinnym Alojzego Frohlicha, później zaś w mieszkaniu rodziców Pawła Hollka.

W mieszkaniu rodziców Hollka znaleziono i zabezpieczono następujące przedmioty: 1 pistolet wojskowy wz. 08 z 8 nabojami, 1 część karabinu (czółko zamkowe z pazurem wyciągu), 1 zamek do karabinu, 2 ostre naboje, 1 powielacz, 1 maszynę do pisania pochodzenia amerykańskiego, 1 aparat radiowy, 1 paczkę bibułki używanej do odbijania pisma podżegającego, 1 nóż umocowany (sztylet), kwotę pieniężną 519 rmk oraz znaczną liczbę egzemplarzy nielegalnego pisma podżegającego „Zew Wolności" i obszerny materiał, który był częściowo ukryty na strychu za belkami. Wykorzystanie tego materiału doprowadziło do aresztowania dalszych 62 osób. 2 lipca 1942 r. tutejszy sąd doraźny skazał na śmierć następujących poddanych polskich: (raport wymienia nazwiska 4 robotników ze Szczakowej w wieku lat 29-34).

Egzekucja została wykonana w tym samym dniu w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu.

17 osób, co do których stwierdzono, że były członkami, lecz miały obywatelstwo niemieckie, przekazano do postępowania specjalnego i stracono w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Pozostałe osoby umieszczono w areszcie ochronnym.

W toku dalszego śledztwa zidentyfikowano jeszcze 72 osoby jako członków i odbiorców nielegalnego pisma podżegającego „Zew Wolności". Wkrótce zostaną one aresztowane.

Celem i zadaniem PTOP było utworzenie nowego państwa polskiego na drodze zbrojnego powstania i oderwanie siłą od Rzeszy Niemieckiej wcielonych do niej terenów wschodnich. Wszyscy członkowie byli zaprzysiężeni i zobowiązani do najściślejszej tajemnicy. Zdrajcy mieli być karani śmiercią przez dowództwo

naczelne. PTOP była kierowana przez dowództwo naczelne i dzieliła się na obwody lub powiaty, grupy miejscowe oraz oddziały.
Oddział składał się z 3 do 6 członków. Pewna liczba takich oddziałów stanowiła dowództwo placu, na czele którego stał komendant zatwierdzony przez dowództwo naczelne. Kilka grup miejscowych tworzyło obwód lub powiat. Współpracownicy otrzymywali pseudonimy albo numery służące im jako kryptonimy. Do ich obowiązków należało rozpowszechnianie pisemek podburzających i zbieranie ofiar. Zebrane składki przekazywano dowództwu naczelnemu na pokrycie wydatków, związanych ze sporządzaniem pisemek podburzających oraz dla wspomagania biednych rodzin polskich, których żywiciele znajdują się w obozie koncentracyjnym. Wypłacane też były zasiłki w kwocie od 20 do 40 marek i wyżej. Dowództwo naczelne prowadziło akta każdego otrzymującego wsparcie, w których znajdowały się dane o jego stanie materialnym. Odnotowywano w nich każdorazowo wypłacane zapomogi.
Podczas rewizji mieszkania rodziców Pawła Hollka zabezpieczono akta, z których wynika, że od listopada 1941 do l kwietnia 1942 roku około 30 rodzin na terenie objętym opieką służbową tutejszego urzędu otrzymało od dowództwa naczelnego zapomogi w kwocie od 20 do 35 rmk. Wszyscy aresztowani, z wyjątkiem wymienionych wyżej 4 Polaków, należą do ludności mieszanej górnośląskiej i prawie wszyscy złożyli wnioski o wpisanie na niemiecką listę narodowościową. 22 osoby zostały już przyjęte do 2., 3. lufo 4. grupy niemieckiej listy narodowościowej. Część działaczy jest byłymi powstańcami polskimi.
W załączeniu przekazuję ogólną listę aresztowanych dotychczas osób.
Podpisał dr Mildner"[14]

Niestety, PTOP tak rozpracowana przez gestapo jak to opisywał Mildner – została rozgromiona. W nocy z 22 na 23.05.1942 r. gestapo w tzw. „pierwszym uderzeniu" przeprowadziło rewizję w domach głównych działaczy, aresztowało 15 mężczyzn i chłopców oraz 3 kobiety, których przesłano do obozu koncentracyjnego – KL Auschwitz. Gdy gestapowcy weszli do domu Pawła Holka, zostali ostrzelani z broni krótkiej, więc podczas wymiany strzałów Paweł Holek został zabity. W „drugim uderzeniu" aresztowano dalsze 72 osoby, także przewiezione do KL Auschwitz.

Dnia 27.07.1942 r. Franciszka i Pawła Buchalików przywieziono karetkami więziennymi z KL Auschwitz do rodzinnych Gotartowic, spędzono pod terrorem okoliczną ludność i w celu zastraszenia Polaków – w egzekucji zbiorowej powieszono obu młodych harcerzy!

Franciszek, już z pętlą na szyi zawołał: Jeszcze Polska nie zginęła!

Dwaj harcerze zginęli w egzekucji publicznej, część z nich zginęła w dniu 7.08.1942 r. przez rozstrzelanie, inni ginęli - uśmiercani przez nieludzkie warunki panujące w obozie.

---

[14] Przedruk z książki I. Libury *Z Dziejów Domowych Powiatu – Gawęda o Ziemi Rybnickiej*, Opole 1984.

BUCHALIK FRANCISZEK,
Urodzony 15.07.1922 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Wilhelma i Franciszki z d. Dziwoki. Po ukończeniu szkoły powszechnej, pracował u gospodarza w Szczejkowicach, gdyż w rodzinie było dziewięcioro dzieci, a ojciec przez kilka lat nie miał pracy. Harcerz XIII Drużyny Harcerzy im. Henryka Sienkiewicza w Gotartowicach. Z wychowania w drużynie harcerskiej jak i domu rodzinnym, wyniósł głęboką miłość do Polski. Podczas okupacji hitlerowskiej – Arbeitsamt skierował go do pracy przy budowaniu fabryk zbrojeniowych nad Kanałem Gliwickim, gdzie równocześnie bardzo zaangażował się w działalność ruchu oporu. Współorganizował PTOP w Gotartowicach, był zastępca dowódcy – odpowiedzialny za dywersję. Pracując więc przy budowach fabryk zbrojeniowych nad Kanałem Gliwickim, wykorzystywał różne sposobności do zadawania strat Niemcom. By uniknąć podejrzeń i niepotrzebnych ofiar, starał się nadawać sabotażowi charakter naturalnych awarii np. samoczynne zwarcie instalacji elektrycznej, zrywanie przewodów telekomunikacyjnych w czasie wichury i śnieżycy, przegrzewanie silników, zamrażanie lub zatykanie rur, którymi tłoczono beton. W taki sam sposób postępowali konspiratorzy z PTOP w hucie „Silesia", na kopalniach i w innych zakładach przemysłowych. W wyniku rozpracowania struktur PTOP przez gestapo, aresztowany 23.05.1942 r. i więziony przez kilka dni w KL Auschwitz, a następnie 27.07.1942 r. powieszony w egzekucji publicznej w Gotartowicach.

BUCHALIK PAWEŁ,

Urodzony 8.09.1922 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Józefa i Marii z d. Reclik. Harcerz XIII Drużyny Harcerzy im. Henryka Sienkiewicza – zastępowy. Od początku okupacji hitlerowskiej działał w ruchu oporu w sztabie kierowniczym PTOP, kierował akcją pomocy dla rodzin uwięzionych Polaków (zasiłki pieniężne, karty żywnościowe i odzieżowe – zdobywane nielegalnie w urzędach). Ze składek i sprzedaży znaczków, około sto rodzin otrzymywało zasiłki miesięczne.
W wyniku częściowego rozpracowania struktur organizacji przez gestapo, aresztowany w nocy z dnia 22 na 23.05.1942 r., przetransportowany do KL Auschwitz. Dnia 27.07.1942 r. przewieziony wraz z Franciszkiem do Gotartowic i tam powieszony w publicznej egzekucji.

BUCHALIK ERNEST,

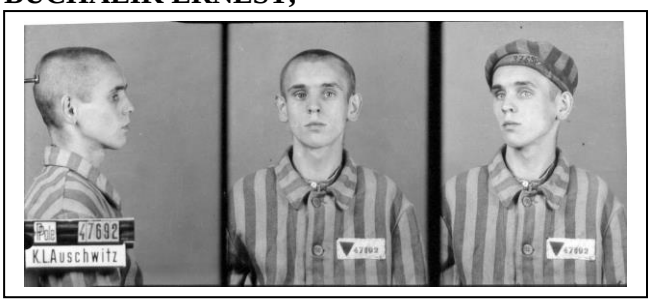

Urodzony 7.09.1925 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Wilhelma i Franciszki z d. Dziwoki, mieszkaniec Gotartowic. Harcerz XIII Drużyny Harcerzy im. Henryka Sienkiewicza w Gotartowicach. W okresie okupacji hitlerowskiej zaangażowany w działalność PTOP. Był kolporterem gazetki konspiracyjnej „Zew Wolności". W wyniku dekonspiracji PTOP aresztowany w nocy z dnia 22 na 23.05.1942 r., przekazany do więzienia śledczego (Ersatzpolizeigefängnis)[15] w Mysłowicach, a stamtąd do KL Auschwitz, zarejestrowany 17.07.1942 r. w obozowej ewidencji jako więzień nr 47692. Na podstawie decyzji policyjnego sądu doraźnego zginął dnia 5.09.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 28174/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 9:20, określenie przyczyny zgonu to „Herzschwäche bei Darmkatarrh" (niewydolność serca przy nieżycie jelit).

EMRYCH JAN,
Urodzony 16.12.1921 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Franciszka i Julii z d. Wiatrek, mieszkaniec Gotartowic. Harcerz XIII Drużyny Harcerskiej im. Henryka Sienkiewicza. Od powołania do życia PTOP, działał w jej szeregach. Aresztowany w maju 1942 r. i przetransportowany do więzienia śledczego w Mysłowicach. Następnie, po śledztwie, przewieziony do KL Auschwitz gdzie decyzją sądu doraźnego 7.08.1942 r. został skazany na śmierć. Wyrok wykonano tego samego dnia. Według wystawionego aktu zgonu nr 21569/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 11:34, określenie przyczyny zgonu to „plötzlicher Herztod" (nagły zawał serca).

HOLEK PAWEŁ,
Urodzony ?, czwarta postać w komendzie PTOP, prowadził dział propagandowy, drukował pisemko „Zew Wolności" którego pierwszy numer ukazał się 11.07.1941 roku. W miarę rozrostu organizacji nakład pisemka, odbijanego na powielaczu, dochodził do 200 egzemplarzy, docierając także poza powiat rybnicki - do Pszczyny, Mikołowa i Bielska. Maszynę do pisania oraz aparat radiowy do nasłuchów, wykradziono w urzędzie gminnym w Kłokocinie, zaś powielacz zakupiono w Gliwicach na podstawie nielegalnie zdobytych zezwoleń. Zginął ostrzeliwując się z broni krótkiej (został zastrzelony) gdy w wyniku dekonspiracji PTOP gestapo przyszło przeprowadzać rewizję w jego domu.

JURASZCZYK PAWEŁ,
Urodzony 7.11.1924 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Mateusza i Klary z d. Fröhlich, mieszkaniec Gotartowic. Harcerz XIII Drużyny Harcerzy im. Henryka Sienkiewicza w Gotartowicach. Od rozpoczęcia się okupacji hitlerowskiej, zaangażowany w działalność organizacji konspiracyjnej PTOP. W związku z

[15] Policyjne więzienie zastępcze - Ersatzpolizeigefängnis w Mysłowicach, miało charakter śledczy i rozdzielczy. Przeciętnie więźniowie przebywali w nim do 3 miesięcy. W tym czasie kończyło się śledztwo i gestapo podejmowało decyzję co do rodzaju kary. Najczęściej mężczyzn wysyłano do obozów koncentracyjnych w Auschwitz, Gross-Rosen, Mauthausen, zaś kobiety do Auschwitz lub Ravensbrück.

dekonspiracją tej organizacji, aresztowany 13.06.1942 r. i przetransportowany wpierw do więzienia śledczego w Mysłowicach, a po śledztwie przesłany do KL Auschwitz, gdzie zginął 2.10.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 33996/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 19:15, określenie przyczyny zgonu to „beiderseitige Pneumonia" (obustronne zapalenie płuc).

KOCZTORZ BOLESŁAW,
Urodzony 8.04.1925 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Franciszki. Harcerz, wywiadowca w XIII Drużynie Harcerzy im. Henryka Sienkiewicza w Gotartowicach. W czasie okupacji hitlerowskiej, działał w ruchu oporu w szeregach PTOP, był kolporterem gazety „Zew Wolności". Aresztowany 13.06.1942 r. i wywieziony do więzienia śledczego w Mysłowicach, a następnie przetransportowany do KL Auschwitz, 17.07.1942 r. zarejestrowany w obozowej ewidencji jako więzień nr 47708. Zginął 5.09.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 28265/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 9:20, określenie przyczyny zgonu to Kachexie bei Darmkatarrh" (wyczerpanie przy katarze/nieżycie jelit).

KULA SYLWESTER,
Urodzony 31.12.1925 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Franciszka i Zofii z d. Fryhlich, mieszkaniec Gotartowic. Harcerz XIII Drużyny Harcerzy im. Henryka Sienkiewicza w Gotartowicach. Od powołania do życia PTOP, członek tej organizacji konspiracyjnej - kolporter podziemnego pisma „Zew Wolności". Aresztowany 13.06.1942 r., przetransportowany wpierw do więzienia śledczego w Mysłowicach, a po śledztwie przesłany do KL Auschwitz, 17.07.1942 r. zarejestrowany w obozowej ewidencji jako więzień nr 47706. Zginął 5.09.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 28225/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 10:10, określenie przyczyny zgonu to „Sepsis bei Phlegmone" (ogólne zakażenie przy flegmonie).

PODLEŚNY PAWEŁ,

Urodzony 17.05.1925 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Czesława i Berty z d. Szymura, mieszkaniec Gotartowic. Harcerz XIII Drużyny Harcerzy im. Henryka Sienkiewicza w Gotartowicach. Od powołania do życia PTOP, został aktywnym członkiem tej organizacji konspiracyjnej - kolporter prasy podziemnej „Zew

Wolności”. Aresztowany 13.06.1942 r. i przetransportowany do więzienia śledczego w Mysłowicach, a stamtąd do KL Auschwitz, 17.07.1942 r. zarejestrowany w obozowej ewidencji jako więzień nr 47714. Zginął 21.08.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 23694/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 8:55, określenie przyczyny zgonu to „akuter Magendarmkatarrh” (ostry katar/nieżyt żołądkowo-jelitowy).

SOJKA WALENTY,
Urodzony 1.02.1920 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Franciszka i Leopoldy z d. Rojek, mieszkaniec Gotartowic, harcerz – przyboczny XIII Drużyny Harcerzy im. Henryka Sienkiewicza w Gotartowicach. Od początku okupacji hitlerowskiej działał w ruchu oporu w szeregach PTOP. Był kolporterem tajnej prasy „Zew Wolności”. Aresztowany i przetransportowany do KL Auschwitz, gdzie na posiedzeniu sądu doraźnego dnia 7.08.1942 odczytano mu wyrok kary śmierci. Wyrok wykonano w tym samym dniu. Według wystawionego aktu zgonu nr 21570/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 11:33, określenie przyczyny zgonu to „plötzlicher Herztod” (nagły zawał serca).

ŚPIEWOK BOLESŁAW,

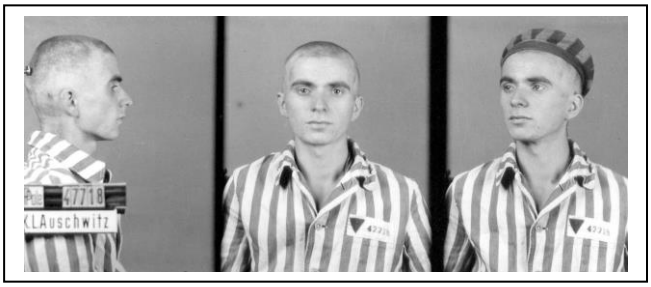

Urodzony 9.05.1924 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Mikołaja i Anny z d. Podleśny, mieszkaniec Gotartowic, uczeń żorskiego gimnazjum. Harcerz w XIII Drużynie Harcerzy im. Henryka Sienkiewicza w Gotartowicach. Od powołania do życia PTOP, działał w szeregach tej organizacji. Był współredaktorem gazetki podziemnej „Zew Wolności”. Aresztowany i przetransportowany wpierw do wiezienia śledczego w Mysłowicach, a po śledztwie przesłany do KL Auschwitz, 17.07.1942 r. zarejestrowany w obozowej ewidencji jako więzień 47718. Po wyroku policyjnego sądu doraźnego z dnia 4.09.1942 r. rozstrzelany 5.09.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 28110/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 10:40, określenie przyczyny zgonu to „Nierenentzündung” (zapalenie nerek).

KORDUŁA EDWARD,
Urodzony 16.09.1921 w Boguszowicach k/Rybnika, syn Roberta i Marty z d. Kula, mieszkaniec Boguszowic. Był harcerzem XVII Drużyny Harcerzy im. Karola Chodkiewicza w Boguszowicach. Z chwilą rozpoczęcia okupacji hitlerowskiej, zaangażował się w działalność konspiracyjną w organizacji PTOP

– kierował organizacją w rejonie Boguszowic. Aresztowany 13.06.1942 r. i przewieziony do więzienia śledczego w Mysłowicach, a po śledztwie przesłany do KL Auschwitz. Na posiedzeniu sądu doraźnego w dniu 7.08.1942 r skazany na śmierć – zginął tego samego dnia. Według wystawionego aktu zgonu nr 21563/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 11:40, określenie przyczyny zgonu to „plötzlicher Herztod" (nagły zawał serca).

STEJER BENEDYKT,
Urodzony 11.05.1924 r. w Rybniku-Ligocie, syn Jerzego i Margarity, mieszkaniec Rybnika-Ligoty. Harcerz III Drużyny ZHP im. Stefana Żółkiewskiego w Ligocie. Od rozpoczęcia się okupacji hitlerowskiej, uczestniczył w ruchu oporu w szeregach PTOP. Aresztowany 18.06.1942 r. i przetransportowany wpierw do więzienia śledczego w Mysłowicach, a po śledztwie przesłany do KL Auschwitz gdzie zginął 7.08.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 21567/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 11:36, określenie przyczyny zgonu to „plötzlicher Herztod" (nagły zawał serca).

Oprócz tych wymienionych z imienia i nazwiska młodych ludzi - harcerzy, rozstrzelano lub uśmiercono kilkunastu starszych mieszkańców Gotartowic – byłych powstańców:

FRELICH LUDWIK,
Urodzony 4.08.1889 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Leopolda i Franciszki z d. Prehalla, mieszkaniec Gotartowic. Członek POW Górnego Śląska, uczestnik powstań śląskich w batalionie Nikodema Sobika. Z nastaniem okupacji hitlerowskiej działał w ruchu oporu w szeregach PTOP. Aresztowany w nocy z 22 na 23.05.1942 r. i wraz z innymi członkami rodziny przetransportowany do więzienia śledczego w Mysłowicach, a po zakończonych przesłuchaniach przesłany do KL Auschwitz. 7.08.1942, decyzją sądu doraźnego skazany został na karę śmierci. Wyrok wykonano tego samego dnia. Według wystawionego aktu zgonu nr 21572/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 11:31, określenie przyczyny zgonu to „plötzlicher Herztod" (nagły zawał serca).

SOBIK ALOJZY,

Urodzony 17.06.1900 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Antoniego i Ludwiki z d. Szymura, mieszkaniec Gotartowic. Aresztowany i przetransportowany wpierw do więzienia śledczego w Mysłowicach, a po śledztwie przesłany do KL Auschwitz, 17.07.1942 r. zarejestrowany w obozowej ewidencji jako więzień nr 47717. Zginął w tym obozie 14.08.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 20348/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 22:45, określenie przyczyny zgonu to „Herzschwäche bei Darmkatarrh" (niewydolność serca przy katarze/nieżycie jelit).

TKOCZ JÓZEF,
Urodzony 7.02.1889 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Franciszka i Leopoldyny, mieszkaniec Gortatowic. Aresztowany i przetransportowany do KL Auschwitz. Zginął 7.08.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 21571/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 11:32, określenie przyczyny zgonu to „plötzlicher Herztod" (nagły zawał serca).

Bezwzględny okupant nie szczędził też kobiet – aresztowane więc zostały:

Anna Liszkowa z d. Frelich i inne kobiety – brak informacji o przeżyciach tych osób.

BUCHALIK FRANCISZKA z d. DZIWOKI,
Urodzona 22.01.1900 r. w Gotartowicach k/Rybnika, córka Franciszka i Joanny z d. Steuer, żona Wilhelma, matka Franciszka i Ernesta. Działaczka Koła Przyjaciół Harcerstwa w Gotartowicach. Od początku działalności PTOP, bardzo aktywnie zaangażowała się w działalność tej organizacji konspiracyjnej. W wyniku częściowego rozpracowania struktur organizacji przez gestapo, została aresztowana i przewieziona do więzienia śledczego w Mysłowicach, a po śledztwie przesłana do KL Auschwitz, 15.09.1942 r. zarejestrowana w obozowej ewidencji jako więźniarka nr 19714. Zginęła 16.10.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 36288/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarła o godz. 9:55, określenie przyczyny zgonu to „akuter Magendarmkatarrh" (ostry katar/nieżyt żołądkowo jelitowy).

Zginęli ojcowie niektórych harcerzy:

BUCHALIK JÓZEF,

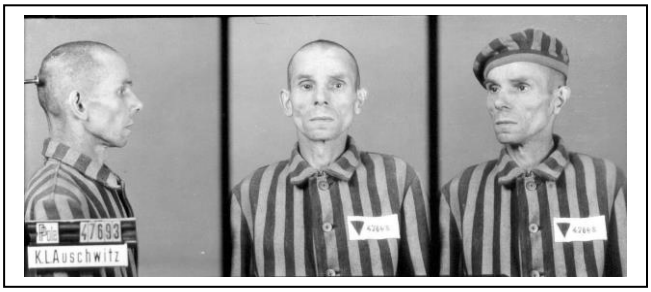

Urodzony 4.07.1894 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Franciszka i Joanny z d. Sobik. Aresztowany w okresie okupacji hitlerowskiej, jako podejrzany o wspomaganie ruchu oporu. Przetransportowany do więzienia śledczego w Mysłowicach, a po śledztwie przesłany do KL Auschwitz, 17.07.1942 r. zarejestrowany w obozowej ewidencji jako więzień nr 47693. Zginął w tym obozie 5.09.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 28126/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 20:35,

BUCHALIK WILHELM,
Urodzony 25.12.1897 r. w Gotartowicach k/Rybnika, mieszkaniec tejże miejscowości, ojciec Franciszka i Ernesta. Członek POW Górnego Śląska, były powstaniec – uczestnik trzech powstań śląskich, działacz ze strony Polski w agitacji plebiscytowej. Został aresztowany w kilka dni po wkroczeniu wojsk hitlerowskich na ziemię rybnicką tj. we wrześniu 1939 r. i wywieziony do więzienia w Bydgoszczy. Tam, na wieść o publicznej egzekucji synów, zmarł na atak serca 27.10.1942 r.

HOLEK ALOJZY,
Urodzony 16.12.1898 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Ignaca i Franciszki z d. Kroll, mieszkaniec Gotartowic, ojciec Pawła Holka. Aresztowany i przesłany do KL Auschwitz, gdzie zginął 7.08.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 21568/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 11:35, określenie przyczyny zgonu to „plötzlicher Herztod” (nagły zawał serca).

PODLEŚNY CZESŁAW,
Urodzony 16.07.1901 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Wiktora i Albiny Fröhlich, mieszkaniec Gotartowic. Członek POW Górnego Śląska, powstaniec – uczestnik powstań śląskich. Aresztowany i przetransportowany do KL Auschwitz, gdzie zginął 25.08.1942 r. Według wystawionego aktu zgonu nr 25202/1942 – potwierdzonego przez lekarza obozowego, zmarł o godz. 9:15, określenie przyczyny zgonu to „Herz - und Kreislaufschwäche” (niewydolność serca i układu krążenia).

KULA FRANCISZEK,
Urodzony 21.01.1900 r., mieszkaniec Gotartowic k.Rybnika, ojciec Sylwestra. Członek POW Górnego Śląska, były powstaniec – uczestnik powstań śląskich. Aresztowany w pierwszych dniach okupacji hitlerowskiej i przetransportowany do KL Mauthausen, gdzie zginął 8.01.1945 r.

LISZKA KONSTANTY,
Urodzony 5.03.1913 r. w Gotartowicach k/Rybnika, syn Antoniego i Karoliny z d. Przylniok, zamieszkały w Gotartowicach k.Rybnika. Aresztowany i przetransportowany do KL Auschwitz. Wyrokiem sądu doraźnego 7.08.1942 r. skazany na śmierć i wyrok ten wykonano tego samego dnia. Według wystawionego aktu zgonu nr 21573/1943 – potwierdzonego przez lekarza

obozowego, zmarł o godz. 11:30, określenie przyczyny zgonu to „plötzlicher Herztod” (nagły zawał serca).

Myślą przewodnią w pisaniu o Męczennikach obozów koncentracyjnych pochodzących z Rybnicka i okolic, jest cytat z książki mojego wspaniałego nauczyciela Innocentego Libury:[16] *„Gdy ostatni już z nich odchodzą od nas, niech te kartki przekażą nowym pokoleniom pamięć o nich i o wartościach duchowych, które wypracowali, równie cennych jak materialne skarby tej ziemi”* (śląskiej ziemi – moje dopowiedzenie).

Bibliografia: I. Pająk *Mieszkańcy Śląska, Podbeskidzia, Zagłębia Dąbrowskiego w KL Auschwitz,* Katowice 1998, L. Musiolik *Rybniczanie słownik biograficzny,* Rybnik 2000; L. Musiolik *Od Związku Powstańców Śląskich do Związku Kombatantów RP; Rybnik. Zarys dziejów miasta od czasów najdawniejszych do 1980 r.* red. J. Walczak, Katowice 1986; A. Mrowiec *Z dziejów okupacji hitlerowskiej w rybnickiem*, Katowice 1958; I. Libura *Z dziejów domowych powiatu – gawęda o ziemi rybnickiej,* Opole 1984; *Ziemia rybnicko-wodzisławska, pod red. J. Ligenzy*, Katowice 1970; J. Klistała *Działacze rybnickiego ZWZ/AK w obozach koncentracyjnych*, Bielsko-Biała 2002;. APMA-B *Księga zgonów*; J. Delowicz *Żory - ludzie i wydarzenia,* rok 1999 r. ; Zbiory archiwum domowego J. Delowicza; M. Brzost *Rybnicki Inspektorat Armii Krajowej*, Katowice 1995.

[16] I. Libura *„Z dziejów domowych powiatu – gawęda o ziemi rybnickiej”,* Opole 1984,

Zjedzą kruki nasze kości?
Czy musimy być zgładzeni?
Powiedz, gdzie kres doczesności –
Panie, łaknę ja wolności
i słońca ojczystej ziemi.
wiersz:**Oświęcim**
autorka: Ruth K. Klüger

CHROBOT WINCENTY,
Więzień KL Auschwitz nr 108546.

CHROBOT WINCENTY,
Urodził się 20.01.1910 r. Z zawodu kierowca. Mimo że spotykaliśmy się bardzo często i to od 1939, niewiele zdobyłem informacji życiorysowych ponad to, co powyżej zapisałem zaledwie w jednej linijce.

Wspominam ostatnie dni sierpnia 1939 r., gdy Wincenty Chrobot wywoził swoją żonę, teściową, szwagierkę, moją mamę i mnie poza Rybnik do Iłownicy (koło Bielska), gdzie mieliśmy „przeczekać" działania wojenne związane z przewidywanym wkroczeniem wojsk hitlerowskich do Polski. Liczyłem wówczas zaledwie 4 lata, niemniej zapamiętałem, że był wyjątkowo komunikatywnym człowiekiem, roztaczającym w koło siebie „fluidy" wręcz anielskiego spokoju, dobroci, delikatności, i chęci niesienia pomocy innym.

Także w czasie okupacji, spotykaliśmy się, gdyż jako kierowca u Niemieckiego przedsiębiorcy Mężyka, często zabierał na przejażdżki samochodowe syna Stanisława Sobika - Mariana (mojego kuzyna) i mnie. Był mężem siostry Stanisława Sobika.

W działalność konspiracyjną zaangażował się natychmiast po założenia Związku Walki Zbrojnej przez Jego szwagra Stanisława Sobika. W swoim pamiętniku, Józef Sobik (brat Stanisława) tak wspomina pewien wycinek konspiracyjnej działalności, w której udział brał Chrobot:

„Gdy latem była słoneczna pogoda, całą rodziną wybieraliśmy się na niedzielne wycieczki poza miasto, do lasu lub nad wodę. Spotykaliśmy się tam z naszymi dobrymi znajomymi, ale dla nas nie były to zwyczajne wycieczki. Przede wszystkim dlatego, że organizował je Staszek! Szwagier Wincenty Chrobot wypożyczał od swojego szefa, bardzo przychylnego Polakom - Niemca, duży walizkowy aparat radiowy na baterie. Byliśmy przekonani, że walizka taka przy dużym koszu z jedzeniem nie będzie wzbudzała podejrzeń. Radia słuchaliśmy w ustronnym miejscu, dobrze zamaskowanym drzewami lub krzewami, a gdy zbliżała się jakaś niepożądana osoba, wyłączaliśmy radioodbiornik i udawaliśmy ożywioną rozmowę. Radio bardzo dobrze odbierało szczególnie dla nas ważną rozgłośnię londyńską. Dzięki temu także na wycieczkach, uzyskiwaliśmy dodatkowe informacje o tym, co dzieje się w Europie."

Okazało się w trakcie przesłuchań w Politische Abteilung[17] w KL Auschwitz, że i te wycieczki były śledzone przez Niemieckich szpicli.

Poza wymienionym wyżej nasłuchem radiowym, Chrobot często przewoził samochodem nie tylko towary swojego pracodawcy, ale i materiały wybuchowe, broń oraz amunicję. Dostarczał je w różne wyznaczone miejsca, gdzie miały być wykonywane akcje sabotażowe lub akcje z użyciem broni.

Niemcy dobrze poinformowani o takiej działalności Chrobota - według donosów Zientka, po aresztowaniu Go w okolicy Żor, znęcali się nad nim, wymuszając zeznania już w trakcie przewozu na gestapo w Rybniku. Znowu powołam się na wspomnienia Józefa Sobika o okolicznościach tego

[17] Politische Abteilung – wydział polityczny (obozowe gestapo).

aresztowania – gdyż Józef zmuszony został przez gestapowców do uczestniczenia w poszukiwaniu Wincentego:

„Zapytano mnie tam (na gestapo w Rybniku – przyp. J.K.) *dla formalności o dane personalne i jakieś mało istotne sprawy dotyczące ojca i matki, aż wreszcie zagadnięto o szwagra Wincentego Chrobota. Był on kierowcą samochodu ciężarowego w hurtowni, której właścicielem był Mężyk. Odpowiedziałem Niemcom, gdzie Wincenty pracuje, i musiałem wraz z nimi tam pojechać. Na miejscu okazało się, że Chrobot pojechał z ładunkiem w okolice Żor. Odnaleźliśmy go wreszcie w Rowniu przed Żorami, gdzie rozładowywał towar. Kolbe wysiadł z samochodu i podszedł do niego. Nie słyszałem toczącej się między nimi rozmowy, ale po chwili Wincenty znalazł się na siedzeniu koło mnie, z rękami także skutymi kajdankami. Już w czasie jazdy do Rybnika Kolbe rozpoczął przesłuchiwanie Chrobota. Zadawał mu pytania o działalność organizacji. Wincenty oczywiście nie przyznawał się do niczego. Swoją postawą rozwścieczył Kolbego do tego stopnia, że ten wyciągnął pistolet i wpierw groził mu, że go zastrzeli, a później zaczął go bić po głowie rękojeścią pistoletu.”*

Po przyjeździe do rybnickiego gestapo, zostali na moment rozdzieleni z Józefem Sobikiem. Nie wiadomo jakie metody pośpiesznego przesłuchiwania stosowano wobec Wincentego. Jest jedynie kolejna informacja, że wraz z innymi wyprowadzanymi aresztantami z rybnickiego gestapo, musiał zająć miejsce na skrzyni załadunkowej samochodu ciężarowego, którym wywieziono wszystkich dnia 13.02.1943 r. z Rybnika do KL Auschwitz. Był bardzo bity podczas śledztwa w Politische Abteilung, o czym dowiedziałem się od Zofii Sobik i Józefa Sobika.

Po przesłuchaniach - w Politische Abteilung, w dniu 16.03.1943 został przekazany na pobyt w obozie i po formalnościach rejestracyjnych został więźniem nr 108546.

Po zakończeniu okresu kwarantanny, bardzo często spotykał się ze szwagrami Józefem i Stanisławem Sobikami a także innymi więźniami z Rybnika. Równie boleśnie – jak Józef, przeżywał śmierć szwagra Stanisława, rozstrzelanego dnia 25.06.1943 pod Ścianą Straceń.

Był uczestnikiem „marszu śmierci” w ostatniej kolumnie ewakuacyjnej jaka opuszczała obóz KL Auschwitz i udawała się do Wodzisławia Śląskiego. Tam po załadunku wraz z innymi więźniami do wagonów towarowych, przewieziony został do KL Mauthausen, i tam 25.01.1945 r. zarejestrowany był jako więzień nr 117629.

Wyzwolony przez wojska alianckie, wrócił do rodzinnego Rybnika, nadal pracował jako kierowca, i - … znowu spotykaliśmy się od czasu do czasu. Mimo tak okropnych przeżyć obozowych, z usposobienia był tym samym człowiekiem – dobrym i serdecznym. Zmarł w 1967 r.

Na zdjęciu – Wincenty Chrobot po powrocie z obozu w towarzystwie teściowej Wiktorii Sobik oraz szwagierki (także byłej więźniarki) Zofii Sobik.

Na świat można patrzeć
przez:
powiększające szkła zdumienia
pomniejszające szkła zwątpienia
przez palce przez łzy
czarne niebieskie i różowe okulary
dziurkę do klucza
szkiełko do zaćmienia słońca
lufę karabinu
tysiące pustych okularów
muzeum Oświęcimia

wiersz: **PUNKT WIDZENIA**
autor: HENRYK JASICZEK

FROS ALOJZY,

Więzień KL Auschwitz nr 136223, KL Oranienburg, KL Sachsenhausen nr 115773, KL Buchenwald nr 96935.

FROS ALOJZY,

W dniu 20.03.2001 Alojzy Fros podczas rozmowy telefonicznej zgodził się ze mną porozmawiać o wydarzeniach okupacyjnych i obozowych. Entuzjazm mój został jednak nieco ostudzony, gdyż po przyjeździe do Pana Frosa - do domu, usłyszałem zastrzeżenie, że chyba nie uzyskam przez tę rozmowę więcej informacji ponad to, co usłyszałem od Karola Miczajki, oraz nieżyjących już Józefa Sobika i Ruperta Urli. Gdy jednak zacząłem wypytywać o pewne interesujące mnie szczegóły, narastał we mnie podziw dla mego rozmówcy.

Dowiedziałem się o sprawach związanych z ZWZ/AK z Rybnika i Stanisławie Sobiku więcej, aniżeli wstępnie oczekiwałem. Alojzy Fros był bliskim kolegą Stanisława Sobika, znał osobiście mojego ojca i Franciszka Ogona - o którym do owego spotkania niewiele mogłem się dowiedzieć.

Rozstawałem się z Panem Frosem, z uczuciem wielkiej sympatii do przedstawiciela pokolenia moich rodziców, pokolenia reprezentującego wyjątkowo szlachetne wartości. Ileż wyzwala się w sercu szacunku do takich osób, od których patriotyzm najczystszej miary, wartości moralne, kultura bycia, inteligencja, tak mocno emanują, a przez okazywaną skromność rozmówcy, zyskują wielkość, do której jakże wiele osób, mimo usilnych zabiegów, nie może dojść w żaden sposób!

Alojzy Fros wręczył mi pamiętnik, w którym dosyć drobiazgowo zostały zapisane Jego okupacyjne przeżycia. Podkreślam zarazem, że treść pamiętnika, była dokładnym zapisem tego, co zostało mi opowiedziane przez autora. Niestety, nie otrzymałem zgody na opublikowanie całego pamiętnika, a jedynie jego fragmentów dotyczących ZWZ/AK i Oświęcimia – więc szanując wolę Pana Alojzego Frosa, przedstawiam niniejsze opracowanie oparte o poczynione skróty.

*

Wprawdzie nie poprosiłem wprost Pana Frosa o dane życiorysowe, korzystam więc z tego, co zapisał Longin Musiolik w książce pt.: *Rybniczanie - słownik biograficzny*:

„Fros Alojzy, ur. 5.12.1916 r. w Rybniku. Uczeń Państwowego Gimnazjum w Rybniku, w którym zdał maturę w 1937 r. Ukończył podchorążówkę w Cieszynie. Uczestnik kampanii wrześniowej 1939 r. Z nastaniem okupacji hitlerowskiej uczestnik ruchu oporu w ZWZ, członek kierownictwa w rejonie rybnickim. Aresztowany w czerwcu 1943 r. przez gestapo. Więziony w Oświęcimiu. Po wyzwoleniu pracownik umysłowy w Hurtowni „Społem” w Rybniku, następnie w Przedsiębiorstwie Zaopatrzenia Górniczego i kopalni „Jankowice”, skąd przeszedł na emeryturę. Działacz społeczny. Członek Związku Kombatantów R.P.”.

W wyniku oznak zwiastujących wybuchu wojny niemiecko-polskiej w 1939 r. Alojzy Fros w lipcu 1939 r. powołany został do wojska, do 3 Pułku Strzelców Podhalańskich (w skrócie PSP) w Bielsku. Jako plutonowy podchorąży, został dowódcą plutonu w 4 kompani II batalionu. Dowódcą 21 Dywizji był generał Kustroń. Czwarta kompania 3 PSP rozlokowana została na linii Wapienica - Jaworze, w rejonie będących w budowie betonowych umocnień. Dnia 29 sierpnia otrzymał rozkaz zorganizowania obrony w zabudowaniach fabryki „LENKO" w Bielsku. W dniu 2 września, a wiec już po pierwszych starciach z wojskami niemieckimi, bataliony 4 PSP wycofywały się od strony Cieszyna - w kierunku Bielska, doznawszy dotkliwych strat. W godzinach popołudniowych 3 września, dowódca plutonu – Alojzy Fros, otrzymał rozkaz udania się z plutonem do Śródmieścia, w którym miejscowa - piąta kolumna, rozpoczęła strzelaninę. W trakcie przemieszczania się oddziału do Śródmieścia, otrzymał nowy rozkaz – nie wkraczania do Śródmieścia, lecz powrotu do poprzedniego miejsca pobytu. Tego też dnia - nocą, drogą ze starego Bielska na szosę Bielsko - Kozy - Kęty wycofywali się z miasta (zaś cała dywizja wycofywała się z obszaru Bielska).

Ciągle ostrzeliwani, walczyli pod Radłowem - o przeprawę przez Dunajec, następnie nad Tanwią. 14 września zluzowali I batalion 4 PSP - ubezpieczający przeprawę pod Księżpolem. Dnia 16 września poległ dowódca dywizji generał Kustroń. Resztki batalionu Alojzego Frosa wymykały się próbującym ich otoczyć oddziałom niemieckim. Wycofywali się w kierunku Tomaszowa Lubelskiego, natomiast 21 września zostali otoczeni i rozbici w pobliżu wsi Zielona. Według zapisów historyków, 22 września skapitulowało całe dowództwo Armii Kraków, w skład której wchodziła 21 DPG. Wypieranie przez wojska niemieckie, trwało więc do 21.09.1939 r.

Zdając sobie sprawę, że wojna jest przegrana i żołnierze dostaną się do niewoli, Alojzy Fros wydostawszy się z okrążenia (koło wsi Zielona), zaczął się przedzierać na zachód. W jakiejś zagrodzie chłopskiej zamienił mundur na odzież cywilną i następnie szczęśliwie dotarł do Krakowa, a stąd pod Mysłowice. W Mysłowicach, podczas kontroli dokonanej przez niemiecki patrol na moście nad Przemszą, został zatrzymany i odprowadzony do tamtejszego więzienia, a po kilku dniach wraz z dużą grupą więźniów wagonami kolejowymi przetransportowano Go do Stalagu VIII B w Kunowicach pod Żaganiem.

Był październik 1939 r., noce z przymrozkami, a tysiące jeńców „zakwaterowanych" zostało pod namiotami, z miejscami noclegowymi na bardzo cienkiej warstwie słomy, wyżywienie składało się z kromki chleba i kartofli w mundurkach.

Dzięki znajomości języka niemieckiego w mowie i piśmie Alojzy Fros zaangażowany został do pracy w stalagowskim urzędzie pracy. Urząd ten zorganizowano w barakowozach pomiędzy podwójnym „osiatkowaniem". W barakowozie rejestrowano jeńców wojennych i przygotowywano ich wysyłkę w zorganizowanych grupach do fabryk, czy gospodarstw rolnych w Niemczech.

Po paru tygodniach, wraz z kilkoma innymi jeńcami, został zwolniony ze stalagu i wrócił w listopadzie 1939 r. z Kunowic przez Wrocław i Katowice do Rybnika. Rodzina była wysiedlona z mieszkania służbowego jakie przed wojną otrzymał ojciec z tytułu zatrudnienia w Komunalnej Kasie Oszczędności w Rybniku. Zaczęło się życie w kraju pod terrorem okupanta, mimo że Śląsk włączony do Rzeszy nie był traktowany jako kraj okupowany i pod pewnymi względami życie na tym terenie było bardziej unormowane. Otrzymywał karty żywnościowe przysługujące Polakom, przydziały były okrojone, ale jednak przydziały jakkolwiek skromne, to były stałe i terminowe, i można je było realizować w miejscowych sklepach.

W początkach 1940 r. przyszedł do Alojzego Frosa starszy kolega gimnazjalny Stanisław Sobik i po krótkiej rozmowie oznajmił, że działa w organizacji podziemnej i proponuje Alojzemu współpracę. Tak zaczęła się jego działalność w Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), a następnie w Armii Krajowej (AK). Zaprzysiężony osobiście przez Stanisława Sobika, zaczął pełnić funkcję oficera broni w organizowanej kompanii. Ze względów bezpieczeństwa, konspiratorzy spotykali się stosunkowo rzadko. Podczas spotkań w grupie 5 osobowej, dzielili się wiadomościami, omawiali sprawy organizacyjne, przygotowując się do zbrojnego powstania przeciw okupantowi.

W tym samym, początkowym okresie 1940 r., wezwany został do miejscowego Urzędu Pracy „Arbeitsamt", i skierowany do pracy w firmie „Georg Maciejewski - Tief und Oberbau", która przebudowywała zwrotnice i tory na rybnickim dworcu, a następnie układała tory kolejowe na trasie Rybnik - Niedobczyce. Pierwsze dni pracy były bardzo ciężkie, ze względu na nieprzyzwyczajenie do fizycznej pracy. Najgorsze było wyładowywanie szutru z wagonów nie posiadających bocznych drzwi względnie klap. Dotarcie „gablą" (widłami) do podłogi wagonu, wymagało wielkiego wysiłku. Był jednak młodym i zdrowym mężczyzną, więc po krótkim czasie nabrał wprawy do tego stopnia, że pracujący w grupie polscy kolejarze i inni życzliwi „sztudyntom" - jak ich nazywali, zaczęli upominać, by nie „szpanowali roboty"[18]. Firma Maciejewskiego w której był zatrudniony do kwietnia 1943 r. (do dnia aresztowania), wykonywała prace na terenie Rybnika, następnie w Rydułtowach przy budowie toru w odbudowanym tunelu, a w 1941 r. i 1942 r. w Nędzy – której nazwę zmieniono na Buchenau. Pod koniec 1942 r. i w 1943 r. wykonywała prace w Karwinie.

Któregoś dnia 1941 r. (gdy firma wykonywała prace w Nędzy) syn właściciela firmy zapytał Frosa czy potrafi gotować. Odpowiedziawszy że jeszcze tego nie robił, ale może spróbować, zatrudniony został jako kucharz. Chodziło o wykonywanie posiłków dla jeńców wojennych, którzy następnego dnia mieli przybyć do firmy. Posiłki te składać się miały z zupy gotowanej na kuchni polowej. Ugotowana pierwsza gęsta kartoflanka na kościach była tak

[18] W żargonie – nie okazywać możliwości wykonywania więcej, ponad ustaloną normę.

smaczna – sprawdzona przez samego syna właściciela firmy, jak i 50 jeńców angielskich, australijskich, że został kucharzem w firmie.

Z biegiem czasu, szef firmy nabrał do Frosa takiego zaufania, że dawał Mu asygnaty na przydzielone jeńcom racje żywnościowe. Dokonywał więc zakupy, ustalał jadłospis i wydawał racje jeńcom, z którymi wszedł w komitywę, i z którymi się zaprzyjaźnił. Wyjaśniając im, że także jest przymusowym pracownikiem, dostarczał im bieżących wiadomości oraz załatwiał nielegalne zakupy, polegające na handlu zamiennym, gdyż jeńcy z otrzymywanych paczek z Czerwonego Krzyża, wymieniali szereg artykułów - na nabiał. Późną jesienią jeńcy ci wrócili do obozu macierzystego w Łambinowicach, a w następnym sezonie, przybyło 50 jeńców angielskich, tym razem Żydów z różnych krajów, którzy przed wybuchem wojny, jako zdeklarowani Syjoniści wyjechali do Palestyny, a po umowie z Anglią utworzyli legion żydowski walczący po stronie aliantów w Grecji - pod Olimpem, i tam dostali się do niewoli niemieckiej. Traktowani byli tak, jak jeńcy angielscy. Wśród wymienionych było dwóch polskich Żydów - Goldberg krawiec z Warszawy i drugi, którego nazwiska nie zapamiętał - z Sosnowca. Z nimi znowu szybko się zaprzyjaźnił. Dwukrotnie udawał się do getta w Sosnowcu dostarczając żonie jeńca z Sosnowca przygotowane przez niego paczki. Rabinowiczowi z Litwy (sierżantowi), dostarczył ubranie cywilne, ale nie wiadomo czy udało mu się zbiec. W kuchni pracował z nim Lański - syn rabina z kresów wschodnich, z którym nawiązał po kilkudziesięciu latach kontakt listowy. Lański przeżywszy okupację osiadł w Natanii w Izraelu. Goldberg - warszawski krawiec mawiał zwykle do Frosa: „ja mam dwie ojczyzny - jedna to Palestyna, a druga to Polska”. Jesienią i ci jeńcy wrócili do macierzystego obozu w Łambinowicach i kontakt z nimi się urwał.

Pod koniec 1942 r., firma przeniosła się do Karwiny, a wraz z nią Alojzy Fros. W Karwinie, zamiast jeńców wojennych skierowano do pracy w firmie więźniarki i więźniów z cieszyńskiego więzienia. Byli to w większości Polacy, ale i Czesi skazani na krótkotrwałe więzienie za takie wykroczenia, jak nielegalne przekraczanie granicy, szmugiel, drobne kradzieże itp. Pełniąc nadal funkcję aprowizatora i zarazem kucharza, Fros miał stałą łączność z więźniami.

Skracam relację z dosyć skomplikowanych wydarzeń, podczas których z powodu „zawiści” dozorcy więziennego z Cieszyna, Alojzy Fros został aresztowany przez gestapo. Oskarżenie zostało spreparowane, a dotyczyło zarzutu wysłania przez Frosa kartki pocztowej z Bohumina, z prowokacyjną treścią: *„das neue Polen wird die Rache fordem, es wird brennen und knalen und alle werden frei”*, co po przetłumaczeniu znaczy: *„nowa Polska zażąda zemsty, będą pożary i strzelanina i wszyscy będą wolni”*. Rzecz była między innymi oparta o takie argumenty, że otrzymawszy od szefa firmy zezwolenie na spędzenie świąt wielkanocnych w domu w Rybniku, Alojzy wracając z Rybnika do Karwiny, miał możliwość wysłania owej kartki pocztowej w Bohuminie.

Fros został zaprowadzony przez szupoka na posterunek policji, a stamtąd na gestapo w Cieszynie. Umieszczono go w celi o rozmiarach nie większych niż 2,5 x 2,5m z cementową posadzką, bez żadnego sprzętu, z rękami

skutymi „od tyłu”. Z nie zdjętymi kajdankami musiał przetrwać na cementowej posadzce celi - do dnia następnego.

Rano zaprowadzono Go do pokoju, w którym za biurkiem siedział mężczyzna w średnim wieku i zaczęło się przesłuchanie.

Oto fragment z pamiętnika A. Frosa:

„Zapytał, czy to ja pisałem kartkę. Zaprzeczyłem. Wówczas z krzykiem powiedział, że zbadano charakter pisma i że nie ma wątpliwości, że ja jestem autorem kartki. Ponownie zaprzeczyłem. Wówczas zbliżył się do mnie znacznie młodszy funkcjonariusz i na pytanie „pisałeś to” i moje zaprzeczenie, uderzył mnie na odlew dłonią, czy pięścią w twarz. Pytanie zaczęło się powtarzać i za każdorazową przeczącą odpowiedzią potężne uderzenie. W pewnym momencie oprawca powiedziawszy: „mich tut schon die Hand veh!” - mnie już boli ręka, ubrał skórzaną rękawicę i razy zaczęły się powtarzać. Kiedy znalazłem się już pod ścianą - po uderzeniu cofałem się do tyłu, uświadomiłem sobie, że z rąk gestapo już się nie wydostanę, a za anonim mnie nie powieszą. Po kolejnym pytaniu skinąłem głową. Natychmiast zaprzestano bicia, podprowadzono mnie pod biurko, za którym siedział przesłuchujący mnie, podstawiono krzesło, zaproponowano papierosa, a przesłuchujący odezwał się w te słowa naturalnie po niemiecku: „popełnił Pan głupstwo i poniesie Pan karę, ale co wie Pan o podziemnej organizacji, przecież Pan jako polski oficer specjalnie się do tej pracy nadaje, co Pan wie o organizacji”. Odpowiadałem na to i tym podobne pytania, że owszem słyszałem o organizacji, ale osobiście byłem do tego rodzaju działalności negatywnie ustosunkowany, gdyż byłem świadkiem naszej klęski w 1939 r. i sądzę, że tego rodzaju działalność narażona jest na ofiary, i nie ma możliwości dokonania czegokolwiek, a o organizacji słyszałem w czasie aresztowań. Tego rodzaju rozmowy i dociekania trwały z przerwami dwa dni. Po dwóch dniach odwieziono mnie do cieszyńskiego więzienia i osadzono w dwuosobowej celi.”

W tej celi więziennej, zastał aresztanta – Słowaka. Aresztant ów okazał Frosowi wiele serca, pouczając jak się zachować w więzieniu. Warunki w więzieniu były dosyć znośne. Obowiązywał codzienny rytuał: rano około godziny 6:00 była pobudka, mycie, odbiór odzieży - którą na okres nocy należało ułożyć na taborecie w korytarzu przed celą, wynoszenie „kibla”, czyszczenie celi i „kibla”. Śniadanie składało się z dwóch kromek chleba z kawałkiem margaryny lub łyżką marmolady. Po śniadaniu trzeba było pracować. W każdy poniedziałek dostarczano do celi wór ze skrawkami celofanu. Z tych skrawków splatano warkocze o średnicy 2-3 cm, a w oddziale kobiecym zszywano warkocze, wykonując w ten sposób torby na zakupy. Norma wynosiła 7 mb warkocza na dzień. Po nabraniu wprawy, wykonywanie normy nie stanowiło większego problemu. Raz w tygodniu następował odbiór wykonanych splotów przez cywilnego majstra z firmy, z którą więzienie zawarło odpowiednią umowę. Po wykonaniu pracy był wolny czas, a że raz w tygodniu więzień bibliotekarz roznosił do wypożyczenia książki, Fros skwapliwie korzystał z tej możliwości i czytał dużo książek. Po obiedzie, najczęściej

składającym się z gorącej zupy, o godzinie 17:00 następował apel. Wówczas do celi wchodził „wachmaister", któremu zdawało się raport z obsady celi, a on zaopatrzony w młotek na długim „sztylu" opukiwał kraty, kontrolując, czy są całe (nie nadpiłowane). O godzinie 18:00 wydawana była kolacja, podobna ilościowo i jakościowo do śniadania. O godzinie 21:00 obowiązywał capstrzyk, czyli wynoszenie odzieży na korytarz, gasło światło - poza małą żarówką nad drzwiami, rozjaśniającej w takim stopniu wnętrze celi, że wartownik przez „judasza" mógł obserwować aresztantów.

Po około dwóch tygodniach pobytu w cieszyńskim więzieniu, wywołany został przez strażnika i wepchnięty do celi, w której za stolikiem siedział gestapowiec prowadzący śledztwo w asyście drugiego gestapowca z olbrzymim owczarkiem obok. Po wejściu Frosa, prowadzący śledztwo ryknął: *„Fros warum haben Się gelogen" – „Fros dlaczego oszukiwałeś".* Na pytanie to odpowiedział, że nie oszukiwał, ale gestapowiec ciągnąc dalej wątek i zapytał*: „warum hat der Jaszek was anderes gesagt" – „dlaczego Jaszek co innego powiedział".*

Znowu posłużę się cytatem z pamiętnika, gdyż aresztowanie za „donos" zaczęło łączyć się z zarzutem o przynależność do organizacji konspiracyjnej:

„Ugięły się pode mną nogi, gdyż z Jaszkiem byliśmy aktywni w organizacji. Odpowiedziałem, że nie wiem, ale ja mówiłem prawdę. Na to gestapowiec popełniwszy w tym momencie błąd zapytał: „wer istr in Karwin an Sie getreten" – kto podszedł do Pana w Karwinie. Odetchnąłem, jako że w Karwinie nie miałem żadnych powiązań, a poprzednie stwierdzenia były bardzo sprytnym podejściem. Jaszek był mym najbliższym kolegą i widocznie w okresie, w którym miałem spokój w więziennej celi, cieszyńskie gestapo zebrało dane o mnie w gestapo rybnickim, w którym na szczęście nie byłem do tej pory spalony, a co nastąpiło niebawem. Ostatecznie gestapowiec kazał mi podpisać protokół, którego mi nie odczytał, a na koniec powiedział: „Fros wenn Sie gelogen haben da geht es Ihnen dreck fallen" - Fros jeżeli Pan oszukiwał to będzie z Pan biedny. Na tym skończył się mój pobyt w Cieszynie, bowiem po kilku dniach (było to już w maju), przetransportowano kilkunastu więźniów z Cieszyna częściowo do Katowic, częściowo do „Polizeilagru" w Mysłowicach."

Współwięzień z celi w Cieszynie - pochodził podobno z Lesznej i chyba był klerykiem, został ścięty w Katowicach za działalność w konspiracji na Zaolziu i Śląsku Cieszyńskim (ale o tym fakcie Fros dowiedział się znacznie później).

W Mysłowicach, więziony był celi nr 3, wyposażonej w metalowe piętrowe łóżka bez jakiejkolwiek pościeli, bez sienników, i spać trzeba było na metalowej siatce. Wzdłuż łóżek stały ławy, na których od rannego do wieczornego apelu trzeba było siedzieć z dłońmi na kolanach. Cela była ogromna i było w niej kilkudziesięciu więźniów, nad którymi pieczę sprawował „kalefaktor"[19] kryminalista i sadysta - były żołnierz Francuskiej Legii

[19] Kalefaktor – więzień funkcyjny.

Cudzoziemskiej, Ów sadysta nazywał się Sowa i pochodził podobno z rybnickich Niedobczyc.

Fros siedział w celi na ławce wraz z fanatycznym komunistą R. W. z Rybnika - z jednej strony, zaś z drugiej strony z ks. Hahnerem z Nadrenii, a pełniącym obowiązki kapłańskie przed aresztowaniem - w Orłowej na Zaolziu. Ksiądz aresztowany został za to, że w przedziale kolejowym po wejściu dwóch SS-manów, na ich *„Heil Hitler”* odpowiedział *„Gelobt Sie Jesus Christus”* – *„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”*.

Wracając do warunków więziennych, siedząc na ławce, nie wolno było rozmawiać, ale czasami, gdy kalefaktor wychodził z celi - oczywiście czynili to. Kalefaktor natomiast wychodził z celi, gdyż gestapo korzystało z jego „usług”, żeby znęcał się i katował przesłuchiwanych.

Zawarta znajomość z ks. Hahnerem, umożliwiła Alojzemu Frosowi jako katolikowi, spowiedź i przystąpienie do Komunii Św. Było to możliwe dzięki temu, że ksiądz pochodzący z Nadrenii, nawiązał kontakt z policjantem (Schupo) pełniącym w lagrze funkcję strażnika (także Nadreńczyka). Policjant także katolik, dostarczył ks. Hahnerowi komunikanty. Któregoś dnia, po północy, gdy większość więźniów spała, ksiądz Hahner w kąciku za łóżkami, odprawiał Mszę Św. Uczestniczyli w niej wtajemniczeni aresztanci. W otwartych drzwiach celi, wysłuchał także Mszy św. - pilnujący ich strażnik z Nadrenii.

Wartownikami byli zawodowi policjanci, którzy nie mogli odbywać służby wojskowej, więc pełnili służbę w policji. W nocy, gdy na korytarzu (z którego czworo drzwi prowadziło do cel ponumerowanych od 1 do 4) pełnił służbę policjant zmieniany co 2 godziny. Za protekcją ks. Hahnera, Fros zaczął pełnić całonocną służbę, polegającą na paleniu w piecu, a na wezwanie więźnia chcącego skorzystać z ubikacji i na skinienie wartownika, otwierał drzwi poszczególnych cel. Za tą „pracę” otrzymywał dodatkowo jedną chochlę zupy, a w ciągu dnia mógł się położyć. Poprzednik na tej funkcji pouczył Go, że wprawdzie pełniącym służbę policjantom nie wolno siadać, ale chętnie to czynią i że ma w tym celu postawić taboret koło pieca. I pomyśleć, że pełniąc tę funkcję po raz pierwszy, podłożywszy opału do pieca i ustawiwszy z obu stron po taborecie usiadł po jednej stronie, a po krótkiej chwili po drugiej stronie usiadł wartownik i spojrzawszy na Frosa zapytał w Śląskiej gwarze: *„jak ty się nazywosz”*? Kiedy otrzymał odpowiedź, wartownik kilka razy powtarzał na głos Jego nazwisko i zaraz ponownie zapytał – *„a skąd żeś jest”*? Kiedy dowiedział się że z Rybnika, wartownik w trakcie dalszej wymiany zdań, wyznał, że także ma powiązania rodzinne z tym miastem, że jest bratem żony rybnickiego wicestarosty. Mimo, że czuł się Polakiem został powołany i wcielony do „Schutzpolizei”. Tej samej nocy inny Szupok (był rybnickim Niemcem, który przed wrześniem 1939 r. uciekł do Niemiec i wstąpił do niesławnego „Freikorpusu”) dowiedziawszy się skąd Fros pochodzi i za co został aresztowany, nie mógł zrozumieć, że za anonim, którego nie był autorem. Powiedział: *„człowieku ty musisz to wyjaśnić, to jest niemożliwe w 3 Rzeszy”*.

Zaproponował, że jadąc w niedzielę do Rybnika, może pójść do jego rodziców i przywiezie mu potrzebne rzeczy. Fros prosił o płaszcz albo koc, gdyż noce były bardzo chłodne i trząsł się z zimna.

Wartownik z Rybnika rzeczywiście przywiózł płaszcz, ale w kilka dni później, uczestnicząc przypadkowo w przesłuchaniu Henryka Miczajki, kiedy padło nazwisko Frosa jako członka organizacji, wartownik stwierdził, że go Alojzy okłamał opowiadając historię o anonimie.

Po kilkutygodniowym pobycie w Mysłowicach, Fros został wywołany przez gestapowca na przesłuchanie. Już na korytarzu gestapowiec zapytał za co Alojzy siedzi. Otrzymał odpowiedź - za anonim, wówczas gestapowiec powiedział: *„aber jetz sitzen Sie für mich wissen Sie für was" – „ale teraz siedzi Pan dla mnie - wie Pan za co"*? Został zaskoczony odpowiedzią Frosa: *„tak, za organizację"*.

W tym miejscu należy wspomnieć o zdarzeniu sprzed wyżej wspomnianego przesłuchania, gdy któregoś dnia, drzwi celi otwarto z okrzykiem „Zugang" i do środka weszło kilku znajomych i kolegów Alojzego Frosa z organizacji. Od nich, jak również od innych osadzonych (w innych celach więzienia) dowiedział się o okolicznościach ich aresztowania oraz częściowym zdekonspirowaniu organizacji. Dzięki funkcji jaką Alojzy pełnił w korytarzu, miał sposobność wywołania Henryka Miczajkę z celi do ubikacji, tam zaś dowiedział się, co Miczajce odczytano w czasie przesłuchania z protokołów spisanych w Oświęcimiu, czyli po przesłuchaniach członków organizacji aresztowanych w miesiącu lutym. Wśród kilku nazwisk, wymienione było także nazwisko Frosa, jako członka organizacji. W ten sposób Fros zorientował się, że jakiekolwiek zaprzeczanie faktu przynależności do organizacji nie ma sensu.

Wracając do poprzedniego wątku, gestapowiec zaskoczony Jego przyznaniem się do przynależności organizacyjnej powiedział*: „sehen Się ich wollte się auf die einz überführern aber dass się die Warheit gesagt haben bleiben sie hier" – „widzi pan, chciałem pana odprowadzić do celi nr 1, ale że powiedział pan prawdę, pozostanie pan tu"*. Następnie bardzo poprawnie po polsku powiedział: *„Ja przyniosę Panu papier, pióro i pan napisze mi nazwę organizacji, jej cele, rotę przysięgi"*. W tym momencie, w jakimś niezrozumiałym odruchu, Fros powiedział po niemiecku: *„przepraszam, ale ja rozumiem po niemiecku"*. Gestapowiec (nazywał się Swierczyński) trochę się zmieszał i odprowadził Alojzego do celi.

Pobyt w celi nr l polegał na całodziennym leżeniu na drewnianych pryczach ustawionych w olbrzymiej klatce z drutu kolczastego, przed którą na „kogucie" – wieżyczce, pełnił straż policjant obserwujący trzypiętrowe prycze, nie pozwalając na porozumiewanie się. Ostatnie przeżycia, przypomniały Alojzemu o przestrogach cieszyńskiego gestapowca, że jeżeli kłamał, to pójdzie Mu *„dreckig"*.

Czas jednak upływał, a Swierczyńskiego więcej nie zobaczył, nie otrzymał także papieru i ołówka do spisania swoich zeznań. Jego sprawę przejął inny gestapowiec, który zachowywał się na tyle po ludzku, że podczas

dwukrotnego przesłuchania, ani razu nie krzyknął a zadawał pytania stale spoglądając do oświęcimskich protokołów. Fros przyznając się do członkostwa w organizacji, pomniejszał w niej swoją rolę i działalność, nie przyznając się do pełnionej w niej funkcji, czym zresztą nie był obciążony. Mimo trwającego cyklu przesłuchań, dwukrotnie wyczytywano Go jako przewidzianego do transportu - do Oświęcimia. Odraczano jednak przewóz, prawdopodobnie dlatego, że nie zakończono przesłuchań. Dopiero za trzecim razem przewieziony został do KL Auschwitz.

W Oświęcimiu, po zejściu z samochodu ciężarowego, stanęli przed osławioną bramą z napisem: „ARBEIT MACHT FREI". Po przeliczeniu przybyłych, poprowadzeni zostali do tzw. Effektenkammer, gdzie kazano się rozebrać. Odzież i wszystkie rzeczy osobiste wsadzano do papierowych worków, zaś aresztowanych wpędzono pod prysznice, ostrzyżono ich a następnie poddano dezynfekcji przez zanurzenie w kadzi napełnionej wodą z jakimś żółtym płynem odkażającym. Każdy otrzymał koszulę, kalesony, pasiaste spodnie i bluzę, a na koniec drewniane trepy. Nikt się nie przejmował, czy wydane łachmany posiadały odpowiednie rozmiary, więc we własnym zakresie wymieniali je między sobą.

Już w Effektenkammer spotkał wśród funkcyjnych - więźniów Rybniczan. Po zabiegach związanych z „dezynfekcją", przebraniem się i formalnościach rejestracyjnych, Alojzy Fros otrzymał nr obozowy 136223. Od tej pory nie miał nazwiska - był numerem. Według stałej obozowej praktyki, poprowadzono ich na kwarantannę w bloku takim samym, jak pozostałe budynki otoczone podwójnym ogrodzeniem z drutów pod napięciem. Okres kwarantanny obowiązywał przez około 2 do 3 tygodni, a po tym okresie więzień otrzymywał przydział do „komanda" roboczego i był przenoszony na blok, w którym to „komando[20]" miało zakwaterowanie. Podczas owej – obowiązkowej kwarantanny, wypełniano im czas między innymi na naukę prawidłowego meldowania się każdemu SS-manowi, gdy się do nich zwróci lub zawoła. Formuła ta brzmiała: *„Haftlingsnummer 136223 meldet Sich zu Stelle" – „więzień nr 136223 melduje się na miejscu"*.

Po dwóch dniach pobytu na kwarantannie, Alojzy Fros poczuł się niedobrze i zaczął gorączkować, na brzuchu wystąpiła czerwona wysypka. Bronił się przed pójściem na „Krankenbau" - do budynku chorych, gdyż słyszał, że tam dokonywane są wybiórki chorych których uśmierca się zastrzykiem fenolu. Kolegów, którzy dowiedziawszy się o jego pobycie w obozie, odwiedzali go i obdarowywali bądź to kromką chleba, bądź cebulą, a po zachorowaniu przekonywali, że trzeba pójść na Krankenbau, bo niewątpliwie zachorował na chorobę zakaźną i stanowi zagrożenie dla kolegów. Koledzy ci zapewniali, że zaopiekują się nim i będą nad nim czuwali. Wielu z nich było funkcyjnymi więźniami i rzeczywiście mogli wiele zdziałać. Natomiast kilku kolegów z

[20] Kommando – grupa robocza więźniów (komando).

organizacji, aresztowanych w lutym, już nie żyło - zostali straceni – Staszek Sobik, Janek Klistała, Alojzy Siąkała.

Poszedł do Krankenbau, gdzie lekarz - funkcyjny więzień, stwierdził u Frosa szkarlatynę z jej typowymi objawami. Poprowadzono go na blok 21, (blok chorób zakaźnych). W chwili, kiedy prowadzono go korytarzem, na parterze przez uchylone drzwi do „waschraumu" - umywalni, zobaczył stos ludzkich zwłok ułożonych jak drzewo w lesie. Widok ten wywarł na Nim straszne wrażenie. W owym dniu, lekarz SS przeprowadził na bloku przegląd chorych i tych, których uznał za niezdolnych do pracy. Wielu wychudzonych i przewlekle chorych „zaszpilowano" tzn. uśmiercono zastrzykami fenolu do serca.

Dostał się na ogromną salę, która zajmowała prawie całe l piętro. Wyznaczono mu tzw. górne posłanie, gdyż były tam drewniane piętrowe łóżka. Połowę sali zajmowali gruźlicy, a drugą połowę, chorzy na wszystkie możliwe choroby zakaźne. Zdarzył się nawet przypadek czarnej ospy, na którą chorował jeden Cygan. Pielęgniarze i lekarze z sali w której się znalazł, zajmowali trochę odseparowany kąt sali a wszyscy byli więźniami - Polakami. Frosem zajął się doktor Mężyk, ale pamięta i innych lekarzy: dr Tondosa, dr Kłodzińskiego. Jego kuracja polegała na tym, że otrzymywał zupę taką, jak pozostali z tą różnicą, że była bez soli. Funkcję fryzjera pełnił w bloku szpitalnym Feliks Korbasiewicz z Rybnika, który się Alojzym serdecznie zaopiekował. Karmił go zupami, które codziennie gotował z produktów otrzymywanych w paczkach, a gotował je dla kilku osób - między innymi dla lekarzy-współwięźniów, pracujących w bloku 21. Więźniowie ci, oddawali z otrzymywanych paczek to, co nadawało się do przyrządzenia gorących posiłków. Gdy tych produktów brakowało i była „bieda" - jak mawiał Korbasiewicz, gotował kartoflanki, z których na przestrzeni kilku dni każda miała inny wspaniały smak. (Kiedy po wojnie Fros namawiał go do ugotowania takiej kartoflanki, Korbasiewicz odpowiedział, że na pewno już by tak nie smakowała).

Listy do domu można było pisać raz na miesiąc, a wysyłane były po ocenzurowaniu. Po napisaniu pierwszego listu, zaczął regularnie (co kilka tygodni) otrzymywać paczki. Chleb był pieczony przez mamę, a do niego jakieś skromne dodatki. Mógł więc pajdki chleba otrzymywane w obozie, darować innemu więźniowi lub też płacić nimi za wykonywane przez więźniów usługi. On płacił nadwyżkami za pranie bielizny francuskiemu Żydowi - dermatologowi, pracującemu w pralni. W Oświęcimiu, paczki mogli otrzymywać jedynie aryjczycy, za których poza Niemcami, uznano obywateli zachodnich państw europejskich, wyłączając Żydów. Paczek nie otrzymywali Rosjanie, Cyganie - wyłączając Cyganów niemieckich, oraz Żydów z tzw. „Familienlager".

Na bloku 21 przebywał 9 tygodni. W tym czasie, wzywano Go kilkakrotnie na oddział polityczny (gestapo obozowe), ponieważ nie ukończono przesłuchań w Mysłowicach. Każdorazowo jednak lekarz z „Krankenbau" meldował, że więzień ten ma chorobę zakaźną, i przez 9 tygodni miał względny

spokój, jednakże terminu tego nie można było przekraczać, gdyż w razie selekcji mógł zostać przeznaczony do uśmiercenia.

Po 9 tygodniach, dzięki staraniom kolegów, z których niektórzy byli więźniami funkcyjnymi, dostał pracę pod dachem w paczkarni i zamieszkał na bloku 3a, gdzie miało swą kwaterę komando „Postpaketstelle". Szefem paczkami - „Kommandsführerem", był SS-man (wiedeński kupiec) w randze „Unterscharfführera", który bardzo nie lubił Czechów i Żydów. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że dbał o to, by paczki po dokonanej kontroli, terminowo docierały do adresatów. W paczkarni pracowało około 100 więźniów, z czego połowa pracowała w nocy, a połowa w ciągu dnia. Fros pracował na zmianie dziennej, przy wydawaniu paczek na bloki oraz przyjmowaniu paczek z kolei i z poczty.

Praca w paczkarni polegała na tym, że paczki przywożono samochodami i więźniowie musieli je zsypywać na olbrzymi stos wewnątrz jednej części hali paczkarni. Następnie sortowano je wg numerów więźnia i wsadzano w przeznaczone do tego celu przegrody. Jedna z przegród przeznaczona była na paczki bez numerów - posiadających jedynie nazwiska. Więźniowie rozpoczynali tam pracę w zależności od pory roku o godz. 6:00 lub 7:00. Nocna zmiana ewidencjonowała paczki w imiennych kartotekach, które zakładano przy nadejściu pierwszej paczki dla danego więźnia. Do kartoteki wpisywano datę nadejścia i pocztowy nr paczki. Następnie wkładano paczkę w przeznaczoną do tego celu przegrodę wg numeracji bloków lub komand, w których „kwaterował" lub pracował adresat, co wynikało z kartoteki osobowej.

Dzienna zmiana, po otwarciu paczkarni przez kommandoführera lub jego pomocnika (także SS-mana), wyjmowała paczki z przegród, rozcinała sznurki i odpakowywała paczki, podsuwając je do kontroli SS-manów, którzy zaopatrzeni w ogrodnicze noże kontrolowali zawartość paczki. Po kontroli, prowizorycznie je pakowano i podsuwano do okienka, za którym stał Schreiber, odbierający paczki dla danego bloku. Funkcja Alojzego polegała na tym, że siedząc po drugiej stronie okienka, w odpowiednich karteluszkach wg nr bloku, zapisywał przez kalkę dyktowany przez współwięźnia nr paczki i nr więźnia. Po wydaniu paczek na blok, pisarz blokowy kwitował odbiór poszczególnej paczki w osobowej kartotece adresata i zobowiązany był dostarczyć adresatowi przesyłkę w tym samym dniu.

Po wydaniu paczek, już w godzinach popołudniowych, Alojzy spisywał nazwiska adresatów, względnie numery więźniów, których pobytu nie ustalono. Z tym spisem udawał się do ewidencji (Schreibstube) by tam, na podstawie „nummerbuchu" - ewidencji numerowej, ustalić miejsce pobytu adresata. W tym czasie, SS-manami urządzali w lagrowym żargonie tzw. „pogrzeb", tzn. rozparcelowywali (na określone artykuły spożywcze) paczki niedoręczalne z braku adresu zwrotnego. Artykuły luksusowe jak czekolady, sardynki, które przysyłane były najczęściej przez komitety żydowskie z zachodu, przeznaczone były dla SS. Chleb i inne artykuły, rozdzielane były dla pracowników paczkarni w postaci kolacji, a nadwyżki przekazywano do kuchni obozowej. W czasie

kontroli paczek konfiskowano listy, fotografie i spirytualia. Po zakończeniu pracy, poddawani byli kontroli osobistej przez „Szefa" – kapo paczkarni, czy „na sobie" nie wynoszą czegokolwiek pod bluzami lub w spodniach. Fros pracował w paczkami do końca pobytu w Oświęcimiu tj. do października 1944 r.

W okresie pobytu w Oświęcimiu, silnym przeżyciem były publiczne egzekucje. Jedna trwalej zapamiętana, to egzekucja Żyda (ponoć czeskiego oficera), którego w czasie apelu wyprowadzono z bloku 11 i doprowadzono pod uprzednio przygotowaną parę kroków od stojącego na apelu kommanda - szubienicę. Ręce miał związane z tyłu, był bez koszuli, dobrze zbudowany. Tysiące więźniów stojących na apelu wstrzymało oddech, natomiast po chwili można było usłyszeć jakby oddech pełen ulgi, gdyż stryczek zerwał się pod ciężarem skazańca. W tej sytuacji, odprowadzono owego więźnia z powrotem na blok 11. Więzień ten po nieudanej egzekucji miał na szyi czerwono-siną pręgę. Co się z nim stało później, nie wiadomo. Po wojnie, Alojzy dowiedział się od kolegi pracującego w obozie w „Lagerkommandzie", że przygotowując szubienicę i stryczek, więźniowie wstrzyknęli w splot powrozu parę kropli kwasu solnego.

Innym przeżyciem w obozie był ślub więźnia, na który wyraziły zgodę władze obozowe. Więzień ten – komunista austriacki, walcząc w Hiszpanii, miał romans z Hiszpanką, która urodziła mu syna. Po zakończonej wojnie w Hiszpanii, ów Austriak przedostał się do Francji, gdzie został przez Niemców aresztowany i osadzony w KL Auschwitz. Hiszpanka czyniła starania uzyskania ślubu z tym więźniem, a starania te zostały uwieńczone zgodą władz obozowych na ślub. Przyjechała więc z dzieckiem do KL Auschwitz, ślubu udzielił podobno Lagerführer, mający mandat urzędnika stanu cywilnego. Na jedną noc opróżniono dom publiczny (taki od 1943 roku znajdował się w KL Auschwitz w bloku nr 24) i tam zaślubiona para spędziła jedną noc.[21] Fros pamięta przemarsz pary nowożeńców przez obóz do atelier fotograficznego. Szli pod rękę, a chłopczyk siedział na splecionych dłoniach dwóch blokowych. Więźniowie zaczęli wiwatować na ich widok i przybrało to rozmiary takiego widowiska, że zawyły syreny i zarządzono Lagersperę. Najtragiczniejsze w całej tej historii jest to, że w ostatniej egzekucji, która miała miejsce w grudniu 1944 r. zginął ów „pan młody", który razem z kolegami planował ucieczkę, a co zdradził austriacki SS-man dopuszczony do planów organizowanej ucieczki.

W konsekwencji zbliżającego się od wschodu frontu, władze obozowe zaczęły ewakuować obóz. Wpierw ewakuowano Rosjan, a następnie Polaków. W październiku 1944 r. zorganizowano olbrzymi transport Polaków. Do transportu tego został wyznaczony także Alojzy Fros, a w ostatniej chwili dołączył do niego również Feliks Kurbasiewicz.

Nawiązując jednak do wydarzeń z roku 1943, w listopadzie tego roku, Fros wezwany został do „Politische Abteilung", gdzie cywilny gestapowiec, stwierdziwszy że od ostatniego jego przesłuchania upłynęło sporo czasu,

---

[21] Według Danuty Czech *Kalendarza Wydarzeń w KL Auschwitz*, wydarzenie to miało miejsce 18 marca 1944 r. i dotyczyło więźnia Rudolfa Frimela nr. obozowy 25173.

odczytał mu dotychczasowe zeznania. Ewentualne nieścisłości Fros miał sprostować. SS-man zachowywał się bardzo poprawnie, nie krzyczał, nie groził. Alojzy zauważył w odczytanym protokole jedno sformułowanie, przemawiające na jego niekorzyść, a o faktycznym stanie rzeczy dowiedział się od kolegi z organizacji, aresztowanym w lutym 1943 r. Nie pamięta, o jaki szczegół chodziło, jednak przesłuchujący bez słowa protestu zmienił w zeznaniu ten zakwestionowany fragment. Na zakończenie przeczytał jeszcze raz zeznanie i kazał protokół podpisać. Od tego momentu zaczął się okres niepokoju, gdyż Fros zdawał sobie sprawę, że na tej podstawie ktoś wyda wyrok. Wszystko jednak skończyło się pomyślnie, gdyż w styczniu 1944 r. wezwany został na wartownię, gdzie kazano mu podpisać tzw. „Schutzhaftbefehl" tzn. rozkaz izolowania, oznaczający, że jest niebezpieczny dla 3-ciej Rzeszy. Uspokoił się wobec takiego obrotu sprawy, gdyż znaczyło to, że nie grozi mu egzekucja, a jedynie pobyt w obozie, co najmniej do końca wojny.

Wracając do przerwanego wątku transportu Polaków z obozu, do którego został wyznaczony w październiku 1944 r., i do którego także dołączył Feliks Korbasiewicz. Korbasiewicz był trwałym kaleką - miał krótszą nogę, więc nie wytrzymałby długiego marszu, który miał miejsce w styczniu 1945 roku.

Więźniów przeznaczonych do transportu uformowano w kolumnę i w asyście uzbrojonych SS-mannów poprowadzono do Brzezinki. Tam trzeba było oddać odzież do odwszenia i na golasa stanąć przed lekarzem SS, który wyrokował o zdolności do pracy i transportu. Korbasiewicza niestety z racji kalectwa nie zakwalifikowano do transportu mimo jego próśb, ale wieczorem, kiedy znowu stali w kolumnie, Feliks dołączył do nich. Okazało się, że lekarz jeszcze raz dokonał przeglądu więźniów odsuniętych od transportu i na ponowne prośby Korbasiewicza rzekł mu: *„hau ab"* i w ten sposób uratował mu życie.

W Brzezince Fros zobaczył na własne oczy, dymiące krematoria i wydobywające się co kilkanaście minut płomienie z kominów krematoryjnych. Stojąc w kolumnie gotowej do załadunku, spotkał w przechodzącej grupie więźniarek Janinę Kożdoniową, od której otrzymał kominiarkę i sweter (co było użyteczne bardzo długo). Załadowano ich (na obozowej bocznicy kolejowej w Brzezince) do wagonów towarowych w ten sposób, że z jednej strony rozsuwanych drzwi ulokowano 50 więźniów, z drugiej również 50, zaś środek wagonu zabezpieczony z obydwu stron siatką z drutu kolczastego, zajęło trzech SS-manów z eskorty. W tych potwornych warunkach, stłoczeni i głodni, jechali 3 dni poprzez Katowice, Wrocław, Zieloną Górę, Berlin do KL Oranienburg. Podczas transportu skazani byli ponad to na częste i długotrwałe postoje, czy też niekończące się przetaczanie wagonów. W Berlinie towarzyszył im huk dział przeciwlotniczych i naloty aliantów na Berlin. Odłamki pocisków przeciwlotniczych uderzały w dachy wagonów.

Nocą dojechali do Oranienburga. Wagony podstawiono do rampy, odsunięto drzwi i z rykiem: *„alles heraus",* musieli przebiec przez rampę, odbierając razy pejczami i bykowcami od stojących z obydwu stron SS-manów.

Zakwaterowano ich w częściowo zbombardowanych, ogromnych halach fabryki samolotów Heinkla. Hale były zupełnie puste i snuli się po nich do późnej nocy szukając miejsca i kawałka tektury czy nawet gazety, na której można by się położyć – izolując się w jakimś sensie od leżenia bezpośrednio na posadzce z betonu. Skromne zapasy jedzenia wywiezione z KL Auschwitz stopniały, a otrzymane racje żywnościowe były racjami głodowymi. Zaczął się więc okres głodu.

W KL Oranienburg byli kilka dni, niepokojeni każdej nocy nalotami aliantów, w czasie których wypędzano ich z hal na zewnątrz, gdzie oglądali krzyżujące się światła reflektorów, huk dział przeciwlotniczych i wybuchy bomb. Kilku więźniów zostało rannych od spadających odłamków. Po kilku dniach uformowano z nich kolumnę, dokonano osobistej rewizji i popędzono piechotą do KL Sachsenhausen – obozu odległego od KL Oranienburg o dobrych kilka kilometrów. Przed mającą nastąpić rewizją osobistą, Fros schował do buta posiadany scyzoryk, a nie zdoławszy wyciągnąć go z buta przed wymarszem, cierpiał z tego powodu podczas marszu.

W KL Sachsenhausen, w czasie pierwszej nocy spędzonej w bloku, okradziono Alojzego z zapasowej koszuli, spodenek, ręcznika, które otrzymał jeszcze w KL Auschwitz w paczce przysłanej z domu. Kartonik, w którym miał wymienione przedmioty położył przed snem pod głowę. Rano stwierdził, że dalej śpi na kartoniku, ale rozprutym i pustym.

Mimo że w obozie tym był bardzo krótko, zarejestrowany został w obozowej ewidencji jako nr 115773. Już bowiem na drugi dzień, stanęli przed kilkoma cywilami wypytującymi ich o zawód i znajomość niemieckiego. Wytypowano 50 oświęcimiaków, wśród nich Frosa, inżyniera Dombko - przedwojennego dyrektora rejonu energetycznego w Cieszynie, dr Szkudlarza - byłego wiceprezydenta Katowic i innych 47 więźniów. Po bodaj trzech dniach załadowano całą 50-kę do wagonu towarowego. Tym razem eskorta jechała w oddzielnych wagonach osobowych włączonych w skład pociągu. Po zaopatrzeniu więźniów w całodzienną porcję żywności - podwójną pajdkę chleba i kawałek margaryny, ruszyli w nieznane. Podróż, która miała trwać jeden dzień, w rzeczywistości trwała pięć dni. Zbombardowane dworce kolejowe i torowiska powodowały długotrwałe postoje i objazdy. SS-mani nie bardzo ich pilnowali, na dłuższych postojach odchodzili do miast i miasteczek pozostawiając więźniów samych w otwartych wagonach. Był to koniec października lub początek listopada i na dworcach stały wagony z burakami cukrowymi, więc gotowali sobie z tych buraków potwornie niesmaczną zupę, powodującą u wielu rozwolnienie. Dotkliwy głód zmuszał ich jednak do spożywania tejże zupy. Po pięciu dniach dotarli do celu, którym okazała się miejscowość leżąca u podnóża gór Harzu, a zwała się Bad Gaudersheim.

Z dworca poprowadzono więźniów poza miasteczko, gdzie jakby w kotlinie, znajdowały się trzy hale fabryczne oraz kilkanaście baraków. Wzdłuż tego terenu prowadziła droga prawdopodobnie do Seesen. Po przeciwnej stronie drogi od hal, w których mieli pracować, znajdowały się ruiny średniowiecznego

kościoła, i tam ich wpędzono. Okazało się po wejściu do kościoła, że znajduje się w nim już 400 więźniów, w przeważającej części Włochów, Francuzów oraz kilkudziesięciu Rosjan i Ukraińców. Dowiedzieli się, że z tego obiektu kultu religijnego zrobiono wpierw owczarnię, a następnie wypędzono owce i zakwaterowano tam więźniów jako Aussenkomando Buchenwald. W taki to sposób, Alojzy stał się więźniem KL Buchenwald, i jak się po wojnie okazało, był zarejestrowany w tym obozie pod numerem 96935.

Włosi i Francuzi byli potwornie zawszeni. Oświęcimiacy prosili więc SS-manów o odseparowanie od tamtych więźniów i zakwaterowanie na częściowo zburzonym chórze kościoła. Nowoprzybyli otrzymali więc zezwolenie ulokowania się na chórze. Belkami oraz deskami uzupełnili podłogę, urządzając tam jako taki przytułek, grożący jednak ze względu na duże uszkodzenia chóru - zawaleniem każdej nocy.

Po urządzeniu sobie lokum, zatrudnieni zostali na stanowiskach, na których zachodziła konieczność współpracy z cywilnymi pracownikami fabryki. Była to fabryka samolotów Heinkla, ewakuowana z Mielca przed zbliżającą się Armią Czerwoną. Fros został zatrudniony w tzw. „Materialfristenstelle”[22], znajdującej się w magazynie fabryki. Część magazynu została oddzielona przepierzeniem i w niej pracował jeden inżynier oraz dwóch pracowników cywilnych. Tam miał Alojzy w kącie swój stół z olbrzymia skrzynią kartotekową. W skrzyni znajdowały się koperty zawierające plany, szkice poszczególnych części montowanego samolotu wraz z kartami materiałowymi, na podstawie których, należało pobrać w terminie naniesionym na kopercie, konkretne materiały z magazynu i dostarczyć je na stanowiska robocze w hali montażowej. W fabryce montowano kadłuby samolotów H 111.

Praca pod dachem, w opalonej części magazynu i rodzaj pracy – stwarzały znośne warunki bytu. Dokuczał jedynie straszliwy głód, gdyż racje żywnościowe były bardzo skąpe, a jedynym ciepłym posiłkiem, była zupa z buraków pastewnych.

Szczęśliwe przypadki nadal nie omijały Alojzego Frosa. Dostarczając bowiem materiały na stanowiska robocze, jeden z cywilnych pracowników zapytał go o nazwisko i skąd pochodzi, a kiedy otrzymał odpowiedź, wyjaśnił, że też jest rybniczaninem o nazwisku Harsze. Był to syn sierżanta sztabowego, który w gimnazjum prowadził zajęcia przysposobienia wojskowego. Pochodził z okolic Mielca i tam spędzał wraz z synem okres wojny, pracując w fabryce Heinkla w Mielcu. Kiedy nastąpiła ewakuacja fabryki, ojciec pozostał w okupowanej Polsce, natomiast syn ewakuował się wraz z fabryką do Niemiec. Ów Harsze, poczuwając się nadal krajanem Frosa, wyznał mu, że wybiera się na święta Bożego Narodzenia do Rybnika i może mu przywieźć od rodziny paczkę. Słowa dotrzymał, a ponadto przywiózł szczepionkę przeciwtyfusową o którą Fros prosił, gdyż bardzo bał się tyfusu.

---

[22] „Materialfristenstelle”- magazyn niezbędnych części.

W pomieszczeniu w którym pracował, były jeszcze trzy osoby cywilne. Jedna z nich Herr Zänkner, wracając z obiadu – a spożywał go w fabrycznej kantynie, od czasu do czasu podchodził do Frosa i dyskretnie powiadamiał, że przyniósł trochę zupy, którą odstawił w określone miejsce w magazynie. Porcje zupy były minimalne, jednak bardziej pożywne od fasowanej buraczanki. Trzecią osobą, która okazała mu serce, był cywilny pracownik magazynu. Był to Niemiec przesiedlony ze zbombardowanego Akwizgranu, mieszkający gdzieś na wsi, więc rano wybierając się do pracy, zabierał ukradkiem dla Frosa kilka ziemniaków z parzalnika, w którym parzono ziemniaki dla świń.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia 1944 r. Na skraju terenu fabrycznego, budowano baraki dla więźniów. Jeden z nich był już prawie ukończony więc grupa 50 Polaków wywodzących się z KL Auschwitz, zwróciła się do komendanta obozu z prośbą o przeniesienie ich na okres świąt do tego baraku. Po przyrzeczeniu, że żaden z nich nie zbiegnie, komendant wyraził zgodę. Od tej pory nie marzli, bowiem barak poza piętrowymi łóżkami zbitymi z desek, był wyposażony w żeliwny piecyk, na którym można było ugotować jakąś zupkę, jeżeli posiadało się odpowiednie surowce. Surowcem takim wraz ze zbliżającą się wiosną były pokrzywy, z których posiłek przygotowany na kształt szpinaku, okraszony skromną porcją margaryny był o wiele pożywniejszy od zupy z pastewnych buraków.

Nadeszły i kolejne święta – święta Wielkanocne 1945 r., a z oddali słychać już było huk dział artyleryjskich. Natychmiast po świętach, we wtorek wielkanocny, uformowano ich w kolumnę i popędzono na wschód. Przed wymarszem w pobliskim lesie zamordowano wszystkich chorych i niezdolnych do marszu. Pogrzebano ich na miejscu egzekucji. SS-mani załadowali cały swój dobytek na średniej wielkości wóz, który pchali i ciągnęli zmieniający się co pewien czas więźniowie. Komendant obozu zniknął już w pierwszym dniu, razem z polskim więźniem - oficerem wojsk polskich. Dowództwo przejął najstarszy z podoficerów - Pomorzanin z terenu Niemiec. Maszerowali kilka dni trasą: Bad Gandersheim, Danhausen, Bad Grund, Zellerfeid, Ciausthal, Dammhaus, Braunlage, Dreiannen, Hohne, Werningerade, Blaukenburg, Thale, Quedlinburg, Badeborn, Meisdorf.

Przechodzili przez największy szczyt gór Harzu - Brocken. Nocowali w otwartych wiatach, na deskach w jakimś tartaku (był kwiecień), w ewangelickim kościele, w zabudowaniach cegielni, w olbrzymim stogu słomy czy siana. Na trasie - w pobliżu Bad Grund, mijając jakąś fermę, w której Wermacht hodował psy, żołnierze tej formacji wojskowej, zatrudnieni przy opiece nad psami, wynieśli kilka worków psich sucharów (mielone kości z mąką) i wyrzucili to na drogę przed kolumną więźniów. O mało się więźniowie nie pozabijali zbierając te suchary, a następnie żuli je podczas marszu. Skutki nie kazały na siebie długo czekać. Nocowali w ewangelickim kościele w Cellerfeld-Clausthal, na co wyraził zgodę litujący się nad więźniami – pastor. Zamienili ów kościół w stajnię Augiasza. Wielu więźniów zachorowało na biegunkę, wiec ławki i wszystkie miejsca zajęte przez więźniów były zabrudzone odchodami i był

potworny smród. Następnego dnia doszli do miejscowości Meisdorf i tam nocowali w stogu słomy. Rano mieli otrzymać fasolową zupę, której ugotowanie zarządził wójt tej gminy, gdy nagły alarm poderwał SS-manów na nogi. Komendant odpowiedzialny za dalsze przemieszczanie się kolumny więźniów, zorganizował transport tj. kilka traktorów z przyczepami, na nie załadowano więźniów i wieziono ich kilkanaście kilometrów. W dolinie nad rzeczką, wijącą się wśród wzgórz spędzono ich z przyczep. Traktory z przyczepami zawróciły, natomiast więźniowie z eskortą zostali na łączce. W pewnym momencie, drogą prowadzącą wzdłuż rzeki, przejeżdżał samochód z wyższymi oficerami Wermachtu. Komendant zatrzymał samochód, złożył najstarszemu rangą owemu oficerowi odpowiedni meldunek i poprosił o dalsze dyrektywy. Fros stał o kilka kroków od samochodu i nie tylko słyszał o czym mówią, ale i na własne oczy zobaczył, jak oficer przyłożył dłoń do kolby pistoletu, dając tym do zrozumienia, by więźniów rozstrzelać. Wówczas komendant zameldował, że nie ma technicznych możliwości by tego dokonać - brak odpowiedniej ilości amunicji i eskorty. Wobec takiego uzasadnienia, oficer podniósł ramiona w geście bezradności i skinął szoferowi by jechał dalej. Komendant zwrócił się zatem do członków eskorty tymi mniej więcej słowami: *„Koledzy ja nie wiem, co dalej, idę do najbliższego dowództwa wojskowego i zgłoszę się do obrony ojczyzny, a co z tymi (wskazując na więźniów) - nie wiem. Kto chce niech idzie ze mną”*. Po tych słowach się oddalił. Dodać jeszcze należy, że w czasie ewakuacji rozstrzeliwano słabych nie mogących kontynuować marszu, a w jednym wypadku rozstrzelano kilkunastu Francuzów, których powołano do pchania wozu z SS-mańskim dobytkiem, a którzy znajdowali się zawsze w pewnej odległości za kolumną. Ponoć planowali bunt i ucieczkę.

Wobec takich to wydarzeń Fros zaplanował oddalenie się od kolumny, i dokonał tego w sprzyjających okolicznościach wraz z dr Szkudlarzem, trzema innymi więźniami i jednym SS-manem rybniczaninem z eskorty więźniów. Oddalenie się od kolumny umożliwiła dosyć obojętna postawa pozostałych SS-manów. Celem była strefa, gdzie spodziewali się wyzwolenia przez wojska amerykańskie, wiec kierowali się do miejscowości Meisdor. W dalszej wędrówce dotarli do Gatersleben gdzie wreszcie natknęli się na wojsko amerykańskie.

Pomijając dalsze perypetie, po kilkudniowym pobycie w Wegeleben, dotarli do miejscowości Halberstadt, a następnie do Leibenburg, gdzie od maja do sierpnia 1945 r. mieszkali w obozie dla uchodźców. Gdy jednak obóz ten - administrowany przez UNRR-ę został likwidowany, wagonami towarowymi zawieziono ich do Sande koło Wilhelmshaven. W Sande zakwaterowani zostali w byłych koszarach marynarki niemieckiej, wybudowanych tuż przed wojną. Koszary składały się z około 30 jednopiętrowych bloków, które z łatwością pomieściły 4000 Polaków. Każde 1000 osób skoszarowanych w 5 blokach, posiadało własną kuchnię. Administracją obozu zajmowali się oficerowie z obozów jenieckich.

Opiekunem z ramienia UNRRA był Mr Smith, emerytowany oficer angielski. Alojzy Fros wyznaczony został na zaopatrzeniowca i dwa razy w tygodniu wyjeżdżał samochodem ciężarowym do Oldenburga. Samochód z przyczepą podstawiała firma przewozowa niemiecka, z Oldenburga - z magazynów UNRR-y - pobierał żywność dla całego obozu. Mąkę zawoził do Varel do zakładu piekarniczego Ammermana, gdzie wypiekano dla nich chleb, natomiast inne artykuły przewozili do magazynu w obozie i dwa razy w tygodniu wydawał je do czterech kuchni i na bloki. Do kuchni wydawał mięso w postaci półtusz wieprzowych lub wołowych oraz te produkty, które służyły do przyrządzania obiadów, herbatę i kawę na śniadanie i kolacje. Śniadania i kolację przyrządzali sobie mieszkańcy indywidualnie z produktów wydawanych na bloki. Ewidencja obozowa podawała stany ilościowe mieszkańców w poszczególnych blokach, księgowy wyliczał ilość produktów przypadających na blok. Racje żywnościowe były wystarczające a artykuły dobrej jakości. Racja kawy prawdziwej wynosiła 20 gr. dziennie, z czego połowę wydawano na kuchnię, a połowę otrzymywali mieszkańcy w stanie suchym. Kawa stała się nawet artykułem handlowym - bardziej przedsiębiorczy osobnicy wykupywali ją tanio na północy Niemiec gdzie herbata cieszyła się największym popytem, a sprzedawali w południowych i środkowych Niemczech. Oprócz tego zaopatrzenia, obozowicze otrzymywali raz w miesiącu paczki z luksusowymi na owe czasy artykułami. UNRR-a zaopatrywała ich także sukcesywnie w odzież i bieliznę osobistą.

W dniu 11.07.1946 r. Alojzy Fros ożenił się z dziewczyną, którą poznał podczas tułaczki – już po uzyskaniu wolności. Ślub wzięli w kaplicy obozowej, a ksiądz Franciszek Gabryl udzielił Im sakramentu małżeństwa. Miarą trwałości tego małżeństwa jest to, że przeżyli ze sobą bardzo szczęśliwie 53 lata - do śmierci żony.

W dniu 2.10.1946 r. załadowano ich do krytych wagonów towarowych i przewieziono do kraju. W dniu 3 października przybyli do Legnicy, gdzie ich zakwaterowano w jakimś budynku Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, przechodzili rejestrację i otrzymali odpowiednie tymczasowe zaświadczenia repatriacyjne, wraz z jednorazową wypłatą zapomogi w wysokości 100 zł. Po rocznym pobycie we Wrocławiu, wrócili do rodzinnego Rybnika, w którym rozpoczął się kolejny etap życia Ireny i Alojzego Frosów.

Tu śmierć, bez wątpienia, śmiertelnie się zmachała,
lecz biblijne piekło ziściła.
Tutaj rzemiosłem zbrodnia się stała,
miliony w popiół przemieniła.
Pozostał — tu i teraz — wiatr jedynie w trawach,
i ziemia, a nieba bezmiar odwieczny
gwiazdy nad mogiłą tych milionów rozpala,
w każdy wieczór, za ich spokój wieczny.

Tłoczyło się tutaj nieskończenie wielu,
bezimiennych, nagich ludzi rząd.
W nowy świat krwawą drogę
wyszli budować właśnie stąd.
Ten mieszkaniec Ziemi, który zobaczyć przyjdzie
kratery zagasłego piekła, ogarnie go trwoga,
gdy w myśli ujrzy strachu piramidę,
złote świątynie nowego boga. [...]

fragment wiersza: **OŚWIĘCIM**
autor: Lojzer Krakar

GEMBCZYK JAN wel Gemski Marian,

Więzień KL Auschwitz nr 485, KL Gross-Rosen, KL Buchenwald.

GEMBCZYK JAN, wel Gemski Marian,
Urodził się dnia 6.10.1913 r. w pow. strzeleckim na Śląsku Opolskim. Tam rozpoczął naukę w szkole powszechnej, ale gdy rodzinne miasto rodziców przypadło Niemcom, w 1921 r. wraz z rodzicami przyjechał do Rybnika. Od 1925 r. rozpoczyna naukę w rybnickim gimnazjum. Niestety, bardzo ciężka sytuacja materialna rodziców, zmusiła Go do przerwania nauki w gimnazjum i podjęcia pracy zarobkowej. Zaczął pracować w Magistracie w Rybniku. Bardzo ambitny, dokształcał się samodzielnie, by w 1939 r. po skończeniu kursu dla eksternistów stanąć do matury. Wybuch wojny zniweczył jednak Jego zamiary. Matury zdać nie mógł, a i z pracy w Magistracie został zwolniony i skierowany do pracy fizycznej w różnych firmach budowlanych.

*

Od pierwszych dni okupacji hitlerowskiej Jan Gembczyk zaangażował się w działalność konspiracyjną w Polskiej Organizacji Powstańczej (POP). Po dekonspiracji tej organizacji przez gestapo, zagrożony aresztowaniem, przedostał się na teren tzw. generalnego gubernatorstwa i tam dalej pracował w ruchu konspiracyjnym (prawdopodobnie w ZWZ) pod przybranym nazwiskiem Marian Gemski. W niewyjaśnionych okolicznościach zostaje aresztowany w maju 1940 r. (brak dokładniejszej daty) w Krakowie, a po kilkunastodniowym pobycie w więzieniu przy ulicy Montelupich, 15 czerwca tegoż roku przetransportowano go do KL Auschwitz gdzie otrzymał numer obozowy 485.

Dla formalności wyjaśniam, że nie można jednoznacznie ustalić do jakiej organizacji konspiracyjnej Jan Gembczyk należał i co było powodem jego aresztowania. Przysłużył się jednak jak mało kto w niesieniu pomocy więźniom z Rybnika osadzonym w KL Auschwitz, a więc tam, gdzie ta pomoc była wyjątkowo potrzebna. Niemal każdy z moich rozmówców wspominał o dobrodziejstwie pomocy ze strony Janka, o tym, że decydowała ona w wielu przypadkach o uratowaniu życia danego więźnia!

Gdy dostał się do KL Auschwitz, z wielkim samozaparciem i siłą woli przetrzymał pierwsze zderzenie się z „piekłem Auschwitz". Dwukrotnie zachorował na tyfus, ale walczył o przeżycie i wygrał tę walkę. Sprzyjającą okolicznością było to, że znał dobrze język niemiecki w słowie i piśmie. Umiejętność ta umożliwiła Mu otrzymanie zatrudnienia w Wydziale Politycznym - Politische Abteilung.

Ta tak wyjątkowa instytucja, wymaga nieco obszerniejszego opisu, gdyż przeraża precyzyjność z jaką funkcjonowała administracja nie tylko w KL Auschwitz, lecz i innych obozach koncentracyjnych. Z oczywistych powodów, nie mógł mi nic opowiedzieć na ten temat Jan Gembczyk, korzystam więc z bardzo szczegółowo traktującego to zagadnienie opracowania dr Ireny Pająk[23], której mąż Wilibald Pająk zatrudniony był wraz z Janem Gembczykiem w tym wydziale.

---

[23] Artykuł o Politische Abteilung w KL Auschwitz – PRO MEMORIAŁ Nr 15, czerwiec 2001 r., s. 105.

Otóż, Wydział Polityczny KL Auschwitz, spełniał wyjątkową rolę w machinie uśmiercania, jaką stanowił KL Auschwitz wraz z podobozami. Zgodnie ze słusznym założeniem dr Ireny Pająk, zrozumieć trzeba, na czym polegał faszystowski system funkcjonowania obozów koncentracyjnych, że miały one częściowo spełniać rolę „depozytów" dla przepełnionych pomieszczeń więziennych w czasie hitlerowskiego terroru. W wielkim uproszczeniu, chodziło o to, aby uzyskać w więzieniach miejsce na osadzanie w nich kolejnych aresztantów. Przenoszono więc z tych więzień co pewien czas grupy więźniów do obozów koncentracyjnych. Było to niekorzystne dla więźniów kryminalnych, gdyż okres pobytu w obozie koncentracyjnym (w owym „depozycie"), nie był zaliczany do wyroku danego więźnia kryminalnego. Więzień polityczny po zakończeniu fazy przesłuchań (śledztwa), był kierowany do obozu koncentracyjnego, w którym miał przebywać przez wiele lat – z karą dożywocia lub śmierci włącznie.

Wydział Polityczny, podlegał bezpośrednio Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy - Reichssicherheitshauptamt (RSHA). Aresztowana osoba, była przekazywana przez gestapo (Geheime Staatspolizei) do obozu, wraz z dotyczącymi jej aktami. Wydział Polityczny przejmował więc dalszą opiekę nad aresztowanym (więźniem), licząc się oczywiście z sugestiami zawartymi w owych aktach (częste były w nich nakazy „fizycznej likwidacji" więźniów). Wydział ten czuwał nad wewnętrznym bezpieczeństwem obozu – zwalczając nawet najdrobniejsze przejawy oporu ze strony pojedynczych więźniów czy wewnątrzobozowych organizacji ruchu oporu. Dalej, był personalnym administratorem więźniów, posiadając bezpośrednią pieczę nad główną kartoteką personalną wszystkich więźniów oraz ich osobistymi aktami personalnymi.

Wydział Polityczny podzielony był na:
Dział Przyjęć - Aufnahme Abteilung
Dział Prawny - Rechts Abteilung
Dział Przesłuchań - Verhór Abteilung
Urząd Stanu Cywilnego - Standesamt
Registratura - Registratur
Służba rozpoznawcza - Erkennungsdienst.

Pod Wydział Polityczny podlegały także jego agendy (filie) we wszystkich podobozach podległych komendantowi obozu macierzystego KL Auschwitz. Do zakresu czynności tego wydziału należało: prowadzenie kartoteki personalnej i personalnych akt więźniów, korespondencja z Głównym Urzędem Bezpieczeństwa Rzeszy, placówkami gestapo, SD, Kripo. Ponad to, przejmowanie i rejestracja przybyłych transportów z więźniami, prowadzenie akt zgonu, narodzin, zarządzanie krematorium, czynny udział przedstawicieli tego wydziału w egzekucjach czy selekcjach na rampie.

Kierownikiem Wydziału Politycznego do końca listopada 1943 r. był SS Untersturmführer - Maximilian Grabner, zaś od 1.12.1943 r. do stycznia 1945 r. SS-Untersturmführer - Hans Schurtz. Zastępcą był SS-Untersturmführer

Georg Woznitza. Kierownikiem Urzędu Stanu Cywilnego był - SS-Oberscharführer Walter Quakernack. Zarządcą krematorium - SS-Untersturmführer Leo Wietschorek. Działem przesłuchań kierował: SS-Oberscharführer Wilhelm Boger, SS-Untersturmführer Gerhard Lachmann, SS-Untersturmführer CIaus Dylewski. Przy szczególnie ciężkich wykroczeniach w przesłuchaniach uczestniczyli Grabner i Woznitza. Pomocnikami przy przesłuchiwaniach byli esesmani[24]: SS-Rottenfuhrer Pyschny, Ivanauskas, Florschutz, Kamphus, Voigt, Setnik, Witowski.

Prace administracyjne w Wydziale Politycznym wykonywali więźniowie pod nadzorem kapo (będącego także więźniem). Komando robocze – „Arbeitskommando", składało się z zespołu więźniów zatrudnionych w Dziale Przyjęć, w Registraturze (więźniów żywych i zmarłych), w Urzędzie Stanu Cywilnego.

Zespół więźniów zatrudniony w Dziale Przyjęć miał swoje pomieszczenia robocze na parterze bloku 25 (obok przebieralni i łaźni), w baraku kierowników bloków - „Blockführerstube" przy bramie ze znamiennym napisem „ARBEIT MACHT FREI".

W bloku 25 odbywała się rejestracja więźniów nowo przybyłych do obozu, przydzielano im numery obozowe, wypełniano formularze personalne – „Personalbogen" oraz kartoteki osobowe. W taki sam sposób wykonywali swoje czynności więźniowie lub więźniarki w Birkenau, Monowitz i innych podobozach.

Numery obozowe przydzielane były w KL Auschwitz wg narastającej kolejności i konkretny numer należał do jednego konkretnego więźnia. Numery zmarłych więźniów nie były drugi raz przydzielane. Dla wyjaśnienia, inne serie numerów mieli mężczyźni, inne kobiety, inne Romowie (z dodaniem do cyfr litery Z), więźniowie wychowawczy (do cyfr dodawane były litery „EH"), były także odpowiednie wyróżniki przy numeracji Żydów.

Przy dosyć ogólnikowym przedstawieniu zakresu działalności wszechwładnego Wydziału Politycznego, pora zaznaczyć, że w wymienionej już Registraturze Żywych, pracował główny bohater niniejszego opracowania Marian Gemski (prawdziwe nazwisko – Jan Gembczyk) o numerze obozowym 485, co świadczy o tym, że był więźniem „starym" - stażem więźniarskim.

Więźniowie pracujący w Registraturze, mieli możliwość zapoznawania się ze wszystkimi aktami personalnymi innych więźniów. Mieli więc także możliwość wykradania niektórych informacji i przekazywania ich więźniom, których dane te dotyczyły. Informacje takie przekazywane były osobiście przez więźniów pracujących w Registraturze lub dla własnego bezpieczeństwa drogą pośrednią – przez innych zaufanych współwięźniów. Często były to wskazówki dla władz obozowych, w których określano „zagrożenie" jakie stanowi dla Rzeszy dany więzień. W ten więc sposób, Marian Gemski narażając się na wielkie niebezpieczeństwo, mając możliwość wglądu do akt personalnych,

[24] Esesman – członek SS.

usuwał z nich niewygodne załączniki czy obciążające dowody, a dzięki temu ratował danego więźnia nie tylko od surowej kary, ale często od śmierci. Ponad to, więźniowie zatrudnieni w Dziale Przyjęć, mieli umożliwiony (nieformalny) kontakt z więźniami przebywającymi we wszystkich podobozach, co z kolei umożliwiało przekazywanie im lub odbieranie od nich ważnych informacji, przekazywanie grypsów, świadczenie pomocy w kontaktach z członkami rodzin przebywającymi w różnych podobozach, a także przekazywanie lekarstw do tych podobozów.

Były także inne warunki umożliwiające niesienie pomocy przez pracowników tego zespołu roboczego a ściślej przez trzech jego przedstawicieli – Mariana Gemskiego, Feliksa Myłyka nr ob. 92 i Wilibalda Pająka nr ob. 26790. Wspomniane wyżej kontakty zewnętrzne, były możliwe między innymi wówczas, gdy któryś z wymienionej trójki otrzymał polecenie ustalenia gdzie więzień o konkretnym numerze obozowym pracuje. By to ustalić, trzeba było przejść do głównej „Schreibstuby" znajdującej się w bloku 24. Marian Gemski, Wilibald Pająk i Myłyk, posiadali zezwolenie (byli upoważnieni) na wchodzenie i wychodzenie z obozu w godzinach pracy – gdy uzasadniała to potrzeba wykonywania polecenia przełożonego. Oczywiście zmuszeni byli zgłaszać każdorazowe wyjścia i wejścia przez bramę „ARBEIT MACHT FREI" u dyżurującego tam „Blockführera", odnotowującego to w książce raportowej.

Nieraz konieczne było powielanie tajnych rozkazów komendanta obozu, a to wykonywali także wymienieni już więźniowie, choć w takich przypadkach byli szczególnie pilnowani przez asystującego przy tej czynności esesmana, żeby nie mieli możliwości czytania treści powielanych dokumentów. Mimo to, często udawało się przeczytać jakieś zdanie zdradzające treść rozkazu. Gdy treść taka dotyczyła jakiejś szczególnej akcji podjętej przeciw więźniom w obozie, informacje ta była przekazywana kolegom w obozie. Najczęstszą porą przekazywania sobie takich informacji był wieczór, gdy po apelu więźniowie mogli się wzajemnie spotykać.

Było także moralnym obowiązkiem więźniów zatrudnionych w Wydziale Politycznym – zlecona przez wewnątrzobozową organizację ruchu oporu – walka z konfidentami. Chodziło o rozpracowywanie, działających więźniów konfidentów w obozie. Konfidenci owi przychodzili do pomieszczeń w Wydziale Politycznym na rozmowy z poszczególnymi SS-manami, i wówczas najwięcej mogły zdziałać więźniarki – sekretarki[25], często obecne przy składaniu takich donosów. Sekretarki zapamiętane informacje przekazywały współpracującym z nimi więźniom, a oni ostrzegali więźniów zamieszanych w złożony donos. Innymi słowy, więźniarki i więźniowie pracujący w Wydziale Politycznym, stanowili zespół ludzi pomagających sobie nawzajem, mimo świadomości, że takie „wykradanie" wiadomości z Wydziału Politycznego i przekazywanie ich na użytek więźniów czy organizacji ruchu oporu, było w

[25] Oprócz więźniów mężczyzn, tak w Registraturze jak i obozowym Urzędzie Stanu Cywilnego, od kwietnia 1942 r. zatrudnione były więźniarki – Żydówki.

rozumieniu władz obozowych przestępstwem największym, karanym oczywiście śmiercią.

Bardzo niewiele tekstu poświęciłem bohaterowi niniejszego opracowania, gdyż zaangażowany w pomoc współwięźniom, nie nawiązywał z nimi osobistych kontaktów, ponad niezbędne minimum. Niewiele więc zachowało się Jego relacji o pobycie w obozie i wykonywanej pracy. Gdy jednak rozmawiałem z byłymi więźniami, nazwisko to często wypowiadano z wielką czcią i wdzięcznością za otrzymywaną pomoc. Podczas rozmowy na temat Jana Gembczyka, Karol Miczajka wypowiedział takie znamienne zdanie: *„Ciągła obawa przed zdradą, a zdrada równałaby się śmierci przez rozstrzelenie lub powieszenie, trzymała Jego nerwy w ciągłym napięciu i czyniła Go coraz więcej zamkniętym w sobie”.* Powyżej opisane przykłady pomocy współwięźniom, nie powinny przysłaniać drobnych uczynków, gdyż Janek jako jeden z najstarszych więźniów, korzystając ze swoich znajomości i autorytetu, załatwiał przeniesienie do lepszego komanda roboczego, otrzymanie lepszej odzieży, miski zupy, kartofli czy kawałka chleba. Wiele więc, dobrych czynów, spełnionych bez rozgłosu wobec współkolegów, zapisanych jest na koncie tego niezwykle skromnego człowieka.

Zaznaczam jednocześnie bardzo wyraźnie, że nie umniejszam roli w tak niebezpiecznej działalności pozostałych więźniów pracujących w różnych punktach Politische Abteilung. Przypisuję pewne wątki tej działalności Janowi Gembczykowi, gdyż to o Nim rozmawiałem z byłymi więźniami, a ich informacje, dotyczyły tej konkretnej osoby.

W październiku 1944 r. został wywieziony z KL Auschwitz do KL Gross-Rosen, a następnie do KL Buchenwald. Tam o ironio, w chwili gdy rozpoczynało się oswobadzanie Rybnika, Marian Gemski, a właściwie Jan Gembczyk ginie dnia 13.03.1945 r. Powtórzę więc za Karolem Miczajką – *„On który tak marzył o powrocie do domu i pracy w Nowej Ojczyźnie, użyźnił prochem swoich kości wrogą od wieków ziemię”*.

*

Marginalną działalnością Wydziału Politycznego było (szczególnie w pierwszych latach funkcjonowania obozu), że rodziny zmarłego otrzymywały list kondolencyjny komendanta obozu, w którym wyrażano ubolewanie, że mimo wysiłku w ratowaniu chorego więźnia, nie udało się utrzymać go przy życiu. W tych zawiadomieniach rodzin, informowano również o możliwości otrzymania urny z prochami zmarłego, po wpłaceniu na podane konto 30 RM. Jeśli rodzina wyraziła życzenie otrzymania urny i uiściła wymienioną należność, wyznaczony do tej czynności więzień, dostawał od swojego zwierzchnika polecenie przygotowania urny z prochami więźnia o podanym nazwisku, imieniu, dacie urodzenia i dacie śmierci. Z magazynu urn znajdującego się w jednym z pomieszczeń krematorium, więzień zabierał dowolną urnę wcześniej wypełnioną prochami, na jej denku wybijał metalowymi literami potrzebne dane. Tak przygotowaną urnę odpowiednio zapakowaną wysyłano rodzinie zmarłego.

[...] Nic nas nie wabi i nic nas nie nęci,
Bo przyszłość każdego nam dobrze jest znana
I w jednym da streścić się słowie: Oświęcim,
W tym słowie, co boli Polaka jak rana.
Każdy z nas dzisiaj powtarza pytanie,
Jak wielu nas jutro w tej celi zostanie
Tu, w Sonder Abteilung.

Czasem marzenia fantazję mą pieszczą,
Że jednak ślad jakiś tu po nas zostanie,
Że wdzięczni rodacy nam kiedyś umieszczą
Kamienną tablicę na szarej tej ścianie.
Na niej zaś będą te słowa wyryte:
Tu byli więzieni Polnische Banditen!
In Sonder Abteilung!

Fragment wiersza: **OŚWIĘCIM (In Sonder Abteilung)**
Autor: Mirosław Łebowski , pseud. „Zawisza“

HAŁACZEK LEOPOLD pseud. „Tadek”, „Góra”, „Herman”, „Leopold Wala”,
Więzień więzienia w Cieszynie, KL Auschwitz.

HAŁACZEK LEOPOLD pseud. „Tadek”, „Góra”, „Herman”, „Leopold Wala”,

Urodzony 29.09.1912 r. w Bottrop, pow. Recklinghausen (Westfalia), syn Teofila i Marii z d. Jezusek. Rozpoczął naukę w szkole ludowej w Bottrop, ale przenosząc się z matką do kolejnych miejscowości zmieniał także szkoły. Mieszkał między innymi w Zabetkowie w pow. raciborskim, w Wierzbiu w pow. lublinieckim, i w Krzyżkowicach w pow. rybnickim. Od 1.09.1926 r. wstąpił do Państwowego Gimnazjum w Rybniku i uczęszczał do niego do l.05.1932 r.

Powodem przerwania nauki po sześciu klasach, była choroba a następnie śmierć matki. Od l.11.1932 r. rozpoczął naukę w dwuletniej Szkole Rolniczej w Rybniku – ukończywszy ją 24.03.1934 r. W 1927 r. wstąpił do harcerstwa, a już dwa lata później tj. w 1929 r. założył drużynę harcerską w Krzyżkowicach i kierował nią do l.04.1933 r. – obejmując (w tym dniu) funkcję kierownika Młodzieży Starszoharcerskiej. Na przełomie 1935-1936 r. odbywał służbę wojskową w Dubnie. Po zwolnieniu z wojska, pracował jako urzędnik w kopalni „Charlotta” w Rydułtowach, prowadził równocześnie agenturę ubezpieczeń spółki „Silesia”. W tym samym czasie, działał społecznie jako komendant hufca harcerzy w Rydułtowach.

Od początku wojny zaangażował się w działalność konspiracyjną w okolicy Rybnika. Jesienią 1940 r. zwolniono go z pracy za *„ ... manifestowaną polskość”,* zaś 18.12.1940 r. został aresztowany. Po sześciu tygodniach udało mu się zbiec z więzienia i przy pomocy kolegów z organizacji konspiracyjnej ZWZ przedostał się do Czech, gdzie pod zmienionym nazwiskiem prowadził pracę konspiracyjną (wraz z Janem Margiciokiem i Teofilem Witą) w okolicy Orłowej na Zaolziu jako zastępca komendanta ZWZ/AK – Jana Margicioka. Przez zdradę Edwarda Gałuszki (prawdopodobnie pielęgniarza-medyka z Orłowej a zarazem konfidenta gestapo), 16.01.1943 r. został aresztowany na stacji kolejowej w Bystrzycy, a podczas próby ucieczki, został postrzelony w głowę, ujęty i uwięziony w cieszyńskim więzieniu. Po trzech miesiącach przewieziono go do KL Auschwitz i osadzono w podziemiach bloku 11. Dnia 14.08.1944 r. wraz z trzynastoma innymi więźniami, został przewieziony do miejscowości Kocierz Moszczanicki i tam zginął przez powieszenie w egzekucji publicznej. Po egzekucji, zwłoki 13 więźniów przewieziono do spalenia w krematorium KL Auschwitz.

Bibliografia: Księga Pamiątkowa Państwowego Gimnazjum i Liceum w Rybniku 1922-1947, 1947 r., s. 21; L. Musiolik Rybniczanie słownik biograficzny, Rybnik 2000, s. 63; Ks. K. Szweda Ponieśli swój krzyż, Poznań 1989, s. 97; M. Brzost Rybnicki Inspektorat Armii Krajowej, Katowice 1995, s. 48, 54-58, 76-78, 83, 103-106, 108, 117; Ziemia rybnicko-wodzisławska, pod red. J. Ligenzy, Katowice 1970, s. 275, 276; I. Libura Z dziejów domowych powiatu – gawęda o ziemi rybnickiej, Opole 1984, s. 382; J. Klistała Działacze rybnickiego ZWZ/AK w obozach koncentracyjnych cz. II, Bielsko-Biała 2003, s. 188, 194, 197; Opracowanie W. Łatkiewicza z KARTY GRONI nr XIX Żywiec 1997 r.; Zbiory J. Delowicza.

Na sądzie nieostatecznym w Auschwitz
skazany na męczeństwo łazarz
wskrzesił Boga
który już od dawien dawna
żadnych znaków nie dawał na niebie ani na ziemi
i po tej najświętszej mszy
odprawionej na ołtarzu świata
przez tydzień konał
z ręką wyciągniętą do ludzkości

Po dwu tysiącleciach
odwrócono porządek rzeczy

wiersz: **WSKRZESZENIE BOGA**
autor: Janiusz Koniusz

JASZKOWIE - RODZINA.

JASZKOWIE - RODZINA.

Zajmując się zbieraniem materiałów o wydarzeniach z ponurego okresu 1939-1945, o okupacyjnych losach wielu bliskich mi „krajanów", natrafiałem na powtarzającą się zbieżność pewnych faktów. Otóż, korzenie patriotyzmu osób o których opracowuję wspomnienia, wywodzą się z jakże wielkiego zaangażowania w walkę o polskość już w powstaniach śląskich 1919-1921 (by nie zagłębiać się w odleglejsze wydarzenia). Z rodzin o takich tradycjach, wywodzili się młodzi a waleczni bohaterowie, dla których wzorem byli ich dziadowie i ojcowie. Wielu mężczyzn, zaangażowanych w ruchu oporu - organizacjach konspiracyjnych (szczególnie urodzeni przed 1900 rokiem), to członkowie POW czy POW Górnego Śląska. Natomiast młodzież urodzona po powstaniach śląskich, oprócz wzorców jakie czerpała z zachowań rodziców, pogłębiała patriotyczne wartości przez przynależność do harcerstwa, kształtującego wyjątkowo pronarodowościowy charakter swoich członków przed 1939 rokiem. Stąd i tak wielka aktywność harcerzy w Szarych Szeregach oraz innych organizacjach konspiracyjnych w okresie okupacji hitlerowskiej jak: Siła Zbrojna Polski, Polska Organizacja Powstańcza, Polska Tajna Organizacja Powstańcza, Związek Walki Zbrojnej/Armia Krajowa.

Należy jednak zdecydowanie podkreślać przy pisaniu o zasługach męskiej części śląskiej społeczności – kobiecą jej część, która okazała także przeogromną ilość przykładów heroizmu w walce z najeźdźcą hitlerowskim, za co doznała prześladowań, i oczywiście także ginęła w obozach koncentracyjnych. Często posługuję się jakże wymownymi cytatami z książki Innocentego Libury *Z dziejów domowych powiatu – gawęda o ziemi rybnickiej*. To On jakże wspaniale wypowiada się o śląskich kobietach: *„Sławne matrony śląskie, matki licznych rodzin, strażniczki mowy ojczystej, wiary i obyczaju, towarzyszki swoich mężów i braci w walce o wolność. Im to w wielkiej mierze należy zawdzięczać zachowanie polskości na Górnym Śląsku".*

Ten przydługawy wstęp, wykonałem dlatego, że po pomyłce dokonanej w książce *Martyrologium mieszkańców Ziemi Rybnickiej, Wodzisławia Śl., Żor i Raciborza* (na co zwrócono mi uwagę po wydrukowaniu książki), postanowiłem nieco dokładniej „rozpracować" okupacyjną działalność rodziny Jaszek. Przepraszam więc za popełniony błąd i wyjaśniam właściwe funkcje braci Pawła i Józefa Jaszków w strukturach ZWZ/AK. Muszę jednak z oczywistych powodów rozszerzyć to opracowanie także o rodziców obu braci.

JASZEK JÓZEF (ojciec),

Urodzony w 1888 r., zamieszkiwał w Markowicach k.Raciborza. Tam wstąpił do POW Górnego Śląska, brał udział w powstaniach śląskich, był także bardzo aktywnym, działaczem plebiscytowym. Po powstaniach, ze względu na prześladowania i intrygi niemieckich osadników w Markowicach, zmuszony był stamtąd wraz z żoną Franciszką i czwórką dzieci uchodzić i osiedlił się w Rybniku, gdzie w 1930 r. wybudował dom.

Józef Jaszek (senior) z żoną Franciszką

Cały okres do 1939 r. był pracownikiem PKP – na różnych stanowiskach, a w czasie okupacji wyrzucony został z kolei przez Niemców „za działalność patriotyczną i za to że był powstańcem śląskim". Od tego czasu pracował jako księgowy w młynie. Będąc jednak przez Niemców obserwowany - na tzw. „cenzurowanym", i nie mogąc sam aktywnie włączyć się w działalność ruchu oporu, wspierał „duchowo" działalność synów – szczególnie Pawła i Józefa, którzy w pracę konspiracyjną ZWZ/AK wnosili dosyć wielkie zasługi.

JASZEK PAWEŁ,

Urodzony 1917 r., zaangażowany był w tworzoną przez Stanisława Sobika organizację ZWZ. W czasie okupacji hitlerowskiej, w związku ze swoją pracą agenta handlowego w holenderskiej firmie Romenhellera, handlującej gazami technicznymi i odczynnikami chemicznymi, mógł się dosyć swobodnie przedostawać do Generalnej Guberni i przemieszczać po jej terenie. W uzgodnieniu więc z Sobikiem, wykorzystywał swoje możliwości do pracy kurierskiej w ramach organizacji konspiracyjnej ZWZ/AK, szczególnie do kontaktów i łączności z komendą wojewódzką tej organizacji.
Po masowych aresztowaniach jakie miały miejsce w lutym 1943 r. w Rybniku, Paweł zorientowany o grożącym mu także aresztowaniu, wyjechał do Łodzi i ukrywając się, przeczekał okres okupacji. Po wyzwoleniu, powrócił do Rybnika i pracował w Gazach Technicznych w Rybniku oraz w Pszczynie. Zmarł w 1988 roku.

JASZEK JÓZEF, pseud. „Gawron",
Urodzony 31.08.1914 r. w Markowicach pow. raciborski, syn Józefa i Franciszki z d. Cyfka, zamieszkały w Rybniku. Jako jedyny z rodzeństwa, uczęszczał do rybnickiego gimnazjum i ukończył je maturą w 1935 r. W 1936 roku odbył roczne przeszkolenie w Szkole Podchorążych, a szkołę tę ukończył w stopniu starszego kaprala. W 1938 roku pojechał na studia prawnicze do Poznania, lecz studia przerwał wybuch drugiej wojny

światowej. Wróciwszy do Rybnika, podjął pracę u fotografa, którego pracownia znajdowała się tuż przy zakładzie szklarskim Andrzeja Kaszuby - bardzo zaangażowanego w działalność konspiracyjną. Od początku okupacji szukał kontaktów z ruchem oporu, więc przez znajomość z Andrzejem Kaszubą wstąpił do organizacji konspiracyjnej ZWZ.

Sztab tej organizacji miał początkowo siedzibę w mieszkaniu Kaszubów – do ich aresztowania 23.09.1942 r. W mieszkaniu tym odbywały się też uroczyste zaprzysiężenia. Mając ukończone przeszkolenie wojskowe i kontakty z kolegami gimnazjalistami (Sztajerem, Frosem, Kożdoniem), przydzielony został do struktur wojskowych tej organizacji i pełnił funkcję Zastępcy Dowódcy Kompanii na Okręg Rybnicki, przyczym na krótko przed aresztowaniem tj. około maja 1943 r., otrzymał oficjalną nominację na zastępcę d-cy kompani Antoniego Sztajera, a już po jego aresztowaniu, nadszedł z Krakowa jego awans na podporucznika.

W związku z tym, że w więzieniu mysłowickim podczas przesłuchań ujawnione zostało jego nazwisko, został aresztowany 25/26.06.1943 r. i przewieziony do tegoż więzienia śledczego w Mysłowicach gdzie przebywał od czerwca 1943 r. do stycznia 1944 r. Po śledztwie, przesłano go do więzienia policyjnego we Wrocławiu, gdzie przebywał kilka dni. Stamtąd, przeniesiony został do KL Gross-Rosen i tam zarejestrowano go w obozowej ewidencji jako więźnia nr 18473. Po kilku dniach kolejny raz przeniesiony do KL Buchenwald i tam zarejestrowano go jako więźnia nr 38545.

Dla uściślenia faktów - był w różnych podobozach m.in. pracował w zakładach remontowych lokomotyw i w podziemnej fabryce samolotów Junkers, oraz przy produkcji pierwszych niemieckich odrzutowców, a fabryka ta mieściła się w podziemiach kopalni soli. W KL Buchenwald przebywał od marca 1944 r. do kwietnia 1945 r. – do wyzwolenia obozu.

W końcowym okresie funkcjonowania obozu, kiedy jednostka SS ewakuowała więźniów na zachód, i wówczas Józef, żeby nie dostać się w ręce Rosjan, wraz z kilkoma współwięźniami dokonali ucieczki (z noclegu w stodole, w której byli na noc zamknięci i tak stłoczeni, że drzwi się nie domykały). Dostali się do jakiegoś ogrodnictwa w którym były brogi z ziemniakami. Zrodzona świadomość, że są w pobliżu tak wielkiej spiżarni z „artykułami spożywczymi" (ogromne ilości ziemniaków w kopcach), nie chcieli się oddalać od tego miejsca. Trudno jednak dziwić się tak wygłodniałym więźniom, skoro Jaszek wspomina, że po powrocie do domu, jako 31 letni mężczyzna przy wzroście 167 cm ważył zaledwie 29 kg. Z okresu obozowego – gdy opowiadał swoim bliskim, zawsze podkreślał doskwierający głód oraz psy, którymi ss-mani straszyli więźniów – „szczując psy na więźniów". Świadomość Józefa Jaszka była owym napuszczaniem psów na więźniów (straszeniem) tak wypełniona, że

jeszcze wiele lat po powrocie do domu, budził się w nocy z przerażeniem – chcąc uciekać przed goniącymi go psami ss-mańskich wartowników!

Po wyzwoleniu obozu, przebywał w amerykańskim obozie przejściowym w Zagłębiu Ruhry. Do Polski wrócił w 1947 r. Ożenił się w 1948 r. z Joanną Palica, a z małżeństwa tego urodziła się czwórka dzieci: Danuta, Czesław, Adam i Stanisław. Do renty, na którą przeszedł w 1975 r., pracował w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Hurtu Spożywczego w Rybniku. Zmarł w 1981 r.

Postscriptum

Wielokrotnie opowiadał rodzinie o spotkaniach konspiracyjnych w zakładzie szklarskim Kaszuby i w Zebrzydowicach u Kufiety. Z opowiadań tych wymieniał znajome nazwiska Kuczaty, Paszek, Miczajka. Przedstawiał także wersję wydarzeń do okoliczności aresztowań członków ZWZ/AK w lutym 1943 r. Na początku lutego, miało się odbyć zebranie ZWZ/AK - na osiedlu „Maroko" albo w Zebrzydowicach. Wówczas, złe przeczucie nakazywało mu zrezygnować z udziału w tym zebraniu, a jak się okazało, uczestniczył w nim zdrajca Ziętek. Józef Jaszek zdecydowawszy się jednak wbrew wewnętrznym oporom na uczestnictwo w tym spotkaniu - spóźnił się, a któryś z jego kolegów ciągle mówił „Jaszka jeszcze nie ma i nie ma" (mimo, że każdy posiadał pseudonim, na zebraniach, używali prawdziwych nazwisk co okazało się błędem w tamtejszych konspiracyjnych okolicznościach). Zdrajca Zientek, nie znał Jaszka osobiście, ale znał osobę o nazwisku Paszek – a więc podobnie brzmiącym, i wskutek tego podobieństwa nazwisk pomylił oba nazwiska – podając (prawdopodobnie) do gestapo zamiast Jaszek – nazwisko Paszek, mimo że Paszek nie działał w konspiracji. Znamiennym jest fakt, że właśnie wszyscy uczestnicy tego zebrania zostali aresztowani w pierwszych masowych aresztowaniach w lutym 1943 r., z tą poprawką, że zamiast Jaszka – aresztowany został Paszek.

JASZEK LUDWIK,

Trzeci syn Józefa (ojca) - w okresie okupacji nie był zaangażowany w działalność konspiracyjną, a po wyzwoleniu pracował - do emerytury w rybnickiej RYFAM-ie. Zmarł w 1982 r.

Nie można pominąć w tym rodzinnym zespole rodziny Jaszków, teścia Józefa Jaszka (syna):

PALICA TEODOR,

Urodzony w 1890 r. w Markowicach, członek POW Górnego Śląska, powstaniec śląski i działacz plebiscytowy. Z Markowic musiał się „wynieść" z powodu prześladowań tych, którzy nie mogli mu darować udziału w powstaniach i opowiedzenia się w plebiscycie za Polską.

Osiedlił się w Rybniku i w 1936 r. wybudował tam dom. Przed wojną pracował w PKP jako maszynista parowozu, a po wyzwoleniu 1945 r. pracował

w parowozowni w Rybniku i został jej kierownikiem w końcu lat 50-tych. W okresie okupacji także pracował na kolei, lecz Niemcy znając jego przeszłość powstańczą, zdegradowali go do „pomocnika robotnika”.

Nie mogąc się osobiście angażować w działalność konspiracyjną – był także na cenzurowanym, służył doradztwem młodszym kolegom z ruchu oporu.

Często w rodzinnym gronie wspominał osobę Stanisława Sobika, gdyż znał go z okresu przedwojennego i jak wielu znajomych – znał jego niemal wzorcowe pojmowanie patriotyzmu. Spotykał się także z Sobikiem w początkowym okresie okupacji – który wyrzucony z pracy na poczcie, otrzymał w końcu zatrudnienie w kasie biletowej na kolei – na stacji Obszary.

Teodor Palica do 1951 był kierownikiem parowozowni, lecz na skutek donosu (powstańcy śląscy byli szykanowani) został aresztowany przez UB i w tymże 1951 r. skazany na 1 rok więzienia pod wymyślonem pretekstem „sabotażu”. Po wyjściu z wiezienia przeszedł na emeryturę, a w 1959 zastał zrehabilitowany. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Można jedynie dodać jako ciekawostkę to, że zaraz na początku okupacji został wyrzucony ze swojego budynku (obecnie ul. Mariańska) więc zamieszkał w malutkim mieszkaniu w dzielnicy Rybnika – „Meksyko”, zaś w jego domu zamieszkał znany gestapowiec Mańka.

Bibliografia: Relacja Danuty, Stanisława i Adama Jaszek.

pamięci ofiar Oświęcimia

szli
świeżo spadłym
deszczem ledwie wlokąc
nogi

za bramą
gdzie arbeit
miała frei machen
przystanęli
na halt konwojenta

jutro będzie nareszcie pogoda
ktoś stwierdził
dostrzegłszy
jak dym z krematorium
drogą najkrótszą

zdąża do nieba

wiersz: **WRÓŻBA**
autor: Henryk Mażul

HANUSZ JÓZEF,

Więzień nr 1270 KL Auschwitz.

HANUSZ JÓZEF,
Urodził się 30.12.1017 r. w Zabrzu. Z nastaniem okupacji działał w ruchu oporu. Aresztowany przez gestapo 15.04.1940 r., przewieziony do KL Auschwitz i tam więziony 22.06.1940 r. do 27.01.1944 r. Po wyzwoleniu pracował w dyrekcji Rybnickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego w Rybniku, bardzo zaangażowany w działalność Klubu Sportowego „Spójnia" Rybnik. Członek Związku Byłych Więźniów Politycznych. Zmarł 4.02.1972 r. Spoczywa na rybnickim cmentarzu.
Tyle informacji zapisanych jest w *Słowniku Biograficznym* autorstwa Longina Musiolika.

*

Zaznaczyłem w opracowaniu o Janie Gembczyku, że wobec kilku rybniczan trudno ustalić w jakiej organizacji konspiracyjnej byli zaangażowani, ale istniał jakiś konkretny-uzasadniony powód dla gestapo, by ich aresztować i przesłać do KL Auschwitz. Tam natomiast, w tych wyjątkowo ekstremalnych warunkach obozowego bytu, okazywali szczególną pomoc współwięźniom z Rybnika. Józef Hanusz jest między innymi tą własnie osobą, o której wyjątkowo serdecznie wypowiadał się Karol Miczajka - łączyły ich bardzo bliskie związki koleżeńskie. Inni moi rozmówcy także wypowiadali się pochlebnie o Hanuszu, w nawiązaniu do jakże cennej pomocy jakiej doświadczyli od niego w KL Auschwitz.

Losy obu kolegów wielokrotnie się łączyły. Uczęszczali do tej samej klasy w szkole powszechnej w Rybniku – w latach 1925 do 1928. W latach 1930 do 1934 razem uczyli się w Państwowym Gimnazjum. W roku 1934 Józef Hanusz wyjechał z Rybnika i uczył się w szkole podoficerskiej, a po jej ukończeniu, jako podoficer, musztrował studentów – podchorążych Studium Wojskowego - Legii Akademickiej. Ponieważ Karol Miczajka był studentem Akademii Handlowej w Krakowie, więc spotkali się kolejny raz na wspomnianym „musztrowaniu" studentów.

Wybuch wojny w 1939 r., spowodował ponowne rozstanie się i zmianę planów życiowych. Hanusz jako wojskowy brał udział w kampanii wrześniowej, natomiast Miczajka przerwał studia, wrócił do rodzinnego Rybnika i zaangażował się w działalność konspiracyjną.

Hanusz Józef wraz z bratem Jerzym, zostali aresztowani 15.04.1940 r. i uwięzieni w KL Auschwitz, gdzie Józef zarejestrowany w obozowej ewidencji otrzymał nr 1270, zaś Jerzy nr 1091. Niewiele można się dowiedzieć o ich losie w obozie z okresu od aresztowania do chwili tragicznej śmierci Jerzego, kiedy to został rozstrzelany dnia 18.08.1942 r.

Z Karolem Miczajką Józef spotkał się, gdy Karol po okresie przesłuchań w Politische Abteilung, przeniesiony został 16.03.1943 r. „na pobyt w obozie". Tam bowiem w KL Auschwitz, Karol i inni Rybniczanie, w tym pierwszym zetknięciu się z bezwzględną obozową rzeczywistością, byli bardzo zalęknieni i zagubieni. Wówczas więc otoczeni zostali opieką starych (stażem obozowym)

więźniów jak Wojciech Barcz (prawdziwe nazwisko Gerard Petters), Marian Gemski (prawdziwe nazwisko Jan Gembczyk) i właśnie Józef Hanusz.

W dosyć ograniczony sposób (ze względu na brak dokładnych danych) przedstawiłem działalność Gembskiego - w opracowaniu jemu poświęconym. Józef Hanusz pracował w Effektenkammer tj. w komandzie gdzie miał możliwości „organizowania" różnych części ubrania, butów lub bielizny. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że tego rodzaju „możliwość" i dostęp do atrakcyjnych rzeczy, stwarzała szansę na polepszenie własnego bytu oraz możliwość pomocy innym współwięźniom. Wyraźnym przykładem niech będzie to, że Hanusz, mając dobre układy w obozowym wydziale zatrudnienia i na prośbę Karola Miczajki załatwił przeniesienie Stanisława Sobika z komanda „Kiesgrube[26]" – do „Gerätekammer" czyli do magazynu sprzętu siodlarskiego, gdzie razem z Miczajką konserwowali wyroby skórzane. Po rozstrzelaniu Stanisława Sobika 25.06.1943 r., także Karolowi załatwił zmianę pracy – do komanda „Kartoffelkeler", gdzie zatrudniony został przy prowadzeniu księgowości w magazynie ziemniaków, kapusty i innych warzyw, składowanych w piwnicach pod blokami 16 i 17 oraz 6 i 7.

Przez kilka miesięcy spali obok siebie na tym samym bloku 16a. Hanusz pomagał jak to już wspomniałem także innym Rybniczanom, którzy potrzebowali pomocy. Po prostu nie mógł nie reagować - przejść obok współwięźnia obojętnie, gdy ten znajdował się w potrzebie. Były to na pozór drobne usługi bo załatwienie czegoś do jedzenia tj. chleba, zupy, lub dodatkowego ubrania, bielizny. Tam w obozie, te niby tak drobne formy pomocy, znacząco wpływały na przetrwanie w ekstremalnych obozowych warunkach!

Hanusz został zwolniony z obozu 27.01.1944 r. Zapewne, mając możliwości pomagania innym, pomyślał i o sobie – by wydostać się z obozowego piekła. Przy pożegnaniu z Karolem Miczajką, podarował Mu walizkę z zawartością strzykawek, różnych środków opatrunkowych, a także niektórych lekarstw w tym zastrzyków. Miczajka zaniósł te cenne artykuły medyczne dr Władysławowi Feiklowi nr obozowy 5647 - lekarzowi na Haftlinks-Krankenbau blok 28 i 29, któremu więźniowie zawdzięczali szczególną troskę i opiekę medyczną. Gdy bowiem Miczajka zachorował w okresie pobytu w bloku kwarantanny – na rozległe zapalenie płuc (Bronchopneumonia), lekarz ten bardzo troskliwie opiekował się Miczajką i pomógł zwalczyć chorobę.

Po zakończeniu okupacji hitlerowskiej, spotkali się z Karolem Miczajką w znacznie lepszych okolicznościach, razem pracowali w Rybnickim Zjednoczeniu Przemysłu Węglowego. Józef Hanusz zmarł na zawał serca 7.02.1972 r.

*

[26] „Kiesgrube" – Żwirownia, w której pracowali więźniowie.

Na temat Jerzego Hanusza urodzonego 21.04.1919 r., który został rozstrzelany dnia 18 sierpnia 1942 r., znalazłem kilka informacji w Biuletynie Nr 15 Towarzystwa Opieki Nad Oświęcimiem z września 1992 r. Od strony 38 do 48 wymienionego biuletynu, dr Irena Pająk w artykule: *Pamięci więźniów KL Auschwitz-Birkenau rozstrzelanych 18 sierpnia 1942 r.* przedstawia w oparciu o dostępną dokumentację, okoliczności dokonanej w dniu tym egzekucji na 56 więźniach i wykaz rozstrzelanych.

Przy tym samym artykule, dr Pająk przedstawia wybrane i wstrząsające przykłady zabijania więźniów przez SS-manów chociażby w okresie od 15 marca do owego 18 sierpnia 1942 r.:

15 marzec (niedziela)	*- podczas południowego apelu pijani SS-mani zabili w Birkenau 131 więźniów*
19 marzec	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 144 kobiety, przywiezione z więzienia w Mysłowicach*
22 marzec (niedziela)	*- podczas południowego apelu pijani SS-mani zabili w Birkenau 106 więźniów*
23 marzec	*- po masakrze w niedzielę zabito w Birkenau znowu 103 więźniów*
29 marzec	*- w Birkenau zabito 151 więźniów, w tym 121 Polaków*
03 kwiecień	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 11 więźniów*
12 kwiecień (niedziela)	*- w Birkenau zabito 83 więźniów*
27 maj	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 168 więźniów aresztowanych 16 kwietnia w kawiarni plastyków w Krakowie*
04 czerwiec	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 12 więźniów z karnej kompanii*
06 czerwiec	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 9 więźniów z karnej kompanii*
10 czerwiec	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 13 więźniów*
11 czerwiec	*- za bunt więźniów przy budowie „Konigsgraben" w Birkenau uśmiercono 340 więźniów, w tej liczbie 20 więźniów z karnej kompanii zastrzelono, 320 zagazowano*
12 czerwiec	*- za przynależność do ruchu oporu na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 60 więźniów, w tym 44 ze Śląska, 8 z Krakowa i 8 z Radomia*
14 czerwiec	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 205 więźniów, w tym około 100 z Warszawy, pozostali niemal z całej Polski, przybyli do obozu w latach 1940 –1942*
17 czerwiec	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 120 więźniów z Radomia, Warszawy, Krakowa, Tarnowa i Lublina*
19 czerwiec	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 50 więźniów*

25 czerwiec	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 10 więźniów z Krakowa i 12 z Katowic*
02 lipiec	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 10 więźniów z Katowic*
16 lipiec	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 50 więźniów*
23 lipiec	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 14 więźniów*
07 sierpień	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 20 więźniów*
14 sierpień	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 60 więźniów*
18 sierpień	*- na dziedzińcu bloku 11 zastrzelono 56 więźniów*

W nawiązaniu do tych faktów dr Irena Pająk konkluduje:

„Z tych suchych danych wynika, że do więźniów strzelano między innymi dla zabawy po pijanemu, szczególnie w niedzielę. Więźniów rozstrzeliwano za wydarzenia rozgrywające się poza obozem: za akcje sabotażowe, zamachy na hitlerowskich dygnitarzy (27 maja) czy akcje partyzanckie (28 października). W obozie miało więc miejsce odbicie wydarzeń w kraju, żyjącym pod okupacją hitlerowską.

Odwetowy charakter miało także rozstrzelanie 56 więźniów dnia 18 sierpnia 1942 r. Podczas porannego apelu wywołano 56 numerów polskich więźniów politycznych, którym polecono stawić się do więźniarskiej Schreibstuby. Numery te zostały do niej wcześniej dostarczone przez oddział polityczny obozu. Wszyscy wywołani więźniowie zostali skierowani do obozu przez katowickie gestapo. Ustawiono ich piątkami i w otoczeniu Blockführerów odprowadzono na blok 11. Skazani więźniowie śpiewali tu hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła”. Egzekucji dokonał pod Ścianą Straceń Gerhard Palitzsch.”

Jest także w artykule na który się powołuję takie oto zdanie, dotyczące Jerzego Hanusza:

„Jerzy Hanusz – pochodził z inteligenckiej rodziny w Rybniku, gdzie pracował jako urzędnik. Przywieziony do obozu w pierwszym transporcie śląskim. Przed egzekucją pracował w obozie w Effektenkammer. Miał medalik z wizerunkiem św. Jerzego. Przed pójściem na rozstrzelanie podarował go swemu koledze, również Jerzemu. Jest nim więzień nr 25156 Jerzy Warzecha, przybyły do obozu transportem warszawskim. Medalik ten towarzyszył mu przez całą gehennę obozową, łącznie z pieszą ewakuacją i późniejszym pobytem w KL Mauthausen, gdzie udało mu się przemycić pod językiem”

Olbrzymi tłum
Szkieletów, które idą ...
Czy one mają dusze?
I pyta ktoś: dusze?
I oczy zuchwale unosi.
Tak. Dusze.
Ale czy cierpią one,
Czy cierpią?...
I znika wzrok,
I znów
Są tylko
Kości, kości, kości...

wiersz: **WIĘZIENIE HITLEROWSKIE**
autor: L.-D. Rubinstein-Virolleau

KASZUBA ANDRZEJ,

Więzień KL Mauthausen

KASZUBA ANDRZEJ,
Urodzony 6.02.1902 r., mieszkaniec Rybnika w latach międzywojennych, właściciel zakładu szklarskiego. Z nastaniem okupacji, tak Andrzej jak i żona Stefania, zaangażowali się w działalność konspiracyjną wstępując do organizacji Związek Walki Zbrojnej. W Ich mieszkaniu przy Placu Wolności w Rybniku, mieściła się rybnicka komenda ZWZ, tam też odbywały się pierwsze zebrania organizacji, zaprzysięgano pierwszych członków ZWZ. Zakład szklarski znajdujący się przy mieszkaniu, doskonale „maskował" konspiracyjną działalność komendantury ZWZ od momentu powołania organizacji do życia w 1940 r. do drugiej dekady września 1942 roku.
Przez zdradę, miejsce to zostało zdekonspirowane. W dniu 23.09.1942 roku, aresztowano Andrzeja i Stefanię Kaszubów oraz przebywającego u Nich siostrzeńca Stefanii – Władysława Derwisza.

Przewiezieni zostali do obozu przejściowego Polenlager nr 56 w Lyskach. Z pamiętnika Stefanii Kaszubowej można wyczytać: „*Obchodzono się z nami brutalnie. Zabraliśmy tylko to, w co byliśmy ubrani. Cały dorobek naszego życia musieliśmy pozostawić. Mieszkanie zostało opieczętowane…"*. W pamiętniku Stefana Kuczatego, opublikowanym w jednym z rozdziałów niniejszej książki, opisany jest sposób zlikwidowania przez Kuczatego dokumentów organizacji, które w zakładzie szklarskim i mieszkaniu Kaszubów się znajdowały.

Z obozu przejściowego w Lyskach, dnia 12 lutego 1943 r., przewieziono Stefanię i Andrzeja do siedziby gestapo w Rybniku. Tam spotkali się z aresztowanymi przez zdradę Jana Zientka i wstępnie przesłuchanymi członkami ZWZ/AK, (między innymi ze Stanisławem Sobikiem, wymienionym powyżej Stefanem Kuczatym, Karolem Miczajką, Janem Klistałą i około 60 innymi członkami tej organizacji).

W dniu 13.02.1943 przewiezieni zostali do KL Auschwitz i ulokowani w bloku 2a. Blok ten od pierwszych dni lutego 1943 r. oddany był do dyspozycji Wydziału Politycznego – gdzie wszystkie umieszczone tam osoby, musiały przejść procedurę brutalnych przesłuchań.

Po zakończeniu przesłuchań, męzczyźni stawali się więźniami w pełni słowa tego znaczeniu i „przekazywani" na pobyt w obozie macierzystym KL Auschwitz lub wysyłani do innych obozów koncentracyjnych. Kobiety przekazywane były do Birkenau lub wysyłane do innych obozów kobiecych.

Andrzej Kaszuba przewieziony został do Mauthausen, gdzie zginął dnia 8.07.1943 r godzinie 14:18. Stefania Kaszubowa została przekazana na pobyt w obozie kobiecym w Birkenau i otrzymała numer obozowy 38925.

Cóż opowiem o Lublinie i Krakowie
O starej Wieliczce czy o teatrach w Warszawie
Gdy serce krwawi w usianej głazami Treblince
Na Majdanku zaczarowanym w koszmarnej ciszy
Krzyczących do nieba baraków
W Oświęcimiu, na którego dźwięk
Dusza we mnie zamiera —

Jaki sens mają dobre wrażenia
Gdy ciążą na mnie miejsca i dusze wykreślone
z powierzchni ziemskiej

Jestem wszakże turystką grobów, nawet
Tych nie istniejących

wiersz: **TURYSTKA GROBÓW**
autorka: Halina Birenbaum

KASZUBA-ŁĘGOWSKA STEFANIA,

Więźniarka KL Auschwitz nr 38925.

KASZUBA-ŁĘGOWSKA STEFANIA,

(Opracowane na podstawie wspomnień Stefanii Kaszuby-Łęgowskiej)

Z nazwiskiem Kaszuba, podobnie jak z nazwiskiem Sobik, kojarzą się początki działalności Związku Walki Zbrojnej w Rybniku. W książce Alfonsa Mrowca, na którą często się powołuję, pojawia się taka oto wzmianka: *Kwatera powiatowej komendy mieściła się początkowo u mistrza szklarskiego Kaszuby w Rybniku na Placu Wolności. Tam koncentrowała się łączność z całym terenem Rybnickiego. Tam odbierano przysięgę od nowych rybnickich członków. Stąd rozchodziły się rozkazy do komórek terenowych. Gdy jednakże pod koniec 1942 r. Kaszuba został przez gestapo aresztowany i zesłany do obozu koncentracyjnego, obawa kom. St. Sobika o los organizacji była dość wielka, skoro dla zatarcia wszelkich śladów spalono dokumenty ZWZ.*[27]

W podobny sposób pisze o tamtych wydarzeniach Wacław Wieczorek w książce *Rybnik. Zarys dziejów miasta od czasów najdawniejszych do 1980 roku*.[28] Są to dosyć skromne informacje, poza tym mowa jest jedynie o Andrzeju Kaszubie, podczas gdy w działalność ZWZ równie mocno zaangażowana była jego żona – Stefania Kaszuba.

Miałem to wielkie szczęście, że drugi mąż Stefanii Kaszubowej - Józef Łęgowski, pozwolił mi zapoznać się z pamiętnikiem, który jego żona zapisała na 67 kartkach szkolnego zeszytu. Wspomnienia przedstawiają dosyć szczegółowo początkowy okres okupacji hitlerowskiej w Rybniku, moment aresztowania małżeństwa Kaszubów, okres śledztwa i przeżycia w KL Auschwitz-Birkenau, ewakuację z obozu na teren Niemiec. Wspomnienia osoby, która doświadczyła tak bolesnych przeżyć, budzą odruch serdeczności, a zarazem zmuszają do głębokiej refleksji. Do tekstu wprowadziłem niezbędne zmiany stylistyczne i interpunkcyjne. Niektóre informacje znajdujące się w tekście opatrzyłem przypisami, które zawierają dodatkowe wyjaśnienia i sprostowania.

* * *

Stefania Kaszuba (z domu Mozgała) urodziła się 26.02.1909 r. w Karniowicach. Jej mąż, Andrzej, urodził się 6.02.1902 r. Oboje zostali aresztowani przez gestapowców 23.09.1942 r. i osadzeni w obozie przejściowym w Lyskach koło Rybnika. Dnia 12.02.1943 r. przewieziono ich do budynku gestapo w Rybniku, a stamtąd transportem zbiorowym do KL Auschwitz. Po zakończeniu śledztwa, Stefanię skierowano do KL Birkenau, a jej męża Andrzeja wywieziono do KL Mauthausen, gdzie zginął 8.07.1943 r.

Stefania doświadczyła w obozie wielu cierpień, a następnie równie ciężki był dla niej okres ewakuacji do Niemiec. Po wyzwoleniu przedostała się do Francji, gdzie w 1946 r. ponownie wyszła za mąż przyjmując nazwisko Łęgowska. Do kraju wróciła wraz z mężem w 1947 r.

---

[27] Alfons Mrowiec, *Z dziejów okupacji…*, s. 25.

[28] Zob. *Rybnik. Zarys dziejów...*, s. 243; autor pomylił tam imię Kaszuby – Stanisław zamiast Andrzej.

Wspomnienia

W pierwszym dniu wojny o godzinie ósmej rano wojska niemieckie wkroczyły do Rybnika. Pierwsi wjechali motocykliści, za nimi lekkie czołgi. Niemieckie samoloty ostrzeliwały wycofujące się polskie oddziały. Był to dla nas bardzo przygnębiający widok. Rybniccy Niemcy, których było niemało, witali swoich ziomków flagami ze swastyką. Nowe porządki okupanta przynosiły coraz więcej niespodzianek dla nas, Polaków, ale życie pojedynczych ludzi musiało się toczyć normalnym trybem, tak jakby się nic nie wydarzyło.

Początki okupacji były trudne, nie było kartek żywnościowych, tyle że z czasem – dzięki znajomościom – stało się znośniej. Przynoszono mi do domu słodycze i żywność. Miałam ich tyle, że mogłam nimi obdzielać gorzej sytuowane polskie rodziny. W naszym zakładzie szlifierni i wyrobu luster zatrudnialiśmy przed wojną w charakterze agenta Maksa Miedniaka, gdyż po przyłączeniu do Polski Zaolzia przybył nam duży rynek zbytu do obsłużenia. Dwa tygodnie przed wkroczeniem wojsk niemieckich do Rybnika nasz agent przestał stawiać się do pracy. Byliśmy przekonani, że zachorował i pozostał w domu. Czwartego dnia po rozpoczęciu się okupacji Miedniak przyjechał na motorze, który był własnością zakładu, w mundurze SA. Byliśmy przekonani, że chce przejąć naszą szlifiernię, gdyż było wtedy w Rybniku wielu treuhenderów[29], którzy odbierali zakłady polskim właścicielom. Miedniak powiedział jednak, że zakładu nie przejmie, ale motocykla nie odda, bo jest mu potrzebny. Przestał też u nas pracować jako agent. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że został burmistrzem w Żorach, miejscowości oddalonej o 12 km od Rybnika. Jak się później okazało, przywłaszczył sobie motocykl, aby przywozić do naszego zakładu mięso, wędliny i inne artykuły spożywcze, które my mogliśmy przekazywać słabo sytuowanym rodzinom Polskim – oczywiście bezpłatnie.

W niedzielę, w odpust św. Franciszka, wyszliśmy z domu na ul. Sobieskiego i natknęliśmy się na maszerujący oddział Hitlerjugend, prowadzony przez Szymika i Grabowskiego. Szymik – treuhender u fryzjera Korbasiewicza – podchodził do stojących na chodniku i bił po twarzy wszystkich tych, którzy nie podnieśli ręki do góry i nie zawołali *„Heil!”*. Oberwało się także mojemu mężowi i szwagrowi. W pierwszym odruchu sparaliżowało nas, gdyż stało się to tak nagle. Całe to zajście obserwował z pierwszego piętra swojego mieszkania Niemiec o nazwisku Burchard, dentysta osiadły przed wojną w Rybniku. Oburzony postępkiem Szymika, postarał się o usunięcie go z przejętego po Korbasiewiczu zakładu oraz o przeniesienie go poza teren Rybnika.

Po pewnym czasie wezwano nas na gestapo, gdzie zaproponowano nam podpisanie volkslisty. Odmówiliśmy tłumacząc, że nie mamy nic wspólnego z niemiecką narodowością. Po naszej odmowie Niemcy powiedzieli, że nie pozwolą nam prowadzić dalej zakładu, na co byliśmy zresztą przygotowani. Mieliśmy jedyną szlifiernię szkła i wyrobów luster w Rybniku. Zdziwiło nas

---

[29] *treuhender* (z niem. *Treuhänder*) – hitlerowski komisaryczny kierownik placówki gospodarczej odebranej Polakom.

tylko to, że jeden z gestapowców – usłyszawszy naszą odmowę – wstał, poklepał męża w ramię i powiedział, że takich ludzi im potrzeba. Dowiedzieliśmy się, że zbierano o nas opinie wśród miejscowych Niemców, i że wypadły one bardzo pozytywnie.

Prześladowania Polaków nasilały się z dnia na dzień, więc u miejscowych patriotów zrodziła się myśl założenia organizacji konspiracyjnej. Powołany został do życia Związek Walki Zbrojnej. Zebrania oraz zaprzysiężenia członków odbywały się początkowo w naszym mieszkaniu przy ul. Sobieskiego 14 w podwórzu. Przed krzyżem, obok którego zapalone były dwie świece, przysięgę odbierał komendant ZWZ, Stanisław Sobik. Także i ja złożyłam przysięgę wierności ojczyźnie i zachowania tajemnicy. Zostałam w ten sposób od 1941 r. pełnoprawnym członkiem ZWZ, a moim przełożonym był wymieniony już Stanisław Sobik. Byłam w owym czasie jedyną zaprzysiężoną kobietą i znałam tylko ograniczoną liczbę osób działających w ZWZ. Moim zadaniem było utrzymywanie łączności i przekazywanie danych związanych z organizacją.

Ktoś nas jednak zdradził – któregoś ranka we wrześniu 1942 r. obudziło mnie i męża kopanie do drzwi. Funkcjonariusze gestapo – czterech mężczyzn i jedna kobieta – aresztowali nas, a także przebywającego u nas w tym czasie mojego siostrzeńca, Władysława Derwisza. Obchodzono się z nami bardzo brutalnie. Zabraliśmy tylko to, w co byliśmy ubrani. Cały dorobek naszego życia musieliśmy pozostawić. Mieszkanie zostało opieczętowane, a po kilku dniach przyjechały wozy z Breslau[30] i zabrano meble wraz z ubraniami i biżuterią. Zakład szlifierski wraz z parkiem maszynowym i kompletnym wyposażeniem przejął Wincenty Ksol z Rybnika. Mimo, iż był jedynie treuhenderem, wywiesił tablicę z informacją, że to on założył ten zakład. Owa sfałszowana tablica do dziś znajduje się w rybnickim ratuszu.

Przez pewien czas więzieni byliśmy w obozie przejściowym w Lyskach[31]. Do obozu tego przyszła Niemka Moskwowa z Suminy. Miała ona dwóch synów w Wehrmachcie, co pozwalało jej „wybrać" sobie spośród więźniarek pomoc domową. Poprosiła komendanta, aby do tego zadania wyznaczył właśnie mnie. Pani Moskwowa znała mnie tylko z opowiadania i nie miała właściwie dla mnie żadnej pracy. Chciała mi tylko pomóc. Jedynym zajęciem, jakie mi wyznaczyła, było wychodzenie z dzieckiem na przechadzkę.

Na początku w drodze z obozu do Suminy i z powrotem eskortował mnie wartownik – szupok. Z czasem jednak nabrano do mnie zaufania i chodziłam do pani Moskwowej bez eskorty. Postanowiłam wykorzystać tę swobodę. Zorganizowałam sobie dużą chustę na głowę i wiejskie ubranie – takie, jakie kobiety nosiły na co dzień na Śląsku. Nie zdradzając nikomu swoich zamiarów wsiadłam w Suminie do pociągu i pojechałam do Rybnika. Wychodząc z dworca natknęłam się na zupełnie zaskoczonego moim widokiem

---

[30] *Breslau* (niem.) – Wrocław.

[31] Obóz przejściowy - Polenlager nr 56 w Lyskach.

Stanisława Sobika. Nie wdając się ze mną w dłuższą rozmowę kazał mi iść do swojego mieszkania, gdzie była jego żona – co oczywiście uczyniłam. Następnie, zachowując wielką ostrożność, udałam się do naszego wspólnego znajomego i przyjaciela, doktora Siedleczki, a później do Stefana Kuczatego, naszego byłego księgowego. Kuczaty był zaprzysiężonym członkiem naszej organizacji i sprawował pieczę nad aktami ZWZ, przechowując je w odpowiednim schowku. Po naszym aresztowaniu zadziałał tak skutecznie, że nie natrafiono na żadne obciążające nas dokumenty.

Po skontaktowaniu się z zaufanymi osobami, wróciłam do Suminy w towarzystwie najbliższych z organizacji. Pani Moskwowa była bardzo przerażona takim obrotem sprawy. Nie wiedziała, czy ma zgłosić, że nie byłam w pracy – była przecież za mnie odpowiedzialna. Za przemilczenie mojego wykroczenia została sowicie obdarowana, ale zanim wróciłam do obozu w Lyskach, musiałam jej przyrzec, że to się więcej nie powtórzy. O mojej eskapadzie do Rybnika wiedzieli w obozie tylko najbliżsi. Od tej pory doktor Siedleczka, któremu opowiedziałam o warunkach w obozie, dostarczał nam lekarstwa – dowoził je autobus kursujący między Rybnikiem a Lyskami. Leki te przekazywaliśmy potrzebującym za pośrednictwem lekarza obozowego, który pochodził ze Lwowa. Monotonię obozowego życia mąciła ciągła niepewność co do naszego dalszego losu. Mojego siostrzeńca, Władysława Derwisza, wywieziono z Lysek gdzieś na roboty.

W lutym 1943 r. przyjechały do obozu samochody z gestapowcami. Lagerführer, zdenerwowany wizytą gestapo, wpadł na teren obozu szukając mnie i męża. Gdy mnie zobaczył, kazał mi iść po Andrzeja zatrudnionego przy wydawaniu mleka. Mieliśmy jak najszybciej stawić się u niego w kancelarii. Gdy wreszcie zjawiliśmy się tam z mężem, powitani zostaliśmy przez gestapowców biciem i kopniakami. Pokrwawionych i skutych kajdankami zawieziono nas do siedziby gestapo w Rybniku (przy obecnej ul. św. Józefa 5). Sprowadzono nas do piwnicy tego budynku, gdzie zobaczyliśmy inne aresztowane osoby. Jako jedyna kobieta mogłam stać koło komina, zaś mężczyźni musieli leżeć skuci na ziemi. Co dwie godziny przychodzili gestapowcy, odwracali leżących na drugą stronę i wyprowadzali chcących załatwić potrzeby fizjologiczne.

Wszyscy przeszli już wstępne śledztwo i byli strasznie pobici. W piwnicy było tak ciasno, że gestapowcy chodzili po ciałach leżących, a nawet po ich głowach. Rozpoznałam Stanisława Sobika – naszego komendanta, Stefana Kuczatego i wielu innych znajomych oraz członków naszej organizacji. Jeden z gestapowców stanął jedną nogą na plecach leżącego Sobika, a drugą – na głowie. Po dwóch godzinach, kiedy musieli się odwrócić, zobaczyłam, że Sobik miał twarz zakrwawioną i zabrudzoną ziemią (piwnica miała posadzkę z ubitej ziemi). Stefana Kuczatego wręcz nie poznałam – był tak spuchnięty od bicia i maltretowania, że tylko jego blond włosy zdradzały tożsamość. Zapytałam, czy to pan Stefan. Skinął tylko głową.

Jak się okazało, dołączono nas do grupy z Rybnika, którą tyle co aresztowano i wstępnie przesłuchano. Po 24 godzinach wywieziono nas samochodami ciężarowymi do obozu zagłady w Oświęcimiu. Na pierwszy rzut oka były to koszary. Wprowadzono nas do jednego z budynków i rozdzielono kobiety i mężczyzn. Po trzech dniach esesmani zaprowadzili nas w 12-osobowej grupie do miejsca kaźni, gdzie każdego poddano śledztwu. Musieliśmy przysłuchiwać się, jak bici i torturowani podczas przesłuchań byli inni. Kazano nam unieść ręce do góry i oprzeć je na drewnianym przepierzeniu, po czym musieliśmy śpiewać – jak na ironię – „Rotę" Marii Konopnickiej. Ze śledztwa nikt nie wrócił na legowisko o własnych siłach.

Za pierwszym razem nie byłam przesłuchiwana, gdyż na widok wyrzucanych z przesłuchań nieprzytomnych sama zemdlałam. Domyśliłam się potem, że biorą taką dużą grupę, żeby tych przesłuchanych miał kto przenieść z powrotem do bloku. Po trzech dniach ponownie zaprowadzono do śledztwa grupę osób, wśród których znalazłam się również ja. Teraz do pokoju przesłuchań wpuszczano po dwóch aresztowanych, żeby osoba oczekująca i przyglądająca się torturowaniu mogła „zmięknąć" i być bardziej „chętną" do zeznań. Mojego poprzednika bito po stopach – był zawieszony na specjalnym urządzeniu podciągającym do góry.[32] Jeden z przesłuchujących mówił: *„No i co poruczniku, będziesz mówił?"*. Nieprzytomnego spuszczono na podłogę i wyrzucono za drzwi, gdzie reszta grupy oczekiwała na przesłuchanie. Na ten widok zrobiło mi się słabo. Poprosiłam o szklankę wody, ale mi jej odmówiono. Jeden z oprawców powiedział do mnie: *„Ty pierono zaraz będziesz gadać!"*. I tak zaczęło się bicie. Uderzył mnie w twarz pytając: *„Ty fabrykantko luster, będziesz gadać?"*. Odpowiedziałam, że nic nie wiem, więc przymocowano mnie do koła obrotowego. Biło mnie trzech przesłuchujących, a uderzenia liczono tak, że dopiero, gdy każdy z nich zadał mi cios, uznawano to jako raz! Co jakiś czas zatrzymywali to urządzenie i ponawiali pytanie, czy będę mówić. Powtarzałam kilkakrotnie: „Zabijcie mnie, ja nic nie wiem". W pewnym momencie język stanął mi „kołkiem" i mogłam powiedzieć już tylko: „Zabijcie…". Gestapowcy bili mnie dalej. Po jakimś czasie nie byłam w stanie już nic wypowiedzieć, znalazłam się u kresu wytrzymałości fizycznej.

W sąsiednim pomieszczeniu przesłuchiwana była Pochabowa, nauczycielka z Rybnika-Wielopola. Wraz z mężem podpisała volkslistę, aby móc pomagać polskim dzieciom, między innymi dzieciom Magdy Górkowej, którą również wywieziono do Oświęcimia. Górkowa uratowała mi życie w obozie, o czym wspomnę później.

Wracając jednak do Pochabowej – ponieważ nie było obciążających ją dowodów, a podczas śledztwa zeznała, że dzieci Magdy Górkowej bawią się z jej dziećmi, bo aresztowano ich rodziców, po paru dniach przesłuchań zwolniono ją do domu.

---

[32] Mowa zapewne o tzw. huśtawce Bogera.

Przesłuchujący Pochabową nie wytrzymał nerwowo, chwycił laskę (był kulawy) i przyszedł tam, gdzie byłam przesłuchiwana, mówiąc: *„Ta pierona będzie gadać!”*. Przepierzenie było cienkie, więc dokładnie było słychać każde uderzenie, każdy wydany jęk. Według relacji Pochabowej uderzył mnie trzy razy i wrócił z kawałkiem złamanej laski. Po powrocie do Rybnika Pochabowa opowiadała, że zostałam zabita podczas śledztwa. Według innej osoby z grupy oczekującej na przesłuchanie – pana Chroboka[33] – oprawcy zrzucili mnie nieprzytomną na ziemię mówiąc: *„Ta pierona chyba nic nie wie”*. Następnie Chrobok z trzema innymi więźniami musiał mnie zanieść do lekarza obozowego, też więźnia, aby opatrzył moje rany. Podobno na mój widok lekarz rozpłakał się. Pan Chrobok powiedział mu: *„Przynieśliśmy bohaterkę. Podczas śledztwa nie zdradziła nikogo, została wierna złożonej przysiędze”*. Następnego dnia jeden z oprawców przyszedł na blok i szukał mnie. Wskazano mu moje miejsce. Leżałam twarzą do ziemi, gdyż jeszcze przez dwa tygodnie nie mogłam z powodu zadanych mi ran kłaść się na plecach. Esesman zerwał koc, a ja na jego widok strasznie krzyknęłam. Zdziwił się tylko i powiedział: *„I ta pierona jeszcze żyje?”*.

Blok, w którym przebywaliśmy w czasie śledztwa, składał się z dwóch dużych sal. W jednej ulokowani byli mężczyźni, w drugiej – kobiety. Drzwi do sal były stale otwarte i pilnujący nas esesman często przechodził od mężczyzn do kobiet i odwrotnie. Pewnego dnia wartownik wychodząc z męskiej sali zapytał o mnie trzymając w ręku kromkę chleba. Gdy wskazano mu, gdzie leżę, wręczył mi chleb mówiąc, że to *„od manna”,* czyli od męża. Takie przekazywania miały już miejsce poprzednio. Domyśliłam się, że ta kromka musi być nafaszerowana jakąś wiadomością – i nie myliłam się. W kromce był gryps podpisany przez męża Andrzeja, Sobika, Kuczatych i innych z informacją, że są ze mnie dumni, gdyż nie zdradziłam nikogo. Była to ostatnia wiadomość i ostatni mój kontakt z towarzyszami z ruchu oporu.

Po jakimś czasie zebrano grupę kobiet i przetransportowano nas do Birkenau – Brzezinki. W drodze zainteresowała się mną Ziemnowiczowa, była nauczycielka z Żywca. Współczuła mi, że poddano mnie tak brutalnemu śledztwu, gdyż reszta kobiet z tej grupy przesłuchiwana była łagodniej. Skierowano nas do Waschraumu[34], gdzie było dużo pryszniców, ale – jak na ironię – z żadnego nie leciała woda. Maszynkami elektrycznymi obcięto nam włosy do gołej skóry. Następnie wytatuowano mi numer obozowy 38925 na lewym przedramieniu. Po tych czynnościach przeprowadzone zostałyśmy do hali obok, gdzie w oknach nie było żadnej szyby. Stojąc boso na zimnym betonie i w zimnym pomieszczeniu oczekiwałyśmy na sorty odzieżowe. W dużych odstępach czasu rzucano nam pojedyncze, niekompletne części ubioru. Rozpoczęto od jednej białej pończochy, potem rzucono koszulę, następnie drugą pończochę – czarną, wreszcie bieliznę, jakąś szmatę na głowę dowolnego koloru

[33] Najprawdopodobniej chodzi tu o Wincentego Chrobota.

[34] *Waschraum* (niem.) – umywalnia.

i pasiak – suknię i część górną. Abyśmy stały jak najdłużej boso na betonie, na samym końcu rzucono nam drewniaki. Na górnej części bluzki, na wysokości lewej piersi, oraz na lewym rękawie powyżej łokcia lub na spódnicy należało przyszyć paski materiału. Nadrukowany był na nich numer obozowy i trójkąt z wpisaną w środku literą. Mój trójkąt, nazywany potocznie winklem, miał kolor czerwony, co oznaczało „polityczna", zaś litera „P" wpisana w środek trójkąta oznaczała moją narodowość – „Polka". Złodziejki oznaczone były winklem zielonym, a prostytutki – czarnym. Niemcy faworyzowali więźniarki z winklami zielonymi i czarnymi, przydzielając im funkcje porządkowych.

Następnie zaprowadzono nas na blok nr 13 lagru – na trzytygodniową kwarantannę. W bloku tym przebywało około 200 osób, przez cały okres kwarantanny nie wolno było z niego wychodzić. Na jednej pryczy spało nas 12. Było tak ciasno, że aby obrócić się na drugi bok, obrót ten musiałyśmy wykonywać jednocześnie. Jeden koc przeznaczony był dla kilku osób. Potrzeby fizjologiczne załatwiać musiałyśmy na oczach wszystkich w pomieszczeniu, w którym spałyśmy i spożywałyśmy posiłki. Po napełnieniu kibli wynoszono je, a ich zawartość wylewano do wykopanych uprzednio dołów. Smród był niesamowity! Po kwarantannie załatwiałyśmy się w pewnym oddaleniu od bloku. W dzień wyprowadzane byłyśmy grupami do latryn. Były to głębokie rowy, nad którymi kucało się na desce bez oparcia. W obozie panował durchfall[35], a więźniarki były tak wycieńczone i słabe, że wpadały do dołów kloacznych i tonęły. W nocy załatwiałyśmy się do kibli, ale ich pojemność była za mała i często przelewały się.

Podczas pobytu na kwarantannie często odczuwałyśmy silne pragnienie. Ponieważ byłam najmniejsza, przecisnęłam się pewnego razu przez półotwarte okno i z miską udałam się cichaczem między blokami do kranu. Nie przewidziałam jednak, że niedaleko tego miejsca służbę pełniła Stefcia, więźniarka z czarnym winklem z Krakowa-Podgórza. Odebrała mi miskę, wody nie pozwoliła nabrać i krzycząc na mnie: *„Wy kurwy, my przez was cierpimy, bo wam chciało się wojny!"* okładała mnie kijem, gdzie popadło. Wróciłam z płaczem pod nasz blok, bez miski i bez wody. Koleżanki wciągnęły mnie przez to małe okienko do środka.

Po zakończeniu kwarantanny silniejsze osoby z naszej grupy zabrano do pracy, do sadzenia drzewek. Byłam i ja między nimi. Nie znałam się na sadzeniu drzew, więc na drugi dzień moje sadzonki nie przyjęły się, leżały zwiędnięte. Zostałam za to ukarana biciem, ale więcej mnie do tej pracy nie zabrano. Następnie pracowałam w Weberei[36], gdzie tkałyśmy parciane pasy – prawdopodobnie dla lotnictwa.

Życie utrudniały nam codzienne apele – rano i wieczorem. Nawet do trzech godzin trzeba było stać na mrozie czy słocie. Nie zezwalano nam zbliżać się do siebie, by się ogrzać. Nasze „menu" w obozie przedstawiało się

---

[35] *Durchfall* (niem) – Biegunka.

[36] *Weberei* (niem.) – tkalnia.

następująco: rano otrzymywałyśmy tylko wywar z jakiegoś suszonego zielska. W południe dostawałyśmy zupę z buraków pastewnych, brukwi, pokrzyw lub ziemniaków – zależnie od pory roku. Wieczorem, przeważnie po apelu, dzielono chlebem – jeden dwukilowy chleb na 24 osoby. Do tego otrzymywałyśmy około pół litra wywaru.

Dnia 21 marca, gdy przebywałyśmy dość daleko od obozu, przyjechała oberka[37]. Kazała nam zdjąć drewniaki, związać je i położyć na ziemi. Następnie musiałyśmy wrócić boso na blok oddalony około trzech kilometrów. Padał wówczas śnieg, więc następnego dnia ponad połowa z nas nie była zdolna iść z komandem do pracy. Zachorowałam i ja, więc trafiłam na rewir. Przebywałam tam długo przechodząc różne choroby, m. in. katar kiszek, katar żołądka, szkorbut, czerwonkę. Gdy było mi już lepiej, poprosiłam blokową, która była z Wadowic, aby zabrała mnie do pracy w kuchni. Nie chciała mnie przyjąć, mówiła: *„Co ty zdechlaku będziesz u mnie robić?”*. W końcu jednak zgodziła się. Już pierwszego dnia pracy wynosiłam rano z kuchni herbatę ziołową, a w południe obiad w kotłach. Wtedy właśnie coś pękło mi w plecach, wywróciłam się i już o własnych siłach nie mogłam się podnieść. Znowu dostałam się na rewir.

W bloku szpitalnym przeleżałam około miesiąca, dzięki czemu nastąpiła poprawa mojego zdrowia. Kiedy znowu przyszła ta sama blokowa, skierowałam w jej stronę błagalny wzrok. Zapytała: *„Co – może chciałabyś znowu przyjść do mnie? Co ja bym mogła ci dać do roboty?”*. Odpowiedziałam pospiesznie, że mogłabym obierać ziemniaki. Chciałam się dostać do Szelkuchni[38], gdyż więźniarki tego komanda spały na prześcieradłach po dwie osoby na pryczy i nie musiały uczestniczyć w apelach. Blokowa znowu się zgodziła! Obierałyśmy ziemniaki specjalnym nożem, który w górnej części krawędzi miał podłużny otwór, przez który wychodziły obierzyny. Miarą dla każdej obierającej była blaszana beczka. Nie byłam przyzwyczajona do obierania tak wielkiej ilości ziemniaków, więc puchły mi palce, a na palcu wskazującym prawej ręki zrobiła się rana od noża. Na szczęście więźniarki, które obierały ponad normę, były tak dobre, że nadwyżki dorzucały do innych beczek, jeszcze nie napełnionych. Moja beczka zazwyczaj wymagała uzupełnienia. Wykorzystując sytuację, że i moja norma będzie wykonana, postanowiłam wynosić pod pasiakiem ziemniaki dla chorych na biegunkę. Surowe ziemniaki były bowiem jedynym lekarstwem na to schorzenie. Było to bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie, gdyż za przemycanie jakiegokolwiek jedzenia groził bunkier.

Pewnego razu do Brotkamery[39] przywieziono chleb. Do rozładunku wybrano kilkanaście osób spośród grupy obierających ziemniaki – między nimi także mnie. Ustawiono nas rzędem i podawałyśmy bochenki jedna drugiej aż do magazynu, gdzie układano go na półkach. Jeden bochenek rozerwał się podczas

---

[37] *oberka* (z niem. *Oberaufseherin*) – główna dozorczyni obozu kobiecego, esesmanka.

[38] *szelkuchnia* (z niem. *Schälküche*) – pomieszczenie przy kuchni, gdzie obierano ziemniaki.

[39] *brotkamery* (z niem. *Brotkammer*) – magazyn chleba.

podawania, więc szybko każda z nas urwała kawałek chleba i schowała pod pasiak. Ucieszyłyśmy się, że będzie dodatkowa porcja dla nas i dla bliskich. Radość ta trwała jednak bardzo krótko. Aufzjerka[40] podpatrzyła, jak ukryłyśmy chleb, i po ukończeniu wyładunku ustawiła nas w szeregu i przechodząc wzdłuż niego wskazywała ręką – *„Komm!”*, i wszystkie z chlebem zostały wyłapane. Każdą z nas chwytała za odrastające włosy i uderzała głową o betonowy mur. Kilka osób zaprowadzono na rewir, a mnie przyniesiono na blok, gdyż nie byłam w stanie dojść o własnych siłach.

Kiedy byłam jeszcze bardzo osłabiona, wyznaczono mnie oraz kilka innych więźniarek do jakichś doświadczeń medycznych. Na bloku szpitalnym dostałam zastrzyk w brzuch, a następnego dnia w pośladek. Miałam potem silną gorączkę i bóle głowy, więc znowu trafiłam do szpitala.

Leżałyśmy po cztery osoby na pryczy zbitej z desek – obok mnie cierpiąca na gruźlicę pisarka z Łodzi – Jagódka, a w nogach łóżka dwie chore na krecę[41] siostry – lwowianki. Ja byłam nieprzytomna z powodu tyfusu. Wszystkie leżałyśmy nago. Do okrycia miałyśmy koce, w których więcej było wszy niż włosów. Paznokcie u rąk urosły nam bardzo długie – po pociągnięciu nimi po kocu od strony wewnętrznej oblepione były wszami, które wyrzucałyśmy poza pryczę. W szpitalu więźniarki, które czuły się lepiej, obsługiwały bardziej chore i niesprawne. Któregoś dnia przyszedł esesman i pytał o mnie podając numer obozowy. Lekarka Konieczna – także więźniarka – powiedziała mu, że jestem już na wykończeniu, a potwierdzał to mój brak przytomności. Esesman podobno odpowiedział: *„Dyć lepiej, że ta pierona kona”*. Zabrał z bloku nauczycielkę Hankę Bubel oraz siostrzenicę Korfantego. Żadna z nich już nie wróciła, a mnie uratował tyfus. Po jakimś czasie znowu przyszedł esesman. Miałam podpisać zawiadomienie, że mój mąż skazany został na śmierć. Informację tę przekazała mi znacznie później Konieczna, gdyż w dalszym ciągu byłam nieprzytomna. Ten sam esesman powiedział też, że dostałam dożywotni wyrok.

Gdy stan mojego zdrowia polepszył się, wyprowadzano mnie z innymi więźniarkami do latryn, obok których stało wiadro – aż kuszące, by na nie usiąść. Gdy chciałam się do niego załatwić, wpadłam do wewnątrz. Byłam tak osłabiona, że nie mogłam się z niego wydostać o własnych siłach. Zawołałam do przechodzącej obok więźniarki: *„Pomóż mi, pomóż wydostać się z tego wiadra!”*. Kobieta pomagając mi zapytała, skąd jestem. Odpowiedziałam, że jestem z Rybnika. Okazało się, że nazywa się Magda Górkowa i także pochodzi z Rybnika – z dzielnicy Wielopole. Z tak nietypowo nawiązanej znajomości wywiązała się wielka przyjaźń. Od Magdy Górkowej zaznałam dużo pomocy i opieki. Była znacznie silniejsza fizycznie, a przede wszystkim psychicznie. Gdy byłam spragniona, często przynosiła mi na blok szpitalny wywar z ziół.

Przebywałam jeszcze jakiś czas na bloku szpitalnym, a dzięki Koniecznej wracałam powoli do zdrowia. Ale pobyt na rewirze się skończył.

---

[40] *aufzjerka* (z niem. *Aufseherin*) – dozorczyni więźniarek, esesmanka.

[41] kreca – świerzb.

Musiałam opuścić ten blok, gdyż następne chore oczekiwały na miejsca. Blokowe przychodziły po zdrowsze więźniarki i zabierały je do pracy. Kilka z nas skierowano na blok, w którym miałyśmy naprawiać zniszczoną bieliznę oraz porozrywane pasiaki. Tam znowu wymyśliłam sposób, by pomagać chorym i skostniałym z zimna. Ubierałam na siebie po dwie pary majtek, a kiedy nas wyprowadzano grupowo co trzy godziny do latryn, ściągałam je i dawałam skulonym i zziębniętym więźniarkom.

W odległości ok. 200 m od bloku, w którym pracowałyśmy, mieściło się krematorium. Przyjeżdżały tu pociągi z ludźmi przeznaczonymi bezpośrednio do zagazowania. Transporty przybywały bardzo często. Wagony zatrzymywały się przy rampie, na której ci nieszczęśnicy pozostawić musieli bagaże. Niemcy kazali nam wtedy kręcić się koło bloku, aby wzbudzić u przyjezdnych nadzieję, że też zostaną skierowani do któregoś z bloków. Każda z przybyłych osób otrzymywała ręcznik i kawałek mydła, po czym wchodziła do pomieszczenia, w którym z pryszniców zamiast wody wydobywał się trujący gaz.[42] Esesmani pilnowali w tym czasie, aby peron został szybko opróżniony – musiał być pusty przed przyjazdem następnego transportu. Ciała zagazowanych taśmociągi transportowały do pieca krematoryjnego, w którym je palono. Robiono to w wielkim pośpiechu, ale i tak nie nadążano ze spalaniem zwłok. Kłęby dymu rozpościerały się nad obozem obwieszczając o dokonanym dziele. Był taki nawał transportów, że dla dzieci kopane były rowy, do których wrzucano ich ciała. Były to prawdopodobnie dzieci z powstania warszawskiego.[43]

Pewnego dnia przywieziono transport Żydów z Węgier. Jeden z więźniów komanda obsługującego krematorium ujrzał między przyjezdnymi swoją siostrę – później opowiadano, że była artystką – i krzyknął, że idą na śmierć. Według krążących po obozie opowieści podeszła ona do wartownika, wyciągnęła mu z kabury pistolet i uśmierciła kilku esesmanów.

Był wrzesień roku 1944. Front wschodni zbliżał się, więc z Oświęcimia zaczęto ewakuować więźniów. Blokowa powiedziała nam w zaufaniu, że jeżeli pociąg pojedzie niedaleko i będą kazali wychodzić, to będzie znaczyło, że cały transport przeznaczony jest na rozwałkę. Nasz transport jednak jechał bardzo długo. Dnia 20 października wyładowano nas nad ranem na otwartej przestrzeni. Od tego miejsca musiałyśmy maszerować na piechotę – dalej i dalej… Nocowałyśmy w stodołach, na cmentarzach lub w miejscach nieco osłoniętych. Jadłyśmy to, co udało nam się wyżebrać od miejscowych Niemców. Wlokłyśmy się noga za nogą, a słabe i niezdolne do dalszej drogi były „likwidowane" przez aufzjerkę. Wśród nas były trzy Żydówki z gwiazdami Dawida. Kiedy jedna z

---

[42] W rzeczywistości gaz cyklon B używany był w formie drobnych kamyczków – ziemi okrzemkowej nasączonej cyjanowodorem. Do wnętrza komory gazowej nie przedostawał się poprzez prysznice, lecz wrzucany był przez specjalne otwory w dachu lub w ścianach komór.

[43] Prawdopodobnie pomyłka autorki – w dołach spalano ciała wszystkich zagazowanych, nie tylko dzieci. Wątpliwe też, by były to dzieci z powstania warszawskiego, gdyż w tym czasie zabijano masowo w komorach gazowych jedynie Żydów.

nich zasłabła, kazano nam nieść ją na zmianę po cztery osoby. Chodziło właściwie tylko o to, aby nas umęczyć, gdyż i tak później ją zastrzelono.

Transport nasz od kilkunastu tygodni był w drodze. Trasę przemarszu znaczyły pozostawione za nami trupy. Zdziesiątkowane dobrnęłyśmy w wigilię Bożego Narodzenia do miejsca przeznaczenia – do Drezna. Esesmanki – po przejęciu nas przez inne aufzjerki – wróciły prawdopodobnie do Oświęcimia po następny transport więźniarek. Zakwaterowano nas w fabryce Zeissa na czwartym piętrze. Było tam bardzo czysto, spałyśmy po dwie osoby na pryczy, a nasze nowe dozorczynie były – w porównaniu z dotychczasowymi – aniołami. Muszę tu dodać, że w Dreźnie odwszono nas i już do końca byłyśmy wolne od robactwa. Apele odbywały się wewnątrz budynku i polegały tylko na przeliczeniu nas oraz wydaniu jakichś doraźnych poleceń. Do pracy zjeżdżałyśmy codziennie z naszego piętra na parter windą. Składałyśmy tam jakieś części do samolotów. Nasz majster, staruszek bez prawej ręki, był dla nas bardzo dobry, chodził zawsze uśmiechnięty, a od czasu do czasu podrzucał mi kawałek chleba, cebuli lub czosnku.

Sielanka trwała jednak krótko, gdyż wszystko, co dobre, trwa krótko. Z Oświęcimia przyjechała na kontrolę oberka o nazwisku Dressler. Dresslerka – bo tak ją nazywałyśmy – była szatanem w ludzkim ciele. Więźniarki znające język niemiecki podsłuchały wielką awanturę między przyjezdną a dyrektorem fabryki, który był cywilem. Dresslerka wyrzucała mu, że traktuje nas jak ludzi – według niej byłyśmy bandytami i podludźmi! Oberka wpadła w furię. Z łóżek powyrzucała sienniki, a z sienników słomę. Musiałyśmy natychmiast wrócić na górę i zobaczyłyśmy salę, w której mieszkałyśmy. Był to przerażający widok. Wszystko było wymieszane, podeptane, zmiażdżone, nadające się do wyrzucenia. Był marzec 1945 r. i każda z więźniarek odkładała z głodowych porcji okruszynę chleba na zbliżające się Święta Wielkanocne. Właśnie tych okruszyn żal nam było najbardziej – gromadziłyśmy je z takim wyrzeczeniem! Błyskawicznie musiał być przywrócony ład i porządek. Następnie Dresslerka sprowadziła nas na dziedziniec fabryki, gdzie trzymała nas przez prawie trzy godziny na apelu.

Od tego czasu pieczę nad nami przejęła inna oberka – z Drezna. Cała obozowa „świta SS" prócz służby i bezpośredniego nadzoru udawała się codziennie do miasta, poza mury fabryki Zeissa, gdzie znajdowały się ich prywatne mieszkania. Pewnej marcowej nocy zbombardowano Drezno. Miasto zostało zrównane z ziemią, została kupa gruzów. Podczas nalotu umieszczono nas w podziemiach fabryki, gdzie przechodziły rury z wodą i gazem. Odczuwałyśmy tam potężne wstrząsy, ale alianci chyba wcześniej uzgodnili, żeby fabryka pozostała nieuszkodzona, gdyż ani jedna bomba na nią nie spadła. Fabryka pozostała cała, a my pozostałyśmy przy życiu. Po pewnym czasie przyszedł dyrektor i oznajmił nam, że oberka oraz kilka aufzjerek zginęły.

Po nalocie byłyśmy jeszcze kilka dni w fabryce, ale z powodu braku żywności i środków produkcji postanowiono nas ewakuować. Pieczę nad nami objęła ponownie Dresslerka. Prowadziła nas przez Pirnę oddaloną o

kilkadziesiąt kilometrów od Drezna, prawdopodobnie do czeskich kamieniołomów, gdzie miałyśmy być wszystkie rozstrzelane. Nasz transport zatrzymano na polanie otoczonej lasem, niedaleko rzeki. Ulokowano nas w pustej, wolno stojącej stodole. Nie miałyśmy żywności, więc aufzjerka wybrała kilka silniejszych więźniarek, z którymi chodziła żebrać do pobliskich zabudowań chłopskich. Przywoziły na małym wózku trochę ziemniaków, brukwi lub buraków pastewnych. W zagrodach chłopskich niechętnie dawano taką jałmużnę, gdyż okoliczni mieszkańcy sami niewiele mieli. To, co udało się wyżebrać, gotowałyśmy w kotle na wolnym powietrzu. Opału do palenia ognisk dostarczał nam pobliski las. Chleba nie widziałyśmy od wyjścia z Drezna, a upłynęły już prawie trzy tygodnie.

W tej niedoli zżyłam się z Kamą Kotecką i Reną Woźniak. Starałyśmy się sobie nawzajem pomagać, zwłaszcza Renie, która była z nas najsłabsza. Nie miałyśmy rozeznania w przemijających dniach, ale z podsłuchanej rozmowy dowiedziałyśmy się, że był 3 maja 1945 r. Spadło wtedy tyle śniegu, że sięgał do kostek. Doczekałyśmy na tej polanie do 8 maja. Wczesnym rankiem tego dnia zrobiono nam pobudkę. Zauważyłyśmy, że dzieje się coś niedobrego, gdyż wśród aufzjerek widać było zdenerwowanie. Odbył się pospieszny apel i ruszyłyśmy przed siebie w dalszą drogę. Na polanie pozostały kobiety chore i zbyt słabe, by iść. Po jakimś czasie usłyszałyśmy strzały…

W drodze do czeskich kamieniołomów mijałyśmy wioskę Peterswald, która ciągnęła się przez jakieś trzy kilometry. Dołem prowadziła droga, a na wzniesieniu były zabudowania chłopskie. Nagle na horyzoncie ukazały się samoloty. Zaczęły bombardować i ostrzeliwać z broni pokładowej cofające się oddziały wojsk niemieckich. Aufzjerki z psami pochowały się w zaroślach, a nas pozostawiły na jezdni – tarasując w ten sposób drogę Niemcom, którzy cofali się przed natarciem wojsk radzieckich. Stałyśmy w kolumnie bez ruchu, gdy nagle przepychający się między nami oficer niemiecki potrącił naszą trójkę (Kamę, Renę i mnie) mówiąc: *„Wy barany macie okazję, dlaczego nie uciekacie?!*”. Dodał nam w ten sposób odwagi, więc ruszyłyśmy pod górę w kierunku zabudowań. Po drodze napotkałyśmy Francuza, który z ukrycia obserwował cofające się w popłochu wojska niemieckie. Kama Kotecka rozpoznała jego narodowość po czapce i przemówiła do niego po francusku. Poprosiła, aby nas ukrył. Zgodził się bez namysłu i zaprowadził nas do swojej gospodyni, Niemki. Ta jednak odmówiła nam schronienia i wręcz zagroziła, że jeżeli nas natychmiast nie wyprowadzi z jej zabudowań, zgłosi naszą obecność esesmanom. Pobiegł więc przez ogród do kolegi – też Francuza, a ten zwrócił się do swojej gospodyni. Kobieta zgodziła się ukryć nas. W korytarzu swego domu miała chłodnię, przystosowaną jako schron. Zdjęła przykrywę w podłodze, dała nam bochenek chleba i sprowadziła po schodkach mówiąc, by iść dalej (*„Weiter, weiter!”),* i że są tam łóżka. Po powrocie na górę dobrze zamaskowała wejście. Siedząc w schronie słyszałyśmy wybuchy i strzały z katiuszy, nazywanych przez nas „organami Stalina”. Gdy nalot się skończył, słychać było gwizdki i ujadanie psów. Aufzjerki rzuciły się w pogoń za zbiegłymi

więźniarkami, gdyż podobno całe komando się rozpierzchło. Część więźniarek znajdujących się na otwartej przestrzeni została rozszarpana przez psy, część – zastrzelona.

Następnego dnia Francuz otworzył właz do schronu i oznajmił nam, że są już Rosjanie i że Niemców nie ma, a gospodyni, która nas przyjęła, uciekła. Pozostała natomiast Niemka, która odmówiła nam schronienia. Była tak pazerna, że wynosiła całymi naręczami ubrania i bieliznę od sąsiadki, która nas ukryła. Oto, co znaczy tupet, a może głupota, zachłanność czy chciwość! A gdyby trafiła na kogoś innego, na kogoś, kto opowiedziałby Rosjanom o jej zachowaniu wobec nas?

Francuz, który umożliwił nam przetrwanie, zaprowadził nas na kwaterę, gdzie inni jego rodacy zbierali się na noc. Naszą trójkę powierzył właścicielce noclegu, która okazała się dobrą kobietą i zaopiekowała się nami. Kama Kotecka pomagała jej gotować, natomiast ja z Reną Woźniak – sprzątać.

Przebywałyśmy tam już około 14 dni, gdy któregoś dnia poszłyśmy zbierać kwiaty do ozdobienia stołu. Kwiaty rosły dziko na nie ogrodzonym terenie. Gdy je zrywałyśmy, z pobliskich zabudowań wyszła kobieta w średnim wieku i starszy Niemiec. Szwargotali do nas coś po niemiecku, a następnie ten stary Niemiec uderzył Renę w twarz. Spłakane wróciłyśmy bez kwiatów do naszej gospodyni.

Kama Kotecka wypytała nas pospiesznie, co się wydarzyło, po czym pobiegła do stacjonującego niedaleko oddziału żołnierzy radzieckich. W asyście dwóch wojskowych poszłyśmy do Niemców, którzy nas skrzywdzili. Jeden z żołnierzy dał Kamie pistolet i powiedział: *„Strielaj!”*. Widząc to Niemcy błagalnym wzrokiem prosili o łaskę. Nie byli już tacy butni, stali jak pokorne baranki, a przecież Kama nawet nie wymierzyła pistoletu w ich stronę. Oddała pistolet żołnierzowi, nie chciała brudzić sobie rąk.

Niebawem ukazały się afisze wzywające Polaków do zgłoszenia się w punkcie zbornym w Dreźnie, zaś Francuzów i Włochów – w Chemnitz. Nasz znajomy Francuz, mimo że nie było mu po drodze, poszedł z nami do Drezna. Spotkani polscy oficerowie odradzali nam powrót do kraju ze względu na nasze widoczne wycieńczenie. Mówili, że o własnych siłach daleko nie zajdziemy. Winnyśmy według nich iść do aliantów, podleczyć się, a dopiero później wracać do kraju. Po krótkiej naradzie postanowiłyśmy jednak udać się do Chemnitz, do francuskiego punktu zbornego. Aby się tam dostać, musiałyśmy przejść przez strefę radziecką. Kama Kotecka od dziecka mieszkała we Francji, pracowała też w polskiej ambasadzie w Paryżu i znała język francuski, niemiecki i rosyjski. Powiedziała Sowietom, że jesteśmy Polkami z Francji, i po długim tłumaczeniu przepuścili nas. Zaskoczyło nas tylko to, że radzieccy żołnierze nie przepuścili do punktu zbornego Francuza, który uratował nam życie.

Francuzi zajęli się nami bardzo troskliwie. Mogłyśmy się wykąpać, otrzymałyśmy też zastrzyki wzmacniające, lekarstwa oraz odpowiednie wyżywienie. Przebywałyśmy tam około tygodnia, po czym wraz z wracającymi oddziałami francuskimi pojechałyśmy do Francji.

Tak zakończyła się droga cierniowa, którą przeszłam od wybuchu wojny 1 września 1939 r. do 9 maja 1945 r. Zmarła 9 października 1989 r. w Rybniku.

Za aktywną działalność konspiracyjną w okresie okupacji otrzymała następujące odznaczenia:

Śląski Krzyż Zasługi przyznany 4 września 1949 r. przez Ministerstwo Obrony Narodowej.

Medal Zwycięstwa i Wolności przyznany 15 listopada 1957 r. przez Urząd Rady Ministrów.

Medal Zwycięstwa i Wolności przyznany 11 stycznia 1964 r. Uchwałą Rady Państwa.

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski przyznany 7 października 1981 r. Uchwałą Rady Państwa.

Krzyż Oświęcimski przyznany 15 kwietnia 1987 r. Uchwałą Rady Państwa.

O pamięć nie o zemstę
Proszą nasze cienie!
Los nasz dla was przestrogą
Ma być nie legendą.
Jeżeli ludzie zamilkną
Głazy wołać będą!

Franciszek Fenikowski

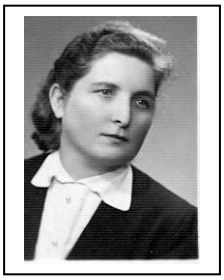

MAŁŻEŃSTWO KIJONKA RÓŻA I ANTONI

Sens słów: sadyzm, terroryzm psychiczny i fizyczny, doświadczały na sobie nie tylko te osoby, które podczas okupacji hitlerowskiej, przesłane były do obozów koncentracyjnych. Przeogromna ilość Polaków – o czym świadczą inne wspomnienia i opracowania, doznawała represji zanim do obozów się dostała. Dosadnym a zarazem kolejnym tego przykładem, są fragmenty życiorysowe rodziców mojego serdecznego przyjaciela z lat szkolnych – a dotarłem do informacji na ten temat już niemal w trakcie przekazania książki do druku.

* * *

KIJONKA ANTONI,

Urodził się w 1901 roku w Dziećmorowicach na Zaolziu w wielodzietnej rodzinie górnika Antoniego Kijonki i Elżbiety z d. Olsza.W wieku 15 lat rozpoczął pracę jako górnik - ładowacz, następnie robotnik w hucie w Trzyńcu. Rodzina była zdecydowanie polska o czym świadczy także fakt, że brat jego ojca po powrocie z emigracji zarobkowej w Ameryki przekazał pieniądze na budowę polskiej szkoły w Dziećmorowicach.

Nadchodzą lata gdy zbliża się rozstrzygający czas walki o przynależność państwową. Antoni Kijonka z dniem 1.11.1918 r. wstępuje do POW na Śląsku Cieszyńskim. W okresie czeskiego najazdu uczestniczy w walkach jako milicjant kompanii Milicji Polskiej Ks. Cieszyńskiego w Boguminie (do 28.02.1919 r.). W okresie akcji plebiscytowej był członkiem Tajnej Organizacji Wojskowej (od 1.12.1919 r. - do 16.08.1920 r.). Jako ochotnik znalazł się następnie w szeregach Baonu Ziemi Cieszyńskiej (od 17.08.1920 r. - do 25.11.1920 r.). Uczestnik wojny 1920 r. służył z kolei w wojsku polskim jako żołnierz 4. kompanii I baonu w Bielsku. Wziął także udział w trzecim Powstaniu Śląskim.

Jako uchodźca z Zaolzia kilkakrotnie zmieniał miejsce pobytu by osiąść na stałe w Radlinie, gdzie po nabyciu zawodowych uprawnień otworzył zakład fryzjerski. W roku 1935 zawarł związek małżeński w z Różą Kojzar (doczekał dwóch synów). W roku 1938 wziął udział w zajęciu Zaolzia (służba wywiadowcza) w Grupie Rybnik Legionu Zaolzie. W okresie okupacji po pozbawieniu zakładu fryzjerskiego został skierowany do ciężkich prac fizycznych. Odmowa przyjęcia Volsklisty stawia go i rodzinę w sytuacji stałego zagrożenia. Pomimo represji i trudnych warunków uczestniczy w działaniach konspiracyjnych. Pod zarzutem działalności w ruchu oporu – organizacji ZWZ/AK, nocą 30.05.1944 r. został razem z żoną uwięziony przez gestapo i osadzony w rybnickim więzieniu, gdzie poddany był wielokrotnie torturom podczas przesłuchania. Do skierowania do KL Auschwitz już nie doszło gdyż rozpoczął się okres likwidacji obozu.

Wyzwolenia doczekał po uwolnieniu z więzienia w Radlinie, z obowiązkiem stałego meldowania się na posterunku policji. Po wojnie do końca życia mieszkał w Rybniku, gdzie prowadził zakład fryzjerski i wykształcił kilkudziesięciu czeladników.

Odznaczony medalem za Obronę Śląska Cieszyńskiego (1919 r.), Medalem Zwycięstwa i Wolności (1945 r.), i Śląskim Krzyżem Powstańczym (1947 r.).

Był członkiem Związku Byłych Więźniów Politycznych i ZBoWiD. Zmarł 2.02.1970 r. Spoczywa na rybnickim cmentarzu.

KIJONKA RÓŻA z d. KOJZAR,
Urodzona 20.01.1913 r. w Rowniu (dziś w granicach Żor), córka Józefa i Matyldy z d. Sobik. Ukształtowała ją patriotyczna atmosfera rodzinnego domu w jakiej wychowało się jedenaścioro rodzeństwa w tych przełomowych dla Śląska latach. Józef Kojzar, zwany „polskim królem", działacz narodowy i plebiscytowy, organizator POW, w trzecim powstaniu Śląskim komendant cywilny rejonu Żor obejmującego 24 wsi był pierwszym polskim naczelnikiem gminy zaś urząd mieścił się w jego chłopskim domu. Z kolei matka Matylda była siostrą jednego z czołowy przywódców peowiackich na Ziemi Rybnickiej, uczestnika trzech powstań, sławnego dowódcy 650-osobowego II baonu żorskiego w trzecim powstaniu, organizatora samoobrony Śląska we wrześniu 1939 r., a po kampanii wrześniowej więźnia Starobielska i rozstrzelanego przez NKWD.

Ten rodowód rzutował na późniejsze wybory i decyzje Róży Kijonkowej, gdy jako żona Antoniego Kijonki zamieszkała w Radlinie II. Z chwilą wybuchu wojny nastały lata hitlerowskich represji. Ich pierwszym aktem była likwidacja zakładu fryzjerskiego. Pomimo zagrożenia ze względu na jednoznaczną postawę nie przyjmuje Volsklisty. Nie godzi się też na fikcyjny rozwód, do czego namawia ją mąż, by ratować dzieci. Rewizje, obowiązek stałego meldowania i życie pod policyjną kontrolą nie powstrzymują ją przed działalnością w organizacji konspiracyjnej ZWZ/AK. Podejmuje się nawet zadań kurierskich wyprawiając się kilkakrotnie do Wiednia. Nocą 30.05.1944 r. zostaje wraz z mężem aresztowana przez gestapo i osadzona w rybnickiem więzieniu. Poddana licznym brutalnym przesłuchaniom i konfrontacjom nie załamuje się, choć wie, że dwoje małych synów jest zagrożonych wywózką w głąb Niemiec. Do uwięzienia w KL Auschwitz już nie dojdzie, gdyż z końcem roku 1944 rozpoczyna się likwidacja obozu. Do dni wyzwolenia trwał jednak czas zagrożenia i dramatycznych przeżyć.

Po wojnie, do końca życia żyła w Rybniku, członkini Związku Byłych Więźniów Politycznych, następnie ZBoWiD-u a potem Związku Kombatantów RP. Zmarła 9.03.2003 r. Spoczywa na rybnickiem cmentarzu.

zroszone bólem i krwią mury
oprowadzają po obozie
pragną na dłużej zatrzymać się
przy zbiorowej szubienicy
na placu apelowym
odczuwasz
inne tętno Oświęcimia

przy 11 bloku
usiłują abyś pozostał
i wczuł się w ich atmosferę
jaką przeżywali w lochach
i ujrzał ich zmaltretowane postacie
słysząc nawet
trzepoty serc [...]

fragment wiersza: **ODWIEDZINY**
autor: Ryszard Hryniewiecki

KLISTAŁA JAN,
Więzień KL Auschwitz nr 111912.

KLISTAŁA JAN,

Niestety, od dziecinnych lat zmuszony byłem wypowiadać się o moim ojcu w czasie przeszłym. Gdy bowiem wojska hitlerowskie wkraczały do naszego kraju w 1939 r. miałem 4 lata, natomiast 11.02.1943 r. gdy aresztowano ojca za działalność w konspiracyjnej organizacji ZWZ/AK – miałem 7 lat. Jakże jednak utrwaliły się w mojej dziecinnej pamięci głos, wygląd, ruchy i sposób zachowywania się ojca!

W niniejszym opracowaniu oparłem się przede wszystkim na tym, co przekazali mi o ojcu mama, jego rodzice, rodzeństwo, a także inne osoby, które miały z nim bliższą styczność. Z tak poskładanych wspomnień wyłoniła się postać człowieka prostego, skromnego, bardzo uczciwego i uczuciowego, dobrego męża i bardzo kochającego ojca, a w pracy koleżeńskiego, sumiennego i cenionego fachowca. Był człowiekiem honoru i oddanym patriotą.

Jakże mocno kształtowało to moją psychikę! Dorastałem z poczuciem wielkiej satysfakcji, że ojciec mój był tak pozytywnie oceniany. Gdy w młodszym wieku koledzy poszukiwali wzorów do naśladowania z grona gwiazdorów sportu, muzyki, filmu itd., dla mnie wzorem był mój wspaniały ojciec.

Z wielką więc atencją opisałem na podstawie zebranych dowodów i cząstki własnej pamięci zaledwie cztery lata z jego życia, od września 1939 r. do 25.06.1943 r.

Urodził się 9.06.1911 r. w Sośnicy w powiecie zabrzańskim jako syn Franciszka i Anny z d. Bomba. Od roku 1917 uczył się w szkole podstawowej, a po jej ukończeniu uczęszczał do Państwowego Gimnazjum w Rybniku. Z uwagi jednak na ciężką sytuację materialną rodziców musiał zrezygnować z nauki w tej szkole po pierwszym półroczu. Od 1.10.1925 r. pracował w Parowozowni Głównej w Rybniku, gdzie uczył się ślusarstwa w warsztacie kolei państwowej. Był jednocześnie uczniem Szkoły Zawodowej-Dokształcającej w Rybniku.

Od 2.10.1928 r. do dnia wybuchu wojny zatrudniony był na PKP jako ślusarz.

W 1932 r. (od 29 października do 4 listopada) brał udział w przeszkoleniu wojskowym jako szeregowiec niezawodowy. Dnia 6.08.1935 r. zawarł związek małżeński z Heleną Żurek. Mieli dwóch synów: Jerzego (ur. 22.12.1935 r.) oraz Henryka (ur. 17.12.1940 r.).

Od 20 września 1939 r. zatrudniony był na kolei jako ślusarz, następnie jako pomocnik palacza parowozu, zaś od 1.11.1942 r. do 31.03.1943 r.[44] – jako maszynista parowozu.

W ostatnich dniach sierpnia 1939 r. ojciec mój wraz z innymi pracownikami parowozowni otrzymał od zwierzchników polecenie wywiezienia

[44] Według zaświadczenia wydanego przez PKP, a faktycznie do dnia aresztowania.

z Rybnika kolumny kilkunastu parowozów, aby w przypadku wybuchu wojny nie dostały się w ręce okupanta. Transport zdążył dojechać tylko do Kielc, gdyż dalszą ewakuację uniemożliwiło wkroczenie wojsk niemieckich do Polski. Aby móc wrócić bez problemów do domu, ojciec otrzymał od Zarządu Miejskiego w Kielcach zaświadczenie z datą 13.09.1939 r. stwierdzające, że „jest mieszkańcem Rybnika, skąd został ewakuowany i obecnie powraca do miejsca zamieszkania”[45]. Po powrocie przyjęty został do pracy jako ślusarz na kolei, gdzie z czasem otrzymał posadę maszynisty parowozu. Stanowisko to było postrzegane w środowisku kolejarskim jako elitarne, gdyż wymagało posiadania wykształcenia zawodowego o kierunku mechanicznym oraz ukończenia wielu specjalistycznych kursów.

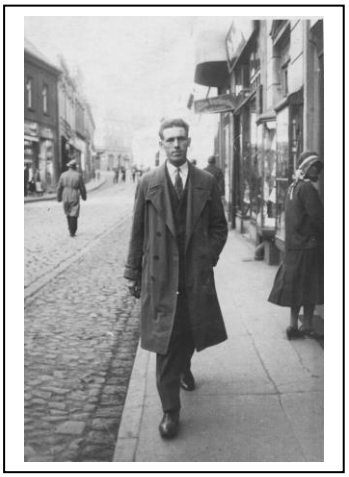

Umiejętności maszynisty nie kończyły się bowiem na prowadzeniu pociągu – musiał on także radzić sobie z mechanicznymi problemami obsługiwanej lokomotywy w wypadku awarii na trasie.

Środowisko kolejarzy było bardzo zżyte i solidarne. Przed wojną przy kolei działały liczne organizacje społeczne i zawodowe, w których pracownicy często spotykali się na zebraniach. Również niebezpieczeństwa towarzyszące pracy na kolei wpływały na specyficzną solidarność tej grupy zawodowej. W czasie okupacji owa więź zdawała egzamin, gdy trzeba było stawiać czynny opór najeźdźcy hitlerowskiemu.

Działalność konspiracyjna i sabotażowa kolejarzy była wyjątkowo skuteczna i dotkliwa dla okupanta, o czym świadczą liczne dokumenty i raporty miejscowych władz okupacyjnych.[46]Ojciec mój już w pierwszych miesiącach 1940 r. bardzo aktywnie włączył się w działalność Związku Walki Zbrojnej – organizacji konspiracyjnej, którą kierował w Rybniku jego szwagier Stanisław Sobik. Otrzymał w tym czasie pracę na stanowisku pomocnika palacza parowozu, dzięki czemu miał możliwość przemieszczania się po okupowanym kraju. Czasem wyjeżdżał też za granicę – do Czech, Rosji, na Ukrainę (do Dniepropietrowska). Fakt ten wykorzystywał w swej działalności konspiracyjnej. Przewoził w parowozie szlakiem kolejowym materiały sabotażowe i broń. Wraz z Rupertem Urlą, wieloletnim kolegą i współpracownikiem z parowozowni, przeprowadzał akcje sabotażowe uszkadzając kolejowe łącza sygnalizacyjne, rozjazdy, szyny oraz inne urządzenia trakcyjne, które miały duże znaczenie dla sprawnej pracy kolei

[45] Dokument w archiwum autora.

[46] Por. B. Kobuszewski, *Hitlerowcy o dywersji kolejowej na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim (1939-1944). Wybór dokumentów*, Katowice 1972.

zarządzanej przez okupacyjne władze.[47]Często też – jak wspomniałem o tym w rozdziale o Stanisławie Sobiku – przewoził nielegalnie komendanta rybnickiego podokręgu ZWZ przez granicę do Krakowa lub do różnych miejscowości na Śląsku. Dzięki temu, Sobik mógł kontaktować się w sprawach organizacyjnych z wyższym dowództwem, a także miał większe możliwości działania i zakładania nowych jednostek ZWZ poza Rybnikiem.

W naszym mieszkaniu w rybnickiej dzielnicy „Maroko" odbywały się niektóre zebrania grup członkowskich ZWZ. Informację tę potwierdził Karol Miczajka, jeden z uczestników tych spotkań. Dodał też, iż w jednym z takich zebrań uczestniczył Jan Zientek – człowiek, przez którego Związek Walki Zbrojnej został zdekonspirowany.

Na temat Jana Zientka można się obecnie dowiedzieć niewiele ponad to, że pracował jako kierownik parowozowni w Rybniku od około 1936 r. Był niskiego wzrostu, łysy, o dość krępej budowie ciała. Zachowało się zdjęcie wykonane z okazji Święta Kolejarza Polskiego w dniach 19-20.09.1936 r., na którym można rozpoznać Zientka na pierwszym planie.

Zadziwiająca była jego aktywność w organizacjach pozazawodowych czy społecznych działających przy kolei. Wykorzystywał każdą okazję, żeby być zauważonym – jak na zdjęciu. Gdy rozpoczęła się okupacja Rybnika, Zientek bardzo zabiegał u Niemców o stanowisko naczelnika stacji w Rybniku, i… został zastępcą naczelnika stacji. Czym przysłużył się Niemcom, że otrzymał tak intratną posadę? Po tylu latach trudno dociec prawdy. Manifestując polskość ukrywał prawdopodobnie swą prawdziwą orientację polityczną, będąc faktycznie od dawna współpracownikiem wywiadu niemieckiego. Można jedynie domniemywać, że otrzymanie tak wysokiego stanowiska było nagrodą za jego zaangażowanie przed wojną w działalność V Kolumny, a w okresie okupacji – za współpracę z gestapo.

Niestety niewiele osób zastanawiało się na przykład nad tym, dlaczego Zientek, zatrudniony na tak poważnym stanowisku u Niemców, czynił przeróżne zabiegi, by bratać się z fizycznymi pracownikami kolei i namawiać ich do przeciwstawiania się okupantowi. Ojciec mój i Rupert Urla stali się ofiarami szczególnego zainteresowania Zientka. Spowodowane to było bliskim sąsiedztwem. Mieszkaliśmy w uliczce Finkeweg (obecnie ul. Wieczorka, budynek nr 4), w tzw. kolonii kolejowej. Kawałek dalej – dwa budynki od nas – mieszkał Urla z rodziną, zaś naprzeciw niego – Jan Zientek.

W 1941 r. zostaliśmy dwa lub trzy razy zaproszeni do mieszkania Zientka. Gospodarz okazywał mojej mamie i ojcu ostentacyjną uprzejmość, natomiast jego żona była osobą bardzo oschłą.

Pamiętam z tych wizyt, że pierwszy raz zobaczyłem wyświetlanie niemego filmu, czyli czarno białe ruchome sceny widoczne na czymś, co nazywano ekranem. Wyświetlana była jakaś niemiecka kronika filmowa. Nie wnikałem w to, dlaczego taki rodzaj filmu był pokazywany, i czy tylko taki film

[47] Relacja Ruperta Urli.

był do zdobycia. Dla mnie – dziecka – istotna była możliwość obejrzenia ruchomych scen filmowych – dopiero po kilku latach mogłem oglądać projekcje w prawdziwym kinie.

Zientek był inicjatorem koleżeńskich spotkań przy grze w karty z ojcem i Urlą. Spotykali się wieczorami, przemiennie u niego i u Urli, czasem grywali także w naszym mieszkaniu. Zamiast jednak koncentrować się nad rozdanymi kartami, Zientek sprowadzał rozmowę na tematy polityczne. Dyskutowano niemal wyłącznie o ruchu oporu, o konieczności podejmowania działań przeciwko okupantowi. Zientek wiedział, że ojciec należy do ZWZ, więc okazywał mu większą przychylność i zainteresowanie aniżeli Urli, który ukrywał przed nim swą przynależność do ruchu oporu.

Rupert Urla był człowiekiem bardzo ostrożnym i wręcz do przesady nieufnym wobec Zientka. Wielokrotnie ostrzegał ojca przed nim, ale ten uznawał manifestowany przez Zientka zapał do walki z okupantem za szczery i nie traktował ostrzeżeń Urli z należytą powagą. Niestety nie tylko ojciec popełnił ten błąd. Również kierownictwo ZWZ łudziło się, że Zientek, jako urzędnik tak wysokich struktur niemieckiego kierownictwa kolei, udostępniał będzie organizacji tajne informacje o wojskowych transportach kolejowych.

Przeglądając dostępne publikacje o wydarzeniach z okresu okupacji w Rybnickiem niestety nie znalazłem zbyt wielu informacji o Janie Zientku. Bardzo cenne jest więc to, co na jego temat powiedział mi Rupert Urla.[48] W rozmowie, którą z nim przeprowadziłem, uzasadniał swą podejrzliwość wobec Zientka. W okresie od 1941 do początku 1942 r. Zientek nie miał jeszcze możliwości ustalenia, kto jest członkiem organizacji, a kto nie. Zadziwiająca była jego nadgorliwość – pragnął wymusić na Urli „w imię patriotycznego obowiązku" wstąpienie w szeregi ZWZ. Agitację tę przeprowadzał bardzo nachalnie – samemu nie będąc jeszcze członkiem organizacji! Gdy natomiast nie pomagała prowadzona przez kilkanaście karcianych wieczorów perswazja,

[48] Rozmowę z Rupertem Urlą przeprowadziłem 5 grudnia 1995 r. w Rybniku.

Zientek straszył Urlę, że przyjdą „pewni ludzie” i unieszkodliwią go, gdyż wie o organizacji zbyt dużo, a wzbrania się zostać jej członkiem.

Klistała Jan – najwyższy (z tyłu) wraz z innymi pracownikami Parowozowni Rybnik 1942 r. (Urla Rupert w okularach z przodu).

Gdy Zientek został na początku 1942 r. członkiem ZWZ/AK, wykazywał niemal zdwojoną aktywność w działaniu. Nawiązywał kontakty z szerokim gronem szeregowych członków organizacji, czynił również zabiegi, żeby być jak najbliżej kierownictwa. Poddając analizie tamte wydarzenia nie można uniknąć przykrych refleksji – czy wręcz pretensji do kierownictwa ZWZ/AK – że przy tak daleko posuniętej ostrożności w konspiracyjnej działalności, dowództwo tejże organizacji było tak łatwowierne wobec osoby nadmiernie manifestującej zaangażowanie w walkę z okupantem. Jak mogło nie wzbudzać podejrzeń to, że regularnie i bez trudności dostarczał broń oraz materiały wybuchowe? Podobno dochodziło też do sytuacji, w których Zientek usiłował wpływać na zmiany niektórych decyzji Stanisława Sobika. Ten cieszył się jednak w organizacji tak wielkim autorytetem, że Zientek nie mógł liczyć na czyjekolwiek poparcie.[49]

W połowie stycznia 1943 r. Urla uzyskał jednoznaczny dowód potwierdzający jego podejrzenia wobec Zientka. Urla szedł w jakiejś sprawie do centrum Rybnika, kiedy na ul. Zebrzydowickiej usłyszał za sobą nawoływanie w języku polskim: *Rupert, zaczekaj!*. Poznał głos Zientka, więc udawał, że nie słyszy. Gdy jednak wołanie stawało się coraz bardziej natarczywe, przystanął i odwrócił się. Zientek podbiegł dość ociężale. Urla skarcił go natychmiast za to, że tak prowokacyjnie wołał go i głośno mówił po polsku, gdyż znane były skutki podobnej manifestacji polskości. Zientek żartował z tych wymówek, ale po chwili ulegle ściszył głos i przyłączył się do Urli, by iść dalej z nim.

[49] Relacja Ruperta Urli.

Towarzystwo to było dla Urli kłopotliwe, dlatego rozmyślał, jak uwolnić się od natręta. Gdy doszli do rynku, pod pretekstem odwiedzenia znajomego wszedł w najbliższą bramę, tuż za apteką Byśka. Po odczekaniu kilku minut wyszedł z tego przypadkowego ukrycia i zauważył, że Zientek wraca ul. Raciborską w kierunku rozwidlenia z Zebrzydowicką. Urla, wiedziony złym przeczuciem, poszedł za nim. Jego podejrzenia okazały się słuszne – Zientek skręcił przy rozwidleniu w prawo, w ul. Św. Józefa, po czym wszedł do mieszczącego się tam budynku gestapo.

Kolejne ostrzeżenia ojca i innych członków ZWZ były niestety spóźnione. Zdrajca penetrował struktury ZWZ/AK od dłuższego czasu, dzięki czemu gestapo miało już szczegółowe informacje o działalności organizacji oraz listę jej najaktywniejszych członków.

* * *

Wrócę jeszcze w paru zdaniach do wydarzeń, jakie miały miejsce od jesieni 1942 do stycznia 1943 r., kiedy to zaczęło się dziać coś niedobrego w organizacji ZWZ/AK. Jesienią 1942 r. wujek Staszek, czyli Stanisław Sobik, często przychodził do nas na parę godzin i prowadził jakieś tajemnicze rozmowy z ojcem. Był człowiekiem bardzo opanowanym, ale w tym okresie widać było w jego zachowaniu wyjątkowe roztargnienie i podenerwowanie. Dopiero niedawno skojarzyłem je z faktem, że we wrześniu 1942 r. aresztowano Stefanię i Andrzeja Kaszubów, aktywnych działaczy ZWZ. Wujek przyjeżdżał wtedy zwykle po południu, na charakterystycznym rowerze – tzw. balonówce (pomalowanym w brązowo-szare paski). Opierał rower o ścianę budynku, witał się ze mną, gdy byłem w pobliżu, i pytał: *„jest tatuś w domu?”* Zazwyczaj jednak nie czekając na odpowiedź wchodził i witał się serdecznie z moją mamą, a po kilku zdaniach na temat samopoczucia siostry mamy, Zosi, wychodził z ojcem „na rozmowę” do sypialni. Od czasu do czasu przychodzili do nas także inni mężczyźni, którzy natychmiast byli wprowadzani przez ojca do sypialni, w której prowadzili długie, czasem nawet kilkugodzinne rozmowy.

Z początkiem 1943 r. zapanowała i u nas w domu jakaś nerwowa atmosfera, a do moich uszu dochodziły coraz częściej ostrzeżenia mamy kierowane do ojca: *„Janek, mówię ci, że to się źle skończy”*. Ojciec jednak uspakajał mamę. Mówił, że wie, co robi, i zapewniał: *„wszystko się ułoży”*.

Niestety, nie ułożyło się! Dnia 11 lutego dwaj rybniccy gestapowcy, Mańka i Sopala, pojechali do parowozowni, aby aresztować ojca, gdy wróci z tzw. trasy. Ojciec przyjechał około godziny 20:30 i wszedł do pokoju maszynistów. Gestapowcy skuli mu ręce kajdankami i przewieźli do swojej siedziby przy ul. św. Józefa w Rybniku.

Tego samego dnia około godziny 22:00 spaliśmy już z bratem, gdy przyszli do naszego mieszkania dwaj mężczyźni w charakterystycznych skórzanych płaszczach i w ciemnych kapeluszach o małych rondach. Po krótkiej rozmowie z mamą w kuchni, weszli do sypialni w której spaliśmy i zaczęli ją przeszukiwać. Brat miał zaledwie dwa lata, i nie rozumiał, co się dzieje. Ja

natomiast byłem już w stanie kojarzyć pewne wydarzenia, więc zdawałem sobie sprawę z tego, że nie są to odwiedziny przyjaznych nam ludzi. Ich zachowanie było dla mnie olbrzymim szokiem.

Zaczęli przeszukiwać mieszkanie. Z szafy i z szuflad wyrzucili wszystko na podłogę. Zaglądali za meble, na szafę, a nawet do paleniska oraz popielnika pieca kaflowego stojącego w sypialni. Po kilku minutach bezskutecznych poszukiwań jeden z mężczyzn podszedł do mnie i zapytał: *„gdzie ojciec schował broń”*. Nie uzyskawszy odpowiedzi uderzył mnie otwartą dłonią w głowę. Mama, która dotychczas stała bezradna przy drzwiach pokoju i płacząc powtarzała w kółko: *„Nie ma w domu broni – mąż nie miał żadnej broni”*, po tym uderzeniu mnie zareagowała gwałtownie. Doskoczyła do mężczyzny z bardzo groźnym wyrazem twarzy, na co ten zreflektował się i odszedł w miejsce przy drzwiach, które mama dopiero co opuściła. Po chwili także drugi mężczyzna zaprzestał przeszukiwania pokoju. Kiedy ci wieczorni a nieproszeni „goście” wyszli z budynku, mama rozpłakała się, przytuliła brata i mnie do siebie, a po chwili powiedziała przez łzy: *„To byli gestapowcy, którzy aresztowali tatusia”*.

To właśnie Sopala i Mańka, dwaj znani rybniccy funkcjonariusze gestapo, byli u nas na wieczornej rewizji. Ilekroć w późniejszych latach mama wspominała to wydarzenie, dodawała za każdym razem, że odnosiła wrażenie, jakby Mańka jej współczuł i był człowiekiem bardziej wrażliwym od grubiańskiego Sopali, który mnie uderzył.

Kiedy dwa dni później aresztowanych wyprowadzano z budynku gestapo, wśród bliskich i krewnych więźniów stojących za kordonem była także moja mama. Zauważyła, że twarz ojca była bardzo zabrudzona, posiniaczona i zakrwawiona. Ojciec także dostrzegł mamę, ale mogli jedynie przez chwilę popatrzeć na siebie. Dużym wysiłkiem uniósł związane w nadgarstkach ręce, dotknął końcami palców swoich ust i przesłał mamie symboliczny pocałunek. Był to ostatni gest, jaki mógł mamie przekazać – widzieli się po raz ostatni.

W niedzielę 14 lutego około godziny 21:00 w korytarzu naszego budynku mama usłyszała podejrzane szmery. Gdy raptownie otworzyła drzwi, zobaczyła zaskoczonego Zientka. Na pytanie: *„co Pan tu robi”*, odpowiedział zupełnie zmieszany, że przyszedł się zorientować, czy wiadomo coś o Janku. Mama nie była w stanie ukryć wzburzenia z powodu jego cynizmu. Energicznym ruchem ręki wskazała drzwi wyjściowe i powiedziała: *„Pan dobrze wie, co się stało z mężem i przez kogo został aresztowany!”*. W przypływie złości dopowiedziała jeszcze: *Jest pan wyjątkowym nikczemnikiem!*. Zientek wyszedł. Od tego czasu nikt już nie widział go w Rybniku.

* * *

Po przyjeździe do KL Auschwitz, jak wynika z relacji Józefa Sobika, aresztowani musieli czekać przy głównej bramie obozu na załatwienie formalności związanych z wprowadzeniem ich do obozu. Zapewne z przerażeniem przyglądali się temu, co ich otaczało. Solidne słupy cementowe

wyznaczały teren obozu. Za bramą stały podłużne, jednopiętrowe budynki z czerwonej cegły. Odgrodzone były od „reszty świata" podwójnym, około dwumetrowym ogrodzeniem z drutu kolczastego. Dalej był trzymetrowej szerokości pas neutralny, wysypany żwirem, oraz drugie ogrodzenie z drutu kolczastego. Łatwo było się domyślić, że rozciągniętymi między słupami i podwieszonymi na izolatorach drutami kolczastymi płynął prąd. Przed zewnętrzną częścią ogrodzenia sterczały około metrowej wysokości słupki. Na przymocowanych do nich drewnianych tabliczkach widniało ostrzeżenie: „HALT – STÓJ" oraz czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami. W pewnej odległości od siebie usytuowane były wieże wartownicze, z których – z wysokości około 5 metrów – obserwowali wszystko wartownicy uzbrojeni w karabiny. Mieli oni stamtąd szerokie pole widzenia, obejmujące zarówno ogrodzenie, jak i teren wewnątrz obozu. Na wieżach umieszczone były także wielkie reflektory oświetlające obóz wieczorem i w nocy.

Tyle zdążyli zaobserwować podczas oczekiwania przy bramie. O funkcjonowaniu tej „fabryki śmierci" mieli się przekonać już niedługo – po przekroczeniu obozowej bramy.

Grupa aresztowanych zaprowadzona została na blok nr 2. Ojciec przebywał tam sześć tygodni – od 13 lutego do 31 marca 1943 r. W tym okresie, podobnie jak inni więźniowie, wzywany był co kilka dni na przesłuchania. Był na cenzurowanym u Niemców, gdyż w 1939 r. wraz z innymi maszynistami wywiózł parowozy z Rybnika do Kielc. O akcjach sabotażowych na kolei na pewno rozmawiał z Zientkiem, ten zaś przekazał te informacje gestapowcom. Kolejną obciążającą go sprawą była przynależność do ZWZ/AK, czego także nie ukrywał przed zdrajcą.

Nie staram się wymyślać sposobu przeprowadzania tortur przy przesłuchiwaniu ojca, gdyż bardzo poważnie traktuję wymowę faktów. Z relacji Józefa Sobika wiadomo tylko, że ojciec mój miał plecy czarne od bicia. Sobik widział to, gdy grupowo zaprowadzono ich do zbiorowej kąpieli pod prysznicami. Aby jednak dać Czytelnikowi pojęcie o cierpieniach, jakim poddawani byli przesłuchiwani więźniowie, przytoczę fragment wspomnień wyjątkowo wiarygodnego świadka takich przesłuchań, Pery'ego Broada[50]:

W odległości metra od siebie ustawione były dwa stoły. Delikwentowi kazano usiąść na podłodze i złożyć dłonie na skurczonych kolanach. Wówczas ręce zakuwano w kajdany. Następnie wsuwano między łokcie a kolana więźnia masywny drążek, którego końce umieszczano na obu stołach. Skrępowany kołysał się teraz bezradnie między stołami głową w dół. Rozpoczynało się bicie bykowcem po pośladkach i w gołe stopy. Uderzenia były tak mocne, że dręczony wykonywał niemal całe obroty. Każdorazowo, gdy pośladki znajdowały się w odpowiedniej pozycji, padał cios, wykonywany z całą siłą. Gdy krzyki więźnia stawały się zbyt przeraźliwe, sadystyczny gestapowiec nakładał mu maskę

[50] Pery Broad zatrudniony był w KL Auschwitz od 1942 r. jako wartownik. Następnie ochotniczo zgłosił się do pracy w Politische Abteilung, gdzie pracował do końca istnienia obozu.

gazową. Teraz słychać było tylko owe zduszone jęki. Od czasu do czasu zdejmowano katowanemu maskę i pytano, czy będzie wreszcie zeznawał. Zarzucano mu, że posiadał broń. Był ofiarą jakiegoś pozbawionego sumienia denuncjatora.

Po upływie około 15 minut zamierały konwulsyjne ruchy dręczonego. Nie mógł już mówić; gdy znów zdjęto maskę i wezwano do złożenia zeznań, tylko słabo potrząsnął głową. Jego spodnie zabarwiły się na czerwono, a krew kapała na podłogę. Wreszcie głowa zwisła mu martwo, zemdlał.[51]

W ten sposób przesłuchiwany był także Józef Sobik, co opisuje szczegółowo w swoich wspomnieniach.[52] Najczęściej stosowaną formą znęcania się nad przesłuchiwanym było bicie lub kopanie. Inne metody wymuszania zeznań to przysiady z ciężarami trzymanymi w rękach nad głową, słynny kozioł, czy wlewanie wody przez nos do płuc, w wyniku czego przesłuchiwany dusił się i tracił przytomność. Nagminne było także wbijanie szpilek pod paznokcie, wyrywanie paznokci i inne wymyślne tortury. Ich rodzaj ustalali przesłuchujący lub asystujący przy przesłuchaniu pomocnicy z obozowej jednostki SS.

Po zakończeniu śledztwa więzień otrzymywał do przeczytania i podpisania końcowe protokoły przesłuchań, które wysyłano następnie do Berlina, gdzie specjalna komisja analizowała je i decydowała o dalszym losie aresztowanej osoby.

Dnia 31.03.1943 r. ojciec przekazany został na pobyt do obozu. Wraz z grupą innych więźniów z bloku nr 2 zaprowadzono go do bloku nr 26, gdzie odbywała się procedura przyjęcia i rejestracji. Według *Kalendarza wydarzeń w KL Auschwitz* autorstwa Danuty Czech zarejestrowano tego dnia 199 więźniów dostarczonych transportem zbiorowym i oznaczono ich numerami 111909–112107. Ojciec otrzymał numer obozowy 111912. Następnie zaprowadzony został wraz z innymi więźniami na blok nr 9 – blok kwarantanny, gdzie miał przebywać około trzech tygodni. Przez cały ten okres nie wolno było wychodzić z bloku, a tym samym kontaktować się z innymi więźniami.

W każdej z sal tego bloku – zarówno na parterze, jak i na piętrze – znajdowały się trzypiętrowe prycze, kilka drewnianych szaf, stołów, kilkadziesiąt prostych taboretów oraz piec kaflowy opalany węglem. Urządzenia sanitarne umieszczone były na parterze.

Za dany blok odpowiedzialny był esesman – Blockführer – z nieograniczoną władzą. Do pomocy miał blokowego (Blockältester) wybranego z więźniów funkcyjnych, a ten z kolei mianował izbowego (Stubendienst). Funkcyjni bardzo rygorystycznie przestrzegali porządku dnia. Rozpoczynali swoje obowiązki od brutalnego budzenia więźniów, którzy nie zareagowali odpowiednio na gong. Następnie pilnowali, by poranna toaleta i porządkowanie

---

[51] *Oświęcim w oczach SS. Höss, Broad, Kremer.* Wybór, opracowanie i przypisy J. Bezwińska, D. Czech, Oświęcim 1976, s. 145.

[52] Zob. wspomnienia Józefa Sobika.

posłań przebiegały w szybkim tempie, po czym ustawiali więźniów do apelu na korytarzu bloku, gdzie sprawdzali ich stan ilościowy.

Nowo przybyłych, blokowy zaznajamiał dosadnym językiem o regulaminie obowiązującym w bloku kwarantanny. W ciągu dnia więźniowie przebywający na tym bloku zmuszani byli przez funkcyjnych do odbywania przez kilka godzin zajęć zwanych „sportem". Polegało to na wykonywaniu różnego rodzaju ćwiczeń fizycznych, śpiewaniu niemieckich piosenek oraz uczeniu się musztry, ustawiania do apelu i poprawnego meldowania się esesmanom lub funkcyjnym. Co chwilę więźniowie dowiadywali się czegoś nowego o obozowych porządkach, poznawali sadystyczne praktyki funkcyjnych, odczuwali na sobie razy, kopniaki oraz słowne upokorzenia. Od bardziej doświadczonych współwięźniów, tzw. starych numerów, dowiadywali się, na jakie kategorie podzieleni zostali więźniowie i na co należy zwracać szczególną uwagę. O charakterze przestępstwa, za które więzień był osadzony w obozie, informował naszyty na pasiaku trójkąt – tzw. winkiel. Informacje takie były cenne dla nowo przyjętego więźnia, gdyż dzięki temu wiedział, kim jest współwięzień i jak należy zachowywać się wobec niego. Uczył się, co robić, by życie w obozie było mniej uciążliwe – dla niego i grupy, do której należał.

Ojciec mój miał trójkąt koloru czerwonego. Oto informacje na temat tej kategorii więźniów z książki *Auschwitz. Nazistowski obóz śmierci*:

Czerwonym trójkątem oznaczano więźniów politycznych, wobec których zastosowano „areszt ochronny" (Schutzhaft), i stąd powstało używane w obozowych aktach określenie „uwięziony ochronnie" (Schutzhäftling). Do 1942 roku była to najliczniej reprezentowana kategoria więźniów KL Auschwitz, wśród których przeważali więźniowie Polacy aresztowani za rzeczywistą antyhitlerowską działalność (członkowie organizacji ruchu oporu) lub aresztowani w różnych akcjach represyjnych. Do tej kategorii zaliczano także więźniów Polaków aresztowanych na przykład w 1940 roku na ulicach Warszawy, którym w ogóle nie udowodniono – i nie starano się nawet udowodnić – antyniemieckiej działalności.[53]

Trójkątem zielonym oznaczano „zawodowych przestępców kryminalnych", których esesmani mianowali przeważnie funkcyjnymi – nadzorcami w pracy lub porządkowymi na terenie obozu czy w blokach. Wywoływali oni szczególny postrach w obozie, gdyż często – pragnąc przypodobać się esesmanom, byli bardziej gorliwi w znęcaniu się nad więźniami od oprawców z SS. Trójkątem koloru czarnego oznaczano więźniów zaliczanych do tzw. grupy aspołecznej, np. prostytutki w obozie kobiecym i część Cyganów. Trójkątem fioletowym oznaczano badaczy Pisma Świętego i duchownych (księży katolickich znakowano przeważnie trójkątem czerwonym), zaś różowym – aresztowanych pod zarzutem praktyk homoseksualnych. Trójkątem zielonym – „na podstawce", oznaczano aresztowanych prewencyjnie, po odbyciu kary

[53] *Auschwitz. Nazistowski obóz śmierci*. Praca zbiorowa pod red. F. Pipera i T. Świebockiej, Oświęcim 1993, s. 59.

orzeczonej przez sąd cywilny, natomiast sześcioramienną gwiazdą oznaczano Żydów.

Była też grupa oznaczona literą „E" (litera ta była umieszczana przed numerem obozowym) – tzw. więźniowie wychowawczy, których kierowano do najcięższych prac. Więźniowie z karnej kompani nosić musieli na bluzie pasiaka kawałek czarnego płótna w kształcie koła. Uznawanych przez władze obozowe za niebezpiecznych lub podejrzanych o zamiar ucieczki oznaczono kołem w kolorze czerwonym i literami „IL". Znaczyło to, że osoby te nie mogły opuszczać ogrodzonego terenu obozu i były uważniej pilnowane.

Należy w tym miejscu wspomnieć również o panującym w obozie głodzie. Więźniowie powinni otrzymywać posiłki trzy razy dziennie, ale w praktyce różnie to wyglądało. Rano otrzymywali pół litra czarnej, lurowatej kawy zbożowej lub herbaty z ziół. Do herbaty zaparzanej z pokrzyw często dolewano naftę, co miało przeciwdziałać zachorowaniom na anginę. Na obiad otrzymywali wodnistą zupę, w której – gdy miało się szczęście – pływało czasem parę kawałków buraków pastewnych lub kilka ziarenek kaszy. Na kolację wydawano chleb, którego powinno przypadać 300 gr na więźnia, ale porcje te były często zmniejszane. Do chleba dodawana była odrobina margaryny lub mała ilość (około łyżki) marmolady, kawałek sera domowego lub krwistej kaszanki. Rozdawaniem posiłków zajmowali się funkcyjni, którzy bezkarnie okradali „szeregowych" współtowarzyszy z należnych im przydziałów. Uzyskiwane w ten sposób dodatkowe porcje chleba, kiełbasy czy margaryny funkcyjni wymieniali na inne produkty żywnościowe lub przedmioty na tzw. „czarnej giełdzie". Handlowano tam niemal wszystkim, co dało się w obozie „zorganizować", tj. żywnością, rzeczami z magazynów, w których więźniowie pracowali, itp. Wypada też podkreślić, że na bloku kwarantanny więźniowie – jako niepracujący – otrzymywali racje żywnościowe mniejsze od tych, jakie przysługiwały w komandach pracujących.

Po trzech tygodniach kwarantanny więźniów kierowano do bloków i komand roboczych. Tanią siłę roboczą wykorzystywano do różnych prac na terenie obozu lub poza nim. Wewnątrz obozu więźniowie pracowali w magazynach odzieżowych, żywnościowych, w warsztacie ślusarskim, stolarskim, szklarskim, malarskim, krawieckim, szewskim, samochodowym, w biurach obozowych, kuchniach, szpitalu, izbie chorych. Byli też zatrudnieni przy wyciąganiu zwłok z komór gazowych, paleniu ich w krematoriach, a także przy przewożeniu i sortowaniu rzeczy przywiezionych do obozu przez transporty Żydów i więźniów innych narodowości. Poza obozem wykorzystywano pracę więźniów w fabrykach, kopalniach, gospodarstwach rolnych i gdzie tylko było to potrzebne. Wyliczam z takim rozmachem rodzaje zatrudnienia więźniów, aby wykazać, jak zróżnicowane były to zajęcia. Przydział do komanda decydował bowiem często o możliwości przetrwania obozu.

Czasem przy przydziale pracy uwzględniany był zawód, jaki więzień wykonywał zanim dostał się do obozu. Tak też było w przypadku mojego ojca, który został przekazany na blok 15a i zatrudniony w obozowym warsztacie jako

ślusarz.[54] Kilka ważnych informacji na temat tego bloku i komanda otrzymałem od byłego więźnia Stanisława Dzienia, który tam właśnie przebywał i pracował od jesieni 1942 r. do sierpnia 1944 r. Pomimo pokazanego mu zdjęcia niestety nie przypomina sobie mojego ojca, jednak z dokumentów wynika, że od marca do czerwca 1943 r. pracowali razem. Fakt ten ma dla mnie szczególne znaczenie. Od Stanisława Dzienia dowiedziałem się, iż na parterze bloku nr 15 przebywali więźniowie z obsługi krematorium (Sonderkommando[55]), którzy ze względu na specyfikę swej pracy zachowywali się jak ludzie chorzy psychicznie. Rotacja tej grupy była bardzo duża. W krótkich odstępach czasu pracowników komanda wysyłano do „likwidacji" w komorach gazowych, po czym zastępowano ich nową grupą. Na parterze tego bloku zakwaterowani byli także młodzi i bardzo sprawni fizycznie członkowie obozowej jednostki straży pożarnej. Musieli nieustannie wykonywać ćwiczenia sprawnościowe, ale traktowani byli przez Niemców lepiej niż inni więźniowie – otrzymywali lepsze ubrania i jedzenie.

Nawiązując do pracy w warsztacie ślusarskim, warunki pracy w tym komandzie były lepsze niż w innych. Warsztat usytuowany był przy kompleksie budynków gospodarczych, naprzeciw bramy głównej. Wykonywano tam wszystkie prace ślusarskie i mechaniczne, jakie przynoszono z terenu obozu. Czasem więźniowie wychodzili też poza jego teren. Wartownicy i funkcyjni pilnujący więźniów w warsztacie – według mojego rozmówcy – nie byli brutalni i doceniali fachowość swoich podopiecznych[56].

Czas porannej pobudki w całym obozie był taki sam – godzina 4:30. We wszystkich blokach, podobnie jak na kwarantannie, sztubowi wymuszali wrzaskami, przekleństwami i biciem jak najszybsze opuszczanie legowisk. Prycze musiały być zasłane kocami natychmiast po ich opuszczeniu. Źle zaścielona prycza mogła być przyczyną bicia lub kopania więźnia albo kary pozbawienia posiłku na dany dzień. W zależności od „fantazji" sztubowego wymyślane były też inne kary. Po porannej toalecie więźniowie otrzymywali posiłek, a następnie pędzeni byli na apel.

Plac apelowy wydzielony był wzdłuż drogi przed blokami nr 15, 16, 17 i 18, naprzeciw baraków obozowej kuchni. Więźniowie ustawiali się tam według przynależności do poszczególnych bloków, po dziesięć osób w rzędzie. Skrupulatnie sprawdzano obecność. Gdy nie było zastrzeżeń co do stanu liczbowego, więźniowie musieli się przegrupować w odpowiednie komanda. Efektywny czas pracy wynosił około jedenastu godzin, tj. od godziny 6:00 do 17:00. Z tego czasu wydzielono pół godziny na przerwę obiadową.

---

[54] Wyjaśniam przy okazji, iż litera znajdująca się przy numerze bloku oznaczała jego piętro. Parter i piętro były odrębnymi jednostkami administracyjnymi, miały też oddzielne wejścia (np. do bloku 15a wchodziło się z boku budynku). W większości bloków na piętrze znajdowały się dwie duże sale, natomiast na parterze było kilka mniejszych sal oraz pomieszczenia sanitarne.

[55] Sonderkommando – specjalna grupa Żydów zmuszona przez esesmanów do pracy przy usuwaniu ciał z komór gazowych i ich spalaniu.

[56] Kontrowersyjny artykuł na ten temat – o esesmanie – kierowniku warsztatu ślusarskiego w KL Auschwitz, zamieszczony został w miesięczniku NEWSWEEK z dn. 28.01.2007 r., s. 84-87.

Wychodzące poza teren obozu komanda eskortowali i nadzorowali wartownicy SS. Wymarsz umęczonych więźniów „uatrakcyjniała" przygrywająca obok bramy głównej orkiestra obozowa. Aby w czasie apelu wieczornego ilość więźniów zgadzała się z tą, która opuściła obóz rano, więźniowie wracający z pracy, musieli wnosić na plecach zwłoki współtowarzyszy zmarłych z wycieńczenia lub zakatowanych przez kapo czy esesmanów. Przy bramie głównej, te makabryczne korowody ponownie witane były przez orkiestrę, grającą przeważnie utwory z repertuaru wiedeńskich kompozytorów – Straussów.

Komanda wracały zazwyczaj na apel wieczorny, więc więźniowie ustawiali się od razu na placu apelowym, po czym dokładnie sprawdzano ich liczbę. Po apelu – gdy nie było problemów z doliczeniem się stanu komand – wydawano kolację, tzn. chleb i ewentualne dodatki do niego. Gdy zaś stwierdzono ucieczkę jakiegoś więźnia, apele przedłużały się do kilku godzin – niezależnie od pory roku czy pogody.

Około godziny 21:00 zarządzano ciszę nocną, w czasie której nie wolno było wychodzić na teren obozu. Do więźniów łamiących ten zakaz wartownicy na wieżach wartowniczych mieli prawo strzelać bez ostrzeżenia. Więźniowie kładli się spać w samej bieliźnie. Bluzy kładli pod głowy. Niektórzy, bardziej dbający o estetykę, układali pod siebie spodnie, aby wyglądały, jak wyprasowane. Z przezorności zabierali na prycze także obuwie, gdyż zdarzały się kradzieże i wówczas trzeba było chodzić boso lub kombinować buty na „czarnej giełdzie" – za żywność lub pieniądze, jeżeli się je posiadało.

W niedziele niektóre komanda pracowały, zaś reszcie więźniów organizowano obowiązkowe zajęcia, np. czyszczenie i cerowanie ubrań, czy poszukiwanie wszy – Läuseappell. Tego dnia wolno było także pisać listy. Była to jedyna możliwość kontaktowania się z najbliższymi. Zgodnie z przepisami obozowymi więzień mógł wysłać jeden lub dwa listy w miesiącu, natomiast otrzymać – kilka. Władze obozowe lub funkcyjni na bloku mogli zabronić wysyłania lub otrzymywania korespondencji za różnego rodzaju przewinienia. Listy wysyłane z obozu poddawane były cenzurze przez referat Postzensurstelle, w którym pracowali funkcjonariusze SS.

Przepisy obozowe nakazywały pisanie listów w języku niemieckim na specjalnym formularzu listowym. Na jednej stronie formatu A4 więzień mógł zapisać dwie kolumny po piętnaście linijek. Bez względu na aktualny stan zdrowia obowiązkowo zamieszczony musiał być zwrot: „jestem zdrów i czuję się dobrze". Gdy więzień próbował przekazać jakąś niewłaściwą czy niedozwoloną informację, cenzura SS wykreślała ją. Często też wcale nie wysyłano listu, a jego autor był oczywiście dodatkowo karany. Paczki żywnościowe wolno było przysyłać do obozu dopiero od jesieni 1942 r. Nie było ograniczeń w ilości posyłanych paczek, jednak ich waga nie mogła przekraczać 3 kilogramów.

Ojciec zdążył wysłać z obozu tylko trzy listy do mamy i jeden do swoich rodziców. Przetłumaczone listy zdecydowałem się opublikować, gdyż ujawniają charakter, tęsknotę, miłość – miłość męża i ojca.

Auschwitz, dnia 9.05.1943 r.

Najukochańsi Żono i Dzieci!

Pozdrawiam Was i powiadamiam, że jestem zdrowy. Czas płynie mi tu szybko i myślę stale o Was. Pracuję w swoim zawodzie. Co u Was słychać Henieczku i Jurku? Czy jesteście zdrowi? Paczki mogę dostawać bez ograniczeń, do 3 kg. Jeżeli ukochana Heluś nie możesz posłać paczki, idź do moich rodziców albo do Agnieszki. Może być wszystko do jedzenia, ale żadnych napojów, alkoholi, ubrań. Cebulę lub czosnek możesz przysłać. Tytoń albo papierosy również. Mamy tu kantynę, w której wszystko można kupić, jeśli się ma pieniądze. Otrzymać mogę do 40 marek miesięcznie. Jeśli kochana Heluś wysyłać będziesz paczkę, musisz do niej włożyć zgodnie z przepisami spis zawartości w dwóch egzemplarzach. Napisz mi wkrótce, co jest z mieszkaniem i co nowego? Czy wszyscy są jeszcze w domu? Heluś, czy otrzymałaś moją torbę, zegarek i pieniądze w portfelu?[57] *Poza tym nic nowego, ucałowania i pozdrowienia dla Was i dla rodziców. Mogę pisać tylko raz w miesiącu. Myślcie o mnie.*

Z Bogiem Janek. Napiszcie wkrótce.

* * *

Auschwitz, dnia 30.05.1943 r.

Kochana Żono i Dzieci!

Piszę do Was po raz drugi. Kochana Helu i dzieci, podaję wam do wiadomości, że jestem zdrowy i otrzymałem Wasz serdeczny list. Każde słowo sprawiło mi wielką radość, ale za mało o sobie napisaliście. Wszystkie pięć paczek otrzymałem, za co jestem Tobie, kochana Helu, i moim rodzicom bardzo wdzięczny. Proszę Cię, kochana Helu, nie posyłaj mi za dużo i nie oszczędzaj na sobie i dzieciach. Wy przecież też niewiele macie, a ja nie potrzebuję tak dużo jak dzieci. Łyżki ani lufki nie potrzebuję. Pieniędzy mi nie posyłajcie, dopóki Wam nie napiszę. Cieszę się, że możemy teraz pisać dwa razy w miesiącu, tak samo Wy. Cieszę się, że Jurek jest pilny – czy ma jeszcze ten mały modlitewnik? Ciekaw jestem, jak teraz wyglądacie. Za zegarkiem i innymi rzeczami nie chodź. Czy rower jest w domu? Co słychać w domu u rodziców, czy Agnieszka jest zdrowa? Oczekuję listu od Was z dużą tęsknotą. Pozdrowienia dla wszystkich, a Ciebie ukochana i Was dzieci całuję i życzę zdrowia. Z Bogiem Janek.

* * *

[57] Chodzi tu o rzeczy zostawione przez ojca w miejscu pracy w chwili aresztowania. [Przyp. J. K.]

Auschwitz, dnia 20.06.1943 r.

Kochana Heluś, Jerzy i Henieczku!

Pozdrawiam w Bogu! Trzeci raz posyłam Wam najserdeczniejsze pozdrowienia z obozu. Jestem zdrowy i mam nadzieję, że Wy również. Dziękuję Ci, kochana Helu, i rodzicom za paczki, które doszły do mnie w najlepszym porządku. Przede wszystkim dziękuję za ciasto. Kochana Heluś, nie posyłaj mi tak dużo chleba. Jedzcie więcej – Ty i dzieci. Ja mam chleba na razie dosyć. Czas płynie mi tu bardzo szybko. Pytasz, kochana żono, czy o Was myślę? Każdego dnia myślę o czasie, który przeżyliśmy razem. Bardzo za Wami tęsknię. Kochana Helu, piszesz mi tak mało. Drugi list dostałem 2 czerwca. Sprawił mi wiele radości. Piszesz, że Henieczek jest taki pojętny. A Jerzy – musi być już duży? Ucałuj ode mnie obydwie moje ukochane pociechy. Pytasz, czy chciałbym jeszcze coś specjalnego. Nie, nie potrzebuję niczego. Czy Waldek jest już w domu? A Rafał i Franciszek, czy u nich się nic nie zmieniło i czy wszyscy w domu są zdrowi? Pozdrowienia i ucałowania dla Was wszystkich. Napiszcie wkrótce. Z Bogiem – Twój Janek.

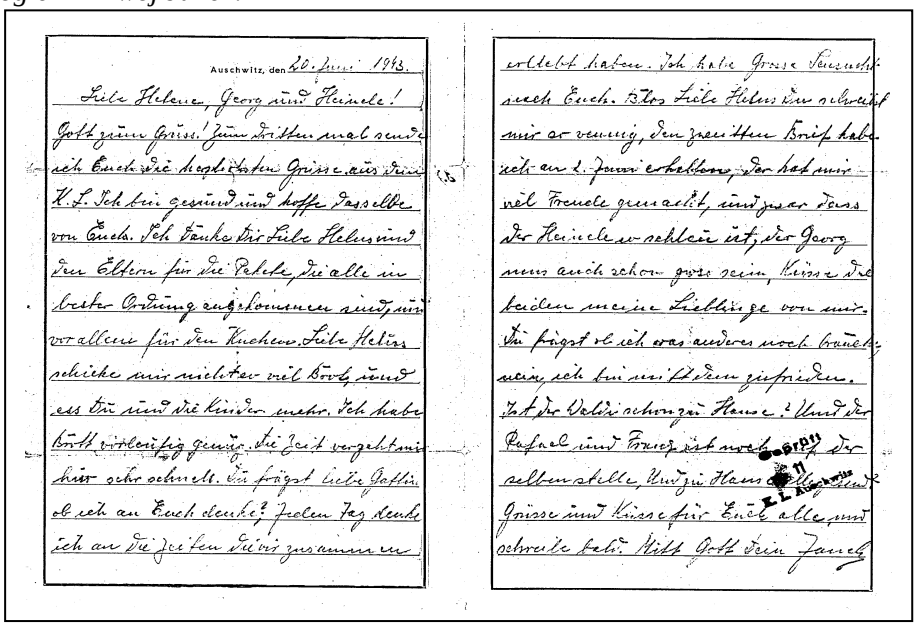
Auschwitz, den 20. Juni 1943.

Liebe Helene, Georg und Heinele!

Gott zum Gruss! Zum dritten mal sende ich Euch die besten Grüsse aus dem K.L. Ich bin gesund und hoffe dasselbe von Euch. Ich danke dir Liebe Helene und den Eltern für die Pakete, die alle in bester Ordnung angekommen sind, und vor allem für den Kuchen. Liebe Helene schicke mir nicht so viel Brot, und ess du und die Kinder mehr. Ich habe bald vierteljährig genug. Die Zeit vergeht mir hier sehr schnell. Du fragst liebe Gattin ob ich an Euch denke? Jeden Tag denke ich an die Zeiten die wir zusammen verlebt haben. Ich habe Grosse Sehnsucht nach Euch. Bitte Liebe Helene du schreibst mir so wenig, den zweiten Brief habe ich am 2. Juni erhalten, der hat mir viel Freude gemacht, und ja es dass der Heinele gesund ist, der Georg muss auch schon gross sein. Küsse die beiden meine Lieblinge von mir. Du fragst ob ich etwas anderes noch brauche, nein, ich bin mit Allem zufrieden. Ist der Valiu schon zu Hause? Und der Rafael und Franciszek ist noch derselbe Stelle, Und zu Hause Grüsse und Küsse für Euch alle und schreibe bald. Mit Gott dein Janek

Wzrusza mnie, co w listach tych zapisane jest między wierszami, jakimi informacjami więźniowie chcieli się podzielić z najbliższymi, a co napisać mogli. Wzrusza bezradność w dobieraniu słów, staranie się, aby na paru linijkach arkusza listowego przekazać jak najwięcej własnych odczuć, a równocześnie, by – bez zastrzeżeń – list „przepuściła" obozowa cenzura. Na napisanie listu musieli czekać co najmniej dwa tygodnie. Jakże ironiczne wydają się zdania: *„Mamy tu kantynę, w której wszystko można kupić, jeśli się ma pieniądze. Otrzymać mogę do 40 marek miesięcznie"*. W książce *Auschwitz. Nazistowski obóz śmierci* zagadnienie to przedstawione jest następująco:

W poszczególnych częściach KL Auschwitz istniały, podobnie jak w innych hitlerowskich obozach koncentracyjnych, obozowe „kantyny". Zakupy w kantynie mogli robić więźniowie w ściśle określonych dniach, jeśli posiadali na swoim koncie marki (RM) zdeponowane w chwili rejestracji lub nadsyłane przekazami pocztowymi przez rodzinę. W rzeczywistości kantyny nie odgrywały prawie żadnej pozytywnej roli ze względu na oferowany asortyment artykułów żywnościowych. Od czasu do czasu można było zakupić w kantynie zaprawione na kwaśno buraki, słone ślimaki, wodę mineralną, a nadto papierosy, przybory do golenia, przybory do mycia zębów, blankiety listów obozowych, znaczki pocztowe lub inne, mało wartościowe dla więźniów drobiazgi.[58]

Ojciec – pisząc do mamy, aby nie posyłała mu paczek kosztem naszego ograniczania się – miał niestety świadomość, że po jego aresztowaniu zostaliśmy bez środków do życia. Rodzice mamy odmówili przyjęcia volkslisty, więc nie tylko znajdowali się w ciężkiej sytuacji materialnej, lecz groziło im wysiedlenie do jakiegokolwiek obozu przejściowego zwanego Polenlager. Dziadek ukrywał przed hitlerowcami fakt, iż był żołnierzem gen. Hallera, ale w każdej chwili mogła wyjść na jaw jego przeszłość wojskowa. Po aresztowaniu Zofii i Stanisława Sobików dziadkowie zaopiekowali się ich dziećmi.

W pierwszej kolejności z pomocą materialną przyszła mamie rodzina ojca. Znacznie poważniejsze wsparcie otrzymywaliśmy od komórek charytatywnych ZWZ/AK. Często w kościele podczas niedzielnego nabożeństwa nieznajoma osoba podchodziła do mamy i wsuwała jej w rękę jakieś zawiniątko. Po jego rozpakowaniu w domu okazywało się, że były w nim pieniądze, kartki żywnościowe i odzieżowe.

Cały ciężar opieki nad nami, dziadkami i dziećmi Stanisława i Zofii spadł na moją mamę. Starała się również pomagać bliskim uwięzionym w KL Auschwitz. Wysyłanie paczek do obozu nie było jednak prostą sprawą. Niemcy bardzo interesowali się przypadkami, gdy osoba nie pracująca i nie otrzymująca pomoc od okupanta, wysyłała za często paczki do obozu. Aby nie narażać się władzom okupacyjnym, mama prosiła znajomych, zaufanych Niemców, żeby to oni byli nadawcami przesyłek do naszych bliskich w obozie.

Olbrzymią pomoc w zdobywaniu żywności okazała siostra babci mieszkająca w wiosce Dobrzyca k.Pleszewa w woj. poznańskim. Mama zaopatrywała się u niej w różne produkty spożywcze, m. in. mąkę „kombinowaną" z niemieckiego młyna zbożowego (pracował tam sąsiad cioci), mięso z nielegalnego uboju, jaja, itp. Ojciec mamy był człowiekiem bardzo schorowanym, więc mama musiała sama przewozić ciężkie walizki wypełnione cennymi produktami spożywczymi. Wiele przy tym ryzykowała, gdyż obowiązywał wtedy zakaz przewożenia żywności, a na prawie 300-kilometrowej trasie w każdej chwili mogła zostać zrewidowana.

Takie były warunki naszej egzystencji w okresie okupacji – pod każdym względem ciężkie i anormalne. Stąd skrupuły ojca oraz – z drugiej strony –

---

[58] *Auschwitz. Nazistowski*…, s. 76.

ogromne zaangażowanie mamy, aby tylu osobom zabezpieczyć jako taki byt, częstokroć przy narażaniu własnego życia.

* * *

Często używane jest sformułowanie „piekło Oświęcimia", którym i ja się posługuję. W piekle tym walczyć o przetrwanie musiał mój ojciec i setki tysiący innych więźniów. Na szczęście dzisiaj określenie to jest przedmiotem filozoficznych rozważań. Więźniowie, którzy osobiście odczuli żar tego piekła, rozumieją wymowę takiego określenia, ale czy tak jednoznacznie może to zrozumieć ktoś, kto tego nie doświadczył?

W artykule Katarzyny Nowak *Antoni Kępiński – psycholog w obozie koncentracyjnym* znalazłem trafne ujęcie tego tematu: *„Wydaje się, że przepaść oddzielająca ludzi z obozu od tych, którzy w nim nie byli, jest nie do przebycia. Nikt bowiem nie jest w stanie wczuć się w to, co oni przeżyli. Ich przeżycia są poza granicami ludzkiego zrozumienia (Jaspersowskiego verstehende)."*[59]

Jak bowiem może się czuć człowiek zaszczuty i uzależniony od złoczyńców, zmuszony reagować na ich kaprysy, postępować według darwinowskich reguł walki o byt? Nawet osoba o niezbyt bujnej wyobraźni zmuszona będzie do refleksji, gdy zapozna się ze „szczerymi" wyznaniami o psychicznym sposobie niszczenia więźniów, spisanymi przez samego sprawcę tych bestialstw – komendanta KL Auschwitz Rudolfa Hössa:

Nigdzie bezwstydny egoizm nie ujawnia się w sposób tak jaskrawy, jak w niewoli; im twardsze w niej życie, tym bardziej rażące jest egoistyczne zachowywanie się wynikające z instynktu samozachowawczego. Nawet natury, które w normalnym życiu były dobrotliwe i chętnie spieszyły innym z pomocą, potrafią w ciężkim więzieniu bezlitośnie tyranizować swoich współtowarzyszy, jeżeli mogą dzięki temu odrobinę znośniej ukształtować swoje życie. Tym bardziej bez serca postępują ci, którzy z natury są egoistami, zimni lub mają skłonności przestępcze; niemiłosiernie przechodzą do porządku nad niedolą swoich współtowarzyszy, aby osiągnąć najdrobniejszą korzyść.

Więźniowie, których wrażliwości nie zabiła jeszcze brutalność obozowego życia, przechodzą niewypowiedziane cierpienia psychiczne wskutek ordynarnego i nikczemnego postępowania, pomijając już fizyczne skutki takiego traktowania. Żadna, nawet najgorsza samowola, nawet najgorsze traktowanie przez dozorców nie dotyka ich tak boleśnie i nie rani tak dotkliwie jak złe ustosunkowanie się do nich współwięźniów. Druzgocąco na ich psychikę działa właśnie to, że bezsilni i bezradni muszą się przyglądać, jak więźniowie sprawujący funkcję przełożonych dręczą swych towarzyszy. Biada więźniowi, który się przed tym broni lub wstawia za pokrzywdzonymi. Terror osobników sprawujących władzę wewnątrz obozu jest zbyt silny, aby ktoś mógł się na to odważyć.

---

[59] Katarzyna Nowak, *Antoni Kępiński – psycholog w obozie koncentracyjnym*, „Pro Memoria" 1998, nr 9, s. 51.

Dlaczego więźniowie na stanowiskach przełożonych, więźniowie funkcyjni traktują w ten sposób innych więźniów, towarzyszy niedoli? Postępują tak, ponieważ chcą przedstawić się w korzystnym świetle strażnikom i dozorcom o podobnym sposobie myślenia, ponieważ chcą pokazać, jak dziarsko potrafią postępować, ponieważ mogą w ten sposób osiągnąć korzyści i przyjemniej ułożyć sobie życie – zawsze jednak kosztem współwięźniów. Tego rodzaju postępowanie i działanie umożliwia im dozorca, strażnik, który albo przygląda się temu z własnej wygody obojętnie, albo sam pochwala tego rodzaju postępowanie z niskich pobudek, ze złej woli, a nawet je prowokuje, gdyż sprawia mu szatańską radość, gdy może „podszczuwać" jednych więźniów przeciw innym.

Wśród więźniów sprawujących funkcję przełożonych dość jest jednak i tego rodzaju kreatur, które dręczą współwięźniów fizycznie i psychicznie na skutek swego chamskiego, brutalnego i podłego usposobienia oraz zbrodniczych skłonności, a nawet swoim sadyzmem potrafią ich zaszczuć na śmierć.[60]

Jakże zgodna z powyższą jest relacja byłego więźnia KL Auschwitz, Szymona Laksa:

Oświęcim był pewnego rodzaju negatywem świata, z którego zostaliśmy uprowadzeni. Białe stało się czarnym, czarne białym, wartości były wywrócone o 180 stopni. Dobitniej mówiąc: każdy z nas miał przed sobą jedną z dwu możliwości: albo bić i katować bliźnich, albo być przez bliźnich bity i katowany. Nasze poczucie godności i człowieczeństwa uważane było za występek; rozumowanie logiczne jako objaw obłędu; miłosierdzie jako oznaka chorobliwej słabości fizycznej i moralnej. Natomiast najpodlejsze instynkty ludzkie, stępione przez odebrane wychowanie i nabytą kulturę, przemieniły się w autentyczne cnoty obozowe, stając się jednocześnie jednym z warunków koniecznych – acz niedostatecznych przetrwania.

Toteż za arystokratów obozowych uchodzili – i faktycznie nimi byli – przestępcy pospolici, zawodowi zbrodniarze, złodzieje, bandyci, kasiarze, słowem – szumowiny normalnego społeczeństwa. Zaś intelektualiści, uczeni, księża, rabini, świadkowie Jehowy, artyści (z wyjątkiem muzyków, którym się udało) – wszystko to stoczyło się na dno tego nowego, poczętego przez geniusz nazistowski społeczeństwa podludzi.[61]

To samo słyszałem od innych byłych więźniów KL Auschwitz. Bardzo wiernie przedstawiła obozowe warunki była więźniarka Birkenau, Maria Ślisz-Oyrzyńska, w książce *Wierzyłam, że wrócę*[62].

* * *

---

[60] *Oświęcim w oczach SS…*, s. 46-47.

[61] Szymon Laks, *Gry oświęcimskie*, „Pro Memoria" 1998 r., nr 9, s. 105.

[62] Maria Ślisz-Oyrzyńska, *Wierzyłam, że wrócę*, Kraków 1988 r.

W kilku miejscach powołuję się na informacje uzyskane od serdecznego kolegi ojca, Ruperta Urli, któremu udało się przeżyć oświęcimski obóz i wrócić do rodziny, do Rybnika. Aresztowano go w domu – w nocy z 12 na 13 lutego 1943 r. Zientek nie był w stanie dostarczyć gestapowcom poważniejszych dowodów jego winy, gdyż Urla – jak już wspomniałem – ukrywał przed nim swoją przynależność do organizacji. Jedynym więc zarzutem wobec niego było to, że razem z moim ojcem pracował i był uczestnikiem rozmów o ruchu oporu prowadzonych przy grze w karty. Przesłuchania Urli trwały zatem dość krótko i na pobyt w obozie przekazany został wcześniej niż inni. Otrzymał numer obozowy 112780. Po okresie kwarantanny dostał się do komanda gospodarczego, w którym zajmował się przewozem produktów spożywczych „z zewnątrz" do obozu. W pracy tej powoził zaprzęgiem konnym pod nadzorem wartownika. Jak wspominał, miał znośne warunki bytu w obozie i możliwość dożywiania się – „organizowania" sobie jedzenia. Takie możliwości stawały się dla nielicznych większą gwarancją przeżycia w obozie. W innych przypadkach więźniowie skazani byli na łaskę obozowej kuchni i przydzielanych przez funkcyjnych porcji jedzenia.

Urla spotykał się z moim ojcem, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Opowiadał mi: *„…spotykaliśmy się niejednokrotnie z Jankiem i staraliśmy się znaleźć bezpieczne miejsce na rozmowę, gdyż spotkania podpadające funkcyjnym narażały więźniów na kopniaki i bicie pod byle pretekstem, także pod pretekstem spiskowania!"*[63]. W jego opowiadaniach były także wzruszające wątki: *„…często popłakaliśmy w jakimś kącie nad swoją dolą i przy wspomnieniach o naszych rodzinach"*[64].

Urla mówił mi, że ojciec – podobnie jak Stanisław Sobik – spodziewał się najwyższego wymiaru kary, i nie taił przed nim swych przeczuć. Przez cały czas pobytu w obozie ojciec ukrywał – wbrew surowym zarządzeniom – obrączkę ślubną. Była ona dla niego symbolem szczęśliwego związku małżeńskiego. Parę razy proponował Urli, aby wziął tę obrączkę i po wyjściu z obozu oddał ją mamie. Urla jednak bał się przyjęcia „niebezpiecznego" przedmiotu, a poza tym chciał podnieść ojca na duchu – przekonywał go, że wyjdzie na wolność i osobiście pokaże ją mamie.

* * *

Ostatni list, który ojciec napisał do nas z obozu, nosi datę 20.06.1943 r. Cztery dni później – w święto Bożego Ciała – otrzymał po wieczornym apelu polecenie od blokowego, aby się zgłosił do „Schreibstuby". Stamtąd przekazany został wraz z innymi więźniami na blok nr 11.

Dnia 25.06.1943 r. parę minut przed godziną piętnastą wezwano ich przed policyjny sąd doraźny, któremu przewodniczył „pan życia i śmierci Górnego Śląska", SS-Obersturmbannführer Rudolf Mildner. Pery Broad w

[63] Relacja Ruperta Urli.
[64] Relacja Ruperta Urli.

cytowanym już wcześniej pamiętniku wspomina: *„Ten człowiek był jednym z najbardziej żądnych krwi rzeźników, jacy istnieli w Trzeciej Rzeszy. Już sam jego wygląd zewnętrzny reprezentował typ despoty. Zwraca zwłaszcza uwagę potężna czaszka i para lodowato-zimnych, okrutnych, taksujących oczu. Kierował placówką tajnej policji w Katowicach i był przewodniczącym sądu doraźnego”*.[65]

Jedno z pomieszczeń parteru przygotowane było dla posiedzeń sądu. Ustawiony był tam podłużny stół, za którym siedzieli funkcjonariusze SS. Na środku, na krześle o wyższym niż inne oparciu, siedział sam Mildner. Na stole przed esesmanami leżały dokumenty. Sekretarz kryminalny (Kriminalsekretär) Kauz z gestapo w Katowicach podawał Mildnerowi akta z wcześniej ustalonym wyrokiem dotyczącym danego osądzanego. Kauz wywoływał też numer więźnia, który miał wejść do pomieszczenia na rozprawę. Wychudzona postać, na chwiejących się nogach, musiała stać na baczność przed tym krwiożerczym trybunałem. Mildner z wyjątkowo butną i zarozumiałą miną patrzył z wyższością na skazańca. Szczególną satysfakcję sprawiało mu odczytywanie wyroków: *„W wyniku dochodzeń policji państwowej… policyjny sąd doraźny placówki Tajnej Policji Państwowej w Katowicach skazuje więźnia na śmierć!”*. Z zadowoleniem patrzył na przerażenie, jakie wzbudzał tym u skazańców.

Kiedy ojciec wszedł do pomieszczenia, odczytano mu wyrok wydany w Berlinie. To samo usłyszała większość wezwanych tego dnia przed sąd więźniów. Następnie skazańcy przeszli do męskiej szatni, gdzie musieli rozebrać się do naga i ustawić w kolejkę do wyjścia na dziedziniec bloku jedenastego. Tam dokonywano egzekucji. Stale przebywający na bloku nr 11 więzień funkcyjny brał pod rękę jednego lub dwóch skazanych i wyprowadzał ich pod Ścianę Straceń zbudowaną z czarnych płyt izolacyjnych. Funkcyjny ustawiał więźniów twarzą do ściany.

Jakże pragnie się żyć w tym momencie! Okropna świadomość, że za chwilę będzie trzeba rozstać się ze wszystkim, z czym związało się życie od kolebki po dzień dzisiejszy – paraliżuje myśl. Porażone nagłą rozpaczą serce nie jest zdolne w tej chwili do żadnych uczuć poza tęsknotą za wszystkim, żalem do wszystkiego.[66]

Jest to wspomnienie byłego więźnia Józefa Kreta, który stał pod tą ścianą i cudem uniknął rozstrzelania. Niestety w przypadku mojego ojca esesman przytknąwszy w okolicę potylicy lufę karabinka małokalibrowego oddał strzał.

Zgodnie z praktyką stosowaną przez władze obozowe rodzinom uśmierconych przesyłano zawiadomienie o zgonie danego więźnia. Powiadomienie, jakie mama otrzymała z datą 26.06.1943 r., zawierało informację, że Johann Klistalla dnia 25 czerwca 1943 r. o godzinie 15:00 zmarł

---

[65] *Oświęcim w oczach SS…*, s. 142.

[66] Józef Kret, *Dzień w karnej kompanii*, „Zeszyty Oświęcimskie” 1957, nr 1, s. 158.

na „nagły atak serca” (plötzlicher Herztod), co stwierdził swoim podpisem lekarz obozowy (dodaję przy okazji, że w tym dniu takich przyczyn zgonu - „nagły atak serca”, lekarz obozowy stwierdził aż 14 przypadków!)

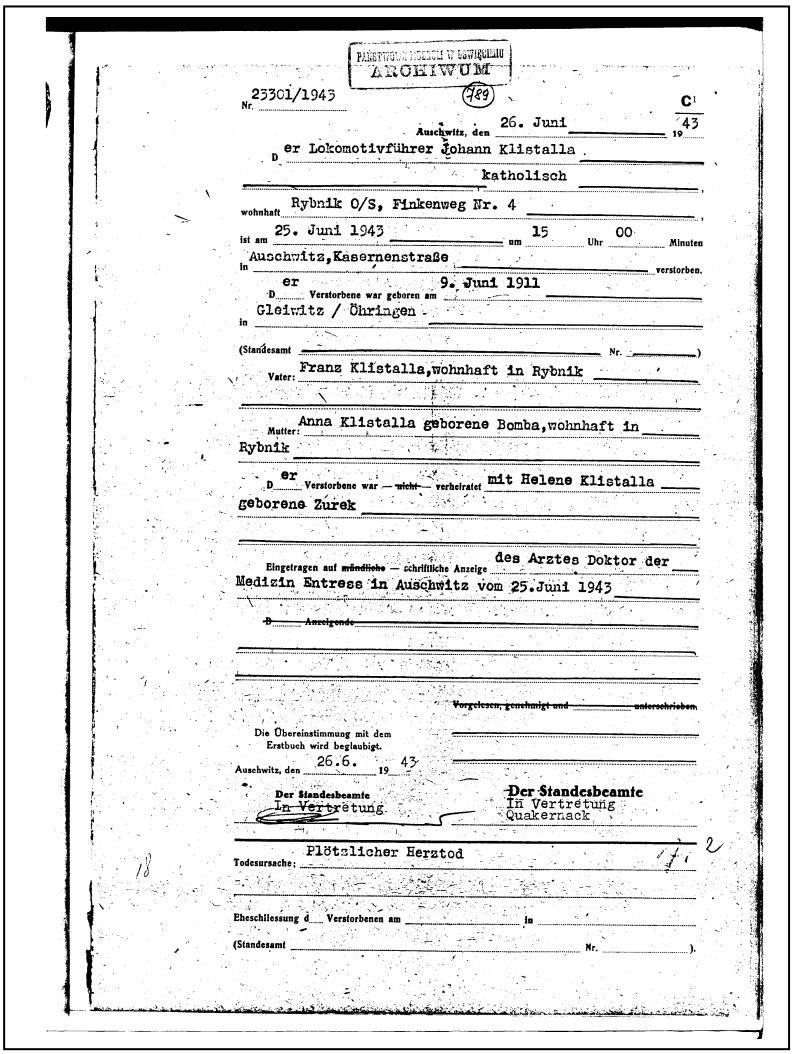

PAŃSTWOWE MUZEUM W OŚWIĘCIMIU
ARCHIWUM

Nr. 23301/1943 (789) C 43

Auschwitz, den 26. Juni 1943

Der Lokomotivführer Johann Klistalla

katholisch

wohnhaft Rybnik O/S, Finkenweg Nr. 4

ist am 25. Juni 1943 um 15 Uhr 00 Minuten

in Auschwitz, Kasernenstraße verstorben.

Der Verstorbene war geboren am 9. Juni 1911

in Gleiwitz / Öhringen

(Standesamt Nr.)

Vater: Franz Klistalla, wohnhaft in Rybnik

Mutter: Anna Klistalla geborene Bomba, wohnhaft in Rybnik

Der Verstorbene war ~~— nicht —~~ verheiratet mit Helene Klistalla geborene Zurek

Eingetragen auf ~~mündliche~~ — schriftliche Anzeige des Arztes Doktor der Medizin Entress in Auschwitz vom 25. Juni 1943

~~Der Anzeigende~~

~~Vorgelesen, genehmigt und unterschrieben.~~

Die Übereinstimmung mit dem Erstbuch wird beglaubigt.

Auschwitz, den 26.6. 1943

Der Standesbeamte
In Vertretung

Der Standesbeamte
In Vertretung
Quakernack

Todesursache: Plötzlicher Herztod

Eheschliessung d. Verstorbenen am in

(Standesamt Nr.).

Informowano też o możliwości otrzymania popiołu ze spalonych zwłok, co było okrutną drwiną z krewnych ofiar. Przy tak masowym spalaniu zwłok – nawet przy niemieckiej skrupulatności – rodzina na pewno nie otrzymywała prochów swojego zmarłego.

Urla dowiedział się o śmierci mojego ojca od dwóch współwięźniów, którzy obsługiwali krematorium. Dnia 26 czerwca po powrocie z pracy na nocnej zmianie powiadomili go: *„Dzisiaj w nocy spaliliśmy ciało twojego kolegi, tego wysokiego Janka”*.

Dla mnie bardzo symboliczny jest zbieg okoliczności, że ojciec i wujek Stanisław Sobik tego samego dnia, o tej samej godzinie, przy tym samym ołtarzu brali ślub z dwoma siostrami i obydwaj zginęli tego samego dnia, w tym samym miejscu i niemal w tym samym czasie…

* * *

Odwiedzam Muzeum Auschwitz-Birkenau bardzo często. Od bramy głównej ogarnia mnie narastające uczucie smutku i pokory wobec nieszczęść i tragedii ludzkich, jakie miały miejsce w obozie. Podświadomie próbuję się wczuć (chociaż w minimalnym stopniu) w los jednego z tych, którzy tyle tutaj wycierpieli.

Staram się być jak najczęściej przy bloku 15. To w bloku 15a przebywał mój ojciec po przekazaniu go do obozu. Stąd pisał do nas listy, tutaj rozmyślał o nas. Kieruję się następnie do bloku nr 2 (oddanego wówczas do dyspozycji Wydziału Politycznego - Politische Abteilung), od którego – tak jak ojciec – tylu więźniów zaczynało swoją golgotę w KL Auschwitz. Od tak dawna blok ten wypełniony jest przeraźliwą ciszą – stoi pusty, a ja mimo to słyszę wrzaski oprawców z SS i krzyki katowanych więźniów. Kawałek dalej, za krematorium, pozostały fundamenty po drewnianym baraku, w którym poddawano ich brutalnym torturom podczas przesłuchań. Przystaję na chwilę przy bloku nr 24, gdzie mieściła się „Schreibstuba", po czym opuszczam wzrok i skręcając w prawo podążam w kierunku bloku 11. To była ich ostatnia droga…

Jak to jest, kiedy idzie się w przekonaniu, że śmierć jest tak nieuchronna? Czy bezsilność wobec wydanego wyroku powoduje zwątpienie w Opatrzność Bożą, czy też umacnia wiarę i nadzieję, że tamten świat, po drugiej stronie, będzie lepszy, uczciwszy, sprawiedliwszy?

Przez otwartą na oścież wielką żelazną bramę wchodzę na dziedziniec bloku 11 – pod Ścianę Straceń. Składane są tu niezliczone wiązanki kwiatów, palą się znicze, odmawiane są żarliwe modlitwy za dusze zakatowanych. Wierzę, że prośba: *„Wieczny odpoczynek racz im dać Panie"* – została spełniona, że każdy z Nich spoczywa w Swoim Bogu!

Otrząsam się z napływu jednych myśli i odczuć, by poddać się uporczywemu napływowi innych. W którym miejscu stał ojciec, zanim padł strzał w tył głowy? Gdzie osunął się na ziemię? Czy wypływająca strużka krwi zostawiła jakiś ślad i znak dla mnie? Odchodząc, powtarzam po raz kolejny: „Wieczny odpoczynek racz im dać Panie". Kieruję się jeszcze do wnętrza bloku nr 11. Ogarnia mnie mrok podziemia – przeraża ciężka żelazna krata, cele z przysłoniętymi okienkami wychodzącymi na dziedziniec. Ilekroć przebywałem tutaj we wcześniejszych latach, zadawałem sobie– nurtujące mnie pytanie, w której z tych cel przebywał w ostatnią noc swego życia mój ojciec? Po latach dowiedziałem się, że nie był w celi gdzie Maksymilian Kolbe, ani w tej z wyskrobanym przez skazańca na ścianie Ukrzyżowanym Chrystusem, że spędził tę ostatnią noc w jednej z sal na parterze bliku 11.

W drodze powrotnej wchodzę jeszcze na chwilę na piętro bloku nr 15. Urządzono tu wystawę, która zupełnie zatarła ślady warunków, w jakich przebywali więźniowie. Trudno się połapać, gdzie stały piętrowe prycze, gdzie były ściany działowe i korytarz. Chodząc sztucznie utworzonym labiryntem oblepionym powiększonymi zdjęciami z różnymi scenami obozowymi, pytam prawie półgłosem: *Tatuś, gdzie stała Twoja prycza, w którym miejscu przydeptywałeś posadzkę, ocierałeś się o ścianę?*. Jak dotychczas żaden głos nie odezwał się do mnie, nie otrzymałem żadnego znaku…

* * *

W oparciu o książkę Danuty Czech *Kalendarz Wydarzeń w KL Auschwitz* sporządziłem zestawienie, jak działała obozowa machina śmierci w

okresie, kiedy w obozie przebywał mój ojciec, tj. od 13 lutego do 25 czerwca 1943 r. Oto ta ponura statystyka ułożona w tabelę:

	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec
Przyjęto do obozu:					
mężczyzn:	3446	7468	7537	3546	3287
kobiet:	1589	3312	3802	1938	1077
Uciekło z obozu:	17	83	9	22	20
Rozstrzelano na bloku 11:	47	53	95	44	217
Zabito zastrzykami fenolu:	—	85	—	—	—
Uśmiercono w komorze gazowej:	8157	20111	20132	12381	6005
Złożono zwłok w kostnicy (zmarłych z wycieńczenia lub zakatowanych):	610	1202	1076	561	307

Uwaga! Dane są niepełne i zaniżone – w kilku miejscach swojego opracowania Danuta Czech zaznacza, że ewidencja więźniów i ich zgonów w KL Auschwitz budzi wiele zastrzeżeń.

Twoje ręce – mamusiu
dobre jak szafirek po deszczu
jak czajki towarzyskie
przyniosły mnie na ten świat
kołysały
ustawiały na podłodze
sadzały na stołku
mówiły że motyl dzwoni
że młodych grzechów nie sposób rozeznać
uczyły trzymać łyżkę by nie trafiała do ucha
rozróżniać klon od jaworu
prowadziły przy oknie po ciemku
po ziemi co czernieje jak szpak [...]

fragment wiersza Jana Twardowskiego *„RĘCE”*

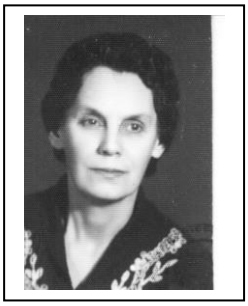

KLISTAŁA HELENA z d. ŻUREK,

Na prawach autora, wpisuję w dalszą treść informacji o moim ojcu – kilka bardzo serdecznych zdań o mojej mamie, a rozpocznę ten tekst od bardzo wymownego wiersza:

MARZENIE
(wiersz Abrahama Koplowicza, który jako 13 letni chłopiec zginął w KL Auschwitz).

[Jak?] ja mieć będę dwadzieścia lat,
[Zacznę?] oglądać nasz piękny świat.
[Usiądę?] w wielkim ptaku motorze
[I wzniosę się?] w wszechświata przestworze.
Popłynę, pofrunę w świat piękny, daleki.
Popłynę, pofrunę przez morza i rzeki.
Chmura siostrzycą, wiatr będzie mi bratem.
Się będę zdumiewał na Nilem, Eufratem.
Zobaczę sfinksy i piramidy
W prastarym kraju boskiej Izydy.
Przepłynę nad ogrom wody Niagary.
Kąpać się będę w słońcu Sahary.
Przez szczyty Tybetu, co w obłokach giną,
Nad cudną, tajemną magów krainą.
A wydostawszy się spod skwarów mocy
Będę szybował nad lodem Północy.
Przefrunę nad wielką wyspą kangurów
I nad szczątkami Pompei murów.
Nad świętą Ziemią Zakonu Starego
I nad ojczyzną Homera słynnego.
Się będę zdumiewał nad pięknym światem-
Chmura siostrzyca, wiatr będzie mi bratem.

*

Po analizie treści wiersza, w nieco inny sposób przyglądam się dorastającym dziewczynom, ich rozpromienionym w uśmiechu buziom pełnym optymizmu w przyszłość. Zastanawiam się bowiem, w jakie realia przekształcą się ich marzenia. Często wyłania się z wyobraźni obraz innej dziewczyny, o rysach twarzy jakże mi znajomych i bliskich – wizerunek mojej mamy. Ona także miała swoje piękne marzenia, „dom" na miarę własnych wyobrażeń, rodzinę, dzieci i - … wielką nadzieję na pomyślną przyszłość. Wszystko jednak się zmieniło, gdy 1.09.1939 r., wojska hitlerowskie wkroczyły do Polski.

Nie mogę się bowiem ograniczyć w swoich relacjach do wspomnień o ludziach „zza drutów kolczastych", gdy przed tymi drutami niemniej boleśnie przeżywały sadyzm niemieckiego okupanta przedstawicielki rodu kobiecego. Nie tylko przeżywały ciężar brutalnego rozstania ze swoimi bliskimi, ale podjąć musiały walkę o przetrwanie tych bliskich w obozach, swoich rodzin na

wolności i bardzo często pomagać znajomym w równie ciężkiej sytuacji materialnej. Jedną z nich była bowiem moja mama!

KLISTAŁA HELENA z d. ŻUREK,
Urodzona 9.11.1912 r. w Rauxel (Westfalia), córka Stanisława i Tekli z d. Mocydlarz. Szkołę powszechną ukończyła w Krotoszynie (woj. poznańskie). W 1924 r. wraz z rodzicami przeprowadziła się do Rybnika, gdzie w latach 1928/29 uczęszczała do Szkoły Zawodowej Sióstr Urszulanek. Następnie pracowała w Zakładzie Psychiatrycznym w Rybniku. Wyszła za mąż w 1935 r. i urodziła dwóch synów: Jerzego i Henryka. Jak wynika z bardzo skróconej części życiorysowej, krótko mogła cieszyć się z założonego ogniska rodzinnego.
Już bowiem od 1939 r., a więc od rozpoczęcia się okupacji hitlerowskiej, zmuszona była, jak wiele innych Polek, dostosować się do rygorów okupacyjnych.

Gdy aresztowano Jej męża 11.02.1943 r., musiała pokonywać trud utrzymania swojej rodziny, a także pomagać swoim rodzicom i dzieciom siostry które po aresztowaniu Zofii i Stanisława Sobików zostały pod opieką Jej rodziców.

Mimo upływu wielu lat od tamtej ponurej rzeczywistości, nie mogę zapomnieć jakże wielkiego zaangażowania mamy, w pomoc aresztowanym: mężowi, siostrze i szwagrowi. Już następnego dnia tj. 12 lutego, wcześnie rano, udała się na gestapo, z gestapo do swoich rodziców na Smolną, później do rodziców ojca na „Meksyko", by wraz z dziadkiem (ojcem mojego ojca) ponownie wrócić na gestapo. Miesiąc luty w 1943 r., był bardzo mroźny, a mama chcąc się koniecznie zobaczyć z aresztowanym ojcem, musiała działać bardzo szybko. Zostaliśmy wówczas pod opieką lokatorki mieszkającej w naszym budynku. Mama oczywiście niewiele mogła ojcu pomóc, lecz nie ustawała w nadziei, że może uda się wydostać najbliższych z rąk niemieckich oprawców.

Dnia 13.02.1943 r. około godziny 12:00, w okolice wejścia do budynku gestapo, podjechały samochody ciężarowe, wyprowadzano aresztowanych i kazano im wchodzić na skrzynie załadunkowe samochodów. Mogła jedynie z oddali obserwować załadunek aresztowanych – była jedną z wielu osób, które przyglądały się wywożeniu działaczy rybnickiego ZWZ/AK do KL Auschwitz.

Widziała się wówczas z ojcem po raz ostatni! Pod koniec czerwca 1943 r., otrzymała wyjątkowo bolesny cios, gdy nadeszło zawiadomienie o śmierci ojca 25.06.1943 r. w KL Auschwitz!

*

„Mamusia", - tak zwracaliśmy się do Niej z bratem od momentu, gdy Ta właśnie mamusia nauczyła nas wymawiać pierwsze słowa, aż po ostatnie dni Jej życia - do 22.08.1985 r. Było w tym określeniu zawarte osobiste i najserdeczniejsze uczucie do naszej rodzicielki, niezależnie od tego, czy komuś postronnemu zwrot ten wydawał się zbyt zdrobniale wymawiany, lub używany z dziecinnego nawyku.

Jak to już wspomniałem, Mamusia od momentu aresztowania ojca, wyjątkowo mocno zaangażowana była w działania, by nasza rodzina przeżyła okres okupacji. Podjęła heroiczną walkę o przetrwanie najbliższych, a trzeba pamiętać, że pomagała także i tym członkom rodziny - więzionym w KL Auschwitz!

Ojciec był jedynym żywicielem rodziny. Obowiązywały kartki żywnościowe, ubraniowe, a kartki przysługiwały tylko pracującym i ich rodzinom. Jako Ślązacy a szczególnie ojciec – pracownik niemieckiego przedsiębiorstwa, z „urzędu" (na siłę) otrzymali volkslistę III grupy – wg klasyfikacji społeczności niemieckiej. Była także IV-ta grupa (nazywana „bezgrupowcy"), do której należeli ci, którzy na terenach okupowanych nie chcieli przyjąć czy podpisać grupy III-ciej. Do takich właśnie bezgrupowców należeli rodzice mamy, u których zostały dzieci Zofii i Stanisława Sobików. Gdy więc ojca aresztowano, zostaliśmy bez środków do życia, a okupant ani myślał zabezpieczyć pomoc socjalną czy materialną rodzinie wroga Niemiec.

W pierwszej kolejności, na miarę swoich możliwości, przyszła nam z pomocą materialną rodzina ojca. Częściowo rozbita choć nadal aktywna organizacja konspiracyjna ZWZ/AK, także okazywała pomoc w różnej postaci dla rodzin, których członkowie zostali skrzywdzeni przez okupanta. Wielokrotnie podczas Mszy św. w kościele O.O. Franciszkanów przy ulicy Wodzisławskiej, podchodziła do mamy jakaś osoba i dyskretnie wsuwała Jej w rękę zawiniątko. Wewnątrz były pieniądze albo kartki żywnościowe, ubraniowe, lub i jedno i drugie. Czasem pieniądze były dostarczane przez kogoś ze znajomych - ze wskazaniem, dla kogo są przeznaczone. Trzeba jednak było uważać, by okupant nie zorientował się, że taka forma pomocy jest nam udzielana, a szczególnie z jakiego źródła.

Mama była główną „organizatorką" artykułów spożywczych, inicjująca wysyłkę paczek do obozu dla ojca, cioci Zosi i wujka Staszka. Gestapowcy interesowali się rodzinami, które zostały bez środków do życia, a pomagają bliskim osadzonym w obozach. Nie mogąc osobiście wysyłać za dużo paczek, żeby nie wzbudzać podejrzeń, upraszała znajomych Niemców, by swoim nazwiskiem wysyłkę paczek „firmowali".

Produkty żywnościowe – a więc „wsad" do paczek, „organizowała" mama aż z poznańskiego – od siostry babci. Siostra hodowała kozy, drób. Nadto, okoliczni sąsiedzi cioci (gospodarze), przynosili mamie masło, wędliny i słoninę z zabijanych nielegalnie prosiaków. Jeden z sąsiadów pracujący w młynie zbożowym, przynosił pszenną i żytnią mąkę do wypiekania chleba i ciast, a była to mąka najwyższego gatunku – jaką okupant wysyłał do Niemiec.

Mama musiała osobiście przewozić ciężkie walizki wypełnione cennymi produktami spożywczymi, gdyż Jej ojciec (a nasz dziadek) był człowiekiem bardzo schorowanym, niezdatnym do jakiegokolwiek wysiłku fizycznego. Ponadto, uzmysłowić sobie trzeba tamte realia i ryzyko, które mama ponosiła. Niemcy byli zorientowani, że Polacy aby przetrwać w okupowanym kraju, uprawiają szmugiel na wielką skalę. Policja okupanta organizowała łapanki,

przy każdej podejrzanej sytuacji. Przeprowadzane były rewizje bagażów, rewizje osobiste, rewidowano w domach, pociągach i innych środkach lokomocji, bezpośrednio na ulicy, a za znalezienie przy sprawdzanej osobie trefnego towaru, groził także Auschwitz. Nie tylko więc za działalność polityczną można było dostać się do obozu koncentracyjnego!

W nawiązaniu jeszcze do losu jaki Niemcy przygotowywali rodzinom byłych więźniów politycznych dodam, że po wyzwoleniu Rybnika, odnaleziono w byłym budynku gestapo wykazy osób, które miały być wysłane do KL Auschwitz i tam uśmiercone gazem. Dzięki przyspieszonym o parę tygodni działaniom wojennym zamiar ten nie został zrealizowany. Były na tych wykazach wpisane osoby z rodzin, z których kogoś wcześniej aresztowano czy uśmiercono, członków konspiracyjnych organizacji ruchu oporu, a więc wrogów Rzeszy. Na listach tych były wpisane i nasze nazwiska .

W rzeczywistości polityczno – społecznej po wojnie czyli po 1945 r., Jej dola niewiele się zmieniła. Z jednej strony, w ramach przeprowadzanej w maju 1945 r. akcji rehabilitacyjnej osób wpisanych do trzeciej grupy niemieckiej (grupy narodowej lub do grupy tzw. „Leistungs – Pole”), mama była wezwana do Starostwa w Rybniku i musiała składać „deklarację wierności Narodowi Polskiemu i demokratycznemu Państwu Polskiemu”. Było wręcz upokarzające, że po takiej krzywdzie doznanej od okupanta, w wyzwolonej już Ojczyźnie (za którą nasi najbliżsi złożyli ofiarę życia), mama musiała składać „deklarację wierności”! Z drugiej strony, jako wdowa po „Akowcu” także była na tzw. cenzurowanym. Miała poważne problemy z otrzymaniem nawet fizycznej pracy, a praktycznie „dorabiać” musiała się wszystkiego od nowa. Po ewakuacji do innej miejscowości na okres działań frontowych, wróciliśmy do mieszkania splądrowanego w takim stopniu, że trzeba było kupować wszystko do domu, począwszy od podstawowych przedmiotów.

Bolesne są te wspomnienia, gdy w kilka lat po wyzwoleniu, mama nadal nie wierzyła w śmierć męża - a mojego ojca. Żyła złudną nadzieją, że otrzymane powiadomienie o Jego śmierci w KL Auschwitz to pomyłka. Nadzieje taką rozbudzali „życzliwi” znajomi, podpowiadający przykłady z historii osób, o których śmierci informowano rodzinę, mimo, że żyły i po jakimś czasie wracały.

Brutalna rzeczywistość okazała się nieubłagana - Jej mąż nie wracał. Zbolała psychicznie, nie zawarła drugiego związku małżeńskiego. Zabiegając o środki na skromne utrzymanie domu, ani przez moment nie zaniedbywała pomocy innym. Przede wszystkim skupiała się na właściwym wychowywaniu synów – wpajając w nich patriotyczne wartości, uczciwość, sumienność. Pomagała swoim rodzicom i siostrze Zofii, która wróciwszy z obozu, długo musiała się przyzwyczajać do „normalnego” życia.
Zmarła 22.08.1985 w Rybniku, spoczywa na miejscowym cmentarzu.

Mamo
- Śpiewać nie mogę !
Zabito radość w moim sercu...
Mamo
- Zabito radość! Czy ja się kiedy
- Uśmiechnę?
Czy.. . . . . ?
Wprowadzono mnie bramą
- Nad którą napis...
„ARBEIT MACHT FREI!'
Praca... wolność...
- Dwa święte słowa!
Wolność!
A dookoła druty
- Reflektory czuwają
- Nie wolno zbyt blisko...
Nie wolno nawet
- Spojrzeć!
Błysk reflektorów
- Oślepia,
Świst kuli
- Przerywa spojrzenie!

Wiersz: **ARBEIT MACHT FREI**
Autor: Jan Sejda.

KOŻDONIOWIE – RODZINA,

KOŻDONIOWIE – RODZINA,

Przy głównej ulicy w Chwałowicach, ustawiony jest pomnik poświecony pamięci mieszkańców, którzy polegli w walce o polskość z okupantem hitlerowskim. Wśród nazwisk wyrytych na pomniku, niemal połowa należy do rodzin: Kożdoniów, Tkoczów, Pukowców - rodzin szczególnie okaleczonych w walce z najeźdźcą. Zapoznawszy się z dostępnymi publikacjami na temat wydarzeń okupacyjnych mających miejsce w Chwałowicach, dotarłem wreszcie do najbardziej wiarygodnego źródła informacji, do uczestnika tych wydarzeń - Franciszka Kożdonia. Zaznaczyć jednak muszę, że choć tytułową postacią w moim opracowaniu jest on sam, to jednak z Jego losem przeplatają się losy pozostałych członków rodziny Kożdoniów, gdyż każdy z nich był w jakimś sensie uwikłany w walkę z hitlerowcami, a Paweł Kożdoń - ojciec, wyjątkowo aktywnie walczył o polskość już od okresu przed plebiscytowego i powstań śląskich. Rodzeństwo Kożdoniów uczyło się od najmłodszych lat patriotyzmu, miłości do Ojczyzny, a najlepszy przykład dawali im najbliżsi – matka i ojciec.

KOŻDOŃ PAWEŁ, (ojciec)

Urodzony 30.06.1890 r. w Karwinie, Pracował w kopalni „Chwałowice”, był wiceprzewodniczącym rady zakładowej kopalni. Działacz społeczny. Współzałożyciel i członek Towarzystwa Śpiewaczego „Seraf” w Rybniku. Organizator „Sokoła” w Chwałowicach oraz Towarzystwa Czytelni Ludowych. Członek POW Górnego Śląska. Uczestnik trzech powstań śląskich, działacz plebiscytowy. Przed II wojną był zastępcą naczelnika gminy w Chwałowicach.

Z nastaniem okupacji, aresztowany 10.09.1939 r., osadzony w obozie KL Rawensbrück, gdzie zginął 12.06.1942 r.

KOŻDOŃ FRANCISZKA, (matka)

Kożdoń Franciszka z domu Kempna**,** ur. 22.12.1891 r. w Pielerzymowicach. Działaczka harcerska i Towarzystwa Polek. Z nastaniem okupacji członkini Polskiej Organizacji Powstańczej. Aresztowana przez gestapo 25.06.1943 r. Więziona w obozie KL Auschwitz-Birkenau, a następnie przetransportowana do Ravensbrück, gdzie zmarła w dniu 29.01.1944 r.

KOŻDOŃ FRANCISZEK,

Urodzony 26.09.1915 r. w Chwałowicach. Uczeń rybnickiego gimnazjum, harcerz. W czerwcu 1939 r. powołany do służby wojskowej. Uczestnik kampanii wrześniowej 1939 r. W czasie okupacji działał w ruchu oporu w Szarych Szeregach, w ZWZ/AK. Aresztowany 25.06.1943 r. Więziony w więzieniu śledczym w Mysłowicach, następnie w KL Auschwitz i KL Buchenwald. W maju 1945 r. doczekał się wyzwolenia przez wojska amerykańskie. Wrócił do kraju. Pracował w resorcie górnictwa, do czasu przejścia na emeryturę na stanowisku zastępcy dyrektora do spraw inwestycyjnych kopalni „Moszczenica" i „Jastrzębie". Członek i działacz Związku Kombatantów RP w Rybniku.

KOŻDOŃ JÓZEF,

Urodzony 12.03.1917 r. w Chwałowicach. Harcerz IX Drużyny ZHP mi. Tadeusza Kościuszki w Chwałowicach. Ukończył rybnickie gimnazjum. Wstąpił ochotniczo do wojska polskiego. Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 r. Od początku okupacji działał w ruchu oporu – w Szarych Szeregach, ZWZ/AK. Aresztowany 1.05.1940 r. Więziony w obozie KL Mauthausen-Gusen. Po wojnie był sztygarem w kopalni w Mysłowicach. Zmarł w latach 70-tych. Spoczywa na cmentarzu w Mysłowicach,

KOŻDOŃ JANINA,

Urodzona 4.02.1919 r. w Chwałowicach. Harcerka. Ukończyła gimnazjum Sióstr Urszulanek w Rybniku. Z nastaniem okupacji działała w ruchu oporu – w Szarych Szeregach. Aresztowana 25.06.l943 r., wpierw była więziona w więzieniu śledczym w Mysłowicach, a następnie w KL Auschwitz-Birkenau. Przeszła w styczniu 1945 r. „marsz śmierci" z Oświęcimia do Wodzisławia Śl. Przetransportowana do obozu KL Rawensbrück, tam doczekała się wyzwolenia przez wojska amerykańskie. Zamarła w latach 70-tych. Spoczywa na cmentarzu w Chwałowicach.

KOŻDOŃ TADEUSZ,
Urodzony 24.10.1920 r. w Chwałowicach. Harcerz, członek IX Drużyny ZHP im. Tadeusza Kościuszki w Chwałowicach. Ukończył Szkolę Handlową w Rybniku. Wstąpił do Wojska Polskiego. Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 r. Był komendantem tajnego szczepu ZHP w Chwałowicach w 1939 r. i członkiem Szarych Szeregów. Po wyzwoleniu pracował w Komendzie Wojewódzkiej Milicji w Zielonej Górze (w administracji-finansach) w stopniu podpułkownika.

KOŻDOŃ WŁADYSŁAW,
Urodzony 1.09.1922 r. w Chwałowicach. Harcerz, członek IX Drużyny ZHP im, Tadeusza Kościuszki w Chwałowicach. Z nastaniem okupacji członek Szarych Szeregów i tajnej drużyny harcerskiej w Chwałowicach - jako drużynowy. Aresztowany przez gestapo 10.09.1939 r. Wywieziony do obozu KL Buchenwald skąd w maju 1945 został wyzwolony przez wojska amerykańskie. W 1946 r. zdał maturę w rybnickim gimnazjum. Zamieszkał we Wrocławiu. Po ukończeniu studiów na politechnice wrocławskiej, pracuje jako inżynier w biurze projektów w Wrocławiu.

KOŻDOŃ PAWEŁ, (syn)

Urodzony 11.07.1924 r. w Chwałowicach. Harcerz, członek IX Drużyny ZHP mi, Tadeusza Kościuszki w Chwałowicach. Z nastaniem okupacji działał w ruchu oporu w szeregach ZWZ/AK oraz w Szarych Szeregach. Aresztowany 25.06.1943 r. przez gestapo. Osadzony w KL Auschwitz, skąd udało mu się zbiec. Działał następnie w oddziale partyzanckim AK. Zginął w czasie akcji partyzanckiej 12.12.1944 r., w Chwałowicach.

KOŻDOŃ JAN,
Urodzony 19.10.1927 r. w Chwałowicach. Harcerz - członek IX Drużyny ZHP mi. Tadeusza Kościuszki w Chwałowicach. Z nastaniem okupacji członek Szarych Szeregów. Aresztowany przez gestapo 25.06.1943 r. Wieziony w Mysłowicach, a następnie w obozach KL Auschwitz i KL Buchenwald. Po wyzwoleniu był drużynowym IX Drużyny w Chwałowicach. Inżynier górnik, byt sztygarem w kopalni „Chwałowice". Porucznik WP. Członek Związku Kombatantów RP.

KOŻDOŃ JERZY,
Urodzony 20.04.1934 r., w Rybniku. Aresztowany 25.06.1943 r. przez hitlerowców wraz z członkami rodziny, lecz przekazany do dyspozycji miejscowej policji. Zwolniony z posterunku policji ukrywał się - u krewnych do końca wojny. Po wojnie ukończył studia uzyskując dyplom inżyniera górnika. Pracował w Przedsiębiorstwie Robót Górniczych do przejścia na emeryturę. Działacz społeczny, radny w gminie Pawłowice.

*

Wstęp do tragicznych przeżyć rodziny Kożdoniów wymaga przypomnienia wydarzeń z przeszłości nieco odleglejszej, a to z prostej przyczyny, że w latach 1918 do 1922 gdy Ślązacy walczyli o wolność w powstaniach śląskich i poprzez plebiscyt, dziwnym zbiegiem okoliczności walczyli z okupantem niemieckim – który zjawił się ponownie na polskiej ziemi w latach 1939 do 1945. W patriotycznych sumieniach mieli więc zakodowaną potrzebę walki o wolność Ojczyzny - Ojczyzny śląskich Polaków! Jest i taki znamienny fakt, że wielu działaczy organizacji konspiracyjnej ZWZ/AK, w tamtej przeszłości 1919 r., należało do tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej - POW!

Gdy w roku 1918 w Niemczech miała miejsce rewolucja, a władzę w Berlinie przejęła socjaldemokracja, okoliczność ta rozbudziła wielkie nadzieje na Górnym Śląsku, iż ze zmianą władzy w Niemczech, zmienią się i warunki bytu Ślązaków. W listopadzie 1918 r., w wielu miastach i osadach górniczych Górnego Śląska ludność polska zorganizowała wiece i demonstracje, na których najważniejsze były hasła wyzwolenia narodowego i poprawy warunków egzystencji.

W Rybniku odbyło się także manifestacyjne zebranie ludności polskiej - domagającej się natychmiastowego powrotu Górnego Śląska do Polski. Zimą 1919 r. zorganizowano w Rybniku kilkanaście strajków o charakterze

roszczeniowo - wyzwoleńczym, a robotnicy żądali między innymi poprawy warunków bytowych (zarobków) i przyznania świadczeń socjalnych. Władze niemieckie zaniepokojone tak jawnymi wystąpieniami, zastosowały odpowiednie środki przeciwstawne tym żądaniom. Wprowadzono stan wyjątkowy na Górnym Śląsku, zakazując organizacji jakichkolwiek wieców i zebrań, wzmożono działania sił policyjnych i wojskowych, utworzono Grenzschutz.

Powyżej przedstawione formy terroru niemieckich władz, nie zdołały jednak złamać Polaków, a wręcz przyczyniły się do mobilizowania wysiłków w walce o powrót Górnego Śląska do Macierzy. Dla ochrony polskich wieców i manifestacji narodowych, działaczy politycznych, ochrony przed napadami bojówek niemieckich, a także w razie konieczności podjęcia walki zbrojnej w obronie polskości Górnego Śląska lub jego wolności, początkiem 1919 r. utworzono (tajną) Polską Organizację Wojskową (POW).

Główną więc przyczyną wybuchu I powstania śląskiego, było aresztowanie przez policję niemiecką grupy dowództwa POW, oraz wydarzenia w kopalni „Mysłowice", gdzie Grenzschutze strzelali do zgromadzonych górników – zabijając kilku z nich.

W sierpniu 1919 r. Niemcy sprowokowali zamieszki w większych miastach Górnego Śląska. W Katowicach zniszczono lokal Powiatowego Komitetu Plebiscytowego i zamordowano dr Andrzeja Mielęckiego, natomiast w Rybniku zorganizowali wiec, w którym zapowiadano zbrojne wystąpienia przeciwko ludności polskiej. W wyniku tych akcji dowództwo POW wydało rozkaz rozpoczęcia II powstania śląskiego. Powstanie zakończyło się sukcesem Polaków, a tym samym ustępstwami Niemców. Stworzone zostały bardziej sprzyjające warunki do prowadzenia przez Polaków kampanii plebiscytowej.

Po wielomiesięcznej kampanii plebiscytowej, w niedzielę 20.03.1921 r. odbyło się głosowanie. Ogólne wyniki głosowania były korzystne dla Niemców. Za pozostawieniem Górnego Śląska nadal w granicach Rzeszy było 59,6% głosów, jednak cały wschodni obszar plebiscytowy opowiedział się za powrotem do Polski. W powiecie rybnickim zwycięstwo odnieśli Polacy, - za powrotem Górnego Śląska do Macierzy opowiedziało się 65% głosujących.

Niestety, - wbrew wynikom plebiscytu, dzielących Górny Śląsk na część przynależną Polsce i zachodnią część - nadal pozostawioną w granicach Rzeszy, zbyt sprzyjający Niemcom - Anglicy i Włosi, proponowali zwrócenie Macierzy tylko powiatów pszczyńskiego i rybnickiego oraz bardzo ubogie tereny powiatu katowickiego. W ten sposób bogatsze tereny przemysłowe miały pozostać nadal w granicach Rzeszy, co spowodowało wielkie wzburzenie na Górnym Śląsku i stało się przyczyną wybuchu III powstania śląskiego, które rozpoczęło się w maju 1921 r., a zakończyło w lipcu tegoż roku. Powstanie to doprowadziło do korzystniejszych wyników podziału Górnego Śląska i zwrócenia Polsce większych niż poprzednio zaplanowano - obszarów terenu plebiscytowego. Był to więc niewątpliwy sukces powstańców śląskich, a zarazem w dużym zakresie powstańców ziemi rybnickiej.

*

Paweł Kożdoń (ojciec), urodził się 30.06.1890 r. w Karwinie na Śląsku Cieszyńskim. Dzieciństwo spędził w Pielgrzymowicach[67], gdzie od dwóch pokoleń osiedleni byli jego przodkowie. Zgodnie z wolą swojego ojca, Paweł mimo, że chciał zostać nauczycielem, musiał kontynuować tradycję rodzinną i podjąć pracę w górnictwie. Mógł zatem realizować swoje chłopięce marzenia - kupując książki za mozolnie zaoszczędzone grosze z bardzo skromnego kieszonkowego, i ucząc się grać jako samouk na skrzypcach, fisharmonii i trąbce. W okresie Plebiscytu, jako 31 letni już mężczyzna, wykazywał wyjątkową aktywność patriotyczną, skutkiem czego Niemcy nadali Mu przydomek „polski król".

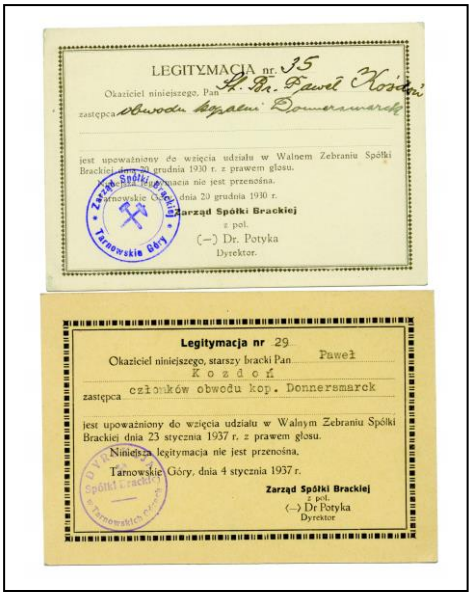
LEGITYMACJA nr. 35

Okaziciel niniejszego, Pan St. Br. Paweł Kożdoń

zastępca Obwodu kopalni Donnersmarck

jest upoważniony do wzięcia udziału w Walnem Zebraniu Spółki Brackiej dnia 20 grudnia 1930 r. z prawem głosu.

Niniejsza legitymacja nie jest przenośna.

Tarnowskie Góry, dnia 20 grudnia 1930 r.

Zarząd Spółki Brackiej
z pol.
(—) Dr. Potyka
Dyrektor.

Legitymacja nr 29

Okaziciel niniejszego, starszy bracki Pan Paweł Kożdoń

zastępca członków obwodu kop. Donnersmarck

jest upoważniony do wzięcia udziału w Walnym Zebraniu Spółki Brackiej dnia 23 stycznia 1937 r. z prawem głosu.

Niniejsza legitymacja nie jest przenośna.

Tarnowskie Góry, dnia 4 stycznia 1937 r.

Zarząd Spółki Brackiej
z pol.
(—) Dr Potyka
Dyrektor

W czasie powstań śląskich także włączał się w walkę o polskość, jednak choroba żołądka i konieczny pobyt w szpitalu, ograniczyła tę działalność. Po powstaniach, z uwagi na ów nienajlepszy stan zdrowia, pracował na kopalni jako palacz. Doceniony jako wielki społecznik, został wybrany na wiceprzewodniczącego Rady Zakładowej na kopalni, a także jako starszy (członek) Spółki Brackiej. Jak znamienne było to wyróżnienie, niech świadczy fakt, że funkcję Starszego Brackiego pełnił przez 3 kadencje po 5 lat - aż do wybuchu wojny w 1939 r. Został wybrany jako zastępca naczelnika gminy, a gdy naczelnik gminy szedł na urlop, wówczas Paweł brał urlop i zastępował naczelnika.

Paweł Kożdoń zapisał się dużymi zasługami wobec miejscowego probostwa, gdyż jako utalentowany „muzykant", grywał w kaplicy przez kilka lat na własnej fisharmonii, zaś po wybudowaniu kościoła - w tymże kościele. Czynność tę wykonywał codziennie o godzinie 6:0 rano w dni powszednie, natomiast w dni świąteczne grał do dwóch mszy. By jednak uporać się z tymi obowiązkami w kaplicy czy kościele o godzinie 6:00 rano, z pełnym poświęceniem godził się pracować na kopalni – na nocnej zmianie.

Według wspomnień Franciszka Kożdonia - syna Pawła, ojciec w swoim rozmiłowaniu do muzykowania zaplanował, że jego następcą w kościelnym

[67] Pielgrzymowice – miejscowość między Jastrzębiem a Zebrzydowicami.

graniu na organach, będzie Franciszek. Dlatego też, po skończeniu szóstej klasy gimnazjum gdzie uczono także greki i łaciny, miał pojechać do szkoły „organistówki" w Katowicach.

Niestety, przez przykry incydent, jakiego dopuścił się ówczesny proboszcz Śliwka, Paweł zaprzestał grania w kościele, a Franciszek nadal uczył się w gimnazjum, do ukończenia 8-mej klasy i zdania matury.

Gdy powstał Związek Obrony Kresów Zachodnich, Paweł działał w tym związku. Do Jego kolejnych zasług zaliczyć należy i to, że był organizatorem „Sokoła", wprowadzając w ten sposób formę zrzeszania się polskiej młodzieży, w miejsce dawniej działającego Turnverein - niemieckiego towarzystwa gimnastycznego. Był założycielem Towarzystwa Czytelni Ludowych na terenie Chwałowic. W skromnym mieszkaniu, jakie zajmowała jego rodzina w familoku kopalnianym (dwa pokoje i kuchnia), wygospodarował trochę miejsca na szafę biblioteczną i urządził wypożyczalnię książek dla miejscowej ludności.

Rodzina Kożdoniów – Franciszka Kożdoń z dziećmi

Matka - Franciszka Kożdoń z domu Kempny, urodzona 22.12.1891 w Pielgrzymowicach z którą Paweł ożenił się w 1914 r., mimo obowiązków w prowadzeniu domu i wychowywaniu licznego potomstwa, udzielała się także społecznie w Towarzystwie Polek i w Kole Przyjaciół Harcerstwa. Zaznaczyć przy okazji należy, że córka i pięciu synów, należało do Związku Harcerstwa Polskiego.

Trudno o bardziej wyraziste przykłady propolskiej działalności, ale jakże brzemienne okazały się one w skutkach, gdy spadła na Polskę tragedia niewoli hitlerowskiej.

Tuż przed wojną, Paweł Kożdoń jako zastępca naczelnika gminy, bardzo negatywnie występował wobec działających w konspiracji volksbundowców, - których wykaz udało mu się zdobyć w sobie wiadomy sposób. Wspomagali ojca w tej działalności antyniemieckiej nie tylko starsi synowie Franciszek, Władysław, ale także rodzina Tkoczów oraz Pukowców. Dlatego też, już w pierwszych dniach nastania okupacji hitlerowskiej, rodziny wymienione odczuły rewanż od miejscowych - hitlerowskich zwolenników. Okazywała wielką aktywność grupa donosicieli, którzy chcąc zrobić karierę, od pierwszych dni okupacji wskazywali na przedwojennych aktywistów, że robią coś niezgodnego z prawem. Wielu volksdeutschów[68], którzy już przed wojną nie ukrywali

[68] Folksdojcz (z niem. Volksdeutsch) – osoba wpisana na tzw. Volkslistę.

proniemieckich sympatii, z wejściem wojsk hitlerowskich do Polski, okazało się wyjątkowo nikczemnymi osobnikami!

Władysław Kożdoń był aktywnym członkiem drużyny harcerskiej, której drużynowym był nauczyciel chwałowickiej szkoły - Gawroński. Gdy Gawroński został powołany do wojska w 1939 r., licząc się z możliwością napadu Niemiec na Polskę, spakował kronikę harcerską oraz inne dokumenty do ocynkowanej skrzyni (zalutowanej), a następnie zakopanej na przykopalnianej działce Kożdoniów. Równocześnie jednak, zakopano tam drugą skrzynię drewnianą, w której były książki Pawła Kożdonia (ojca) o treści antyhitlerowskiej. Działkę tę Kożdoniowie dzierżawili od przedwojennych czasów - od Kopalni.

Miejscowy volksbundowiec – pałający zemstą wobec Kożdoniów, powiadomił gestapowców, że zakopano u nich w ogrodzie skrzynie z bronią i amunicją. Przeprowadzono dnia 10.09.1939 r. demonstracyjną akcję przeszukiwania ogrodu i odkopano owe skrzynie. Rozgłoszono jednak celowo pogłoskę, że w skrzyniach znajdowało się tyle broni i amunicji, że gdyby jej zawartość eksplodowała, cała kolonia wyleciałaby w powietrze. Chciano w ten sposób wyolbrzymić zawartość skrzyń, a zarazem wzburzyć miejscową ludność przeciw rodzinie Kożdoniów.

Ponieważ zajście to, rozpoczynało serię tragicznych przeżyć okupacyjnych dla rodziny Kożdoniów, więc poświęcam mu nieco szczegółowszy opis – wg relacji Franciszka Kożdonia.

Otóż, - w tym właśnie dniu 10 września w godzinach przedpołudniowych, znajdowali się na terenie działki ogrodowej - Paweł Kożdoń i jego syn Tadeusz. W pewnym momencie, niemal jak właściciele działki, weszli na nią dwaj „hilspolizaje" w cywilnych ubraniach, z opaskami (z widoczną hitlerowską swastyką) na rękawach marynarek i karabinami na ramionach. Okazując lekceważenie Pawłowi Kożdoniowi, zaczęli czegoś szukać, więc Paweł bardzo oburzony takim zachowaniem przybyszów, zapominając że rzecz dzieje się w okresie okupacji niemieckiej, w dosadnych określeniach powiedział co o owych „hilspolicajach" myśli. Oni jednak – a nazywali się Mańka i Kłosek, kontynuowali swoje poszukiwania. Natrafili wreszcie na miejsce, gdzie ziemia była mniej ubita więc kazali Pawłowi i synowi Tadeuszowi wybierać ziemię. Gdy odkryto dwie skrzynie (jedną blaszaną i zalutowaną a drugą drewnianą), „hilspolicaje" zapytali o Władysława, który według donosu, był sprawcą zakopania skrzyń. Pomocnik policji - Klossek (wymawiane z niemiecka) kazał Tadeuszowi przyprowadzić Władysława. Tadeusz i Władysław spotkali się „w drodze", gdyż Władysław został w tym samym czasie wysłany przez matkę na działkę po warzywa. Gdy więc zjawili się na działce Władysław i Tadeusz, „hilspolizaje" wezwali gestapowców. Gestapo przyjechało samochodem – bagażówką, na której znajdowali się już wcześniej aresztowani Polacy. Kazali wejść do samochodu – ojcu Pawłowi Kożdoniowi i synowi Władysławowi pod zarzutem zakopania skrzyń. Tadeusza nie aresztowano, gdyż całą sprawę wziął na siebie Władysław. Oczywiście obydwaj

bracia brali udział w zakopywaniu skrzyń, lecz z powodu, że Tadeusz pracował i był wówczas jednym żywicielem rodziny, uzgodnili między sobą, że w sytuacji jakichś kłopotów z żandarmerią, całą winę bierze na siebie Władysław. Tadeusz miał wypierać się jakiegokolwiek związku z ukryciem skrzyń. Ojca i Władysława zawieziono do więzienia w Rybniku, stamtąd do obozu jenieckiego w Zgorzelcu a następnie do Rawicza. Dnia 14.10.1939 r. ojciec Paweł i syn Władysław Kożdoniowie zostali przetransportowani do KL Buchenwald. Paweł Kożdoń (ojciec) został później przewieziony do Ravensbrück i tam zginął.

Franciszek Kożdoń przebywał w tym okresie we Lwowie na studiach politechnicznych. Dwa lata przed wybuchem wojny (przed 1939 r.), rozpoczął studia, ale musiał także uczestniczyć w ćwiczeniach wojskowych i zdobył stopień kaprala z cenzusem. Właśnie we wrześniu przebywał na ćwiczeniach, i w wyniku wybuchu wojny zwolniono uczestników ćwiczeń do domów z bronią i w mundurach. Franciszek zgodnie z radą dowódcy pozbył się broni, ale w mundurze zgłosił się na politechnikę, by kontynuować trzeci rok studiów. Ponieważ jednak na uczelni zaczęły się między studentami konflikty na tle narodowościowym, postanowił wrócić do domu. Brat Józef tuż przed 1939 r. ochotniczo wstąpił do Wojska Polskiego, brał udział w kampanii wrześniowej i w domu zjawił się na początku 1940 r.

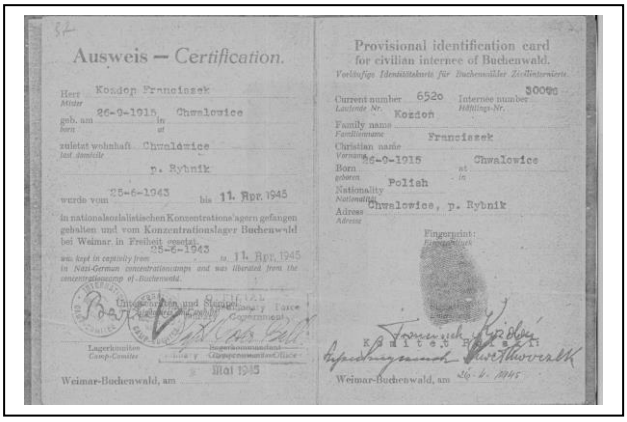
Ausweis — Certification.

Herr / Mister Kozdon Franciszek

geb. am / born 26-9-1915 in / at Chwalowice

zuletzt wohnhaft / last domicile Chwalowice

p. Rybnik

werde vom / 25-6-1943 bis / 11. Apr. 1945

in nationalsozialistischen Konzentrationslagern gefangen gehalten und vom Konzentrationslager Buchenwald bei Weimar in Freiheit gesetzt.

was kept in captivity from / 25-6-1943 to / 11. Apr. 1945 in Nazi-German concentrationscamps and was liberated from the concentrationcamp of Buchenwald.

Lagerkommandantur / Camp-Commandant

Weimar-Buchenwald, am / 1 Mai 1945

Provisional identification card for civilian internee of Buchenwald.

Vorläufiger Identitätskarte für Buchenwalder Zivilinternierte.

Current number / Laufende Nr. 6520 Internee number / Häftlings-Nr. 30000

Family name / Familienname Kozdon

Christian name / Vorname Franciszek

Born / geboren 26-9-1915 at / in Chwalowice

Nationality / Nationalität Polish

Adress / Adresse Chwalowice, p. Rybnik

Fingerprint: / Fingerabdruck

Weimar-Buchenwald, am 26. 4. 1945

W okupowanym kraju działo się coraz gorzej. Tak matka jak i ojciec Kożdoniowie, wychowywali swoje dzieci na patriotycznych Polaków. Żaden z synów nie poszedł do wojska niemieckiego, chociaż Franciszek nieraz wzywany był do Urzędu Gminy (początki 1940 r.) żeby podpisać volkslistę. Gdy kolejny raz był wezwany i pytano Go dlaczego nie chce podpisać volkslisty, odpowiedział dosyć odważnie - pytaniem: *„jak mogę zostać obywatelem niemieckim, skoro ojciec i brat siedzą w obozie koncentracyjnym”?*

Po powrocie z Urzędu, powiadomił matkę dlaczego go wzywano, a ponieważ spodziewał się ze strony okupanta niekorzystnych następstw za tak szczerą i odważną odpowiedź - na zadane pytanie, uzgodnił z mamą, że musi opuścić rodzinny dom i ukrywać się u krewnych mieszkających w innych miejscowościach. Jak się okazało, właściwie przewidywał następstwa, gdyż

niemal w pół godziny po jego wyjściu z domu, zjawiło się dwóch żandarmów niemieckich i zażądali rozmowy z „Franz Kozdon" (imię i nazwisko wypowiadane po niemiecku). Nie zastawszy go, polecili matce, aby po powrocie do domu, zgłosił się na „Gendarmeriposten". Franciszek natomiast, po wspomnianej rozmowie z matką, wsiadł na rower i pojechał do krewnych w kierunku Bzia, Pielgrzymowic, Zebrzydowic.

W tych miejscowościach ukrywał się, pracując u krewnych jako robotnik rolny. Po kilkunastu miesiącach takiego ukrywania się, spostrzegł któregoś dnia, że w kierunku budynku w którym przebywał, idzie trzech szupoków. Miał zamiar uciec do pobliskiego lasu by się tam ukryć, ale szupoków było znacznie więcej, pokazali się także od strony lasu - organizowali wówczas jakąś większą obławę w tej części wioski. Wpadł więc w ręce szupoków i za chwilę stanął przed ich dowódcą. Na pytanie co robi w tej okolicy, Franciszek tłumaczył się, że w budynku krewnych gdzie mieszka, zostały same kobiety, więc u nich pracuje i wykonuje męskie zajęcia. Na pytanie: *„no to po coś uciekał"*, Franciszek odpowiedział: *„bo się bałem"*. Został zawieziony do Pszczyny, potem na gestapo do Rybnika, a na gestapo zapytano go, jaką podpisał volkslistę. Odpowiedział: *„napisałem że jestem Polakiem"*. Wówczas zaskoczyło go stwierdzenie gestapowca, że prawidłowo postąpił pisząc prawdę. Zwolniono go po kilku godzinach, z poleceniem zgłoszenia się do Arbeitsamtu w celu podjęcia obowiązkowej pracy. Po zgłoszeniu się w tym urzędzie, skierowano go do pracy w Rybnickiej garbarni skóry (garbarnia była usytuowana za pocztą w Rybniku), gdzie zatrudniony został jako elektryk. Podpadł jednak dyrektorowi tej garbami - volksdeutschowi, więc ponownie musiał się zgłosić do Arbeitsamtu i tym razem zatrudniony został jako robotnik torowy na kolei.

Brata Franciszka - Tadeusza, wysłano na przymusowe roboty w głąb Niemiec, Józefa Kożdonia, gestapo aresztowało 1.05.1940 r. i wysłało do KL Dachau. Z tego obozu przekazany został 26.06.1940 r. do KL Mauthausen, a 15.08.1940 r. do pracy w kamieniołomach w KL Mauthausen-Gusen, gdzie figurował jako więzień nr obozowy 43706 i 5303.

Matkę - Franciszkę Kożdoń, w wyniku ciągłych szykan przez miejscowych volksdeutschów, z czworgiem młodszych dzieci wyrzucono z familoków na bruk i dopiero po paru dniach znalazła schronienie w domu Tkoczów. Tkoczowie oddali do jej dyspozycji jeden pokój, lecz na taką ilość osób był on za mały, więc córka Janina zamieszkała u sąsiadów Tkoczów o nazwisku File. Matka zabiegała o zwolnienie ojca z obozu, ale starania te były nieskuteczne. Wiosną 1942 r. otrzymała z KL Ravensbrück zawiadomienie o śmierci męża, że *„zmarł na obrzęk lewego ramienia"*.

Mieszkając u Tkoczów, Franciszek współpracował z Alfradem Tkoczem - wykonując różne czynności konspiracyjne jakim i całe rodzeństwo Alfreda się zajmowało. Spotykał się jednak dosyć często z Antonim Sztajerem[69], z którym

[69] Według Franciszka Kożdonia, poprawnie powinno się pisać to nazwisko Sztajer, gdyż tak podpisywał się w szkole. Stejer lub Steier – pochodzi z niemieckiej pisowni.

znał się od czasów szkolnych (siedzieli nawet w jednej ławce), więc wciągnięty został przez kolegę do działalności w organizacji konspiracyjnej ZWZ. Przed Sztajerem składał uroczystą przysięgę przed krzyżem i obok stojącymi świecznikami. Od tego momentu stał się pełnoprawnym członkiem – żołnierzem Związku Walki Zbrojnej.

Członkowie ZWZ doświadczeni tym, jak miejscowi volksdeutsche i kolaboranci potrafią denuncjować Polaków pod byle pretekstem, zachowywali w swojej działalności bardzo wielką ostrożność. Spotykali się w bardzo wąskim gronie - w tak zwanych trójkach, które stanowiły trzy bardzo zaufane osoby. Franciszek przez dłuższy czas według tej reguły, „tworzył" taki zespół ze Sztajerem i Józefem Jaszkiem.

Ponieważ przeszedł przeszkolenie wojskowe jako kapral z cenzusem, otrzymał polecenie zorganizowania plutonu – pełniąc funkcję dowódcy tego plutonu. Musiał w związku z tym przeprowadzać rozmowy z „pewnymi" kolegami - agitując ich do działania konspiracyjnego. Nie zdołał jednak utworzyć plutonu, gdyż aresztowanie przerwało Jego działania w tym zakresie.

Ze wspomnień Franciszka wynika, że dużo członków, gotowych na wielkie poświęcenie się dla walki z okupantem, trwało w oczekiwaniu na rozkaz do konkretnej czy wielkiej akcji. W jego otoczeniu, działania ograniczały się do zrywania niemieckich afiszów, wykonywania w widocznych miejscach antyhitlerowskich napisów, wykonywanie drobnego sabotażu. Trwali w „oczekiwaniu" na ukształtowanie się prężnej organizacji, nie tak heroicznej o jakiej po wyzwoleniu się rozpisywano, ale prężnej na ówczesne możliwości. Podnosili „ducha polskości" w rozprowadzanych ulotkach, udzielali pomocy będącym w potrzebie znajomym Polakom. Przenosili w działalność organizacji ZWZ system stosowany wcześniej w harcerstwie. Pamięta też, że w jakimś sensie byli nieufni wobec przemianowania ZWZ na AK. Myśleli, że AK będzie tworem organizacji o innym odchyleniu politycznym, pod zupełnie innym dowództwem i schematem organizacyjnym. Mimo, że ZWZ przemianowane było w 1942 r. na AK, fakt ten jeszcze do nich nie docierał. Bardziej liczyły się lokalne ambicje, że są członkami Związku Walki Zbrojnej, nie gorszymi od Armii Krajowej. Żyli w przekonaniu, że AK jest nowo utworzoną organizacją, do której mają się „przenieść", więc bardzo się nad tym zastanawiali, a czas upływał na niezdecydowaniu i pewnej stagnacji.

W 1943 r. zwiększyły się represje okupanta wobec polskiej ludności. Prawdopodobnie z uzyskanej informacji w wyniku przesłuchań aresztowanych w lutym tegoż roku, miały miejsce aresztowania kolejnych konspiratorów z ZWZ/AK. Nazwisko Franciszka Kożdonia także dotarło do funkcjonariuszy gestapo, więc w nocy z 25 na 26 czerwca, gestapo przyjechało aresztować Franciszka. Gdy był już gotowy do wyjścia, gestapowcy zdecydowali się aresztować także pozostałych członków rodziny. Zabrali Franciszkę Kożdoniową (matkę), braci: Pawła, Janka i Jurka. Pytali się także o siostrę Janinę której nie było z rodziną, a gdy matka oświadczyła, że nie wie gdzie córka aktualnie przebywa, zaprzestano dalszych pytań o nią. Pewien problem

zaistniał wobec najmłodszego z braci - Jurka, gdyż miał zaledwie 9 lat, więc jeden z gestapowców polecił szupokowi (asystującemu podczas aresztowania), by zabrał Jurka na posterunek policji. Szupok zapytał zatem, co zrobią z Jankiem który miał wówczas 16 lat, lecz gestapowiec – mówiący o Jurku stwierdził: *„er ist schon reif”* - że jest już „dojrzałym” i kazali Jankowi wsiąść do samochodu.

Aresztowanych zawieziono na gestapo do Rybnika, zaś małoletniego Jurka, szupok zaprowadził na posterunek policji. Ponieważ jednak nie było wiadome, co dalej robić z tak młodym chłopakiem, - wypuszczono go. Jurek tułał się niemal do rana po okolicy Chwałowic, a następnie został przygarnięty przez krewnych ze strony matki, zaopiekowali się nim także inni krewni.

Na gestapo, przetrzymano aresztowanych w piwnicy budynku przy ulicy św. Józefa w Rybniku. Nie zdjęto im nawet założonych podczas aresztowania samozaciskających kajdanek. Synowie mieli ręce skute z tyłu, natomiast matka z przodu. Następnego dnia odtransportowano ich do więzienia śledczego w Mysłowicach[70]. Spędzili tam aż trzy miesiące, a jak straszne było to więzienie, wiedzą dobrze ci, którzy w nim przebywali. Każde z czworga dzieci i matka byli zamknięci w innej celi.

Ponieważ kilkakrotnie będzie się powtarzała informacja o Policyjnym Więzieniu Zastępczym w Mysłowicach – Ersatz Polizei Gefängnis Myslowitz, więc uzasadnione jest przytoczenie nieco szczegółów o tak „słynnym” miejscu kaźni, a czynię to w oparciu o książkę: *Więzienia Hitlerowskie na Śląsku, w Zagłębiu Dąbrowskim i w Częstochowie 1939 - 1945*:

„Obiekt ten (więzienie) położony był na terenie dawnego francuskiego obozu emigracyjnego przy obecnej ul. Powstańców 23, na północny wschód od stacji kolejowej, w dolinie nad samą Przemszą. Składał się z trzech budynków murowanych i jednego baraku. Czynne było od roku 1941 do 1945. W 1943 roku dostawiono barak dla strażników i osobny barak gospodarczy.

W największym budynku urządzano oddział męski, składający się z 6 cel. W osobnym budynku obok oddziału męskiego zorganizowany został oddział kobiecy, składający się z 4 cel, pomieszczenia gospodarczego, warsztatu krawieckiego i umywalni. W pobliżu oddziału męskiego znajdował się mały murowany budyneczek, w którym dawniej mieściła się stajnia. Został on przerobiony na tzw. bunkier, o wymiarach 10 x 6,80 m.

W „bunkrze” urządzono 5 cel o wymiarach 1,70 x 3 m. Z wąskiego korytarzyka prowadziły do każdej celi mocne drzwi. Do dłuższej ściany każdej celi wmurowany był łańcuch, służący do przykuwania więźnia. „Bunkier” od zewnątrz zamykany był przez całą dobę, a strażnik wchodził do niego jedynie przy podawaniu posiłku lub w celu doprowadzenia więźnia na przesłuchanie. Cele były zupełnie ciemne, jedynie słaby promyk światła wpadał przez kontrolkę strażniczą umieszczoną w środku drzwi. Wewnątrz celi znajdowało się wiadro i

---

[70] Szczegółowsze dane o książce – *Więzienia Hitlerowskie na Śląsku, W Zagłebiu Dąbrowskim i w Częstochowie 1939 – 1945* – praca zbiorowa pod redakcją Andrzeja Szefera.

garstka słomy. „Bunkier" w porze zimowej nie był ogrzewany, a więzień w nim umieszczony nie otrzymywał przykrycia.

Policyjne więzienie w Mysłowicach miało charakter śledczy i rozdzielczy. Przeciętnie więźniowie przebywali w nim do 3 miesięcy. W tym czasie kończyło się śledztwo i gestapo podejmowało decyzję co do rodzaju kary; najczęściej mężczyzn zsyłano do obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu, Gross-Rosen, Mauthausen, a kobiety do obozu w Ravensbrück".

Jest i wzmianka o obowiązującym regulaminie więziennym:
„Budzenie więźniów w porze letniej następuje o godz. 6:00, a w zimie o 7:00. Mycie, porządki w celach oraz wydawanie śniadania winno być zakończone od godz. 8:00 do 9:00. Od godz. 8:00 względnie 9:00 aresztowani - o ile nie nastąpią inne polecenia - mają obowiązek siedzenia na ławkach. Od 12:00 do 15:00 następuje wydawanie obiadu w tej samej formie co śniadania. Obiad i porządki winny być zakończone do godz. 14:00. Od godz. 14:00 do 18:00 aresztowani mają obowiązek siedzenia, o godz. 18:00 zbiórka noszących kawę, a od godz. 18:30 do godz. 19:00 sprawdzanie obecności przez dyżurującego. Po wieczornym apelu absolutna cisza nocna. Rozmowy między więźniami są zabronione. Więzień może tylko odpowiadać na pytania strażnika. W celach przeznaczonych dla zbrodniarzy (cele nr l i la dla politycznych - A.B., Z.B.) obowiązuje ten sam regulamin, z tą różnicą, że więźniowie ci powinni leżeć na brzuchach, a nie siedzieć".

„Warunki bytowania w więzieniu były wręcz okropne. Pobyt lekarza raz w tygodniu ograniczał się w zasadzie do urzędowego stwierdzenia zgonów więźniów. Do więzienia nierzadko wtrącano ciężko chorych z otwartymi ranami. Panujący głód, zupełny brak środków piorących, zmiany bielizny, sienników i nakrycia, przebywanie więźniów chorych i zmasakrowanych z gnijącym ciałem razem z więźniami zdrowymi, a ponadto całe gniazda pluskiew i robactwa spowodowały w grudniu 1942 roku wybuch epidemii tyfusu plamistego".

W książce nie brakuje przykładów sadystycznych praktyk poszczególnych oprawców z więzienia w Mysłowicach - jak Kapo Józef Chejczyk uczył na oddziale I, regulaminu nowo przybyłych więźniów:

„Tu jest lager w Mysłowicach, tu robi się wszystko na komendę. Jak usłyszysz swoje nazwisko, to krzyczysz z całej siły „hier". Na pytanie, jak ci się powodzi, krzyczysz „gut". Innych słów nie ma. Za każdą rozmowę więzień otrzymuje 25 bykowców. Jak cię wezwą na przesłuchanie, to zeskakujesz z łóżka, stajesz na baczność i meldujesz głośno „Herr Oberwachmeister, ein Mann zur Verneh-mung". Po powrocie z przesłuchania stajesz w rogu celi na baczność i meldujesz głośno: „Herr Oberwachmeister, ein Mann von Vernehmung zurück". Potem wskakujesz na łóżko i kładziesz się na brzuchu z rękami z boku".

„Do łóżek - jak zeznał więzień Erwin Met - trzeba było wskakiwać przepisowo. Po odliczeniu przez kalifaktora do trzech i okrzyku „Ruhe"! więzień musiał już być w łóżku. Jeśli ktoś potem jeszcze się poprawiał, bito go bykowcem i otrzymywał do 25 uderzeń. Na łóżkach trzeba było leżeć w pozycji „na

baczność". Nie wolno było poruszać nogami ani rękami. Za poruszenie się kalifaktor bił bykowcem. W ciągu dnia przez 2 godziny każdy więzień musiał leżeć bez ruchu, a co 2 godziny wzywano do raportowego zejścia z łóżek na komendę i ustawiania się w szeregu. W grupach po 10 więźniów kazano biec do ustępów z podniesionymi do góry rękami i następnie biegiem ustawić się z powrotem w tym samym miejscu. Przy wskakiwaniu do łóżek więźniowie ranili sobie nogi i głowy o drewniane prycze.

Załogę wartowniczą, licząca 32 osoby, stanowili funkcjonariusze szupo. Wartowników przywożono ze szkoły policyjnej w Katowicach-Wełnowcu.

Poza wymienioną załogą kierownictwo więzienia wybierało spośród więźniów kalifaktorów i ich zastępców w każdej celi. Do nich należało przestrzeganie regulaminu i utrzymywanie porządku. Kalifaktorzy zmieniali się bardzo często i po zakończeniu śledztwa wywożeni byli wraz ze swymi grupami do obozów.

W więzieniu do końca śledztwa, trwającego przeciętnie 3 miesiące, przebywali głównie więźniowie polityczni; niewielu tylko było innych więźniów (sądzonych za wykroczenia przeciw dyscyplinie pracy, nielegalny handel i wykroczenia nieletnich).

Formy i metody znęcania się nad więźniami były planowane i uprzednio opracowane. Trudno przyjąć, iż w grę wchodził jedynie sadyzm i wynaturzenia poszczególnych funkcjonariuszy więziennych i śledczych gestapo, skoro w więzieniu dopuszczano się ludobójstwa i nikt nie dochodził, jakie były prawdziwe przyczyny śmierci więźniów.

Aresztowanych przesłuchiwano dopiero po kilkunastu dniach, kiedy ich organizmy były już osłabione na skutek głodu i przebywania w warunkach więziennych, kiedy byli już psychicznie załamani.".

O warunkach panujących na oddziale kobiecym oraz metodach stosowanych podczas przesłuchiwań, wspomina także Maria Ślisz–Oyrzyńska w książce pt.: *Wierzyłam, że wrócę.* Oto krótkie fragmenty z tej książki:

„W naszym baraku mieściła się duża, bardzo akustyczna cela do przesłuchań i torturowania więźniów. Od rana do późnych godzin nocnych było słychać krzyki, jęki, wycia torturowanych więźniów.

W czasie mojego tu pobytu przesłuchiwane kobiety były bite, kopane, zlewane wodą, musiały robić „sport", po pięćdziesiąt przysiadów z ciężkim, wysoko uniesionym nad głową taboretem. Mężczyzn oprócz bicia męczono, torturowano, znęcano się nad nimi w nieludzki sposób.

Jedną z najgorszych tortur było wlewanie przez nos wody do płuc, tak zwane „butelkowanie"; więzień się dusił, charczał, tracił przytomność. Następował najczęściej obrzęk płuc i śmierć. Niewielu przetrwało tortury „butelkowania". Więźnia kopano, zlewano woda, żeby go przywrócić do przytomności. Zazwyczaj, szczególnie w pierwszej fazie śledztwa, gestapowcy znęcając się dbali, ażeby aresztant przed czasem nie umarł. Stosowano wbijanie szpilek pod paznokcie, przypalanie płomieniem mięśni grzbietu, łamanie żeber."

Polizeiersatzgefängnis w Mysłowicach, nazywany był przez więźniów „przedsionkiem oświęcimskiego piekła".

Franciszek Kożdoń przebywał w Mysłowicach na bloku nr 1, gdzie całymi dniami trzeba było leżeć na brzuchu. Bardzo wielkie wzruszenie wywoływały w Nim wszelkie wspomnienia o matce. Stąd, mówiąc o pobycie w Mysłowicach, nie osobiste przeżycia były dla niego ważne, lecz pełna bólu troska o matkę, o to czy zdoła wytrzymać ciągłe leżenie na brzuchu i nieludzkie traktowanie. Przypuszczał że w całym więzieniu obowiązuje taki właśnie rygor.

O jednym ze swoich przesłuchiwań opowiadał, że musiał stanąć za stołem, na którym przesłuchujący gestapowiec miał już rozłożone akta dotyczące Jego osoby. W trakcie zadawania pytań o przynależność do organizacji konspiracyjnej i przy zdecydowanych zaprzeczeniach *„nie należałem do żadnej organizacji"*, gestapowiec sięga po jeden dokument rzekomo z zapisem fragmentu zeznań Stanisława Sobika i zapytał: *„dlaczego Sobik zeznał że Franciszek Kożdoń był w konspiracji"*? Było to zaskakujące pytanie, lecz i tego typu podchwytliwe metody były przez gestapowców często stosowane w trakcie przesłuchiwań. Jedynie inteligencja odpowiadającego sugerowała odpowiednią reakcję na tego typu „podpuszczanie" i albo więzień wierzył w prawdziwość zadanego pytania, lub co gorsza – „wkopywał" się przyznaniem według sugerowanego zarzutu. Franciszek dosyć szybko zrozumiał, że zeznanie Sobika jest zmyślone, gdyż Sobika nie znał i nigdy się z nim nie spotkał. Oświadczył więc pewnie, że nie należał do żadnej organizacji i nie wie dlaczego Sobik tak powiedział. Na ponawiane tego typu pytania odpowiadał: *„nie wiem dlaczego Sobik coś takiego powiedział, gdyż jak już zeznałem - nie znałem Sobika", „może Sobik chciał siebie w ten sposób ratować i tak powiedział"* (Franciszek oczywiście wiedział, że Sobik w czerwcu został rozstrzelany i do konfrontacji dojść nie może). Wyjaśniał bezzasadność zarzutu „bawienia się w konspiracyjne działania", ponieważ ojciec i brat zostali aresztowani, więc on i pozostałe rodzeństwo nie chciało się narażać. Nie czynili więc nic takiego, co by mogło być wymierzone przeciw niemieckiej władzy. Gestapowiec tak to nawet zapisał, ale ponawiał jeszcze kilka razy pytanie w związku z Sobikiem, i za każdym razem otrzymywał od Franciszka wyjaśnienie o nieznajomości Sobika. Na tym przesłuchanie się zakończyło, lecz były i inne przesłuchiwania, nie tak spokojne - z biciem, podczas którego tracił przytomność.

Po zakończeniu przesłuchiwań, a zarazem po około trzech miesiącach przebywania w więzieniu śledczym w Mysłowicach, przetransportowano go dnia 6.09.1943 r. do KL Auschwitz jako „Schutzhaft[71]". Tam musiał przejść jak każdy więzień - formalności rejestracyjne, wytatuowano Mu na lewym przedramieniu numer obozowy 146601, otrzymał pasiak. Po obowiązkowym okresie kwarantanny, zatrudniony został jako elektryk w warsztacie obozowym.

[71] Schutzhaft – areszt ochronny z pobudek politycznych.

Po jakimś czasie pobytu w KL Auschwitz, 7.12.1944 r. transportem zbiorowym dostał się do KL Buchenwald, gdzie otrzymał numer obozowy 30076.

Wracając do losów matki i pozostałego rodzeństwa z którymi nie widział się od pobytu w Mysłowicach, matka została przetransportowana do Birkenau 20.07.1943 r., a po zarejestrowaniu otrzymała numer obozowy 50195. Z obozu tego, transportem zbiorowym wysłana została do KL Ravensbrück, a następnie do KL Neustadt Glewe, gdzie zmarła 29.01.1944 r.

Siostra Janina także dostała się do obozu – Birkenau. Mieszkała jak już wspomniałem u rodziny File – sąsiadów Tkoczów. Zamieszkiwała tam bez zameldowania, więc w obawie by im nie zaszkodzić (że j ukrywają), w jakiejś trzy dni po aresztowaniu matki i braci, poszła na policję z pytaniem co od niej chcą, gdyż dowiedziała się że policjanci się o nią dopytują. Wówczas ją aresztowano, przewieziono do Rybnika na gestapo a następnie do więzienia śledczego w Mysłowicach, gdzie tak jak pozostałe rodzeństwo, poddana była sadystycznym metodom przesłuchiwań. Dnia 6.09.1943 r. przewieziono ją transportem zbiorowym do KL Auschwitz-Birkenau, otrzymała numer obozowy 58417. W Birkenau zachorowała na tyfus, leżała długo w gorączce - nieprzytomna. Wyzdrowiała jednak dzięki pomocy współwięźniarek. Jest wzmianka w pamiętniku byłego więźnia Alojzego Frosa nr obóz. 136223 - o spotkaniu z Janiną Kożdoń, gdy znalazł się na terenie Birkenau, prowadzony wraz z innymi więźniami do rampy załadowczej, celem załadunku na wagony i wywiezienia z KL Auschwitz do innego obozu. Oto zapis z pamiętnika: „*Stojąc w kolumnie spotkałem w przechodzącej grupie więźniarek Jankę Kożdoniową, od której otrzymałem kominiarkę i sweterek, które mi długo służyły.* Przytoczone zdarzenie miało miejsce w październiku 1944 r. Janina Kożdoń przetrwała w obozie do ostatnich dni jego istnienia, a następnie była jedną z wielu więźniarek – męczenniczek, biorących udział w styczniu 1945 r. w ewakuacji obozu - w „marszu śmierci" z KL Auschwitz do Wodzisławia Sl. Z Wodzisławia wysłana została transportem zbiorowym do KL Ravensbrück i tam doczekała wyzwolenia przez wojska amerykańskie.

Pawła Kożdonia (syna), - po przesłuchaniach w więzieniu śledczym w Mysłowicach, przewieziono 23.07.1943 r. do KL Auschwitz i po zarejestrowaniu otrzymał numer obozowy 130970. Najpierw pracował w „Zementkommando[72]", a następnie w „Zimmermannkomando[73]". Dowiedziawszy się o zgonie matki, postanowił uciec z obozu, by pomścić śmierć rodziców. Udało mu się to w czasie alarmu lotniczego 29.08.1944 r., gdyż przebywał wówczas w Auschwitz III - Buna[74]. Ucieczkę zorganizował samodzielnie, bez liczenia na pomoc z wewnątrz czy zewnątrz. Przygotował sobie schowek pod stosem desek na składowisku drewna, postarał się o drelichowe ubranie robocze z czerwonym pasem na plecach. Pas był na

[72] Zementkommando – komando z podobozu w Goleszowie – wieźniowie zatrudnieni przy produkcji cementu.

[73] Zimmermannkommando – komando cieśli.

[74] Buna – potoczna nazwa fabryki chemicznej Buna-Werke w Dworach k.Oswięcimia

szczęście namalowany farbą łatwo zmywalną - do usunięcia. Do schowka pod deskami wszedł w czasie nalotu i tam usunął farbę z ubrania. Pod deskami przeleżał jedną noc - do następnej nocy. Największy lęk przeżywał wówczas, gdy podczas przeszukiwania terenu za zbiegiem, obok jego schronienia pod deskami przechodzili SS-mani z psami. W drugą noc po ucieczce wyszedł z ukrycia pod osłoną ciemności nocy i przedostał się na tory kolejowe. Udając robotnika torowego kontrolującego szyny - z kluczem do dokręcania nakrętek szyn kolejowych w ręce, przedostał się w okolice Pszczyny. Tam znalazł pomoc u rodziny nauczyciela z Chwałowic - Wojciecha Tomasza. Przebywając u Wojciechów, otrzymał ubranie cywilne od Czesława Kempnego - brata matki. W ubraniu tym przedostał się do Pielgrzymowic (w powiecie Pszczyńskim). Tam ukrywał się przez kilka tygodni u krewnych ojca, u krewnych matki i znajomych w Pruchnej oraz Bziu Zameckim.

Oswoiwszy się z wolnością, udało się Pawłowi nawiązać kontakt z kompanią konspiracyjnej organizacji ZWZ/AK działającej w powiecie rybnickim, której dowódcą był Antoni Sztajer. Grupa ta przeprowadzała w owym czasie akcje sabotażowe, zdobywanie kartek żywnościowych, broni itp.

Gdy któregoś razu Sztajer otrzymał informację, że u hitlerowca Szewczyka, mieszkającego w Chwałowicach - na osiedlu Brzeziny, znajduje się broń, grupa partyzantów otrzymała polecenie zdobycia tej broni. W akcji brał udział także Paweł. Poszedł pierwszy - celem przeprowadzenia rozeznania, jednak trafił fatalnie, gdyż u Szewczyka przebywało akurat pięciu silnie uzbrojonych szupoków. Paweł posiadał tylko dwa pistolety. Gdy go zauważono, wywiązała się strzelanina, w wyniku której serią z automatu został ranny w nogę. Strzelał do ostatniego naboju, przy czym ostatni nabój zostawił dla siebie. Zapowiadał zresztą przed każdą akcją zbrojną, że nigdy nie pozwoli się ująć hitlerowcom żywym. W czasie walki zginął także jeden Niemiec, a drugi został postrzelony w kolano. Paweł Kożdoń zginął śmiercią bohaterską, osłaniając 12.12.1944 r. odwrót swojego oddziału.

W dniu pogrzebu Pawła, którego zwłoki zakopano pod płotem miejscowego cmentarza, Hitlerjugend[75] urządziło demonstrację siły w Chwałowicach, a kulminacyjnym punktem demonstracji było spalenie i rozbicie pancerfaustem[76] domu Tkoczów, w którym i Kożdoniowie mieszkali do czasu aresztowania tj. do 1943 r.

Po kilku miesiącach - w wyzwolonej już Polsce, mieszkańcy Chwałowic urządzili Pawłowi Kożdoniowi uroczysty pogrzeb. W harcerskim namiocie ze strażą powstańców i harcerzy, wystawiono trumnę z jego zwłokami – zanim pochowano go na honorowym miejscu cmentarza w Chwałowicach.

Najmłodszy z aresztowanych - Janek Kożdoń, nie był członkiem ZWZ ze względu na swój młody wiek. Często jednak pomagał Franciszkowi w dostarczaniu informacji konspiracyjnych do różnych zaufanych osób.

---

[75] Hitlerjugent (HJ) – niemiecka organizacja młodzieżowa NSDAP w latach 1926-1945 r.

[76] Pancerfaust (z niemiecka – Panzerfaust) – typ ręcznej broni przeciwpancernej.

Aresztowany wraz z pozostałymi członkami rodziny i przewieziony do Mysłowic, po zakończeniu cyklu przesłuchiwań, został przetransportowany dnia 30.07.1943 r. do KL Auschwitz, gdzie otrzymał numer obozowy 132125. Był zatrudniony w „Nowej Pralni" na nocnej zmianie. Wraz z innymi więźniami roznosił mokrą bieliznę po blokach i rozwieszał ją na strychach tych bloków. Pracował także w Gemajnszaftslager[77] - dla pracowników cywilnych, w Deutsche Ausrüstungswerke[78]. W dniu 24.06.1944 r. transportem zbiorowym dostał się do KL Buchenwald, gdzie spotkał brata Władysława, przebywającego tam od września 1939 r. Nieco później dotarł transportem zbiorowym do KL Buchenwald drugi brat - Franciszek.

Wiosną 1945 r. KL Buchenwald został wyzwolony przez wojska amerykańskie. Jakże wyczekiwali Franciszek, Władysław i Janek Kożdoniowie na klęskę hitlerowskiego zwyrodnialstwa. Nadzieja ta była główną ostoją spędzanych w obozach godzin, miesięcy i lat męczarni, aż - … nastał dzień wyzwolenia. Wielu jednak nie doczekało wolności.

Czy mogli się cieszyć, skoro przeżyte doświadczenia nakazywały niedowierzać, że to piekło na ziemi mogło przestać istnieć. Za bardzo przyzwyczajeni byli do cierpień, które musieli znosić jeszcze wczoraj, nadal żyli świadomością o utraconych najbliższych – którym nie było dane doczekać dnia wyzwolenia. Czy tak łatwo można uporać się z psychicznymi okaleczeniami?

Każdy z więźniów marzył o dożyciu dnia, kiedy się skończy piekło obozowej egzystencji, o powrocie do swoich domów, do bliskich, do normalnego życia. Gdy natomiast otwarły się bramy, przyszło to, o czym marzyli – wolność, nie potrafili się z tą prawdą uporać! Pojawiły się pytania: czy pozbędą się snów i widoków, które w obozie były jawą – o ogrodzeniu w którym płynął prąd elektryczny, o komorach gazowych, o krematoriach w których palenie zwłok było codzienną rzeczywistością? Czy wyzbędą się odczucia pokory wobec władzy absolutnej, jaką stanowiły potwory z SS? Czy będą umieli oddychać normalnym powietrzem, gdy tam w obozie oddychało się dymem i swądem z palonych ciał?

Trzej bracia Kożdoniowie – Władysław, Janek i Franciszek, mieli niestety świadomość, że ich rodzina nie spotka się w tym samym składzie osobowym. Ich rodzina została rozbita, zniszczona. Zginął ojciec, matka, brat Paweł, a i losy pozostałego rodzeństwa – siostry Janiny, braci Józefa i Jurka były nieznane. Czy przeżyli?

Franciszka męczyła dodatkowa wątpliwość, co dzieje się z narzeczoną Gertrudą, z którą tuż przed aresztowaniem mieli wziąć ślub! Wprawdzie będąc w obozie, wymieniali się informacjami – korespondencyjnie, ale przecież nie wiadomo, co mogło się stać podczas walk wyzwoleńczych o Rybnik i Chwałowice, przez który to okres nie wiedzieli nic o sobie.

---

[77] Gemainschaftslager - w Birkenau, miejsce zakwaterowania pracowników przymusowych, których obsługę stanowili więźniowie.

[78] Deutsche Ausrüstungswerke - Firma pracująca na terenie przyobozowym.

Wróciwszy wreszcie do Chwałowic w maju 1945 r., los oszczędził im dalszych przykrych niespodzianek. Przeżyli obóz Janina i Józef, żył i najmłodszy z braci Jurek, Franciszka powitała zdrowa i cała – narzeczona. Udało Im się jakoś pozbierać psychicznie, a po czasie i fizycznie. Zawzięli się by żyć na miarę tego jak pragnęli tego rodzice.

Franciszek, - ukończył studia, podjął pracę w resorcie górnictwa, zajmował stanowiska zastępcy dyrektora do spraw inwestycji na kopalni „Moszczenica" i „Jastrzębie" – do przejścia na zasłużoną emeryturę. Udziela się nadal jako działacz związku Kombatantów Rzeczypospolitej w Rybniku.
Józef, - podjął pracę w górnictwie, był sztygarem w kopalni w Mysłowicach, zmarł w 1970 r.
Janina, - podjęła pracę w biurze zarządu KWK Chwałowice. Zmarła w latach 70-tych.
Tadeusz, - przeniósł się do Zielonej Góry i tam podjął pracę w administracji i finansach w Komendzie Wojewódzkiej Milicji w stopniu podpułkownika.
Władysław, - zdał maturę w rybnickim gimnazjum. Zamieszkał we Wrocławiu, gdzie ukończył studia na politechnice jako mgr inż. i pracuje w biurze projektów we Wrocławiu.
Janek, - skończył studia, był sztygarem w kopalni „Chwałowice". Jest członkiem Związku Kombatantów Rzeczypospolitej.
Jerzy, - skończył studia z dyplomem inżyniera górnika. Pracował w Przedsiębiorstwie Robót Górniczych do przejścia na emeryturę. Działacz społeczny, radny w gminie Pawłowice.

Jak bagnety w żywe serca wbite -
Słupy betonowe, pomiędzy nimi
Drut kolczasty, odgłos strzałów, jęki,
Psów szczekanie, krwawy świst batogów
I pasma dymu z pieca krematorium,
Napięte jak struny, na których
Milionom śmierć requiem gra swoje.

I dzisiaj jeszcze ta muzyka huczy.
I dziś każdemu, kto słyszał te dźwięki
Niełatwo znowu powrócić do żywych
Zza oświęcimskiego ogrodzenia.

Wiersz: **OŚWIĘCIMSKIE OGRODZENIE**
Autor: Maksim Tank, właśc. Jauhieni Skurko

KUBOSZEK WŁADYSŁAW, pseud. „Rogosz", „Bogusław", „Robak", „Kuba",
Więzień KL Auschwitz.

KUBOSZEK WŁADYSŁAW, pseud. „Rogosz”, „Bogusław”, „Robak”, „Kuba”,

Wybitna osobowość, przywódca Rybnickiego Inspektoratu Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej, o którym wyjątkowo dużo i jakże pozytywnych informacji można znaleźć w różnych publikacjach, dotyczących ruchu oporu na Śląsku, Podbeskidziu a także Zaolziu - w okresie okupacji hitlerowskiej tj. latach 1939-1945.

Powiat rybnicki i przyległe tereny, mogą się czuć wyróżnione, gdyż to tam właśnie prowadził działalność konspiracyjną, narażał życie w walce z hitlerowskim najeźdźcą, więc pamięć o tak wyjątkowym człowieku jest wręcz moralnym nakazem – pamięć nie mniejsza od tej, z jaką rybniczanie czczą bohaterów i patriotów wywodzących się z rybnickiej ziemi. Ja natomiast, do tych ogólnodostępnych informacji, dopisuję kilka szczegółów uzyskanych od rodziny Władysława Kuboszka – siostrzeńców Jacka i Władysława Pustelników. Ileż wzruszenia wywołała we mnie możliwoąć dotyku budynku w którym urodził się i gdzie spędzał swoje dziecinstwo Władysław Kuboszek. Takie same uczucia i refleksje wywoływała możliwość przystanięcia nad grobami Jego rodziców, rodzeństwa oraz ks. Karola Hübnera. Serdecznie dziękuję za okazaną mi pomoc - Panu Jackowi Pustelnikowi.

*

Urodził się 15.10.1912 r. w Wiśle Małej w pow. pszczyńskim, syn Ludwika i Marii z d. Brandys. Po ukończeniu Publicznej Szkoły Powszechnej, uczęszczał do Seminarium Nauczycielskiego w Pszczynie, a później do gimnazjum w Cieszynie - tam zdał maturę.

fot. Monika Pustelnik, fragmenty budynku w Wiśle Małej, w którym urodził się W.Kuboszek,

Następnie, studiował na Uniwersytecie Poznańskim, a w międzyczasie odbywał czynną służbę wojskową na dywizyjnym kursie podchorążych rezerwy piechoty w Cieszynie (po ćwiczeniach uzyskał stopień podporucznika). Ukończywszy studia z tytułem magistra prawa, rozpoczął pracę w Banku Rolnym a później pracował w Kopalni „Wujek” w Katowicach. Latem 1939 r. został zmobilizowany i uczestniczył w kampanii wrześniowej - w 4 pułku strzelców podhalańskich stacjonującym w Cieszynie.

Gdy jego pułk został rozbity przez Niemców, powrócił do rodzinnego domu w Wiśle Małej, a niedługo później zbiegiem przypadku spotkał się z przebywającym w sąsiedniej miejscowości w Goczałkowicach - porucznikiem rezerwy mgr Józefem Korolem, byłym powstańcem śląskim a powszechnie znanym i cenionym w kręgach powstańczych. Korol już bowiem w 1937 r. został komendantem dywersji zafrontowej na województwo śląskie, organizowanej przez Zarząd Główny II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

W parę dni po rozpoczęciu okupacji hitlerowskiej, porucznik Korol zaangażował się w powołaną do życia na Śląsku przez gen. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego (w dniu 27.IX.1939 r.) organizację wojskową pod nazwą Służba Zwycięstwu Polski (SZP), obejmującą swym zasięgiem również Rybnik[79]. Jako komendant Śląskiego Okręgu SZP, organizował sztab Okręgu i dokonał podziału Okręgu na Inspektoraty, mianował inspektorów. Jednym z oficerów z najbliższego otoczenia, był ppor. Władysław Kuboszek, któremu po zaprzysiężeniu powierzył misję tworzenia struktur organizacji konspiracyjnych w powiecie rybnickim. Zwracam uwagę na to, że prawnicze wykształcenie Kuboszka jest o tyle istotne, gdyż śląskie dowództwo AK w dużym stopniu było środowiskiem prawniczym znającym się ze studiów[80]. Tak więc od listopada 1939 r. Kuboszek rozpoczął podporządkowywanie pod swoje rozkazy sieci komórek ruchu oporu na powierzonym mu terenie – rozpoczynając od organizacji konspiracyjnej powiatu pszczyńskiego pod dowództwem J. Roericha. W pierwszym kwartale 1940 r. pod jego zwierzchnictwo przeszły rybnickie organizacje jak: Polska Organizacja Powstańcza (POP), którą dowodził Stanisław Wolny, a później tworzone przez Stanisława Sobika struktury rybnickiego ZWZ. Najpóźniej podporządkowywany został obwód wodzisławski - Organizacji Orła Białego (OOB) którego dowódcą był kpt. Jan Jackowski.

W czerwcu 1940 r., w związku z podziałem terytorialnym Śląska na inspektoraty, Kuboszek został mianowany inspektorem rybnickim ZWZ, zaś w skład inspektoratu wchodziły początkowo powiaty rybnicki i pszczyński. W tym też roku objął dodatkowo komendę nad powiatami Racibórz i Koźle, a w 1942 r. na terenach powiatu cieszyńskiego i Zaolzia. Dopowiedzieć w tym miejscu należy, że zwyczajowo na dowódców Inspektoratów starano się powoływać oficerów czynnej służby wojskowej, a podporucznik Władysław Kuboszek był oficerem rezerwy, jednak trafność wyboru potwierdziła się w jego działalności – do chwili aresztowania tj. 9.02.1944 r.

Cofając się do czasu powierzenia Kuboszkowi misji tworzenia struktur organizacji konspiracyjnych w powiecie rybnickim przez Korola, w listopadzie 1939 r. ppor. Władysław Kuboszek pojechał do swojego brata – proboszcza parafii w Krzyżowicach - ks. Franciszka Kuboszka, gdzie spotkał kolegę z pszczyńskiego gimnazjum - Leona Weismana. Weisman po rozmowie z

[79] Inspektorat Rybnik otrzymał kryptonim „Żyrafa".
[80] Na fakt ten zwrócił mi słusznie uwagę siostrzeniec W. Kuboszka – Jacek Pustelnik

Władysławem, natychmiast zadeklarował działalność w organizacji konspiracyjnej i po złożeniu przysięgi przyjął pseudonim „Krzyżowski”. Wraz z Weismanem podjął się pracy konspiracyjnej w organizacji Siła Zbrojna Polski inny kolega - Franciszek Stalmach pseud. „Roch” oraz wielu innych zaufanych znajomych. Należy poszerzyć informację o Franciszku Stalmachu urodzonym 25.01.1913 r., że wstąpił do ruchu oporu w 1940 r. po powrocie z kampanii wrześniowej, w której brał udział w stopniu kaprala. W 1942 r. F. Stalmach powołany został do niemieckiego wojska - Wehrmachtu i wysłany na front wschodni. W czasie urlopu w 1942 r. zdezerterował i zgłosił się do dyspozycji Władysława Kuboszka, zostając jego adiutantem. Zginął 9.02.1944 r. - zastrzelony, gdy stanął w obronie W. Kuboszka podczas aresztowania w Zbytkowie.

Ponieważ Weisman prowadził w Krzyżowicach własne gospodarstwo rolne i gospodę, gospoda służyła jako punkt kontaktowy i miejsce spotkań konspiratorów. Jednym z zastępców Kuboszka w organizacji SZP w Rybniku, był ppor. Franciszek Żymełka pseud. „Sęp”, „Rębacz” (magister prawa) z Biertułtów k.Radlina. Początkowo zajmował się wojskowym przeszkalaniem członków ZSP, a następnie podjął się zorganizowania struktur ZSP w obwodzie raciborsko-kozielskim - obejmując jej dowództwo (obszerne informacje na ten temat przy opracowaniu o Franciszku Żymełce).

Drugim zastępcą Kuboszka został ppor. Paweł Cierpioł pseud. „Makopol”, „Ren”, „Len”, „Fred”. Jego zadaniem było prowadzenia wywiadu i organizacji służby wywiadowczej na terenie całego Rybnickiego Inspektoratu. Funkcje kierownika rybnickiej grupy informacyjnej powierzono Janowi Margiciokowi[81] pseud. „August”, będącego równocześnie członkiem śląskiej siatki wywiadowczej SZP.

Rodzinny dom Kuboszków (obok kościoła w Wiśle Małej) był w czasie okupacji pod szczególną obserwacją. Mimo to, kilka razy nocowali tam członkowie organizacji podziemnych i partyzanci z Beskidu Śląskiego (Brennej i Wisły), a czasem z braku miejsca w domu Kuboszków nocowali u zaufanego sąsiada - Mańki. Władysław był w Pszczynie znany, nie mógł więc tam się zbyt często pokazywać. Wybrał na swoje kwatery miejscowości między powiatami pszczyńskim i rybnickim - w Krzyżowicach, zamieszkując na bardzo krótko u Weismanów. Tam, w gospodzie Weismanów, spotykał się z wieloma ludźmi, którzy mieszkając w powiecie rybnickim, przekazywali mu informacje o bieżących poczynaniach okupanta „w terenie”.

W początkach 1940 r., Kuboszek przenosił swoją kwaterę od Weismanów do domu Myśliwców, Sitków, Kocurów, Zdziebłów, Kaniów w Jastrzębiu Górnym. W Pniówku, przebywał w gospodarstwie Słotów. W Szerokiej miał kwaterę u Franciszka Karkoszki i jego syna Erwina oraz w gospodarstwie Albina Stencla. W Połomii u Marty Maciończyk. Były także inne miejscowości i rodziny.

---

[81] Jan Margiciok urodził się 10 lipca 1915 r. w Kokoszycach.

Początki służby wywiadowczej w Rybnickim Inspektoracie poza Organizacją Orła Białego, były koordynowane przez szefa wywiadu Okręgu - por. Karola Komasa. Na jego polecenie por. Władysław Kuboszek wyznaczył dla zorganizowania wywiadu na terenie powiatów rybnickiego, raciborskiego i kozielskiego wspomnianego już ppor. Franciszka Żymełkę pseud. „Sęp", „Orlik". Utworzenie tej służby nie było łatwe. Zarówno Żymełka, jak i inni członkowie nie mieli doświadczenia w wykonywaniu czynności wywiadowczych. Należało się tego uczyć i doświadczeniami dzielić z innymi. Ukończenie podchorążówki dawało nikły pogląd na sposób pozyskiwania informacji. Franciszek Żymełka do współpracy (w wywiadzie) pozyskał Jana Króla pseud. „Jacek", „Maciej" - byłego księdza katolickiego, kierownika robót Organizacji TODT[82] w Pogrzebieniu, w powiecie raciborskim. Król, prowadząc roboty budowlane dla potrzeb wojennych, miał możność obserwowania ruchów wojsk, ich siły, uzbrojenie, lokalizację magazynów broni i amunicji oraz otrzymywał wiadomości o zakładach zbrojeniowych i ich produkcji. Swoje obserwacje przekazywał Żymełce, ten zaś zebrane dane od różnych agentów przesyłał dwa razy w miesiącu do szefa wywiadu Okręgu ZWZ przez kuriera Jana Margicioka pseud. „Mały", „Mazur", „Skowronek", „Dymitrow". Nie bez znaczenia był fakt istnienia „wtyczki" wewnątrz niemieckiej żandarmerii. Jedną z osób odkomenderowanych przez AK do niemieckiej policji był Ślązak o nazwisku Sojka, pochodzący z Osin k.Żor. Pod koniec wojny, tuż przed wyzwoleniem został zdekonspirowany i rozstrzelany w 1945 r.

W połowie sierpnia por. Józef Korol pseud. „Hajducki", „Starosta", został zastrzelony, a w wyniku dekonspiracji ZSP aresztowano na Śląsku około 480 członków organizacji. W Rybniku aresztowano około 65 osób.

Niemal równocześnie z utworzeniem ZSP, powstała w Rybniku (listopad 1939 r.) pod kierownictwem Stanisława Wolnego (ur. 19.05.1914 r.), druga organizacja konspiracyjna Polska Organizacja Powstańcza, która także została zdekonspirowana i rozbita w pierwszych dniach 1940 roku.

Po rozbiciu przez władze okupacyjne ZSP i POP, Stanisław Sobik – wychowanek rybnickiego gimnazjum, wraz z kolegami powołał do działania kolejną organizację konspiracyjną o charakterze wojskowym – Związek Walki Zbrojnej. W skład jej wchodzili członkowie zdekonspirowanych organizacji ZSP i POP i osoby dotychczas nie zaangażowane w działalność konspiracyjną.

Bardzo aktywna postać w ruchu konspiracyjnym - Rafał Sitek[83], wkrótce po zaprzysiężeniu przez Stanisława Sobika na członka ZWZ (prawdopodobnie w październiku 1940), spotkał się w Jastrzębiu ze swoimi kolegami – Józefem Obracajem, Karolem Krótkim i Leonem Woryną, którzy założyli już wcześniej w Jastrzębiu tajną organizację pod nazwą Polska Armia

---

[82] Organizacja TODT – (Organisation Todt, OT) niemiecka organizacja budowlana 1938-45, działająca w III Rzeszy i krajach przez nią okupowanych.

[83] Pamiętnik Rafała Sitka w szerszym zakresie cytuje dr Józef Musioł w książce *Ślązacy,* str. 275 – 278.

Krajowa. Razem podjęli działania, nad stworzeniem bazy pod przyszłą siedzibę sztabu Inspektoratu Rybnickiego ZWZ, a potem Armii Krajowej. W kilka tygodni później, Sitek, doprowadził do ważnego spotkania w Jastrzębiu. Ze Stanisławem Sobikiem z Rybnika, przybyło kilku ważnych organizatorów ruchu zbrojnego. Jednym z nich był Władysław Kuboszek pseud. „Kuba" - pierwszy komendant Inspektoratu Rybnickiego SZP. W wyniku przeprowadzonych uzgodnień, jastrzębska organizacja podziemna stała się ogniwem bardzo dobrze zorganizowanej armii podziemnej o nazwie Służba Zwycięstwu Polski – Związek Walki Zbrojnej.

Od początku swego działania, Rybnicki Inspektorat ZWZ obejmował powiat rybnicki, niektóre gminy powiatu pszczyńskiego i powiat raciborski. Po reorganizacji struktury Śląskiego Okręgu ZWZ, do Rybnickiego Inspektoratu włączono powiat kozielski, a po rozbiciu przez gestapo Inspektoratu Cieszyńskiego, także tereny powiatu cieszyńskiego i frysztackiego, tworząc podinspektorat cieszyńsko-zaolziański. Wiosną 1941 r. podporucznik Władysław Kuboszek oddelegował do pracy w podinspektoracie cieszyńsko-zaolziańskim dwóch działających w konspiracji ludzi z Rydułtów – Jana Margicioka i Leopolda Hałaczka. Obaj byli już raz aresztowani przez gestapo i udało im się zbiec. Zostali więc oddelegowani na teren dla nich bezpieczniejszy, gdyż w powiecie rybnickim byli poszukiwani. Jan Margiciok zajął się organizacją wywiadu, natomiast Leopold Hałaczek objął funkcję komendanta podinspektoratu.

Wielkie znaczenie miała kwatera Rybnickiego Inspektoratu ZWZ/AK w Jastrzębiu Górnym, która mieściła się w gospodarstwie znanej z patriotyzmu rodziny Dominika i Elżbiety Kaniów. Zbudowano u nich duży, dobrze zamaskowany schron na kilkanaście osób, a niezależnie od tego, w zabudowaniach gospodarczych mieścił się magazyn broni i materiałów wybuchowych. O istnieniu schronu wiedział tylko właściciel, jego żona i syn Wiktor pseud. „Felek" – dowódca oddziału partyzanckiego ZWZ/AK, inspektor por. Władysław Kuboszek, Paweł Cierpioł, oraz Dominik Zdziebło, późniejszy dowódca największego zgrupowania w Okręgu Krakowskim AK pseud. „Żelbet". Z kwater u Zdziebłów, Kaniów i innych mieszkańców Jastrzębia korzystali członkowie innych inspektoratów, a także sztabu Okręgu.

Poważny problem dla Inspektoratu, stanowiło wyżywienie grup ludzi zakonspirowanych w kwaterach, oraz wyżywienia oddziałów partyzanckich i dywersyjnych, a problem wynikał z niemożności zakupienia produktów żywnościowych bez posiadania kartek reglamentacyjnych. Inspektorat otrzymywał pieniądze z Kwatermistrzostwa Okręgu ZWZ/AK, lecz gorzej było z owymi kartkami żywnościowymi. Podrabiano je zatem w dosyć prymitywny sposób - na powielaczu, a „specjalistą" w ich wykonywaniu był Alojzy Myśliwiec pseud. „Jedynka". Realizowano kartki w okolicznych sklepach Żor, Woszczyc a także Jastrzębia Zdroju. Znaczną ilość kartek żywnościowych przekazywano ludności polskiej, której Niemcy kartek nie przyznawali, oraz rodzinom, które doznały represji za strony okupanta. Przeznaczano je także na

zaopatrzenie dla polskiej ludności na Zaolziu. Kartki podrabiane przez Myśliwca, dalekie od doskonałości, można było rozpoznać, jako sfałszowane, ale przychylnie nastawieni do konspiratorów właściciele sklepów i obsługa (także członkowie organizacji) nie robili trudności w ich realizacji. Wykupu produktów dokonywali najczęściej Rafał Sitek pseud. „Michał", oraz Katarzyna Zdziebło pseud. „Krysia". Pisząc o „drukowaniu kartek" w prymitywnych warunkach, mam na uwadze ich „dodruk" do tych, które zdobywano podczas partyzanckich akcji na niemieckie sklepy czy urzędy.

Łączność władz zwierzchnich z jednostkami niższymi realizowana była przez specjalne służby kurierskie, zorganizowane na szczeblu Okręgu i Inspektoratów. Z Komendy Okręgu do Inspektoratów, łączność była utrzymywana w zasadzie przez jednego kuriera i poprzez punkty kontaktowe. Kurierom nie wolno było kontaktować się bezpośrednio z dowódcami. W razie zmiany kurierów zmieniono też punkt kontaktowy. W przypadku aresztowania kuriera, punkt kontaktowy ulegał likwidacji, a szefowie łączności ustalali dalszą współpracę. Punkty kontaktowe nie mogły znajdować się w mieszkaniach osób zaangażowanych w pracach sztabowych, członkowie sztabu nie mogli też pełnić funkcji kurierskich, chyba że miało to bardzo ważne znaczenie lub wymagało natychmiastowego usunięcia zagrożenia.

Rybnicki Inspektorat zwerbował do kontrwywiadu nawet niemieckich żandarmów. Jednym z nich był Johann Habel (ur. 13.11.1907 r. w Wiedniu) Austriak - komendant posterunku w Marklowicach i następnie w Chwałowicach. W „urobieniu" Habela zasłużyła się Aniela Mrozek pseud. „Czarna". Była zaprzysiężona na członkinię ZWZ przez por. Kuboszka w styczniu 1940 r. Aniela, niespełna wówczas dwudziestosześcioletnia inteligentna kobieta, umiała tak pokierować sprawą zaangażowania żandarma, że ten, jak tylko mógł pomagał miejscowej ludności. Wszelkie wiadomości otrzymane z gestapo, dotyczące poszczególnych osób przekazywał Anieli, by ostrzegała konkretne osoby przed mającym nastąpić aresztowaniem. Aniela Mrozek do współpracy pozyskała także dwóch innych żandarmów, Niemców sudeckich, antyfaszystów, Szymona Bedenka i Solingena.

Nie można przemilczeć działalności innych łączniczek zaangażowanych w działalność konspiracyjną Wandę Bocek pseud. „Duła" (ur. 12.03.1918 r. w Cieszynie - córka Jana Bocka, dyrektora gimnazjum w Jabłonkowie) oraz Katarzynę Zdziebło pseud. „Krysia" (ur. 23.11.1912 r. w Jastrzębiu Zdroju), z zawodu pielęgniarka i sanitariuszka, pełniącą funkcję łączniczki w latach 1942 i 1943 r., - łączniczką Inspektoratu z Okręgiem.

Wanda Bocek pracowała jako urzędniczka w Urzędzie Pracy w Jabłonkowie, a równocześnie zaangażowała się w pracę wywiadowczą dla Margicioka oraz jako łączniczka Inspektoratu. Zagrożona aresztowaniem w marcu 1943 r. ukryła się w Jastrzębiu, gdzie pracowała jako sekretarka i maszynistka inspektora por. Kuboszka. Po aresztowaniu Kuboszka, do końca okupacji ukrywała się w Żorach w rodzinie Wyrobków. W 1943 r. gdy była łączniczką inspektora z Okręgiem, wykazywała się niezwykłą odwagą. Miała

świetnie opanowany język niemiecki, co pozwalało jej na swobodne poruszanie się w terenie posiadając „lewe” papiery dostarczone przez tzw. komórkę legalizacyjną.

Katarzyna Zdziebło dosyć często przewoziła meldunki, korespondencję oraz tajne gazetki z Sosnowca do Jastrzębia. Było to zadanie bardzo trudne ze względu na przesiadkę w Katowicach, i nieraz dłuższe oczekiwanie na połączenie w kierunku Jastrzębia, przy stale kręcących się patrolach żandarmerii i bahnschutzów[84] na dworcu kolejowym. W tym czasie zarówno żandarmeria, jak i gestapo przeprowadzało rewizje oraz drobiazgowe kontrole dokumentów osobistych. Mimo to, zawsze szczęśliwie wracała do domu.

Bardzo trudne zadanie wykonywała organizacja w zakresie niesienia pomocy jeńcom wojennym przebywającym na terenie Inspektoratu, zwłaszcza w dużych zakładach pracy, przy robotach kolejowych, drogowych lub rolnych. Ucieczki z tych obozów niejednokrotnie organizowane były przy pomocy ludzi Inspektoratu. Dla przykładu, w sierpniu 1942 r. z jednego obozu na Śląsku zbiegło czterech lotników alianckich, zestrzelonych podczas nalotów nad Francją i Niemcami. Przy pomocy członków AK z obwodu raciborsko-kozielskiego, przedostali się na teren Libiąża k.Chrzanowa. Akcją tą kierował osobiście inspektor Władysław Kuboszek i jego zastępca por. Paweł Cierpioł.

Przedsięwzięte środki organizacyjne, choć trudne w realizacji, przyniosły pozytywne rezultaty w umocnieniu i utrwaleniu konspiracji na terenie Okręgu. W znacznym stopniu zostały one wypracowane w Rybnickim Inspektoracie AK, co umożliwiło ciągłość działania Inspektoratu i Okręgu do ostatnich lat okupacji.

Dochodziło podobno do niezgodności w poglądach między Władysławem Kuboszkiem a jego zastępcą - porucznikiem Pawłem Cierpiołem. Cierpioł uważał, że należy „bardzo ostro” występować przeciwko hitlerowskiemu okupantowi, ostrzej zwalczać bierność i donosicielstwo. Kuboszek natomiast, bardziej przezorny, starał się prowadzić działalność konspiracyjną w taki sposób, by nie spowodowała zbędnych ofiar wśród miejscowej ludności często szykanowanej represjami w odwecie za akcje ruchu oporu.

Na skutek stałego zagrożenia ze strony gestapo, Kuboszek ograniczał czas zamieszkiwania, a raczej zakwaterowania przez kilku dni w jednej miejscowości (stałego miejsca zamieszkania nie posiadał). Wspomniana wcześniej gospoda Weismana była pod obserwacją katowickiego gestapo. Interesował się nią Paweł Ulczok będący do 1941 r. łącznikiem Komendanta Okręgu z inspektorami, a od 1941 r. po aresztowaniu i warunkowym zwolnieniu - konfident gestapo. Kuboszek prawdopodobnie znał Ulczoka jeszcze z czasów, gdy ten był łącznikiem Komendanta Okręgu Józefa Korola. W 1942 r. Ulczok, jeszcze nie uznawany za konfidenta, przebywał w Pniówku, w miejscowości sąsiadującej ze wsią Krzyżowice, a w Krzyżowicach - w domu Słotów, często

[84] Bachnschuze – służba ochrona kolei.

ukrywali się różni członkowie tajnej organizacji z terenu Okręgu Śląskiego. Kuboszek, dowiedziawszy się, że Ulczok poszukuje go u Weismana, więcej do tej kwatery nie wrócił, uważając ją za zdekonspirowaną.

W dniu 26.01.1943 r. na stacji w Bystrzycy nad Olzą zostali aresztowani Jan Margiciok i Leopold Hałaczek. W krótkim czasie rozbita została cała siatka wywiadowcza, tak koronkowo powiązana przez Margicioka. Aresztowano ponad 70 osób, w tym około 50 osób z terenu Zaolzia. Po rozbiciu siatki wywiadowczej Margicioka i podinspektoratu cieszyńsko-zaolziańskiego, por. Kuboszek mianował podinspektorem ppor. Stefana Dąbrowskiego pseud. „Kowal", a komendantem Obwodu Zaolzia został mianowany ppor. Wilhelm Szwajnoch pseud. „Miedzianka", działający dotychczas w obwodzie pszczyńskim.

W lutym 1943 r., po zdradzie i masowych aresztowaniach członków AK w Rybniku, rozpoczęła się na terenie Rybnickiego Inspektoratu wzmożona akcja rozprawiania się z polskimi rodzinami, podejrzanymi o sprzyjanie lub kontaktowanie ze współpracownikami organizacji podziemnej. W poszukiwaniu Kuboszka gestapo przeprowadziło u Weismana rewizję. Nie natrafiono na żadne materiały obciążające, lecz i tak aresztowano Leona Weismana oraz jego żonę i osadzono ich w KL Auschwitz. Po wojnie Weismanowie powrócili do Krzyżowic.

Okupant różnymi sposobami wdzierał się w szeregi ruchu oporu, mimo że Inspektorat Rybnicki uchodził za najlepiej zorganizowany. Dnia 9.02.1944 r. por. Władysław Kuboszek chciał wypocząć u brata swej matki - Brandysa w Strumieniu. Wracając wieczorem tegoż dnia wraz z adiutantem plut. Franciszkiem Stalmachem pseud. „Roch" i kapelanem ks. Józefem Kanią pseud. „Michał" szedł ze Strumienia w kierunku Zbytkowa m. in. w celu zmiany miejsca pobytu księdza Kani. Na drodze zostali zaskoczeni przez ukryty w saniach patrol żandarmerii (zaskoczeni, gdyż osoba powożąca była im znana - parę minut wcześniej te same sanie jechały od Zbytkowa odwożąc strumieńskiego księdza od chorego). W czasie aresztowania zastrzelono adiutanta plut. Franciszka Stalmacha pseud. „Roch", „Stempel". Por. Kuboszek i ks. Kania zostali aresztowani i przekazani do gestapo. (Druga wersja wydarzeń jest taka, że por. Kuboszek, ks. Kania i adiutant Stalmach wieczorem 9.02.1944 r. wyszli z domu Brandysów by spotkać się z Alfredem Tkoczem z Chwałowic i dowódcą kompanii rybnickiej ppor. Antonim Sztajerem, idącymi ze Strumienia w kierunku Pawłowic. Tkocz został w Pawłowicach aresztowany przez żandarmerię więc do tego spotkania nie doszło, zaś Sztajer został ostrzelany). Istnieje duże prawdopodobieństwo, że przejście trzech mężczyzn przez stację kolejową w Strumieniu zaobserwował dyżurny ruchu Minerski - volksdeutsch z Pawłowic. On bowiem na trzeci dzień po aresztowaniu Kuboszka, zniknął z terenu Strumienia, obawiając się prawdopodobnie wyroku za donosicielstwo. Mógł o zobaczeniu Kuboszka powiadomić żandarmerię w Strumieniu. Patrol żandarmerii z Pawłowic, dopędził Kuboszka, ks. Kanię i Stalmacha w

Zbytkowie i dokonał aresztowania inspektora, kapelana oraz zabójstwa adiutanta.

Inna wersja, według relacji siostry por. Kuboszka - Marii, że ks. Kania przebywał już pewien czas u Brandysów w Strumieniu. Dnia 9 lutego por. Kuboszek, ks. Kania i adiutant udali się z domu Brandysów na spotkanie konspiracyjne do Pawłowic. Powiadomiona żandarmeria w Strumieniu - o przejściu koło stacji kolejowej trzech nieznajomych, zarekwirowanymi saniami dopędziła ich w Zbytkowie. Tam dokonała aresztowań inspektora i kapelana oraz zabójstwa adiutanta.

Podporucznik Władysław Kuboszek i ksiądz Józef Kania, zostali przewiezieni do więzienia śledczego w Mysłowicach, gdzie byli poddani sadystycznym metodom śledczym. Po przesłuchaniach, przesłano ich do KL Auschwitz – na blok 11, gdzie 12 czerwca 1944 roku ks. Kania stanął przed sądem doraźnym i został skazany na śmierć. Wyrok natychmiast wykonano.

Brak jest niestety w zasobach Archiwum Auschwitz-Birkenau, dokumentów dotyczących Władysława Kuboszka, gdyż spotkał je taki sam los jak wiele innych danych o byłych więźniach, gdyż władze obozowe masowo niszczyły wszelką dokumentację przed likwidacją obozu. Według informacji jakiej udzielił mi dr Adama Cyra – pracownik naukowy Muzeum, data pójścia por. Władysława Kuboszka na „sąd doraźny", a zarazem data jego śmierci nie jest dokładnie znana.

Można jednak przypuszczać, że zginął w sierpniu tegoż roku, bowiem w Bloku Śmierci na drzwiach celi nr 24 wykonał rysunek krzyża z napisem: *„14.8.44 Kuboszek „Kuba" „Bogusław" Władysław"*.

Według informacji uzyskanych od siostrzeńców W. Kuboszka, zginął On rozstrzelany w KL Auschwitz 15.08.1944 r. o czym rodzina Kuboszków powiadomiona została przez niemieckiego żandarma z komendy w Pszczynie, który osobiście przybył do ich domu i z złośliwą satysfakcją mówił o wykonania kary za wrogą działalność przeciw państwu niemieckiemu.[85]

Porucznik Kuboszek unikał werbowania do konspiracji swych najbliższych. Będąc w konspiracji bardzo rzadko odwiedzał swą rodzinę w Wiśle Małej oraz narzeczoną w Zbytkowie. Mimo to rodzina Kuboszka doznała dotkliwych represji. Aresztowano jego brata Stanisława – maltretowano go na gestapo w Cieszynie. Siostrę Jadwigę Herok aresztowano i wywieziono do KL Ravensbrück. Ksiądz Franciszek Kuboszek ukrywał się u swych znajomych początkowo w powiecie cieszyńskim oraz u rodziny Piechów w Kotliszowicach k.Toszka w okolicach Gliwic. Najmłodsza siostra Maria - choć nie

[85] S. F. Gruszka *Nowe czasy wiek XX*, s. 115.

zaprzysiężona w AK przez lata była łącznikiem inspektora z najbliższą rodziną, a także dowoziła „komunikanty" i wino mszalne dla kapelana AK ks. Józefa Kani m. in. od ks. Karola Hübnera - wieloletniego proboszcza z Wisły Małej. Dominik Kania, u którego w zabudowaniach był bunkier, po aresztowaniu dostał się do Gross-Rosen i tam został zamordowany.

Rybnicki Inspektorat doznał uszczerbku dwukrotnie. Pierwszy raz po zdradzie przez Jana Zientka w lutym 1943 r., drugi raz, gdy aresztowano inspektora Władysława Kuboszka w 1944 r.

Po aresztowaniu por. Władysława Kuboszka - inspektorem został mianowany por. Paweł Cierpioł. Inspektorat otrzymał kryptonim „Plebania", zaś inspektor Okręgu pseudonim „Pleban". Dzięki zachowaniu konspiracji, zmiana na stanowisku rybnickiego inspektora nastąpiła niejako z marszu. Funkcjonowanie sztabu nie zostało zakłócone rewizjami w okolicznych gospodarstwach (np. u rodziny Zdziebłów). Stamtąd nadal wychodziły rozkazy, sięgające także poza granicę - do Krakowa. Niektóre z nich wykonywał Rafał Sitek pseud. „Michał" z placówki jastrzębskiej. Na polecenie pseud. „Plebana" udał się w mundurze żołnierza Wehrmachtu do pseud. „Kordiana" w Krakowie, przekazując odpowiednie meldunki.

Przyjeżdżał także na inspekcje do Rybnickiego Inspektoratu AK komendant Okręgu Śląskiego AK wówczas jeszcze w stopniu pułkownika - Zygmunt Janke pseud. „Walter", oraz inni bardzo wysokiej rangi przedstawiciele Komendy Głównej AK. Po latach, już w stopniu generała, Zygmunt Janke pseud. „Walter" tak oto wspomina w książce *W ARMII KRAJOWEJ W ŁODZI I NA ŚLĄSKU* [86], jak wizytował Inspektorat rybnicki w towarzystwie gen. Rostowskiego pseud. „Odra":

> *„Latem 1943 r. z ramienia Komendy Głównej przyjechał do Sosnowca na inspekcje Okręgu gen. Rostowski („Odra"). Była to pierwsza i jedyna tego rodzaju wizyta. Gen. „Odra" brał udział w III Powstaniu Śląskim, Niemcy go znali. Miał charakterystyczny znak – wyraźną bliznę na głowie. Dał dowód odwagi i przywiązania do Śląska, decydując się na ten wyjazd. Ucieszyłem się z jego przybycia. Zakwaterowany został w Sosnowcu. Zapoznał się ze sztabem Okręgu. Ale to mu nie wystarczyło. Przedstawiłem mu sytuacje w Okręgu. Obejrzał pracę w Obwodzie Sosnowiec, wreszcie oświadczył mi, że chce zobaczyć Inspektorat Rybnicki. Pojechałem z nim do Katowic. Po przejeździe przez Sosnowiec pokazałem rejon, gdzie tego dnia miał być wykonany napad dla zdobycia pieniędzy. Rzeczywiście w dwie godziny później patrol z oddziału partyzanckiego ppor. „Ordon" zdobył tam 200000 marek. W Rybniku przyjęła nas sztafeta Inspektoratu. Na naszą kwaterę przyjechał w nocy inspektor por. mgr Władysław Kuboszek („Rogosz") i jego zastępca ppor. „Ren". Gen. „Odra" przebywał w Inspektoracie trzy czy cztery dni. Sprawdził plan „W" Inspektoratu, rozmawiał z komendantami Obwodów. Z przedstawionego schematu*

[86] Wydanie PAX z 1969 r., str. 171.

organizacyjnego wybrał kilka dowódców plutonów i pojechaliśmy do nich. Zobaczył rzetelną prace. Nigdzie nie natrafił na słowa bez pokrycia. Co było w planach, potwierdzał stan w terenie. W nocy przeprowadzał rozmowy z inspektorem i oficerami sztabu Inspektoratu. Pytał, jak widzimy przyszłą Polskę. Nie narzucał poglądów. Słuchał, czasem przekonywał. Nie nadużywał swojego stanowiska".

Tak pochlebna opinia, świadczy o randze i wartości pracy konspiracyjnej w Inspektoracie Rybnickim, i niech będzie puentą do niniejszego opracowania.

Postscriptum:

Władysław Kuboszek urodził się w wielodzietnej rodzinie, posiadał pięć sióstr: Jadwiga, Julia, Helena, Otylia, Maria oraz dwóch braci: Franciszek i Stanisław. Otylia była gosposią u swojego brata - księdza Franciszka Kuboszka. Rodzina doznawała represji jeszcze przed poszukiwaniami przez gestapo Władysława Kuboszka, ze względu na nie podpisanie volkslisty oraz udział w powstaniach śląskich. Wspomniałem już że do KL Ravensbrük wywieziona została najstarsza siostra Władysława - Jadwiga Herok (wojnę przeżyła). Jej męża Ludwika Herok (szwagra Władysława Kuboszka) Niemcy wywieźli do obozu w KL Dachau, gdzie zmarł w dniu wyzwolenia obozu - w 1945r.
Najmłodsza siostra Władysława – Maria, w 1948 r. wyszła za mąż za Pawła Pustelnika, syna Józefa i Marii z d. Maśka, który w okresie okupacji hitlerowskiej także był aresztowany przez gestapo w 1940 roku w Szczawnicy, więziony w Tarnowie, Zakopanem, a następnie przesłany do KL Auschwitz, zarejestrowany w obozowej ewidencji jako nr 10803.

Na skutek usilnych i skutecznych starań rodziny, Paweł został zwolniony z obozu w 1943 r. lecz zmuszony był do podjęcia przymusowej pracy w ściśle określonych przedsiębiorstwach oraz do okresowego meldowania się na policji. Paradoksem jest natomiast to, że po wyzwoleniu ze względu na oszczercze doniesienie, w 1945 r. wywieziony przez sowietów na Syberię.
Brat Pawła – ks. Juliusz Pustelnik także był aresztowany.
Urodzony 6.03.1911 r. w Wiśle Małej pow. pszczyński, święcenia kapłańskie odebrał 28.06.1936 r. Aresztowany 13.06.1940 r. i przesłany do KL Dachau, zarejestrowany w ewidencji obozowej jako więzień nr 3621, stamtąd od 25.05.1940 r. przesłany do KL Gusen. Zwolniony z obozu 18.11.1940 r.

Zdjęcia tablic okolicznościowych dotyczących powyższego opracowania:

Fot. J. Pustelnik. Tablica nagrobna – grobu rodziców W. Kuboszka oraz jego siostry i szwagra Marii i Pawła Pustelników.

Fot. J. Pustelnik. Pomnik w Strumieniu poświęcony pamięci patriotów których nazwiska wypisano na tablicach.

Fit. J. Pustelnik. Pomnik przy kościele w Krzyżowicach

Budynek Kuboszków w Wiśle Malej – widok od strony ulicy

Grób ks. Karola Hübnera

Schemat organizacyjny Okręgu Śląskiego Armii Krajowej w oparciu o rozpracowanie przez Policję Bezpieczeństwa w Katowicach – stan na dzień 1.12.1944 r.

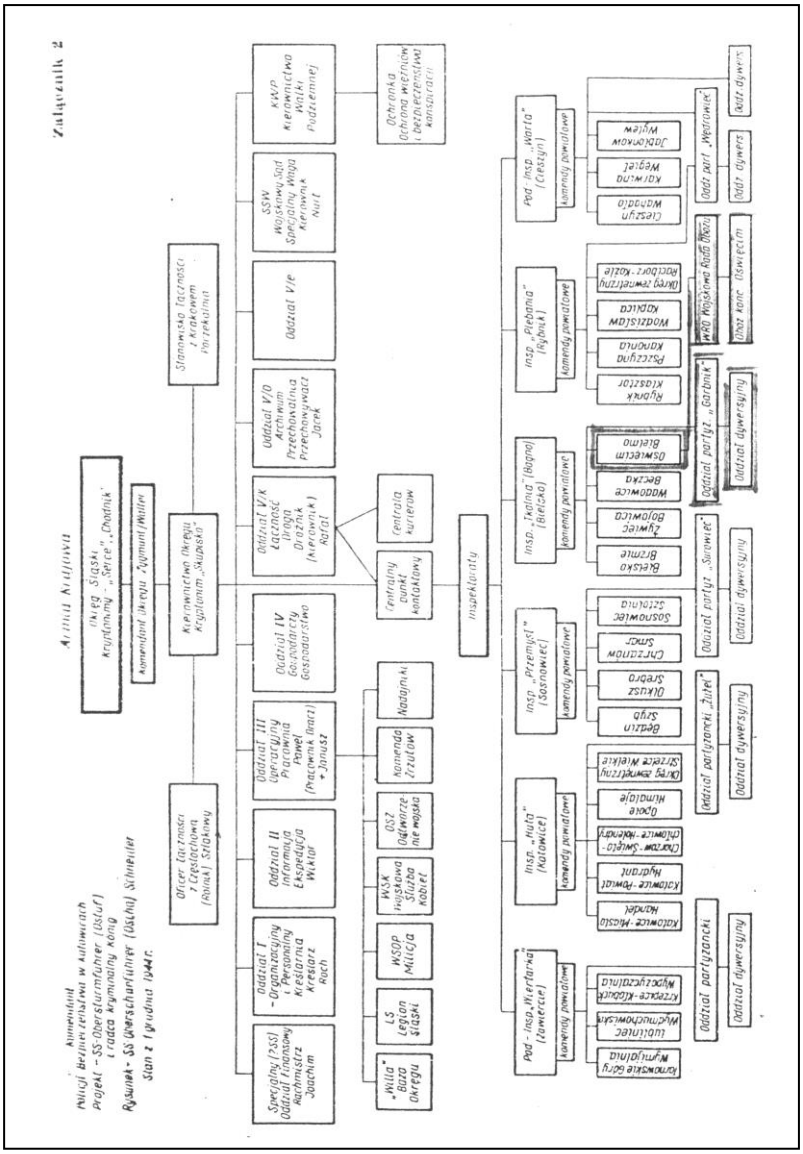

Za pomoc w uzupełnieniu informacji do niniejszego opracowania, składam wyrazy wielkiej wdzięczności: Jackowi i Władysławowi Pustelnikom - siostrzeńcom Władysława Kuboszka, Krystynie Morawiec oraz Dorocie Podlodowskiej-Graczyńskiej.

Na tej ziemi słońcu ujmuje
światła - chłodny, gęsty cień krzyży.
Biała przestrzeń, śnieżna równina
teraz większa jeszcze o ciszę.

Tędy wszystkie płynęły rzeki
Wisła, Wołga, Ren i Sekwana,
tu ostatnia gasła nadzieja
ogniem mordu z serca wyrwana.

Tu imiona milkły na wargach
wiatr je długo powtarzać będzie
póki ż y w i nie zrozumieją
co oznacza słowo — Oświęcim.

Wiersz: **OŚWIĘCIM**
Autor: Tadeusz Śliwiak

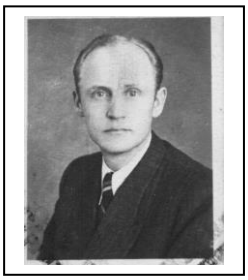

KUCZATY STEFAN,

Więzień KL Auschwitz nr 108625, KL Buchenwald nr 34506, KL Dora-Mittelbau.

KUCZATY STEFAN,

(Opracowanie oparte o wspomnienia Stefana Kuczatego - w cytatach z pamiętnikuwprowadzono niewielkie poprawki stylistyczne)

WSTĘP

Początkiem czerwca 2002 r., gdy ukazała się informacja prasowa o wydanej książce *Działacze rybnickiego ZWZ/AK w obozach koncentracyjnych*, otrzymałem informację od Daniela Jakubczyka z Turzy Śląskiej, że posiada zbiór materiałów o rodzinie Kuczatych i materiał ten wraz ze zdjęciami, może mi udostępnić. Jest sprawą oczywistą, że materiałem tym byłem zainteresowany, jednak dopiero po zapoznaniu się z nim, oceniłem jak ogromną wartość dokumentacyjną posiada. Dodam przy okazji, że Daniel Jakubczyk jest dosyć młodym człowiekiem, więc tym cenniejszy to gest. „Długo Polska nie zginie...", gdy wspaniałe młode osoby, będą wykazywały tak pozytywny stosunek do historii, do wydarzeń tych starszych i tych z okresu okupacji hitlerowskiej. Żeby uzasadnić, że nie jest mój optymizm grzecznościowym pustosłowiem, przytaczam fakt, że w tejże miejscowości Turza Śląska, wydawana jest gazeta *„U nas"*, w której Daniel Jakubczyk zaangażowany jest jako współredagujący to pismo. Między innymi w nr 1/84 ze stycznia 2000 r., w artykule *„Oni tworzyli historię ziemi wodzisławskiej"*, opublikował artykuł o rodzinie Kuczatych.

Wspomnienia Stefana Kuczatego (spisane w formie pamiętnika), musiałem częściowo „przeredagować", stąd nie jest to dosłowny przedruk z oryginału. Niemniej, 99% niniejszego opracowania, to treść wspomnień zapisanych przez Stefana Kuczatego o ojcu Karolu który od 1918 r. walczył o Polskę, o sobie i rodzeństwie, które kontynuowało tradycję rodzinną i także walczyło czynnie o Polskę – chociaż w późniejszym okresie.

Stefan Kuczaty urodzony 16.10.1911 r. rozpoczął działalność w ruchu oporu od okresu chłopięcego. Patriotyzm miał wpisany już od najmłodszych lat. Czy zatem w 1939 r. mógł postąpić inaczej niż stanąć naprzeciw bezwzględnego – hitlerowskiego najeźdźy?

REFLEKSJA z mojego udziału i uczestnictwa w działalności o polskość oraz narodowe wyzwolenie, - w walce skierowanej przeciw zaborcom i ciemiężycielom niemieckim w okresie od 1920 do 1945 r.

W życiorysie każdego człowieka mają miejsce wydarzenia, które na podstawie przeżytych emocji, są mocniej utrwalone w pamięci niż te mniej istotne. Wywołują zatem z racji owego „ciężaru gatunkowego", szczególną uczuciowość, sentyment, kształtują poglądy na stosunek do pewnych problemów życiowych. Przeżycia związane z tymi wydarzeniami, są równocześnie decydującym czynnikiem o postawie i zachowaniu się określonej jednostki w przyszłości – w podobnych sytuacjach.

W moim życiu, jedną z najważniejszych wartości to sprawa stosunku i postawy do patriotyzmu i polskości. Starałem się w każdej sytuacji życiowej wykazać, że mój stosunek do tych wartości był i będzie jednoznacznie

pierwszoplanowym. Oznaczało to w przeszłości, że moje zachowanie i postępowanie, nacechowane było patriotyzmem, że wypływało z postawy uczuciowej, nazywanej często przez literatów: „uczuciem miłości do Ojczyzny”.

Na naszej ziemi górnośląskiej - jak uczy historia, od wieków trwała szczególnie ostra i bezwzględna walka niemieckiego - ze wszystkim, co polskie i patriotyczne. W różnych okresach mojego życia, różne formy przybierała ta walka, od chłopca do posyłek i meldunkowego w okresie powstań śląskich, poprzez udział w pracy społecznej okresu międzywojennego. Później założyłem mundur żołnierza w kampanii wrześniowej, uczestniczyłem w ruchu konspiracyjnym w pierwszych latach hitlerowskiej okupacji, i wreszcie – ponosiłem konsekwencje tej działalności, poprzez pobyt w obozach hitlerowskich jako dożywotni więzień polityczny.

Wspominane lata mojego życia, szczególnie z okresu dziecięcego i młodzieńczego, wywołują we mnie uczucia wielkiej wdzięczności dla moich rodziców, którzy wytworzyli w rodzinnym środowisku atmosferę polskości i patriotyzmu, co tak skutecznie zakorzeniło się we wszystkich siedmiu synach. Dzięki temu, synowie ci już jako kilkunastoletni chłopcy, stali się aktywnymi uczestnikami zrywu powstańczego.

OKRES POWSTAŃ ŚLĄSKICH

Jesienią 1920 r., trwały intensywne przygotowania do trzeciego powstania śląskiego. Do przygotowań tych należało miedzy innymi zaopatrywanie lokalnych pododdziałów w broń. Odbywało się to wszystko w ścisłej tajemnicy i tylko przez szczególnie zaufanych działaczy oraz organizatorów. Jednym z tych działaczy był mój ojciec[87]. Mieszkaliśmy wówczas w Rogowach w powiecie Wodzisław Śl. Ojciec posiadał małe gospodarstwo, a przy tym sklep spożywczy.

Warunki te sprawiły, że gospodarstwo nasze i zabudowania stały się punktem organizacyjnym baonu powstańczego, a okresowo nawet zapleczem magazynowym akcji powstańczej na całą okolicę Rogów. Miałem niespełna 10 lat, gdy dwóch moich starszych braci: Władysław i Damian oraz syn naszego sąsiada 12-letni Franciszek Hojka, wtajemniczyli mnie a także włączyli do pracy nad budową leśnego pomieszczenia – magazynu na broń dla powstańców. Myśl budowy tego pomieszczenia podsunęli zapewne dorośli, lecz dla uniknięcia

[87] **KAROL KUCZATY** – ojciec ur. 13.07.1876 r. w Szulerzowicach. Do lat międzywojennych zamieszkały w Rogowach. Był założycielem i komendantem POW Górnego Śląska na terenie gmin nadodrzańskich od Rogów po Lubomię. Organizator i dowódca oddziału powstańczego na terenie Rogów w III powstaniu śląskim. Po odzyskaniu niepodległości został w 1922 r. przewodniczącym Rady Gminnej w Rogowach. Od 1929 r. zamieszkał w Rybniku. W czasie okupacji, zagrożony aresztowaniem, ukrywał się. Zmarł 17.11.1952 r.

podejrzeń wykonywały to dzieci - podrostki, gdyż miało to wyglądać jak zabawy i gry dziecięce.

W sąsiedztwie gospodarstwa naszego i Hojki, był mały lasek składający się z czterech zagajników, z polaną i małym stawkiem w środku. W tym to zagajniku wykopaliśmy obszerną jamę, pokryliśmy ją drzewem i dobrze zamaskowali. To pomieszczenie było na zewnątrz prawie niewidoczne, a wejście było tak małe jak do lisiej nory. Dorosły osobnik ledwo mógł się do środka wczołgać. Dla odwrócenia uwagi, przy wykonywaniu tego pomieszczenia spuściliśmy równocześnie wodę ze stawu (który był położony tuż obok) i poprawialiśmy niby dno. Dla kogoś nie wtajemniczonego o celu naszej pracy, wszystko było w porządku, bo przecież zarówno zagajnik jak i stawek był własnością Hojki, a my pomagaliśmy tylko jego synowi.

Szczególne emocje wywołało we mnie następujące zdarzenie, które dosyć dokładnie pamiętam, mimo, że miałem niecałe 10 lat. Któregoś dnia, zabrał mnie ojciec do Wodzisławia. Jechaliśmy furmanką Hojki, niby po towar dla sklepu mojego ojca, lecz w Wodzisławiu, w umówionym miejscu władowaliśmy na furmankę karabiny i amunicję, a dla zamaskowania tego ładunku, nałożyliśmy na wierzch jakiejś artykuły spożywcze. W powrotną drogę jechałem sam z gospodarzem Hojką, bo ojciec dla odwrócenia podejrzeń wracał rowerem. Gospodarz Hojka był, lub też udawał pijanego, więc ja czułem się przez całą drogę odpowiedzialny za ten tak ważny transport broni. Był to przejazd bardzo niebezpieczny z uwagi na częste kontrole żandarmów niemieckich. Pod wieczór dojechaliśmy szczęśliwie do lasu, by rozładować broń w tym specjalnie wykonanym pomieszczeniu. Tam też czkał na nas mój ojciec. Z powodu panujących w lesie ciemności, koń podjechał wozem za blisko brzegu rowu i wóz osunął się do rowu. Zapanowała konsternacja i przerażenie - co robić. Nie było jednak innego wyjścia, ojciec polecił mi, żebym pobiegł do domu po siekiery i moich braci, by było więcej zaufanych rąk do pracy. W ogromnym strachu i podnieceniu biegłem co sił przez ciemny las (około dwa kilometry) do naszego domu. Zabrawszy siekiery, dotarłem z braćmi na miejsce gdzie unieruchomiony był wóz. Wraz z ojcem i Hojką naścinaliśmy drzew, wydostaliśmy z rowu furmankę i złożyliśmy broń do schowka.

Jedną z form walki o polskość w zaborze pruskim, było organizowanie i udział w manifestacjach. Tak więc święto 3-go maja 1920 r., miało być okazją do wielkiego pochodu manifestacyjnego w Raciborzu. Dorośli i młodzi uczestnicy manifestacji, zbierali się w miejscowości Lukasyna na prawym brzegu Odry. Bardzo starały się przeszkodzić manifestantom bojówki Grenzschutzu[88], które w sile kilkudziesięciu ludzi stanęły na moście odrzańskim nie wpuszczając nikogo do miasta. Wśród tłumów przygotowujących się do manifestacyjnego marszu przez miasto, było też kilkanaście jeźdźców na koniach. Wśród nich pamiętam mieszkańców Lubomii: F.Grzybka, W.Grzybka, A.Segeta oraz Józefa Segeta. Wysunęli się odważnie na czoło i rozpędzonymi

[88] Grenzschutz – służba ochrony granicy

koniami przebili kordon bojówkarzy. Za nimi donośnie rozbrzmiewały słowa pieśni: *„Tam w Raciborzu na ulicach z tryumfem kroczy Polski lud, pogodę widać w jego licach, pochód wspaniały niby cud. Dalej więc wszyscy wraz nieśmy śpiew bo Bóg tronuje nad trony, niesie on zemsty grom, ludu gniew, w przyszłości rzućmy się na sztandar nasz biało-czerwony, na nim niewinna polska krew…”* itd. Po jakimś czasie, w innych rejonach Raciborza, bojówkarze Grenzschutzu jednak zaatakowali czynnie manifestantów i doszło do ostrych starć, a następnie do ogólnej szamotaniny, której całkowicie obojętnie przyglądała się policja. Ja maszerowałem w pochodzie niosąc flagę polską. Przy starciu z opryszkami Grenzschutzu zostałem mocno pobity, połamano na mnie drzewce flagi i nie wiem jak by się to było skończyło, gdybym nie uciekł i nie schował się w jakimś zaułku. Tam - płaczącego, znalazła mnie i zabrała do domu - Paulina Bigdowska (pochodząca z Rogów) ze swoim bratem.

Miasto Racibórz było również bazą zaopatrzeniową dla powstańców z miejscowości Rogowy. W podobny sposób jak do Wodzisławia, mój 15-letni wówczas brat Karol jeździł po broń do Raciborza. Któregoś jednak razu, na tym przewożeniu broni został przyłapany przez patrol Grenzschutzu i uwięziony, a broń oczywiście mu zabrano. Gospodarz Hojka, który miał tę broń przewieźć furmanką, wrócił do domu bez niczego. Po interwencji ojca w komendzie alianckiej, zwolniono brata po trzech dniach. Był jednak tak pobity a właściwie zmasakrowany, że został kaleką (zginął w lutym 1944 r. z rąk hitlerowców jako partyzant w lasach kieleckich).

Po tym aresztowaniu i pobiciu brata, często mieliśmy rewizje w domu – w poszukiwaniu ukrytej broni, a odbywało się to w ten sposób, że okrążano nasz bydynek i nikomu z domowników nie wolno było z niego wychodzić. Na szczęście nie znaleziono niczego kompromitującego, ale dla pewności ukrytą w obrębie naszego domostwa broń i amunicję, wywieźliśmy do wspomnianej już kryjówki w lesie, i tam była przechowywana do czasu jej rozdziału między powstańców.

W okresie kampanii plebiscytowej, szowiniści niemieccy uciekali się do bezprawnych działań, nie licząc się z obecnością alianckich obserwatorów. Przypominam sobie, że pewnego dnia przyjechał rano pod nasz dom, sznur samochodów ciężarowych, załadowanych niemieckimi bojówkarzami, przebranymi w mundury włoskich żołnierzy (członków grupy alianckiej). Celem przyjazdu tych „przebierańców” było aresztowanie polskich agitatorów plebiscytowych. Doprowadzono wybranych Polaków z Rogów i okolicy na punkt zborny, i nie wiadomo co by się dalej stało, gdyby nie spryt i odwaga mojego 14-letniego brata Władysława. Ja powiadomiłem go o całym zajściu, a on pełniąc wówczas dyżur na poczcie w Rogowach, zatelefonował do komendy wojsk francuskich w Wodzisławiu, by opowiedzieć o postępowaniu tych niby Włochów. W kilkanaście minut przyjechała uzbrojona grupa żołnierzy francuskich i uwolniła polskich agitatorów plebiscytowych, wśród których między innymi był mój ojciec - Karol Kuczaty, J. Morcinek, J. Rzezonka, B. Klon.

Do powyższego zajścia dodać należy, że kiedy samochody tych niby Włochów stały na drodze, ja i inni chłopcy w moim wieku, oblepiliśmy je ulotkami o treści: *„Głosuj na Polskę”* lub *„Uliczka (hakata niemiecka) przypomni sobie, Polacy twoi ojcowie, spokoju nie mają w grobie, bo widzą Judasza w tobie”* i inne ulotki o podobnej treści. Mimo że cała akcja z „przebranymi Włochami” zakończyła się dla większości osób pomyślnie, to niestety dla mojego brata Władysława skończyła się bardzo nieszczęśliwie. Kiedy bowiem pełnił dyżur na poczcie został przez bojówkarzy niemieckich postrzelony w głowę. Na całe życie pozostała mu głęboka blizna za prawym uchem. Brat ten był szczególnie aktywnym bojownikiem o Polskę. W okresie międzywojennym był zaangażowany w wywiadzie polskim w Gdańsku. Niestety, w kampanii wrześniowej zginął jako żołnierz przeszyty pociskami broni pokładowej z hitlerowskich samolotów.

Działalność naszej rodziny w okresie powstań i plebiscytu, doprowadziła Niemców do wielkiej wściekłości, w związku z czym postanowili się na nas zemścić. Opracowano plan i wydano rozkaz zaminowania i wysadzenia w powietrze naszego domu wraz z jego mieszkańcami. Wykonawcami tego zbrodniczego planu były - jak dowiedzieliśmy się później, najemne zbiry: Max Jańczyk, Szymiczek i Mika oraz jakiś czwarty osobnik - którego nazwiska nie pamiętam. Byli to mieszkańcy Rogów, którzy przed powstaniem przeszli na druga stronę Odry, by walczyć przeciw Polakom. Na szczęście wykonanie tych niecnych planów przez wymienionych najemników, powiodło się tylko częściowo a my cudem uniknęliśmy niechybnej śmierci.

Wykonanie zbrodniczego planu miało taki oto przebieg, że około godziny 4-tej rano, zamachowcy wkradli się przez okienko do piwnicy, zaminowali tj. rozmieścili w różnych miejscach ładunki dynamitu o łącznej wadze 6 kilogramów. Przy okazji jednak przeszukiwali piwnicę za czymś, co można by ukraść. Zabrali więc parę butelek wina i kilka kilogramów tytoniu - tak zwanej „presówki”. Zajęło im to nieco więcej czasu niż zakładali, więc wydostając się z piwnicy w pośpiechu, pozostawiali na nasze szczęście wszystkie drzwi otwarte. Dzięki temu siła wybuchu częściowo się „rozprężyła” i nie dokonała takich zniszczeń jak to było w planie zabójców. Mimo to, detonacja spowodowała, że betonowy strop nad sklepem został całkowicie zniszczony – zapadł się, a wszystkie drzwi i okna na parterze wyleciały wraz z futrynami. W sąsiednich budynkach także wyleciały szyby z okien. W budynku Hojki - oddalonym od nas około 100 metrów, powstała kilku centymetrowa rysa w murze.

Wybuch spowodował oczywiście fizyczne i psychiczne szkody całej naszej rodzinie która w komplecie spała w budynku. Przypominam, że była godzina 4-ta nad ranem. Siłą wybuchu zostaliśmy prawie wszyscy powyrzucani z łóżek, a ja z braćmi spałem akurat w pokoju nad sklepem, więc odczuliśmy wybuch szczególnie mocno. Przy odgłosach rozpaczliwego płaczu, zaczęliśmy powoli wydostawać się ze zrujnowanego domu. Sporo ludzi z sąsiedztwa, którzy przybyli nam natychmiast z pomocą, pomagało wydostać się z tego rumowiska i

przyjść do siebie. Dopiero po jakimś czasie, gdy wszyscy wydostali się z budynku, okazało się, że nikt z nas nie doznał zbyt silnych zranień poza ogólnym przerażeniem, potłuczeniami i niegroźnymi kontuzjami. Na trwałe pozostało w mojej pamięci, jak sąsiedzi zgromadzeni koło ruin naszego budynku, okazali nam pomoc i pocieszali nas. Szczególnie życzliwą pomoc okazał mieszkaniec Rogów - Jan Klona, członek straży gminnej.

W przytaczanym powyżej okresie, odbywały się dosyć często zebrania aktywu powstańczego i aktywistów walczących o polskość Górnego Śląska z rejonu Rogów, Bełsznicy i okolic. Zebrania te odbywały się z reguły w budynku moich rodziców w Rogowach. Mimo młodego wieku, uczestniczyłem w tych spotkaniach częściowo jako zabezpieczenie dla uruchomienia tzw. systemu ochronnego, bo przecież spotkania miały charakter nielegalny. Na zebraniach tych, została zapoczątkowana idea ludowładztwa w formie powołania i zorganizowania rad narodowych. Na jednym z zebrań wybrano nawet Radę Narodową dla terenu gminy Rogów i kilku okolicznych wsi. W skład tej wybranej wówczas rady weszli: Karol Kuczaty (mój ojciec) jako przewodniczący, z-ca Wiktor Klon z Rogów, sekretarz Franciszek Piszczan z Olzy n/Odrą. Niestety, ówczesna idea i władza ludowa w formie Rad Narodowych nie doczekała się realizacji, wobec znacznego układu - utworzenia Polski niepodległej, państwa o kapitalistycznych stosunkach społecznych, u których nie było miejsca dla sprawowania ludowej władzy w formie rad narodowych.

OKRES MIEDZYWOJENNY I KAMPANII WRZEŚNIOWEJ, OKUPACJA, – DO CZASU UWIĘZIENIA.

Niemal przez cały okres międzywojenny, byłem aktywnym członkiem Związku Młodzieży Powstańczej. Szczególnie chętnie angażowałem się do organizowania różnego rodzaju imprez o charakterze patriotycznym.

Kampania wrześniowa była dla mnie również okresem dosyć przykrych przeżyć. Byłem żołnierzem (w stopniu plutonowego) 5-go batalionu telegraficznego. Przebyliśmy szlak od Pszczyny po Lublin. W akcji odwrotu - w okolicy Dębicy, na pewnym wzgórzu zainstalowano trzy baterie artyleryjskie, a ja wraz z dwoma kolegami otrzymałem rozkaz zajęcia stanowiska na sąsiednim wzgórzu – obserwację i przekazywanie informacji do punktu dowodzenia. Mieliśmy przekazywać meldunki o kierunkach przesuwania się zmotoryzowanej kolumny niemieckiej. Dzięki takim meldunkom, nasza artyleria zniszczyła sporo jednostek w kolumnie niemieckiej. Zostaliśmy jednak (nasza grupa obserwacyjna i baterie artyleryjskie) dosyć szybko wykryci i zasypani gradem pocisków. W powstałym zamieszaniu, obaj moi żołnierze uciekli i zostałem sam na posterunku, obsługując telefon do całkowitego wycofania się resztek trzeciej baterii. Straty w bateriach były ogromne: trzy rozbite działa, kilku zabitych altyrerzystów, zabite wszystkie konie. Niedobitki - kilku żołnierzy i ja z łączności, przedostaliśmy się nocą, czołgając się na do swoich przez pozycje niemieckie. Lekko ranny szrapnelem, dołączyłem w Przeworsku do naszej

jednostki. Zostałem przez dowódcę kompanii kapitana Staroypińskiego - wyróżniony za odwagę i waleczność.

Pod Biłgorajem dostałem się do niewoli niemieckiej wraz z 21-szą Dywizją Piechoty, gdy jednak transportowano nas jako jeńców - do Niemiec, udało mi się zbiec podczas postoju na stacji Kraków-Płaszów.

*

Od pierwszych dni okupacji, a mieszkaliśmy już w Rybniku, cała moja rodzina była poddana represjom hitlerowców. Dla przykładu, dnia 1-go maja 1940 r. o godz. 4:00 wtargnęło do naszego domu dwóch niemieckich policjantów z okrzykami: *„Polnische Banditen auf" (Polscy bandyci wstawać)* i w brutalny sposób kazali nam wychodzić z łóżek. Jak się okazało, poszukiwali jednego z moich braci - Stanisława[89].

Wyjaśnialiśmy im, że żaden z nas nie jest Stanisławem, ale oni nie zważając na to co mówimy, okrzykami: *„verfluchte Banditen los, los, schnell" (przeklęci bandyci szybko, szybko, prędko)* – zmuszali nas do ubierania się. Żeby wyegzekwować szybszą reakcję na ich polecenia, nie szczędzili nam kopniaków i uderzeń bykowcami. Mnie i brata Bolesława[90] przewieziono do siedziby policji w Rybniku, mieszczącej się wówczas w dawnym budynku klasztoru SS. Urszulanek.

Nie wystarczyło im przekonywanie, że żaden z nas nie jest poszukiwanym Stanisławem ani udowadnianie naszych personaliów według posiadanych dokumentów. W końcu oświadczono nam, że będziemy więzieni tak długo, aż zgłosi się względnie zostanie schwytany Stanisław. Gdy więc udało się im go schwytać na drugi dzień w okolicy Jastrzębia – nas zwolniono.

Stanisława więzili w różnych obozach koncentracyjnych do końca wojny, czyli przez pięć lat. Wyzwolony został w Mauthausen-Gusen przez

---

[89] **STANISŁAW KUCZATY,** ur. 17.08.1916 r. w Rogowach. W 1936 r. ukończył dwuletnią szkołę handlową w Rybniku. Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 r. Ranny w rejonie Krosna i wzięty do niewoli niemieckiej, zbiegł i wrócił do Rybnika. W kwietniu 1940 r. został aresztowany przez gestapo i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie został wyzwolony 5.05.1945 r. przez wojska amerykańskie. Po powrocie prowadził w Rybniku rozlewnię octu (do 1951 r.). Na krótko przeniósł się do Szczawna Zdroju. Później pracował w Hucie Silesia w Rybniku. Jego ostatnim miejscem pracy było Przedsiębiorstwo Budowlano-Inżynieryjne Przemysłu Węglowego w Rybniku. Zmarł dnia 10.07.1970 r.

[90] **BOLESŁAW KUCZATY,** ur. 28.10.1913 r. w Lubomi. Z zawodu fryzjer. Aresztowany przez Niemców l.05.1940 r. i po kilku dniach zwolniony. Zaangażowany w działalność ZWZ, ponownie aresztowany w 1943 r. i osadzony w obozie koncentracyjnym w Mauthausen Gusen. Zginał w czasie transportu do krematorium w Mauthausen (zatruty spalinami w specjalnie do tego celu przystosowanym samochodzie) w lipcu 1943 r.

wojska amerykańskie. Drugi brat Bolesław wraz z Andrzejem Kaszubą też z Rybnika, zostali zagazowani spalinami samochodowymi w samochodzie specjalnie do tego celu przystosowanym, podczas transportu z Mauthausen-Gusen do krematorium w obozie macierzystym w Mauthausen.

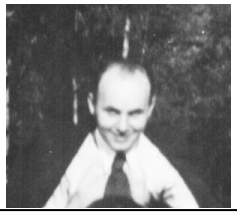

Bolesław Kuczaty

Innym przejawem mszczenia się Niemców na naszej rodzinie, była sprawa sądowa wytoczona mojemu ojcu, a mająca związek aż z rokiem 1921, gdy ojciec mój jako komendant powstania w Rogowach, wydał rozkaz zarekwirowania dla celów powstania - rowerów z tej miejscowości. Wykonawcami rozkazu byli K. Szymiczek i J. Frydrych. Pod koniec 1939 r. niejaki Kurzydym z Rogów, zaskarżył ojca o kradzież roweru w 1921 r. Mimo tłumaczenia ojca, że roweru nie ukradł, został skazany na pół roku więzienia i zwrot nowego roweru.

Wiosną 1940 r., zostałem przez mojego kolegę Henryka Ślosarka z Rybnika, wciągnięty do działalności w tajnej organizacji Związek Walki Zbrojnej. Pracowałem wówczas w Rybniku w szlifierni szkła i wytwórni luster u wspomnianego nieco wcześniej Andrzeja Kaszuby - w charakterze ekspedienta. Zaznaczyć muszę, że znałem język niemiecki, natomiast mój pracodawca a zarazem dobry znajomy, nie znał w ogóle języka niemieckiego.
Ze względu na sprzyjające okoliczności, po jakimś czasie, zorganizowałem w mieszkaniu Kaszubów rejonową - odcinkową (na Rybnik i okolice) centralę organizacji ZWZ.

Niestety, w sierpniu 1942 r., zupełnie niespodziewanie - wczesnym rankiem, Kaszuba, jego żona i przebywający u nich krewny (siostrzeniec Kaszubowej), zostali aresztowani i wywiezieni do obozu dla wysiedleńców w Lyskach, zaś ich mieszkanie i warsztat zostały zaplombowane. Ja oczywiście obawiając się także aresztowania, postanowiłem się ukrywać. Niemniej, natychmiast po aresztowaniu Kaszubów, postanowiłem dostać się do ich mieszkania oraz warsztatu - przed dokładną rewizją Niemców, by usunąć stamtąd jakiekolwiek dowody działalności konspiracyjnej. Zorganizowałem w pośpiechu zespół czteroosobowy: Renatę Wojaczek (moją żonę), Halinę Przybylską, Jurka -mojego młodszego brata oraz ja jako organizator tego przedsięwzięcia. Dostaliśmy się do mieszkania i warsztatu, aby zlikwidować co trzeba. Zniszczyliśmy wykazy i zapiski, zabraliśmy karty żywnościowe i odzieżowe, przechowywane w centrali dla sekcji charytatywnej - celem udzielenia pomocy Polakom. Zatarliśmy oczywiście wszystkie ślady naszego tam pobytu, a naruszone plomby zniekształciliśmy tak, żeby wyglądały jakby zrobiły to dzieci - z ciekawości czy dla zabawy. Dalsze nasze obserwacje wykazały, że Niemcy nie domyślili się do czego było wykorzystywane mieszkanie Kaszubów, o urzędującej tam „centrali" organizacji ZWZ, ani o naszych „odwiedzinach" w mieszkaniu.

Wpadka naszej organizacji i początek mojej obozowej gehenny miały

się rozpocząć kilka miesięcy później.

OKRES POBYTU W WIĘZIENIACH I OBOZACH (1943 – 1945)

W wyniku zdrady przez agenta gestapo – Jana Zientka (byłego kierownika odcinka drogowego w PKP Rybnik), który wkradł się w szeregi członków organizacji podziemnej ZWZ, zostałem 11.02.1943 r. aresztowany przez gestapo w Rybniku. Już na placówce gestapo zostałem tak zmasakrowany, że nawet dla znajomych byłem trudno rozpoznawalny. Żona mojego pracodawcy – Stefania Kaszubowa, która przedtem codziennie mnie widywała gdy u nich pracowałem, zobaczywszy mnie tam w piwnicy gestapo, nie mogła mnie rozpoznać. W takim stanie przewieziono mnie wraz z innymi aresztowanymi do KL Auschwitz, gdzie zaczęło się właściwe śledztwo. Zeznania wymuszano przez różnego rodzaju, bardziej lub mniej znane metody tortur. Najboleśniej odczułem znaną próbę zawieszania na koziołku. „Ćwiczenie" to zastosowano wobec mnie trzykrotnie.

Po zakończeniu śledztwa, na podstawie „jakiejś rozprawy w Berlinie" – w której nie brałem udziału, zostałem skazany na dożywotnie więzienie za zdradę stanu: tzw. „Staatshochverrat[91]".

Jako więzień po wyroku, byłem przynajmniej w następnym okresie uwolniony od „zabiegów" śledczych, a doznałem jedynie anormalnych – obozowych przeżyć.

W czasie kilkumiesięcznego pobytu w oświęcimskim obozie, byłem przydzielony do różnych robót. Między innymi pracowałem w komandzie wysyłanym do robót przy bagrze na Sole, tzw. „Flusskis Reisko". Funkcję kapo w tym komandzie spełniał znany sadysta z Rybnika-Chwałowic o nazwisku Stanisław Grzonka. Zdarzyło się kiedyś, że kapo Grzonka zachorował, i wtedy wszyscy członkowie naszego komanda (a w skład komanda wchodzili wyłącznie Polacy i Rosjanie) prosili mnie, żebym ja w jego zastępstwie prowadził komando. W taki to sposób następnego dnia przy bramie, kazano mi włożyć opaskę U.K. („Unter Kapo"). Wtedy też przy pracy - pod nieobecność Grzonki, którego zastępowałem w „poganianiu ludzi", ludzie porządnie sobie odpoczęli. Skutek był jednak taki, że nie wykonaliśmy nałożonej normy, co niemiecki majster dokładnie zaznaczył w raporcie. Groziło to całej grupie w komandzie poważnymi represjami i karami. Wtedy to, dla ratowania całej grupy, odważyłem się - korzystając z tego, że notatka majstra niemieckiego była pisana ołówkiem - wszystko wygumować. Chciałem pozbyć się śladu w notatkach, że było coś nie tak jak być powinno. Oczywiście powtórzenie takiego wykroczenia-przestępstwa równało się dla mnie ze skazaniem na bunkier w bloku 11, zamknięciem między druty no i ewentualną śmiercią. Ponieważ jednak byłem w grupie lubiany i moje poczynania były w interesie komanda, sprawa się na szczęście nie wydała. Dopiero, kiedy po trzech tygodniach wrócił kapo Grzonka, zauważył, że wykonanie robót jest poniżej normy - lub ktoś chcący się

[91] Staatshochverrat -

„przychebić” Grzonce, nieopatrznie opowiedział historię z gumowaniem. Skopał mnie w robocie i pobił porządnie, zerwał opaskę U.K. i wyrzucił z komanda, co dla mnie oznaczało skierowanie do gorszych robót.

W tym też okresie nadeszły dla wielu więźniów z Rybnika wyroki z „Sondergericht” z Berlina. Nasza sprawa dlatego znalazła się w sądzie w Berlinie, bo grupa ta, pochodząca z rybnickiego, składała się przecież niby z Niemców (Niemcy jak wiadomo włączyli Górny Śląsk do Rzeszy). Dnia 24.VI.1943, kiedy nadeszły owe wyroki, zostaliśmy skazani na tzw. „Blocksperrę” tj. zakaz opuszczania bloku. Zobaczyłem z okna mojego bloku, jak SS-mani prowadzą grupę więźniów, między innymi niektórych z naszej podziemnej organizacji. Rozpoznałem: Staszka Sobika, Janka Klistałę, Alojza Siąkałę. Nie wytrzymałem i mimo „Blocksperry” wybiegłem z bloku (na szczęście miałem wtedy jeszcze opaskę U.K., co sprawiło, że nie zostałem zatrzymany przez wartownika). Chciałem pożegnać kolegów, których prowadzono do bloku 11 na śmierć, żeby przynajmniej mieli do kogo wypowiedzieć ostatnie życzenia. Wszyscy oni świadomi, że idą na stracenie, trupio bladzi, odpowiadali mi na pozdrowienia, przekazywali polecenia i pozdrowienia dla najbliższych, rzucali różnego rodzaju pamiątki obozowe aż do wejścia do bloku 11.

Wszyscy wiedzieliśmy, że ich godziny są policzone, bo przebywał w obozie znany postrach, - głośny egzekutor SS Hauptscharführer Palitzsch. Następnego więc dnia Palitsch przyjętym zwyczajem, rozstrzelał wszystkich skazanych z tej grupy – strzałem w tył głowy, podchodząc pojedynczo do każdego. Pozostali koledzy aresztowani w związku z przynależnością do naszej organizacji, wywiezieni do innych obozów, zostali również w podobny sposób uśmierceni.

Po ośmiu miesiącach, tzn. 16.10.1943 r. wraz z innymi towarzyszami niedoli, zostałem przetransportowany do KL Buchenwald. Na „powitanie” zostaliśmy oczywiście wygoleni i ostrzyżeni z każdego włoska. Pracowałem tam głównie w kamieniołomach. Z Buchenwaldu bardzo często, czy wręcz codziennie, wysyłano transporty specjalne do KL Dora-Nordhausen.[92] Obóz ten przejmował wszystkich szczególną grozą i lękiem. Z transportów tych nikt nie wracał żywy, przywożono jedynie trupy i zawszoną bieliznę. Każdy więzień z panicznym strachem i grozą oczekiwał i obawiał się chwili, kiedy wszechwładny gest „kapowski” wskaże na niego, skazując go na transport do „Dory”.

Przyszła niestety kolej i na mnie w dniu 4.12.1943 r. W ten tragiczny dzień, którego chyba do śmierci nie zapomnę, mój kolega Dolek z Sosnowca,

---

[92] **KL Dora-Mittelbau,** miejscowość w Niemczech, okręg Halle, w pobliżu Nordhausen na podgórzu Harzu, hitlerowski obóz koncentracyjny w IX 1943 do IV 1945. Początkowo filia obozu Buchenwald, od 1944 samodzielny obóz z licznymi podobozami. Przeszło przez ten obóz 60 tyś. więźniów różnej narodowości (najwięcej Polaków), zginęło 13 tysięcy. Obóz zorganizowany był w sztolniach po zlikwidowanych kopalniach dla montażu rakiet V-2 i samolotów.

student Uniwersytetu Wileńskiego, w proroczym przewidywaniu stwierdził, że *„św. Barbara wprowadza nas do swoich nor, a nie wiadomo jaki święty nas wyprowadzi”*. Jego jak i wielu innych nie wyprowadził żaden święty, natomiast kilka dni później wcielone szatany hitlerowskie wywiozły jego trupa, bo „Dora” była prawdziwym przedsionkiem piekieł. Fakt, że wyszedłem cało z tego obozu, uważam za prawdziwy cud. Trzech moich kolegów, z którymi bardzo się zżyłem – tam zginęło.

„Dora” była prawdziwą podziemna fabryką. W rozbudowie znajdowały się ogromne tunele o nieznanym nam (w tym czasie) przeznaczeniu. W okresie gdy tam przebywałem - w podziemiach (4.12.1943 r. – 15.05.1944 r.), prowadzono roboty do przebicia Stolli B i C. Warunki były straszliwie ciężkie. Więźniów nie wyprowadzono w ogóle na powierzchnię ziemi. W całych tych tzw. halach - w przodzie, gdzie były nasze bloki mieszkalne, powietrze było nie do zniesienia. Przy niewystarczającej wentylacji szczególnie dokuczały smrody z podziemnych latryn i z prochu strzelniczego zużywanego do odstrzału urobku w drążonych tunelach. Za pomieszczenia mieszkalne służyły hale nr 42 i 43, położone prawie bezpośrednio przy prowadzonych robotach kamiennych, czyli w miejscu, gdzie i tak już niedostateczna wentylacja była najsłabsza. Dla załatwienia potrzeb fizjologicznych więźniów, przeznaczono u wejścia do hal sypialnych odpowiednie baseny, z których smród w połączeniu ze spalinami (od wybuchów strzelniczych) stwarzał okropną atmosferę. Z ilości około 5 tysięcy więźniów, codziennie umierało kilkadziesiąt. Ciężko chorych więźniów nie zostawiono na koi do czasu skonania, lecz już przed śmiercią związywano im ręce nad głową, wynoszono i układano na cementowej podłodze w hali - przy innych już zmarłych, albo konających więźniach. Były to warunki najgorsze, jakie tylko w ciągu mojego dwu i półrocznego „stażu” obozowego przeżyłem. Osobiście oceniałem to zawsze porównawczo, że różnica między KL Auschwitz a „Dorą” jest jak między niebem a ziemią. Oczywiście, że w tak piekielnych warunkach, w dzikiej obronie własnego życia, znacznie zmalała solidarność i koleżeństwo pomiędzy więźniami. Dosyć powszechne były kradzieże nawet tych marnych łachmanów więźniarskich, co w końcu doprowadziło do tego, że do spania nie rozbierano się wcale. Koi do spania nie było w wystarczającej ilości, więc w porze przed spoczynkiem, odbywały się regularne bójki o miejsce na koi. Przypominam sobie, że kiedyś przy szukaniu miejsca na koi dostałem drewniakiem w głowę, że aż spadłem z koi z mocno potłuczoną głowa i półprzytomny. Pomieszczenia oczywiście były zawszone, a do tego brudne koce i podarte ubrania więźniarskie. O myciu lub goleniu nie było mowy. Woda była, lecz tylko przy betoniarkach, a zbliżenie się do niej groziło utratą życia. Było kilkanaście wypadków, że więzień próbujący napić się lub zaczerpnąć trochę wody – został zabity. Praca wykonywana codziennie – także w niedziele i święta po 12 godzin na dobę, była bardzo ciężka, Odbywała się pod nadzorem wściekłych kapo oraz oprawców z SS. Przez pozostałe 12 godzin, miały miejsce apele i stójki 2 – 3 godzinne, czekanie na obiad składający się zawsze z „chudej” i jałowej zupy, a potem dalsze 2 – 3 godziny czekania na odbiór chleba.

Pozostałe kilka godzin przeznaczone były na spanie przy dusznym i ciężkim powietrzu, urozmaicone bezskutecznym zwalczaniem wszy i szczurów.

Władze obozowe i nadzór budowy tych zakładów przemysłowych, przerażone ogromnymi ubytkami ludzkimi w takich warunkach, z zimnej kalkulacji grożącego braku siły roboczej, podjęły pospieszną budowę pomieszczeń (baraków) na powierzchni. Wybudowano ogromny obóz – z kilkunastu baraków, do których nas sukcesywnie ze sztolni wycofywano i dzięki temu cudem uniknąłem śmierci.

Pamiętam, że w połowie maja 1944 r. zostałem przeniesiony do baraku nr 108. Tam w obozie, były warunki już dużo lepsze. Wprawdzie praca również trwała 12 godzin, mimo, że cywile ze względu na trudne warunki pracowali tylko 6 godzin. Nadal oczywiście trwały kilkugodzinne apele i inne formy szykan oraz tortur. Jednak śmiertelność była tam znacznie niższa. Zaprowadzono nawet symboliczne, okresowe badania lekarskie. Tak znaczna poprawa warunków, stworzyła oczywiście szansę przeżycia, w szczególności dla grupy, która wyszła cało ze sztolni odpowiednio zahartowana i doświadczona. Tym też sobie tłumaczę, że mimo zrujnowanego już w KL Auschwitz zdrowia, udało mi się przeżyć. Lecz największe godziny grozy były jeszcze przede mną.

W miarę zbliżania się wojsk alianckich i rosyjskich do Nordhausen, zaczęto obóz ewakuować do KL Belsen-Bergen. Jednak wydarzenia na frontach rozwijały się na tyle szybko, że władze obozowe nie zdołały wszystkich ewakuować. Pozostało 2000 więźniów, z którymi SS-mani nie wiedzieli co zrobić. Postanowiono więc „zlikwidować" ich - na podstawie szatańskiej decyzji dowództwa obozu. Prawdopodobnie dowództwo otrzymało specjalny rozkaz z Berlina, gdyż w dniu 4.04.1945 r. zostaliśmy pod eskortą uzbrojonych w karabiny SS- manów (okładani bykowcami) - sprowadzeni do tunelu. Sztolnie wraz z halami były przeznaczone do zniszczenia przed wojskami alianckimi. Przy tej okazji, przeznaczono i nas na zagładę - przy jednym wybuchu.

Przygotowano 100 ton dynamitu i tym materiałem wybuchowym zaminowano sztolnie. Ustawieni w sztolni w szeregach, przy skierowanych na nas lufach cekaemów, oczekiwaliśmy wszyscy na śmierć.

Straszne było to czekanie z minuty na minutę, gdy byliśmy przekonani, że trwają ostatnie przygotowania techniczne do „odpalenia" ładunków wybuchowych. W miarę upływu minut i godzin, groza potęgowała się. Wielka ilość więźniów stojąca w szeregach, wprost wariowała. Było kilka wypadków, że w ciągu tych godzin posiwiały całkowicie włosy. Staliśmy w tych szeregach w bezruchu, oczekując w każdym momencie potężnej eksplozji i naszej zagłady. Staliśmy głodni, zmarznięci, aż wierzyć się nie chce - prawie 48 godzin.

Brak mi odpowiednich słów do wyrażenia tego, co w nas wszystkich się działo. Wydaje mi się, że przeżyć tych nie sposób wyrazić w najdokładniejszym nawet opisie! Wtedy to, w chwili największej rozpaczy i beznadziejności stał się prawdziwy cud, który uniemożliwił SS-manom wykonanie szatańskiego planu. Oto, na nasze szczęście rozpoczął się silny nalot Aliantów na Nordhausen. Ludność cywilna, szukająca schronienia, z przeciwnej strony sztolni, mimo

silnych oporów, gwałtem przebiła kordon SS-manów i przedostała się do tunelu - w naszą stronę. To oczywiście wywołało konsternację wśród SS. Komendant obozu Obersturmbanführer Frohmann, wykonawca tajnego rozkazu, ulotnił się, co stanowiło dla nas ostateczny ratunek, gdyż nie było już nikogo, kto mógłby dopilnować wykonania rozkazu wydanego z „góry", a co gorliwsi SS-mani pouciekali już wcześniej.

Radości nie było końca. Całkowicie wykończeni nerwowo, zostaliśmy uratowani i uniknęliśmy pewnej śmierci, niemniej, nie byliśmy jeszcze wolni. Czekała nas w tej sytuacji ewakuacja. Transportowano nas koleją, wpychano do wagonów towarowych siłą, tyle ile się dało. Jechaliśmy w takim tłoku, że niejeden więzień nie dotykał nogami podłogi. Przed kilkudniową podróżą obficiej nas zaopatrzono, z tym, że w ogólnym pośpiechu i chaosie pierwsze setki „Heftlingów" otrzymały po jednym bochenku chleba i konserwie, następne setki więźniów połowę chleba i konserwę zaś dla reszty nie zostało nic. Poradzono wiec żeby się podzielić.

Zdziesiątkowani przewozem w takich warunkach i z takim zaopatrzeniem, dotarliśmy wreszcie w dniu 15 kwietnia (po 10-ciu dniach jazdy tam i z powrotem) do KL Ravensbrück. Tam otrzymaliśmy już paczki UNRRA. Po dwunastodniowym pobycie tam, znowu byliśmy ewakuowani, tym razem już pieszo w całkiem innym nastroju. Bo zarówno z atmosfery, jak i zachowania się SS, czuliśmy, że uwolnienie jest już bliskie. Nasz pochód pieszy został wyzwolony od SS-owskich ciemięzców dnia 3.05.1945 r.

Skończyła się moja udręka i ciężki etap walki o Polskę, walki, która kosztowała mnie tak wiele. Przechodziłem zaraz po wojnie ciężką operację oczu - następstwa pobytu w tunelu „Dora". Nie udało mi się również wyleczyć z ciężkiej choroby - konsekwencji pobytu w obozie.

Na mgłach pamięci znowu widzę
Nasz lager i zatęchły popiół,
Baraki, pełne mgły ulice,
Ten zaduch, nasze prycze w mroku...

A to alejki ogrodnicze.

Kaszlące dziecko - skóra, kości,
Co jakimś trafem ocalało.
Przy popielisku, ku radości
Mój ojciec z brodą posiwiałą.

„Nie płacz" - powtarzam mu półgłosem –
„Przeżyłem, znów jesteśmy z sobą",
I ścieram z twarzy mgłę czy rosę,
Jak w tamten dym, wpatrzony w obłok.

wiersz: **FOBIA POPIOŁU OŚWIĘCIMSKIEGO**
autor: JAN BERNARD

MALCHER GERARD pseud. „Zefek”,
Więzień więzienia w Rybniku, Katowicach.

MALCHER GERARD pseud. „Zefek”,
Urodził się 19.08.1919 r. w Bziu Górnym - obecnej dzielnicy Jastrzębia. Po ukończeniu szkoły powszechnej przeniósł się z rodzicami do Jastrzębia Zdroju i zaczął uczęszczać do rybnickiego gimnazjum, ukończył je w 1938 r. Harcerz IV Drużyny ZHP im. Henryka Sienkiewicza w Rybniku.

Wybuch wojny zastał go we Lwowie gdzie studiował na politechnice. Zmuszony do przerwania studiów, nie wrócił odrazu do domu, gdyż wyczulony na krzywdę ludzką, zaangażował się w działalność charytatywną dla Lwowiaków.
Głód mieszkaniowy w przepełnionym Lwowie spowodował, że mnóstwo ludzi sypiało po prostu na dworcach, w szopach, w prymitywnie wykonanych szałasach. Za bochenkiem chleba trzeba było nieraz stać całą noc w kolejce.

Działające komitety żywnościowe były źle zorganizowane. Najdotkliwiej odczuwały te niedogodności rodziny z dziećmi, osoby starsze – potrzebujące pomocy i opieki. W tej sytuacji wraz z kolegami wolontariuszami jak on, postanowił zaangażować się w tego rodzaju pomoc. Poszukiwano kwater dla matek z dziećmi, dla rodzin wielodzietnych, ludzi starych i chorych. Gerard upraszał u właścicieli piekarń, by rozdawali chleb dla tych, którym choroba nie pozwalała na długie wystawania w kolejkach przed piekarniami. Często oferował pomoc przy jakichś zajęciach w piekarni, gdy właściciel godził się na taką formę „zapłaty” za chleb. Gdy nie mógł osobiście pracować, zastępowali go inni wolontariusze. Załatwiał darmowe wizyty lekarskie i leki dla tych, którzy nie mogli za nie zapłacić.

Takie wyczyny zorganizowanej samorzutnie grupy wolontariuszy, nie podobały się miejscowym, opieszałym władzom. Okazano Malcherowi zdecydowaną niechęć i nakazano opuszczenie Lwowa. W tej sytuacji usiłował przedostać się na Węgry, lecz gdy stało się to niemożliwe, powrócił na Śląsk do Jastrzębia.

Rodzice Gerarda Malchera prowadzili w Jastrzębiu sklep spożywczy i pensjonat dla kuracjuszy, a to ułatwiało mu prowadzenie działalności konspiracyjnej w zniewolonej Ojczyźnie. Znowu zaangażował się w niesienie pomocy potrzebującym rodakom. Organizował pomoc materialną (w formie zasiłków pieniężnych), pozyskując na to środki finansowe i rzeczowe od osób lepiej sytuowanych. Zaopiekował się biblioteką szkoły powszechnej w Jastrzębiu Dolnym oraz prywatną biblioteką domu wypoczynkowego Spółki Brackiej w Jastrzębiu Zdroju, - którym groziło całkowite zniszczenie. Zaangażował się w działalność w ruchu oporu. Wstąpił do ZWZ/AK, był inicjatorem stworzenia gazetki konspiracyjnej „ZEW”. Osobiście uczestniczył w jej redagowaniu. Gazetki te rozprowadzano na Górnym Śląsku i Opolszczyźnie, a pomagały mu w powielaniu i kolportowaniu siostry: Rita, Klara i Zyta Malcherówny.

Gerard Malcher był współpracownikiem wywiadu prowadzonego przez Jana Margicioka i Leopolda Hałaczka (pierwszoplanowe postacie wywiadu w Inspektoracie Rybnickim). Był bliskim współpracownikiem inspektora por.

Władysława Kuboszka oraz por Franciszka Żymełki. Podróżując dniami i nocami, narażał się na duże niebezpieczeństwo, a mimo to zachowywał pogodę ducha i w najbardziej krytycznych sytuacjach zwykł mawiać: *„Dobrze jest, jak jest!”*.

Zdradzony został przez Pawła Ulczoka – konfidenta gestapo. Aresztowano go dnia 31.03.1942 r. na katowickim dworcu i przewieziono wpierw do budynku gestapo w Rybniku, a po kilku dniach do siedziby gestapo w Katowicach. Wyjątkowo odpowiedzialny za wykonywane przez siebie czynności konspiracyjne, obawiając się, że mógłby podczas tortur wyjawić tajemnice mogące spowodować aresztowanie wielu współtowarzyszy i zniszczyć dotychczasową pracę organizacji konspiracyjnej, wolał złożyć ofiarę ze swego życia. Wyrwał się w czasie przesłuchania z rąk gestapowców i wyskoczył z trzeciego piętra (na bruk) ponosząc śmierć na miejscu.

Miasto Jastrzębie upamiętniło jego imieniem jedną z ulic osiedla przy Kopalni Węgla Kamiennego „Zofiówka”.

[...]„mówić o Oświęcimiu ma znaczyć
nie przemilczać ludzkiej rzeczywistości
i to, że nic nie jest takie
i nic nie będzie takim
jakim przed Oświęcimiem było” [...]

fragment wiersza: **Po Oświęcimiu,**
autor: Peter Paul Wipilinger

MALINOWSKI WŁADYSŁAW,
Więzień KL Auschwitz nr 111005.

MALINOWSKI WŁADYSŁAW,

„ - Był zawsze przyjaźnie nastawiony do ludzi, bez względu na ich pochodzenie i religię. Z każdym znalazł wspólny język. I takie podejście do drugich tkwi także w każdym z nas, jego dzieciach" – opowiada pani Halina Grabiec – córka W. Malinowskiego.[93]

Przystępując do zbieraniu informacji o Władysławie Malinowskim, niewiele niestety mogłem się początkowo dowiedzieć ponad to, co opublikowane zostało w gazecie rybnickiej *„NOWINY"* Nr 8 z 24.02.1999 r. Gdy jednak szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało mi się skontaktować z wnuczką Władysława Malinowskiego – Aleksandrą Grabiec, wstępnie opracowany materiał, mogłem wzbogacić o wiele szczegółów (uzupełnionych 1.02.2008 r.) przechowywanych w pamięci najbliższej rodziny oraz archiwach do których Pani Aleksandra dotarła[94].

*

Urodził się 5.03.1888 r. w Kórniku woj. poznańskie, syn Juliusza i Józefy z d. Kruk. Ukończył średnią techniczną szkołę budowlaną w Poznaniu, a następnie studiował budownictwo i architekturę w Lipsku, Heidelbergu i Berlinie. Przybył na Górny Śląsk w kwietniu 1910 r. W trzy lata później tj. 1913 r. podjął pracę w firmie Paula Martiny'ego[95], a już w 1922 r. wykupił część udziałów w tej firmie, stając się współwłaścicielem bardzo prężnego przedsiębiorstwa. Poza pracą zawodową, z dużym zaangażowaniem zajmował się sprawami społeczno-politycznymi.
W okresie plebiscytowym oraz powstań śląskich, aktywnie działał - uczestnicząc w pertraktacjach z Niemcami w sprawie warunków dla Ślązaków i Śląska. Gdy pod koniec 1921 r. został utworzony przez radę miejską nowy magistrat, będący pierwszą polską władzą w Rybniku, w skład tej rady obok tak znanych osobowości jak Marian Różański, Artur Trunkhardt, F. Biały, Franciszek Wieczorek, wszedł także Władysław Malinowski.[96]

---

[93] Cytat z artykułu Danuty Lubina-Ciupińskiej, *„Nowiny"* Nr 8 z dnia 24.02.1999 r.

[94] A.Grabiec, *Przedsiębiorstwo Budowlane Nad - i Podziemne (stolarnia budowlana) Władysław Malinowski dawniej Paul Martiny &C/O (1902 – 1943)* Z kart historii powiatu rybnickiego, Rybnik 2008 s. 255.

[95] Firma Martiny'ego od założenia w 1902 r., cieszyła się wyjątkowo dobrą opinią, wybudowała w Rybniku: dom handlowy Emila Pragera, rynek, dom handlowy Kaisera, szpital, domy przy ul. Żorskiej i Łony, dwa domy dla urzędników przy ul. Rudzkiej, dom dr. Boretiusa, Gielnika i Rudigera, wiele pojedynczych domów rodzinnych oraz kompleks domów przy ulicy Mikołowskiej, których układ zaprojektował Paul Martiny. A.Grabiec, *Przedsiębiorstwo Budowlane* ... s. 255.

[96] A. Grabiec, *Przedsiębiorstwo Budowlane* ... s. 256.

Przy różnych priorytetach dla powołanej rady (rozwój gospodarki komunalnej, kanalizacji, zwiększenia wysokości podatku gruntowego, wyrównania pensji dla urzędników państwowych oraz miejskich, podwyższenia opłaty za wodę, gaz i elektryczność), niemniejszą wagę zajmowały sprawy społeczne. Tą właśnie problematyką zajął się bardzo aktywnie Władysław Malinowski – kierujący działem pracy i opieki społecznej.
Dodam, że w grudniu 1921 r. W. Malinowski ożenił się z Agnieszką z d. Kupka, a ze związku tego urodziło się troje dzieci: córka Józefa, syn Tadeusz, córka Halina. W 1922 r. nastąpiło oficjalne przejęcie miasta Rybnika przez władze polskie, zaś 17.03.1922 r. powołano na burmistrza – Władysława Webera, długoletniego pracownika administracji rybnickiej, oraz byłego aktywnego działacza powstań śląskich. Ta nominacja miała wielki wpływ na rozwój firmy Paula Martiny'ego, tzn. realizację różnych projektów budowlanych przez W. Malinowskiego.

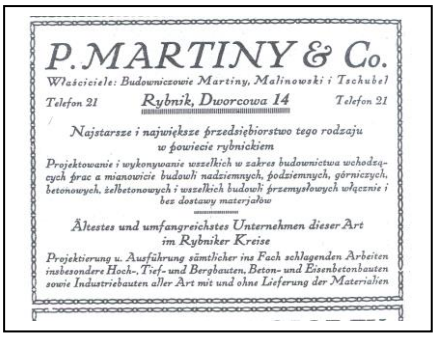
P. MARTINY & Co.
Właściciele: Budowniczowie Martiny, Malinowski i Tschubel
Telefon 21 Rybnik, Dworcowa 14 Telefon 21
Najstarsze i największe przedsiębiorstwo tego rodzaju w powiecie rybnickiem
Projektowanie i wykonywanie wszelkich w zakres budownictwa wchodzących prac a mianowicie budowli nadziemnych, podziemnych, górniczych, betonowych, żelbetonowych i wszelkich budowli przemysłowych włącznie i bez dostawy materjałów
Ältestes und umfangreichstes Unternehmen dieser Art im Rybniker Kreise
Projektierung u. Ausführung sämtlicher ins Fach schlagenden Arbeiten insbesondere Hoch-, Tief- und Bergbauten, Beton- und Eisenbetonbauten sowie Industriebauten aller Art mit und ohne Lieferung der Materialien

W 1923 r. dzięki inicjatywie magistratu rybnickiego, przy Alei 3 Maja, powstała wyższa szkoła żeńska S.S. Urszulanek z Krakowa. Szkoła przebudowana została przez firmę Martiny i S-ka – z byłej komendy obwodowej i późniejszego Urzędu Rent Wojskowych (szkoła ogrodzona została parkanem według projektu W. Malinowskiego).
Po śmierci Paula Martiny'ego (w październiku 1925 r.) W. Malinowskiemu odkupił udziały od wdowy – Jadwigi Martiny, zostając w ten sposób właścicielem całej firmy budowlanej Przedsiębiorstwo Budowlane nad i podziemne (Stolarnia budowlana)[97].

W 1926 r. rozpoczęto budowę nowego targowiska miejskiego w miejscu dawnego wysypiska śmieci przy ul. Jankowickiej[98]. Burmistrz W. Weber wyszedł z inicjatywą pomocy najuboższym mieszkańcom miasta. Dzięki niemu zorganizowano kuchnię dla dzieci, tanie posiłki dla mieszkańców Rybnika, zapewniono pomoc chorym, a potrzebujący opieki znaleźli ją w Polskim Czerwonym Krzyżu, gdzie znowu wyjątkowe zaangażowanie okazywał W. Malinowski. Wiele uwagi w swojej działalności w PCK przywiązywał do opieki kulturalno-oświatowej nad żołnierzami.

[97] A. Grabiec, *Przedsiębiorstwo Budowlane* ... s. 257.
[98] A. Grabiec, *Przedsiębiorstwo Budowlane* ... s. 257.

Za jego pośrednictwem w lutym 1930 r. powstało w Rybniku Koło Polskiego Białego Krzyża. W skład jego Zarządu weszli między innymi: W. Weber jako przewodniczący, jedną zaś z sekcji – świetlicową, zajął się W. Malinowski, który czynnie uczestnicząc w działalności Czerwonego Krzyża wspomagał finansowo różnego rodzaju akcje (w 1928 r. jego firma wspomogła finansowo organizację kolonii letnich). Na przestrzeni lat 1935-1938 firma realizowała zlecenia nie tylko w Rybniku, ale i w Katowicach, Tychach, Panewnikach, Tarnowskich Górach, Jedłowniku, Wodzisławiu, Żorach, Rzuchowie, Moszczenicy, Biertułtowach, w gminach Brzezie, Jankowice, Czerwionka, Chybie, Boguszowice, Stanowice, Rydułtowy, Olza, Lyski, Knurów. Budowano i modernizowano w w/w miejscowościach urzędy gmin, szkoły, kościoły, szpitale, obiekty PCK, spółki brackie, przychodnie, sierocińce i wiele prywatnych domów. Tylko w Rybniku, od 1934 r. do wybuchu wojny firma wykonała wiele inwestycji: budynek PCK, budynek II Liceum Ogólnokształcącego, budynek Szkoły Powszechnej nr 5, szkoła w Gorzycach, w Olzie itp.[99]

Przed wybuchem drugiej wojny światowej, w obawie o los własnej rodziny, W. Malinowski wyjechał z Rybnika. Dojechał do Sokala skąd zawrócił po 17 września. Do Rybnika wrócił 7.10.1939 r., firma wówczas zarządzana była przez Zarząd Powierniczy[100].

Tak jego przedsiębiorstwo jak i większość zakładów na terenach wcielonych do III Rzeszy, których właściciele nie mieli pochodzenia niemieckiego, przejęte zostały pod zarząd komisaryczny Głównego Urzędu Powierniczego „Wschód" (Haupt-treuhandstelle Ost.). Procedura zwrotu majątków była niezwykle utrudniona i długotrwała, a jednym z podstawowych kryteriów (by odzyskać swoją własność) było podpisanie deklaracji przynależności do III grupy Deutsche Volksliste (Niemieckiej Listy Narodowej). W maju tegoż 1942 r. W. Malinowski przesłał do Naczelnego Prezydenta Prowincji Górnośląskiej potwierdzenie wpisu na Volkslistę wraz z prośbą o zwrot majątku, i po wielu dalszych zachodach u niemieckich władz, majątek ten w całości zwrócono. Niestety, w kilka miesiecy później W. Malinowski został aresztowany.

Niezależnie od roszczeń o zwrot majątku u Niemców, od pierwszych niemal dni okupacji hitlerowskiej, zaangażował się w działalność konspiracyjną – w organizacji ZWZ/AK. Tym razem Jego budowle miały inne przeznaczenie, budował schrony dla ukrywających się konspiratorów. Zakonspirowany magazyn kompanii znajdował się w zabudowaniach niemieckiej firmy Makosz – Siedlecki, zajmującej dawne przedsiębiorstwo budowlane W. Malinowskiego. Jako członek Delegatury Rządu RP na powiat rybnicki, należał do ścisłego kierownictwa ZWZ/AK, zaś w ramach komórki cywilno-społecznej funkcjonującej przy tej organizacji, zajmował się między innymi działalnością

[99] A. Grabiec, *Przedsiębiorstwo Budowlane* ... s. 258.
[100] A. Grabiec, *Przedsiębiorstwo Budowlane* ... s. 259.

charytatywną[101]. Udzielano daleko idącej pomocy dla rodzin działaczy ruchu oporu – rodzin które znajdowały się w trudnej sytuacji materialnej oraz których członkowie byli aresztowani lub zostali uśmierceni przez okupanta (zbierano fundusze i rozdzielano zapomogi).

W planach i schemacie organizacyjnym na okres po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej, W. Malinowski przewidziany był na burmistrza miasta Rybnika[102].

Zebrania członków organizacji i odprawy aktywu odbywały się w różnych miejscach Rybnika i okolicy: na ulicy Raciborskiej w domach Szramka, Henryka i Karola Miczajków, Jana Klistały na „Maroko" w kużni ojca Stanisława Sobika przy ul. Wodzisławskiej, u piekarza Kufiety w Zebrzydowicach, ale także u W. Malinowskiego.

Przez wyjątkowego nikczemnika – zdradę Jana Zientka, doszło do dekonspiracji rybnickiej organizacji konspiracyjnej ZWZ/AK, skutkiem czego W. Malinowski został aresztowany przez gestapo w nocy z 11 na 12.02.1943 r. wraz z innymi członkami tej organizacji. Według wspomnień Józefy Janulek – najstarszej córki Władysława Malinowskiego, aresztowanie to miało następujący przebieg:

„ ... gestapo przyszło do naszego domu z 11 na 12.02.1943 roku o 1 w nocy. Było ich czterech: 2 cywilów i 2 w mundurach. Jeden z gestapowców nazywał się Kolbe, a drugi Mańka, wyciągnęli nas z łóżek i kazali stać twarzami do ściany. Zaczęli rewizję – z biblioteki wyrzucili wszystkie książki, a z szaf bieliznę, potem kazali Ojcu iść z nimi na strych i do piwnicy. Oczywiście nic nie znaleźli. Weszli też do sypialni rodziców gdzie rodzice wieczorem czytali książki, Ojciec „Ogniem i mieczem", Mama „Quo Vadis". Oczywiście książki rzucili na podłogę i podeptali. Ojciec zapytał czy może iść do toalety, wtedy Kolbe krzyknął po niemiecku: „jak będzie uciekać to strzelać". Potem Ojca zabrali i wtedy widzieliśmy Go ostatni raz."

Dnia 13.02.1943 r., wraz z pozostałymi aresztowanymi działaczami ZWZ/AK z Rybnika, wywieziono go do KL Auschwitz. Przebywał wpierw na bloku nr 2a, podległego Politische Abteilung – Wydział II Polityczny, skąd przez kilka tygodni zabierany był na sadystyczne przesłuchiwania.

Po zakończeniu śledztwa, skazano go na dożywotni pobyt w obozie koncentracyjnym. Ceremoniał przyjęcia do obozu wyglądał każdorazowo według ustalonej procedury: rozbieranie cywilnego ubrania, kąpiel pod prysznicami, strzyżenie włosów, ubieranie się w pasiaki więzienne, rejestracja, wykonane zdjęcie w trzech pozach i wytatuowanie numeru więziennego. Otrzymał numer obozowy 111005.

Po formalnościach rejestracyjnych, skierowano go na trzytygodniowy pobyt w bloku kwarantanny. Pobyt ten został w jego przypadku skrócony, gdyż

---

[101] A. Grabiec, *Przedsiębiorstwo Budowlane* ... s. 261.

[102] A. Grabiec, rozmowa przeprowadzona 1.10.2007 r. z Karolem Miczajką, przypis Przedsiębiorstwo Budowlane ... s. 269.

poddany brutalnym metodom śledczym, w zetknięciu z tak skrajnie wyniszczającymi warunkami bytu, zachorował na tyfus. Został więc przeniesiony do bloku szpitalnego, gdzie od dwóch dni przebywał jego dobry znajomy – Karol Miczajka. Leżeli obok siebie, więc mieli możliwość wymiany spostrzeżeń o tragicznym obozowym losie. Stan zdrowia W. Malinowskiego pogarszał się jednak w takim tempie, że po kilku dniach zmarł dosłownie na rękach Karola Miczajki.

W dokumencie śmierci z dnia 14 maja 1943 r. napisano, że budowniczy Wladysław Malinowski, wyznania katolickiego, zamieszkały w Rybniku ul. S.A. Strasse 14 zmarł dnia 2.04.1943 r. o godz. 13:15 w Oświęcimiu ul. Koszarowa. Osobnym pismem skierowanym do żony, napisano, że:

[...] *mąż pani zmarł w tutejszym szpitalu* [...] *śmierć spowodowana została wodą w płucach przy niewydolności serca. Zwłoki zostały 6 kwietnia 1943 roku w tutejszym krematorium spalone* [...] *Jeżeli życzy pani sobie dosłania urny z prochami zmarłego, należy dosłać poświadczenie zarządu cmentarza*. [...] *Po otrzymaniu potwierdzenia zostanie urna bezpłatnie przesłana* [...]

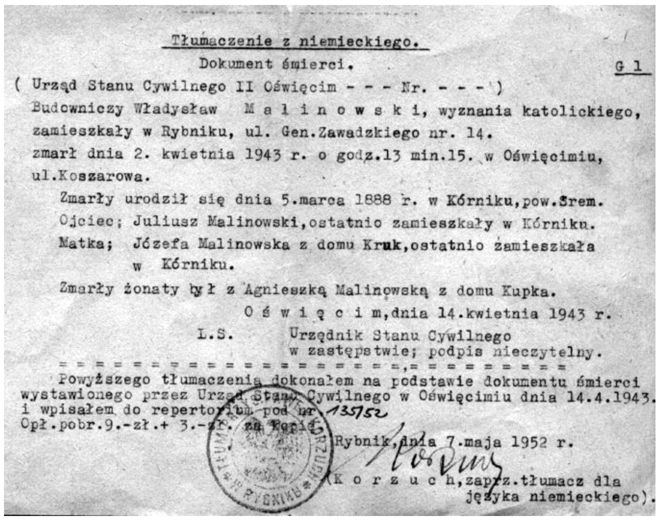

Tłumaczenie z niemieckiego.

Dokument śmierci. G 1

(Urząd Stanu Cywilnego II Oświęcim - - - Nr. - - -)

Budowniczy Władysław M a l i n o w s k i, wyznania katolickiego, zamieszkały w Rybniku, ul. Gen.Zawadzkiego nr. 14. zmarł dnia 2. kwietnia 1943 r. o godz.13 min.15. w Oświęcimiu, ul.Koszarowa.

Zmarły urodził się dnia 5.marca 1888 r. w Kórniku,pow.Śrem.

Ojciec; Juliusz Malinowski,ostatnio zamieszkały w Kórniku.

Matka; Józefa Malinowska z domu Kruk,ostatnio zamieszkała w Kórniku.

Zmarły żonaty był z Agnieszką Malinowską z domu Kupka.

O ś w i ę c i m,dnia 14.kwietnia 1943 r.

L.S. Urzędnik Stanu Cywilnego w zastępstwie; podpis nieczytelny.

= =

Powyższego tłumaczenia dokonałem na podstawie dokumentu śmierci wystawionego przez Urząd Stanu Cywilnego w Oświęcimiu dnia 14.4.1943. i wpisałem do repertorium pod nr 135752

Opł.pobr.9.-zł.+ 3.-zł. za kopię.

Rybnik,dnia 7.maja 1952 r.

(K o r z u c h,zaprz.tłumacz dla języka niemieckiego).

Dnia 22.06.1943 r. rodzina otrzymała wraz z urną z prochami i rzeczami osobistymi po zmarłym, wykaz przedmiotów pozostałych po zmarłym oraz poświadczenie z odręcznym podpisem właściciela o zdeponowaniu w KL Auschwitz zegarka marki Omega (został on również zwrócony)[103].

*

Po śmierci Władysława Malinowskiego firma prawdopodobnie została zamknięta a dom był stale pod obserwacją. Zakwaterowano w nim dwóch niemieckich oficerów o polskich nazwiskach: pochodzący z Gliwic Jarosz oraz Maczaj pochodzący z Prus Wschodnich. Syn Tadeusz w sierpniu 1943 r. został

[103] A. Grabiec, *Przedsiębiorstwo Budowlane* ... s. 262.

powołany do wojska, córka Halina po ukończeniu szkoły S.S. Urszulanek w Raciborzu trafiła we wrześniu 1944 r. do pracy w majątku Hermanów w Świerklanach. Po wojnie przedsiębiorstwo zostało w całości wydzierżawione budowniczemu z Rybnika, a pod koniec lat pięćdziesiątych zostało upaństwowione. Jedynie stolarnię przejął wówczas syn Tadeusz Malinowski prowadząc ją do roku 1984. Po roku 1989 majątek został zwrócony córkom i spadkobiercom po zmarłym synu Tadeuszu[104].

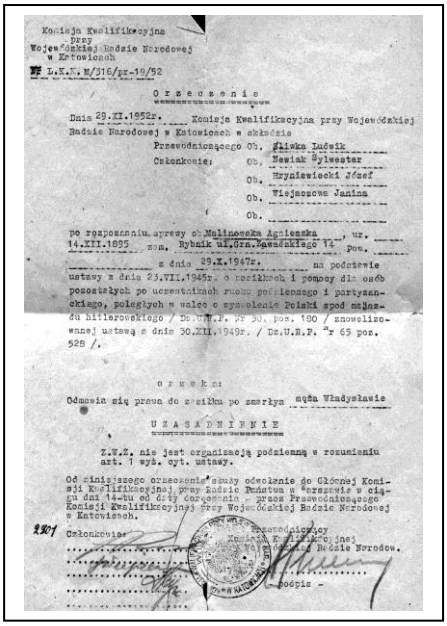

Komisja Kwalifikacyjna
przy
Wojewódzkiej Radzie Narodowej
w Katowicach

L.K.K. K/316/pr-19/52

O r z e c z e n i e

Dnia 29.XI.1952r. Komisja Kwalifikacyjna przy Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Katowicach w składzie

Przewodniczącego Ob. Zlizka Ludwik

Członkowie: Ob. Nowiak Sylwester

Ob. Wrzyniewiecki Józef

Ob. Wiejscowa Janina

Ob.

po rozpoznaniu sprawy ob. Malinowska Agnieszka, ur. 14.XII.1895 zam. Rybnik ul.Gen.Zawadzkiego 14 pow. z dnia 29.X.1947r. na podstawie ustawy z dnia 23.VII.1945r. o zasiłkach i pomocy dla osób pozostałych po uczestnikach ruchu podziemnego i partyzanckiego, poległych w walce o wyzwolenie Polski spod najazdu hitlerowskiego / Dz.U.R.P. Nr 30, poz. 190 / znowelizowanej ustawą z dnia 30.XII.1949r. / Dz.U.R.P. Nr 65 poz. 528 /.

o r z e k a:

Odmawia się prawa do zasiłku po zmarłym mężu Władysławie

U Z A S A D N I E N I E

Z.W.Z. nie jest organizacją podziemną w rozumieniu art. 1 wyż. cyt. ustawy.

Od niniejszego orzeczenia można odwołać się do Głównej Komisji Kwalifikacyjnej przy Radzie Państwa w Warszawie w ciągu dni 14-tu od daty doręczenia przez Przewodniczącego Komisji Kwalifikacyjnej przy Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Katowicach.

Członkowie:

Przewodniczący
Komisji Kwalifikacyjnej
Wojewódzkiej Rady Narodow.

podpis -

Refleksja końcowa: Tuż po wyzwoleniu, wdowa po W. Malinowskim znajdowała się w trudnej sytuacji materialnej. Pomimo dzierżawy firmy, zmuszona była starać się o dodatkowe wsparcie. Skierowała więc w 1947 r. wniosek o rentę po tragicznie zmarłym mężu. Odpowiedź Komisji Kwalifikacyjnej Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach otrzymała 26.02.1953 r. Dołączono do niej orzeczenie komisji o treści:

[...] *po rozpoznaniu sprawy ob. Malinowskiej Agnieszki ur. 14.12.1895 roku, zam. w Rybniku przy ul. Gen. Zawadzkiego 14 z dnia 29.10.1947 na podstawie ustawy z dnia 23.08.1945 o zasiłkach i pomocy dla osób pozostałych po uczestnikach ruchu podziemnego i partyzanckiego, poległych w walce o wyzwolenie Polski spod najazdu hitlerowskiego (Dz.U.R.P. nr 5=30, poz. 180) znowelizowanej ustawą z dnia 30.12.1949 (Dz.U.R.P. nr 65 poz. 528), komisja orzeka: Odmawia się prawa do zasiłku po zmarłym mężu Władysławie.* W uzasadnieniu napisano*: ZWZ nie jest organizacją podziemną w rozumieniu art. 1 wyż. cyt. ustawy*.

[104] A. Grabiec, *Przedsiębiorstwo Budowlane* ... s. 263.

Akt zgonu - dokument w zbiorach rodzinnych A.Grabiec

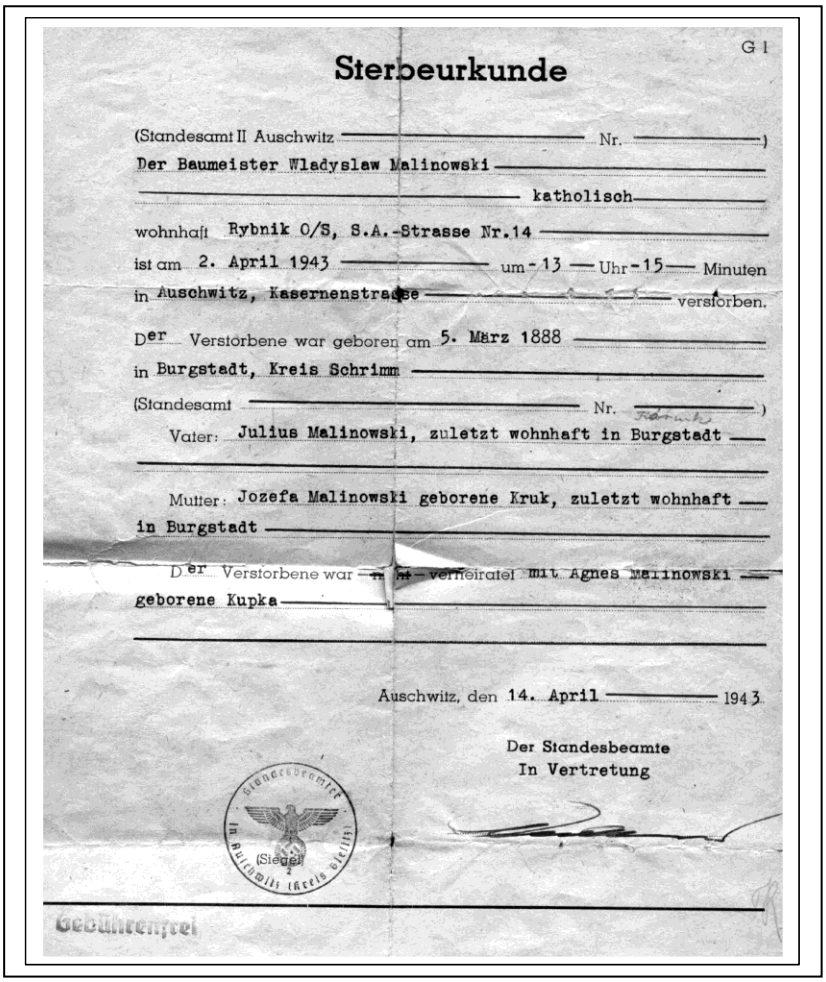

G I

Sterbeurkunde

(Standesamt II Auschwitz ——— Nr. ———)

Der Baumeister Wladyslaw Malinowski

katholisch

wohnhaft Rybnik O/S, S.A.-Strasse Nr.14

ist am 2. April 1943 um 13 Uhr 15 Minuten

in Auschwitz, Kasernenstrasse versorben.

Der Verstorbene war geboren am 5. März 1888

in Burgstadt, Kreis Schrimm

(Standesamt ——— Nr. ———)

Vater: Julius Malinowski, zuletzt wohnhaft in Burgstadt

Mutter: Jozefa Malinowski geborene Kruk, zuletzt wohnhaft

in Burgstadt

Der Verstorbene war ~~ev.~~ verheiratet mit Agnes Malinowski

geborene Kupka

Auschwitz, den 14. April 1943

Der Standesbeamte
In Vertretung

Standesamt
in Wilhelmhöh (Kreis Glatz)
(Siegel)

Gebührenfrei

Ciemnieje ... obojętny chłód nocy się wkrada,
Żar światła za krawędzią ginie nieboskłonu.
Postrach śmierci na pola Oświęcimia pada.
Noc idzie — dzień i ludzie wyczekują skonu.

Czerwienią słońca płaczą błękitu łachmany,
Ostatkiem mocy drgają serca konające ...
Zachód nad Oświęcimiem — dwa rosną kurhany
Słońce kona i ludzi konają tysiące ...

wiersz: **ZACHÓD SŁOŃCA**
autor: Kazimierz Wójtowicz

MICZAJKA HENRYK, pseud. „Wróbel”,
Więzień KL Auschwitz nr 175040.

MICZAJKA HENRYK, pseud. „Wróbel”,

Urodził się l.06.1914 r. w Brzeziu nad Odrą. W 1924 r. wraz z rodzicami i młodszymi braćmi przeprowadził się do Rybnika, gdzie w miejscowej poczcie ojciec znalazł zatrudnienie. W 1926 r. zdał egzamin do państwowego gimnazjum. Od najmłodszych lat interesowały go książki, które wpierw wypożyczał z bibliotek i namiętnie czytał, a później w wielkich ilościach kupował – tworząc w ten sposób własny księgozbiór. Chodząc do gimnazjum, był bardzo zaangażowany w IV Drużynie Harcerskiej im. Henryka Sienkiewicza.
Pisał także drobne opowiadania, za które niejednokrotnie otrzymywał nagrody.
Po piątej klasie, zmuszony był do przerwania edukacji z powodu złej sytuacji materialnej rodziców – głęboki kryzys na poczcie, obcięcie zarobków, podjęcie się przez ojca budowy własnego domu.

Henryk otrzymał pracę w Miejskich Zakładach Gazowniczych – przemianowanych następnie na Miejskie Zakłady Techniczne w Rybniku. W 1935 r. założył wspólnie z kolegami gimnazjalistami – I Koło Przyjacielskie, któremu przewodniczył. Koło to, miało na celu – na wzór związku Filomatów i Filaretów – pogłębianie patriotyzmu, pielęgnowanie życia towarzyskiego i koleżeńskiego, dyskusje, wspólne śpiewanie pieśni patriotycznych i harcerskich a także organizowanie mini koncertów (ładnie grał na skrzypcach). Wszelkie wolne fundusze przeznaczał na zakup książek, z czego powstała pokaźna biblioteka a którą oddał do dyspozycji owego Koła Przyjacielskiego. Wybuch II wojny światowej, zmienił formę działalności Koła na konspiracyjną. Henryk bardzo skrupulatnie prowadził dziennik, w którym zapisywał ważniejsze wydarzenia w Polsce i na świecie. Według nasłuchu polskojęzycznych, a także niemieckich radiostacji, zakreślał na mapach ruchy wojsk wszystkich frontów gdzie toczyły się walki, uzupełniając te informacje wycinkami z gazet. Powstał z tych materiałów gruby segregator, który ukrywał na poddaszu, gdzie można się było tylko wczołgać. Razem z bratem Karolem i kolegami z Koła Przyjacielskiego zaangażował się w działalność w organizacji podziemnej Polska Organizacja Powstańcza, a po jej dekonspiracji w Związku Walki Zbrojnej/Armia Krajowa. Aresztowany w czerwcu 1943 r. i osadzony w KL Auschwitz. W obozie tym przebywał do końca okupacji. Po wyzwoleniu podjął pracę księgowego w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej w Rybniku.

*

Bracia Henryk i Karol Miczajkowie, stanowili duet w działalności konspiracyjnej ZWZ/AK w Rybniku. Działali jako konspiratorzy razem, mimo że Henryk – starszy od Karola, zajmował się wywiadem i kontrwywiadem, natomiast Karol ukierunkowany był na działalność charytatywną tj. niesienie wsparcia materialnego rodzinom i pojedynczym Polakom, którym taka pomoc

była potrzebna. Dziedziną tej wspólnej działalności, był nasłuch radiowy, co wobec jednoznacznych zakazów przez okupanta, było dla obu wyjątkowo wielkim zagrożeniem.

Henryk Miczajka był szefem sekcji wywiadu i kontrwywiadu. Wraz z Karolem „zorganizowali" dobry odbiornik radiowy, zainstalowali go w domu swoich rodziców, - ściślej w swoim pokoju, i tam w skrytce pod podłogą przechowywali ów radioodbiornik. Jak wspomina Karol Miczajka „*przeważnie wieczorami, kładliśmy się z Henrykiem na podłodze, wyciągaliśmy ze skrytki radioodbiornik i nasłuchiwaliśmy stacji polsko języcznych BBC lub Radio France. Przy oświetleniu z latarki bateryjnej, notowałem w notesie lub na luźnych kartkach, ważniejsze zdania z tych audycji. Bardzo często tą właśnie drogą Rząd Emigracyjny przekazywał w zaszyfrowanych informacjach instrukcje dla krajowych organizacji i grup ruchu oporu oraz koordynował ich działania. Poprzez nasłuch radiowy odbieraliśmy także informacje o aktualnej sytuacji wojsk hitlerowskich w okupowanej Europie i na froncie wschodnim. Na podstawie takich danych, prognozowano terminy wyzwolenia ziem polskich, oraz opracowywano strategię aktywnego uczestnictwa w walkach wyzwoleńczych - organizacji ruchu oporu działających w kraju. Pomyślne wiadomości dla Polaków - o przegranych bitwach niemieckich wojsk, publikowano w biuletynie konspiracyjnym, podnosząc morale członków podziemia, do których informacje te docierały"*.

Takie więc informacje wynotowywane lub dla większego bezpieczeństwa wyuczone na pamięć, Karol Miczajka przekazywał osobiście albo przez kuriera do redaktorów konspiracyjnych opracowujących ulotki, wspomniane już gazetki i biuletyny informacyjne.

Chyba zbędne jest podkreślanie znaczenia tej działalności dla członków grup konspiracyjnych, ale także dla Polaków nie zorganizowanych w jakiejkolwiek organizacji. Były to bowiem jedyne wiarygodne informacje o tym co dzieje się w świecie, poza jakże zakłamaną propagandą okupanta.

Poza wyżej przedstawioną działalnością, Henryk i Karol Miczajka weszli w posiadanie spisu członków „volksbundu"[105] w Rybniku. Był to wykaz osób o tzw. orientacji „hura patriotów" – Niemców. Zaskoczeni jednak zostali odkrytą rzeczywistością, że na wykazach tych znalazły się nazwiska osób, które wcześniej uważano za przykładnych Polaków, tymczasem okazało się, że osoby te działały na dwie strony. Przed 1939 r. robili wszystko by zasłużyć na opinię wzorowych obywateli polskich, gdy zaś hitlerowcy wkroczyli na ziemię polską, prześcigali się w służalczości wobec hitlerowskich zarządców! Organizacja konspiracyjna ZWZ/AK musiała wobec takich dwulicowców stosować odpowiednie przedsięwzięcia, by byli jak najmniej szkodliwi wobec rdzennej ludności polskiej.

---

[105] „Volksbund" – Der Deutsche Volksbund zur Wahrung der Minderheitsrechte – powstał na Śląsku w 1921 r. jako polityczna reprezentacja Niemców na tym terenie.

Sekcja Henryka Miczajki, zbierała między innymi dokumentację o ważniejszych zakładach produkcyjnych powiatu rybnickiego, w których niemieckie zarządy przestawiły dotychczasową produkcję przemysłową na produkcję broni lub części uzbrojenia dla potrzeb Rzeszy. Dokumentację tę w różny sposób przekazywano za granicę – dla potrzeb aliantów, by niezależnie od unieszkodliwiania takiej produkcji przez własne oddziały partyzancko-sabotażowe, mogły być niszczone przez bombardowanie.

Henryk Miczajka posiadając dużo znajomości wśród Niemców – nie hitlerowców, wykorzystywał je dla zdobywania informacji, które mogły być przydatne dla organizacji ZWZ/AK.

Gdy aresztowano jego brata Karola 12.02.1943 r., Henryk „wyciszył" swoją działalność konspiracyjną. Nie został wraz z bratem aresztowany prawdopodobnie dlatego, że miał mniejszy kontakt ze zdrajcą Janem Zientkiem. Został natomiast aresztowany w tzw. drugim terminie masowych aresztowań członków ZWZ/AK – czyli 28.06.1943 r.

Podczas aresztowania Henryka, dokonano w mieszkaniu Miczajków gruntownej rewizji. Zasobna biblioteka znalazła się na podłodze, a ojciec otrzymał polecenie natychmiastowego jej zniszczenia. Ojciec uchronił jednak znaczną część książek, przenosząc je do pomieszczenia nad chlewikiem i zakopując w sianie.

Po aresztowaniu, przewieziony został na gestapo przy ulicy św. Józefa w Rybniku, a następnie do więzienia śledczego w Mysłowicach. Po bardzo bolesnym w skutkach sposobie przesłuchiwań w tym więzieniu, przetransportowano go do KL Auschwitz. Zapewne miał nadzieję, że w obozie tym będzie nieco lepiej aniżeli w tak znanej katowni Ersatz Polizei – Gefängnis Myslovitz. W Mysłowicach przez cały okres pobytu w zbiorowej celi, przesyconej smrodem i zaduchem, zmuszeni byli siedzieć od świtu do nocy z rękami na kolanach, bez możliwości poruszania się. Dla odmiany, w innej celi więźniowie musieli leżeć cały dzień na brzuchu – na cementowej posadzce. Wprawdzie Henryk znał z różnych przecieków warunki panujące w KL Auschwitz, ale pocieszał się nadzieją, że będą one znośniejsze od tych w Mysłowicach.

Po przetransportowaniu go do KL Auschwitz w dniu 11.03.1944, po przejściu bramy głównej z napisem „ARBEIT MACHT FREI", rozpoczął swój pobyt w obozie od zwyczajowego obowiązku przechodzenia przez czynności rejestracyjne a więc rozebrania się na placu między blokami 26 i 27. Następnie, wpędzony został z innymi więźniami –„zugangami" (nowymi) jak on, do łaźni znajdującej się w bloku nr 26. Po kąpieli, otrzymał obozowy pasiak, na nogi drewniaki, zrobiono mu zdjęcie w trzech pozach i po rejestracji otrzymał numer obozowy 175040. Zaraz po tych formalnościach, przekazano go na trzytygodniowy obowiązkowy okres kwarantanny.

O aresztowaniu brata, Karol Miczajka dowiedział się w liście od rodziców, gdzie „między wierszami" przekazana została ta informacja. Śledził więc jego drogę do KL Auschwitz, a gdy faktycznie Henryk przekroczył bramę

obozu, Karol starał się, by pomóc bratu w uzyskaniu przydziału pracy, mogącej zapewnić jako takie warunki bytu i przeżycia. W ten sposób po wyjściu z bloku kwarantanny, Henryk zatrudniony został na bloku nr 28 – w Häftlingskrankenbau (HKB), natomiast ulokowany był kolejno w blokach nr: 1, 9, 10 aż wreszcie 14.05.1944 r. ulokowany został w Stubie 28 a bloku nr 14, gdzie przebywał do końca pobytu w obozie.

W bloku tym, traktowanym jako blok szpitalny dla więźniów, były też wykonywane eksperymenty medyczne pod nadzorem takich pseudomedyków jak Eduard Wirths (kierujący służbą medyczną w KL Auschwitz, Horst Schumann, Joann Paul Kremer, Emil Kaschub, a pod ich nadzorem wykonywali owe badania i eksperymenty medyczne dr Władysław Dering czy Żyd dr Maximilian Samuel.[106]

Powielam opinię wyrażaną w różnych zeznaniach byłych więźniów, że szpital obozowy określany był jako: *„przedsionek krematorium i poczekalnia do gazu”*. Sama funkcja KL Auschwitz i wielu innych obozów hitlerowskich, miała na celu unicestwianie wszelkiego rodzaju wrogów Rzeszy niemieckiej. Nie nadążano z niszczeniem tych wrogów, a dotychczasowe środki do uśmiercania były stale za mało „wydajne”. Chcę w ten sposób nawiązać do oczywistego faktu, że znajdujące się w obozach punkty szpitalne, niewiele miały wspólnego z niesieniem pomocy cierpiącym, gdyż wyposażenie tych placówek było wyjątkowo ubogie. Nawet najszczersze chęci przyjścia z pomocą więźniom – jaką mogli okazywać pracujący tam lekarze Polacy – także więźniowie, były wręcz niemożliwe z braku opatrunków, lekarstw, niezbędnego wyposażenia ambulatoryjnego. Lekarzy – więźniów, w większości traktowano jako sanitariuszy do niesienia bardzo ograniczonej pomocy chorym współwięźniom. Rany opatrywano bandażami papierowymi, lekarstwa przydzielane dla punktów szpitalnych były niewystarczające tak pod względem asortymentu jak i ilości. Najczęściej były to tabletki przeciwbólowe, aspiryna, tabletki przeciwkaszlowe, węgiel, tanalbina.

Pomijam przytaczanie przykładów o braku podstawowych warunków sanitarnych w tych punktach, o sposobach przetrzymywania w bloku szpitalnym chorych więźniów. Zachorowalność w obozie była z oczywistych powodów tak wielka, że szpitale były stale przepełnione, a często na jednym posłaniu pryczy szpitalnej, leżało i dwóch chorych więźniów. Problem przepełnienia w bloku szpitalnym rozwiązywany był w „naturalny” sposób, gdyż z braku właściwej opieki medycznej i lekarstw, śmiertelność pacjentów była bardzo wysoka. Niezależnie od takiego sposobu „zwalniania” miejsc w szpitalu, dokonywane były częste selekcje, w których szczególnie wsławił się Kremer w obozie macierzystym tzn. KL Auschwitz I. Kremer dokonywał także przeglądu więźniów starających się o przyjęcie do szpitala. Wielu skrajnie wyniszczonych więźniów zabijano dosercowymi zastrzykami fenolu lub wybierano z pośród

---

[106] *Auschwitz Nazistowski Obóz Śmierci,* - rozdział pod redakcją Ireny Strzeleckiej – Eksperymenty (str.84 – 98).

nich „materiał doświadczalny”. Podczas selekcji w bloku szpitalnym, lekarz SS – „pan życia i śmierci”, decydował kto ma już „iść” do gazu lub – … kto za parę dni.

Obozowe warunki sprzyjały wymienionym już pseudonaukowcom medycznym. Mogli w obozach dokonywać różnego rodzaju badania i eksperymenty. W KL Auschwitz wykonywano takie badania w bloku nr 10 i na pierwszym piętrze bloku 28.

Napisałem nieco obszerniej na temat leczenia chorych w KL Auschwitz, gdyż w tym właśnie bloku, otrzymał pracę Henryk Miczajka. Pełnił obowiązki „fertnera” – oddzwiernego, i pracował tam od momentu przyjęcia do obozu aż do ostatnich dni jego funkcjonowania – do stycznia 1945 r.

Czy jednak Jego praca ograniczała się tylko do otwierania drzwi wejściowych do bloku nr 28?

Trudno dzisiaj przytaczać konkrety, gdy wielu byłych więźniów o warunkach pobytu w obozie nie chciało mówić czy pisać po powrocie do swoich rodzin i do wolności. Po latach, czas w jakimś stopniu zabliźnił rany, ale i wymazał wiele wydarzeń z pamięci. Wiadomo jednak, że także w obozie Henryk i Karol Miczajka współpracowali ze sobą by nieść pomoc współwięźniom.

Karol pracując poza obozem w Haus – 7[107], miał bezpośredni kontakt z pracownicą cywilną Heleną Datoń (po zamążpójściu Szpakowa). Osoba ta – jakże zasłużona w pomocy więźniom, po pracy w Haus – 7, „odwiedzała” znajomych aptekarzy w Oświęcimiu oraz jego okolicy i „organizowała” różne medykamenty, które następnego dnia, po przyjściu do pracy, przekazywała Karolowi Miczajce.[108] Karol natomiast, po zakończeniu pracy w Haus – 7, odpowiednio te lekarstwa „na sobie” przymocowywał i wnosił na teren obozu. W obozie cześć lekarstw rozdzielał między współwięźniów, a część przekazywał bratu, który przemycał je na blok szpitalny dla lekarzy – Polaków.

Potwierdzeń tych zdarzeń wysłuchiwałem z ust wielu byłych więźniów, którzy wręcz stwierdzali, że przeżyli dzięki lekarstwom otrzymywanym tą drogą. Gdy natomiast rozmawiałem na ten temat z Karolem Miczajką, umniejszał swoją rolę w zakresie pomocy współwięźniom twierdząc, że robił po prostu to, co mu sumienie nakazywało.

Nie było to jednak zwyczajne kierowanie się nakazami sumienia. To były warunki obozowych rygorów, gdzie za przyłapanie więźnia na przemycie lekarstw – tym bardziej z poza obozu, groziły bardzo surowe konsekwencje, z karą stójki w bunkrach bloku 11-go włącznie. Karol Miczajka nie przyznał mi się do kary jaką jemu wymierzono. Dopiero inny były więzień – Alojzy Fros z Rybnika, opowiedział o karze chłosty jakiej poddany był Karol, po zrewidowaniu go na bramie głównej, i znalezieniu przy nim, przemycanych do obozu rzeczy.

---

[107] Haus–7 – kantyna SS w pobliżu obozu macierzystego KL Auschwitz I.

[108] Potwierdzenie tego faktu w: *Auschwitz 1940-1945*, red. W. Długoborski, F. Piper, Oświęcim-Brzezinka 1995, t.IV, s.125.

Wracając do osoby głównego bohatera tego opracowania – Henryka Miczajki, pomagał jak mógł chorym z bloku nr 28. Częstokroć nawet ukrycie więźnia, by podczas selekcji nie został skierowany „do gazu”, miało przecież niebagatelne znaczenie. Trudno wyszczególniać tu i inne gesty pomocy, ale była ona niewątpliwie na miarę jego możliwości niesiona chorym, aż do końca funkcjonowania takiej fabryki śmierci, jaką był KL Auschwitz.

Gdy wieczorem 18.01.1945 r. sformowano kolumnę więźniów, którzy jako ostatnia grupa mieli opuścić obóz, znaleźli się w niej także Henryk i Karol Miczajka. W obozie pozostać mieli tylko więźniowie niezdolni do marszu, a więc chorzy, skrajnie wyczerpani, oraz kilku więźniów, którzy postanowili pozostać z chorymi.

Śnieg pokrywał plac apelowy i wszystko dookoła. Było bardzo zimno, więźniowie marzli czekając na polecenie wymarszu. Stali przygotowani do wyjścia, gdy niemal tuż przed bramą Henryk podszedł do brata i powiedział: *„Karol, ja nie dam rady iść, ja zostaję”*. Uściskali się serdecznie na pożegnanie, gdyż nie wiedzieli, czy się jeszcze zobaczą. Po chwili Henryk przesunął się w głąb obozu – między więźniami stojącymi w kolumnie, i wrócił na blok 28 do chorych, którymi tak troskliwie się opiekował. Jak wspominał Karol Miczajka, bardzo mocno przeżywał rozstanie z bratem, wychodził bowiem z obozu ze świadomością, że esesmani wymordują wszystkich którzy w obozie zostali, aby nie zostawić świadków swoich zbrodni.

Henryk po około trzech dniach przebywania w obozie i upewnieniu się, że esesmani chorych nie wymordują, a on sam niewiele może im już pomóc, wraz z kilkoma lżej chorymi więźniami wykorzystał okoliczność, że w przewodach ogrodzenia nie było już prądu a także fakt, że obóz w nocnej porze nie był tak dobrze pilnowany i oświetlony. W jakiś sposób zdobyli nożyce do cięcia drutu, rozcięli pod osłoną nocy druty i wydostali się poza ogrodzenie. Po oddaleniu się na bezpieczną odległość (od obozu), rozproszyli się by nie zostać przyłapanymi przez nadal czujnych funkcjonariuszy niemieckiej żandarmerii lub jakichś fanatycznych volksdeutschów, którzy w każdych warunkach mogli być groźni dla więźniów – uciekinierów.

Henryk Miczajka, przedostał się w okolice Bierunia Starego i Chełmka – do miejscowości Kopciowice. Został przygarnięty przez jakąś rodzinę, gdzie otrzymał schronienie, cywilne ubranie i wyżywienie. Długo jeszcze po wyzwoleniu utrzymywał serdeczny kontakt z tą rodziną. Powrócił do domu w kwietniu 1945 r., a po rekonwalescencji, podjął pracę w Miejskich Zakładach Technicznych w Rybniku, bardzo aktywnie działał w ZBoWiD-zie.
Zmarł 8.06.1966 r., spoczywa na rybnickim cmentarzu.

Nie życzcie mi szczęścia
dlatego, że miałem szczęście
przeżyć

Czym jest życie
po zmasowanej śmierci?
Dlaczego ciąży na nim
wina niewinności?
Wina wzajemna
jest tak
ciężka
jak wina zabójców
jak ich zbrodnie
usprwiedliwione
odrzucone

Dlaczego tak często
muszę umierać
za to
że tam
nie umarłem?

wiersz: **TEN, KTÓRY PRZEŻYŁ OŚWIĘCIM**
autor: Erich Fried

MICZAJKA KAROL, pseud. „Jaskółka”, „Akwamaryn”,
Więzień KL Auschwitz nr 108627, KL Mauthausen nr 118094, KL Melk, KL Ebensee.

MICZAJKA KAROL, pseud. „Jaskółka", „Akwamaryn",

Rozpocznę niniejszy rozdział od rozważania o charakterze filozoficznym. Przedziwną bowiem refleksję wywołał we mnie artykuł Szymona Laksa *Gry oświęcimskie*. Autor przeżył obóz KL Auschwitz, i tak to uzasadnia:

[...] Uszedłem z życiem. Czemu to zawdzięczam? Nie musiałem wyzbyć się ani jednej pospolitej cnoty ludzkiej, a przecież przetrwałem. Nie ulega dla mnie kwestii, że zawdzięczam to nieskończonej ilości cudów, a również, może przede wszystkim, zetknięciu się z kilkoma rodakami, obdarzonymi ludzką twarzą i ludzkim sercem. A było tego zastraszająco mało. Dokoła nas toczyła się między więźniami bezustanna, zaciekła walka o zwierzęcy byt, o kromkę chleba, o ogarek papierosa, o nożyk do golenia, o proszek aspiryny, o igłę i nici, o łyk wody pitnej.[...][109]

Zainteresowanie moje powyższym wywodem wynika stąd, że podczas spotkań i rozmów z byłymi więźniami, którzy przeżyli piekło obozów, którym udało się wrócić do swoich najbliższych, wyczułem u nich jakąś dziwną niechęć do szczegółowych wypowiedzi na temat obozowych przeżyć. Nie było to podyktowane zanikiem pamięci, wydaje mi się, że zrodziło się w ich podświadomości poczucie winy spowodowane faktem przeżycia, tym, że im się udało, kiedy tylu pozostało tam na zawsze! Podobnie twierdzi wielu moich znajomych, z którymi rozmawiałem na ten temat, a którzy również przebywali w środowisku byłych więźniów. Czyż może być coś bardziej absurdalnego, coś bardziej przerażającego? Co jest powodem takiej postawy?

Artykuł Laksa, w którym tak jednoznacznie wyartykułowana jest sprawa „cudu przeżycia", spowodował u mnie chęć przedstawienia innego, niemniej konkretnego przykładu. Mój rozmówca – Karol Miczajka – także próbował odpowiedzieć na pytanie, jak możliwe było przeżycie obozowego piekła:

Przyczyn jest wiele. Pojedyncze nie mogą stanowić odpowiedzi na to pytanie, a także istnienie tych przyczyn nie stanowi gwarancji przeżycia. Skwitowanie: „przypadkiem" lub „zbiegiem okoliczności" jest za proste i zbyt lakoniczne.

Wierzący w Boga i głęboko religijni, odnoszący wszystko do ingerencji Bożej Opatrzności, również upraszczają zagadnienie.

Prawidłowa – według mego zdania – odpowiedź może być taka: właściwa i godna człowieka postawa, solidarność i wzajemna pomoc koleżeńska, oraz współdziałanie z łaską Bożą. A do tego hart ducha, niewzruszalność własnego systemu moralnego, zachowanie godności człowieczej w znoszeniu największych przeciwności, niezłomna wiara w klęskę Niemiec i ostateczne zwycięstwo Polski, rozwinięty instynkt samozachowawczy, a także utrzymywanie czystości osobistej, unikanie możliwości zachorowania, wykorzystywanie pewnych, a potrzebnych umiejętności zawodowych, znajomości języka niemieckiego, trochę szczęścia na co dzień, a w końcu cenna pomoc

---

[109] Szymon Laks, *Gry oświęcimskie*, „Pro Memoria" 1998, nr 9, s. 105-106.

rodziny (materialna w formie paczek i moralna w formie listów z wyrazami otuchy).

Przykłady takich postaw i zachowań, które staraliśmy się w sobie wyrabiać i innym podpowiadać, a także innych naśladować, oto te piękne kwiaty, które wyrastały mimo panujących wokoło warunków […].[110]

Karol Miczajka pseud. „Jaskółka", „Akwamaryn",
Jest jednym z tych, którzy przeżyli piekło obozów KL Auschwitz, KL Mauthausen, KL Melk i KL Ebensee,. Przez wrodzoną skromność niewiele dziś mówi o tych „pięknych kwiatach" – pomoc, jaką w miarę swoich możliwości okazywał innym współwięźniom w obozach w których przebywał, określa jako powinność, o której nie warto mówić!

* * *

Urodził się 15.07.1919 r. w Rybniku. W 1937 r. ukończył gimnazjum w Rybniku i rozpoczął studia ekonomiczne w Krakowie. Wybuch wojny zmusił go do ich przerwania, ale przez zamiłowanie do ekonomii także w czasie okupacji dokształcał się w zakresie księgowości na kursach korespondencyjnych.

Ojciec Miczajki był przed wojną listonoszem i z racji wykonywanego zawodu znał w Rybniku wielu ludzi. Wśród jego znajomych był także Niemiec o nazwisku May, jeden z wielu „nieszkodliwych" mieszkańców Rybnika narodowości niemieckiej. Był on właścicielem sklepu w centrum miasta - Rynek nr 7. Kiedy rozpoczęła się okupacja, mógł oczywiście jako Niemiec dalej prowadzić swą działalność. Dzięki znajomości ojca z Mayem Karol Miczajka przyjęty został u niego do pracy do prowadzenia ksiąg buchalteryjnych.

Kiedy tylko uporał się ze sprawami zabezpieczenia środków utrzymania, natychmiast zaangażował się w działalność przeciwko okupantowi. Wraz ze swoim kolegą z gimnazjum, Gerardem Pettersem, wstąpił do Polskiej Tajnej Organizacji Powstańczej (PTOP), powołanej do życia na początku 1940 r. przez harcerzy XIII drużyny oraz powstańców śląskich z Gotartowic i okolicy. Pierwszym dowódcą PTOP był Alojzy Frelich, natomiast jego zastępcami byli Paweł Holek i Franciszek Buchalik.

---

[110] Karol Miczajka, *Trochę wspomnień*, Księga Pamiątkowa 75-lecia Państwowego Gimnazjum i Liceum w Rybniku 1922-1997, wydana staraniem Komitetu Obchodu 75-lecia Państwowego Gimnazjum i Liceum w Rybniku w 1997 roku, s. 168-169.

Bardzo wielkim przeżyciem dla młodego patrioty było zaprzysiężenie. Miczajka do dziś bardzo dobrze pamięta okoliczności składania przysięgi. Ceremonia ta odbyła się w mieszkaniu Pettersa. Wszedł do ciemnego pokoju, w którym znajdowało się dwóch świadków wprowadzających. Nie widział ich, gdyż stali za maskującą zasłoną, a pomieszczenie oświetlały jedynie płomyki dwóch świeczek. Na środku pokoju stał krzyż. Starszy stażem członek PTOP wypowiadał rotę przysięgi, a Karol powtarzał za nim. W końcowej części ceremoniału usłyszał potwierdzenie przyjęcia do organizacji i ostrzeżenie o konsekwencjach w przypadku zdrady. Tego samego dnia przysięgę składali też jego koledzy Stanisław Wolny i Gerard Petters.

Gdy Karol Miczajka dowiedział się o funkcjonowaniu organizacji konspiracyjnej Związku Walki Zbrojnej, mającej taki sam cel działania jak PTOP, przeniósł się w listopadzie 1940 r. za zgodą swoich dotychczasowych władz do nowej organizacji. Rotę ponownie składanej przysięgi wypowiadał przed Stanisławem Sobikiem.

Miczajka zajmował się w PTOP działalnością charytatywną, więc w ZWZ zlecono mu podobne zadanie. Przydzielono go do komórki cywilno-społecznej. Organizowała ona pomoc dla rodzin, których członkowie – żołnierze ZWZ – zostali zamordowani przez okupanta lub osadzeni w więzieniach i obozach koncentracyjnych. W zakres pomocy wchodziło m. in. rozdzielanie pieniędzy, lekarstw, kartek żywnościowych oraz kartek odzieżowych. Głównym zadaniem Miczajki było zbieranie datków od ofiarodawców i przekazywanie ich potrzebującym. Wykaz darczyńców doręczał redakcji drukowanego konspiracyjnie biuletynu informacyjnego ZWZ, w którym publikowano słowa wdzięczności dla nich i podawano ich inicjały oraz wysokość datków.

Miczajka wykonywał także inne zadania. Niemiec May, u którego pracował, powołany został przez władze okupacyjne na stanowisko kierownika propagandy (Propagandaleiter) i wydawał zezwolenia upoważniające do kupna oraz posiadania radioodbiorników. Było sprawą oczywistą, że zezwolenia takie otrzymać mogli tylko Niemcy. Pozwolenie wystawiane było na odpowiednim druku i zatwierdzane przez podpis Maya. Miczajka miał dostęp do tych druków i do pieczęci, potrafił też doskonale podrabiać podpis swego pracodawcy. Wykradał więc formularze zezwoleń i wystawiał je członkom ZWZ oraz innym znajomym Polakom. Poza tym Miczajka, tak jak wszyscy w organizacji, zdobywał broń i materiały wybuchowe oraz brał udział w akcjach sabotażowych.

Gdy rozmawiałem z Karolem Miczajką o Janie Zientku – konfidencie gestapo, przypomniał sobie, że spotkał go na jednym ze spotkań „grupy piątkowej" w naszym mieszkaniu na „Maroku". Rozpoznał go także na zdjęciu wykonanym z okazji Święta Kolejarza Polskiego. Zdrada Zientka doprowadziła do ujęcia większości osób związanych z ZWZ/AK, w tym także Karola Miczajki.

Aresztowano go 12.02.1943 r. około godziny 8:00 w sklepie Maya. Gdy przyszedł do pracy, czekał tam już na niego funkcjonariusz gestapo, Mańka.

Znał Miczajkę dobrze, gdyż niejednokrotnie widywali się w sklepie Maya. Mańka przychodził tu często na koleżeńskie pogawędki z właścicielem, czasem też wymieniał z Karolem kilka grzecznościowych słów. Tego jednak dnia oświadczył Miczajce, że jest aresztowany, założył mu na ręce kajdanki i tak przeszli do ulicy Zamkowej, gdzie przy chodniku zaparkowany był samochód, w którym siedział drugi gestapowiec.

W czasie jazdy na gestapo Miczajka przypomniał sobie z przerażeniem, że w portfelu między osobistymi dokumentami schowany miał zaszyfrowany wykaz ofiarodawców ostatnich darowizn, który po pracy dostarczyć miał koledze redagującemu informacje w biuletynie organizacyjnym. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeżeli lista dostanie się w ręce gestapowców, po rozszyfrowaniu może się stać dla nich spisem osób do aresztowania pod zarzutem finansowego wspierania ruchu oporu. Zaczął zastanawiać się, jak zniszczyć dokument, ale podczas jazdy nie mógł nic zrobić. Dopiero po przyjeździe na gestapo pojawiła się ku temu sprzyjająca okoliczność. Kiedy wprowadzano go do wnętrza budynku, niemal otarł się o wybiegających z niego gestapowców biorących udział w pościgu za zbiegłym więźniem Janem Podleśnym.[111] Uciekał on w pola w kierunku lasów widocznych za dzielnicą „Maroko". Gestapowcy pobiegli za uciekinierem, a Miczajkę, który stał się dla nich problemem drugorzędnym, wepchnęli do jakiejś komórki na parterze. Kazali mu położyć się na podłodze i zamknęli drzwi od zewnątrz na klucz.

Miczajka momentalnie skoncentrował się nad sposobem wyciągnięcia portfela z wewnętrznej kieszeni marynarki i pozbycia się niebezpiecznego dokumentu. Wprawdzie skuty był kajdankami, ale założone je miał z przodu, co dawało przedsięwzięciu pewne szanse powodzenia. Po kilku próbach udało mu się wyciągnąć portfel i wydobyć z niego wykaz. Natychmiast go podarł, ale nie wiedział, co zrobić z resztkami papieru. Jedyną rozsądną decyzją było zjedzenie ich. Papier był z gatunku powielaczowego, więc ciężko było go rozmiękczyć śliną i połknąć. Gdy wreszcie udało mu się z tym uporać, wyłonił się nowy problem – jak wsadzić portfel z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki. Ponieważ kilkakrotne próby nie odniosły skutku, a przy drzwiach dyżurki usłyszał szczęk klucza w zamku, wsadził portfel pod pachę. Po chwili wszedł gestapowiec. Kazał Miczajce podnieść się z podłogi i szarpnął go za ramię, aby szedł przed nim. Portfel wysunął się wtedy spod pachy i spadł na podłogę. Miczajka przestraszył się, że gestapowiec będzie coś podejrzewał. Ten jednak w zupełnie normalnym odruchu podniósł portfel i wsadził mu go do zewnętrznej kieszeni marynarki. Następnie gestapowiec zaprowadził Miczajkę do piwnicy, zdjął mu z rąk kajdanki i wepchnął do pomieszczenia w którym przetrzymywano kilkadziesiąt wcześniej aresztowanych członków - żołnierzy ZWZ/AK.

Podczas naszych rozmów, Karol Miczajka wiele opowiadał mi o ich dalszym losie – o tym, jak przez kolejne dni do piwnicy gestapo wprowadzano

---

[111] Jan Podleśny został podczas ucieczki postrzelony w nogę. Na Gestapo nikt mu jej jednak nie opatrzył, w takim też stanie przewieziony został do KL Auschwitz, gdzie nadal nie udzielono mu opieki lekarskiej. Tak zaniedbana noga źle się później zrosła – była krótsza i krzywa.

następnych aresztowanych, jak ze związanymi rękami w nadgarstkach ładowano ich na skrzynie samochodów ciężarowych aby przetransportować do KL Auschwitz. Wspominał, że w lutym 1943 r. była wyjątkowo mroźna zima, a samochody, którymi jechali, nakryte były tylko plandekami. Na szczęście siedzieli na długich, prowizorycznych ławach ściśnięci jeden obok drugiego, dzięki czemu mogli się wzajemnie ogrzewać. Mówił też o pierwszych wrażeniach, jakie wywołał w nim obóz, oraz o warunkach na bloku nr 2. Potwierdzał tym samym informacje, które udało mi się uzyskać od innych byłych więźniów KL Auschwitz. Najbardziej jednak utkwił Miczajce w pamięci widok więźniów przyprowadzonych z przesłuchań drugiego dnia – zapamiętał wygląd skatowanego Stanisława Sobika. Jak mówił, przerażająca była świadomość, że przez takie piekło będą musieli przejść wszyscy leżący na piętrze olbrzymiej sali bloku nr 2. Klika dni po przyjeździe do KL Auschwitz także jego wezwano na śledztwo.

Wraz z innymi wyczytanymi osobami Miczajka zaprowadzony został przez wartowników do baraku przesłuchań. Przez całą drogę esesmani popychali i poszturchiwali więźniów. W baraku wszyscy czekali na indywidualne wezwanie. Kiedy Miczajka usłyszał swoje nazwisko, podszedł do drzwi, przy których je odczytano, i natychmiast brutalnie wepchnięty został do wnętrza pomieszczenia. Za stołem, na którym leżały jakieś papiery, siedział Mańka. Kątem oka Miczajka zauważył w rogu pokoju podwyższony, podłużny taboret. Przed stołem ustawione było krzesło. Mańka wskazał mu ręką, żeby usiadł.

Przesłuchanie Miczajki zaczęło się dość dziwnie, gdyż Mańka wymownym gestem dał znak asystującym esesmanom aby wyszli. Gdy zostali sami, zaczął mówić do Miczajki ugrzecznionym tonem: „Widzi pan, pochodzimy z tych samych stron, pan jest z Rybnika – ja też, pan urodził się w Raciborzu – ja też, skończył pan gimnazjum i ma maturę – ja też, a teraz siedzimy po przeciwnych stronach… Dlaczego?”. Na tak postawione pytanie Miczajka odpowiedział odważnie: „Pan się pyta dlaczego? Pan sobie może doskonale odpowiedzieć na to pytanie”. Prawdopodobnie z powodu układów Mańki z Mayem jego przesłuchanie – przynajmniej w tej pierwszej fazie – nie miało tak brutalnego charakteru, jak śledztwa innych więźniów. Jednak po pewnym czasie, gdy Miczajka wciąż wypierał się jakichkolwiek związków ze zorganizowanym ruchem oporu, Mańka wyszedł z pokoju, a weszli jego dwaj asystenci. Ich taktyka przesłuchiwania była zupełnie inna – pytali wprawdzie o to samo, co Mańka, ale kiedy nie przyznawał się do stawianych mu zarzutów, bili go bykowcem po plecach, aby go zmusić do odpowiedzi zgodnych z ich oczekiwaniami. Po godzinie tortur esesmani wyszli i wrócił Mańka. Miczajka – jak mówił – odczuwał coś w rodzaju rozgoryczenia, że Mańka zostawił go na pastwę tych oprawców, ale po powrocie gestapowiec jakby nie zwracał uwagi na zmieniony wygląd oraz ton głosu więźnia i kontynuował przesłuchanie.

Oczywiście już wcześniej Miczajka rozważał sposób obrony, która polegać miała na tłumaczeniu się, że nie miał kontaktu z żadną organizacją ruchu oporu czy jej członkami, lecz że spotykał się z koleżeńskich pobudek z

przyjaciółmi z gimnazjum – z Frosem, Kożdoniem, Sobikiem i innymi osobami. Niestety po jakimś czasie Mańka znowu wyszedł, a weszli esesmani. Miczajka nie zmieniał wersji swoich zeznań, zatem i bicie nie ustawało. Musiał teraz przewiesić się przez podwyższony taboret, który zauważył wcześniej w kącie pokoju, po czym esesmani bili go po plecach i pośladkach dopóki nie zemdlał z bólu. Ocknął się dopiero wtedy, gdy oblali go lodowatą wodą. Tego jednak dnia, więcej go już nie przesłuchiwano i gdy bardzo osłabiony podniósł się z podłogi, asystenci owi wyprowadzili go na korytarz, gdzie musiał czekać, aż skończą się przesłuchania innych osób.

Miczajkę wzywano do baraku przesłuchań jeszcze kilka razy. Jak przyznał w rozmowach ze mną, Mańka prawdopodobnie uwierzył w jego tłumaczenia i to dzięki niemu przebrnął jako tako przez śledztwo – z łagodniejszym dla siebie wyrokiem. Dnia 16.03.1943 r. po raz ostatni musiał się stawić przed Mańką. Miał wtedy podpisać protokół końcowy z przesłuchania. Przedtem jednak mógł zapoznać się z jego treścią i nanieść swoje poprawki. Jak wspomina po latach, zachował się wtedy niemal bezczelnie, gdyż czytając protokół zwracał Mańce co chwilę uwagę na zdania, z którymi się nie zgadzał. Stwierdzał wręcz: „Ja tego nie powiedziałem!”. Mańka zdenerwował się jego zachowaniem, ale wetknął do maszyny nowy arkusz papieru i przepisał całość poprawiając kwestionowane przez Miczajkę fragmenty.

Po podpisaniu końcowego protokołu Miczajka wraz z grupą 62 więźniów przekazany został na pobyt w obozie. W grupie tej znalazły się także osoby z transportu rybnickiego – m. in. Stefan Kuczaty, Karol Stacha, Witold Kaniewski, Hieronim Kolonko oraz Jan Podleśny.

Na bloku nr 26 Miczajka przeszedł obowiązkową procedurę rejestracji, w czasie której wytatuowano mu na ręce numer obozowy 108627. Następnie skierowany został na blok kwarantanny, gdzie spotkał się z wcześniej przekazanymi tam Stanisławem Sobikiem i Franciszkiem Ogonem. Od czasu aresztowania i wspólnego pobytu w piwnicy gestapo w Rybniku – czyli od miesiąca – była to ich pierwsza okazja do rozmowy. Sobik i Ogon na trzytygodniowy okres kwarantanny przekazani zostali już 9 marca, a więc tydzień wcześniej niż Miczajka, dlatego też po dwóch tygodniach wspólnego pobytu na bloku znów ich rozdzielono. Miczajka przebywał jednak na kwarantannie krócej niż przewidywał regulamin, gdyż w wyniku przeziębienia dostał ostrego zapalenia płuc i przeniesiony został na blok szpitalny. Dwa lub trzy dni później trafił tam też Władysław Malinowski, jego znajomy z organizacji z Rybnika. Leżeli obok siebie. Malinowski był chory na tyfus i po kilku dniach zmarł na rękach Miczajki.

Kiedy Miczajka wychodził ze szpitala, spotkał swojego dawnego kolegę Józefa Hanusza. Znali się od czasów szkoły powszechnej, razem też uczyli się w gimnazjum. Kiedy Miczajka rozpoczął studia ekonomiczne w Krakowie, spotkali się znowu. Podczas studiów uczęszczał na ćwiczenia wojskowe, na których właśnie Hanusz w stopniu plutonowego szkolił studentów. W obozie Hanusz był już długo, o czym świadczył jego niski numer – 1126.

Spotkanie to miało wielki wpływ na dalsze losy Miczajki w obozie. Jak się zresztą później dowiedział, nie było ono przypadkowe, gdyż poczciwy Hanusz szukał ludzi z Rybnika, ponieważ chciał im pomagać. Nie była to jedyna osoba, której Miczajka do dziś wdzięczny jest za okazaną życzliwość w obozie. W rozmowach ze mną często wspominał także innych kolegów: Jana Gembczyka, Gerarda Pettersa i Alojzego Wyglendę, z którymi rozpoczynał działalność konspiracyjną w PTOP. Jako więźniowie starsi stażem wiedzieli, jak w obozowej rzeczywistości pomóc można komuś, kto swój byt więzienny dopiero rozpoczynał.

Józef Hanusz miał znajomości w obozowym wydziale zatrudnienia. Dzięki niemu Miczajka po opuszczeniu bloku szpitalnego dostał się na blok 16a i skierowany został do pracy w dwuosobowym komandzie „Gerätekammer". Wraz z więźniem o nazwisku Duda konserwował w składzie gospodarczym wyroby ze skóry, tj. buty, siodła końskie i rowerowe, itp., a co najważniejsze – pracował bez nadzoru. Do „Stabsgebäude"[112], w którym mieścił się skład, doprowadzani byli przez esesmana w randze SS-Unterscharführera o nazwisku Barth - Austriaka, który z zawodu był fryzjerem. Po wprowadzeniu ich do pomieszczenia magazynu zamykał od zewnątrz drzwi na klucz i szedł do kantyny lub w inne miejsce, gdzie spędzał czas według własnego upodobania. Nie maltretował ich i nie pytał, co robili przez cały dzień. Oni zaś zostawali sami i nie musieli się troszczyć o to, by zdawać komukolwiek sprawę z wykonanej pracy, dlatego też po zakończeniu jednego cyklu konserwacji rozpoczynali zadanie od nowa.

W rozdziale poświęconym Stanisławowi Sobikowi była już mowa o tym, jak Miczajka z pomocą Hanusza ściągnął do swego komanda Sobika. Dodam tu tylko, że do dziś okres ich wspólnej pracy i pobytu na bloku wspomina Miczajka jako coś wyjątkowego, niemal z pogranicza doznania metafizycznego. Najdobitniej dał temu wyraz w artykule *Wspomnienie towarzysza niedoli*[113], napisanym po szczęśliwym powrocie z obozu. Wspólna niedola Karola Miczajki i Stanisława Sobika trwała od końca maja do 24.06.1943 r. Wtedy to Sobika przeniesiono na blok jedenasty, gdzie następnego dnia został wraz z innymi więźniami rozstrzelany.

* * *

Po pewnym czasie przysłana została z Berlina decyzja w sprawie Karola Miczajki. Dokument ten – rozkaz uwięzienia ochronnego (Schutzhaftbefehl) – musiał potwierdzić własnoręcznym podpisem. Zanim jednak do tego doszło, spotkały go nieprzyjemne przeżycia.

Niedługo po śmierci Stanisława Sobika Miczajka przeniesiony został do komanda „Kartoffelkeller", w którym zajmował się księgowością w magazynie podlegającym kuchni obozowej. Dnia 13 lipca wieczorem powiadomiony został

---

[112] Był to budynek HWL (Hauptwirtschaftslager) – pomieszczenie tuż za ogrodzeniem – dosyć długi budynek z wieżyczką Hauptwirtschaftslager/Traupenwirtschaftslager (TWL).

[113] Przedruk tego artykułu w rozdziale o Stanisławie Sobiku.

przez blokowego, że „jutro zaraz rano” ma się zgłosić do Wydziału Politycznego. Wezwania takie kojarzyły się zazwyczaj z czymś niebezpiecznym, więc poszedł do Jana Gembczyka, żeby dowiedzieć się, o co chodzi. Gembczyk znał bardzo dobrze język niemiecki i zatrudniony był w sekretariacie tego wydziału. Niestety nie widział żadnych dokumentów w sprawie Miczajki i nie wiedział, dlaczego go wezwano.

Po bezsennej nocy stawił się do wyznaczonego bloku, gdzie wraz z innymi więźniami czekał na wezwanie do odpowiedniego funkcjonariusza SS. Około godziny 13:00 oświadczono im, że mają wracać do swoich baraków i stawić się następnego dnia. Po powrocie na blok spotkał się z Hanuszem. Powiedział mu o złych przeczuciach i poprosił, aby – w razie, gdyby stamtąd nie wrócił – przekazał jego rodzicom pozdrowienia i słowa pocieszenia. Hanusz uspakajał kolegę jak mógł, ale… kolejną noc Miczajka nie mógł spać ze zdenerwowania.

Dnia 14 lipca, w przeddzień swoich urodzin, stawił się ponownie w wyznaczonym bloku. Tym razem stanął przed znanym z okrucieństwa SS-Untersturmführerem Maximilianem Grabnerem. Wchodząc do biura zauważył, że Grabner trzymał jego dokumenty w jednej ręce, a drugą podpisywał jakieś papiery, które podawał mu stojący obok esesman. Zwracając się do Miczajki Grabner snuł wywody w rodzaju: „…jesteście bandą sabotażystów, zbrodniarzy mordujących Niemców, a ukrywacie się pod zawodami buchalterów…”.

W pewnym momencie do pomieszczenia wszedł esesman o nazwisku Kreiner, który z zawodu był ekonomistą. Znając zapewne jego wykształcenie, Grabner zwrócił się do niego ze słowami: „Niech go pan przeegzaminuje z tej księgowości – zobaczymy, jaki z niego jest buchalter”. Kreiner zapytał Miczajkę, jaka jest różnica między kontami bilansowymi a kontami wynikowymi. Po otrzymaniu bardzo fachowej odpowiedzi Kreiner okazał większe zainteresowanie osobą Miczajki, które niedługo potem zaowocowało odczuwalnymi dla niego zmianami.

Zorientował się bowiem Miczajka, że od tego dnia wobec jego osoby czynione były zabiegi związane z przeniesieniem go do innej pracy. Szef kuchni, u którego dotychczas prowadził księgi buchalteryjne, był z niego bardzo zadowolony i interweniował, aby Miczajka pozostał w jego komandzie. Nie pomogły jednak żadne starania, gdyż decyzję podjęły wyższe władze obozowe. Miczajkę przeniesiono do komanda „Kantinenverwaltung” w znajdującym się poza obozem „Haus – 7”. Pracowało z nim jeszcze trzech innych więźniów i trzy Żydówki z Czech. Komando to zajmowało się centralną księgowością całego kompleksu usługowego dla obozu, a więc piekarń, mleczarń, młynów, zakładów przetwórstwa mięsnego, itd.

W nowym miejscu pracy Miczajka stał się bardzo ważnym ogniwem w grupie zajmującej się przemycaniem leków do obozu. Helena Datoń (po zamążpójściu Szpakowa), pracownica cywilna „Haus – 7”, zbierała lekarstwa oraz szczepionki z różnych aptek w Oświęcimiu i okolicy, a następnie

przekazywała je w miejscu pracy Miczajce.[114] On zaś wracając z „Haus – 7" wnosił leki na teren KL Auschwitz, skąd więźniowie-kurierzy rozprowadzali je między schorowanych więźniów w obozie macierzystym i w jego podobozach.

Należy uświadomić sobie, jak niebezpieczna była to działalność – w przypadku przyłapania więźnia na przemycaniu lekarstw groziła kara śmierci. Leki, które były przeważnie w oryginalnych, szklanych opakowaniach lub kartonikach, trzeba było przenosić przez bramę główną i inne posterunki SS. Każda wypukłość w kieszeniach spodni czy bluzy mogła wzbudzić podejrzenie i spowodować zrewidowanie więźnia. Miczajka ukrywał opakowania z lekami pod paskiem spodni, przywiązywał je do nóg lub wsadzał pod ściągacze skarpet. Na szczęście Opatrzność czuwała nad nim, gdyż przenosząc lekarstwa nie wpadł przy żadnej kontroli, ani też żaden z więźniów przyłapanych z lekami nie zdradził, od kogo je dostał. Dzięki Miczajce lekarstwa otrzymywała także żona Stanisława Sobika, Zofia, przebywająca w Birkenau. W rozmowie ze mną stwierdziła, że dzięki otrzymywanym lekarstwom przetrwała obóz bez poważniejszych chorób i wróciła w 1945 r. do domu i do swoich dzieci.

* * *

Rozmówca mój jest osobą bardzo skromną, nie chciał mówić o innych formach wspierania współtowarzyszy obozowej niedoli. Traktował to, co robił, jako oczywisty obowiązek pomocy współwięźniom, mimo, że były to przedsięwzięcia niebezpieczne, w których stale ryzykował życiem.

Na warunki pracy Karol Miczajka nie narzekał, były bowiem znośniejsze od tych, w jakich pracowali inni więźniowie. Kiedy jednak wracał z „Gerätekammer" czy „Haus – 7" do obozu, traktowany był tak samo jak wszyscy. Otrzymywał tak samo małą porcję nędznego jedzenia, musiał wystrzegać się bicia i kopniaków rozdawanych przez esesmanów i funkcyjnych pod byle pretekstem. Obozowa rzeczywistość nie szczędziła więźniom przykrych – czy wręcz upiornych – odczuć psychicznych i fizycznych.

Więźniowie jedli obiad po powrocie z pracy do obozu około godziny 15:00 lub 16:00, natomiast około 17:00 musieli uczestniczyć w apelu wieczornym, na którym sprawdzano stan ilościowy wszystkich komand. Liczba więźniów musiała się zgadzać, dlatego komanda, które pracowały poza obozem, musiały przynosić do obozu zwłoki zmarłych lub zakatowanych współtowarzyszy. Bardzo uciążliwe były apele, gdy stwierdzono czyjąś ucieczkę lub z jakiegoś innego powodu nie można było doliczyć się stanu. Niezależnie od pogody trzeba było wówczas stać na placu apelowym przez kilka godzin, a czasem nawet przez całą noc, po czym rano wszyscy musieli iść do pracy. Ucieczki pojedynczych więźniów lub całych grup zdarzały się nagminnie, mimo że schwytanym groziła śmierć. Na pokazowych apelach karani byli surowo wtedy także inni więźniowie pod zarzutem pomocy w ucieczce. Władze

[114] Potwierdzenie tego faktu w: *Auschwitz 1940-1945*, red. W. Długoborski, F. Piper, Oświęcim-Brzezinka 1995, t. IV, s. 125.

obozowe zakładały bowiem, że współwięźniowie wiedzieli o planowanej ucieczce i nie zgłosili tego funkcyjnym lub esesmanom.

Codziennie znoszono zwłoki do kostnicy obozowej, często też odbywały się selekcje w salach szpitala obozowego i w bunkrach bloku jedenastego. Wybranych nieszczęśników kierowano albo na rozstrzelanie, albo do komory gazowej. Ileż ironii zawiera rozkaz komendanta KL Auschwitz Rudolfa Hössa, aby esesmani zawiadomili więźniów, żeby dnia 28 września nie spożywali żadnych odpadków żywnościowych, gdyż na całym terenie obozu i obszarach do niego należących rozłożona zostanie trucizna przeciw szczurom! Widać z tego, jak dobrze poinformowany był o sposobach dożywiania się więźniów. Jakąż wybiórczą troskliwość okazywał martwiąc się, że mogą otruć się trucizną na szczury – kiedy tysiące więźniów ginęło w komorach gazowych lub z rąk esesmanów…

Gdy przeglądałem książkę Danuty Czech *Kalendarz wydarzeń w KL Auschwitz*, porównałem opisane tam z wielką skrupulatnością wydarzenia z tym, co opowiadał mi Karol Miczajka. Okazało się, że większość przekazanych przez niego – naocznego świadka – informacji identyczna jest z zapisami w tej książce. Dla porządku pozwolę sobie przedstawić chronologicznie to, co opowiadał Karol Miczajka, uzupełniając niektóre fakty bardziej szczegółowymi danymi z książki Danuty Czech.

W obozie macierzystym, oprócz bloku nr 24, w którym mieścił się dom publiczny, był też inny blok wypełniony kobietami – blok nr 10. Przebywały tam piękne dziewczyny, w większości Żydówki. Pod kierownictwem lekarza SS prof. Clauberga przeprowadzano na nich doświadczenia z zakresu sterylizacji. Na oddziale tym znajdowało się przez cały okres jego istnienia przeciętnie 270 więźniarek. W maju 1944 r. pracownię tę przeniesiono do jednego z nowo wybudowanych bloków na terenie tzw. „przedłużenia obozu" (Schutzhaftlagererweiterung), tj. obozu kobiecego w macierzystym obozie.

W połowie listopada 1943 r. zmieniło się kierownictwo obozu. Stanowisko komendanta przejął po Hössie SS-Obersturmbannführer Artur Liebehenschel. Złagodzone zostały w związku z tym niektóre przepisy obozowe. Wśród więźniów krążyły też informacje, jakoby esesmani podpisać musieli zobowiązania, że zabijanie więźniów jest zabronione, że za podejrzenie o zamiar ucieczki zniesiona zostaje kara śmierci, że bunkier bloku nr 11 przeznaczony będzie tylko na odsiadywanie wymierzonej kary, a nie będzie już pełnił dodatkowo funkcji – jak dotychczas – aresztu śledczego.

Pierwszego grudnia 1943 r. bardzo głośno było w obozie o tym, że pozdejmowano ze stanowisk takich oprawców jak Maximilian Grabner, Wilhelm Boger, Erich Wosnitza i Gerhard Palitzsch. Wymienieni wyżej i kilku innych wysokich funkcjonariuszy SS przywłaszczali sobie złoto, biżuterię, futra, pieniądze i inne wartościowe przedmioty, konfiskowane przez władze KL Auschwitz więźniom podczas przyjęcia do obozu. Podobno w trakcie rewizji przeprowadzanych przez SS-Sturmbannführera Konrada Morgena w kwaterach niektórych esesmanów znaleziono olbrzymie ilości wspomnianych

kosztowności. Zebrane dowody rzeczowe przeniesiono do baraku wydziału politycznego, gdzie miały być przechowane do czasu rozprawy. W nocy z 7 na 8 grudnia barak ten spłonął – prawdopodobnie podpalony został przez esesmanów, którzy chcieli zniszczyć dowody swych nadużyć.

W maju 1944 r. więźniowie wyczuwali jakąś nerwowość w poczynaniach władz obozowych, która najprawdopodobniej spowodowana była złą sytuacją Niemiec na froncie wschodnim. Aroganckie dotychczas władze SS zaczęły się liczyć z oskarżeniami o popełnianie w obozie masowych zbrodni, zaczęto więc zacierać ich ślady. Wśród więźniów szybko rozeszły się informacje, że nieczynne krematorium w obozie macierzystym przerobione zostało na schron przeciwlotniczy, oraz że Ściana Straceń na dziedzińcu bloku jedenastego została rozebrana, a znajdująca się pod nią ziemia – przesiąknięta krwią rozstrzelanych więźniów – wybrana została niemal do głębokości półtora metra.

Docierały też jednak niepomyślne wiadomości. Następca Hössa, Liebehenschel, dzięki któremu nastąpiło złagodzenie niektórych obozowych przepisów, przeniesiony został na stanowisko komendanta KL Majdanek. Do Oświęcimia powrócił zaś Höss, który od razu wprowadził swoje porządki, czyli zaostrzony rygor. Nasiliło się wyniszczanie więźniów i ich masowe uśmiercanie – do komór gazowych w Birkenau prowadzono wtedy całe transporty. Höss pełnił funkcję komendanta garnizonu SS i zarazem komendanta KL Auschwitz, więc przekazał z dniem 11.05.1944 r. nadzór nad obozem SS-Hauptsturmführerowi Richardowi Baerowi. Oczywiście dla więźniów takie zmiany organizacyjne nie miały znaczenia, gdyż i tak Hössowi podlegali poszczególni komendanci w KL I, KL II i KL III. Rudolf Höss odpowiedzialny był m. in. za akcję zagłady Żydów węgierskich, na temat której w książce Danuty Czech pod datą 25 maja 1944 r. pojawia się wstrząsający zapis:

Więźniarska organizacja ruchu oporu w dodatku nadzwyczajnym do sprawozdania okresowego za czas od 5 do 25 V 1944 r. podała: „Oświęcim «Aktion Höss». Od połowy maja natężenie transportów z Żydami węgierskimi. Każdej nocy przybywa 8 pociągów, każdego dnia 5. Pociągi liczą po 48 do 50 wagonów, a w każdym wagonie po 100 osób. Transportami przyjeżdżają «osiedleńcy» (...) Przy pociągach osiedleńców dodane są po dwa wagony drzewa budowlanego, które ci wyładowują przy «rampie śmierci», odwożąc na miejsce i układając na stosy… dla nich przeznaczone. Dla ułatwienia roboty, ludzie przyjeżdżają już posortowani – a więc, np. dzieci w osobnych wagonach. Zamknięte pociągi oczekują na specjalnej bocznicy po kilka godzin na wyładowanie (...) koczują w pobliskim lasku”.[115]

Więźniowie z zainteresowaniem śledzili wszystkie działania władz KL Auschwitz, które dawały nadzieję na oswobodzenie obozu. Kiedy z Birkenau przedostawały się do obozu macierzystego informacje o coraz częstszych

[115] D. Czech, *Kalendarz…*, s. 672.

ewakuacjach więźniów do obozów w głąb Niemiec, znaczyło to, że linia frontu przesuwa się na zachód, w kierunku Oświęcimia. W połowie czerwca przygotowano w Birkenau transport około 2000 Polaków i Rosjan do KL Buchenwald. W pierwszych dniach lipca wysłano z obozu kobiecego w Birkenau do KL Ravensbrück około 1000 więźniarek, a około 20 lipca kolejne 1000. Dnia 24.07.1944 r. więźniowie otrzymali wiadomość, że Armia Czerwona wyzwoliła Lublin, a wraz z nim – KL Majdanek. Innym zdarzeniem o znamionach narodowego buntu przeciw hitlerowskiej okupacji był wybuch powstania warszawskiego 1.08.1944 r. Był to dowód, iż organizacje ruchu oporu w okupowanym kraju – nie czekając na pomoc z zewnątrz – same starają się rozpocząć walkę o wyzwolenie ojczyzny.

Niestety już następnego dnia władze obozowe zamanifestowały, jak systematycznie działa w obozie machina unicestwiania. Dnia 2 sierpnia w Birkenau załadowano do wagonów około 1400 Cyganów i wysłano ich do KL Buchenwald. Tego samego dnia wieczorem około 2900 osób z obozu familijnego Cyganów w Birkenau esesmani przewieźli samochodami ciężarowymi do komór gazowych w krematorium nr V. Po zagazowaniu ciała pomordowanych spalone zostały w dołach obok krematoriów. Dnia 12 sierpnia przywiezieni zostali do obozu w Birkenau aresztowani uczestnicy powstania warszawskiego.

Dnia 14 sierpnia wysłano kolejny duży transport więźniów do KL Buchenwald – z obozu macierzystego (KL I) około 1200 więźniów. Pod koniec sierpnia z obozu macierzystego ewakuowano 800 więźniów do KL Sachsenhausen.

Dnia 20.08.1944 r. około godziny 16:00 po raz pierwszy nadleciały nad Oświęcim bombowce alianckie. Ogłoszono alarm przeciwlotniczy, a po chwili słychać było wybuchy w niedalekiej okolicy. Później więźniowie dowiedzieli się, że zbombardowane zostały zakłady chemiczne IG Farbenindustrie w Dworach koło Oświęcimia, w których zatrudnieni byli więźniowie KL Auschwitz. Podobno zrzucono też wtedy bomby na jakieś obiekty w Czechowicach, gdzie była rafineria nafty. Kolejny nalot na zakłady w Dworach miał miejsce 13 września. Kilka bomb spadło wtedy na teren przyległy do obozu macierzystego. Uszkodzone zostały bloki zamieszkałe przez esesmanów, połowa bloku nr 6 oraz jeden z bloków, w których mieściły się warsztaty odzieżowe (Bekleidungswerkstätte). Danuta Czech podaje, że: *„[...] w blokach esesmańskich znalazło śmierć 15 esesmanów, a 28 zostało ciężko rannych. W bloku nr 6 zginęła 1 więźniarka, sporo było rannych. W warsztatach odzieżowych śmierć poniosło 40 więźniów, w tym 23 Żydów, 65 zostało ciężko rannych, natomiast 13 zostało zasypanych gruzami”*.[116]

Tylko w dniach 17 i 18 września wywieziono z KL Auschwitz 3100 więźniów do KL Mauthausen oraz 470 do KL Flossenbürg.

[116] Tamże, s. 757.

Głośnym echem rozeszła się po obozie macierzystym wiadomość, że 7.10.1944 r. miał miejsce w Birkenau bunt komanda obsługującego krematoria. Dosyć dużo opowiadali na ten temat więźniowie zatrudnieni w komandzie obozowej straży pożarnej, którzy pojechali gasić wzniecony podczas buntu pożar. Na ich oczach rozstrzelano wtedy wielu więźniów, były jednak straty także po stronie esesmanów, którzy uczestniczyli w tłumieniu buntu – trzech zginęło, a dwunastu odniosło dosyć poważne rany.[117]

Kolejne poczynania władz obozowych wskazywały na to, że radziecka armia jest już blisko Oświęcimia. Esesmani jeszcze szybciej i skrupulatniej zacierali dowody popełnianych przez siebie w KL Auschwitz zbrodni. Dnia 20.10.1944 r. załadowano część akt do dwóch samochodów osobowych i ciężarówki, po czym wywieziono je do spalenia w krematorium w Birkenau. Palono kartoteki więźniów, świadectwa zgonów, zdjęcia i inne dokumenty. Pod koniec listopada władze obozowe wydały rozkaz zniszczenia urządzeń krematoryjnych w Birkenau. Oczywiście do rozbiórki krematoriów, komór gazowych i ogrodzeń wokół nich wykorzystano więźniów. Około 20 grudnia krematoria nr II i III w Birkenau były już rozebrane w 80 procentach.

Coraz częstsze były też naloty alianckich bombowców. Dnia 26.12.1944 r. po raz kolejny zbombardowały one zakłady chemiczne w Dworach. Bomby spadły wtedy również na znajdujący się w pobliżu Birkenau szpital dla funkcjonariuszy SS, w wyniku czego zginęło 5 esesmanów.

Nowy Rok 1945 rozpoczął się od bolesnej dla więźniów wiadomości. Tego dnia 100 więźniarek i 100 więźniów z bloku jedenastego wywieziono samochodami ciężarowymi do krematorium w Birkenau, gdzie następnie zostali rozstrzelani. Były to więźniarki i więźniowie, których osądzono przed 24.12.1944 r. Dnia 5.01.1945 r. odbyło się w bloku nr 11 ostatnie posiedzenie policyjnego sądu doraźnego, na którym skazano na śmierć 70 Polaków. Wyrok ten wykonano także w krematorium nr V w Birkenau.

Dnia 17.01.1945 r. przedostała się do obozu informacja, że jednostki Armii Czerwonej są już na przedmieściach Krakowa. Tego też dnia komendant podjął decyzję o ewakuacji więźniów. W nocy z 17 na 18 stycznia na dziedzińcu bloku nr 11 palono akta, podobnie czyniono też w innych obozach i podobozach przyległych do KL Auschwitz. Więźniowie w napięciu czekali na moment ewakuacji. Liczyli bowiem na to, że wyjście poza ogrodzenia obozu stworzy okazję do ucieczki. Formowano ich w kolumny po 5 osób w rzędzie. Tylko eskortujący ich dobrze uzbrojeni esesmani znali kierunek marszu. Dnia 18 stycznia o świcie wyprowadzono z obozu pierwszą, około 500-osobową kolumnę więźniów. Za tą grupą wychodziły następne, i następne…

W obozie pozostać mieli tylko więźniowie niezdolni do marszu, a więc chorzy, skrajnie wyczerpani, oraz kilku więźniów, którzy postanowili pozostać z chorymi. Wieczorem 18.01.1945 r. sformowano kolumnę, w której znaleźli się

[117] W czasie buntu zginęło ok. 450 więźniów pracujących w Sonderkommando. Por. D. Czech, *Kalendarz…*, s. 781.

m. in. Franciszek Ogon, Karol Miczajka oraz jego brat, Henryk[118], pracujący w komandzie obsługującym więźniarski szpital (Häftlingskrankenbau).

Śnieg pokrywał plac apelowy i wszystko dookoła. Było bardzo zimno, więźniowie marzli czekając na polecenie wymarszu. Stali przygotowani do wyjścia, gdy niemal tuż przed bramą Henryk podszedł do brata i powiedział: „*Karol, ja nie dam rady iść, ja zostaję*". Uściskali się serdecznie na pożegnanie, gdyż nie wiedzieli, czy się jeszcze zobaczą. Po chwili Henryk przesunął się między stojącymi w kolumnie więźniami w głąb obozu i wrócił do chorych. Jak wspominał Karol Miczajka, bardzo mocno przeżywał rozstanie z bratem. Wychodził z obozu ze świadomością, że esesmani będą próbowali wymordować wszystkich, którzy tam zostali, aby nie zostawić świadków swoich zbrodni.[119]

Trudno jest sobie wyobrazić, co czuli więźniowie opuszczając obóz – KL Auschwitz, po miesiącach czy latach doznanych tam upokorzeń i cierpień. Musiały to być sprzeczne uczucia – radości i szczęścia z przetrwania piekła obozu, smutku i żalu z powodu milionów zamordowanych tam więźniów, strachu i niepewności co do dalszego losu – ewakuacja nie oznaczała jeszcze wyzwolenia! W Księdze Pamiątkowej rybnickiego gimnazjum, oprócz cytowanego wcześniej artykułu o Stanisławie Sobiku, Karol Miczajka zamieścił też tekst *W drodze krzyżowej*. Oto jego przedruk:

„Nadszedł dzień 18 stycznia 1945 r., pamiętny dzień ostatecznej likwidacji obozu oświęcimskiego, dzień, zwiastujący wrogom zbliżającą się nieuchronnie klęskę, nam zaś, numerom w pasiakach, iskierkę nadziei.

Podniecenie i rozgorączkowanie obejmowało nie tylko więźniów, ale i naszych krwiożerczych stróżów, którzy w obliczu nieuchronnej zguby wpadali z jednej ostateczności w drugą: to udawali bardzo dobrych i współczujących, a strach wyzierał z ich rozszerzonych źrenic, to wpadali we wściekłość, a wtenczas biada tym, co wpadli w ich szpony.

Od rana nieprzerwanie wychodziły przez bramę setki więźniów w zwartych szeregach z tobołkami, paczkami, tłomokami. Każdy przygotował się do drogi, jak mógł najlepiej. W ostatnim bowiem dniu otworzono wszystkie magazyny odzieżowe i żywnościowe, wydając z nich zapasy bez ograniczenia. Ruch w obozie zrobił się niczym w ulu. Przed kancelarią obozową palił się stos kartotek, aktów i pism, a funkcjonariusze SS pilnowali, aby wszelkie dowody ich działalności zostały całkowicie zniszczone.

Około godziny dwunastej w nocy pochłonęła nas fala wypływających z obozu więźniów. Księżyc świecił jasno, oświetlając nam drogę i chrupiący pod

---

[118] W rodzinie Miczajków było trzech braci, wszyscy trzej aresztowani zostali w 1943 r. przez Gestapo – 12 lutego Karol, w czerwcu starszy brat Henryk, a kilka dni później najmłodszy z rodzeństwa – Alojzy. Gestapo przypuszczało, że ze sobą współpracowali. Ponieważ jednak nie było donosu Zientka na Alojzego Miczajkę, po krótkim przesłuchaniu w rybnickim Gestapo zwolniony został do domu. Oczywistą sprawą było, że bracia Karol i Henryk współpracowali ze sobą w działaniach konspiracyjnych, ale najmłodszego brata nie wtajemniczali w sprawy organizacyjne, aby go nie narażać.

[119] Po wymarszu większości kolumn Henrykowi Miczajce udało się uciec z obozu z kilkoma więźniami – głównie dzięki temu, że nie było już tak silnej straży, a w ogrodzeniu nie było prądu. Do domu wrócił już w marcu lub kwietniu (Rybnik wyzwolono 26 marca 1945 r.).

nogami śnieg. Mróz szczypał w uszy i odmrażał policzki i ręce, ale nikt nie czuł mrozu. Szliśmy raźno po udeptanym śniegu w księżycową noc, w nieznaną i niebezpieczną przyszłość. Wznosząc oczy do nieba, ten i ów robi nieznacznie znak krzyża i szepce słowa modlitwy. Pytamy się sami siebie: Co gotuje nam los? Czy wreszcie będzie łaskawszy, czy też nadal tak nieludzko okrutny?

Jeszcze ostatnie spojrzenie za siebie i ciche westchnienie; westchnienie, które miało być wyrazem ulgi, ale przytłoczone ogromnym ciężarem niepewności i obawy, z trudem dobyło się z piersi.

Obok nas nieodstępni stróże, odziani w grube płaszcze i kożuchy, z karabinami przygotowanymi w każdej chwili do strzału. Wśród mroźnej nocy słychać ich nawoływanie i ujadanie rwących się na smyczach psów.

Idziemy spokojnie i miarowo z szeptem modlitwy na ustach, składając los nasz w ręce Wszechmocnego.

Wtem – strzał!

Stłumiony, niewymownie żałosny okrzyk kobiecy uleciał w powietrze, nie budząc echa w przyrodzie. Oglądamy się nieznacznie do tyłu. Postać kobiety z podniesionymi jak do modlitwy rękami zachwiała się, zastygła na moment w bezruchu i runęła pod nogi zbira, w którego rękach jeszcze drgała świeżo odpalona broń…

Zaczerwienił się śnieg pod ciałem niewinnej ofiary. Twarz jej w blasku księżyca jaśniała jakimś nieziemskim światłem, ręce wciąż do modlitwy złożone…

SS-man wykrztusił jakieś przekleństwo, skrzywił w potwornym grymasie usta i ciężkim butem zepchnął ofiarę do rowu. Potoczyło się bezwładem swoim ciało na spoczynek bez trumny, bez pogrzebu, tylko długi, bez końca orszak pędzonych skazańców oddawał jej w milczeniu ostatni hołd. Zerwał się zbrodniarz z krzykiem, miotając przekleństwa, odwrócił się do przechodzących, wywijając na oślep kolbą karabinu… Popędził naprzód jak oszalały zwierz, zmuszając do przyspieszenia kroku.

Ale nic nas nie obchodziły jego dzikie okrzyki, nie odczuwaliśmy razów ciężkiej kolby, mając wciąż przed oczyma piękną twarzyczkę, zastygłą w blasku męczeństwa. Odleciał od nas lęk i strach, jakby nad nami unosił się duch tej męczennicy i tylu milionów ofiar Oświęcimia.

I tak długa bez końca kolumna wynędzniałych cieni sunęła wciąż naprzód, znacząc drogę trupami i krwią…[120]

Kolumna, w której znajdowali się Karol Miczajka i Franciszek Ogon, zmierzała do Wodzisławia Śląskiego. Przebieg i warunki marszu opisałem – opierając się w dużej mierze na informacjach uzyskanych od Miczajki – w rozdziale o Franciszku Ogonie.

W Wodzisławiu kolumnę zaprowadzono na stację kolejową, gdzie więźniów załadowano do węglarek. Miczajka często wspominał, jak wspaniale zachowywała się na wodzisławskim dworcu Marta Piechaczek, szwagierka

[120] Karol Miczajka, *W drodze krzyżowej*, Księga Pamiątkowa…, s. 71.

Franciszka Ogona. Znał ją jeszcze ze wspólnej działalności konspiracyjnej w ZWZ/AK, gdzie pełniła funkcję łączniczki.[121] Była to bardzo urodziwa dziewczyna i wspaniała patriotka.

Marta Piechaczek pracowała w czasie okupacji na dworcu w Rybniku. Dowiedziała się tam o transporcie oświęcimskich więźniów i przyjechała do Wodzisławia, gdzie w iście bohaterski sposób niosła pomoc umęczonym więźniom. Znała dobrze teren wokół stacji kolejowej, toteż z wielką werwą i pewnością siebie przebiegała od wagonu do wagonu wypełnionego więźniami, roznosząc w dużej misce gorącą herbatę. Miczajka wspominał, że wyglądało to tak, jakby Marta Piechaczek zahipnotyzowała esesmanów pilnujących więźniów, gdyż nie wzbraniali jej podchodzić do wagonów i podawać więźniom napoju. Kiedy miska była pusta, wbiegała do budynku stacji i po chwili zjawiała się z nową porcją herbaty. Niektórzy więźniowie – ze względu na duży mróz – mieli poowijane palce rąk w różne skrawki materiału. Gałgany te moczyli w gorącej herbacie, aby ogrzać zmarznięte końce palców, a dopiero potem wysysali z nich napój. Inni pili herbatę bezpośrednio z miski i podawali ją pozostałym towarzyszom. W ten sposób każdemu dostało się chociaż parę łyków ciepłego napoju.

Karol Miczajka mówił mi, że kiedy po latach Bóg pozwolił mu wrócić do domu, spotkał się z tą wspaniałą dziewczyną. Podziękował jej za odwagę oraz przedsiębiorczość i powiedział jej, jak wiele znaczyła dla więźniów jej pomoc.

Miczajka opowiadał też o innym wydarzeniu na stacji w Wodzisławiu. Kiedy znajdował się w wagonie, na sąsiedni tor nadjechał z Chałupek pociąg towarowy. Jego maszynistą był jego dobry znajomy - Józef Wieczorek. Kiedy zobaczył Miczajkę, natychmiast zatrzymał parowóz. Wagon Miczajki oddzielał od parowozu tylko płotek z siatki. Obaj byli bardzo wzruszeni tym niespodziewanym spotkaniem. Po chwili rozmowy Wieczorek powiedział Miczajce, że po sygnale odjazdu będzie powoli ruszał, i zaproponował mu, aby przeskoczył do któregoś z przejeżdżających wagonów. Kiedy natomiast będą dojeżdżać do Rybnika, Wieczorek zmniejszy prędkość, żeby Miczajka mógł wyskoczyć w Niedobczycach, gdzie w dzielnicy „Wrzosy" mieszkali przyszli teściowie Karola. Była to kusząca propozycja, ale – z natury bardzo przezorny – Miczajka zdawał sobie sprawę z tego, że szanse jej realizacji są niewielkie. Wzdłuż pociągu, tak z jednej, jak i drugiej strony, stali esesmani z psami. Na pewno zauważyliby go przeskakującego, a wtedy zaczęliby strzelać i zmusili do zatrzymania pociągu, przez co także Wieczorek mógłby mieć poważne kłopoty. Odpowiedział więc, że to zbyt ryzykowne, i poprosił tylko o przekazanie pozdrowień rodzicom i narzeczonej. Do dziś Karola Miczajkę zastanawia pewien zbieg okoliczności: kierowcą wypożyczonej z rybnickiego browaru ciężarówki, która wiozła go dwa lata wcześniej do KL Auschwitz, był

[121] Marta Piechaczek była siostrą Marii Ogon, żony Franciszka. Ich ojciec – listonosz – był kolegą ojca Miczajki.

pochodzący ze Stanowic znajomy o nazwisku Wodok – szwagier Józefa Wieczorka.

Około godziny 16:00 pociąg wypełniony więźniami wyruszył z Wodzisławia. Kolejnym etapem ewakuacji był obóz KL Mauthausen. Transport dotarł tam 26.01.1945 r. W Mauthausen Miczajka otrzymał prowizoryczną bransoletkę z nowym numerem obozowym – 118094. Po trzydniowej kwarantannie wielu więźniów, w tym także jego i Franciszka Ogona, przeniesiono do podobozu w Melku. Informacje na temat tych obozów zamieściłem w rozdziale poświęconym Franciszkowi Ogonowi. Dodam tylko w tym miejscu, że Miczajka wspominał, iż w KL Auschwitz z jedzeniem było jeszcze jako tako, natomiast w Melku czy Mauthausen posiłki były dużo mniejsze, a w dodatku rozdzielane nieregularnie. W misce trafiały się czasem cztery obierki z ziemniaków, które pływały w ciepłej wodzie, a jeden mały bochenek chleba przypadał na 12 osób. Mówił też, że w KL Auschwitz większość osób spała w samej tylko bieliźnie, natomiast w Melku więźniowie często spali w pasiakach i w butach, gdyż obawiali się kradzieży. Był wtedy mróz, więc gdyby komuś skradziono buty, musiał chodzić po śniegu boso.

Karol Miczajka przebywał w Melku przejściowo. Po pewnym czasie przetransportowany został do obozu w KL Ebensee.

Oto kilka informacji na jego temat:

Obóz koncentracyjny w Ebensee (kryptonim „Zement") powstał w listopadzie 1943 r. Został zbudowany w ogromnym pośpiechu na skarpie skalnej w wilgotnej kotlinie Alp Tyrolskich. Tam, na polecenie Hitlera, miano kontynuować pracę nad masową produkcją Rakete A-4 (pociski V2) po zbombardowaniu przez aliantów Peenemünde. Aby szybko rozwinąć produkcję tych rakiet, w centrali SS utworzono specjalny „SS-Führungsstab Zement", który opracował plany budowy podziemnych zakładów, ich wyposażenia w maszyny i uruchomienia produkcji. Podjęto więc budowę dwóch wielkich systemów sztolni. Mimo stosowanego wobec więźniów budujących te sztolnie terroru, postępy robót okazały się zbyt wolne, by produkcja rakiet A-4 mogła rozpocząć się w nich wcześniej niż przed upływem roku. Postanowiono zatem część wydrążonych sztolni (Anlage B) przekazać firmie Steyr-Daimler-Puch na produkcję łożysk kulkowych do samochodów i czołgów, a w innej ich części (Anlage A) urządzono rafinerię (8 pieców destylacyjnych). […]

Katorżnicza praca więźniów pod ziemią oraz nędzne obozowe zaopatrzenie przyczyniły się do zupełnego wycieńczenia, głodu, chorób i śmierci tysięcy więźniów. Ogólnie z około 27 tysięcy więźniów, z tego 30% pochodzenia żydowskiego, do momentu wyzwolenia 6 maja 1945 r. przez wojska amerykańskie, życie straciło ok. 8,5 tys. osób.

W Ebensee najwięcej było Polaków oraz obywateli radzieckich, Węgrów, Francuzów i niewielkie grupy więźniów wszystkich prawie narodów Europy.

Tak jak i w innych obozach podległych Mauthausen, więźniowie w Ebensee ginęli na skutek wyczerpującej pracy w wilgotnych i nie wietrzonych

sztolniach; terroru SS-führerów i kapo; niedożywienia i chorób, powodowanych niehigienicznymi warunkami życia w przeludnionym do maksimum obozie oraz chłodnym wilgotnym klimatem. […]

Michał Rusinek – były więzień Ebensee wspomina w swojej książce „Z barykady w dolinę głodu" takie oto szokujące zachowania współwięźniów, wynikające z panującego tam głodu: *„kilka trupów przyniesionych do pieca miało wydarte serca"*. Nieco dalej, jest kolejne, jakże makabryczne zdanie: *„A dnia 24 kwietnia i akurat na 24 bloku, dziesięć metrów na przeciw naszego baraku, przyłapuję dwóch ludzi jedzących ciepłe jeszcze krwawe pośladki"*.

Obóz został wyzwolony 6 maja 1945 r. przez wojsko amerykańskie.[122]

W KL Ebensee Karol Miczajka znalazł się w grupie więźniów, których dowożono codziennie do Attnang Puchheim, gdzie pracowali przy porządkowaniu węzłowej stacji kolejowej zbombardowanej przez alianckie lotnictwo. Często padał tam śnieg z deszczem, więc ubrania więźniów były przeważnie mokre. Nie było jednak na to rady, gdyż nie mieli w co się przebrać. Ubrania odparowywały na nich, przez co w pomieszczeniach, w których mieszkali, było bardzo wilgotno. Niejednokrotnie zmuszeni byli w mokrych ubraniach kłaść się do snu.

W tej też miejscowości, niedługo przed oswobodzeniem przez wojska alianckie, Karol Miczajka ledwo uniknął śmierci. Któregoś dnia zbombardowano tam kilka pociągów towarowych z żywnością i artykułami przemysłowymi. Produkty te leżały porozrzucane między torami i szkieletami zniszczonych wagonów. Więźniów zatrudniono więc do zbierania rozrzuconych produktów, ale jednoznacznie ostrzeżono ich, że za przywłaszczenie sobie czegokolwiek grozi śmierć. Niedożywieni czy wręcz głodujący więźniowie często ryzykowali i narażali się na rozstrzelanie, a pilnujący ich wartownicy dali w kilku przypadkach dowód prawdziwości swych ostrzeżeń.

Przenosząc z uszkodzonych wagonów żywność – między innymi konserwy – Miczajka wsadził jedną puszkę ze skondensowanym mlekiem do kieszeni spodni. Wydawało mu się, że zrobił to bardzo dyskretnie, ale nagle usłyszał krzyk: *„Du Verbrecher! Komm!"* („Ty złodzieju! Chodź!"). Kiedy się odwrócił, zobaczył tuż za sobą wartownika, który skinął na niego palcem i kazał iść za sobą. Esesman zaprowadził Miczajkę za budynek stacji i powiedział mu, że zostanie rozstrzelany za złamanie zakazu. Bezsilny wobec wydanego wyroku Miczajka musiał zgodnie z poleceniem wartownika iść w wyznaczonym przez niego kierunku oczekując na strzał. Usłyszał wyjątkowo wyraźnie szczęk odbezpieczanej broni i okrzyk *„Halt!"*. Miczajka stanął, ale nie miał odwagi odwrócić się i spojrzeć w lufę pistoletu… Do jego uszu dobiegła jednak krótka rozmowa wartownika z jakimś innym mężczyzną. Polecono mu, aby się odwrócił, a gdy wykonał posłusznie rozkaz, obok wartownika zobaczył wojskowego w randze SS-Oberleutnanta (porucznika) Wehrmachtu. Oficer ten odprawił wartownika i został z Miczajką sam na sam. Kazał mu podejść do

[122] Stanisław Dobosiewicz, *Mauthausen-Gusen*, Warszawa 1985, s. 23-25.

siebie i zaczął go wypytywać, dlaczego zatrzymał tę konserwę, skąd pochodzi, jakie ma wykształcenie. Widocznie zrobiło na nim jakieś wrażenie to, że Miczajka mówił o odczuwanym straszliwym głodzie i że jest byłym studentem, gdyż po krótkiej rozmowie – co prawda dość bezładnej z jego strony – oficer kazał mu wracać do przerwanej pracy. Miczajka odwrócił się i… stracił przytomność ze zdenerwowania. Kiedy przebudził się z omdlenia, zobaczył stojących nad sobą kolegów, którzy się o niego zatroszczyli.

Dnia 6.05.1945 r. KL Ebensee wyzwolony został przez amerykańskich żołnierzy. Oto fragment wspomnień Karola Miczajki dotyczący jego powrotu z obozu do Rybnika:

Po rekonwalescencji (w chwili oswobodzenia obozu ważyłem 40 kg przy wzroście 182 cm) na amerykańskim wikcie i w promieniach alpejskiego słońca i przepięknego krajobrazu przedalpejskiej przyrody, w atmosferze austriackiej serdeczności, wróciliśmy wreszcie do kraju z niemałymi zresztą tarapatami na granicy amerykańsko-sowieckiej strefy okupacyjnej.

I oto znalazłem się w domu, gdzie zastałem moją rodzinę w komplecie łącznie z obydwoma braćmi.

Usiadłem do organów i z radością wyśpiewałem: „Te Deum laudamus…”[123]

Karol Miczajka wrócił do domu 4.09.1945 r. Już trzeciego dnia po powrocie umówił się z kolegami, żeby pojechać do Krakowa i kontynuować przerwane przez wojnę studia na Akademii Handlowej. Uległ jednak namowom rodziny i przeszedł najpierw badania lekarskie. Lekarz zabronił wyjazdu na studia i kategorycznie zalecił mu podleczenie wycieńczonego organizmu. Karol musiał więc zrezygnować z powrotu na uczelnię, ale już 15 września podjął pracę w Kopalni Węgla Kamiennego „Chwałowice”. Studiował później zaocznie i uzyskał tytuł magistra ekonomii.

Rozmawiałem z Karolem Miczajką kilka razy –w sumie wiele godzin. Mam z tych rozmów nagrania na taśmie magnetofonowej i często do nich wracam. Jestem pod wrażeniem tych wspólnych spotkań, nigdy nie dostrzegłem u mojego rozmówcy najmniejszego znużenia rozmową o tamtej rzeczywistości. Mam natomiast wielkie wyrzuty sumienia, że nasze rozmowy, w których poruszaliśmy bardzo bolesne wątki z przeżyć Pana Karola, były powodem jego olbrzymiego wzruszenia.

[123] Karol Miczajka, *Trochę wspomnień*, Księga Pamiątkowa…, s. 169.

Opadają kartki z kalendarza,
Koło życia bez przerwy się kręci.
Dawny koszmar już nas nie przeraża,
Już się z wolna zaciera w pamięci.

Czasem tylko w jakąś noc bezsenną
Patrząc w okno, zastygam bez ruchu:
Zdaje mi się, że jesteś znów ze mną
Bezimienny „Haftlingu"— mój druhu! [...]

fragment wiersza: **Towarzyszu „Haftlingu"**
autor: Mirosław Łebkowski

MUSIOLIK – rodzina ...

MUSIOLIK – rodzina ...

Powtarzam się w pewnych fragmentach tekstu, - używając tych samych zwrotów czy uzasadnień, ale przygotowując materiały do pierwszego wydania książki *Działacze rybnickiego ZWZ/AK w obozach koncentracyjnych,* musiałem przekonywać oponentów z Zarządu Okręgu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej w Katowicach, do moich dowodów opartych o rozmowy ze świadkami tamtych wydarzeń. Owi reprezentanci Ś.Z.Ż.A.K. utworzyli własną koncepcję okupacyjnych wydarzeń, trwając w swoistym uporze zmiany czegokolwiek. Nie przekonywały ich argumenty poparte konkretnymi dowodami i dokumentami,[124] że osoby, które wymieniam z imienia i nazwiska, istniały fizycznie, działały w konkretnej organizacji konspiracyjnej ZWZ/AK w Rybniku. Jakaż więc była moja radość, gdy po opublikowaniu artykułu *Mój ojciec nr 111912 KL Auschwitz*[125] , otrzymałem przesyłkę od Danuty Mosiewicz-Mikuszowej – mieszkanki Zabrza. Po przeczytaniu wspomnianego wyżej artykułu, Pani ta, przesłała mi przez redakcję *„Śląsk”* list Pawła Musiolika (z października 1992 r.), w którym potwierdza On znajomość i osobiste kontakty ze Stanisławem Sobikiem. Fragmenty tego listu cytowałem przy opracowaniu o Stanisławie Sobiku. Zainteresowałem się jednak losami Pawła Musiolika – autora owego listu, działającego w „rybnickiej grupie” ZWZ/AK w Krakowie. Dzięki Danucie Mosiewicz-Mikuszowej, udało mi się zgromadzić nieco informacji o Nim, tym bardziej, że jest jednym z nielicznych więźniów uratowanych ze statku Thielbeck, który wypełniony więźniami, został zatopiony u wybrzeży Danii.

Niezadowolony z bardzo skromnego materiału o Pawle Musioliku, czyniłem dalsze poszukiwania, by móc nieco więcej napisać na temat tak wspaniałego człowieka. W ten sposób dotarłem do syna Pawła Musiolika – Jana, a przez niego nawiązałem kontakt korespondencyjny z drugą żoną Pawła – Jadwigą Musiolik. W taki to sposób otrzymałem dane uzupełniające mój dotychczasowy zbiór.

Wyrażam w tym miejscu, słowa wielkiej wdzięczności za pomoc jaką okazali mi i Pani Jadwiga i Jan Musiolikowie - serdecznie dziękuję!

* * *

MUSIOLIK PAWEŁ LEOPOLD, pseud. „P.A.T.”, „Paweł”, „Pieron”

Urodzony 3.12.1914 r. w Niedobczycach (pow. Rybnik). syn Pawła i Julii z d. Stiel. Szkołę podstawową ukończył w Niedobczycach, a w latach 1929 – 1933 Państwowe Gimnazjum w Rybniku. Czynną służbę wojskową odbył w latach 1935 – 1937 w Niepołomicach i Krakowie. Od 1937 rozpoczął pracę w PKP na stanowisku telegrafisty. W sierpniu 1939 r. powołany został do rezerwy z przydziałem do 53 pociągu pancernego „Śmiały” i tam zastał go napad wojsk hitlerowskich na Polskę. Uczestniczył w zaciętych walkach pod Mokrą na

---

[124] Wywody te przedstawiłem na str. 189, Aneks I – Działalność Stanisława Sobika w książce *Działacze rybnickiego ZWZ/AK w obozach koncentracyjnych,* wydanie z 2002 r.

[125] Miesięcznik Społeczno-Kilturalny *ŚLASK,* Nr 1/39 styczeń 1999 r.

Kielecczyźnie, za co pociąg pancerny „Śmiały” został odznaczony Krzyżem Virtuti Militarii. Walczył także w Oddziale dowódcy o tak głośnym nazwisku jak Henryk Dobrzański – „Hubal”.

Następnie, uczestniczył w obronie Lwowa, gdzie po 17.09.1939 r. został internowany przez Sowietów. Po ucieczce z internowania, nie mógł wrócić w rodzinne strony, gdyż jako syn powstańca śląskiego był narażony na aresztowanie przez niemieckiego okupanta. Niemcy po wkroczeniu do Polski, przede wszystkim rozprawiali się z byłymi powstańcami śląskimi i ich rodzinami. Postanowił więc wraz z kolegami przedostać się na Węgry, by stamtąd po dotarciu do Francji, zaangażować się w tworzącej się tam armii polskiej.
Przedostanie się przez granicę nie udało się, został zatrzymany w okolicach Komańczy i osadzony w więzieniu w Sanoku, w którym przebywał od 1.11.1939 do 15.12.1940 r.

Po ucieczce z więzienia w Sanoku, dotarł na teren Kielecczyzny do rodzinnej miejscowości kolegi z celi – Zdzisława Ćwieka z Sitkówki koło Kielc, gdzie wstąpił do organizacji konspiracyjnej ZWZ, przybierając pseudonim „P.A.T.” Jako wojskowy doświadczony w boju pod Mokrą, przeprowadzał ćwiczenia wojskowe dla członków organizacji.

W Sitkówce, zaczęły się aresztowania członków ZWZ na skutek zdrady – byłego oficera KOP Aleksandra Jaszczaka. Wobec powyższego, zagrożony aresztowaniem, 18.03.1941 r. z Sitkówki, przez Kielce, Słowik i Chęciny, chciał przedostać się na Śląsk. Został jednak w drodze ostrzeżony o grożącym mu tam niebezpieczeństwie i skierował się do Krakowa. Zameldował się na ul. Kalwaryjskiej 64 jako sublokator u p. Krasnowolskiej. W kwietniu 1941 r podjął pracę zarobkową w magazynach tekstylnych na ul. Straszewskiego 44 w Krakowie. Pracował wraz z pracownikami – grupą uchodźców i wysiedleńców z Poznania, ze Śląska, ze Lwowa. Tam poznał Kazimierza Rawskiego pseudonim „Zbigniew” i przez niego został zaangażowany w działalność organizacji konspiracyjnej Związku Odwetu, później „Kedyw” przy Okręgu Krakowskim Związku Walki Zbrojnej na miasto Kraków.

Działał w Krakowie pod pseudonimami: „Paweł”, „Pieron”. Był zastępcą Rawskiego, przewoził na Śląsk, tak jak Paweł Kowolik z Rybnika, materiały dywersyjne, które Danuta Mosiewicz „Magda” dostarczała do Krakowa z Komendy Głównej. Pełnił także rolę łącznika, aktywnie działał przy kolportażu Biuletynu Informacyjnego „Akcja N”, udzielał pomocy ukrywającym się Żydom, dostarczał im dowody osobiste – „kenkarty”, karty pracy – „arbeitskarty”. Brał udział w przygotowaniach do zablokowania południowo – zachodniej części Krakowa i okolic. Terenem jego działalności była dzielnica Krakowa – Podgórze, Kobierzyn i Bonarska. W 1942 r. zorganizował trzy grupy sabotażowe: na lotnisku wojskowym Rakowice, w getcie krakowskim i trasie transportu benzyny oraz ropy z Jasła do Krakowa. Od maja 1942 r.

zamieszkiwał w tej samej kamienicy (na I-szym piętrze) razem z żoną Józefą. W czasie tak wielkiego zaangażowania w pracę konspiracyjną, często musiał zmieniać adresy zamieszkania jak i miejsca zatrudnienia, pracował więc w wymienionym już magazynie tekstylnym „Textilhandel Gesellschaft" – jako magazynier, jako konduktor w „Sädstische Strasenbahn" i w Zakładzie Blacharsko-Budowlanym Leona Palczewskiego przy ul. Dietla 95.

W Krakowie działała silna grupa ludzi z Rybnika i okolicy – kolejarze, studenci i inne osoby, zagrożone wcieleniem do wojska niemieckiego lub aresztowaniem na Śląsku. Grupie tej przewodniczył narzeczony siostry Pawła Musiolika – Franciszek Pluta, prezes korporacji Akademickiej „Odra", skupiającej młodzież akademicką z Krakowa. Franciszek Pluta pracował na stacji kolejowej w Krakowie. Według informacji, jakie znacznie później przekazał Paweł – Danucie Mosiewicz, na stacji kolejowej w Krakowie, pracował także konfident Jan Zientek, będący członkiem ZWZ/AK w Rybniku. Przed wojną, do września 1939 r., Zientek pracował w Rybniku jako zawiadowca odcinka sygnałowego oddział Rybnik, w stopniu asesora. W okresie od II-giej połowy 1940 r. komendantem ZWZ/AK w Rybniku był Stanisław Sobik, także pracownik kolejowy na stacji Rybnik Obszary. Gdy Sobik w ramach organizacyjnych kontaktów wyjeżdżał do Katowic czy Krakowa, często towarzyszył mu renegat Jan Zientek.

Jedno z tych spotkań, szczególniej zapamiętał Paweł Musiolik, gdyż w Krakowie na ulicy Kalwaryjskiej, Paweł i Kazimierz Rawski spotkali się właśnie z Zientkiem. Chodziło bowiem o wyrobienie dokumentów dla obu – jako pracowników kolejowych. Wręczyli Zientkowi zdjęcia do przyszłych legitymacji (dowodów), a zdjęcia te pokazano im na gestapo, co utwierdziło ich, że dostarczył je gestapowcom zdrajca Zientek. Gdy Paweł Musiolik zażądał konfrontacji z Zientkiem, skwitowano to żądanie krótko: *„Zientek siedzi w Rybniku"*. Później zrozumieli, że przez Zientka aresztowano jednocześnie grupy ZWZ/AK w Krakowie i Rybniku.

Aresztowanie Pawła Musiolika wraz z żoną Józefa i siostrą Anielą oraz innymi członkami organizacji, miało miejsce 10 – 11.02.1943 r. Zasadniczym oskarżeniem Pawła Musiolika było to, że dostarczał fałszywe dowody na teren getta i innym osobom – między innymi Maksymilianowi Rychterowi i jego żonie.

Nader bolesną okolicznością aresztowania żony Pawła był fakt, że Józefa była w zaawansowanej ciąży. Następnego dnia po aresztowaniu dostała się do więziennego szpitala gdzie urodziła dziecko (chłopca) i dziecko to zmarło po pięciu miesiącach. Józefa wywieziona została 29.03.1944 r. do obozu dla kobiet do KL Ravensbrück, natomiast siostrę Anielę osadzono w KL Auschwitz-Birkenau.

Danuta Mosiewicz-Mikuszowa pseud. „Magda", poznała Pawła Musiolika, pełniąc funkcję kuriera organizacji ZWZ/AK w Krakowie. Potwierdza wiele z przedstawionych przez Pawła zdarzeń w osobistych dokumentach a także w rozmowie ze mną. Wspomina o bolesnym spotkaniu się

z Pawłem już na gestapo przy ulicy Pomorskiej. Została wprowadzona na przesłuchanie gdzie Paweł siedział na krześle z rękami skutymi z tyłu, miał ślady pobicia i ślady po duszeniu maską przeciwgazową. Paweł poddawany był wyjątkowo ciężkim przesłuchaniom. Byli wraz z Rawskim bardzo bici, topieni w wannie, nakładano im maski przeciwgazowe w których dusili się z braku powietrza – do utraty przytomności włącznie. Następnie spotkała się Danuta z Pawłem w piwnicach Montelupich, gdy 16.06.1943 r., wraz z grupą 32 mężczyzn i 4 kobiet, przy silnej eskorcie SS, przewiezieni zostali do KL Auschwitz.[126] Cztery aresztowane kobiety to: Danuta Mosiewicz „Magda" numer obozowy 46208, Aniela Jarosławska z d. Głowocz numer obozowy 46205, Maria Olkuśnikowa z Miechowa numer obozowy 46207, Władysława Nawrocka numer obozowy 46206.

Paweł został przewieziony do KL Auschwitz z „uwagą" wpisaną w dokumentach gestapowskich, o skazaniu go na śmierć. Jest jednak informacja którą podkreśla w wymienionym już liście do Danuty Mosiewicz, że: „*przed zdaniem tego transportu do obozu, zobaczyłem brata mojego kolegi - Gembczyka obozowy numer 485, pracującego w obozie na politycznym i w nocy przyszedł do mnie mówiąc, że jest na lewym nazwisku, jak się później dowiedziałem miał wgląd do akt personalnych i niejednokrotnie ryzykował wykradanie z nich dowodów kompromitujących więźnia"*. Fakt ten jest dlatego istotny, że to właśnie Jan Gembczyk pracujący w Politische Abtailung (Wydział Polityczny), zniszczył uwagę o skazaniu Pawła na śmierć (uwaga taka była w dokumentacji dostarczonej z Krakowa do obozu wraz z Pawłem Musiolikiem) – dzięki czemu wyroku tego nie wykonano.

Na kwarantannie Paweł Musiolik przebywał razem z Kazimierzem Rawskim, tyle że Kazimierza po tygodniu zabrano do transportu i w ten sposób ich drogi się rozeszły. Po skończeniu kwarantanny, Paweł został zarejestrowany na pobyt w obozie, otrzymał numer obozowy 124745. Zatrudniono go w komandzie przy cięciu drzewa do samochodów poruszanych gazem drzewnym.

W listopadzie 1944 r., na polecenie Politische Abteilung, przetransportowano Pawła wraz z ok. 500 osobową grupą więźniów do KL Neuengamme koło Hamburga, gdzie otrzymał numer 24814 i zatrudniony został w komandzie murarskim. Ta wysyłka polskich więźniów politycznych, miała na celu pozbycie się z KL Auschwitz przede wszystkim „starych" więźniów (starych – stażem obozowym) z niskimi numerami, by skutecznie rozbić działającą w obozie polską organizację podziemną. W KL Neuengamme potrzebna była niewolnicza siła robocza do pracy w tamtejszym przemyśle zbrojeniowym. Poza tym, przy coraz większej klęsce Wehrmachtu na froncie wschodnim, ewakuowano w głąb Rzeszy świadków masowych zbrodni w KL Auschwitz-Birkenau, a najwięcej mogli opowiedzieć na temat czynionych w obozie zbrodni – „starzy" więźniowie.

---

[126] Potwierdza to także Danuta Czech *Kalendarz Wydarzeń W KL Auschwitz* str. 445.

Obóz koncentracyjny – KL Neuengamme założono w 1938 r. jako oddział KL Sachsenhausen, w celu wykorzystania siły roboczej więźniów w podległej SS fabryce cegły klinkierowej. Od 1940 r. KL Neuengamme działał już jako samodzielny obóz, ze skupiskiem podobozów – stąd określano go Neuengamme-Ring na przedmieściach Hamburga. W latach 1940-1945 przez obozy te przewinęło się ogółem 106000 więźniów z 18 państw, w tym najwięcej, bo: 34930 – z byłego ZSRR, 17000 – Polaków. W ciągu pięcioletniego okresu istnienia straciło w nich życie 55000 więźniów, czyli 51,88 % ogólnego stanu. Więźniów KL Neuengamme wykorzystywano do niewolniczej pracy w pobliskich zakładach zbrojeniowych i do pseudolekarskich eksperymentów związanych z badaniami nad gruźlicą. W obozach Neuengamme-Ring ginęli więźniowie przede wszystkim na wskutek wyczerpania, niedożywienia, chorób zakaźnych. W książce *Auschwitz Nazistowski obóz śmierci,* na stronie 98 natrafiłem na tak przerażającą informację:

W grudniu 1944 roku wywieziono z obozu oświęcimskiego do KL Neuengamme 20 osobową grupę dzieci żydowskich do dyspozycji dr Kurta Heisameyera prowadzącego badania nad gruźlicą. W kwietniu 1945 roku dzieci te powieszone zostały na rurach centralnego ogrzewania w hamburskiej szkole położonej przy ulicy Bullenhuserdamm. Wraz z nimi powieszono też więźniów lekarzy wtajemniczonych w te eksperymenty.

Niewątpliwie do eksperymentów zaliczyć należy przeprowadzanie operacji na więźniach przez lekarzy SS (m.in. Friedricha Entressa, Horsta Fischera, Heinza Thilo) nie mających odpowiedniego przygotowania chirurgicznego (operacji zbędnych z punktu widzenia wskazań lekarskich, a przeprowadzanych w celach samoszkoleniowych), jak też wprawianie się na więźniach chorych na gruźlicę w wykonywaniu odmy opłucnej, czy nakłuć do kanału rdzeniowego w przypadkach chorych na zapalenie opon mózgowych. Relacje i wspomnienia byłych więźniów zawierają wzmianki również o innego rodzaju eksperymentach, nie jest jednak obiektywne ustalenie ich celu.

Eksperymenty, przeprowadzane na skazanych na ekstremalnie pod każdym względem warunki egzystencji, dla wielu spośród nich były równoznaczne z wyrokiem śmierci. Los więźniów poddawanych eksperymentom był lekarzom SS obojętny. Często dla zatarcia zbrodniczej działalności kazali zabijać swe ofiary dosercowymi zastrzykami fenolu lub w komorach gazowych".

Niestety, dla tysięcy więźniów z KL Neuengamme, ostatni akt tragedii rozegrał się gdy likwidowano ten obóz. Oto bowiem, po cierpieniach w gestapowskich kazamatach, hitlerowskich obozach koncentracyjnych: KL Auschwitz, KL Mauthausen, KL Stutthof, a na końcu w KL Neuengamme, wielu więźniów straciło życie (u progu wolności) i to z rąk aliantów. Kończyła się potęga III Rzeszy, a mimo to, ludobójcze cele hitlerowców nadal były skrupulatnie realizowane. Niemal w przededniu kapitulacji Niemiec, najwyższy dowódca SS, Heinrich Himler 14.04.1945 r., przekazał rozkaz do komendantów

wszystkich obozów koncentracyjnych, żeby żaden więzień nie dostał się w ręce aliantów a zatem, by zlikwidować wszystkich więźniów.

Dowódca KL Neuengamme, komendant SS-Sturmbannführer Max Pauly, potraktował ten rozkaz na tyle poważnie, że w dniach 22 – 30.04.1945 r., wyprowadzono kolumny więźniów tego obozu do Lubeki, i tam załadowano nimi cztery statki: „Athenę", „Thielbeck", „Cap Arconę" i „Deutschland" – razem około 12000 więźniów.

Paweł Musiolik relacjonuje swoje przeżycia w sposób następujący:

W drugiej połowie kwietnia 1945 roku, nastąpiła ewakuacja całego obozu do Lubeki, gdzie załadowano więźniów na 4 statki stojące w porcie w Lubece. Statki wypłynęły około 60 kilometrów na północ od Lubeki.

W dniu 3 maja czyli tuż przed zakończeniem wojny, nadleciały samoloty alianckie i wydały Niemcom ultimatum, by wszystkie statki niemieckie, znajdujące się na morzu, zawinęły do najbliższych portów, czego Niemcy nie zamierzali respektować. Chcieli bowiem ok. 12 tyś.[127] *więźniów zatopić w morzu, chcąc zlikwidować dowody swojego barbarzyństwa. Niemcy w odpowiedzi na ultimatum, wywiesili swoje flagi i otworzyli ogień do samolotów zwiadowczych. Po niedługim czasie nadleciała eskadra ciężkich samolotów i zaczęło się bombardowanie statków, na których znajdowali się więźniowie, o czym Anglicy nie wiedzieli. Statki zaczęły płonąć i tonąć. Z 12 tyś. więźniów ocalało ok. tysiąca. Ja byłem na statku Thielbeck wraz z ok. 4 tyś. więźniów – po bombardowaniu ocalało nas 28 osób. Będąc przez 8 godzin na otwartym morzu, na desce, cały czas modliłem się do Matki Bożej, gdyż był to dzień Jej święta, i wierzyłem, że za Jej wstawiennictwem przeżyję. I nie zawiodłem się".*

Ze statku Cap Arcona z 4600 więźniów zginęło 4250, z Thielbeck z 2800 więźniów zginęło 2750, uratowało się 50 więźniów, w tym 22 Polaków – a jednym z tych Polaków był Paweł Musiolik. Statek Athen z 2400 więźniami uniknął katastrofy, bowiem jego kapitan, wbrew protestom oficerów SS, zawinął do portu Neustadt i tym samym uratował życie więźniów. Z ogólnej liczby 700 esesmanów pilnujących więźniów na statkach, uratowanych zostało 600.

Paweł przebywając przez 8 godzin na otwartym morzu, uchwycił deskę pływającą w morzu – z uszkodzonego statku, i w ten sposób dopłynął do lądu w okolicach Neustadt. Po pobycie w szpitalu, zorganizowanym transportem organizacji humanitarnej UNRRA i Szwedzki Czerwony Krzyż pojechał do Szwecji. Po miesięcznej kwarantannie około Hälsingborg, przeniesiono go do obozu dla byłych więźniów w Äseryd. W 1946 r. zamieszkał i rozpoczął pracę w Tabergu. Odnalazł żonę Józefę, która dostała się z KL Ravensbück do Szwecji w ramach akcji prowadzonej przez hrabiego Bernadotte[128] i szwedzki Czerwony

---

[127] Nie zmieniam podanej ilości statków załadowanych więźniami jak i ilości więźniów, - cytując dosłownie wspomnienia Pawła Musiolika.

[128] Bernadotte Folke (hrabia) – bratanek Gustawa V, od 1943 r. wiceprezes (od 1946 – prezes) Szwedzkiego Czerwonego krzyża; pod koniec II wojny światowej uzyskał uwolnienie części więźniów z hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

Krzyż. Rozpoczeli wreszcie normalne życie, doczekali się 2-synów Mariana i Jana.

Z wielkim zainteresowaniem Paweł Musiolik śledził sprawy Polski. Pracował razem z żoną w założonym przez Pawła Ośrodku Polonijnym. Zaangażował się w pracę polityczną, zakładając wraz z Januszem Zwolińskim i Stanisławem Zyszczakiem - Koło PSL na Skandynawię, był długoletnim prezesem tego koła. Współpracował ze Stanisławem Mikołajczykiem, prof. Kotem i prof. Witkiem. Był współorganizatorem drużyny harcerskiej, członkiem Zarządu Zjednoczenia Polskiego. Do końca życia bliskie były Mu sprawy Polski i rodaków.

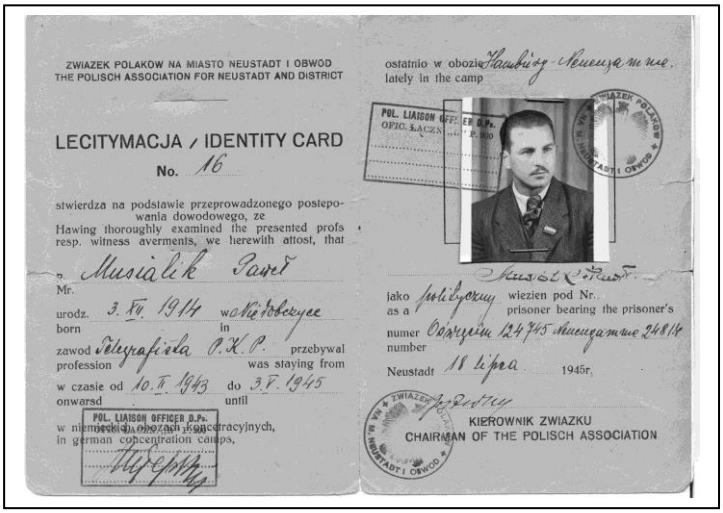
ZWIAZEK POLAKÓW NA MIASTO NEUSTADT I OBWOD
THE POLISCH ASSOCIATION FOR NEUSTADT AND DISTRICT

LECITYMACJA / IDENTITY CARD
No. 16

stwierdza na podstawie przeprowadzonego postepowania dowodowego, ze
Hawing thoroughly examined the presented profs resp. witness avermenis, we herewith attost, that

Mr. Musiolik Paweł
urodz. 3. XI. 1914 w Nowobeczyce
born in
zawod Telegrafista O.K.P. przebywal
profession was staying from
w czasie od 10. II. 1943 do 3. V. 1945
onwarsd until
w niemieckich obozach koncentracyjnych,
in german concentration camps,

POL. LIAISON OFFICER B.P.

ostatnio w obozie Hawbiży - Neuenjamme.
lately in the camp

POL. LIAISON OFFICER B.P.
OFIC. ŁĄCZN. ... P. 30

jako polityczny wiezien pod Nr.
as a prisoner bearing the prisoner's
numer Cajzeżem 124745 Nieuengamme 24814
number
Neustadt 18 lipca 1945r.

KIEROWNIK ZWIAZKU
CHAIRMAN OF THE POLISCH ASSOCIATION

W okresie stanu wojennego, organizował transporty pomocy i sam z nimi jeździł do Polski. Za swoją prace był wielokrotnie odznaczany przez Rząd Londyński jak i Rząd Trzeciej Rzeczypospolitej. Gdy w 1963 r. pierwsza żona Pawła – Józefa, schorowana po trudach życia obozowego zmarła, Paweł otrzymał list kondolencyjny od Stanisława Mikołajczyka – Prezesa Polskiego stronnictwa Ludowego z siedzibą w Waszyngtonie. Świadczy to dobitnie, jak ceniona była jego działalność polonijna w Skandynawii. (Kserokopię tego listu zamieszczam na stronie następnej).

Po śmierci Józefy, ożenił się powtórnie z Jadwigą i nadal przebywali w Szwecji do dnia jego śmierci. Zmarł w Tabergu w Szwecji 1.07.1995 r.

W Neustadt, w portowym mieście na wybrzeżu Zatoki Lubeckiej, został ustawiony pomnik – symbol zatopionych więźniów, których zwłoki morze wyrzucało na brzeg przez wiele miesięcy w 1945 r.

TEL. OLIVER 4-1383

POLSKIE STRONNICTWO LUDOWE
POLISH PEASANT PARTY
PRESIDENT: STANISLAW MIKOLAJCZYK

P.O. BOX 4155
WASHINGTON 15, D.C. — U.S.A.

Waszyngton, dn. 6 stycznia 1964 r.

Jeden z nielicznych, cudem uratowanych więźniów KL Neuengamme – Bogdan Suchowiak, autor książki *Neuengamme,* tak się wypowiedział na powyższy temat:
„Zastanawiając się nad przyczynami katastrofy można powiedzieć, że spowodowało ją celowo SS, które było zdecydowane zamordować więźniów przed wyzwoleniem. Tragiczna pomyłka lotnictwa angielskiego wyręczyła ich w tym dziele zagłady."

*

MUSIOLIK PAWEŁ (ojciec),
Urodzony 14.01.1880 r. w Lipinach pow. rybnicki, mieszkaniec Niedobczyc k.Rybnika. Ukończył szkołę powszechną w Biertułtowach, natomiast do szkoły stopnia gimnazjalnego uczęszczał w Lipinach. Pracował przez dłuższy czas jako

sekretarz w Urzędzie Gminnym w Niedobczycach. Ożenił się z Julią z d. Stel i mieli dziewięcioro dzieci – 3 córki: Elzę, Anielę i Zytę, oraz 6 synów: Huberta, Pawła, Kazimierza, Tadeusza, Bronisława i Jana. Członek POW Górnego Śląska, był powstańcem – brał aktywny udział we wszystkich trzech powstaniach śląskich, a podczas plebiscytu był zwolennikiem polityki Korfantego, której celem było przyłączenie jak największej części Śląska do Polski i walka z germanizacją.

Znany ze swoich propolskich zapatrywań, w związku z wybuchem drugiej wojny światowej w 1939 r., zmuszony był uchodzić ze śląska w obawie przed Niemcami, gdyż tuż przed wybuchem wojny (w 1939 r.) wpisany był do „księgi gończej" Sonderfandungsbuch Polen (strona zarejestrowania 105M), czyli przewidziany przez hitlerowców do „likwidacji" w pierwszej kolejności. Dotarł do Lwowa, gdzie znalazł schronienie w klasztorze Bernardynów. Po 17.09.1939 r., kiedy Armia Czerwona wkroczyła na teren Polski, w krótkim czasie został wraz z innymi wywieziony przez sowietów do Kazachstanu, gdzie 4.06.1945 r. w Bucharze, zmarł z głodu i wycieńczenia.

Los nie oszczędził i jego dzieci. Syn Hubert i córka Elżbieta przez całą okupację ukrywali się w różnych miejscach na terenie Śląska, Małopolski i Podlasia. Paweł aresztowany w Krakowie wraz z żoną i siostrą Anielą, przeszedł przez więzienie Montelupich w Krakowie, KL Auschwitz i KL Neungamme. Żonę z Montelupich przewieziono do obozu w KL Ravensbrück, a siostrę Anielę do KL Auschwitz. Zyta długi czas siedziała w więzieniu w Rybniku. Trzej synowie którzy przebywali na robotach przymusowych w Niemczech, dostali się do armii angielskiej i koniec wojny zastał ich na terenie Włoch. Tylko syn najmłodszy został w domu przy matce. Cudem wszystkie dzieci przeżyły wojnę, tylko niestety ojciec, który dostał się w ręce sowietów, nigdy nie zobaczył swojego ukochanego wolnego Śląska.

MUSIOLIK ANIELA,

Urodzona 1.06.1908 r. w Radlinie pow. rybnicki, córka Pawła i Julii z d. Stiel, mieszkanka Niedobczyc k.Rybnika. Przebywała w Krakowie wraz z Pawłem – swoim bratem i jego żoną Józefą. Tam zaangażowała się w działalność konspiracyjną w ruchu oporu. Została aresztowana i umieszczona wpierw w więzieniu na Montelupich w Krakowie, a następnie przekazana do KL Auschwitz gdzie zarejestrowano ją w obozowej ewidencji jako więźniarkę nr 40242. Brak dokładniejszych informacji o losie tej więźniarki w obozie jak i po wyzwoleniu. Wiadomo jedynie że zmarła 28.11.1972 r w Wittem (Niemcy).

MUSIOLIK JÓZEFA z d. SACHARZEC,

Urodzona 5.02.1918 r. w Dubiecku, żona Pawła Musiolika – syna. Razem z Pawłem aresztowana w Krakowie i więziona w więzieniu na Montelupich. Podczas aresztowania była w

zaawansowanej ciąży i już następnego dnia po aresztowaniu urodziła w więzieniu dziecko, które po pięciu miesiącach zmarło. Z Montelupich przesłana została 29.03.1944 r. do KL Ravensbrück, skąd wykupiona była wraz z innymi więźniarkami przez hrabiego Bernadotte – w ramach akcji Szwedzkiego Czerwonego Krzyża i przewieziona do Szwecji.

Tam, po wojnie, spotkała się z mężem Pawłem, który szczęśliwym przypadkiem uratowany ze statku Thielbeck, dostał się także do Szwecji. Józefa zmarła w Szwecji 27.12.1963 r.– schorowana w wyniku pobytu w obozie.

MUSIOLIK ZYTA,

Urodzona 3.02.1917 r. w Niedobczycach k.Rybnika, córka Pawła Musiolika i Julii z d. Stiel, mieszkanka Niedobczyc. Do szkoły powszechnej uczęszczała w Niedobczycach, a w latach 1927-1935 do prywatnego gimnazjum Sióstr Urszulanek w Rybniku. Aresztowana w okresie okupacji hitlerowskiej, więziona była przez dłuższy czas w więzieniu w Rybniku a następnie w Raciborzu gdzie miała nr więźniarki 115. Po jakimś czasie odzyskała wolność – zwolniona z więzienia.

Bibliografia: I. Pająk *Mieszkańcy Śląska, Podbeskidzia, Zagłębia Dąbrowskiego w KL Auschwitz,* Katowice 1998; J. Klistała *Działacze rybnickiego ZWZ/AK w obozach koncentracyjnych cz. II,* Bielsko-Biała 2003; Dokumenty syna Pawła – Jana Musiolika; dokumenty Danuty Mosiewicz-Mikuszowej;

Przeleciały nad obozem żurawie,
lotem tęsknot przywiedzione do kraju.
Niosły z sobą pozdrowienia ostatnie
braci zmarłych na dalekim wyraju.

Hej, wy ptaki! Ptaki wolne, szczęśliwe -
gdy spotkacie nasze wioski, rodziny,
drgnieniem skrzydeł zatroskanym powiedzcie,
że z h o n o r e m dziś zginiemy - ich syny!

wiersz: **PRZELECIAŁY ŻURAWIE**
autor: Kazimierz Wójtowicz

OGON FRANCISZEK,

Więzień KL Auschwitz nr 107466, KL Mauthausen nr 118151, KL Melk, KL Gusen.

OGON FRANCISZEK,

Los Franciszka Ogona, wspaniałego patrioty i aktywnego członka – żołnierza ZWZ/AK, w porównaniu z dziejami innych aresztowanych i więzionych w obozach jest wyjątkowo tragiczny. Olbrzymie wzruszenie wywołuje poszarzała,

odręcznie zapisana kartka papieru, na której ojciec moich serdecznych przyjaciół – synów Ogona, zawiadamia rodzinę:

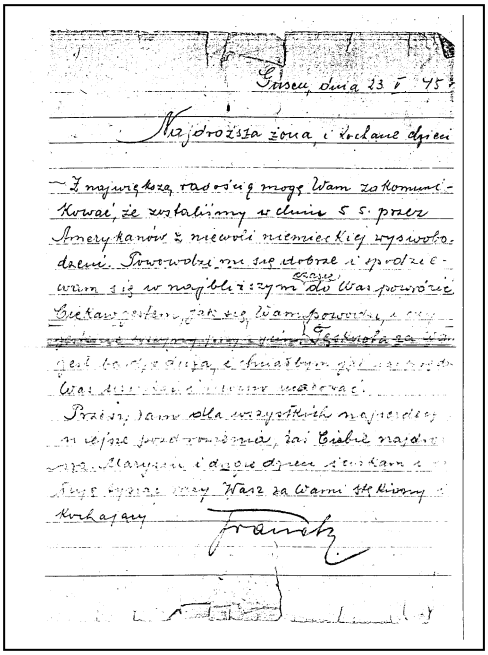

Gusen, dnia 23 V 1945 r.

Najdroższa Żono i Kochane Dzieci!

Z największą radością mogę Wam zakomunikować, że zostaliśmy w dniu 5.5. przez Amerykanów z niewoli niemieckiej wyswobodzeni. Powodzi mi się dobrze i spodziewam się w najbliższym czasie do Was powrócić. Ciekaw jestem, jak się Wam powodzi, i czy jesteście wszyscy przy życiu. Tęsknota za Wami jest bardzo duża i chciałbym jak najprędzej Was uściskać i mocno ucałować. Przesyłam dla wszystkich najserdeczniejsze pozdrowienia, zaś Ciebie najdroższa Marysiu i drogie dzieci ściskam i całuję tysiąc razy. Wasz za Wami stęskniony i kochający

Franek

Niestety, w kilkanaście dni po napisaniu tej kartki, 17.06.1945 r. – Franciszek Ogon umiera w KL Gusen ze skrajnego wycieńczenia.

Nasuwa się refleksja, iż nie do zrozumienia jest to, że człowiek, który przeżył piekło KL Auschwitz, przeżył ewakuację w marszu śmierci, przeżył udręczenia i cierpienia w tak ciężkich obozach na terenie Austrii jak KL Melk i KL Gusen, doczekał się wyzwolenia… – a do ukochanej rodziny nie powrócił!

* * *

Urodzony 10.09.1907 r. w Rybniku, syn Franciszka i Marianny. W roku 1933 zawarł związek małżeński z Marią z domu Piechaczek. Miał trzech synów – w 1934 r. urodził się Zbigniew, dwa lata później Wenanty, zaś w 1943 r. najmłodszy – Andrzej (gdy jego ojciec już był w KL Auschwitz). Po ukończeniu szkoły średniej został urzędnikiem w magistracie w Rybniku. Pracował tam do roku 1939.

osoby, które mogłyby przekazać o Franciszku Ogonie więcej informacji z tamtego okresu. Od nielicznych żyjących dowiedziałem się tylko tyle, że był człowiekiem bardzo inteligentnym i przedsiębiorczym. Chyba przez wrodzoną operatywność wynajął w 1938 r. lokal przy ul. Sobieskiego 20 –

obok wspaniałego przedwojennego domu handlowego Beygów – i otworzył tam sklep papierniczo-księgarski. Do 1939 r. sklep ten prowadziła jego żona Maria, zaś on pomagał jej w sprawach zaopatrzeniowych.

Gdy rozpoczęła się okupacja hitlerowska, Ogon został bez pracy. O zatrudnieniu w niemieckim urzędzie miejskim mowy być nie mogło. Franciszek przejął więc prowadzenie sklepu, dzięki czemu żona miała więcej czasu, by zająć się dziećmi i domem. Pracowała w sklepie tylko wtedy, gdy mąż wyjeżdżał po towar.

Podobnie jak wielu patriotów ziemi rybnickiej Franciszek Ogon zaangażował się czynnie w konspiracyjną walkę z okupantem. W budynku jego rodziców do 1932 r. mieszkała rodzina Sobików (budynek usytuowany był niedaleko ul. Gliwickiej i Szpitala Psychiatrycznego). Znali się więc od dziecięcych lat ze Stanisławem Sobikiem. W ruchu oporu – organizacji konspiracyjnej ZWZ (której współzałożycielem był własnie Stanisław Sobik) zaangażował się niemal od pierwszych chwil, czyli od początku 1940 r.

W porozumieniu z kierownictwem ZWZ urządził w swoim sklepie (usytuowanym w centrum miasta) punkt kontaktowy organizacji. Było to bardzo dogodne miejsce, gdyż przychodziły tam po zakupy osoby różnej płci i wieku, Niemcy i Polacy. Artykuły papiernicze czy książki niemieckie mieli prawo kupować i jedni, i drudzy. Kurierzy organizacji ZWZ nie różnili się niczym od innych kupujących, toteż przez skrytkę w sklepie mogli nie narażając się na jakiekolwiek podejrzenia – przekazywać meldunki i rozkazy.

Do sklepu przynosili zaszyfrowane informacje, stąd też zabierali je dla poszczególnych członków lub grup organizacyjnych. W przemyślny sposób zabezpieczono się przed ewentualną dekonspiracją. Ustalono bowiem, że w razie zastawienia przez Niemców pułapki w sklepie, sygnałem ostrzegawczym będzie umieszczona w oknie wystawowym mapa lub globus z widoczną częścią Afryki. Nie mogło to budzić podejrzeń u hitlerowskich funkcjonariuszy, gdyż na kontynencie tym Niemcy także prowadzili działania wojenne.[129]

[129] Armia Erwina Rommla – feldmarszałek niem.; jeden z czołowych dowódców Wehrmachtu; 1941–43 na czele Afrikakorps).

Punkt kontaktowy w księgarni funkcjonował sprawnie niemal od początku działania ZWZ w Rybniku aż do końca 1942 r. Wtedy to – w wyniku zdrady Jana Zientka, gestapo dowiedziało się o jego istnieniu. Niemcy postanowili aresztować właściciela sklepu, jednak ktoś życzliwie nastawiony do Franciszka Ogona uprzedził go o planach gestapo. Punkt kontaktowy został natychmiast zlikwidowany. Prowadzeniem sklepu zajęła się żona Maria, zaś Franciszek zniknął z Rybnika. Wyjechał do Brennej, gdzie ukryła go w swym domu rodzina Holeksów, z którą od czasów przedwojennych utrzymywał bliską znajomość. Dodam przy okazji, że Brenna – mała wioska w Beskidzie Śląskim – była już przed wojną bardzo popularnym miejscem wypoczynku rybniczan. W czasie okupacji miejscowość ta dała schronienie wielu działaczom konspiracyjnych grup ruchu oporu oraz partyzantom z Rybnika i jego okolic, a przede wszystkim – z Podbeskidzia.[130]

Gestapo poszukiwało Franciszka Ogona z wielką determinacją, ale bez powodzenia. W mieszkaniu Ogonów zorganizowano tzw. „kocioł". Gestapowcy przebywali tam kilka dni i nocy. Jedynie dzieci mogły wychodzić po zakupy spożywcze. Wtedy to zupełnie przypadkowo aresztowany został Hieronim Kolonko, który nie był członkiem ZWZ/AK. Był on z zawodu ślusarzem i jeszcze przed ucieczką Franciszka Ogona umówił się z nim, że naprawi w jego mieszkaniu zamek w drzwiach. Gdy zjawił się u Ogonów, gestapowcy uznali go za członka organizacji lub łącznika Franciszka z rodziną. Nie pomogły tłumaczenia, że jest ślusarzem i przyszedł naprawić zamek. Kolonkę aresztowano, odwieziono na gestapo i razem z pozostałymi aresztowanymi w dniach 11-13.02.1943 r. wywieziono do KL Auschwitz.

Gestapowcy, nie mogąc wpaść na trop Franciszka Ogona, próbowali zastosować pułapkę psychologiczną. Rozgłosili informację, że jeżeli sam nie stawi się na gestapo, wywiozą jego żonę oraz dzieci do KL Auschwitz. Dopiero jednak 11 lub 12.02.1943 r. udało im się aresztować Ogona. Najprawdopodobniej Zientek zdobył w jakiś sposób informację o miejscu jego pobytu i przekazał ją gestapowcom. Aresztowali go w Brennej – w domu Holeksów. Stamtąd przewieziony został do siedziby rybnickiego gestapo.

Dnia 13.02.1943 r. wywieziony został transportem zbiorowym do KL Auschwitz. Rozpoczął tam swoją golgotę tak jak pozostali aresztowani z Rybnika – od bloku nr 2 i baraku Wydziału Politycznego. Podczas przesłuchań gestapowcy wyżywali się na nim brutalnie w odwet za problemy, jakie im stworzył ukrywając się tak długo. Gestapo posiadało jednoznaczne informacje o roli, jaką Franciszek Ogon spełniał w ZWZ/AK. On jednak wypierał się czynów, jakie mu zarzucano, i trzymał się linii obrony, którą zalecał Stanisław Sobik. Dnia 9.03.1943 r. przekazany został wraz z Sobikiem i kilkoma innymi aresztowanymi na pobyt w obozie. Procedurę przyjęcia rozpoczął od bloku 26, gdzie wydano mu obozowy pasiak, ostrzyżono głowę, zrobiono zdjęcie w trzech

[130] Bardziej szczegółowo poruszają ten temat Juliusz Niekrasz oraz Zygmunt Walter-Janke. Por. J. Niekrasz, *Z dziejów AK na Śląsku*, Katowice 1993; Z. Walter-Janke, *W Armii Krajowej na Śląsku*, Katowice 1986.

pozycjach, wpisano do obozowej kartoteki i wytatuowano numer obozowy na lewym przedramieniu. Od tego momentu stał się „häftlingiem” nr 107466.

Trudno dzisiaj ustalić, jaki był los Franciszka Ogona w obozie, jakie prace musiał wykonywać. Z wysłanych z KL Auschwitz do domu 34 listów wiadomo na pewno, że przebywał kolejno w blokach: nr 6/3 (od 9.05.1943 do 1.01.1944), nr 4a/1 (od 23.01.1944 do 9.07.1944), nr 3a/2 (od 30.07.1944 do 22.10.1944) oraz w bloku nr 3a/6 (od 26.11.1944 do 3.01.1945).

Z informacji udzielonej przez współwięźnia Ogona dla potrzeb Muzeum w Oświęcimiu[131] można się dowiedzieć, że przebywając w bloku nr 3a Franciszek pracował w paczkarni obozowej (Paketstelle), mieszczącej się w drewnianym baraku między blokami 25 i 26. W magazynie tym przyjmowane były przesyłki od rodzin dla więźniów. Pod nadzorem esesmanów kontrolowano tam skrupulatnie ich zawartość i sprawdzano, czy nie znajdują się w nich niedozwolone przedmioty lub alkohol. Dopiero potem dostarczano paczki więźniom, dla których były przeznaczone. Odbiorca przesyłki potwierdzał jej odbiór na specjalnym blankiecie, który odsyłano nadawcy jako potwierdzenie, że dotarła ona w nienaruszonym stanie do adresata. Warunki pracy w tym komandzie były dość dobre – można było zorganizować dodatkową żywność dla siebie i współwięźniów.[132]

Rodzina Franciszka Ogona udostępniła mi listy pisane przez niego w Oświęcimiu i zgodziła się na ich opublikowanie. Przedstawiam poniżej fragmenty, które dotyczą najbliższej rodziny Franciszka – żony i dzieci. Przebija z nich wielka troska o ich egzystencję, wzruszające są miejsca, w których wyraża miłość i wdzięczność dla żony Marii, miłość do dzieci. Dla Zbigniewa i Wenantego przekazywał wskazówki i porady związane z różnymi dziecinnymi „problemami” życia. Szczególną troską i tęsknotą obdarzał najmłodszego syna, Andrzeja, który urodził się już w czasie pobytu Franciszka Ogona w obozie. Tego wszystkiego nie zabraniała pisać obozowa cenzura, jednak na małym arkuszu listowym niewiele można było zmieścić…

Auschwitz, 20.06.43

---

[131] Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. Zespół Oświadczenia, t. 46, s. 74.

[132] W obozowej paczkarni pracował także słynny „ochotnik do Auschwitz” – twórca obozowego ruchu oporu – Witold Pilecki. W swym raporcie pisze o sposobach pomagania współwięźniom podczas pracy w tym komandzie. Por. Adam Cyra, *Ochotnik do Auschwitz. Witold Pilecki (1901-1948)*, Oświęcim 2000.

[…] Kochane Dzieci! Bardzo mnie cieszy, że także Wy napisaliście kilka linijek, piszcie zawsze. Bardzo za Wami tęsknię, te kilka linijek uśmierza moją tęsknotę. Ciągle o Was myślę, moi kochani, oby Bóg sprawił, abyśmy wkrótce znów byli razem. Uspokaja mnie to, że mam tak dzielną i odważną żonę, jak Ty, kochana Mario, i za to wdzięczny jestem Bogu. […]

* * *

Auschwitz, 22.08.43

Kochani! Z wielką radością otrzymałem Wasz list z 15.08, niestety doszła tylko połowa. Z Twojego ostatniego listu nie mogłem się dowiedzieć, jak Ci się wiedzie, kochana Marysiu, dlatego jestem bardzo niespokojny. Także Zbysiu tym razem nic nie napisał. Proszę Cię, kochana Marysiu, bądź przed porodem bardzo ostrożna. Życzę Ci z całego serca, aby wszystko poszło dobrze. Co robią dzieci, czy są zdrowe? Czy Weniu się cieszy, że niedługo pójdzie do szkoły? A przede wszystkim – czy są grzeczni? […]

* * *

Sa i kolejne listy o treści bardzo osobistych odczuć i komentarzy więc pomijam ich publikowanie poza listem, w którym jest informacja o spotkaniu z bratem Pawłem w niewyjaśnionych okolicznościach. Prawdopodobnie umożliwił takie spotkanie przekupiony wartownik.

Auschwitz, 22.10.44

[…] Wciąż jestem pod wrażeniem wizyty Pawła. Nie potrafię Ci opisać, jak wielką radość mi sprawiliście i co czułem, gdy Cię, najdroższa, zobaczyłem z daleka. Jestem jak nowo narodzony. Cieszyłem się jak małe dziecko. Tak tęskniłem za tym, by Cię zobaczyć, szkoda tylko, że dzieci nie mogły przyjechać. Ze szczęścia nie wiedziałem, o czym rozmawiać z Pawłem. Cały czas miałem Ciebie przed oczyma, cały czas o Tobie myślałem, podczas gdy Ty musiałaś czekać, a ja nie mogłem zamienić z Tobą ani słowa. Ale będę cierpliwy i silny mimo olbrzymiej tęsknoty, gdyż wiem, że w końcu kiedyś wybije godzina, w której będę mógł do Was, najdroższa Mario i kochane dzieci, powrócić. Wielkim przeżyciem było dla mnie to, że mogłem zobaczyć Twoje oblicze właśnie tego dnia, kiedy obchodził swe pierwsze urodziny Andrzejek, którego jeszcze nigdy osobiście nie widziałem. Kochane Dzieci! Módlcie się codziennie za Waszego Tatusia, aby był zdrowy i wkrótce do Was powrócił, bo Bóg kocha małe dzieci i wysłuchuje ich próśb. […]

* * *

Auschwitz, 25.12.44

[…] Gdy na niebie pojawiła się pierwsza gwiazda, popatrzyłem na nią i moje myśli powędrowały do Was, najukochańsi. Przesłałem przez nią moje

życzenia dla Was i poprosiłem Pana Boga, by dał mi to wielkie szczęście i bym mógł do Was powrócić i móc razem z Wami cieszyć się życiem. Kochana Mario i Dzieci! Bardzo Was proszę, musicie opisać mi, jak spędziliście święta, i czy Dzieciątko o Was nie zapomniało. Oby Pan Bóg dalej dawał mi takie zdrowie, jak do tej pory, i oby pozwolił mi do Was niedługo powrócić – byłby to spóźniony prezent od Dzieciątka. Mam przecież tyle dobrego do zrobienia, mam u Was ogromny dług, który z wielką przyjemnością będę spłacał. Na Nowy Rok przesyłam Wam, najdrożsi, najserdeczniejsze życzenia, przede wszystkim zdrowia i tego, byśmy się wkrótce mogli zobaczyć. Także wszystkim krewnym i znajomym życzę wszystkiego najlepszego. Zostańcie z Bogiem. Do zobaczenia wkrótce. Pozdrawia Was i całuje – Wasz Franek.

* * *

W czwartym kwartale 1944 r. esesmani opracowali plany ewakuacji więźniów w pieszych kolumnach. Wprawdzie transporty ewakuacyjne z KL Birkenau do obozów i podobozów na terenie Niemiec i Austrii wysyłane były już od połowy 1944 r., jednak gdy wojska radzieckie zbliżyły się do Krakowa, władze obozowe zadecydowały o ewakuacji więźniów także z obozu macierzystego. Zadbano również o zlikwidowanie – przy pomocy więźniów – dowodów obciążających Niemców, a więc obiektów, w których dokonywano ludobójstwa oraz dokumentacji obozowej.

Franciszek Ogon doczekał ostatnich chwil funkcjonowania fabryki śmierci w Oświęcimiu, ale nie był to koniec obozowego koszmaru – więźniów czekał jeszcze „marsz śmierci". Ogon wychodził z KL Auschwitz w transporcie zbiorowym 18 stycznia 1945 r., w tej samej – ostatniej – grupie więźniów, z którą obóz opuszczał jego znajomy z rybnickiego ZWZ/AK, Karol Miczajka. Na jego właśnie relacjach opieram poniższy opis marszu.

Około godziny 1.00 w nocy kolumna opuściła obóz. Kiedy więźniowie znaleźli się już za bramą obozową, uświadomili sobie, jak ciężkie będą warunki marszu. W nocy wiał lodowaty, przejmujący wiatr, a mróz sięgał poniżej20 stopni Celsjusza. Byli umęczeni wyczerpującą pracą, a do tego dochodził jeszcze głód, cóż bowiem znaczył dla tak wycieńczonych organizmów suchy prowiant, który otrzymali na drogę – bochenek obozowego chleba i około 300 gr margaryny na osobę. Trasa marszu do Wodzisławia Śląskiego wiodła przez Rajsko, Brzeszcze, Górę, Miedźną, Ćwiklice, Pszczynę, Porębę, Brzeźce, Studziankę, Pawłowice, Jastrzębie Górne, Jastrzębie Zdrój i Mszanę. Kolumna eskortowana była przez dobrze uzbrojonych esesmanów, którym towarzyszyły stale ujadające psy. Co chwilę słychać było odgłosy strzałów z karabinów. Więźniów, którzy nie nadążali za kolumną lub próbowali uciekać, esesmani od razu zabijali. Ich ciała zostawiano na poboczu drogi – tam, gdzie zostali zamordowani. Nic więc nie wstrzymywało hitlerowców od morderczych przyzwyczajeń, nadal bez skrupułów uśmiercali więźniów. Kto chciał przeżyć, musiał iść – o głodzie, bez względu na mróz i na stan zdrowia…

Esesmani widzieli, że więźniowie nie są w stanie iść bez przerwy, dlatego za Pszczyną, w miejscowości Poręba, zorganizowano nocleg. Cała kolumna liczyła około 2500 więźniów, więc tylko części z nich udało się znaleźć schronienie w stodole i w szopie miejscowego folwarku. Nie znaczy to jednak, że mróz w tych pomieszczeniach był mniej dokuczliwy. Karol Miczajka wspominał, że mocno przytuleni do siebie i z dachem nad głową byli w lepszej sytuacji od więźniów nocujących pod gołym niebem, mimo to wielu z nich – zarówno tych pod dachem, jak i na dworze – nie dożyło świtu.

Wczesnym rankiem 20 stycznia więźniowie wyruszyli w dalszą drogę. Po całodziennym marszu dotarli do drugiego miejsca noclegu w Jastrzębiu Zdroju. Podobnie jak pierwszej nocy, część więźniów znalazła schronienie w różnych pomieszczeniach gospodarczych przy folwarku, a część nocowała pod gołym niebem. Także tutaj wielu więźniów nie przeżyło nocy – zamarzali i umierali z wycieńczenia. Karolowi Miczajce przypadło podczas tych noclegów spać wraz z kilkoma innymi więźniami na gnojowisku obok folwarku. Leżeli przytuleni do siebie, a od dołu ogrzewał ich gnój. Było im na tyle ciepło, że Miczajka wspominał te noce jako najprzyjemniejsze od momentu aresztowania!

Marsz z Jastrzębia do Wodzisławia Śląskiego odbywał się na odcinku zaledwie dziesięciu kilometrów, ale była to najtrudniejsza część drogi. Jak podają niektóre publikacje, po przejściu kolumny na tym tylko odcinku doliczono się 74 zastrzelonych więźniów.[133] Do Wodzisławia dotarli około południa. Kolumnę zaprowadzono bezpośrednio na stację kolejową, gdzie załadowano więźniów do węglarek. Na jeden wagon przypadało około 100 osób.

W Wodzisławiu doszło do spotkania Franciszka Ogona z żoną. O jego przybyciu powiadomiła Marię Ogon siostra, Marta Piechaczek, która pracowała

[133] Zob. Benedykt Kozielski, *Kilka uwag o ewakuacyjnym marszu śmierci*, Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem, zeszyt 1, Katowice 1986.

w czasie okupacji na stacji kolejowej w Rybniku, ale często przebywała służbowo w Wodzisławiu.[134] Maria pojechała do Wodzisławia z synami Zbigniewem i Wenantym. Najmłodszy syn, Andrzej, został w domu – był bardzo chorowity, a troskliwa matka obawiała się, że na takim mrozie zdrowie malca może ulec pogorszeniu.

Maria Ogon zabrała ze sobą większą sumę pieniędzy na wypadek, gdyby zaszła możliwość przekupienia któregoś z esesmanów pilnujących więźniów i zwolnienia męża z dalszego transportu. W Wodzisławiu udało jej się przekupić czymś do jedzenia jednego z wartowników, dzięki czemu mogła zobaczyć się i porozmawiać z mężem. Maria wyjawiła Franciszkowi chęć przekupienia któregoś z esesmanów, by w ten sposób załatwić jego uwolnienie od dalszej ewakuacji. Ogon znał jednak dobrze mentalność niemieckich oprawców, odwiódł żonę od tego planu. Przekonywał ją, że wojna się kończy i nie ma sensu przekupywania kogokolwiek, można bowiem trafić na fanatyka i tylko pogorszyć sytuację. Jak się później okazało, ta krótka rozmowa małżonków – pierwsza po prawie dwóch latach – była też ich ostatnią.

Dnia 21 stycznia 1945 r. około godziny 16.00 pociąg załadowany więźniami wyruszył z Wodzisławia w stronę Chałupek-Bogumina, a 26 stycznia dojechał do obozu KL Mauthausen w Górnej Austrii, w pobliżu miasta Linz. Należy tu w kilku słowach wspomnieć, w jakie to „inne miejsca" po tak ciężkich przeżyciach w KL Auschwitz ewakuowano więźniów. Posłużę się w tym celu fragmentami z przewodnika o Mauthausen-Gusen:

Obóz koncentracyjny Mauthausen – pełniący od 1940 r. rolę obozu głównego (Stammlager) dla powstających podobozów (Nebenlager) – został zbudowany latem 1938 r. przez więźniów, głównie Austriaków. Otwarto go 9 sierpnia 1938 r. Od maja 1939 r. zaczęto zsyłać do Mauthausen więźniów politycznych (Schutzhäftlinge) – Niemców z Rzeszy i Sudetów Czeskich, a także Austriaków i Czechów oraz badaczy Pisma Świętego.

Obóz został usytuowany na wzgórzu w pobliżu kamieniołomów Wiener Graben – 2,5 km od miasteczka Mauthausen. Wybudowano go według modelu obozu koncentracyjnego sprawdzonego w kilkuletniej praktyce w Dachau i Buchenwaldzie. Obóz rozbudowywano do końca wojny. Gdy wojska hitlerowskie opuszczały okupowane kraje na wschodzie i zachodzie Europy oraz na Bałkanach, a Mauthausen nie mogło już pomieścić przywożonych więźniów, jesienią 1944 r. utworzono obóz pod namiotami (Zeltlager – 16 tys. m²), otoczony drutem kolczastym naładowanym elektrycznością. […]

W latach 1943-1945 większość więźniów przeznaczonych do pracy w podobozach rozpoczynała staż obozowy w Mauthausen lub kontynuowała tu pobyt rozpoczęty w Oświęcimiu, Gross Rosen i innych obozach. Stąd – po odbyciu kwarantanny lub kilkumiesięcznej pracy – byli oni przekazywani do

[134] Karol Miczajka opowiadał o wspaniałej postawie Marty Piechaczek i pomocy, jakiej udzieliła więźniom na dworcu w Wodzisławiu. Opisałem to w następnym rozdziale.

Gusen, a w latach następnych – do coraz liczniejszych podobozów na terenie Austrii.

Mauthausen i pobliskie Gusen zostały wybrane na siedziby obozów koncentracyjnych, ponieważ obok obu tych miejscowości znajdowały się wielkie kamieniołomy. Położenie kamieniołomów odpowiadało warunkom, które SS uznało za nieodzowne dla obozu koncentracyjnego: leżały niedaleko dużego miasta (Mauthausen – 28 km od Linzu) choć z daleka od głównych dróg, były łatwe do izolowania i zamaskowania, otaczały je bowiem tereny słabo zagospodarowane, pastwiska, mokradła naddunajskie i nieużytki.

Oba obozy miały stanowić miejsca wyniszczenia antyhitlerowskich działaczy politycznych z Niemiec i Austrii oraz reedukacji przestępców skazanych na wieloletnie więzienia przez sądy niemieckie i austriackie. […]

Według urzędowej klasyfikacji obozów koncentracyjnych – ustalonej przez Reinharda Heydricha, szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy – miały to być obozy III stopnia o najsurowszym reżimie, przeznaczone „dla więźniów poważnie obciążonych, szczególnie dla karanych za przestępstwa kryminalne i aspołecznych, tzn. całkowicie niewychowalnych". Tylko te dwa obozy – Mauthausen i Gusen – zostały zaliczone do obozów III stopnia. Dachau i Sachsenhausen – budzące grozę w opinii całego świata – były obozami I stopnia („dla mało obciążonych i zdolnych do poprawy"), a Buchenwald, Neuengamme, Gross Rosen i Stutthof były obozami II stopnia („dla więźniów poważnie obciążonych, ale jeszcze wychowalnych i zdolnych do poprawy").

W podobny sposób jak Mauthausen i Gusen tworzono w następnych latach podobozy w Melku, Linzu, Ebensee i innych miejscowościach Austrii. Były one budowane w pośpiechu, nie zawsze otoczone murem lub podwójnym płotem z drutu kolczastego (jak w Mauthausen), często tylko pojedynczym ogrodzeniem naładowanym elektrycznością o wysokim napięciu. Stawiano natomiast wokół tych obozów strzelnice obsadzone uzbrojonymi strażnikami lub otaczano je gęstym kordonem wartowników. […]

Więźniowie Mauthausen pochodzili z krajów Europy okupowanych przez Niemcy, a tylko nieliczni – z krajów neutralnych lub spoza Europy. Najliczniejszą grupę stanowili Polacy i obywatele radzieccy (jeńcy wojenni i robotnicy cywilni), następnie Węgrzy (głównie pochodzenia żydowskiego), Niemcy i Austriacy (zaliczani w statystyce do Niemców), Francuzi, Jugosłowianie, Włosi i Hiszpanie.

Większość więźniów Mauthausen zdolnych do pracy zatrudniana była w kamieniołomach Wiener Graben, a od wiosny 1944 r. – także w zakładach zbrojeniowych Messerschmitt. Pozostali pracowali w różnych komandach budowlanych oraz w licznych małych grupach roboczych obsługujących obóz i załogę SS.

Warunki pracy były ciężkie. Sto osiemdziesiąt sześć schodów prowadzących do kamieniołomów Wiener Graben z położonego na wzgórzu obozu stało się symbolem martyrologii więźniów Mauthausen. Wracający codziennie tymi schodami więźniowie padali z wyczerpania, byli stąd strącani w

przepaść przez eskortujących SS-manów i kapo. Niezdolnych do pracy i chorych zabijano masowo zastrzykami dożylnymi w obozowym szpitalu lub wysyłano do zakładu w Hartheim, gdzie zabijano ich gazem. […]

Obóz został wyzwolony 5 maja 1945 r. przez jednostkę armii amerykańskiej. Komendant obozu, Franz Ziereis, został schwytany przez więźniów Gusen. Zmarł z ran odniesionych podczas próby ucieczki.[135]

W Mauthausen Franciszek Ogon przebywał tylko trzy dni na kwarantannie, trwającej w innych obozach znacznie dłużej. Otrzymał numer obozowy 118151, ale już nie wytatuowano mu go na ręce – wybity był na metalowej blaszce przymocowanej do kawałka drutu. Tak prymitywnie wykonana bransoletka musiała być noszona na przegubie ręki. Po trzech dniach wielu więźniów, w tym także Franciszka Ogona i Karola Miczajkę, ewakuowano do podobozu w Melk. Tam jednak zostali rozdzieleni – Ogon pozostał w KL Melk, natomiast Miczajkę przetransportowano do podobozu w Ebensee.

Trudno ustalić, jakie były dalsze losy Ogona w KL Melk – gdzie pracował i w jakich warunkach przebywał – gdyż nie udało mi się niestety dotrzeć do bezpośrednich świadków. Możemy jednak – analizując fragmenty cytowanego wcześniej przewodnika o Mauthausen-Gusen – zorientować się w warunkach, jakie tam panowały:

Obóz koncentracyjny w Melku został otwarty 20 kwietnia 1944 r. […] Latem 1944 r. do obozu przywieziono dużą grupę więźniów włoskich, a następnie coraz to nowe grupy Polaków, obywateli radzieckich, Jugosłowian, Greków, Żydów węgierskich i innych. Więźniów umieszczano początkowo w koszarach wojskowych. Nie były one przygotowane na pomieszczenie tak wielkiej liczby ludzi. Nie było tam ani szpitala, ani ambulatorium, pralni, magazynów itp. Więźniów rozmieszczono w garażach i wybudowanych pospiesznie barakach obozowych.

Obóz miał być ośrodkiem produkcji wojennej, dlatego też zamiast nazwy miejscowości, w której się znajdował, oznaczono go kryptonimem „Quarz".

Więźniowie Melku w ogromnej większości zatrudnieni zostali przy budowie sztolni dla mającej tam powstać fabryki firmy Steyr-Daimler-Puch. Wydrążono 7 wielkich chodników podziemnych o szerokości 25 m, połączonych wewnętrznymi chodnikami. Zostały one wybetonowane, zelektryfikowane i wyposażone w maszyny. Ponieważ sztolnie położone były w Loosdorf-Reggensdorf, w odległości kilku kilometrów od obozu, więźniów dowożono do nich pociągiem. Linie kolejowe dowoziły też do sztolni stal, z której wyrabiano łożyska kulkowe. Ponad 7000 więźniów pracowało w tych sztolniach pod nadzorem SS-manów i majstrów cywilnych. Obóz w Melku był jednym z głównych producentów łożysk kulkowych do wytwarzanych przez

[135] Stanisław Dobosiewicz, *Mauthausen-Gusen*, Warszawa 1985, s. 7-13.

Steyr-Daimler-Puch czołgów (słynne Panther), wozów pancernych i podwozi samolotowych.

Śmiertelność w obozie była wysoka. Powodowały ją złe warunki higieniczne i niedożywienie, a przede wszystkim – wymuszane terrorem – wysokie tempo pracy przy drążeniu sztolni i przy produkcji łożysk kulkowych w wilgotnych i dusznych podziemiach. […]

Po zajęciu Wiednia przez wojska radzieckie obóz ewakuowano. Na początku kwietnia obłożnie chorych więźniów wywieziono do Mauthausen, a następnie chorych mogących iść wyprowadzono pieszo również do obozu głównego. Niewielu z nich doszło do celu wędrówki – wyczerpanych i niezdolnych do kontynuowania marszu konwojujący SS-mani zabijali. 15 kwietnia, w wielkim pośpiechu, wpędzono pozostałych więźniów do pociągu towarowego oraz na statek na Dunaju i przewieziono do Linzu, a następnie – do Ebensee. […]

Przez obóz koncentracyjny w Melku przeszło przez niespełna rok 15000 więźniów różnych narodowości, a 7500 zostało w nim zamordowanych lub zmarło z wycieńczenia.[136]

Wśród więźniów ewakuowanych z obozu macierzystego do Mauthausen, a stamtąd do Gusen, był także Franciszek Ogon. Ponownie przytoczę kilka danych dotyczących tego – najgorszego na terenie Austrii – obozu zagłady:

Obóz koncentracyjny Gusen miał być początkowo samodzielnym obozem, do którego gestapo miało zsyłać na eksterminację Polaków uznanych za „kierowniczą warstwę narodu polskiego", aresztowanych w specjalnych akcjach policyjnych (Polenaktion i Aussenordentliche Befriedungsaktion). Miał więc być „obozem zagłady inteligencji polskiej". Podporządkowano go jednak obozowi w Mauthausen jako Mauthausen/Unterkunft Gusen, a odrębność obozu wyrażała się w osobnej numeracji więźniów – zlikwidowanej dopiero w 1944 r. […]

Obóz otoczono trzymetrowej wysokości murem kamiennym z 5 wieżami strażniczymi i – od strony wewnętrznej – płotem z drutu kolczastego. Między płotem i murem krążyły posterunki uzbrojonych wartowników.

Więźniowie Gusen mieli pracować w dwóch wielkich kamieniołomach – Gusen i Kastenhofen – przy produkcji obrobionego granitu, przeznaczonego na wielkie budowle w stolicy i innych historycznych miastach Rzeszy Niemieckiej. […]

Gusen stało się największym obozem koncentracyjnym w Austrii, produkującym najwięcej i zatrudniającym największą liczbę więźniów. Reżim obozowy w Gusen był najsurowszy ze wszystkich reżimów obozowych Trzeciej Rzeszy.

---

[136] Stanisław Dobosiewicz, *Mauthausen-Gusen*, Warszawa 1985, s. 25-27.

Pod koniec istnienia obozu w Gusen II stosowano praktykę zabijania pałką lub topienia w beczkach z wodą, a w zimie na początku 1945 r. – pod pozorem konieczności dezynfekowania baraków – przetrzymywano na mrozie podczas śnieżycy tysiące nagich więźniów. […]

Polacy byli współorganizatorami konspiracyjnej samoobrony więźniów przed zamierzoną przez SS likwidacją obozu pod koniec wojny. Zorganizowana przez Polaków „Akcja Wojskowa" (pod dowództwem kpt. Józefa Wysockiego) miała bronić więźniów przed napaścią SS-manów i masakrą. Konspiracja obozowa udaremniła próbę wymordowania całej załogi więźniarskiej w sztolniach Kellerbau, dokąd 28 kwietnia 1945 r. spędzono więźniów w czasie pozorowanego alarmu lotniczego.

Obóz wyzwolony został 5 maja 1945 r. przez jednostkę armii amerykańskiej. Wyzwolenia doczekało 21386 więźniów. Zginęło w czasie funkcjonowania obozu i zmarło z wyczerpania w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu 446000 więźniów, w tym około 27000 Polaków.[137]

Franciszek Ogon znajdował się między tymi, którzy przetrwali w ciężkich warunkach obozowej egzystencji. Wyzwolony cieszył się z przeżycia i bardzo tęsknił do domu – do żony i dzieci. Przez więźnia, który natychmiast po odzyskaniu wolności wracał w strony leżące niedaleko Rybnika, przesłał do żony list pełen optymizmu i radości z rychłego powrotu do domu. List ten zacytowałem na początku rozdziału. Niestety organizm Franciszka Ogona, skrajnie wycieńczony głodowaniem i ciężką pracą, nie wytrzymał. Franciszek znalazł się wśród tych, którzy zmarli z wyczerpania tuż po wyzwoleniu, nie zobaczywszy swych bliskich…

[137] Stanisław Dobosiewicz, *Mauthausen-Gusen*, Warszawa 1985, s. 18-24.

Ileż razy razem na apelu
Obok siebie staliśmy w szeregu,
Lub do pracy głupiej i bez celu
W jednej piątce szliśmy boso w śniegu.

I ta sama przyczyna sprawiła,
Że żyliśmy w nędzy, w poniewierce,
Ona w piersi, pod trójkątem tkwiła:
Twoja duma, nieugięte serce.

I ta sama kazała nam siła
Wierzyć w to, co nigdy nie umiera.[...]

fragment wiersza: **Towarzyszu „Haftlingu"**
autor: Mirosław Łebkowski

PLUTA FRANCISZEK,

Więźniem KL Auschwitz nr 112725.

PLUTA FRANCISZEK,
Urodził się 19 listopada 1910 r. w Bottrop (w Westfalii). Z końcem I wojny światowej, jako 8-letni chłopiec przyjechał z rodzicami do kraju i zamieszkał w Rybniku. Po ukończeniu szkoły powszechnej, rozpoczął naukę w rybnickim

gimnazjum, maturę zdał w 1930 r. Aby zdobyć środki materialne na studia, przyjął w 1931 r. posadę urzędnika pocztowego w Rydułtowach. Jesienią 1932 rozpoczął studia filozofii na Uniwersytecie Poznańskim. Przerwał studia dla odbycia służby wojskowej w latach 1933 - 34 w podchorążówce piechoty w Zambrowie. Następnie, wrócił na przerwane studia, które ukończył w roku 1937. Objął posadę urzędnika w starostwie w Tarnowskich Górach.

Gdy w 1939 r. hitlerowcy napadli na Polskę, ewakuował się wraz z innymi pracownikami starostwa do Lwowa, skąd po wielu perypetiach wrócił do domu i ukrywał się aż do wiosny 1940 r. Zagrożony aresztowaniem i chcąc uchronić rodzinę od prześladowania, przedostał się do Krakowa gdzie podjął pracę na kolei i działał w szeregach organizacji konspiracyjnej ZWZ/AK. Przewodniczył grupie rybnickiej, działającej w Krakowie przy Komendzie Krakowskiej AK. Znając doskonale środowisko studenckie, był Prezesem korporacji akademickiej „Odra", skupiającej młodzież akademicką z Krakowa.

Został zdradzony wraz z innymi kolegami z grupy rybnickiej, przez Jana Zientka z Rybnika. Aresztowano go 10 – 11 lutego w 1943 r. Po śledztwie przeprowadzonym przez gestapo na Montelupich w Krakowie, 6.04.194316 przetransportowany został do KL Auschwitz, gdzie po zarejestrowaniu w obozowej ewidencji otrzymał numer 112725. Dnia 14.04.1943 r. przetransportowano go do Gusen i tam zatrudniony był w kamieniołomach. Na skutek katorżniczej pracy i niedożywienia, w lutym 1945 nabawił się choroby płuc i trafił do szpitala obozowego. Żył nadzieją na bliski koniec hitlerowskiego panowania, oczekiwał oswobodzenia przez wojska alianckie, które w szybkim tempie zbliżały się do obozu. Niestety, dnia 22.04.1945 r., a więc na parę dni przed oswobodzeniem obozu przez wojska alianckie został wraz z całym szpitalem zagazowany przez niemieckich oprawców.

W setce roboczej, marna jednostka,
zapełniam miejsce w przemarszu przez bramę.
Kiedy z wysiłku krzyż pod skałą złamię,
rzucą mnie na bok jak złamany oskard.
Wezmą za nogi, pokrwawione ręce -
na apelowym położą mnie placu,
po raz ostatni mój numer zaznaczą,
jutro w raporcie nie będzie mnie więcej.

Przeminę... Tylko wiatr, co łka na drutach,
z konarów wierzby uderzy w szloch
i w okna domu sercem zapuka,
memu synowi szepnie we śnie: Pamiętaj!...

wiersz: **To ja - numer**
autor: Gustaw Przeczek

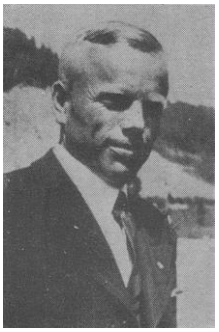

PUKOWIEC JÓZEF, pseud. „Chmura" i „Pukoc".
Więzień KL Auschwitz.

PUKOWIEC JÓZEF, pseud. „Chmura" i „Pukoc".

[...] Jeśli bowiem ktoś wszystko poświęcił dla idei, to uważa, iż wokół niego też wszystko dla idei poświęcone być musi...[...]

Prof. dr Antoni Kępiński *Rytm Życia*

Ilekroć zaistnieje możliwość, podkreślam wielki związek uczuciowy z moim rodzinnym miastem – Rybnikiem. Gdy więc opracowywałem dzieje harcerzy z Podbeskidzia, podkreślałem i tam powiązania z tymże rodzinnym miastem z którego pochodzi jakże wybitna osobowość – harcmistrz Józef Pukowiec, komendant Chorągwi Śląskiej w Katowicach. Na wzmiankę o Nim natrafiłem bowiem zupełnie przypadkowo, gdy przeglądałem udostępniony materiał otrzymany od Józefa Drożdża, który spotkał się z Józefem Pukowcem w sierpniu 1937 r. w Suminie, niedaleko Raciborza. Tam bowiem, przy granicy niemieckiej, odbywał się kurs podharcmistrzowski, gdzie spotkali się obaj wymienieni druhowie (później ich drogi schodziły się kilkakrotnie – także w KL Auschwitz). Już wówczas wielu – także młodych patriotów, zatroskanych było o losy Polski wobec coraz liczniejszych i ostrzejszych napastliwości Niemców hitlerowskich. Władze harcerskie Śląskiej Komendy Chorągwi Harcerzy w Katowicach zdawały sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego Polsce ze strony niemieckiej, czego dowodem może być fakt, że już na wyżej wymienionym kursie harcmistrz Józef Pukowiec zalecał harcerzom naukę języka niemieckiego, by z wyprzedzeniem wsłuchiwać się w zamiary Niemców osiadłych od lat na śląskiej ziemi.

Wracając jednak do osoby Józefa Pukowca, trzeba wspomnieć o klimacie w jakim się wychowywał, jak na jego charakter oraz późniejsze zachowania wpływało nastawienie rodziców, rodziny i ludzi, z którymi się kontaktował od najmłodszych lat.

Wykorzystuję duży fragment z opracowania Szczepana Balickiego, przedstawiającego poruszony przeze mnie problem w ten oto sposób:

„Tradycje harcerstwa rybnickiego sięgają czasów plebiscytowych, kiedy grupa harcerzy brała udział w akcji propagandowej i ochronie polskich placówek, a następnie uczestniczyła w III Powstaniu Śląskim, odznaczając się chwalebnie w odbiciu z rąk niemieckich Huty „Silesia" na Paruszowcu. Drużyna harcerska znalazła się też na Rynku w Rybniku podczas powitania oddziałów Wojska Polskiego w lipcu 1922 r. Utworzony w roku 1923 Hufiec Rybnik stał się prawdziwą kuźnią autentycznego patriotyzmu i dobrze przygotował brać harcerską do tej ogniowej próby, jaką stał się okres II wojny światowej.

Podziemna praca harcerska rozpoczęła się już w październiku 1939 r., a młodzież i instruktorzy Hufca odegrali czołową rolę w działalności konspiracyjnej i walce zbrojnej z okupantem na terenie ziemi Rybnickiej, płacąc za to licznymi ofiarami. Toteż, gdy u schyłku lat sześćdziesiątych należało wybrać Hufcowi patrona, z długiego pocztu poległych harcerzy na czoło wysunęła się zdecydowanie postać harcmistrza Józefa Pukowca – człowieka umiejącego zarówno w pracy pokojowej, jak i walce z niemieckim najeźdźcą godnie realizować ideały Prawa Harcerskiego, wiernego Ojczyźnie aż do męczeńskiej śmierci.”.

*

Józef Pukowiec urodził się 14.09.1904 r. w Świętochłowicach, w rodzinie robotniczej. Patriotyczna atmosfera domu rodzinnego wywarła niezatarte piętno na chłopcu, upośledzonym przez garb, lecz obdarzonego ogromną siłą woli i otwartym - chłonnym na wiedzę umysłem. Zaangażowanie Józefa i jego braci w kolportaż polskich wydawnictw, bardzo niekorzystnie wpływało na stosunki wobec niego w niemieckiej szkole, skutkiem czego rodzina Pukowców przeniosła się ze Świętochłowic do Chwałowic koło Rybnika. Po ukończeniu szkoły Józef Pukowiec podjął się roli gońca w Komitecie Plebiscytowym, uczestnicząc w ten sposób w powstaniach śląskich, a po wyzwoleniu Śląska rozpoczął naukę w seminarium nauczycielskim, kończąc je w 1925 r. W tymże roku pojechał na kurs zastępowych do Mszany i kurs ten ukończył uroczystym złożeniem Przyrzeczenia Harcerskiego. Po roku pobytu w Baranowicach przeniósł się do Chwałowic, pracując jako nauczyciel i prowadząc równocześnie tamtejszą drużynę im. T. Kościuszki. W roku 1927 Józef Pukowiec objął funkcję komendanta Hufca Rybnik i pełnił tę funkcję do 1929 r. a po krótkiej przerwie kolejny raz od 1935 do 1938 r. W roku 1939 został komendantem Chorągwi Związku Harcerstwa Polskiego w Katowicach. W sierpniu 1939 r. utworzył Harcerską Służbę Pomocniczą, zabezpieczył archiwum Komendy, a po wybuchu wojny organizował działalność obronną drużyn harcerskich, przekształconych w Harcerskie Pogotowie Służby Wartowniczej. W październiku tegoż roku założona została przez Józefa Pukowca konspiracyjna komórka harcerska „Birkuty” na terenie Katowic. W następnych miesiącach opracowany został pod jego kierownictwem plan konspiracyjnie działajacego harcerstwa na Śląsku. Sam od tego czasu przyjmuje pseudonimy: „Chmura” i „Pukoc”. Redagował pisma konspiracyjne „Zryw” i „Świt”. Kierując pracą podziemnej Chorągwi Śląskiej, Pukowiec wszedł do sztabu okręgowego organizacji Siły Zbrojne Polski (SZP), a następnie Związek Walki Zbrojnej. Został jednak aresztowany przez gestapo 18.12.1940 r. i przekazany do KL Auschwitz.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, otrzymałem pamiętnik osoby bardzo zaangażowanej w ruchu oporu z Rybnika – wspomnienia Franciszka Żymełki, byłego więźnia KL Auschwitz, który tak oto przedstawia spotkanie w tymże obozie z Józefem Pukowcem:

[...]Tam w rogu sali kuli się na swoim łożu boleści Pukowiec - przeżywa dramatyczne chwile swego życia. Pukowiec nie jest wprawdzie chory, ale patriotyczne serca i przyjacielskie ręce tu na rewirze go zadekowały. Już wie, że dni jego życia są policzone. Wie, że w każdej chwili może zostać wywołany na sąd doraźny tysiącletniej Rzeszy, z którego nie wraca się nawet do Auschwitz. Podchodzą do niego i pytam czy potrzebuje pomocy. Patrzy na mnie swoimi wymownymi i smutnymi w tej chwili oczyma i powiada: „Kolego, jesteście z rybnickiego. Ja też. Kiedy wrócicie, a wierzę ba jestem pewien, że wrócicie proszę pozdrówcie moich znajomych i ziemię rybnicką od człowieka, który dla tej ziemi i Polski żył". Mówicie kolego tak jakbyście jutro mieli być ściści - powiedziałem. „- Bo też tak będzie" – odpowiedział. „- Myślicie w czarnych barwach o przyszłości" – ja na to. „- Kolego wiem o sobie więcej niż wy. To samo wiedzą niestety Niemcy. Przez zdrajców idę na śmierć. Moje dni są policzone. Byłem harcerzem, ukochałem swoja ojczyznę Polskę, którą niestety nie wszyscy uważali za skarb największy, za źródło natchnienia i życia. Giniemy na skutek niefrasobliwości, sobkostwa, politycznej bezmyślności naszych przywódców. Im zdawało się pewnie, że Polska jest dalej krajem, z którego można czerpać zyski i korzyści bez jakiejkolwiek szkody dla Ojczyzny. A przecież Polska była Ojczyzną przynajmniej dla naszego pokolenia".

Patrzyłem na niego, na jego pokrytą rozpaczą twarz, na oczy zasnute mgłą żalu, boleści i nie znalazłem słów pocieszenia. Czy są jednak słowa zdolne dać pocieszenie, nadzieję pokrzepienie człowiekowi, który wie, że jutro już żył nie będzie? Takich słów nie uczono nas w szkole, chociaż uczono jak Ojczyznę kochać i jak poświęcać dla niej wszystko, nawet życie. Spojrzałem jeszcze raz na smutną twarz Pukowca i pomyślałem, że mimo tego smutku potrafi opanować wewnętrzne wzburzenie i zapanować nad nerwami w takiej chwili. Zastanawiałem się czy ja byłbym zdolny do takiego zachowania w chwili najwyższej próby. Nie potrafiłem na takie pytanie odpowiedzieć. A on rozważał w cichości ducha przeżyte dni i czekający go los, którego się domyślał i przeczuwał, ale któremu nie mógł zapobiec. Zabrany wiosną 1941 roku do katowickiego więzienia został przez Standgericht, czyli sąd doraźny, skazany na śmierś i ścięty toporem w 1942 roku. Nikt nie usłyszał jego słów „Niech żyje Polska", które tak często padały w tym miejscu straceń w owym czasie, a które wypowiedział. Jestem o tym przekonany.[...]

W połowie stycznia 1941 r. przewieziono Józefa Pukowca do więzienia katowickiego i poddano nieludzkim torturom. Nie zdradził jednak żadnego nazwiska ani schematu organizacyjnego. Jego zachowanie w rękach oprawców było wyrazem postawy wyniesionej z rodzinnego domu i zachowanej do końca.

Oto Jego list, napisany w przeddzień egzekucji:

Kattowitz, 13.8.42 r.

Moi Najdrożsi!

List Wasz otrzymałem wczoraj. Serdecznie Wam wszystkim za życzenia dziękuję i pozdrawiam Was wszystkich po raz ostatni, życząc Wam wszystkiego dobrego, pogodzenia się z wolą Bożą. Schodzę pogodzony z Bogiem, spokojny, bez wyrzutów sumienia, bez poczucia wyrządzenia komukolwiek krzywdy, z myślą o Was Kochani Rodzice, o Was Bracia i Siostry. Jeśli Was któregokolwiek uraziłem przepraszam i myślę, że mnie także wszystko wybaczycie. Schodzę w przekonaniu, że wykonałem także obowiązki syna i brata ile to leżało w moich siłach. Kiedy list ten otrzymacie, mnie już nie będzie ale pozostanę z Wami. Proszę Was o modlitwę za biedną i grzeszną duszę moją. Testamentu pisał nie będę, bo wszystko co posiadałem, to gorące uczucia miłości dla Was, Braci oraz siostry a o nich wątpić nie będziecie. Marię pożegnajcie również. Luśkę jej córeczki, Waleskę i jej dzieci, Martę i dzieci, Annę, Szwagrów i wszystkich oraz ich dzieci. Rzeczy, które tu są możecie odebrać pod wskazanym adresem: 1) Zegarek, 2) parę butów, 3) ubranie szare, 4) płaszcz zimowy, 5) 4 koszule, 6) 3 gaci, 7) parę kapci, 8) 3 pary skarpetek, 9) 3 chusteczki do nosa, 10) 26,08 DM, 11) zeszyty i książki do nauki stenografii, 12) kapelusz szary, 13) kołnierz i krawat, 14) różaniec, 15) listy. Ostatni raz Was pozdrawiam, wytrwajcie w bojaźni Bożej, w myśli o ponownym połączeniu się w zaświatach na łonie Boga, w myśli o lepszym jutrze. Zostańcie nieugięci, niezłomni tym silnym ciosem do ponownego połączenia się. Prochy moje sprowadźcie i pochowajcie albo w Pszczynie lub w Ćwiklicach, jako pomnik wystarczy korona cierniowa.

Ostatnie pozdrowienia śle Wasz syn i brat

Józef

Treść listu, poruszająca nawet najbardziej zatwardziałe serca, wskazuje na hart ducha osobowości niezwykle zorganizowanej, wysoce religijnej, wiernej do końca swoim ideałom.

Nawet po latach byli współwięźniowie z KL Auschwitz – z bloku 14, wspominają wieczór wigilijny ze śpiewaniem kolęd, zorganizowany przez Józefa Pukowca.

Gdy jednak zapadł w Bytomiu wyrok w jego sprawie – kara śmierci, w dniu 14.08.1942 r., ścięcie gilotyną przerwało życie człowieka tak oddanego Bogu i Ojczyźnie.

*

Przypomnę jeszcze dla uzupełnienia, że w kilka dni po ścięciu Józefa, aresztowano Jego brata – Bronisława, wywieziono do KL Auschwitz, gdzie został rozstrzelany. Kolejny brat – Alojzy, także dostał się do obozu

Nouengamme pod Hamburgiem. Gdy jednak nastąpiła ewakuacja obozu drogą morską, zginął zatopiony na jednym z czterech statków – zbombardowanych przez wojska alianckie. Czwarty z braci – Stanisław, także aresztowany przez hitlerowców, dostał się do KL Buchenwald i tam został oswobodzony.

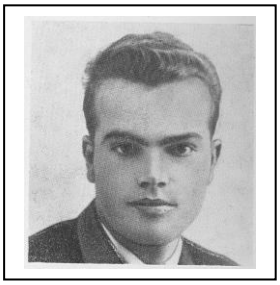

Przeżył wprawdzie pobyt w kilku obozach, lecz wskutek wykonywanych na nim doświadczeń pseudomedycznych zmarł w 1948 r.

Nazwisko Pukowców stało się dla społeczności rybnickiej symbolem walki i męczeństwa. Imię Józefa Pukowca często jest nadal wspominane przez brać harcerską na ogniskach, gawędach, apelach poległych. Jest bowiem także symbolem tej wielkiej rzeszy rybniczan, których prochy spoczywają na wszystkich niemal pobojowiskach i obozach zagłady minionej wojny.

Wytyczono Szlak Rybnickich Harcerzy, wiodący przez miejsca związane z działalnością hm. Pukowca. Rada Państwa PRL przyznała 25.08.1982 r. Józefowi Pukowcowi pośmiertnie Medal za Udział w Wojnie Obronnej 1939 r.

Żadne jednak – nawet najpoważniejsze odznaczenia nie zastąpią tego, co zapada bardzo głęboko w sercach ludzi, manifestujących tak wielkiemu patriocie należną mu serdeczność i wieczną pamięć!!!

[...] Idą zgarbieni, zmarznięci i głodni.
Deszcz chloszcze pasiaki, wiatr szarpie łach spodni.
Idą szkielety pogięte, półcienie.
Przed nimi śmierć kroczy, za nimi cierpienie.
A oczy wygasłe wciąż wloką po ziemi...
A stukot drewniaków żałobny marsz jęczy...
I milczą, bo słowo ich losu nie zmieni,
a wargi spękane osłabia i męczy.
Więc idą zgarbieni, zmarznięci i głodni.
Deszcz chłoszcze pasiaki, wiatr szarpie łaczh spodni.

wiersz: **MUZUŁMANIE W AUSCHWITZU**
autor: Kazimierz Wójtowicz

SIĄKAŁA ALOJZY,

Więzień KL Auschwitz nr 109857.

SIĄKAŁA ALOJZY,

Nr. 126
Nazwisko Siąkała
Imię Alojzy
Data urodzenia 2 II 1915
Miejsce urodzenia w Jaworzu
Imię ojca ..... matki Marja
Zawód ... pomo. ogrodniczy
Miejsce zamieszkania Jaworza 97
Wzrost średni
Twarz owalna
Włosy czarne
Oczy czarne
Znaki szczególne /
Wydany dnia 2. X 1934
Pieczęć gminy
Podpis
URZĄD GMINY JAWORZ
(Własnoręczny podpis posiadacza)
Stosownie do art. 19 rozp. Prezydenta R. P. z dnia 15 marca 1928 r. o ewidencji i kontroli ruchu ludności (Dz. U. R. P. Nr. 32, poz. 300) zaświadczam, że wymieniony(a) w niniejszym dowodzie
jest obywatelem(ką) polskim(ką), co zostało stwierdzone
na podstawie ...
Urząd Starostwo w Bielsku
Nr. ...
Dnia 3 III 1934
Pieczęć powiatowego urzędu ewidencji
Za Starostę
(Wł. Medwecki)

Urodził się 2.02.1915 r. w Jaworzu pow. Cieszyn. Po szkole podstawowej, uczęszczał do szkoły ogrodniczej, a po jej ukończeniu, odbywał praktykę w ogrodnictwie w Jaworzu od 1931 do 1935 r. Następnie, przeszedł przeszkolenie – kurs żandarmerii w Grudziądzu. Po tym kursie, w okresie od 9.07.1936 r. 27.10.1937 pracował w służbie policyjnej, a po jakimś czasie pracy w żandarmerii, przeniósł się na własne żądanie do pracy w więziennictwie – przy Sądzie w Rybniku. Od 14.12.1938 do 20.02.1939 r. pracował w kopalni Węgla Kamiennego „Rymer" w Niedobczycach, natomiast w pierwszych dniach okupacji przenosi się do pracy na kolei w Rybniku, i tam zaangażował się do pracy konspiracyjnej.

Kilkakrotnie powoływałem się na fakt, jak prężną organizację konspiracyjną stworzyło środowisko kolejarskie i jak dokuczliwa była ona dla okupanta. Zdrajca Jan Zientek, także wywodzący się z tego środowiska, rozpracowywał od dłuższego czasu dla gestapo struktury ZWZ. Dostarczył więc swoim mocodawcom dostateczne dowody winy i wykaz konspiratorów. Między innymi znajdowało się w tym wykazie nazwisko Alojzego Siąkały.

Alojzy Siąkała został aresztowany rano dnia 12 lutego 1943 r. w swoim mieszkaniu, przy ulicy Sobieskiego 12 w Rybniku, przewieziony na gestapo przy ulicy Św. Józefa i umieszczony w piwnicy tego budynku. Następnego dnia tj. 13 lutego, wraz z pozostałymi około 60 aresztowanymi osobami – członkami ZWZ/AK z Rybnika, przetransportowany został do KL Auschwitz.

Przekroczywszy bramę ze znamiennym napisem „ARBEIT MACHT FREI", skierowany był do bloku 2a. Z tego bloku, zabierano go na sadystyczne przesłuchania. Po zakończeniu przesłuchań i podpisaniu protokołu końcowego, rozpoczynał obozowe przeżycia.

To w bloku 26 po formalnościach związanych ze zdaniem cywilnego ubrania, kąpieli, ubraniu się w więzienny pasiak, wykonaniu zdjęcia obozowego, założono mu kartotekę personalną i wytatuowano na lewym przedramieniu numeru 109857. Następnie, został skierowany na trzytygodniowy okres pobytu

w bloku kwarantanny. Po kwarantannie, skierowano go do komanda roboczego i pobyt na którymś z bloków.

Ponieważ władze obozowe dużą część dokumentacji zniszczyły pod koniec 1944 r., brak jest dokumentów w Archiwum dotyczących Alojzego Siąkały. Powołuję się zatem na informację uzyskaną od Ruperta Urli, że Siąkała jako ogrodnik z zawodu, zatrudniony był w ogrodzie przydomowym samego komendanta KL Auschwitz, SS-Obersturmbannführera Rudolfa Hössa. Oczekiwał tak jak inni więźniowie na wyrok, który miał nadejść z Berlina, gdzie wysyłane były protokoły przesłuchań i gdzie jakaś komisja decydowała o dalszym losie więźnia. W jego przypadku, już przynależność do organizacji konspiracyjnej była przestępstwem, a dodatkowo, na pewno znane były hitlerowcom tak istotne dowody obciążające, jak praca w przedwojennej policji i służbie więziennej.

Gdy nadszedł wyrok z Berlina, wezwany został po wieczornym apelu dnia 24 czerwca 1943 r. do „Schreibstuby" mieszczącej się w bloku nr 24, gdzie byli już Stanisław Sobik i Jan Klistała z tzw. rybnickiej grupy, ale było także 10 innych więźniów. Stamtąd odprowadzeni zostali w asyście Rapportführera na blok 11.

Trudno snuć domysły o czym myśleli idąc do bloku nr 11, bloku który już sam w sobie był symbolem śmierci. Stamtąd mało kto wychodził żywy. Niemniej, nadzieja była do ostatka, że może jakimś cudem odmieni się ich los, i śmierć ich nie dosięgnie.

Niestety, gdy stanęli następnego dnia tj. 25 czerwca 1943 r. przed „Polizeistandgerichtem" - doraźnym sądem policyjnym, któremu przewodniczył SS-Obersturmbannführer Rudolf Mildner, nie było wątpliwości, tym bardziej gdy wyraźnie wypowiedziane zostały słowa: „*…skazany na karę śmierci"*.

Po odczytaniu wyroku, więzień musiał się rozebrać do naga w męskiej umywalni. Potem ostatnia droga pod Ścianę Straceń, ostatni ziemski odgłos – szczęk zamka karabinka małokalibrowego i następowała cisza. Martwe ciało osuwało się na ziemię.

Pójdź tam
i obejrzyj Oświęcim
i Brzezinkę!
I nakaż sobie
iść bardzo powoli.

Pójdź na blok śmierci
tam w piwnicy
podejdź do czarnej ściany
przejdź ulicą obozową
wejdź do komory
gazowej.

Oświęcim i Brzezinka;
to jest prawda.
Po śladach Dantego
wnijdziesz tutaj
do dwunastego kręgu piekła. [...]

wiersz: **OŚWIĘCIM I BRZEZINKA,**
autor: Peter Paul Schweitzer

SOBIK JÓZEF, pseud. „Bukiel”,

Więzień KL Auschwitz nr 109841, KL Gross-Rosen nr 86378, podobóz Gross-Koschen, KL Buchenwald nr 132608, KL Natzweiler-Struthof, podobóz Schömberg, Dautmergen, KL Dachau, podobóz Allach.

SOBIK JÓZEF, pseud. „Bukiel”,

Józef Sobik przeszedł na ziemskim padole swoją golgotę, poniewierany i męczony w kilku obozach i podobozach. Pamiętnik swój pisał ciężką ręką kowala, konieczne więc było przeredagowanie oryginału (przy zachowaniu jego jakże cennej treści) oraz naniesienie niezbędnych poprawek stylistycznych i interpunkcyjnych. Niektóre informacje znajdujące się w tekście opatrzyłem przypisami, które zawierają dodatkowe wyjaśnienia i sprostowania. Wszelkie zmiany wprowadzane były w porozumieniu z autorem pamiętnika.

Wraz z pamiętnikiem otrzymałem także imienny wykaz osób, które czynnie włączały się w walkę z okupantem. Oryginalne dokumenty organizacji nie zachowały się, gdyż 11.02.1943 r. Józef Sobik osobiście je zniszczył, dowiedziawszy się o aresztowaniu brata i innych członków ZWZ. Nie można było ryzykować, żeby tak obciążające dowody wpadły w ręce gestapo. Po powrocie z obozu odczuwał jednak wielką potrzebę sporządzenia przynajmniej listy osób, które działały w ZWZ. Przepraszam w imieniu autora wykazu, jeżeli pominął czyjeś nazwisko. Jego pamięć ma także pewne ułomności, chociaż tak drobiazgowo opisał swe bolesne przeżycia w obozach. Inni koledzy, których namawiał do współpracy przy tworzeniu tego wykazu, odmawiali tej współpracy. Zdany był więc tylko na własną pamięć – ale zrobił aż tyle!

MOJE WSPOMNIENIA Z LAT 1939-1945

(Opracowane na podstawie pamiętnika Józefa Sobika)

SŁOWO WSTĘPNE

Każdy człowiek tworzy historię swojego życia. Tworzy ją dobrą lub złą, w zależności od uwarunkowań materialnych, kulturalnych i politycznych, w jakich przypadło mu żyć. Cieszymy się, jeżeli w życiu osiągamy sukcesy, a na pewno mniej przyjemne są porażki lub klęski. W dojrzalszym wieku natura upomina się o zrobienie rachunku sumienia. Wracamy wówczas wspomnieniami do przeżytych dni.

Wszystko jest zapisane, jak w książce buchalteryjnej. Wyrwanie chociaż jednej kartki z tej księgi utrudnia przeprowadzenie pełnego bilansu. Tak też jest w życiu – strata paru dni, miesięcy czy lat, wywołuje uczucie czegoś zagubionego w zapisie lub zapisanego w innej księdze. Trzeba więc zebrać to razem, aby móc ogarnąć całość.

Refleksjami tymi chcę uzasadnić potrzebę udokumentowania w niniejszym pamiętniku, jak pełen udręki był mój los przez dwa lata. Hitlerowcy nie pytali mnie, jak chcę przeżywać kolejne dni mojego istnienia. Gestapo i okupacja niemiecka zatrzymała na pewnym etapie dotychczasowy bieg mojego życia. Siłą wtłoczony zostałem w piekło na ziemi, pozbawiono mnie imienia i nazwiska, stałem się numerem!

Od chwili przekroczenia bramy obozowej w KL Auschwitz z kpiącym napisem „ARBEIT MACHT FREI" pozbawiono mnie złudzeń co do dalszego mojego losu. Komin krematoryjny wskazywał kierunek wolności! Po zrobieniu ze mnie numeru, zmuszano mnie do pozbycia się ludzkich uczuć, stałem się narzędziem pracy w rękach SS-owskich oprawców. Widmo śmierci było tak

powszechne, że normalnością było ocieranie się o nią. Taki byt urządzili ludziom w XX wieku hitlerowscy naziści – zbrodniarze, zaliczający się do wybranej rasy panów, do nadludzi!

Wspomnienia zawarte w moim pamiętniku są kartkami, które wypełniam zapisem o tamtej tragicznej przeszłości. Udało mi się przeżyć, ale w obozach zostali inni, którzy mieli mniej szczęścia, sił i zdrowia. Tam został na zawsze także mój brat, Staszek!

POCZĄTKI OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

W ostatnich dniach sierpnia radiowe komunikaty o nasilonym naruszaniu granic przez Niemców nie wróżyły nic dobrego. Matka wraz z dwoma moimi siostrami i ich dziećmi, oraz szwagierka ze swoimi dziećmi, obawiając się działań wojennych w Rybniku, wywiezione zostały przez szwagra Wincentego Chrobota do miejscowości Iłownica koło Bielska. Były przekonane, że w tamtej okolicy będzie spokojniej i bezpieczniej. W domu zostaliśmy więc tylko we trójkę: ojciec, młodszy brat Alojzy i ja.

Późnym wieczorem 31.08.1939 r. wracałem z kina do domu. Wieczór był bardzo ciepły i wypełniony spokojem. Spokój ten zakłócali jedynie nieco aktywniejsi i ruchliwsi członkowie formacji obrony cywilnej i przeciwlotniczej, w związku z niedawnymi prowokacjami bojówkarzy hitlerowskich w Gotartowicach, Szczygłowicach i Krywałdzie. Zmęczony ciężką, całodniową pracą w warsztacie udałem się na spoczynek i szybko zasnąłem. Obudziłem się jednak wcześniej niż zazwyczaj, gdyż ze snu wyrwał mnie odgłos wystrzałów i głośnych detonacji. Zerwałem się na równe nogi, szybko się ubrałem i wyjrzałem przez okno. Zobaczyłem ludzi uciekających w górę ulicy Wodzisławskiej. Kiedy wybiegłem przed dom, na ulicy było już pusto. W pewnym momencie usłyszałem głośniejszy wybuch. Jak się później dowiedziałem, wtedy właśnie wysadzony został most kolejowy na rzece Nacynie.

W górę ul. Wodzisławskiej, w kierunku szkoły nr 2, maszerowała kompania obywatelskiej formacji Obrony Narodowej. Chcąc sprawdzić, co dzieje się w dalszej części ulicy, pobiegłem Wodzisławską w dół, do Raciborskiej. Niedaleko kościoła Ojców Franciszkanów budowano zaporę przeciwczołgową. Na skrzyżowaniu zobaczyłem, że przy rozgałęzieniu Raciborskiej i Zebrzydowickiej część ulicy przegradzała zbudowana już zapora. Kilku polskich żołnierzy z ciągniętym przez dwa konie działkiem przeciwczołgowym przemieszczało się w kierunku rynku. Wybuchy pocisków i świst kul karabinowych stawały się coraz bliższe i intensywniejsze.

Przestraszony tym, co się dzieje, postanowiłem wrócić do domu. Zapora przeciwczołgowa stawiana powyżej kościoła była już gotowa, więc tą częścią drogi nie dało się przejść. Musiałem zawrócić i przejść przez plac przykościelny do ul. Hallera, po czym Wiejską i Wincentego doszedłem wreszcie do budynku, w którym mieszkaliśmy.

Po krótkim pobycie w mieszkaniu znowu wyszedłem przed dom. Stała tam już grupka osób równie zaniepokojonych jak ja. Zauważyłem pociski lecące od strony „Maroka”[138] w kierunku szpitala psychiatrycznego. Zobaczyłem też, że czołgi uporały się z zaporą koło kościoła i jadą w górę ulicy, w kierunku szkoły. Ktoś wtedy powiedział, że są to czołgi francuskie, które przyjechały nam, Polakom, na pomoc. Serca nasze zabiły mocniej z radości. W miarę jednak ich zbliżania się nastąpiło rozczarowanie. Były to czołgi niemieckie, szybko więc rozbiegliśmy się do domów. W pobliżu szkoły, gdzie zapora była masywniejsza niż koło kościoła, jedna z maszyn unieruchomiona została celnym strzałem.

Około godziny dziewiątej poszedłem ponownie na skrzyżowanie z Raciborską. Była tam już część niemieckiej dywizji pancernej. Wokół szwargocących żołnierzy i oficerów niemieckich zgromadzili się miejscowi Niemcy, przeważnie przedwojenni kupcy. Z wielką usłużnością znosili „zabiedzonym” żołnierzom żywność. Wśród tych nadgorliwców wyróżniali się m. in. rzeźnik J. Gomola, B. Nowak, P. Zimoń, P. Paluch. Prawdopodobnie użalali się przy okazji, jak źle było im pod rządami Polaków.

Nie było wtedy jeszcze zakazu poruszania się, więc poszedłem na rynek. Oczom moim ukazał się bardzo przykry widok – na każdym z przylegających do rynku budynków, z okien ich górnych pięter lub z dachów, powiewały hitlerowskie flagi. W Hotelu Polskim urządziła się wojskowa komendantura. Skrzyżowania ulic obsadzone zostały niemieckimi żołnierzami z karabinami maszynowymi. Renegatów łatwo można było poznać po cywilnych ubraniach z opaskami ze swastyką na rękawach. Wierzyć się nie chciało, ilu poważanych obywateli Rybnika manifestowało teraz swoją sympatię dla Hitlera, jak szybko zamienili polską mowę na niemiecką. Na ulicy Hallera miejscowi wywrotowcy wywiesili transparent z napisem: *„Dziękujemy naszemu wodzowi, który nas z wielkiej nędzy wybawił”*.

Przez kilka pierwszych dni okupacji sklepy i zakłady pracy były zamknięte. Polacy, którzy przezornie wyjechali poza okolice Rybnika – jak moja matka, siostry i szwagierka – wracali już do swoich domów. Wielu z nich było przerażonych wprowadzonymi zmianami. W poszczególnych dzielnicach miasta Niemcy utworzyli Ortsgrupy – sekretariaty dzielnicowe NSDAP. Rozpoczęły się aresztowania. Ze szczególną gorliwością zamykano byłych powstańców śląskich i inteligencję rybnicką.

Mój brat, Stanisław, ewakuowany został wraz z innymi pracownikami poczty na Węgry. Wrócił jednak, kiedy żona wysłała do niego listy z prośbą o powrót do domu. Drugi brat - Ludwik, służył w polskim wojsku. Po rozbiciu jego oddziału także i on powrócił do domu.

Niedługo po rozpoczęciu urzędowania władzy niemieckiej wezwani zostaliśmy wraz z innymi mieszkańcami naszej ulicy do szkoły nr 2, aby się zarejestrować. Rejestracji towarzyszyła tzw. palcówka (Fingerabdruck). W

[138] „Maroko” – dzielnica Rybnika.

wypełnianym przez nas formularzu napisaliśmy, że jesteśmy Polakami, a naszym macierzystym językiem jest język polski. Gdy Staszkowi zwrócono uwagę na to, że jest Ślązakiem – a więc Niemcem, odpowiedział: „Jeżeli murzyn jest czarny, to nie może mówić, że jest biały". Po kilku latach, kiedy znalazł się w KL Auschwitz, gestapo przypomniało mu te słowa na przesłuchaniu.

W czasie okupacji pracowałem nadal w kuźni ojca. Na szczęście Niemcy nie zabrali ojcu warsztatu, chociaż mieli taki zamiar. Polacy musieli oddać służbom okupanta swoje radia. Za posiadanie radioodbiornika bez zezwolenia i słuchanie zagranicznych stacji Niemcy grozili śmiercią. Mieszkania pozostawione przez Polaków, którzy nie wrócili z ewakuacji, zostały przez Niemców opieczętowane, a następnie ograbione z najbardziej wartościowych rzeczy. Z czasem wprowadzały się do nich niemieckie rodziny. Najwięcej takich mieszkań okradł handlarz meblami L. Damis. Inny renegat, kupiec Larisch, przywłaszczył sobie duży sklep po J. Wilczyńskim.

Terror władz okupacyjnych odczuwalny był na każdym kroku. Gdy jednostki SA maszerowały z hitlerowską flagą, a któryś ze stojących obok cywilów nie podniósł ręki w oznaczającym pozdrowienie hitlerowskie geście *„Heil"*, natychmiast był bity po twarzy przez funkcjonariuszy SA. Szczególnie gorliwi byli w tym Krakowczyk i Grabmeier. Pamiętam to tak dobrze, gdyż sam w takich właśnie okolicznościach dostałem w twarz od Grabmeiera.

Kiedy wprowadzono zakaz rozmawiania po polsku, niemieccy kupcy powywieszali w swoich sklepach tabliczki z napisem: *„Tutaj obowiązuje tylko język niemiecki"*. Niektórzy nadgorliwcy, jak np. Sladky, Mandrela, Larisch, Paluch, Sobczyk, Sodoman, Zimoń, Weigeman i wielu im podobnych, zakazywali pracownikom swoich sklepów i restauracji obsługiwać klientów, którzy rozmawiali po polsku, a nawet kazali takie osoby wyrzucać z lokalu.

Po jakimś czasie ojciec i ja otrzymaliśmy do wypełnienia ankiety Deutsche Volksliste (DVL). Chodziło o zakwalifikowanie nas do jednej z niemieckich grup narodowościowych. Wypełnione ankiety oddaliśmy na policję (Schutzpolizei). Nie spodobały się one jednak Niemcom, gdyż wezwali nas ponownie i namawiali do wprowadzenia zmian. Wmawiano mi, że powinienem podpisać volkslistę, bo jestem Ślązakiem i urodziłem się w Rybniku, a Rybnik był, jest i będzie niemiecki. Ja zaś z uporem odpowiadałem, że – urodzony w rzekomo niemieckim Rybniku – byłem, jestem i będę Polakiem. Niemcy nie ustępowali i zaczęli mnie straszyć, że za okazywany upór zostanę wysiedlony do Generalnej Guberni. W końcu ankiety nie zmieniłem, ale Niemcy zabrali mi kartę odzieżową i nakazali nosić w widocznym miejscu na ubraniu naszywkę z literą „P", co oznaczało „Polen". Do polecenia tego jednak nie dostosowałem się, gdyż nie było ono przestrzegane także przez innych, równie opornych wobec nowej władzy mieszkańców Rybnika.

Okupanci wprowadzili też kartki żywnościowe. Ilość i jakość przydzielanych na nie artykułów spożywczych zależała od przyznanej przez niemieckie władze grupy narodowościowej. Wprowadzone zostały także kartki

na papierosy, ubrania i na obuwie. Bez takich kartek żaden Polak nie mógł niczego kupić w niemieckim sklepie.

Niedaleko naszego mieszkania była restauracja, która należała do Niemca Zimonia. Znaliśmy się z nim już przed wojną, nie miałem więc problemów, żeby od czasu do czasu wypić tam piwo. Trudno jednak było bez żadnej reakcji wysłuchiwać bredni, jakie przy sąsiednich stolikach wygadywali miejscowi renegaci. Często nie potrafili oni dobrze składać zdań w języku niemieckim, więc wtrącali co chwilę rozmyślnie kaleczone słowa polskie. Ileż było w tych rozmowach narzekania na życie pod rządami przedwojennymi i chwalenia obecnych, niemieckich porządków! Do restauracji tej przychodził także pewien student medycyny. Znałem go od dawna, pochodził z przyzwoitej przedwojennej niemieckiej rodziny. Dziwiłem się, że po paru miesiącach okupacji mówił tylko kaleczonym językiem niemieckim, a jakże manifestował przy tym swoją niemieckość! Wiele lat po wojnie, kiedy wróciłem z poniewierki po obozach koncentracyjnych, spotkałem go przy jakieś okazji. Wykształcił się na lekarza, założył rodzinę, zamieszkał w Rybniku i stał się przykładnym Polakiem mówiącym bezbłędnie po polsku.

Pod koniec 1940 r. nad warsztatem ojca zawisło niebezpieczeństwo. Władze chciały odebrać ojcu kuźnię i przekazać ją jakiemuś Niemcowi. W warsztacie pracowaliśmy tylko we dwójkę – ojciec i ja, gdyż nie mogliśmy przyjąć uczniów do nauki zawodu z powodu nieszczęsnej volkslisty. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się od przychylnego nam Niemca, że w Ortsgrupie utworzyły się dwa obozy. Jedni byli za zabraniem warsztatu, drudzy za pozostawieniem go ojcu. Sprawa trafiła więc do Kreisleitungu, gdzie decydujący głos miał Niemiec Kempner, właściciel rozlewni piwa. Przed wojną ojciec wykonał dla niego dużo robót kowalskich i ślusarskich, za które Kempner był jeszcze winien zapłatę. Widocznie chciał się jakoś odwdzięczyć, gdyż zadecydował o pozostawieniu warsztatu dotychczasowemu właścicielowi, czyli ojcu.

Stanisław, jak już wcześniej wspomniałem, pracował przed 1939 r. na poczcie, gdzie uważany był za dobrego pracownika. Po powrocie z Węgier też starał się tam o pracę, ale nowy naczelnik oświadczył mu, że *„dla Großpolen pracy nie ma i na niemieckiej poczcie Polakom pracować nie wolno”*. Dopiero po dłuższych staraniach otrzymał pracę w kolejowej kasie biletowej, na stacji Obszary.

W 1940 r. brat wraz z kolegami z rybnickiego gimnazjum przystąpił do tworzenia organizacji konspiracyjnej o nazwie Związek Walki Zbrojnej. Przy realizacji tego zamiaru natrafiono na wiele trudności, a przy tym trzeba było wykazywać wielką czujność i przezorność, aby do jej struktur nie przedostał się konfident gestapo. Dotychczas bowiem działające organizacje konspiracyjne – Polska Organizacja Powstańcza (POP) i Siła Zbrojna Polski (SZP) – zdekonspirowane zostały właśnie przez zdradę, a ich członków albo natychmiast uśmiercono, albo porozsyłano do obozów koncentracyjnych. Tworzona w 1940 r. organizacja ZWZ w dużym stopniu składała się z tych walecznych członków

POP, którzy nie zrażeni dotychczasowymi aresztowaniami nadal chcieli aktywnie przeciwstawiać się okupantowi.

Zebrania organizacji odbywały się w grupach po 3 do 5 osób w mieszkaniach poszczególnych członków ZWZ. Było to niebezpieczne, gdyż mieszkania wielu Polaków były pod obserwacją okupanta. W porozumieniu z ojcem Staszek postanowił, że od czasu do czasu zebrania w większym gronie będą się odbywały w kuźni. W warsztacie zaprzysięgano także nowych członków organizacji. Kuźnia usytuowana była nieco na uboczu. Przychodzili tu zwykle ludzie z różnymi przedmiotami do naprawy ślusarskiej. Dlatego, kiedy członkowie organizacji stawiali się na zebrania czy do zaprzysiężenia, musieli mieć przy sobie coś do naprawy np. siekierkę do naostrzenia, wyszczerbione grabie metalowe, do których należało wstawić ząb itd.

Gdy przychodziły osoby do zaprzysiężenia, na warsztacie ślusarskim stawiano krzyż i dwa świeczniki z zapalonymi świeczkami. Oczywiście nie było wtedy w kuźni nikogo więcej poza osobą odbierającą przysięgę, przysięgającym i dwoma świadkami. Ja zazwyczaj chodziłem w takim momencie przed warsztatem i pilnowałem, żeby nikt niepowołany nie przedostał się do środka warsztatu. Zaprzysiężenia odbywały się przeważnie wieczorem, co było okolicznością sprzyjającą, gdyż obowiązywało wtedy zaciemnienie okien. Z zewnątrz więc odnosiło się wrażenie, że warsztat jest nieczynny. Inną korzystną okolicznością było niedalekie usytuowanie wspomnianej już restauracji Zimonia. Wokół niej stale było wielu klientów, więc przyłapana przy naszym warsztacie osoba mogła się tłumaczyć, że wyszła właśnie z restauracji i poszukuje miejsca dla odetchnięcia świeżym powietrzem lub załatwienia potrzeby fizjologicznej.

Wracam jeszcze do ceremonii zaprzysiężenia nowych członków, gdyż miała ona wyjątkowy nastrój. Ciemność dużego wnętrza warsztatu rozjaśniało słabe światło pochodzące z dwóch świeczników ustawionych na stole ślusarskim. Odbierający przysięgę, zaprzysięgany i świadkowie stali w otoczeniu różnych przedmiotów z żelaza, wozów, kół i wygaszonych już palenisk kowalskich. Wszystko to sprawiało wrażenie mistycznego obrzędu!

Członkowie organizacji często przychodzili do warsztatu po informacje radiowe, gdyż mieliśmy ukryty w kuźni radioodbiornik, którego nie oddaliśmy władzom mimo tak oczywistych nakazów i obwieszczeń w tej sprawie. Pamiętam, że bardzo załamała nas informacja o kapitulacji Francji. Z tej okazji Niemcy polecili oflagować wszystkie budynki. Ojciec wywiesił tylko małą chorągiewkę, przez co od razu im podpadliśmy. Z Ortsgrupy przyszedł ciemiężyciel Polaków, Niemiec o nazwisku Szymura, i krzyczał: *„Jest takie wielkie zwycięstwo, a wy wywiesiliście taką mała chorągiewkę!”.* Nakazał natychmiast wymienić chorągiewkę na dużą flagę.

Terror okupanta wobec Polaków narastał. Nasiliły się aresztowania. Za mowę po polsku w miejscach publicznych bito po twarzy, a w drastyczniejszych przypadkach zmuszano starszych mężczyzn lub kobiety do stania w miejscach

publicznych z zawieszonymi na piersiach i plecach tablicami z napisem: *„Rozmawiałem po polsku”*.

Zebrania organizacji w warsztacie odbywały się coraz częściej. Po chwilowym załamaniu związanym z kapitulacją Francji wstąpiła w nas nowa nadzieja, gdy dowiedzieliśmy się ze słuchanego po kryjomu radia, że Związek Radziecki przyhamował ofensywę niemiecką. Związek Walki Zbrojnej poważnie się rozrósł, a – jak nam się zdawało – kuźnia nie budziła podejrzeń u szpicli gestapo. W organizacji zaczęła działać komórka charytatywna. Wiele polskich rodzin, krzywdzonych przez okupanta, otrzymywało przez nią pomoc w postaci pieniędzy lub „lewych” kartek żywnościowych. Krawcowa Kopyciokowa, która była kurierem i roznosiła do poszczególnych osób informacje dotyczące organizacji, przynosiła też czasem wiadomości, które bardzo nas niepokoiły oraz sygnalizowały o grożącym nam niebezpieczeństwie. Rozmyślałem bardzo intensywnie o ustrzeżeniu się przed wpadką, i wymyśliłem bezpieczny sposób ukrywania dokumentacji organizacyjnej – wewnątrz miechów tłoczących powietrze do palenisk w kuźni. Dodam, że Kopyciokowa dla zakamuflowania faktycznego celu swych wizyt nosiła ze sobą uszkodzone żelazko.

Wielu młodych mężczyzn zostało powołanych do niemieckiego wojska. Naturalnie powoływano tych, którzy podpisali volkslistę. Nieraz rodzice takich chłopaków zadawali mi pytanie, dlaczego ja siedzę sobie w domu, kiedy ich synowie od dawna są w wojsku. Odpowiadałem wówczas z przekąsem, że ja nie mam volkslisty, i gdyby ich synowie jej nie podpisali, też byliby w domu.

W drugiej połowie 1942 r. cała nasza rodzina została wezwana do stawienia się w magistracie, ponownie w sprawie volkslisty. Gdy weszliśmy do urzędu, było już tam wiele polskich rodzin. Rozmowy z każdą z nich przebiegały dosyć opornie, dlatego na wejście musieliśmy czekać ponad cztery godziny. Kiedy wreszcie wezwano nas do sali, w której za długim stołem siedziało siedmiu urzędników, jeden z nich spytał mnie, dlaczego w mojej ankiecie widnieje narodowość polska i język polski, skoro urodziłem się w Rybniku, który od zawsze jest niemiecki. Odpowiedziałem, że skoro miałem pisać prawdę, to ją napisałem. Tłumaczenia moje były jednak ignorowane. Już wcześniej zresztą doszedłem do wniosku, że Niemcy potrzebują młodych mężczyzn do wojska, więc będą na siłę przydzielali volkslistę. Później zaczęli przepytywać ojca. Wyzywali go przy tym od „korfanciarzy”[139], mówili też coś o Związku Polski Zachodniej. Nie rozumiałem, o co chodzi, a później zapomniałem poprosić ojca o wyjaśnienie. Matce i młodszemu bratu nie zadawali żadnych pytań, a kiedy uznali rozmowę z naszą rodziną za skończoną, kazali nam wyjść na korytarz, aby mogli się naradzić. Po około piętnastu minutach wezwano nas ponownie do sali i odczytano decyzję: po rozpatrzeniu naszego odwołania przyznano nam volkslistę grupy trzeciej. Bardzo się oburzyliśmy takim uzasadnieniem, bo przecież niczego nie podpisywaliśmy i nie

[139] Chodzi tu prawdopodobnie o sympatyzowanie ze słynnym na Śląsku działaczem propolskim, Wojciechem Korfantym.

godziliśmy się na takie zaklasyfikowanie. Nasze odczucia i protesty nie liczyły się jednak.

Przewidywania moje okazały się słuszne. Wehrmacht potrzebował żołnierzy, i dlatego przyznawano na siłę trzecią grupę. Niedługo potem wezwany zostałem do poboru, który odbywał się w byłej szkole handlowej przy ul. Kościuszki. Przy poborze wyjątkową aktywnością popisywał się gnębiciel Polaków o nazwisku Frida, właściciel ziemski z Dziemierza. Kazał mi on przeczytać jakiś fragment z niemieckiej gazety, a kiedy to uczyniłem, zaśmiał się szyderczo i powiedział: *„Widzisz jak dobrze czytasz po niemiecku – bo jesteś Niemcem i będzie z ciebie dobry żołnierz niemiecki”*. Wezbrała we mnie wściekłość, ale on na moją reakcję w ogóle nie zwracał uwagi.

Coraz więcej transportów z młodymi chłopakami z Rybnika i okolic wysyłanych było do jednostek wojskowych. Mnie, dzięki Bogu, na razie to omijało. Gdy latem była słoneczna pogoda, całą rodziną wybieraliśmy się na niedzielne wycieczki poza miasto, do lasu lub nad wodę. Spotykaliśmy się tam z naszymi dobrymi znajomymi, ale dla nas nie były to zwyczajne wycieczki. Przede wszystkim dlatego, że organizował je Staszek! Szwagier Wincenty Chrobot wypożyczał od swojego szefa Niemca, a bardzo przychylnego Polakom, - duży walizkowy aparat radiowy na baterie. Byliśmy przekonani, że walizka taka przy dużym koszu z jedzeniem nie będzie wzbudzała podejrzeń. Radia słuchaliśmy w ustronnym miejscu, dobrze zamaskowanym drzewami lub krzewami, a gdy zbliżała się jakaś niepożądana osoba, wyłączaliśmy je i udawaliśmy ożywioną rozmowę. Radio bardzo dobrze odbierało szczególnie dla nas ważną rozgłośnię londyńską. Dzięki temu dodatkowe informacje o tym, co dzieje się w Europie, zdobywaliśmy także na wycieczkach.

Niestety nasza jawna antyniemieckość, obserwowane przez szpicli wycieczki niedzielne oraz inwigilacja ZWZ przez zdrajcę Jana Zientka doprowadziły do tragicznych dla nas skutków.

Dnia 11.02.1943 r. Staszek pojechał jak zwykle do pracy na stację kolejową w Obszarach. Samochód gestapowców podjechał pod budynek w taki sposób, że Staszek był zupełnie zaskoczony ich wizytą. O jego aresztowaniu dowiedzieliśmy się od pracujących na stacji Polaków. Po otrzymaniu tej tragicznej wiadomości natychmiast zabrałem się do niszczenia wszystkich dokumentów, do jakich miałem dostęp. Moją broń wrzuciłem do dołu kloacznego.

Zosia - żona Staszka, dowiedziawszy się o aresztowaniu męża oraz szwagra Jana Klistały, postanowiła udać się wspólnie z siostrą na gestapo. Pamiętam, że wstąpiła jeszcze do moich rodziców i powiedziała, że idzie Stachowi zanieść coś do jedzenia. Niestety, z gestapo już nie wróciła, gdyż i ją zatrzymano. Ich dwoje dzieci zostało u rodziców Zosi – zostało na kilka lat!

* * *

BYŁEM WIĘŹNIEM KL Auschwitz nr 109841,

W sobotę 13.02.1943 r. poszedłem jak zwykle do pracy. Myśli miałem jednak stale zajęte sprawą aresztowania Staszka. Widziałem, jak bardzo przeżywali to rodzice, co jeszcze gorzej wpływało na moje samopoczucie. Nie zabierałem się do poważniejszej pracy, gdyż narzędzia wylatywały mi z rąk. Właściwie tylko bezmyślnie przemieszczałem się po dużym wnętrzu warsztatu. Tak samo zachowywał się ojciec, który z załzawionymi oczami chodził w milczeniu po kątach kuźni.

Około godziny 9:30 przez otwartą bramę wjechał wprost do warsztatu samochód, z którego wysiedli znani mi z widzenia gestapowcy. Poznałem Mańkę, Kolbego i Sopalę – pochodzili przecież z Rybnika. Bez zbędnych ceregieli podeszli do mnie i jeden z nich oświadczył, że jestem aresztowany. Drugi gestapowiec nałożył mi na przeguby rąk kajdanki. Mogłem jedynie pożegnać się z zupełnie zaskoczonym ojcem. Nie było oczywiście mowy o wejściu do domu, żeby pożegnać się z matką oraz siostrami. Kazali mi wsiąść do samochodu i zawieźli mnie na gestapo.

Zapytano mnie tam dla formalności o dane personalne i jakieś mało istotne sprawy dotyczące ojca i matki, aż wreszcie zagadnięto o szwagra Wincentego Chrobota. Był on kierowcą samochodu ciężarowego w hurtowni, której właścicielem był Mężyk. Odpowiedziałem Niemcom, gdzie Wincenty pracuje, i musiałem wraz z nimi tam pojechać. Na miejscu okazało się, że Chrobot pojechał z ładunkiem w okolice Żor. Odnaleźliśmy go wreszcie w Rowniu przed Żorami, gdzie rozładowywał towar. Kolbe wysiadł z samochodu i podszedł do niego. Nie słyszałem toczącej się między nimi rozmowy, ale po chwili Wincenty znalazł się na siedzeniu koło mnie, z rękami także skutymi kajdankami. Już w czasie jazdy do Rybnika Kolbe rozpoczął przesłuchiwanie Chrobota. Zadawał mu pytania o działalność organizacji. Wincenty oczywiście nie przyznawał się do niczego. Swoją postawą rozwścieczył Kolbego do tego stopnia, że ten wyciągnął pistolet i wpierw groził mu, że go zastrzeli, a później zaczął go bić po głowie rękojeścią pistoletu.

Po przyjeździe do rybnickiego gestapo wprowadzono mnie do jednego z pomieszczeń na parterze i zdjęto mi z rąk kajdanki. Po chwili wszedł Kolbe i zaczął mnie namawiać, żebym się zgodził na wstąpienie do wojska. Zupełnie ogłupiały tym, co się wokół mnie dzieje, stanowczo odpowiadałem, że do niemieckiego wojska nie pójdę. Kolbe bardzo się zezłościł i zaczął krzyczeć, że mnie na miejscu powiesi. W tym jednak momencie wszedł do pokoju inny gestapowiec i powiedział coś o podstawionych samochodach. Kolbe przerwał rozmowę ze mną, związał mi ręce jakimś sznurkiem i wyprowadził na korytarz, gdzie wepchnięty zostałem między wyprowadzane z piwnicy osoby, które aresztowano wcześniej. Wśród idących zobaczyłem Staszka, Zosię, Wincentego, Janka Klistałę, Karola Miczajkę, Alojzego Siąkałę oraz wielu innych znajomych. Nie było możliwości zamienienia ze sobą chociażby paru zdań. Ponaglano nas, żeby jak najszybciej uporać się z ulokowaniem wszystkich na skrzyniach dwóch samochodów ciężarowych. Najbliższa przestrzeń wokół nich

otoczona była gestapowcami i szupokami[140] W bezpiecznej odległości za kordonem stali krewni, którzy przyszli z nadzieją zobaczenia się ze swoimi bliskimi.

Około godziny 12:00 wyjechaliśmy z Rybnika w kierunku Katowic pod eskortą dobrze uzbrojonych gestapowców. W samochodach panował nastrój przerażenia, rozpaczy i wisielczej ciszy. Jechałem w jednym samochodzie ze Staszkiem, Zosią i Wincentym, ale nie wolno nam było ze sobą rozmawiać. Zabraniali tego jadący z nami dwaj uzbrojeni gestapowcy. Dojechawszy do Mikołowa, samochody skręciły, z czego wyciągnęliśmy wniosek, że wiozą nas nie do Mysłowic, ale bezpośrednio do KL Auschwitz.

Była godzina 14:00, gdy samochody się zatrzymały. Usłyszeliśmy wykrzyczane polecenie, żeby wysiadać. Miejscem rozładunku był bunkier, z którego komin sterczał jak w piekarni. Dopiero później dowiedziałem się, jak makabryczne przeznaczenie miało to miejsce – była to komora gazowa i krematorium obozowe. Bardzo szybko zostaliśmy otoczeni przez esesmanów, którzy krzykami zmusili nas do ustawienia się w kolumnę po pięć osób w rzędzie, po czym pokazali nam kierunek, w którym mieliśmy iść. Znowu nie było mowy o nawiązaniu kontaktu ze Staszkiem, Zosią czy Wincentym. Staszek był bardzo zajęty opieką nad zupełnie zagubioną i załamaną psychicznie Zosią. Prowadzeni byliśmy jak bydło, przy okrzykach i poszturchiwaniu. Jedna chwila z tego właśnie odcinka drogi utkwiła mi szczególnie mocno w pamięci. W pewnym momencie Staszek zbliżył się do mnie i powiedział: *„Nie przyznawaj się, wszystkiemu zaprzeczaj!”*. On nadal czuł się przywódcą, myślał o wszystkim i o wszystkich.

Głośne *„Halt!”* zatrzymało nas obok drewnianego baraku przy bramie obozu, nad którą rzucał się w oczy napis: „ARBEIT MACHT FREI”. Musieliśmy czekać na załatwienie jakichś formalności. Nagle dosłyszeliśmy dobiegające zza bramy odgłosy orkiestry. Siłą zepchnięto nas na ścianę baraku obok bramy wejściowej, gdyż zbliżała się do niej kolumna ludzi w pasiastych ubraniach. Prowadzono ich skądś spoza obozu. Był to żałosny widok! Zgarbione, przeraźliwie umęczone i wychudzone sylwetki idących zupełnie nie pasowały do dźwięków marsza, którym witano ich w obozie. Na marynarkach, na wysokości lewej piersi, przyszyte mieli łatki z numerem i trójkątem z wpisaną w środku literą. Było też wielu takich, którzy zamiast trójkątów przyszytą mieli sześcioramienną gwiazdę. Kilku z maszerujących w kolumnie niosło na plecach tych, którzy z wycieńczenia nie potrafili iść o własnych siłach lub... byli martwi. Esesmani krzykiem i przekleństwami wymuszali porządek w kolumnie, a psy idące obok niektórych z tych nieszczęśników złowieszczo szczerzyły zęby, warczały i ujadały. Wpierwszej chwili wydawało mi się, że jestem przed zakładem dla psychicznie chorych – ze względu na podobne do piżam pasiaki. Później pomyślałem, że to jakiś koszmarny sen… ale to była niestety rzeczywistość!

---

[140] *Szupok* – potoczne określenie policjanta niemieckiego z Policji Bezpieczeństwa.

Gdy kolumna weszła do obozu, orkiestra przestała grać, a my zostaliśmy otrzeźwieni donośnym krzykiem *„Achtung!”*. Teraz nam kazano wejść przez bramę do obozu, ale już bez przygrywającej orkiestry. Zostaliśmy zaprowadzeni do budynku oznaczonego „BLOCK No 2”. Na pierwszym piętrze ujrzeliśmy wielu ludzi w cywilnych ubraniach, leżących na siennikach rozłożonych bezpośrednio na posadzce. Ulokowano nas w sali po prawej stronie od wejścia. Rozdzielono wszystkich w taki sposób, że nie mogliśmy się ze sobą komunikować. Każdy z mojej rodziny leżał w innej części sali. Porządku między rzędami pilnowali wartownicy z SS.

Pierwsza noc w obozie była równie koszmarna, jak cały przeżyty dzień. Był luty, na dworze było bardzo mroźno. Pomieszczenie, w którym przebywaliśmy, było ledwo ogrzane, a ja miałem na sobie tylko robocze ubranie, w którym mnie aresztowano. Nie miałem nawet płaszcza, żeby się okryć. Rano sprowadzano po kilka osób na parter do zbiorowej umywalni i ubikacji. Przez cały czas przypominano nam donośnym wrzaskiem, że nie wolno ze sobą rozmawiać. Kiedy po cichu odezwałem się do idącego obok więźnia, a zauważył to pilnujący nas esesman, natychmiast odczułem, co znaczy obozowa dyscyplina. Oberwałem po plecach jakimś twardym drągiem. Zrozumiałem, że nie są to przelewki – bić tutaj potrafią!

Gdy wszyscy zdążyli się jako tako umyć i załatwić w przyspieszonym tempie potrzeby fizjologiczne, wróciliśmy na salę i zaczęła się musztra. Znowu musieliśmy położyć się na siennikach, ale jeden rząd miał leżeć na lewym boku, a drugi – na prawym. Co jakiś czas, na komendę pilnującego nas wartownika, następowała zmiana pozycji. Wartownicy stale chodzili między rzędami i pilnowali, żeby więźniowie się ze sobą nie kontaktowali, a w przypadku przyłapaniu kogoś na szeptach, od razu kopniakiem czy pięścią uczono go posłuszeństwa. Tak minęła cała niedziela.

W poniedziałek rano przyszedł esesman i wyczytał kilka nazwisk. W grupie wyprowadzonych osób znalazł się także mój brat Stanisław. Więźniowie ci wrócili dopiero wieczorem. Wyglądali okropnie – nie ci sami ludzie! Niektórzy z nich nie mogli ustać o własnych siłach. Nogi uginały się pod nimi bezwładnie, twarze mieli posiniaczone i pokrwawione. Rozdzielając przybyłych na sienniki, esesmani przez nieuwagę kazali Staszkowi położyć się obok mnie. Przełamałem strach i zapytałem: co z wami zrobili, że jesteście tacy połamani? Staszek odpowiedział ledwo dosłyszalnym szeptem, że byli na przesłuchaniu w oddziale politycznym, że bardzo tam biją. Po chwili dodał: *„Ty się do niczego nie przyznawaj, bo ja zaprzeczyłem, że należałeś do organizacji”*. Jęki z różnych części sali spowodowały dezorientację u pilnujących nas wartowników, więc mogliśmy jeszcze chwilę ze sobą poszeptać. Następnego dnia znowu wyczytano Staszka, i tak trwało to niemal trzy tygodnie, ale więcej nie mieliśmy już okazji do rozmawiania ze sobą, aż do czasu przekazania nas na pobyt w obozie.

Kilka dni później esesman wyczytał też moje nazwisko. Zaprowadzono mnie wraz z innymi więźniami do drewnianego baraku poza ogrodzenie obozu, naprzeciw krematorium. Czekaliśmy w długim korytarzu, z którego widać było

drzwi do kilku pomieszczeń. Po chwili z jednego z nich wyszedł esesman i wypowiedział moje nazwisko. Zbliżyłem się do drzwi, przy których stał, i zanim się spostrzegłem, wepchnięty zostałem do środka. Tam czekał już na mnie gestapowiec Mańka z Rybnika.

W głowie wciąż dźwięczały mi słowa Staszka, abym się do niczego nie przyznawał. Mańka zaczął przesłuchanie od przeczytania mi zarzutów. Ja zaś, zgodnie ze wskazówkami Staszka, wszystkiemu zaprzeczyłem. Mańka rozzłościł się, nałożył mi na ręce kajdanki i polecił, żebym usiadł na podłodze z kolanami podciągniętymi pod brodę. Następnie musiałem rękami opleść nogi tak, aby dłonie dotykały kostek. Dwaj esesmani wsunęli mi między kolana i łokcie metalową rurę. Końce rury podnieśli wraz ze mną i zawiesili na koźle. Tułów przeważył, więc głowa opadła mi w dół. Kajdanki wpijały się w przeguby rąk. Przeszywał mnie nieopisany ból! Chcąc ulżyć przegubom rąk, zrobiłem tzw. koci grzbiet i uniosłem głowę, ale naprężyłem przez to tyłek. Na to właśnie czekał Mańka. Zaczął mnie bić bykowcem i pytać, czy przyznaję się do wymienionych mi zarzutów. Zaprzeczałem do czasu – dopóki z bólu nie straciłem przytomności.[141] Gdy wylano na mnie wiadro lodowatej wody, świadomość mi wróciła. Nie orientowałem się, ile czasu upłynęło, ale zakończono przesłuchanie, bo po uwolnieniu mi rąk z kajdanek wyprowadzono mnie z pomieszczenia. W korytarzu słychać było krzyki, jęki i odgłosy uderzeń zza kilku innych drzwi. Było nas tam już paru, ale musieliśmy czekać na pozostałych, jeszcze przesłuchiwanych współtowarzyszy niedoli. Chodzący po korytarzu esesmani potrącali nas co chwilę pod byle pretekstem, bili i kopali, a nie daj Boże, jeżeli ktoś z osłabienia upadł na podłogę – wówczas tratowali nieszczęśnika butami! Na blok doszliśmy prowadząc się i podpierając wzajemnie.

Po bodaj trzech dniach od tego przesłuchania zaprowadzono nas w kilkuosobowych grupach pod prysznice. Było to kolejne poddanie nas udrękom. Ubrania przylepione były do przyschniętych ran. Koszule i bieliznę trzeba było na siłę odrywać od ciała, co niemiłosiernie bolało. W niektórych miejscach ciało odchodziło od kości. Ropiejące rany były też źródłem strasznego odoru, jaki się wokół nas unosił. Woda z pryszniców była zimna. W grupie kąpiących się ze mną był Janek Klistała. Jego plecy były czarne od bicia, ale moje chyba nie wyglądały lepiej!

Po paru dniach po raz drugi wywołano mnie na przesłuchanie do oddziału politycznego. Tym razem bardzo się bałem! Bałem się bicia na koźle-huśtawce, bałem się kopania. Znowu stanąłem przed moim oprawcą, gestapowcem Mańką. Udając bardzo grzecznego, namawiał mnie do przyznania się do winy. Ja jednak znowu wypierałem się wszystkiego, co mi zarzucał. Ze strachem więc czekałem, kiedy zacznie się bicie. Jednak tym razem bicia nie było. Mańka, ukrywając wściekłość, wycedził tylko przez zęby, że co prawda dowodów przeciwko mnie nie ma, ale przesłuchania pozostałych aresztowanych

[141] Opisywane przez Józefa Sobika tortury to tzw. huśtawka Bogera.

z Rybnika jeszcze się nie zakończyły. Jeżeli zatem przy dalszych przesłuchaniach dowie się o mojej działalności w organizacji, to dostanę takie lanie, że będę czarny od bicia i z obozu już nie wyjdę.

Staszka przekazano do obozu 9 marca, a ja nadal przetrzymywany byłem na bloku nr 2. Na kolejne przesłuchania jednak mnie nie wzywano. Dopiero 22 marca zaprowadzony zostałem ponownie do oddziału politycznego. Spodziewałem się bicia i wrzasków, ale otrzymałem tylko do podpisania protokół z dotychczasowego przesłuchania. Po odprowadzeniu mnie na blok 2a przekazany zostałem wraz z kilkoma innymi więźniami na pobyt w obozie.

Prowadzeni przez esesmanów doszliśmy do bloku nr 26. Musieliśmy tam rozebrać się z cywilnych ubrań, po czym ostrzyżono nas do łysa i posmarowano nam głowy jakimś szczypiącym płynem dezynfekcyjnym. Następnie otrzymaliśmy drelichowe ubrania w szaro-niebieskie pasy – obozowe pasiaki. Po spisaniu personaliów wytatuowano mi na lewym przedramieniu numer 109841. Jedną łatkę z tym numerem i czerwony trójkąt z literą „P" kazano mi przyszyć na bluzie, na wysokości lewej piersi, drugą zaś na spodniach. Od tego momentu nie miałem nazwiska, a moim znakiem rozpoznawczym stał się numer obozowy!

Po zakończeniu formalności przyjęcia do obozu zaprowadzono nas do bloku nr 9 – bloku kwarantanny, w którym mieliśmy się pozbyć szkodliwych zarazków. Rozdzielono nas na sztuby, czyli sale. Sztubowy, nie szczędząc już na wstępie przekleństw, zapoznał przybyłych z przykazaniami obozowymi i przydzielił każdemu miejsce na pryczy. Blok kwarantanny był przepełniony, na trzymiejscową pryczę przypadało czterech więźniów. Na dolnym posłaniu dwie osoby musiały spać w ten sposób, że gdzie jeden miał głowę, tam drugi nogi. Starsi więźniowie ostrzegli nas, żeby nie nakrywać twarzy kocami, gdyż pomieszczenia bloku dezynfekowane były cyklonem. Poprzedniej nocy w ten sposób zatruło się aż sześciu więźniów. O godzinie 21:00 gong oznajmiał ciszę nocną, zaś o 4:30 pobudkę. Rano wszystko trzeba było robić w biegu – wstać, umyć się, ubrać się i uporządkować posłania. Po tych czynnościach musieliśmy ustawić się w korytarzu do apelu, który polegał na przeliczeniu więźniów i zelżeniu niemal każdego z osobna. Z bloku kwarantanny nie wolno było wychodzić, także nikt ze znajomych nie mógł przychodzić pod blok – w moim przypadku brat czy szwagier. Ledwo zdążyłem zaprzyjaźnić się z więźniami przebywającymi na bloku dziewiątym, a już minął okres ich kwarantanny i

przeniesieni zostali gdzie indziej. Wraz z nimi odszedł na szczęście bardzo ordynarny sztubowy, na którego miejsce mianowany został nowy, z naszej grupy. Nie było zatem tak ostrej dyscypliny, jak poprzednio.

Nie wspomniałem dotychczas o głodzie, który z dnia na dzień stawał się coraz bardziej dokuczliwy. Rano dostawaliśmy kawę zbożową lub herbatę ziołową – i to wszystko. Chleb, który otrzymywaliśmy wieczorem, powinien być tak rozdzielony, żeby jakiś jego kawałek został na następny dzień. Zjadaliśmy jednak całość od razu, gdyż było go tak mało, że nie starczało na zaspokojenie głodu, a co dopiero mówić o zostawieniu czegoś do rana. Racje żywnościowe na bloku kwarantanny były zmniejszone, gdyż tam, gdzie więzień nie pracował, otrzymywał mniej jedzenia. Mieliśmy też świadomość, że przy takim zbiorowym głodzie chleb był wykradany – twardy sen właściciela był do tego najlepszą okazją. Nie było sentymentów – ludzie walczyli o przetrwanie! Myślałem coraz częściej o jedzeniu, przez co głód jeszcze się wzmagał. Starsi numerami więźniowie pouczali, że najtrudniej jest przetrwać trzy miesiące, że później organizm się przyzwyczai. Ale ja byłem młody, miałem wilczy apetyt i nie przemawiały do mnie takie argumenty! Wydawało mi się, że nie wytrzymam. Miałem właściwie jedno życzenie – najeść się do syta i umrzeć! O wygodach domowych nie myślałem, a obraz bliskich i domu rodzinnego powoli się zacierał. Każdy z wolna zapominał, że jest człowiekiem.

Po zakończeniu okresu kwarantanny przydzielony zostałem do komanda pracującego koło torów kolejowych, obok drogi prowadzącej z KL Auschwitz do Birkenau. Wraz z Wiktorem Konkolem odczuliśmy tam, jak znęcać się nad więźniami potrafi kapo. Dzień w dzień byliśmy bici laską, której używał do podpierania się. Całe ciało i kości mieliśmy poobijane.

Przez tego kapo uległem dość poważnemu wypadkowi. Kiedy podczas pracy schyliłem się w pewnym momencie, aby przesunąć deskę z powbijanymi w nią gwoździami, zostałem przez niego świadomie popchnięty. Nie chcąc upaść podparłem się prawą ręką, ale trafiłem na jeden z wystających z deski, zardzewiałych gwoździ. Przebita dłoń od razu zaczęła puchnąć, zesztywniały mi też palce. Czułem straszny ból. Po rannym apelu zaprowadzono mnie i kilku innych chorych na blok szpitalny, gdzie miał nas zbadać sanitariusz. Gdy przyszła moja kolej, sanitariusz zabrał się do operowania ręki bez znieczulenia. Zdawało mi się, że oszaleję z bólu! Sanitariusz zorientował się jednak, że nie poradzi sobie z moją ręką, przekazał mnie więc do zbadania na blok nr 28, w którym urzędował chirurg - lekarz SS. Zaprowadzony tam zostałem przez sztubowego.

Lekarz długo się nie zjawiał. Musieliśmy na niego czekać kilka godzin rozebrani do naga, gdyż taki obowiązywał nakaz. Oprócz tego więźniowie ustawiać się musieli w kolejce: najpierw Niemcy, potem więźniowie innych narodowości, a na końcu Żydzi. Gdy wreszcie lekarz przyszedł, więzień funkcyjny (też lekarz z zawodu) pracujący jako personel pomocniczy wręczył mu karty chorobowe więźniów, i dopiero wtedy decydował on, czy kierować chorego do obozowego szpitala, czy też nie. Po obejrzeniu mojej ręki zalecił

operację. Następnego dnia zaprowadzono mnie na górne piętro bloku nr 21, gdzie znowu – oczywiście po rozebraniu się do naga – czekaliśmy wraz z kilkoma więźniami, także przeznaczonymi do zabiegów operacyjnych, jak bydło na rzeź.

Mój przypadek zakwalifikowano jako najpoważniejszy, więc operowany byłem pierwszy. Gdy wszedłem do pomieszczenia spełniającego rolę sali operacyjnej, kazano mi położyć się na stole z surowych desek. Przypięto mnie pasami, żebym w czasie zabiegu nie mógł się ruszać. Na twarz nałożono mi coś w rodzaju miski i kazano liczyć. Lekarz-więzień asystujący przy operacji czekał, aż przestanę liczyć, co miało znaczyć, że zasnąłem. Poczułem pierwsze cięcie skalpela. Po chwili jednak zapadłem w bardzo głęboki sen. Przyśnił mi się ojciec, matka, siostry. Śniłem, że jesteśmy razem, jak dawniej. Śniła mi się też praca w kuźni, przy której spędzałem tak dużo czasu. Ten piękny sen szybko się jednak skończył, gdyż obudzono mnie kilkoma uderzeniami w twarz. Byłem jeszcze oszołomiony narkozą, gdy lekarze i sanitariusz pomagali mi wstać ze stołu. Rękę miałem usztywnioną szyną i mocno obandażowaną.

Od dnia 9.04.1943 r. przebywałem w jednej ze sztub w szpitalnym bloku nr 21. Ręka bardzo mnie bolała i przez pierwsze trzy doby nie mogłem spać. Dni przebiegały bardzo monotonnie. Z nadmiaru wolnego czasu obserwowałem leżących chorych, a zarazem moich współtowarzyszy. Przez głowę przelatywały mi ponure filozoficzne przemyślenia na temat tego, jak strasznie jest umierać z dala od swoich najbliższych, jak długo człowiek umiera, co czuje się w agonii. Trzeciego dnia przyszedł na wizytę Lagerältester – więzień funkcyjny, a przy tym pomoc doktora Deringa, polskiego lekarza. Lagerältester spojrzał na moją kartę, a zobaczywszy, że wpisana jest wysoka temperatura, kazał sanitariuszowi zdjąć bandaż z ręki. Rana była bardzo głęboka i mocno ropiejąca. Zalecił mi moczenie ręki w letniej wodzie z domieszką jakiegoś proszku, który miałem otrzymać od sanitariusza, oraz wykonywanie ćwiczeń palcami, żeby dłoń nie została sztywna.

Dobrą stroną przebywania w szpitalu było to, że pod okno bloku mogli przychodzić Staś i Wincenty. Leżałem w sali na parterze, mogliśmy się więc bez przeszkód komunikować. Staszek przychodził, kiedy tylko była ku temu okazja. Starał się wpływać uspakajająco na moje samopoczucie. Serce mi się jednak ściskało, gdy widziałem, jak bardzo był umęczony i jak starał się to przede mną ukryć. W żwirowni, w której pracował, maltretowany był przez brutalnego kapo, Grzonkę z Rybnika. Wizyty Staszka sprawiały jednak, że nabierałem psychicznej mocy. Nie potrzebowaliśmy dużo ze sobą rozmawiać, milcząc rozumieliśmy się doskonale. Wystarczyło patrzeć na siebie, być obok siebie. Przejmowałem od niego pozytywne fale energii i siły dla duszy!

Staś przychodził też w niedziele, kiedy był dzień pisania listów. Pisał do naszych rodziców za mnie, ponieważ ja nadal miałem niesprawną rękę. Otucha duchowa, jaką przekazywał mi Staś, nie była jednak w stanie znieczulić głodu, a głód stawał się on często nie do zniesienia, byłem coraz bardziej osłabiony, ledwo powłóczyłem nogami. Kiedy otrzymałem z domu pierwszą paczkę,

przeżyłem istny szał radości – zostałem bogaczem jak na warunki obozowe, mogłem najeść się do syta! Usadowiłem się na łóżku, rozpakowałem paczkę i cieszyłem się jak małe dziecko. Może nawet małe dziecko nie cieszy się tak bardzo otrzymanym podarunkiem, jak ja otrzymaną wówczas paczką! Była w niej kiełbasa, boczek, masło, ciastka, sacharyna, czosnek, cebula, tytoń – ale brakowało tego „powszedniego" o dwóch skórkach, tego czarnego chleba powszedniego! Zrobiło mi się bardzo smutno, bo niby tyle było wspaniałości, lecz jakże wobec nich cenny był zwykły kawałek chleba. Kilka dni później otrzymałem jednak aż dwie paczki. W jednej z nich było ciasto pszenne oraz wspaniały bochenek kochanego chleba!

Ręka w dalszym ciągu bardzo mnie bolała. Moczyłem ją tak, jak nakazał lekarz, i wykonywałem zalecone ćwiczenia gimnastyczne, jednak przez dłuższy czas niewiele to pomagało. Ze szpitala zostałem przeniesiony ponownie na blok kwarantanny, gdzie niemal codziennie po apelu zjawiali się Staszek i Wincenty.[142]

Dnia 24.06.1943 r. Staszek przyszedł do mnie przed apelem. Zapytał, jak się czuję, i czy czegoś nie potrzebuję. Odpowiedziałem mu, że potrzebuję czosnku. Czosnek był w obozie równie wielkim skarbem jak chleb, gdyż wierzyliśmy w jego właściwości bakteriobójcze i witaminowe. Staszek wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął całą główkę. Wziąłem czosnek, po czym on niezdecydowanie powiedział, żebym mu dał parę ząbków. Lewą ręką rozłupałem główkę i dałem mu kilka ząbków. Staszek jednak nie odbierał ich, nie wyciągnął po nie ręki. Po chwili powiedział, żebym zostawił sobie całość.

Zdziwiło mnie to niespotykane dotychczas roztargnienie w jego zachowaniu. Oczy Staszka były jakieś inne niż zazwyczaj, widać w nich było smutek. Mało mówił i przyglądał mi się w taki sposób, jakby chciał się napatrzeć na zapas. Usłyszeliśmy sygnał na apel, więc podałem mu rękę na pożegnanie. Staszek przytrzymał ją i nie chciał odejść. Powiedziałem więc: „Idź, bo będą cię szukali". Ale on nadal stał jak w transie i nie puszczał mojej ręki. Jego oczy i twarz jakby jeszcze bardziej posmutniały. Wreszcie puścił moją rękę i powiedział: *„Bądź zdrów i zostań z Bogiem. Przyjdę jutro"*. Potem odwrócił się i pobiegł na apel.

Gdyby kazano mi wymienić najbardziej wyjątkowy dzień w moim życiu, to był to ten właśnie dzień – pożegnania ze Stasiem. Było to przeżycie z pogranicza misterium. Staś przecież nie wiedział jeszcze, że po apelu zostanie wywołany do stawienia się w Schreibstubie. Noszę stale w sercu pamięć o tamtym dniu – jest on dla mnie jak święty obrazek oprawiony w złote ramki.

Tego właśnie dnia po apelu, Staszek, Alojzy Siąkała i Janek Klistała z naszego rybnickiego transportu, wraz z dziewięcioma innymi więźniami, wezwani zostali do Schreibstuby, która mieściła się w bloku nr 24. Poinformowano ich, że na polecenie oddziału politycznego przekazani zostają na blok nr 11, gdzie 25.06.1943 r. stanąć mają przed policyjnym sądem

[142] Prawdopodobnie wydarzenia o których pisze Józef Sobik, miały miejsce jeszcze w czasie jego pobytu na bloku szpitalnym, gdyż na bloku kwarantanny nie wolno było kontaktować się z innymi więźniami.

doraźnym. Nie wrócili już na swoje bloki, lecz odprowadzeni zostali na blok jedenasty.

O tym wszystkim dowiedziałem się jednak dopiero później. Następnego dnia po apelu wieczornym Staś nie przyszedł. Przyszedł natomiast pod okno mego bloku szwagier Wincenty i powiedział ze łzami w oczach, że Staszek został rozstrzelany wraz z Jankiem Klistałą i Alojzym Siąkałą oraz paroma innymi więźniami. Zdrętwiałem i zawyłem jak zranione zwierzę. Chciałem własnej śmierci, żeby połączyć się ze Staszkiem! Dobrze, że koledzy ze sztuby się mną zajęli, dzięki nim bowiem po jakimś czasie wróciłem do jako takiej równowagi psychicznej. Dopiero po kilku dniach dowiedziałem się od kolegów z bloku, co widzieli, kiedy Stasia i innych więźniów prowadzili na blok nr 11. Gdy przechodzili obok naszego bloku, Staś bardzo mocno wpatrywał się w moje okno. Zachowywał się tak, jakby wzrokiem chciał mnie przywołać i w ten sposób się ze mną pożegnać.

Tydzień później do sztuby, w której leżałem, przyszli trzej esesmani z dwoma więźniami funkcyjnymi i zaczęli wywoływać numery. Wyczytali też mój numer. Zbladłem podobno jak ściana. Miałem wrażenie, że wywrócę się obok łóżka, przy którym stałem. Pierwszą myślą, jaka zrodziła się w mojej głowie, była ta, że idę na „rozwałkę". Ostatkiem sił stanąłem na baczność przed esesmanem. Niemiec otworzył jakieś akta, przeczytał mój numer drugi raz i zapytał, czy z otrzymaną paczką wszystko było w porządku.

Zupełnie oszołomiony odpowiedziałem, że tak, wszystko było w porządku. Byłem wtedy tak zdenerwowany, że nie zważając na konsekwencje usiadłem na znajdującym się obok mnie taborecie. Siadanie w obecności esesmana było przecież surowo zabronione! Na szczęście jednak esesmani i więźniowie funkcyjni nie zwrócili na to uwagi i nie zastosowano wobec mnie żadnej kary.

Któregoś wieczora po apelu udało mi się nielegalnie wyjść z bloku kwarantanny na teren obozu. Podpadłem od razu po powrocie, gdyż podobno byłem bardzo blady i roztrzęsiony. Zobaczyłem bowiem efekt tego, co zrobiono podczas wieczornego apelu. Na zbiorowej szubienicy przed zabudowaniami kuchni obozowej powieszono wtedy 12 więźniów, polskich intelektualistów.[143] Powieszeni mieli związane z tyłu ręce i zaciągnięte na szyjach powrozy, ich ciała zwisały bezwładnie. Lekkie podmuchy wiatru obracały ich raz w prawo, raz w lewo. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem wtedy wisielca. Widok ten był dla mnie wstrząsający.

Po trzech miesiącach pobytu w szpitalu i na bloku kwarantanny skierowany zostałem na blok nr 4. Od tej chwili pracowałem w komandzie dezynfekcji. Uważano je za jedno z lepszych, głównie ze względu na lekkość wykonywanej w nim pracy. Funkcję kapo pełnił niemiecki komunista, który był więźniem od czasu dojścia Hitlera do władzy. Był człowiekiem spokojnym i dobrym, oczywiście jak na obozowe warunki. Oprócz niego i mnie reszta

[143] Fakt ten odnotowuje Danuta Czech pod datą 19.07.1943 r. Powieszono wtedy 12 więźniów – Polaków z komanda mierników w odwet za ucieczkę 3 innych. Por. D. Czech, *Kalendarz…*, s. 468-469.

członków komanda była pochodzenia żydowskiego. Pracowaliśmy w drewnianym baraku naprzeciw bloku nr 11 – bloku śmierci, którego wszyscy się bali. Z baraku naszego słychać było, jak Niemcy rozstrzeliwują tam więźniów.

Egzekucje odbywały się przeważnie po południu. Ciała zamordowanych więźniów leżały na dziedzińcu do wieczora. Po apelu ogłaszano Lagersperrę, co znaczyło, że nikomu nie wolno było wychodzić z bloków na teren obozu. Więźniów z naszego komanda zakaz ten nie obowiązywał ze względu na pracę na różnych zmianach. Któregoś dnia podglądnąłem, jak przyjechał samochód ciężarowy i ustawił się tyłem do bramy wejściowej na dziedziniec bloku jedenastego. O wjeździe samochodu na teren dziedzińca nie było mowy, gdyż brama była za wąska i za niska. Po opuszczeniu tylnej burty została jeszcze między nią a ziemią dosyć duża szpara, przez którą mogłem obserwować, co dzieje się na dziedzińcu. Na ziemi leżały nagie ciała ofiar. Pod murem bloku nr 10 ziemia była czerwona od krwi, która spływała do kanału ściekowego. Grupa więźniów-sanitariuszy ładowała trupy – brali we dwójkę nieboszczyka za ręce i nogi, i jak kłodę drzewa rzucali na skrzynię samochodu. Krew spływała z ciał ofiar i z samochodu na ziemię. Gdy ciężarówka została załadowana, odjechała do krematorium. Po chwili do naszego bloku przyszedł esesman i wyznaczył z komanda kilku więźniów, którzy mieli pozasypywać ślady krwi chlorem. Pewnego zaś razu usłyszałem rozmowę dwóch esesmanów, z których jeden przechwalał się, że w ciągu 20 minut zdołał uporać się wraz z kolegą z rozstrzelaniem 15 więźniów!

Na miejsce egzekucji skazańców prowadził zazwyczaj wyznaczony do tego więzień funkcyjny. Poznałem go bliżej – był Żydem. Ważył co najmniej 120 kilogramów i był bardzo wysoki. Przed wojną trenował podobno niemieckiego boksera Schmelinga. Swą specyficzną funkcję pełnił według ustalonego scenariusza. Ofiary przeznaczone na śmierć musiały rozebrać się do naga w umywalni bloku jedenastego. Wtedy on brał jednego lub dwóch skazańców pod ręce i podprowadzał pod czarną ścianę na dziedzińcu. Stali zazwyczaj twarzą do niej. Potem padały strzały, a martwe ciała skazańców osuwały się na ziemię. Więzień ów mówił, że za każdym razem trząsł się ze strachu, czy podczas oddawania strzału esesmanowi nie drgnie ręka i nie trafi w niego. Zarówno on, jak i inni więźniowie funkcyjni przeznaczeni do wykonywania zadań związanych z obsługą bloku jedenastego, przebywali w sztubie na parterze tego bloku, a budynek mogli opuszczać jedynie za zgodą dyżurującego tam esesmana.

Zdarzały się też przypadki, że na bloku nr 11 więziono esesmanów za łamanie zarządzeń lub dyscypliny SS. Stało się tak z wyjątkowo okrutnym esesmanem, Gerhardem Palitzschem. Jego specjalnością było znęcanie się nad kobietami. Na jego widok więźniów ogarniał nieopisany strach. Był największym oprawcą w KL Auschwitz. Jedno z miejsc na żwirowisku, gdzie katował ludzi, nazywano „Palitzschkiesgrube” – żwirownią Palitzscha.

Między więźniami krążyły informacje, że Palitzsch – obozowy kat – zakochał się w przepięknej Żydówce z obozu kobiecego w Birkenau.[144] Kilka razy skazywano ją na śmierć przez zagazowanie, ale Palitzsch za każdym razem ją od tego wybraniał. Podpadł więc władzom obozowym, gdyż nawet esesmanowi nie wolno było oszczędzać więźniów, a co dopiero Żydów! Tym sposobem doczekał się także i on bardzo brutalnego śledztwa. Palitzscha osadzono na bloku nr 11, skąd oficer z SD (Sicherheitsdienst) zabierał go na przesłuchania na oddział polityczny. Czasem przyprowadzano go pod prysznic do naszej łaźni. Rozmawiał z nami podczas kąpieli i mówił, że już nie interesuje go strzelanie do ludzi i znęcanie się nad więźniami. Twierdził też, że czyta teraz wyłącznie książki miłosne. Po jakimś czasie esesmani wywieźli go z KL Auschwitz. Plotki, jakie w związku z tym do nas docierały, nasuwały przypuszczenie, że wysłano go za karę na front wschodni.

Od czasu do czasu zanosiłem na blok nr 11 zdezynfekowaną bieliznę. Musiałem wtedy schodzić także do piwnic i lochów tego bloku. Tyle tam było żelaznych bram, tyle ponurych cel. Ogarniał mnie tak przeraźliwy lęk, że jak najprędzej stamtąd uciekałem. Na końcu korytarza w podziemiach były Stehzelle, tj. cele do stania, do których skazywano więźniów przeważnie na dwa tygodnie za drobne przewinienia. Wyroki takie wydawał oddział polityczny. Kara ta wykonywana była w ten sposób, że po gongu do spania więzień musiał się zgłosić na bloku jedenastym. Zaprowadzano go wtedy do podziemia i zamykano w Stehzelle. Gdy był sam, mógł jako tako zgiąć nogi i trochę się przespać. Gorzej, kiedy w celi było kilku skazanych. Stłoczeni byli wówczas na tej małej powierzchni i musieli stać od godziny 21:00 do 4:30. Rano więzień był zwalniany, po czym musiał się zgłosić do swojego komanda i normalnie iść do pracy. Tak przebiegał cały okres kary w Stehzelle.

Któregoś razu, kiedy miałem nocną zmianę w baraku dezynfekcji, wyszedłem na zewnątrz i usłyszałem dobiegający z bloku jedenastego stłumiony, ale bardzo przejmujący śpiew kobiety. Była to pieśń *„Pod Twą obronę, Ojcze na niebie”*. Stałem nieruchomo, żeby nie zauważył mnie wartownik. Zobaczyłem jednak, że także on stał na wieży zasłuchany. Była to niezwykła chwila, gdyż na co dzień słyszało się w obozie jedynie krzyki, wrzaski i przekleństwa.

Jesienią 1943 r. na piętrze bloku nr 24 otwarty został dom publiczny.[145] Mogli z niego korzystać więźniowie niemieccy i polscy. Usługi seksualne świadczyły tam więźniarki-ochotniczki, które przyprowadzane były z obozu kobiecego w Birkenau. Podobno obiecano im, że po pół roku zostaną zwolnione z obozu. Poza tym miały przywilej noszenia cywilnej odzieży, mimo wszystko jednak pomalowanej z tyłu w pasy. Mogły też nosić długie włosy, nie obowiązywał ich nakaz noszenia na głowach chustek i mogły sobie upiększać twarz – malowały usta i podkreślały brwi. Nazywano je „Komando Puff”!

---

[144] Palitzsch – oprócz romansu z Żydówką – uwikłany był także w aferę rabowania kosztowności.

[145] Tu drobna pomyłka Józefa Sobika. W rzeczywistości miało to miejsce pod koniec czerwca 1943 r.

Zdarzył się też w obozie pewien wypadek bez precedensu. Przebywający w nim więzień austriacki walczył przed wojną jako komunista w Hiszpanii i ożenił się tam z miejscową dziewczyną. Wrócił do kraju, ale po zajęciu Austrii przez Niemcy został osadzony w obozie, a władze hitlerowskie nie respektowały ślubu, który zawarł w Hiszpanii. Na pisemną prośbę więźnia władze obozowe zezwoliły na przyjazd jego nieprawnej żony na teren obozu i udzieliły im formalnego ślubu w obozowym Urzędzie Stanu Cywilnego. Więźniowie-krawcy dopasowali Panu Młodemu cywilne ubranie, a kiedy nowożeńcy weszli do obozowego Standesamtu i do obozowego fotografa, orkiestra zagrała nawet marsza Mendelssohna. Usunięto też wtedy kobiety z bloku 24 i zezwolono nowożeńcom spędzić tam całą dobę.[146]

Nadszedł 24.12.1943 r., moja pierwsza wigilia w obozie. Dzień ten nie różnił się dla nas niczym od innych, tyle że podśpiewywaliśmy sobie kolędy. Śpiewanie kolęd po polsku było oczywiście zabronione, ale niektórzy więźniowie chodzili po blokach i wygrywali je na grzebieniach. Wielu z nas albo nuciło graną melodię, albo ryzykowało i śpiewało kolędę z polskim tekstem, ale bardzo cicho. Myślami przenosiliśmy się poza obóz, do naszych rodziców i rodzin. Byliśmy przekonani, że szczególnie w tym dniu także nasi bliscy przy wigilijnym stole intensywniej łączyli się z nami. Nie mogły w tym przeszkodzić ani bardzo czujne straże obozowe, ani podwójne ogrodzenie z drutu pod napięciem. Myśli przelatywały ponad nimi! Esesmani robili wszystko, żeby złamać nas psychicznie i fizycznie, ale mimo okaleczenia naszych ciał i serc, mimo władzy, jaką nad nami mieli, nie byli w stanie odebrać nam wrażliwości i uczuć. Wielu z nas nie kryło łez spływających po policzkach. Ten wyjątkowy dzień szczególnie wszystkich wzruszał, wywoływał pragnienie bycia znowu razem ze swoimi bliskimi.

Po Nowym Roku kolejne dni i tygodnie przelatywały jak wiele z dotychczasowych, przeżywanych na pracowaniu i otrzymywaniu pod byle pretekstem batów od zwyrodniałych esesmanów i kapo – przeważnie więźniów kryminalnych.

W maju 1944 r. przetransportowany zostałem wraz z wieloma innymi więźniami, wybranymi jako fachowcy branży ślusarskiej, do obozu BIId w Birkenau. Obóz ten dopiero organizowano, więc do zakwaterowania nas przeznaczono dawniejsze stajnie końskie. Wokół nich było strasznie dużo błota i brudu. Nie było umywalek – zamiast nich ustawiono na dworze długie, wypełnione wodą koryto, w którym myliśmy się zbiorowo. Funkcję ubikacji pełniło wydzielone pomieszczenie, wewnątrz którego znajdował się kilkumetrowy podest zbity z desek. W podeście tym były otwory, dziura przy dziurze. Więźniowie, których w obozie tym ulokowano przed nami, chodzili w cywilnych ubraniach, ale mieli na nich namalowane olejną farbą pasy. Bez

[146] Był to jedyny ślub w historii KL Auschwitz. W ceremonii uczestniczyli podobno także rodzice więźnia. Ślub odbył się 18 marca 1944 r., zaś 30 grudnia 1944 r. więzień ten został powieszony. Por. D. Czech, *Kalendarz…*, s. 631.

wątpienia było im jednak w tych ubraniach cieplej, aniżeli nam w cienkich drelichowych pasiakach.

W Birkenau nie było niestety takiego koleżeństwa, jak w KL Auschwitz, gdzie każdy starał się pomóc innym – choćby nawet dostać się do lepszego komanda. Od tego bowiem często zależało życie człowieka. Można zaryzykować stwierdzenie, że byliśmy tam wielką rodziną więźniarską.

Parę dni po przybyciu do Birkenau spotkałem więźnia Maksymiliana Basistę, który przed wojną był burmistrzem Rybnika. W mieście tym był bardzo znaną i poważaną osobistością, był zresztą bardzo szlachetnym człowiekiem. Od tego czasu, w miarę możliwości, spędzaliśmy ze sobą wiele godzin na wspomnieniach o Rybniku.

W Birkenau przydzielony zostałem do komanda Zerlegebetriebe, które liczyło około 1500 więźniów. Do miejsca pracy trzeba było wychodzić poza ogrodzenie obozu. Codziennie pokonywaliśmy duże odległości, oczywiście tam i z powrotem na piechotę. Po drodze przechodziliśmy obok obozu kobiecego. Za każdym razem starałem się wypatrzyć tam moją bratową, Zosię, ale jak się później dowiedziałem, pracowała w jakimś podobozie poza KL Birkenau. Często wracaliśmy z pracy podczas trwania apelu wieczornego w obozie kobiecym. Serce się człowiekowi ściskało, kiedy widział stojące w rzędach małe i większe dzieci, w wieku od około trzech lub czterech lat wzwyż. Można sobie zadawać pytanie, w jakim stopniu te maleństwa zagrażały hitlerowskim nazistom? Warunki życia i jakość wyżywienia przebywających w oddzielnych barakach dzieci nie różniły się niczym od tych, jakie mieli dorośli. Dziewczynki i chłopcy stali piątkami w szeregach, w ubrankach różnych rozmiarów, niedopasowanych, często w kilku miejscach porozdzieranych – byle było czym okryć te małe ciałka. Stały cichutkie, pokorne, bez płaczu. Widać było przerażenie na małych buzinkach. Sadyści z SS byli chyba zadowoleni z respektu, który wyrobili sobie u tych zalęknionych dzieci, z dyscypliny, jakiej je nauczyli! Iluż to matkom, którym odebrano dzieci, zadawano dodatkowe cierpienia, kiedy musiały się przyglądać, jak ich dzieci są maltretowane! Nie mogły swych dzieci przytulić, pobawić się z nimi. Te maleństwa nie wiedziały, co to jest dzieciństwo. Ich istnienia zależne były od widzimisię hitlerowskich oprawców, ludzi bez serca, którzy przecież w większości przypadków mieli własne rodziny i dzieci.

Nasze komando pracowało w drewnianej hali, co było bardzo ważne, gdyż dach dawał komfortową osłonę podczas długotrwałych deszczów. Posiłki dowożono nam na miejsce samochodem ciężarowym. Czasami otrzymywaliśmy też od Luftwaffe dodatkowe porcje chleba. Podczas pracy pilnowani byliśmy zgodnie z zasadą Große Postenkette. Naszym bezpośrednim przełożonym był pewien oficer Luftwaffe w randze starszego kaprala. Był to człowiek dobry, w tym przynajmniej sensie, że starał się traktować nas po ludzku. Dla niego ważna była fachowość wykonywanej pracy. Nie okazywał chęci wyżywania się na więźniach. Całością zakładu kierował zaś oficer Luftwaffe w randze kapitana. Był on fanatycznym nazistą, w maltretowaniu więźniów nie różnił się niczym od

esesmańskich oprawców. To na jego polecenie zmuszeni byliśmy bardzo często pracować na wydłużonej dniówce roboczej, od rana do zmierzchu.

Praca w naszym komandzie polegała na demontażu samolotów zestrzelonych podczas działań wojennych lub zużytych w wyniku długotrwałego ich eksploatowania. Demontowaliśmy kadłuby, części silników, oprzyrządowanie. Segregowaliśmy wszystko w zależności od możliwości użycia poszczególnych elementów na części zamienne. Z kolei nadmiernie zużyte lub uszkodzone części rozdzielaliśmy według rodzaju materiałów, z których były wykonane, i wkładaliśmy je do odpowiednich pojemników, skąd ładowano je na wagony i wywożono do hut lub innych zakładów przeróbczych. Skrzydła i kadłuby cięte były na małe segmenty i – jako cenny stop aluminiowy – także wywożone do przetopienia.

Ze względu na pracę poza obozem stan ilościowy naszego komanda kontrolowany był co godzinę przez więźniów funkcyjnych. Zdarzały się bowiem często przypadki ucieczek. Któregoś dnia więzień-kontroler, sprawdzający jak zwykle obecność, po zdaniu raportu kapo poszedł w jakieś ustronne miejsce i tam zasnął. Przyszła pora obiadu, więc komando jak zwykle ustawiło się setkami do przeliczenia. W wyniku odliczania okazało się, że brakuje jednego więźnia. Zdenerwowani kapo natychmiast rozpoczęli poszukiwania. Wreszcie znaleźli tego nieboraka śpiącego gdzieś w kącie. Z wściekłości zaczęli go okrutnie bić i zdawało się, że go zabiją. Ponieważ był to więzień funkcyjny z naszej grupy, zdobyliśmy się na odwagę i zaczęliśmy głośno krzyczeć, żeby przestali. Prawdopodobnie nasze okrzyki spowodowały, że zjawił się SS-Kommandoführer i dopiero jego interwencja przerwała maltretowanie więźnia.

Gdy jednak przyszliśmy z pracy do obozu, całe komando otrzymało polecenie ustawienia się przed blokami. Zrobiono nam karny apel, gdyż naszą interwencję w obronie więźnia uznano za bunt. Zastępca Lagerführera oznajmił, że odbędzie się dziesiątkowanie, tzn. co dziesiąty więzień otrzyma na koźle 25 batów. Wpierw jednak całe komando musiało zrobić za karę 50 przysiadów. Właściwie już po tej karze niektórzy z nas ledwo trzymali się na nogach. Po przysiadach rozpoczęło się odliczanie od 1 do 9, dziesiąty więzień musiał wystąpić. Gdy wszystko było już przygotowane, zastępca Lagerführera zaskoczył nas łaską odstąpienia od wykonania kary, co w obozie raczej rzadko miało miejsce. Łaskawość tę można wytłumaczyć jedynie tym, że w obozie nie było osławionego Lagerführera Johanna Schwarzhubera z SS, który odpowiedzialny był w Brzezince za męską część obozu. Poza tym ludziom z Luftwaffe zależało, aby pracujący dla nich więźniowie byli w możliwie najlepszej kondycji fizycznej. Egzekucje przez powieszenie były w Birkenau na porządku dziennym. Zwykle spektaklowi temu przyglądać się musiała większa ilość więźniów. Podobnie było z karą chłosty, także często wykonywaną publicznie.

Któregoś dnia przechodziłem niedaleko miejsca pracy obok wartownika w mundurze Wehrmachtu. Zapytał mnie po polsku, czy mam coś do palenia. Miałem przy sobie tytoń, więc mu go dałem, żeby zrobił sobie skręta. Przy tej

okazji wywiązała się między nami rozmowa. Kiedy powiedziałem mu, że jestem z Rybnika, bardzo się ucieszył, pochodził bowiem z Chwałowic, czyli wioski tuż koło Rybnika. Tak staliśmy się znajomymi, chociaż w krańcowo innych rolach. Zakwalifikowany został jako niesprawny do odbywania służby wojskowej, otrzymał więc przydział do służby zastępczej – służby wartowniczej. Po paru spotkaniach z nim pozwoliłem sobie na pewne ryzyko. Zapytałem go, czy wysłałby list do moich rodziców do Rybnika. W ten sposób bowiem mógłbym ominąć obozową cenzurę i napisać dłuższy, bardziej nieformalny list. Wartownik chętnie się zgodził. Napisałem więc obszerny list z informacjami, że Stasia i jego kolegów rozstrzelano, poruszyłem także wiele osobistych spraw, o których nie wolno było pisać w oficjalnych listach. Po przyjściu następnego dnia do pracy wręczyłem go wartownikowi. Zapewnił mnie, że na pewno go wyśle.

Tego samego dnia po powrocie z pracy w obozie zarządzono apel, na którym powieszono więźnia za to, że kontaktował się z ludźmi spoza obozu. Po tym wydarzeniu nie mogłem spać całą noc. Chodziły mi po głowie makabryczne myśli, bałem się, że wartownik oddał mój list do wydziału politycznego, przez co i mnie powieszą! Po przyjściu do pracy natychmiast poszedłem do znajomego wartownika. Upewniałem się, czy wysłał list, i uzasadniłem moje obawy tym, co stało się wczoraj w obozie. On zaś zapewniał mnie, że list został wysłany, i mówił, żebym się nie bał. Uspokoiłem się jednak dopiero wtedy, gdy otrzymałem z domu odpowiedź z umówioną informacją potwierdzającą, że dostali mój list!

W sierpniu 1944 r. ze zwiększoną częstotliwością przychodzić zaczęły do Birkenau transporty węgierskich Żydów. Przybyłych prowadzono całymi rodzinami bezpośrednio do komór gazowych. Kominy czterech krematoriów wypuszczały w powietrze wyjątkowo dużo czarnego dymu. Ze zdwojoną siłą palono zwłoki zagazowanych. Płomienie ognia wylatywały na kilka metrów ponad kominy. Zwłoki palono dodatkowo na dwóch stosach, gdyż przepustowość krematoriów była za mała. Najgorzej było w pochmurne dni, gdyż dym i swąd ścieliły się wówczas po ziemi, a w obozie było ciemno jak w nocy. Trudno było oddychać tak ciężkim powietrzem, przesyconym słodkawym zapachem palonych ludzkich zwłok.

Niemcy mieli kłopoty z nadążeniem z paleniem ciał, dlatego ludzi przeznaczonych do zagazowania porozdzielano na grupy, w których musieli czekać na swoją kolej. Obok naszego bloku, w sektorze BIIc, umieszczono kobiety. Co pewien czas przychodził tam oficer SS i robił przegląd. Jego wskazanie palcem oznaczało albo pójście do gazu, albo darowanie jeszcze paru dni życia. Obok naszego obozu przechodzili też Żydzi z przybyłych transportów. Byli dobrze ubrani i prowadzili ze sobą dzieci. Szli w milczeniu, a dzieci niosły ze sobą lalki i misie. Dzieci zadawały matkom pytania: *„Mamusiu, dokąd my idziemy?”*. Ale odpowiedź często grzęzła matkom w gardle. Czasami uspakajały one swe dzieci, aby zaoszczędzić im strachu, czasem jednak same nie były świadome, dokąd idą! Na początku sierpnia do komory gazowej zaprowadzono

też wszystkich więźniów z obozu cygańskiego, niezależnie od tego, czy ktoś był Cyganem, czy nie – wystarczyło, że znajdował się wtedy w tym obozie.

Na początku października 1944 r., gdy byliśmy w pracy przy swoich zajęciach, do naszych hal wbiegli żołnierze Luftwaffe z karabinami gotowymi do strzału. Kazali zgromadzić się wszystkim w jednym miejscu, a następnie polecili położyć się na ziemi. Nikt oczywiście nie wysilił się, żeby nam wyjaśnić, co jest tego powodem. Leżąc na podłodze usłyszeliśmy jedynie warkot dużej ilości samochodów ciężarowych, jadących w kierunku obozu Birkenau. Po jakiejś godzinie pozwolono nam wstać i kazano wracać do pracy. Jeden z wartowników powiedział nam później w tajemnicy, że powodem całego zamieszania był bunt, który wzniecili więźniowie z obsługi krematorium. Zrozumiałe więc było, że samochody ciężarowe, których przejazd słyszeliśmy, wiozły jednostki SS skierowane do jego stłumienia.

W niektóre dni nie wychodziliśmy z obozu, lecz pracowaliśmy na jego terenie. W dniu, o którym chcę wspomnieć, robiliśmy coś niedaleko krematoriów. Blisko tego miejsca pracował w komandzie dezynfekcji Stanisław Długi. Był on moim dobrym znajomym z Rybnika, mieszkał niedaleko naszego domu. Chciałem go odwiedzić, więc jakoś ubłagałem kapo, żeby mnie zwolnił na parę minut z pracy i pozwolił zajrzeć do znajomego. Idąc do Stanisława Długiego przechodziłem obok krematoriów i komór gazowych. Ciekawość kusiła mnie, żeby zajrzeć do środka tych ponurych pomieszczeń, ale nie mogłem nic dostrzec, gdyż okna były od wewnątrz szczelnie zasłonięte kocami.

Stanisław Długi pracował niedaleko więźniów pracujących w komandzie „Kanady", czyli w magazynie rzeczy zgromadzonych po więźniach. Miał z nimi dobre układy, mógł zatem załatwiać różne przydatne w obozie rzeczy. Już wcześniej kilka razy dostarczył mi tytoń i bieliznę. Także tym razem po serdecznym powitaniu dał mi kilka sztuk bielizny, tytoń i jeszcze jakieś drobne rzeczy. To miłe spotkanie trwało jednak zaledwie parę minut, gdyż nagle zaczęły wyć syreny ogłaszające alarm przeciwlotniczy. Wybiegłem z budynku, w którym się spotkaliśmy, i zobaczyłem, że kapo gonią więźniów do swoich baraków. Obowiązywało bowiem zarządzenie, że w razie alarmu lotniczego komanda pracujące w pobliżu obozu muszą natychmiast wracać do baraków. Bardzo się wystraszyłem, bo jak niby miałem się teraz przedostać do swojego komanda? Nie tracąc jednak zimnej krwi pobiegłem w stronę bramy między sektorami i w biegu rzuciłem wartownikowi nowe, ciepłe skarpetki. Od razu mnie przepuścił, dzięki czemu udało mi się dostać do mojego komanda. Był najwyższy czas, gdyż już na mnie czekali. Gdybym został złapany poza moim komandem, mógłbym otrzymać karę 25 batów i przydział do karnego komanda.

Rano 13.10.1944 r. wychodziłem do pracy bardzo zmęczony. W nocy miałem koszmarne sny. Szedłem w kolumnie smutny i milczący, nie odpowiadałem na zaczepki i pytania kolegów. Niedaleko naszego miejsca pracy od wartowników SS przejmowali nas żołnierze Luftwaffe. W trakcie przekazywania więźniów z szeregu wyskoczył niespodziewanie jeden z więźniów, Żyd. Chciał zerwać rosnącą w pobliżu drogi kapustę. Znajdujący się

niedaleko mnie żołnierz Luftwaffe krzyknął na niego, zdjął z ramienia karabin i... padł strzał. W pierwszej chwili zastanawiałem się wraz z innymi więźniami, co się stało? Poczułem jednak, że bardzo mnie szczypie policzek. Okazało się, że karabin wystrzelił, zanim żołnierz zdążył wycelować go we właściwym kierunku. Kula trafiła w mój policzek, zrobiła w nim dwie dziury i raniła mnie jeszcze w ucho. Następnie pocisk poleciał dalej w kierunku innych więźniów i zabił dwóch Rosjan. Zranił też w głowę jeszcze jedną osobę. Koledzy z szeregu zwrócili uwagę przede wszystkim na zabitych Rosjan, a ja czułem ciepło rozlewające się z policzka. Dopiero po chwili zauważyli, że krew obficie spływa z mojej twarzy i że jestem ranny. Zrobiło mi się słabo, więc wzięli mnie pod ręce, a do rany przyłożyli chusteczki, żeby zatamować krwawienie.

Gdy doszliśmy do miejsca pracy, zaprowadzono mnie do punktu opatrunkowego, gdzie obandażowano mi niemal pół głowy. Tak opatrzony chciałem zabrać się do pracy, ale gdy zobaczył mnie mój szef i dowiedział się, jak doszło do zranienia, bardzo rozzłościł się na pracujących w komandzie Żydów, a mnie przydzielił do lżejszej pracy. Około południa na skrzynię samochodu, który miał jechać do obozu po obiad, załadowano dwa trupy. Kazano mi usiąść koło nich, a wartownik, który miał pilnować mnie i więźnia-kierowcę, pojechał w szoferce obok prowadzącego samochód. W obozie zostałem opatrzony przez lekarza i dostałem tydzień zwolnienia lekarskiego, w czasie którego nie musiałem chodzić do pracy.

Kiedy po tygodniu wolnego znowu wychodziłem do pracy, zobaczyłem Zosię. Radość z możliwości ujrzenia jej była ogromna – był to nasz pierwszy kontakt po tak długim czasie. Od czasu jej zwolnienia z bloku nr 2 przebywała najpierw w obozie w Birkenau, a następnie w podobozach Budy i Rajsko. Teraz ponownie skierowano ją do Birkenau, na blok kwarantanny. Niestety mogliśmy porozumieć się tylko na migi. Pokazała miną i rękami, że jest zaniepokojona moim wyglądem, a przede wszystkim dużym plastrem na twarzy.

Coraz częściej wysyłano z Birkenau transporty więźniów do innych obozów. Pod koniec października 1944 r. niekorzystna sytuacja na froncie wschodnim wymusiła na Niemcach konieczność likwidacji niektórych prac, do których wykorzystywano więźniów. Luftwaffe musiała także ograniczyć wysługiwanie się komandem Zerlegebetriebe. Dopóki jednak się dało, wykorzystywała do maksimum dotychczasowe możliwości i tak tanią siłę roboczą.

Żołnierze i kapo ponaglali nas coraz bardziej przy pracy. Narzucano nam tempo, jakiego dotychczas nie było. Zaczęliśmy się buntować. Między innymi i ja pozwoliłem sobie na głośne zamanifestowanie niezadowolenia. Wypowiedziałem do swoich kolegów uwagę, że w takim tempie pracować nie będziemy. Usłyszał to pilnujący nas żołnierz i zaczął krzyczeć, że uprawiam sabotaż, że odciągam innych od pracy. Wyciągnął pistolet i mierząc do mnie wrzeszczał, że zastrzeli mnie jak psa. Przestraszyłem się poważnie jego groźby, więc dałem susa w dużą grupę więźniów stojących obok. Obawiałem się, że żołnierz ten będzie od tej pory znęcał się nade mną, gdyż na pewno mnie

zapamiętał. Szef mojej hali, jak już wcześniej wspomniałem, był człowiekiem dobrym dla mnie. Kiedy zorientował się, co zaszło, zaproponował mi wyjazd do innego obozu, w którym obiecywał lepsze warunki bytu i większą szansę przeżycia. Po doświadczeniu, jak w KL Auschwitz likwidowano całe transporty ludzi, przystałem chętnie na tę propozycję. Chciałem przeżyć i chciałem być jak najdalej od piekła, jakim były Auschwitz i Birkenau.

Wyznaczony zostałem do wyjazdu i – mimo że dwukrotnie odwoływano odjazd transportu – w końcu 13.11.1944 r. w grupie około 1000 więźniów wyjechałem w nieznanym kierunku. Przez zakratowane okienko wagonu obserwowałem trasę pociągu. Widziałem, że jedziemy przez Dziedzice, Pszczynę, Żory, a także moje kochane miasto – Rybnik. Tutaj w Rybniku jest mój dom rodzinny, mieszkają rodzice i siostry. Czy oni przeczuwają, jak blisko nich się znajduję? Z Rybnika wieziono nas w kierunku Raciborza, ale przed Raciborzem transport skręcił na północ, aż wreszcie po długiej jeździe wyładowano nas w nieznanej okolicy, w sosnowo-brzozowym lesie.

BYŁEM WIĘŹNIEM KL Gross-Rosen nr 86378, Aussenkomando Gross-Koschen

Las, przy którym kazano nam wysiąść z wagonów, należał do terenów Rogoźnicy (ziemia wałbrzyska). W miejscowości tej znajdował się niemiecki obóz koncentracyjny KL Gross-Rosen, mający w okolicy kilka podobozów. Zostaliśmy skierowani właśnie do jednego z nich, do Gross-Koschen. Przy drodze przemarszu, od miejsca wyładunku z wagonów do podobozu, leżało kilka wraków samolotów. Przypominało to widok znajomy z Birkenau.

Podobóz mieścił się w nieczynnej fabryce szkła. Przed bramą wejściową ustawiony był mały drewniany barak, w którym urzędował Lagerführer, a kawałek za nim widać było niewielki komin, częściowo rozebrany. Obóz otaczało ogrodzenie z drutu kolczastego pod napięciem. Za bramą – po lewej stronie – usytuowane były kuchnie polowe, piece do opalania baraków, oraz duży, pozbawiony podłogi barak mieszkalny. Dla więźniów funkcyjnych wydzielono w nim miejsce odgrodzone od innych. Prycze podobne były do tych, które mieliśmy w KL Auschwitz, stały jednak bezpośrednio na ziemi. Ubikacje były bardzo prymitywne, a umywalek nie było wcale. Widok, który już na wstępie mnie poruszył, to grupa 50 więźniów, których ulokowano w obozie przed naszym przyjazdem. Mieli oni przystosować teren fabryki do zakwaterowania w niej większej ilości więźniów (my byliśmy pierwszą z większych grup, które miały przyjechać do obozu). Więźniowie ci byli tak wynędzniali, że nie byli podobni do ludzi, lecz do jakichś zjaw w łachmanach!

Komendant obozu (nie pamiętam nazwiska) był w randze SS-Oberscharführera i miał zapisaną na swoim koncie bogatą listę zbrodni. Wyżywał się w bestialski sposób na więźniach, był w obozie panem życia i śmierci. Lagerälteste, były kryminalista, dał się poznać z okradania nas z racji żywnościowych. Na stanowiska kapo mianowani zostali więźniowie z naszego transportu, lekarzem obozowym był Polak.

Cały nasz transport składał się z Polaków, Rosjan, paru Francuzów i paru Niemców. Ulokowano mnie w baraku, w którym znajdowała się jego większa część, tj. Polacy, Francuzi i Niemcy. Następnego dnia przed wymarszem do pracy otrzymaliśmy pierwszy posiłek – jakąś gorącą zupę. Wyglądała jak zamącona czymś woda, ale w smaku była dosyć dobra. Chleb był lepszego gatunku niż w KL Auschwitz, było go też nieco więcej. Dawano nam także dodatki do chleba – trochę margaryny, sera domowego lub kawałek końskiej kiełbasy. Wstępne obserwacje potwierdzały więc to, co mówił mój niemiecki protektor z Luftwaffe – wyżywienie było lepsze, a dyscyplina nieco luźniejsza.

Tego dnia zatrudniony byłem przy rozładunku części drewnianych baraków i hal z wagonów. W Gross-Koschen mieliśmy znowu demontować w zadaszonych halach wraki samolotów. Inna grupa więźniów budowała drugi barak mieszkalny. Miał się składać z kilku części, z których największa miała pomieścić około 100 więźniów. W środkowej części miał być szpital. Kiedy wreszcie zbudowano ten barak, faktycznie urzędował w nim lekarz, ale mimo jego starań o zdrowie więźniów, mimo szczerych chęci niesienia im pomocy – powrót do zdrowia zależał jedynie od woli Boga, gdyż w obozie brakowało lekarstw. Przednią część baraku zajmowała tzw. elita obozowa. Nie pamiętam, czy była tam podłoga, ale do ogrzewania wnętrza służył duży, żelazny piec. W sąsiedztwie obozu nie było widać żadnych zabudowań. Otaczał nas tylko las. Przed obozem więźniowie budowali drewniany magazyn i baraki dla pilnujących nas żołnierzy Luftwaffe.

Po doświadczeniach z KL Auschwitz dbaliśmy bardzo o higienę osobistą, oczywiście na miarę możliwości w warunkach obozowych. Mieliśmy na uwadze groźbę wybuchu epidemii, co przy takim braku lekarstw groziło nieuchronną śmiercią. W odróżnieniu od nas więźniowie, których tutaj zastaliśmy – a którzy byli aresztowani podczas powstania warszawskiego – w ogóle nie dbali o higienę. Byli mocno zawszeni i apatyczni. Na nasze prośby, żeby doprowadzili się do jakiegoś ludzkiego wyglądu, odpowiadali wzruszaniem ramion lub zdecydowaną odmową. W związku z tym zdarzył się pewien epizod, który zapadł mi szczególnie mocno w pamięć. Jeden z więźniów z naszego baraku – Władek (nie pamiętam nazwiska), postanowił umyć na siłę jednego z tych zabiedzonych i zaniedbanych więźniów. Kiedy go mył, więzień ów dostał drgawek jak przy febrze i zaczął okropnie krzyczeć. W końcu wyrwał się Władkowi i uciekł między swoich współtowarzyszy.

Po kilku dniach Lagerführer kazał wprowadzić numerowanie więźniów. Otrzymałem numer 86378. Rozdawane numery wypisane były na łatkach, które zgodnie z rozkazem mieliśmy przyszyć do kurtek i spodni. Nie było jednak ani igieł, ani nici! Trzeba było sobie radzić według własnej pomysłowości. Igły zrobiliśmy z drutu aluminiowego zdobytego przy rozbiórce wraków samolotów, a zamiast nici użyliśmy włókien wyciągniętych z siedzeń foteli lotniczych.

Zarówno w obozie, jak i w miejscu pracy panował względny spokój. Żołnierze, którzy nas pilnowali, nie wtrącali się w nasze życie obozowe. Po

napisaniu listu do domu i podaniu nowego miejsca pobytu otrzymywałem znowu paczki żywnościowe. Niestety były one bezlitośnie okradane przez wspomnianego już Lagerälteste. Kontrolował on zawartość przychodzących paczek i zabierał to, co mu się podobało. Na większe szykany wobec więźniów na szczęście funkcyjni nie mogli sobie pozwolić, ponieważ nie zgadzały się na to władze Luftwaffe.

Wieczory były coraz dłuższe, czasu po apelach było teraz sporo, więc coraz częściej myślałem o takim ułożeniu sobie warunków bytu, żeby przeżyć to obozowe piekło. Jak już wspomniałem, przy pracy nie było tak ostrej dyscypliny, jak w Birkenau, dlatego też więźniowie zaczęli kombinować różne rzeczy. Wykręcali kolorowe gałki z uchwytów kabin samolotów, z aluminiowych rurek z układów hydraulicznych robili lufki do papierosów, zaś z metali kolorowych – pierścionki. Mistrzem w tej precyzyjnej wytwórczości był Leon Pietrusiak. Władek, o którym już wcześniej wspomniałem, obdzierał skórę świńską ze zbiorników paliwa i robił z niej cholewki do butów. Z lasu znosiliśmy kawałki brzozowego drzewa i prymitywnie zrobionym nożem łupaliśmy drewno na kołki – takie, jakich szewcy używali do robienia butów. Suszyliśmy je potem na piecu w baraku. Skórę na zelówki wykradaliśmy z magazynu wojskowego, a kopyta do modelowania butów robiliśmy sami z drewna. Następnie dostarczaliśmy wszystko więźniowi, który był szewcem z zawodu, a ten robił nam wygodne buty. W pobliżu torów, przy których nas wyładowano z wagonów, leżał rozsypany węgiel brunatny, używany chyba kiedyś w fabryce. Zbieraliśmy ten węgiel i paliliśmy nim w piecu naszego baraku.

Niestety, pojawiły się pierwsze ofiary w grupie „więźniów warszawskich". Ich zwłoki spalono w piecu, nad którym widoczny był ów częściowo rozebrany komin, zauważony przeze mnie pierwszego dnia. Wyznaczeni przez władze więźniowie musieli nałożyć drewna w palenisku pieca, na drewno ułożyć trupy więźniów, a następnie polać je benzyną. Stos podpalony został osobiście przez Lagerführera.

Któregoś dnia jeden z żołnierzy pilnujących więźniów zameldował Lagerführerowi, że skradziono mu portfel z kieszeni kurtki zawieszonej na drzewie. Podejrzenie padło na jednego z Rosjan. Bez żadnego śledztwa ani wysłuchania, co ma do powiedzenia oskarżony, zastosowano wobec niego karę „słupka". Polegała ona na tym, że więźniowi wiązano z tyłu ręce, po czym podwieszany był za nie na słupie. Nogi karanego znajdowały się na wysokości około metra nad ziemią. Po dwóch godzinach żołnierz zgłosił Lagerführerowi, że portfel się odnalazł. Niewinnie ukaranego więźnia zdjęto ze słupa, ale jeszcze długo po tych męczarniach nie mógł dojść do siebie.

Nadeszła kolejna wigilia Bożego Narodzenia. Byliśmy niemal do wieczornego apelu w pracy. Po apelu zabrałem się do strojenia sosnowego drzewka, bo taka była nasza choinka. Zrobiło się jakoś cicho, wszyscy byli poważni. Myślami byliśmy znowu w rodzinnych domach, ze swoimi bliskimi. Chyba każdy z nas zadawał sobie te same pytania – czy spotkamy się jeszcze z

rodzinami, czy doczekamy wolności? Łzy widać było w oczach niemal wszystkich, podobnie jak w KL Auschwitz. Przy stołach wigilijnych domownicy składali sobie najserdeczniejsze życzenia. Czegóż my, w naszej sytuacji, mogliśmy sobie życzyć? Chyba tylko tego najważniejszego – doczekania wolności! Zaśpiewaliśmy piękne polskie kolędy, gdyż w tym obozie nie było to zabronione. Pierwszy dzień świąt był wolny od pracy, więc Władek obchodził baraki z prymitywną szopką.

Więźniowie z powstania warszawskiego coraz częściej umierali z wycieńczenia. Pozostali przy życiu wkrótce odesłani zostali do obozu głównego, - do KL Gross-Rosen.

Pewnego dnia więzień o nazwisku Mrochen otrzymał od żony paczkę. Wcześniej jego kolega o nazwisku Lanc żartował, że jeśli Mrochen otrzyma paczkę, to będą w niej tylko okruszki. Wróżby Lanca niestety się sprawdziły. W paczce pozostały tylko okruszynki, a między nimi znajdował się wianuszek z zasuszonych kwiatów z napisem: „Życzenia z okazji 25 lat pożycia małżeńskiego". Mrochen na jego widok rozpłakał się jak małe dziecko, także nam popłynęły z oczu łzy. Trudno się dziwić, że gest pamięci i serdeczności ze strony żony wywołał tak wielkie wzruszenie w nas wszystkich.

Rozpoczął się nowy, 1945 rok. Nie mieliśmy znikąd wieści, co dzieje się na świecie, gdyż mieszkaliśmy na odludziu, bez styczności z cywilami. Wyczuwaliśmy jednak podświadomie, że wolność zbliża się do nas, że musi być dosyć blisko. Zaczęło brakować żywności, porcje były coraz mniejsze. Więźniowie, którzy pracowali w magazynie, zauważyli w skrzyniach wazelinę, stosowaną przez Niemców do smarowania łożysk. Zaczęli ją podkradać, gdyż wpadli na pomysł smażenia na niej ziemniaków i cebuli, także zresztą nielegalnie zdobytych. Posiłek taki był bardzo smaczny, ale trzeba było to jeść bardzo prędko, gdyż wazelina gęstniała przy stygnięciu i robiła się sztywna jak zimny łój wołowy. Żołnierze dowiedziawszy się, co z wazeliną robią więźniowie, zaczęli ją także wykradać do podobnych celów. Kiedy jednak dowiedział się o tym Lagerführer, zaostrzył straże przy magazynie i ogłosił surowe kary za wszelkie kradzieże.

W obozie przystąpiono do budowy trzeciego baraku, ponieważ dojechać miał nowy transport więźniów. W tym też czasie straciliśmy zupełnie kontakt z naszymi rodzinami, listy z domu przestały do nas dochodzić. Wyciągnęliśmy z tego wniosek, że wolność się przybliża. Paczki oczywiście też nie przychodziły, a racje żywnościowe znowu się zmniejszyły. Zaczęliśmy się kłócić między sobą o wielkość porcji chleba. Więźniowie robili ze sznurka i patyków wagi, na których sprawdzali, czy przydzielane porcje chleba są jednakowe. Rosjanie natomiast wpadli na pomysł, aby ze szczątków samolotów zbierać skórzane paski i obszycia foteli, i gotować je lub smażyć na tłuszcz. Tłuszczem tym jednak dwóch z nich się zatruło.

Trzeci barak nie został jeszcze zbudowany, gdy już zaczęto go rozbierać. Nie sprowadzono też żadnego nowego transportu więźniów. Chleb do naszego komanda dowożony był samochodem ciężarowym z pobliskiego

miasteczka. Jeździł po niego w towarzystwie wartownika jeden z więźniów kryminalnych, sześćdziesięcioletni Niemiec. Pewnego razu nie wrócił z takiego wyjazdu. Żołnierz tłumaczył się Lagerführerowi, że więzień uciekł. Inny żołnierz powiedział nam w zaufaniu, że wartownik pomógł mu w ucieczce.

Była druga połowa lutego, gdy przyszło nagłe zarządzenie o likwidacji obozu. W najbliższym terminie miało go opuścić 80% więźniów. Ja miałem zostać do końca. Robiłem jednak wszystko, żeby też wyjechać, gdyż bałem się, że po zlikwidowaniu obozu Niemcy zlikwidują też wszystkich świadków! Dnia 23.02.1945 r. wyjechałem więc z innymi więźniami do Buchenwaldu, natomiast do zlikwidowania obozu pozostali M. Winszczyk i F. Czylok. Znacznie później dowiedziałem się od Czyloka, że po naszym wyjeździe otrzymywali wprawdzie dużo żywności, ale przy rozbiórce obozu bardzo się napracowali. Z dużym pośpiechem musieli uporządkować teren tak, że nawet słupy ogrodzeniowe trzeba było wyciągać z ziemi i ładować na samochody. Następnie pojechali z żołnierzami do innego obozu, też należącego do Luftwaffe, i tam doczekali się wyzwolenia.

BYŁEM WIĘŹNIEM KL Buchenwald nr 132609,

Do Buchenwaldu przyjechaliśmy 26.02.1945 r. Całą drogę z Gross-Koschen odbyliśmy w wagonach towarowych, a świat na zewnątrz obserwować mogliśmy jedynie przez małe, zakratowane okienko. Obóz KL Buchenwald usytuowany był na wzniesieniu i górował nad okolicą. Tory kolejowe prowadziły aż na teren obozu, ale nasz pociąg zatrzymał się przed bramą. Kazano nam wyjść z wagonów, ustawić się w kolumnę po pięć osób w szeregu i w takim szyku wprowadzono nas przez bramę główną bezpośrednio do łaźni. Gdy z niej wyszliśmy, mogliśmy się nieco rozejrzeć po najbliższym terenie. Przed nami stały ładne, murowane bloki. Plac apelowy był wyasfaltowany. Był to mój trzeci obóz i – jak do tej pory – prezentował się najładniej, jeżeli można użyć jakichś określeń pozytywnych miejscu do zniewalania ludzi. Następnie zaprowadzono nas do właściwego obozu, który mieścił się za tymi ładnymi budynkami. Moje odczucia estetyczne zdecydowanie się wtedy zmieniły. Zaprowadzono nas do drewnianych pomieszczeń, które służyły kiedyś jako stajnie.

Barak, w którym zostałem ulokowany, był przepełniony. Mogło znajdować się w nim około tysiąca lub więcej osób. Wewnątrz panował nieopisany zaduch. Smród chloru używanego do dezynfekcji wnętrza zmieszany z dusznym powietrzem tworzył mieszankę uniemożliwiającą wręcz oddychanie. Nie było sienników ani koców do okrycia się w nocy. Spać trzeba było na gołych deskach trzypoziomowych pryczy. Warunki higieniczne były bardzo złe. Baraki znajdowały się na terenie bardzo błotnistym, podobnie jak w Birkenau.

Po posiłki – chleb i zupę – musieliśmy chodzić dosyć daleko, do budynku zwanego salą kinową. Przy wydawaniu chleba pracował Żyd, którego znałem z KL Auschwitz. Dzięki tej starej znajomości wybierał dla mnie większe kawałki chleba, za co byłem mu ogromnie wdzięczny. Mimo wszystko, im bliżej

było do wyzwolenia, tym bardziej traciłem nadzieję na przeżycie. Przypominali mi się więźniowie z powstania warszawskiego w Gross-Koschen. Stawałem się podobny do nich. Ledwo powłóczyłem nogami, byłem brudny, bardzo wygłodniały i zawszony.

Któregoś dnia po południu wracająca z pracy grupa więźniów wiozła na taczce zmasakrowanego Lagerälteste. Człowiek ten nadzorował ich przy pracy i okrutnie się nad nimi znęcał, podobnie czynił też w poprzednim obozie. Więźniowie wyładowali na nim swoją złość za jakiś brutalniejszy gest wobec nich. Był bardzo pobity i strasznie krzyczał z bólu. Nie wiem, co stało się z nim później – czy przeżył.

Dnia 6.03.1945 r. zostaliśmy ponownie skierowani do łaźni. Przygotowywano nas do kolejnego wyjazdu. Na pociąg czekaliśmy w sali kinowej, w której otrzymywaliśmy posiłki. Początkowo było dosyć spokojnie, lecz nagle jeden z więźniów zaczął buntować pozostałych przeciwko byłemu kapo o nazwisku Jankowski. Chwilę później więzień ten uderzył Jankowskiego, po czym inni zaczęli rzucać w niego drobnymi przedmiotami, a później także i ławkami. Bito go nawet wówczas, gdy już nie dawał znaku życia. Był to okropny widok. Ludzie odreagowywali doznane na własnej skórze krzywdy, zachowywali się gorzej niż zwierzęta. Nikt nie mógł stanąć w obronie Jankowskiego, gdyż sam stałby się ofiarą. Wartownicy widzieli ten samosąd, ale nie wtrącali się. Kiedy stwierdzono śmierć byłego kapo i napastnicy odstąpili od martwego już ciała, jeden z funkcyjnych polecił zabrać zwłoki i przenieść je do krematorium.

Wreszcie podstawiono wagony, którymi mieliśmy jechać. Zanim jednak wsiedliśmy, wyładowano z nich dużą ilość trupów przysłanych do spalenia w znajdującym się tu krematorium. Wieziono nas w wagonach towarowych z niedomkniętymi drzwiami, ale każdego wagonu pilnowało trzech esesmanów. Na drogę każdy dostał porcję świeżego chleba przyrządzonego z dużą domieszką mąki kukurydzianej. Otrzymany chleb zjedliśmy bardzo szybko, bo byliśmy wygłodniali, a poza tym woleliśmy nie ryzykować, że zostaniemy okradzeni. Po pewnym czasie zaczęło nam dokuczać coraz silniejsze pragnienie, spowodowane prawdopodobnie domieszką mąki kukurydzianej w chlebie. Esesmani nie przejmowali się jednak naszymi prośbami o wodę. W pewnym momencie w okolicy, przez którą przejeżdżał nasz pociąg, zaczął się nalot bombowy. Esesmani kazali zatrzymać pociąg, zamknęli drzwi wagonów i uciekli gdzieś się ukryć. Baliśmy się, że pociąg może zostać zbombardowany, ale i tak byliśmy bezsilni wobec pozamykanych od zewnątrz drzwi wagonów. Gdy nalot się skończył, pociąg ruszył w dalszą drogę. Pragnienie stawało się nie do zniesienia. Esesmani zrozumieli powagę sytuacji dopiero wtedy, gdy niektórzy więźniowie zaczęli gorączkować. Na najbliższej stacji pociąg się zatrzymał. Zorganizowano w pośpiechu jakieś naczynia i donoszono w nich wodę do wagonów. Były one bardzo brudne, ale tym wartownicy się nie przejmowali. Mnie także udało się dostać trochę wody i częściowo ugasić pragnienie.

Po długiej drodze dojechaliśmy wreszcie do obozu Natzweiler-Struthof w południowo-zachodniej części Niemiec. Kiedy wyładowano nas w podobozie Schömberg, esesmani stracili panowanie nad sytuacją, gdyż niemal wszyscy więźniowie, odczuwając wciąż silne pragnienie, rzucili się na resztki śniegu, który tu jeszcze gdzieniegdzie leżał. Esesmani zaczęli krzyczeć, bić nas i kopać, gdyż zależało im na tym, żebyśmy znaleźli się jak najszybciej w obozie. W ogrodzonej przestrzeni łatwiej było zapanować nad tak spontanicznymi zachowaniami.

Obóz ten zaadoptowany był dla nas na poczekaniu, znowu ulokowano nas w drewnianych stajniach. Teren był bardzo bagnisty – żeby wejść do baraków, trzeba było wchodzić po specjalnych drewnianych pomostach. Krematorium w tym obozie nie było – umarłych chowano w zbiorowych mogiłach. W poprzednich obozach nie obrywaliśmy od kapo czy wartowników tak często, jak tutaj. Bito nas na każdym kroku. Pracowaliśmy bardzo ciężko przy zbiornikach z ropą, obok których kopaliśmy rowy odwadniające. Nabierana na łopatę ziemia była tak lepka od ropy, że kiedy chciało się ją zrzucić, łopata sama wylatywała z rąk.

Na moje szczęście dosyć szybko przeniesiony zostałem do innego podobozu, który nazywał się Dautmergen. Przydzielono mnie do pracy w warsztacie ślusarskim. Przeżyłem tam kolejny silny nalot bombowy. Miałem szczęście, że nie zostałem zabity, gdyż jedna z bomb trafiła niedaleko mojego miejsca pracy. Zakwaterowany zostałem w jednym z baraków, gdzie były normalne pokoje, z normalnymi oknami. Inną dogodnością, jaką tam zastaliśmy, była łaźnia, w której można się było porządnie wykąpać bez poganiania przez wartowników. Podkradaliśmy też resztki mydła z łaźni dla żołnierzy. Nie mieliśmy jednak ręczników, więc ubrania naciągaliśmy na mokre ciała. Myślałem, że po takiej kąpieli będę czuł się świeżo. Z niemałym jednak zdziwieniem poczułem, że coś chodzi mi po plecach. Zdjąłem ubranie, następnie koszulę i... zaniemówiłem z wrażenia. Na koszuli aż roiło się od wszy.

Głód panujący w obozie był nie do wytrzymania, Niemcy coraz częściej zmniejszali racje żywnościowe. Francuzi zaczęli zbierać i gotować mlecze. Inni więźniowie znaleźli na śmietniku końskie kości, które podsmażali potem nad prymitywnie zrobionym ogniskiem. Władze obozowe – widząc, że jemy mlecze – wyznaczyły kilku więźniów do zbierania ich na większą skalę. Rozdano im sienniki, które miały spełniać rolę worków. Z zebranych przez więźniów mleczy ugotowano dla wszystkich zupę. Była ona dosyć smaczna i znacznie pożywniejsza od tych, które tutaj otrzymywaliśmy. W czasie obiadu pewien Rosjanin jadł z zupą surowego, wypatroszonego kreta, którego gdzieś znalazł.

Niestety po jakimś czasie odesłani zostaliśmy do poprzedniego obozu. Byliśmy tam znowu bici, i to nie tylko przez funkcyjnych, lecz także przez współwięźniów, których bezsilność wobec pogarszających się warunków obozowego bytu przeradzała się w coraz większą agresję. Wśród wycieńczonych więźniów w olbrzymim tempie wzrastała śmiertelność.

Dnia 14.04.1945 r. wyznaczony zostałem do kolejnego transportu, ponieważ zakwalifikowano mnie jako chorego i niezdolnego do pracy. Tym razem wieziono nas w odkrytych węglarkach. W czasie jazdy oddawaliśmy się przeważnie zajęciu zabijania wszy, które nam bardzo dokuczały. W pewnej chwili w nocy obudziłem się, gdyż jakiś zimny ciężar przygniótł mi nogi. Okazało się, że był to więzień, który zmarł i osunął się na mnie. Po przyjeździe do obozu Allach, który był podobozem KL Dachau, rozebrani zostaliśmy z łachmanów, które mieliśmy na sobie. Nie skierowano nas jednak do łaźni, gdyż jej w tym obozie nie było. Stare ubrania nam zabrano, a do okrycia się otrzymaliśmy koce.

W obozie tym przebywali więźniowie różnych narodowości, a o szansach przeżycia mawiano: „Jak ci Bóg nie pomoże, to ci nikt nie pomoże!". W ciągu paru zaledwie dni przekonaliśmy się, że było tak rzeczywiście. Był to właściwie obóz dla więźniów, którym nie wróżono dłuższego życia, a ja niestety byłem jednym z tak zakwalifikowanych straceńców! Mały bochenek obozowego chleba przeznaczony był dla dziewięciu więźniów, a zupa podawana na obiad składała się z wody, w której zagotowano drobno pokrojone obierzyny z ziemniaków. To było wszystko, czym nas karmiono. W barakach dokuczała nam ogromna ilość robaków różnej wielkości i gatunku. Było też bardzo wilgotno, wychodziliśmy więc nago na zewnątrz, aby w ten sposób ogrzać na słońcu nasze wychudzone ciała. Dopiero po tygodniu otrzymaliśmy jakieś ubrania, ale bez bielizny.

Znowu jednak przebąkiwano, że obóz nasz będzie ewakuowany. Dowiedzieliśmy się też o innym makabrycznym wydarzeniu – grupę bardzo słabych więźniów wyprowadzono w kierunku Alp i tam rozstrzelano.

Dnia 27.04.1945 r. esesmani z uwagi na zbliżający się front uciekli z naszego obozu i zostaliśmy bez nadzoru. Zabrali ze sobą oczywiście resztę chleba, byliśmy więc praktycznie bez jedzenia. Aby zabezpieczyć się jakoś przed zbombardowaniem obozu, wywiesiliśmy białe flagi. Niestety, słychać było w oddali jedynie odgłosy wybuchów, ale wyzwolenie nie nadchodziło. Dwa dni później esesmani wrócili i kazali nam pozdejmować białe flagi. Od tego też czasu robili wszystko, żeby zatrzeć ślady zbrodni, które popełniali na więźniach. Najbardziej mogło im w tym pomóc ściągnięcie na obóz ognia artyleryjskiego, który by zniszczył obóz oraz nie zostawił przy życiu świadków. Dowiedzieliśmy się jednak później, że alianci dobrze wiedzieli, gdzie jest obóz, i nie kierowali ognia w tę stronę.

Dnia 30.04.1945 r. około południa esesmani ponownie uciekli w pośpiechu, a my zostaliśmy wreszcie oswobodzeni. Wielka to była radość – radość, której nie da się w prostych słowach wyrazić. Byłem wolny po przeszło dwuletniej poniewierce. Przeszedłem siedem obozów, z których każdy następny był gorszy. Przez dwa lata śmierć codziennie zaglądała mi w oczy!

Ogrodzenie z drutu kolczastego zostało natychmiast przez więźniów zniszczone. Wybiła przecież godzina wolności. Z paroma innymi więźniami odszedłem kawałek od obozu, gdzie w polu znajdował się duży kopiec z

ziemniakami. Gołymi rękami rozkopaliśmy go i zaczęliśmy wybierać ziemniaki. Nie zwracaliśmy uwagi na właściciela pola interweniującego u tymczasowych władz amerykańskich. Wreszcie mieliśmy możliwość pożywić się ziemniakami, których od tak dawna nie jedliśmy. Dotychczas dla nas były tylko obierki. W drodze powrotnej zabrałem z pola parę cebul, a z byłego esesmańskiego baraku wziąłem wiaderko po marmoladzie. Wyrwałem z płotu kilka sztachet, zrobiłem ognisko i ugotowałem ziemniaki. Wraz z Mikołajem Mrochenem świętowaliśmy wspólnym obiadem dzień naszego wyzwolenia. Wreszcie najedliśmy się do syta!

Obóz nasz pilnowany był teraz przez wojsko amerykańskie. Zaczęliśmy się jednak niepokoić, gdyż na rozkaz amerykańskiego komendanta zostaliśmy znowu otoczeni dopiero co zlikwidowanym ogrodzeniem z drutu kolczastego. Jedyną różnicą było to, że nie podłączono do niego prądu. Znowu byli wartownicy, tyle że w innych mundurach! Nie wolno nam było opuszczać obozu. Kiedy jeden z więźniów przedostał się przez ogrodzenie na zewnątrz i próbował uciekać, wartownik zaczął do niego strzelać. Byliśmy bardzo rozgoryczeni, gdyż odzyskana wolność została nam w pewnym sensie znowu odebrana. Ponownie byliśmy więźniami, tyle że nie było już obozowej dyscypliny.

Trzeba jednak zaznaczyć, że od razu otrzymaliśmy dobre jedzenie. Zupy były bardzo smaczne i pożywne, dostawaliśmy też biały chleb. Nadal jednak warunki higieniczne były złe. Byliśmy brudni i zawszeni, a w barakach wciąż pełno było robactwa. Na szczęście nie trwało to długo, gdyż amerykańska służba zdrowia szybko się tym zajęła. Dostaliśmy uodparniające zastrzyki, a po pewnym czasie zaczęto nas w warunkach polowych kąpać i dezynfekować. Ponieważ w obozie nie było żadnych ubrań oprócz łachmanów, jakie mieliśmy na sobie, z magazynów przywieziono dla nas czyste niemieckie mundury wojskowe. Wciąż jednak obowiązywał zakaz wychodzenia na zewnątrz. Wkrótce przyjechały francuskie, holenderskie i belgijskie samochody wojskowe oraz czeskie autobusy, które zabrały obywateli swoich narodowości. Zostali tylko Polacy i Rosjanie.

W drugiej połowie czerwca 1945 r. przewieziono nas, Polaków, samochodami do byłych koszar SS w miejscowości Freiman. Mieściły się one w zupełnie nowym budynku o trzynastu wejściach. Ulokowano w nim byłych więźniów z Dachau i okolicznych podobozów. Było nas tam kilka tysięcy. Po pewnym czasie przyjechali polscy oficerowie łącznikowi i zaczęli formować z byłych więźniów kompanię wartowniczą. Większość osób, które namawiano, nie zgadzała się na pełnienie tej funkcji, mimo że płacono za to z góry 350 marek (nie wiem jednak, za jaki okres pracy). Otrzymaliśmy imienne przepustki, na które mogliśmy wychodzić z obozu do miasta München. Cóż z tego, skoro połowa miasta leżała w gruzach, kolej była nieczynna, na kupno czegokolwiek nie mieliśmy pieniędzy, a turystyczne zwiedzanie nas nie interesowało. Któregoś dnia wstrzymano wydawanie przepustek z powodu przewinienia, którego dopuścił się ktoś z „naszych". Sprawa była poważniejsza, gdyż szukano w

pokojach broni. Zakaz ten trwał jednak bardzo krótko. Amerykanie przywieźli do naszego obozu około stu kobiet, które ściągnięto z pobliskich obozów i podobozów. Zamieszkały one w osobnym budynku. Większość z nas nie była zainteresowana umizgami do kobiet. Myśleliśmy tylko o tym, żeby jak najprędzej wrócić do domów i do swoich najbliższych. Niektórzy jednak znaleźli tam sobie żony. Co tydzień odbywały się ceremonie ślubne.

W pierwszej połowie sierpnia 1945 r. obóz nasz zaczęto stopniowo przenosić do Mamberga. Wraz z grupą innych byłych więźniów uciekłem stamtąd. Mieszkaliśmy przez trzy dni w ośrodku UNRRA, gdyż dłużej nie wolno było tam przebywać. Ośrodek mieścił się w budynku Deutsches Museum i dostępny był dla obywateli wszystkich narodowości. Jedzenie dostawaliśmy za darmo. Dowiedzieliśmy się tam, że na granicę z Czechosłowacją, do miejscowości Furd am Walde, jechać ma prywatny samochód ciężarowy z przyczepą. Porozmawialiśmy z właścicielem samochodu, zapłaciliśmy po 35 marek od osoby i pojechaliśmy razem z nim.

Na miejscu katolicki ksiądz poinformował nas, że przez granicę nie przejedziemy, ponieważ jest bardzo dobrze pilnowana. Kombinowaliśmy więc, co począć, ale dosyć szybko zainteresowali się nami Amerykanie i – delikatnie, ale stanowczo – zaprowadzili nas do miejscowego obozu. Składał się on z dwóch baraków. W jednym mieszkało paru Łotyszów i Jugosłowian, a w drugim Polacy. Nie wspominam dobrze pobytu w tym obozie, gdyż większość osób oddawała się tam rozpuście. Na szczęście szybko stamtąd wyjechaliśmy. Amerykanie załadowali nas na samochody i zawieźli do Regensburga. Umieszczono nas w halach byłej fabryki samolotów Messerschmitta. Znajdowało się tam już wielu Polaków, którzy od paru dni czekali na pociąg. Kiedy wreszcie podstawiono pociąg, każdemu z nas wręczono po paczce unrrowskiej, po czym ulokowaliśmy się w wagonach i pojechaliśmy przez Czechosłowację do Polski. Dnia 17 sierpnia dojechałem do punktu repatriacyjnego w Dziedzicach, a 18.08.1945 r. wróciłem do Rybnika – do domu.

I ja byłem z szat obdarty i oplwany,
Przez fałszywych sędziów o winy pytany.
I nade mną niemiecki Piłat umywał ręce,
Że Żyd lub Ukrainiec był winien mej męce.
I ja, jak pod krzyżem, pod „szpilą” padałem,
Kopnięciem ocucony, na nowo wstawałem.
Tylko ja tysiąc razy odbyłem Golgotę,
Pędzony, jak Ty Chryste, przez mściwa hołotę,
Spójrz, Panie, na me ciało umęczone –
Nawet wszy mi wygryzły cierniową koronę ...

wiersz: **Jak Ty, Chryste**
autorka: Halina Szuman (Oświęcim)

SOBIK STANISŁAW,

Więzień KL Auschwitz nr 107482.

SOBIK STANISŁAW,

Stanisław Sobik nie mógł napisać pamiętnika jak jego brat Józef. Zginął rozstrzelany pod Ścianą Straceń w KL Auschwitz, a Jego zwłoki spalone zostały w obozowym krematorium. Pozostała jednak pamięć o tym wspaniałym człowieku – pamięć w sercach najbliższych i tych wszystkich, którzy mieli szczęście Go znać.

Urodził się 21.09.1911 r. w Rybniku, syn Ludwika i Wiktorii z d. Klenot. Był najstarszy spośród sześciorga rodzeństwa. Po ukończeniu szkoły powszechnej uczył się w Państwowym Gimnazjum w Rybniku. W 1931 r. ukończył tam naukę i złożył egzamin maturalny. Nie wiadomo dokładnie, co Stanisław Sobik robił w latach 1931-1935. Z napisanego przez niego w 1935 r. życiorysu wynika, że pracował „przejściowo przez dwa lata z przerwami w większych urzędach pocztowych powiatu rybnickiego jako urzędnicza siła zastępcza”. W rodzinie mówiło się też, że w tym okresie rozpoczął studia teologiczne w Krakowie, jednak informacja ta nie jest potwierdzona. W roku 1935 ponownie zatrudniony został na poczcie. Dnia 6.08.1935 r. zawarł związek małżeński z Zofią z domu Żurek.

Po wkroczeniu wojsk hitlerowskich do Rybnika Stanisław Sobik ewakuowany został wraz z innymi pracownikami poczty na Węgry. Gdy po dwóch miesiącach wrócił do kraju, ponownie miał problemy ze znalezieniem pracy. W końcu zatrudniony został w kasie na stacji kolejowej Obszary koło Rybnika.

Będąc oddanym patriotą nie mógł pogodzić się z okupacyjną rzeczywistością. Zaangażował się w działalność konspiracyjną w Związku Walki Zbrojnej, za co 11.02.1943 r. został aresztowany, a następnie wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie zginął rozstrzelany 25.06.1943 r.

* * *

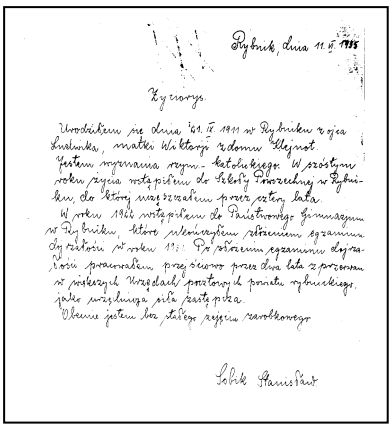

Rybnik, dnia 11.5.1935

Życiorys.

Urodziłem się dnia 21.IX.1911 w Rybniku z ojca Ludwika, matki Wiktorii z domu Klejnot. Jestem wyznania rzym.-katolickiego. W 7 roku życia wstąpiłem do Szkoły Powszechnej w Rybniku, do której uczęszczałem przez cztery lata.

W roku 1922 wstąpiłem do Państwowego Gimnazjum w Rybniku, które ukończyłem złożeniem egzaminu dojrzałości w roku 1931. Po złożeniu egzaminu dojrzałości pracowałem przejściowo przez dwa lata z przerwami w większych Urzędach pocztowych powiatu rybnickiego jako urzędnicza siła zastępcza.

Obecnie jestem bez stałego zajęcia zarobkowego.

Sobik Stanisław

Tak oto wygląda ręcznie i w skrócie napisany życiorys Stanisława Sobika. Niewiele dokumentów pozostało z okresu jego młodości, zaginęły, kiedy został wraz z żoną aresztowany, a niemieccy funkcjonariusze zajęli opuszczone przez nich mieszkanie. Inne dokumenty uległy zniszczeniu w czasie działań wojennych w 1945 r. Tak więc o życiu Stanisława Sobika dowiadujemy się z przekazów ustnych. Wypowiedzi jego rodziny i znajomych, dotyczą głównie okresu

okupacji – od wkroczenia wojsk hitlerowskich do Rybnika aż do ostatniego dnia jego życia.

Utrwalam więc chociaż ten skromny zasób informacji o tej wspaniałej postaci, gdy od ukończenia gimnazjum Stanisław Sobik musiał zatroszczyć się o swój byt materialny. Przez kilka lat pracował dorywczo w urzędach pocztowych, gdzie poznawał czynności pocztowca od podstawowych, urzędniczych tajników tego zawodu. Jego sumienność, pracowitość i wrodzona inteligencja szybko zyskały uznanie zwierzchników i kolegów. Jednak dopiero w roku 1936 poprawiła się jego sytuacja materialna.

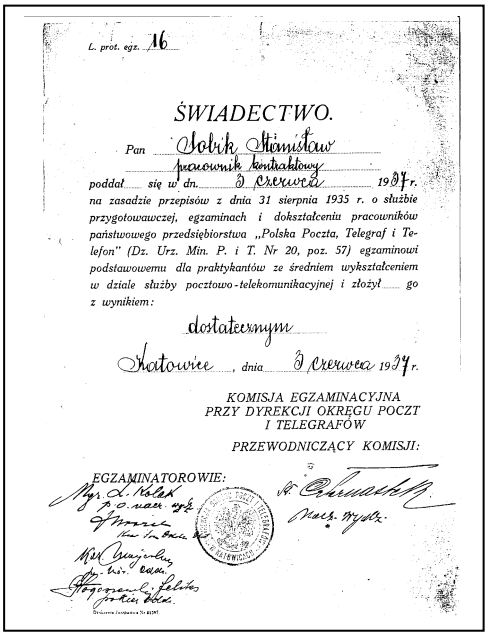

L. prot. egz. 16

ŚWIADECTWO.

Pan Sobik Stanisław
pracownik kontraktowy
poddał się w dn. 3 Czerwca 1937 r.
na zasadzie przepisów z dnia 31 sierpnia 1935 r. o służbie przygotowawczej, egzaminach i dokształceniu pracowników państwowego przedsiębiorstwa „Polska Poczta, Telegraf i Telefon" (Dz. Urz. Min. P. i T. Nr 20, poz. 57) egzaminowi podstawowemu dla praktykantów ze średniem wykształceniem w dziale służby pocztowo-telekomunikacyjnej i złożył go z wynikiem:

dostatecznym

Katowice, dnia 3 Czerwca 1937 r.

KOMISJA EGZAMINACYJNA
PRZY DYREKCJI OKRĘGU POCZT
I TELEGRAFÓW

PRZEWODNICZĄCY KOMISJI:

EGZAMINATOROWIE:

W sierpniu tegoż roku zawarto z nim kontrakt na pracę o charakterze stałym na czas nieokreślony. Mógł więc teraz zamieszkać w wynajętym mieszkaniu przy ul. Wodzisławskiej w Rybniku, gdyż dotychczas, ze względu na dosyć skromne dochody mieszkał z żoną u swoich rodziców i korzystał z ich wsparcia materialnego. W tym też okresie dokształcał się w zakresie łączności, co potwierdza świadectwo ukończenia Szkoły Przysposobienia Pocztowego w branży Łączności z dnia 3.06.1937 r.

W życiu rodzinnym był przykładnym mężem i ojcem. Wyjątkowo skrupulatnie pełnił obowiązki służbowe, a przy tym potrafił wygospodarować również czas na utrzymywanie kontaktów z kolegami z gimnazjum.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że dodatnie cechy jego charakteru dostrzegane były już w latach gimnazjalnych. Uważany był za wyróżniającego się ucznia. Brał czynny udział w życiu społecznym szkoły – występował m. in. w sztukach teatralnych o patriotycznej tematyce. Należy też dodać, że uwielbiał grę w szachy. Odnosił w tej dyscyplinie sportu znaczące sukcesy – zdobył mistrzostwo i wicemistrzostwo Śląska.

Postać tak znana w Rybniku jak Innocenty Libura zamieszcza w książce *Z dziejów domowych powiatu. Gawęda o ziemi rybnickiej* obok innych wspomnień, znamienne zdanie o Sobiku: *„[...] Stanisław Sobik ze Smolnej, wybitnie zdolny i szlachetny człowiek”*[147].

[147] Innocenty Libura, *Z dziejów domowych powiatu. Gawęda o ziemi rybnickiej*, Opole 1984, s. 381.

Nadszedł rok 1939. Na skutek zaostrzającej się sytuacji politycznej Urząd Pocztowy w Rybniku, jako obiekt o wyjątkowym znaczeniu strategicznym, został w sierpniu 1939 r. zmilitaryzowany i przekazany pod nadzór wojskowy.

Pracownicy poczty, wśród których znalazł się także Stanisław Sobik, zostali umundurowani i wcieleni do wojska. Od tej pory, oprócz wykonywania swych codziennych obowiązków, pełnili także intensywne dyżury przy nasłuchu radiowym oraz zabezpieczali tajne dokumenty. W rybnickim urzędzie pocztowym wraz ze Stanisławem Sobikiem pracował wtedy Rafał Sitek z Jastrzębia Górnego[148]. Fragmenty jego wspomnień z tego okresu opublikował Józef Musioł w książce *Ślązacy*. Wynika z nich, że Sobik i Sitek byli przyjaciółmi, oraz że razem ukończyli Szkołę Przysposobienia Pocztowego. Wspomnienia Sitka obejmują także wydarzenia z początku września 1939 r.

Według zapisu w książce Musioła 1 września około 5:30 Rafał Sitek odbierał telefony z meldunkami o zbliżaniu się Niemców – najpierw z nadgranicznej poczty w Lyskach, potem z Rydułtów. Niedługo później dwóch żołnierzy zameldowało, że Niemcy atakują od strony Orzepowic i są już na przedmieściach Rybnika. Następnie Sitek otrzymał rozkaz wycofania się w kierunku wschodnim – szlak jego ewakuacji przechodził przez Żory, Mikołów, Chrzanów, Kraków. Oto fragment wspomnień dotyczący dalszej drogi:

Następny odpoczynek nocny nastąpił w Puszczy Niepołomickiej, skąd przygotowywany był opór, jednak później go zaniechano. W dalszej drodze szliśmy o głodzie w dziennym upale i nocnym chłodzie, w drelichowych mundurach, ubrudzeni wapiennym kurzem. O zmianie bielizny czy porządnym umyciu się nie było mowy. Na piechotę mijamy Busko, potem Tarnów i Dębicę, gdzie przeżyliśmy silne bombardowanie. Dalej Pilzno, Jasło, Krosno, Limanowa, Sanok i Lesko. Po drodze naprawialiśmy jeszcze gdzieniegdzie uszkodzone przewody telefoniczne. Najbardziej niebezpieczne były dla nas bandy Ukraińców, które dokonywały straszliwych mordów na Polakach, szczególnie umundurowanych. Skręcamy coraz bardziej na południe i dochodzimy do Chyrowa, Sambora i Turki nad Stryjem. We wsi Rozkucz-Krywka przechodzimy w małej grupce przez góry i w nocy z 23 na 24 września 1939 roku żegnamy Polskę. Klękamy i modlimy się, oczy mamy zalane łzami. Przekraczamy granicę węgierską. W dniu 24 września nad ranem schodzimy z gór i docieramy do jakiejś węgierskiej wioski i poddajemy się tamtejszym władzom. Zdajemy broń i

[148] O postaci tej – wyróżniającym się działaczu ZWZ – pisze także w swej książce Mieczysław Brzost. Por. M. Brzost, *Rybnicki Inspektorat Armii Krajowej*, Katowice 1995.

po przesłuchaniu, i skromnym posiłku doprowadzeni zostaliśmy do obozu dla internowanych Polaków, najpierw w okolicy Miszkolca, Komarnie, a potem do Magyarowar niedaleko granicy Austrii. Obozowaliśmy w okropnych warunkach, schorowani i zawszeni. W starym dużym zniszczonym młynie spaliśmy bez ściółki, choć był to już grudzień. Warunki te spowodowały wyjazd dużej liczby Polaków do kraju. Tak też uczynił mój bliski przyjaciel Stanisław Sobik z Rybnika [podkr. moje – J. K.]. Z Magyarowaru przetransportowano nas na południe do Barc (Istvandi) na pogranicze Jugosławii koło rzeki Drawy. Dla nieletnich i starszych była szansa na otrzymanie paszportu, natomiast dla osób w wieku wojskowym paszport taki był ważny dopiero od Zagrzebia w Jugosławii. Tych ludzi specjalni łącznicy przewozili w nocy łódkami przez Drawę. Pod naciskiem Hitlera ówczesny regent Węgier wydał rozkaz wycofania nas wszystkich w głąb Węgier. Przy tej okazji i ja dostałem się do obozu w Adand. Było to już w piękną wiosnę 1940 roku, kiedy otrzymałem dwa listy od kolegi Sobika z Rybnika, w których dał do zrozumienia, że w kraju działa ruch oporu [podkr. moje - J. K.].[149]

W obawie przed działaniami wojennymi Zofia Sobik, żona Stanisława, wyjechała z miasta w końcowej dekadzie sierpnia 1939 r. wraz z rodziną męża. Do Rybnika wróciła parę dni po rozpoczęciu się okupacji hitlerowskiej. Zdana na samą siebie, z czteroletnim synem i paromiesięczną córeczką, czuła się bardzo bezradna. Wysyłała więc na Węgry listy nakłaniające męża do powrotu. Stanisław, ulegając prośbom żony, wrócił do zniewolonego kraju w pierwszych dniach stycznia 1940 r. Zaczął szukać pracy, aby przede wszystkim zabezpieczyć byt swojej rodziny. O powrocie na pocztę nie było mowy – jej nowy niemiecki zarządca oznajmił Sobikowi, iż Polakom nie wolno pracować na niemieckiej poczcie. Zatrudniony został w kasie biletowej na stacji kolejowej w miejscowości Obszary koło Rybnika.

Niemal od pierwszych chwil, dusza patrioty rwała się w nim do walki z hitlerowskim tyranem. Rodzice Stanisława, rdzenni Ślązacy, byli bardzo religijni i silnie związani z tradycjami rodzinnej ziemi, mieli wysokie poczucie patriotyzmu, honoru, uczciwości. Ojciec – kowal – miał kuźnię przy ulicy Wodzisławskiej na Smolnej (dzielnica Rybnika). W rodzinie Sobików było czterech chłopaków i dwie dziewczyny, ale to Stanisław był dla rodzeństwa i rodziców największym autorytetem moralnym i intelektualnym. Wspomniałem już, że po ukończeniu gimnazjum Stanisław nadal spotykał się i utrzymywał kontakty z innymi wychowankami tej szkoły. Była to młodzież bardzo ambitna i zdolna. Na jednym z takich spotkań, już w czasie okupacji, zapadło postanowienie o powołaniu do życia organizacji konspiracyjnej Związek Walki Zbrojnej. Konieczność jej zorganizowania uzasadniał fakt, iż funkcjonariuszom gestapo udało się rozbić działające dotychczas w Rybniku Polską Organizację Powstańczą i Siłę Zbrojną Polski. Po aresztowaniu głównych działaczy tych

[149] Józef Musioł, *Ślązacy*, Katowice 1987, s. 274-275.

organizacji na terenie Rybnika działały jeszcze małe grupki byłych członków POP i SZP, którzy okazywali chęć dalszej walki z okupantem.

Przez kuriera Pawła Jaszka z Rybnika Sobik nawiązał kontakt z komendą wojewódzką oraz z centralą ZWZ w Warszawie. W efekcie tych spotkań Związek Walki Zbrojnej, tworzony od pierwszych miesięcy 1940 r., w październiku tegoż roku rozpoczął formalną działalność konspiracyjną. W skład ZWZ weszli członkowie wspomnianych już zdekonspirowanych organizacji oraz inni rybniccy patrioci.

Na czele Rybnickiego Inspektoratu ZWZ (kryptonim „Rokita") stał Władysław Kuboszek pseud. „Kuba", „Robak", „Rokosz", „Bogusław". Komendantem Rybnickiego Podokręgu ZWZ został z mianowania komendy wojewódzkiej Stanisław Sobik. Podokręg ten obejmował Rybnik, Zebrzydowice, Ligotę Rybnicką, Ligocką Kuźnię, Boguszowice, Jankowice, Chwałowice, Kamień, Rydułtowy, Czerwionkę, Dębieńsko oraz Knurów. Kwatera główna komendy ZWZ w Rybniku mieściła się przy ul. Sobieskiego 14 – w mieszkaniu Andrzeja Kaszuby, mistrza szlifierskiego. Tam też niektórzy nowo wstępujący do ZWZ składali przysięgę wierności wobec organizacji. Po aresztowaniu Kaszuby zebrania kierownictwa i małych grup członkowskich ZWZ odbywały się w Rybniku – w mieszkaniach Franciszka Sztramka, Jerzego Kufiety, Franciszka Ogona, Jana Klistały, Alojzego Siąkały, braci Henryka i Karola Miczajków – lub u Stanisława Błażewskiego w Zebrzydowicach Rybnickich.

Poszczególne komórki ZWZ dzieliły się na oddziały: wojskowy, służby wywiadowczej, pomocy społecznej i administracji. Struktura wojskowa rybnickiego obwodu wyglądała następująco:

Stanisławowi Sobikowi podlegali: Karol Stanek – komendant ZWZ dla miasta Rybnika i Jan Węgrzyk (do 14 II 1943)[150] *– komendant powiatowy ZWZ. Komendantowi miasta podporządkowane były kompanie ppor. Antoniego Stajera („Feliks", „Lew") i Jana Śpiewoka z Paruszowca. Szefem kompanii był Alozjy Burda („Ryś"). Dowódcami plutonów byli między innymi: Alfred Tkocz („Gruszka") – po jego śmierci Maksymilian Kania („Szteker"), Józef Śmieja („Sosna"), Józef Hadyma z Przegędzy, Augustyn Szymik z Czerwionki i Albin Liszka z Zebrzydowic. Grupą dywersyjną dowodził Paweł Górecki („Hanys"), a oddziałem politycznym Wilhelm Kula („Bogacki") z Boguszowic.*[151]

W grupie dywersyjnej działali przedwojenni żołnierze zawodowi, osoby, które przeszły tzw. obowiązkowe przeszkolenie wojskowe, oraz inni członkowie ZWZ pragnący walczyć zbrojnie z okupantem. Potocznie nazywano ich „liniowcami". Dowódcą siatki wywiadowczej ZWZ był Paweł Cierpioł pseud. „Dymitrow", „Makopol", a olbrzymi udział w jej budowaniu na terenie obwodu rybnickiego, a później także cieszyńskiego, miał Jan Margiciok pseud.

---

[150] Jan Węgrzyk został aresztowany w dniach 11-13.02.1943 r. [Przyp. J. K.]

[151] *Rybnik. Zarys dziejów miasta od czasów najdawniejszych do 1980 roku*, red. Jan Walczak, Katowice 1986, s. 244.

„August”, były członek SZP. Kapelanem Rybnickiego Inspektoratu ZWZ/AK został ks. Józef Kania pseud. „Ojciec Michał”.

Pracą oddziału pomocy społecznej kierowali Władysław Malinowski, Anna Wolna, Klara i Gabriela Sławik, Rita Wieczorek i Wilhelm Przybyła. Oddział ten zdobywał blankiety kartek żywnościowych i odzieżowych oraz zbierał od godnych zaufania sponsorów fundusze na pomoc dla pokrzywdzonych przez okupanta i potrzebujących wsparcia materialnego rodzin polskich. W wydawanym przez ZWZ biuletynie konspiracyjnym podawano inicjały darczyńców i wielkość wpłaconych datków, a także zamieszczano krótkie słowa wdzięczności. Do aktywnych działaczy oddziału pomocy społecznej należały Ludmiła Warzecha, która przekazywała lekarstwa dla Polenlager nr 56 w Lyskach, oraz Janina Dziuba, która prowadziła mleczarnię przy ul. Wodzisławskiej i dostarczała polskim dzieciom mleko bez kartek. Kinga Węglowa obchodziła znajome osoby, rozdawała im zasiłki finansowe, kartki żywnościowe i udzielała innego rodzaju pomocy materialnej. Pomoc sanitarno-lekarską nieśli Polakom rybniccy lekarze, m. in. Józef Krotoski, Augustyn Wolny, Leonard Lisicki, Adolf Kubeczka, Franciszek Kubacki, M. Gnioździorz, Kazimierz Siedleczka, Eryk Winkler.

Wielkie zasługi dla sprawnego działania sieci kontaktowej organizacji oddał Franciszek Ogon, właściciel sklepu księgarsko-papierniczego w Rybniku. W sklepie tym, mieszczącym się w centrum miasta przy obecnej ul. Sobieskiego 20, zorganizowano punkt kontaktowy ZWZ.[152] Olbrzymią rolę w działalności konspiracyjnej ZWZ odegrali także bracia Henryk i Karol Miczajka. Karol Miczajka pseud. „Jaskółka”, „Akwamaryn”, oprócz aktywnej działalności w sekcji charytatywnej, wystawiał Polakom zezwolenia na posiadanie radioodbiorników.[153] Brat Karola, Henryk Miczajka pseud. „Wróbel”, przeprowadzał nasłuch radiowy, przede wszystkim audycji polskojęzycznego Radia Londyńskiego. Bardzo często tą właśnie drogą Rząd Emigracyjny przekazywał w zaszyfrowanych informacjach instrukcje dla krajowych organizacji i grup ruchu oporu oraz koordynował ich działania. Poprzez nasłuch radiowy zbierano także informacje o aktualnej sytuacji wojsk hitlerowskich w okupowanej Europie i na froncie wschodnim. Na podstawie tych danych prognozowano terminy wyzwolenia ziem polskich oraz opracowywano strategię aktywnego uczestnictwa w walkach wyzwoleńczych organizacji ruchu oporu działających w kraju. Pomyślne dla Polaków wiadomości o przegranych bitwach i klęskach wojsk niemieckich publikowano we wspomnianym już biuletynie konspiracyjnym, podnosząc morale członków podziemia, do których informacje te docierały.

Organizacja ZWZ walczyła z wrogiem przeprowadzając dotkliwe dla okupanta sabotaże i działania dywersyjne, a tam, gdzie było to możliwe – akcje zbrojne. Materiały wybuchowe potrzebne do wykonania akcji dostarczane były

---

[152] Więcej informacji na ten temat znajduje się w rozdziale o Franciszku Ogonie.

[153] Szczegóły dotyczące działalności Karola Miczajki znajdują się w rozdziale jemu poświęconym.

przez górników z okolicznych kopalń. Wysadzano mosty, tory kolejowe, a w zakładach przemysłowych Rybnika i okolic, gdzie produkowano wyroby dla potrzeb Rzeszy, uszkadzano maszyny. Rybniccy kolejarze przewozili w parowozach do różnych miejscowości materiały wybuchowe oraz broń. Uszkadzali także w przemyślny sposób kolejowe łącza sygnalizacyjne, zwrotnice, szyny i inne urządzenia kolejowe. Na temat akcji przeprowadzanych przez ZWZ w latach 1940-1943 brak jest szczegółowych danych, gdyż cała dokumentacja została zniszczona przez Józefa Sobika 11.02.1943 r., kiedy to gestapo aresztowało większość członków organizacji. Udokumentowane są jednak akcje przeprowadzone przez rybnickie AK w późniejszym okresie, jak np. napad na pocztę w Rybniku w grudniu 1943 r., liczne uszkodzenia linii kolejowych: Sumina – Rybnik, Racibórz – Nędza – Koźle, Gotartowice – Żory, Niedobczyce – Rybnik, Rybnik – Paruszowiec oraz linii telefonicznych. Dokonano też kilku napadów na niemieckie sklepy przemysłowe i spożywcze.[154]

Broń zdobywali wszyscy członkowie organizacji i w każdy możliwy sposób, m. in. ograbiając lub rozbrajając funkcjonariuszy i żołnierzy niemieckich, napadając na wartownie i składy broni. Składnicą zdobycznej broni była stodoła gospodarza o nazwisku Prus, usytuowana przy ul. Łokietka w Rybniku, gdzie w słomie lub w specjalnym schowku pod pryzmą nawozu magazynowano broń i amunicję.

Oprócz gromadzenia broni i materiałów wybuchowych oraz przeprowadzania akcji sabotażowych organizowano także wojskowe szkolenia dla członków ZWZ, przygotowujące do walki wyzwoleńczej z okupantem.

W październiku 1941 r. organizacja była już mocno zakorzeniona w Rybniku, toteż z inspiracji komendy wojewódzkiej powstały oddzielne obwody: Rybnik, Koźle, Cieszyn i Pszczyna. Nowe komórki ZWZ zakładał Stanisław Sobik. W sprawach organizacyjnych jeździć musiał do różnych miejscowości na Śląsku i poza nim, w czym bardzo dużą pomoc okazał mu jego szwagier Jan Klistała. Przewoził on Stanisława w parowozie m. in. przez granicę do Krakowa, gdzie Sobik spotykał się z działaczami i wyższej rangi dowództwem ZWZ. Dnia 14.02.1942 r. rozkazem Naczelnego Wodza nastąpiło przemianowanie ZWZ na Armię Krajową. W tym też okresie Rybnicki Inspektorat, jako jeden z czterech w Okręgu Śląskim[155], funkcjonował bez większych zakłóceń.[156].

W początkach działalności ZWZ niemal regułą było, że dla zachowania większego bezpieczeństwa kontaktowało się ze sobą jedynie dwóch, trzech ludzi, jednak w miarę rozrastania się organizacji spotykali się w grupach trzy - lub pięcioosobowych u poszczególnych członków ZWZ. Należało jednak zachować wielką ostrożność, gdyż mieszkania wielu Polaków były obserwowane przez konfidentów. Gdy zaistniała konieczność spotykania się

---

[154] Por. *Rybnik. Zarys…*, s. 245-246.

[155] Na Okręg Śląski składały się Inspektoraty: Katowicki, Sosnowiecki, Bielski i Rybnicki.

[156] Fakt ten potwierdzają w książkach o działalności AK na Śląsku m. in. gen. Zygmunt Walter-Janke oraz Juliusz Niekrasz.

członków organizacji w szerszym gronie, Stanisław Sobik w porozumieniu ze swoim ojcem zebrania takie organizował w kuźni przy ul. Wodzisławskiej. W warsztacie tym odbywały się także zaprzysiężenia nowych członków, co szczegółowo opisuje Józef Sobik w swoim pamiętniku. Oto jego fragment:

Kuźnia usytuowana była nieco na uboczu. Przychodzili tu zwykle ludzie z różnymi przedmiotami do naprawy ślusarskiej. Dlatego kiedy członkowie organizacji stawiali się na zebrania czy do zaprzysiężenia, musieli mieć coś przy sobie – niby do naprawy (np. siekierkę do naostrzenia, wyszczerbione grabie metalowe, do których należało wstawić ząb).

Gdy przychodziły osoby do zaprzysiężenia, na warsztacie ślusarskim stawiano krzyż i dwa świeczniki z zapalonymi świeczkami. Oczywiście nie było wtedy w kuźni nikogo więcej poza osobą odbierającą przysięgę, przysięgającym i dwoma świadkami. […] Ciemność dużego wnętrza warsztatu rozjaśniało słabe światło płynące z dwóch świeczników ustawionych na stole ślusarskim. Odbierający przysięgę, zaprzysięgany i świadkowie stali w otoczeniu różnych przedmiotów z żelaza, wozów, kół i wygaszonych już palenisk kowalskich. Wszystko to sprawiało wrażenie jakiegoś mistycznego obrzędu! [157]

Ceremonię składania przysięgi wspomina także Rafał Sitek:

Kolega Sobik szczegółowo zaznajomił mnie z pracą armii podziemnej, po czym wyciąga różaniec. Na krzyżu różańca kładę dwa palce. Sobik odbiera ode mnie zaprzysiężenie następującej treści: „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej, kładąc rękę na ten święty krzyż, znak męki i zbawienia – przysięgam, że będę wiernie i nieugięcie stał na straży honoru Polski, a o wyzwolenie jej z niewoli walczyć będę ze wszystkich sił moich, aż do ofiary mego życia. Wszelkim rozkazom władz Związku będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać mogło."

Po złożeniu przysięgi Sobik w następujących słowach przyjął Sitka w szeregi ruchu podziemnego:

„Przyjmuję cię w szeregi żołnierzy wolności. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku o odrodzenie ojczyzny. Zwycięstwo będzie Twoją nagrodą. Zdrada honoru jest śmiercią."

Rafał Sitek przybrał pseudonim „Michał". [158]

Niestety, mimo stosowania wielkiej ostrożności, rozpoczęły się coraz częstsze „wpadki" członków ZWZ/AK z Rybnika i okolicy. Okupant wprowadził system denuncjacji i inwigilacji, w którym znaczący udział mieli przedwojenni szpiedzy oraz dywersanci z pierwszych dni wojny. Znaleźli się tacy, którzy – z obawy o własną skórę lub wręcz dla materialnych profitów – oferowali hitlerowcom swoje usługi, znając doskonale środowisko, w którym

---

[157] Zob. wspomnienia Józefa Sobika w niniejszym opracowaniu.

[158] Józef Musioł, *Ślązacy*, Katowice 1987, s. 277.

dotychczas się obracali. System szpiegostwa panował nie tylko w życiu publicznym, ale docierał także do domów, do rodzin. Denuncjacje nie zawsze miały podłoże polityczne – często wynikały ze złych stosunków sąsiedzkich, gdyż nadarzała się teraz sposobność, aby dosadnie okazać tłumioną w sobie dotychczas zawiść czy wrogość do sąsiada.

Jednym z takich renegatów okazał się Jan Zientek.[159] Od 1936 r. był on kierownikiem parowozowni na kolei w Rybniku. Okazywał dużą aktywność zarówno w pracy, jak i w istniejących przy kolei stowarzyszeniach społecznych. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Rybnika otrzymał stanowisko zastępcy naczelnika stacji. Wszystko wskazuje na to, że okazywana przed wojną aktywność w organizacjach na kolei miała maskować właściwą, proniemiecką orientację Zientka – po rozpoczęciu okupacji podjął on współpracę z gestapo. Trudno ustalić, w jakich okolicznościach przyjęty został do ZWZ, ale najprawdopodobniej miało to miejsce na początku 1942 r. Z relacji świadków wiadomo, że brał udział w zebraniach i spotkaniach grup członkowskich, na których radzono o formach walki podziemnej z wrogiem oraz ustalano jej strategię, a także omawiano projekty struktur przyszłej władzy w wyzwolonym kraju.

Władze organizacyjne ZWZ/AK liczyły na to, że Zientek – piastujący tak poważne stanowisko w strukturach władzy okupanta – będzie przekazywał informacje o wojskowych transportach kolejowych, co umożliwiłoby sprawniejsze ich niszczenie. Zientek, podobnie jak każdy członek ZWZ, dostarczał organizacji broń, amunicję i materiały wybuchowe, otrzymywał je jednak z gestapo i przekazywał ZWZ tylko dla zmylenia jej władz. Informacje te uzyskano oczywiście znacznie później – po dekonspiracji, kiedy zorientowano się, dla kogo tak naprawdę pracował. Gestapo otrzymało od Zientka bardzo obszerną dokumentację i wykaz członków Związku Walki Zbrojnej/AK. Od 11.02.1943 r. rozpoczęły się masowe aresztowania członków organizacji z Rybnika i okolic.

Stanisław Sobik pojechał tego dnia jak zwykle do pracy na stacji kolejowej w Obszarach. Gdy w drzwiach kasy ukazali się gestapowcy, Sobik był zupełnie zaskoczony ich widokiem. O ucieczce nie było mowy, ponieważ jedyne okno w pomieszczeniu kasy zabezpieczone było kratą. Po aresztowaniu zawieziony został na gestapo w Rybniku, które mieściło się w budynku przy ul. Św. Józefa, niedaleko skrzyżowania ul. Raciborskiej z Zebrzydowicką. Po krótkich formalnościach ewidencyjnych Sobika sprowadzono do piwnicy budynku gestapo, gdzie przebywało już kilku członków ZWZ/AK, aresztowanych nieco wcześniej. W ciągu dnia dowożono dalsze aresztowane osoby, więc w piwnicy robiło się coraz ciaśniej. Więźniom przypadło usadowić się albo na składowanym w niej węglu, albo bezpośrednio na cementowej posadzce.

[159] Więcej informacji na temat Zientka Czytelnik znajdzie w rozdziale o Janie Klistale.

Dnia 12 lutego aresztowana została żona Stanisława Sobika, Zofia. Jej zatrzymanie było zupełnie przypadkowe. Zofia oraz jej siostra Helena Klistała przyszły na gestapo, aby zobaczyć się z mężami aresztowanymi dzień wcześniej. Zofia długo prosiła gestapowców, aby pozwolili jej osobiście wręczyć Stanisławowi śniadanie. Jeden z funkcjonariuszy w przypływie dobrego humoru wyraził na to zgodę. Sprowadził Zofię do piwnicy i wywołał jej męża. Gdy stanęli naprzeciw siebie, Stanisław uściskał żonę i złożył jej życzenia, gdyż następnego dnia tj. 13 lutego, obchodziła rocznicę urodzin. Zarówno życzenia, jak i kilka dodatkowych zdań wypowiedziane były w języku polskim. Stojący obok gestapowiec, gdy tylko usłyszał, że rozmawiają ze sobą po polsku, natychmiast oznajmił, że Zofia jest także aresztowana i wepchnął ją z mężem między pozostałe osoby znajdujące się w piwnicy. Był to dla Stanisława wielki cios. Z pełną świadomością wystrzegał się wtajemniczania żony w informacje mające związek z jego działalnością konspiracyjną – właśnie na ewentualność wpadki. Tymczasem aresztowano ją z tak błahego powodu.

Do 13.02.1943 r. aresztowano około 60 osób. W tych też dniach wszyscy byli wstępnie przesłuchiwani na miejscu, w rybnickim gestapo. Nie szczędzono im przy tym bicia, kopania i innych sposobów zadawania bólu. Aresztowanych było tak wielu, że z trudem zmieszczono ich wszystkich w budynku gestapo, przez co niemożliwe było skrupulatniejsze zajmowanie się nimi pojedynczo. Wszyscy uczestnicy tamtych wydarzeń, z którymi udało mi się porozmawiać, mówili, że nie mieli wtedy wątpliwości co do swego dalszego losu. Byli przekonani, że zostaną wywiezieni do więzienia śledczego w Mysłowicach, a później do któregoś z obozów koncentracyjnych. Tak robiono w poprzednich przypadkach z członkami zdekonspirowanych organizacji POP i SZP.

Na uwagę zasługuje też fakt, że wszyscy moi rozmówcy podawali te same informacje owyjątkowej postawie Stanisława Sobika, który nadal pełnił funkcję przywódcy organizacji. Podziwu godna była jego troska o wszystkich. Niemal każdego z osobna pouczał, jak ma się zachować w czasie śledztwa. Nikt nie wątpił w to, że wszyscy będą przesłuchiwani, nie wiadomo było tylko, kiedy to nastąpi. Miczajka opowiadał, że Sobik kazał wszystkim wymyślać jakieś mało istotne przewinienia, które by mogły być pretekstem aresztowania, oraz zwracał uwagę na to, aby wypierać się jakiegokolwiek związku ze zorganizowanym ruchem oporu i nie wymieniać żadnych nazwisk. Sam zaś zapowiadał, że na przesłuchaniach przyzna się do organizowania ruchu oporu i wykonywania akcji sabotażowych przeciwko Niemcom. Świadczy to o wielkości ducha Stanisława Sobika, o przykładnym pojmowaniu roli przywództwa.

Dnia 13 lutego około południa więźniowie usłyszeli w pobliżu budynku warkot silników samochodowych. Po chwili w drzwiach piwnicy pojawili się gestapowcy. Rozkazali aresztowanym podchodzić do siebie pojedynczo, po czym związywali im sznurem ręce w nadgarstkach. Następnie, głośnym *„Raus!”* polecono wszystkim wychodzić z piwnicy. Na parterze między

wyprowadzanych z piwnicy więźniów wepchnięto jeszcze dowiezionych właśnie na gestapo Józefa Sobika (brata Stanisława) oraz Wincentego Chrobota (szwagra Stanisława).

Po wyjściu z budynku rozkazano aresztowanym wchodzić na skrzynie załadowcze dwóch podstawionych samochodów ciężarowych. Siedziba gestapo i najbliższa okolica obstawiona była kordonem umundurowanych funkcjonariuszy policji. Za kordonem stali bliscy i krewni więźniów, którzy przyszli z nadzieją, że zobaczą się z aresztowanymi. Stanisław myślał, że po dwóch dniach aresztu gestapowcy zwolnią Zofię do domu. Niestety, jej także kazali zająć miejsce na skrzyni samochodu. Parę minut po godzinie 12:00 samochody ciężarowe z około 60 aresztowanymi wyruszyły w kierunku Katowic pod eskortą dobrze uzbrojonych gestapowców, jadących obok w samochodach osobowych.

Zofia i Stanisław siedzieli w ciężarówce obok siebie. Żona bardzo tuliła się do ramienia męża, a łzy obficie płynęły z jej oczu. Czyż mogli przypuszczać, że tam w piwnicy gestapo spędzili ostatnią noc ze sobą, że po raz ostatni mogą odczuwać ciepło swoich ciał w tak nietypowych warunkach? Stanisław dyskretnie całował głowę żony i szeptał słowa pocieszenia. Nie mógł jej nawet objąć, gdyż ręce miał związane sznurem.

Brat Stanisława, Józef, oraz szwagrowie – Wincenty Chrobot i Jan Klistała – siedzieli nieco dalej od Zofii i Stanisława. Nie mogli ze sobą rozmawiać, gdyż nie pozwalali na to gestapowcy, którzy siedzieli przy tylnej burcie samochodu i nadzorowali przewożonych aresztantów. Po wielu latach uczestnik tych wydarzeń, Józef Sobik, pisał: *„[...] w samochodach panował nastrój przerażenia, rozpaczy i wisielczej ciszy”*.

W Mikołowie samochody skręciły w prawo, co oznaczało, że nie jadą do Mysłowic, lecz bezpośrednio do KL Auschwitz. Więźniowie odetchnęli z pewną ulgą – jeżeli można mówić o jakiejkolwiek uldze w tak tragicznej sytuacji. Wiedzieli, że więzienie śledcze w Mysłowicach było katownią, z której nikt nie wychodził bez fizycznego i psychicznego uszczerbku, natomiast o przesłuchaniach w KL Auschwitz nikt nic nie wiedział, gdyż odbywały się one w tym obozie dopiero od pierwszej dekady lutego 1943 r. – po tym, gdy w więzieniu w Mysłowicach zapanowała epidemia tyfusu plamistego.

O godzinie 14:00 samochody zatrzymały się w pobliżu komory gazowej i krematorium obozowego w KL Auschwitz I. Donośnym krzykiem rozkazano aresztowanym zeskakiwać ze skrzyń samochodów i ustawić się w kolumnę po pięć osób w rzędzie. Po chwili, znowu przy akompaniamencie wrzasków, nakazano im przejść w kierunku bramy głównej obozu.

Stanisławowi bardzo zależało na tym, żeby skontaktować się z bratem, toteż w sprzyjającym momencie przysunął się do Józefa i w pośpiechu wyszeptał: *„Nie przyznawaj się do niczego – wszystkiemu zaprzeczaj!”*. To było wszystko, co mógł mu na tak krótkim odcinku drogi powiedzieć, gdyż niemal w tej samej chwili czoło kolumny zastygło w bezruchu na głośno wykrzyczane *„Halt!”*.

Zatrzymali się przy głównej bramie obozu – tej z rzucającym się w oczy napisem „ARBEIT MACHT FREI”. Prowadzący ich wartownicy załatwiali formalności związane z wprowadzeniem więźniów na teren obozu. Widok masywnego ogrodzenia, za którym stały ponure, piętrowe budynki z czerwonej cegły, był przerażający. Między budynkami poruszali się w żółwim tempie bardzo zabiedzeni i wychudzeni mężczyźni w ubraniach w niebiesko-szare pasy.

Po paru minutach więźniowie usłyszeli komendę *„Achtung!”*, po czym otwarto bramę i wprowadzono ich na teren obozu. Konwój zatrzymał się przy piętrowym budynku z czerwonej cegły, na którym widniał napis „BLOCK No 2”. Na jego piętrze grupę aresztowanych rozdzielono – kobiety skierowane zostały do dużej sali na lewo, natomiast mężczyźni – na prawo. W ten sposób zostali na zawsze rozdzieleni Zofia i Stanisław…

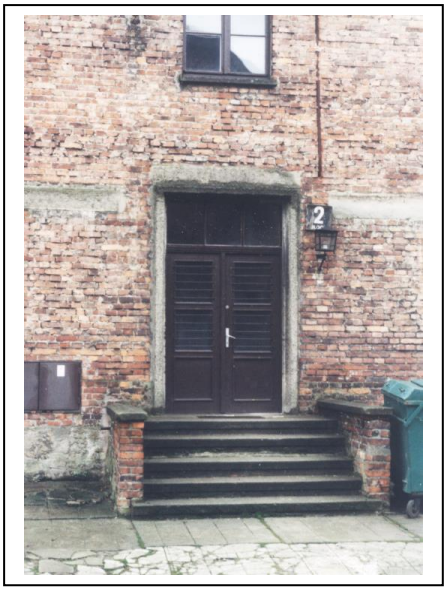

Po wprowadzeniu do bloku nr 2 więźniowie przekazani zostali znanemu z okrucieństwa Wydziałowi II Politycznemu - Politische Abteilung. Wydział ten był komórką Policji Bezpieczeństwa (Sipo) i Służby Bezpieczeństwa SS (SD). W KL Auschwitz podlegał on oficjalnie komendantowi obozu, ale faktycznie podporządkowany był placówkom Sipo i SD w Katowicach. Funkcjonariusze tego wydziału mieli więc bardzo szeroki zakres kompetencji, wyłączonych spod bezpośredniej kontroli władz administracyjnych obozu. Dlatego też mogli prowadzić w obozie własną politykę – politykę terroru i śmierci, a ze swoich poczynań nie musieli się przed nikim tłumaczyć. Mogli bezkarnie bić i zabijać więźniów. Transport aresztowanych członków ZWZ/AK z Rybnika przybył do KL Auschwitz w sobotę 13.02.1943 r.

Gdy znaleźli się w olbrzymiej sali bloku nr 2, w której na cienkich siennikach rozłożonych na cementowej posadzce leżało już wiele osób, rozkazano im zająć wolne miejsca.

Nie wolno było ze sobą rozmawiać, a gdy ktoś zlekceważył ten zakaz, natychmiast karany był kopniakami lub biciem. Następnego dnia wszystkich przebywających na bloku obudzono o godzinie 4:30 i kilkuosobowymi grupkami sprowadzano do umywalni na parter. Po powrocie na salę więźniowie poddani zostali musztrze – uczono ich „prawidłowego” leżenia na siennikach. Część więźniów leżała na lewym boku, część na prawym, zaś na brzuchu musieli leżeć ci, którzy dopuścili się według wartowników jakiegoś „poważniejszego”

wykroczenia na sali. Zmiany pozycji wykonywane były na komendę wartownika, aby w ten sposób wyeliminować możliwość komunikowania się więźniów. Musztra ta trwała cały dzień. W następnych dniach leżąc spożywali bardzo lichej jakości posiłki.

W poniedziałek około godziny 9:00 do sali wszedł esesman i wyczytał z listy nazwiska osób, które miały iść na przesłuchanie. Wśród osób tych znalazł się również Stanisław Sobik. Pod eskortą kilku esesmanów więźniowie zaprowadzeni zostali do drewnianego baraku usytuowanego w sąsiedztwie obozowego krematorium. W baraku tym, wydzielonym specjalnie dla potrzeb oddziału politycznego, prowadzano przesłuchania. Każdy więzień przesłuchiwany był w oddzielnym pomieszczeniu.

Dla „poprawiania pamięci" przesłuchiwanych stosowano tortury. Wykorzystywane metody śledcze zależały od pomysłowości gestapowca prowadzącego śledztwo lub asystujących mu przy przesłuchaniu oprawców z SS. Przyznanie się do zarzucanych przewinień wymuszano na aresztowanych przede wszystkim biciem i kopaniem, a także – czego doświadczyć musiał Stanisław Sobik – „wieszaniem" za włosy. Bito tak mocno, że często ciało odchodziło od kości. Kiedy przesłuchiwany tracił z bólu przytomność, cucono go wylewając nań wiadra lodowatej wody. Po zakończeniu śledztwa w danym dniu wyprowadzano zmaltretowanego więźnia na korytarz baraku, gdzie musiał czekać, aż zakończą się przesłuchania pozostałych osób. Gdy wreszcie do stojących na korytarzu więźniów dołączył ostatni z przesłuchiwanych, odprowadzani byli w asyście esesmanów z powrotem na blok nr 2.

Grupa, w której był Stanisław Sobik, wróciła z przesłuchań dopiero wieczorem. Żałosny był to widok. Więźniowie byli tak skatowani, że ledwo mogli ustać na nogach. Aby dojść do bloku, musieli się wzajemnie podtrzymywać. Już na pierwszy rzut oka zauważyć można było zadane im cierpienia. Byli bardzo posiniaczeni, na ich twarzach widać było zakrzepłą krew.

Na przesłuchania Stanisława Sobika i pozostałych osób z ZWZ/AK przyjeżdżali funkcjonariusze gestapo z Rybnika, gdyż to oni właśnie zdekonspirowali tę grupę. Wyznaczeni do tego zadania byli dwaj najbardziej znani z aktywności rybniccy gestapowcy, Mańka i Sopala[160], którzy w KL Auschwitz mieli ostatecznie „rozpracować" ZWZ. Pytania zadawane Sobikowi w czasie śledztwa dotyczyły udziału jego i innych osób w organizacji konspiracyjnej. Stanisław, zgodnie z wcześniejszymi zapewnieniami, przyznał się do działalności przeciw hitlerowskiemu okupantowi, ale wyparł się jakiejkolwiek działalności zbiorowej – mimo katowania nie wymienił żadnego nazwiska. Gestapo jednak miało od Zientka tak dokładne informacje o Sobiku i jego przywódczej roli w organizacji, że przesłuchiwano go tylko dla potwierdzenia tego, co było gestapowcom już wiadome. Wyrok na Sobika był więc przesądzony, a mimo to co parę dni musiał chodzić na przesłuchania, z których wracał za każdym razem skatowany.

---

[160] Sopala – w niektórych źródłach także Soballa. Por. raport Gestapo w: Z. Walter-Janke, *Śląsk jako teren partyzantki Armii Krajowej*, Warszawa 1986, s. 126.

W dniu 9 marca zaprowadzony został do baraku śledczego po raz ostatni, aby podpisać protokół z końcowego przesłuchania. Wraz z Franciszkiem Ogonem i kilkoma innymi więźniami przekazany został na pobyt w obozie. Przebywali w KL Auschwitz od 13.02.1943 r., ale formalne przyjęcie do obozu miało miejsce dopiero 9 marca tegoż roku. Przyjęcie odbywało się według odpowiedniej procedury. Więźniowie musieli rozebrać się do naga i oddać wszystkie posiadane dokumenty oraz wartościowe przedmioty (jeżeli nie odebrano ich aresztowanym wcześniej). Mogli jedynie zatrzymać chusteczkę do nosa i pasek do spodni. Ich cywilne ubrania wsadzano do papierowych worków i przekazywano do depozytu w magazynie zwanym „Effektenkammer”[161], gdzie miały być przechowane na czas pobytu więźniów w obozie. Następnie strzyżono im głowy do łysa. Używane przy tym maszynki były tak tępe, że część włosów była po prostu wyrywana. Więźniowie przechodzili potem do zbiorowej kąpieli w łaźni, w której puszczano na nich strumienie wrzącej lub lodowatej wody. Ociągający się wpędzani byli pod natryski siłą, a wszystko to odbywało się przy akompaniamencie wrzasków i wulgarnych przekleństw. Po kąpieli ogolone głowy, miejsca pod pachami i krocze przecierano płynem dezynfekcyjnym.

Następnie więźniowie dostawali drelichowe ubrania w szaro-niebieskie pasy. Były one podarte i brudne, przeważnie zdjęte ze zwłok zakatowanych wcześniej więźniów. Władze obozowe bały się wybuchu epidemii w obozie, toteż ubrania te poddawane były wcześniej dezynfekcji przez parowanie z dodatkiem środków chemicznych. Skutecznie likwidowało ono zarazki, ale nie usuwało brudu. Zamiast skórzanych butów więźniowie otrzymywali drewniaki, które powodowały bardzo dotkliwe obtarcia nóg. Ubrania te musieli pospiesznie zakładać, mimo że były z reguły niedopasowane. W wielu przypadkach wyżsi mężczyźni mieli nogawki kończące się tuż za kolanami, natomiast bluzy czy żakiety były za ciasne i nie dały się zapiąć. Zupełnie odwrotne problemy mieli niscy mężczyźni, na których ubrania były zbyt obszerne. Esesmani wykorzystywali to jako okazję do żartów i kpin, po czym biciem, wrzaskami i przekleństwami nakazywali więźniom zamianę ubrań, a wszystko to w błyskawicznym tempie.

Kolejny etap to formalności rejestracyjne w ewidencji obozowej. Na druku arkusza zwanego „Häftlingspersonalbogen”[162] wpisywano dane więźnia, a na jego lewym przedramieniu tatuowano numer obozowy. Każdy więzień otrzymywał także dwie łatki, na których wydrukowany był numer oraz symbol narodowości. Jedną łatkę należało przyszyć na lewej nogawce spodni, na wysokości uda, drugą zaś – na marynarce, na lewej piersi.

Ostrzyżeni, przebrani w obozowe pasiaki i ponumerowani więźniowie z trudem rozpoznawali swoich kolegów czy nawet bliskich z rodziny. W ostatnim etapie rejestracji stawali do zdjęć w trzech pozycjach. Na ujęciu z profilu umieszczano numer więźnia oraz symbol jego narodowości.

---

[161] „Effektenkammer” – patrz: objaśnienia ważniejszych terminów związanych z obozem.

[162] „Häftlingspersonalbogen” – patrz: objaśnienia ważniejszych terminów związanych z obozem

Stanisławowi Sobikowi wytatuowano numer 107482. Przed numerem na jego łatce wydrukowany był czerwony trójkąt, co znaczyło, iż jest więźniem politycznym, w trójkącie natomiast wpisana była litera „P" – oznaczająca polską narodowość.

Po zarejestrowaniu Sobik skierowany został wraz z innymi więźniami na blok nr 9. Był to blok kwarantanny, w którym nowo przyjęci musieli przebywać trzy tygodnie, aby pozbyć się szkodliwych zarazków, których wniesienie do obozu groziło wybuchem epidemii. Aby wypełnić więźniom czas pobytu w tym bloku, urządzano „sport", tzn. kazano im wykonywać absurdalne ćwiczenia gimnastyczne lub śpiewać niemieckie piosenki, których słów musieli wyuczyć się na pamięć, często nie rozumiejąc ich sensu.

Po okresie kwarantanny Stanisława Sobika przeniesiono do sali nr 1 bloku 17 i przydzielono do komanda pracującego na żwirowisku. Więźniowie wybierali tam żwir i ładowali go na przyczepy, które potem ciągnęli na teren budowy. Kapo tego komanda był rybniczaninem o nazwisku Grzonka, który wyjątkowo okrutnie znęcał się nad Sobikiem. Stanisław nie radził sobie z ciężką pracą fizyczną – był typem intelektualisty o małej odporności zdrowotnej i bardzo delikatnych rękach. Do czasu aresztowania wykonywał pracę biurową, toteż na żwirowisku jego ręce od razu pokryły się pęcherzami i ranami od codziennej pracy łopatą. Od jej twardego trzonka odciski pękały i ukazywało się żywe mięso dłoni. Odnawiającym się codziennie ranom nie było końca.

Olbrzymiego cierpienia przysparzał mu niepokój o los dzieci. Zostały one u rodziców Zofii, którzy nie mieli niemieckiej grupy narodowościowej. Groziło więc dzieciom niebezpieczeństwo wysłania do sierocińców na terenie Rzeszy lub przekazania do adopcji bezdzietnym rodzinom niemieckim. Działo się tak bardzo często, gdy oboje rodziców osadzeni byli w obozach koncentracyjnych.

Stanisław niepokoił się też o Zofię, która była bardzo nieodporna na choroby i niewygody. Na bloku śledczym przebywała krótko, gdyż gestapowcy wiedzieli, jakie były okoliczności jej aresztowania. Z tego też powodu przesłuchania prowadzone były raczej *pro forma*. Była jednak żoną tak poważnego wroga Rzeszy, że już to wystarczyło, by umieścić ją w obozie. Po zwolnieniu z bloku nr 2 Zofię skierowano do obozu kobiecego w Birkenau, stamtąd zaś do podobozów Budy i Rajsko.

Przez parę tygodni Stanisław i Zofia przesyłali sobie grypsy - karteczki, na których mogli napisać kilka zdań. Wiadomości te przekazywali przez współwięźniów, którzy chodząc do pracy z obozu macierzystego do Birkenau ryzykowali ich przenoszenie. Z pozostałymi członkami rodziny można było kontaktować się jedynie korespondencyjnie. Zgodnie z obozowym regulaminem więzień mógł wysłać w ciągu miesiąca dwa listy. Na 30 linijkach obozowego formularza listowego wolno było przekazywać jedynie informacje o pozytywnej treści. Nie wolno było pisać prawdy o panujących w obozie nieludzkich warunkach. Każdy list przechodził przez cenzurę SS. Z jednym z listów pisanych przez Stanisława Sobika do swoich rodziców miałem okazję się zapoznać. List ten nie porusza zbyt osobistych tematów, więc mogę opublikować jego treść (w tłumaczeniu z języka niemieckiego):

Auschwitz, dnia 9.05.43.

Kochani Rodzice, Teściowie i Rodzeństwo!

Wasz list z dnia 12.4. otrzymałem 15.4. Jako pierwszy znak życia bardzo mnie ucieszył. Kochany Ojcze, w paru linijkach poznałem natychmiast Twoje pismo. Przypomniało mi ono czasy, gdy razem pisaliśmy rachunki i inne papiery. Często robię sobie teraz wyrzuty, że wtedy Ci za mało pomagałem, że nie byłem przykładnym synem. I przykre jest to, że Twoje ciężko pracujące dłonie muszą jeszcze teraz troszczyć się o mnie i moją rodzinę. Kochana Mamo, napisz również Ty parę słów do Twojego najstarszego syna. Obawiam się bardzo o Twoje zdrowie, ponieważ musiałaś w ostatnim czasie wiele przecierpieć. Tobie, kochana siostro Salomeo, życzę szybkiego powrotu do zdrowia. Wam wszystkim, a przede wszystkim Tobie, kochana Teściowo, pragnę gorąco podziękować tą drogą za troskę o moje dzieci. Równocześnie dziękuję najserdeczniej za czwartą paczkę. W przyszłości posyłajcie mi tylko to, naprawdę tylko to, czego braku sami nie odczujecie. Dla porządku każda paczka musi mieć dwa spisy zawartości. Czy Alojzy jest na froncie wschodnim? Czy Józef wyratował swoją dłoń? Czy Zosia jest w szpitalu? Na zakończenie najserdeczniejsze pozdrowienia dla wszystkich.

Stanisław

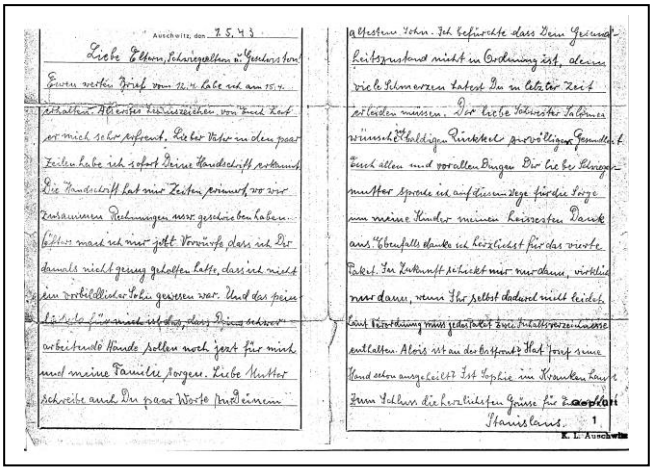
Auschwitz, den 7.5.43.

Liebe Eltern, Schwiegereltern u. Geschwister!

Eben erhielt Brief von 12.4. habe ich am 15.4. erhalten. Worte kurzweilen von Euch hat mich sehr erfreut. Lieber Vater in den paar Zeilen habe ich sofort Deine Handschrift erkannt. Die Handschrift hat mir Zeiten gewandt, wo wir zusammen Rechnungen usw. geschrieben haben. Später macht ich mir jetzt Vorwürfe dass ich Dir damals nicht genug geholfen hatte, dass ich nicht ein vorbildlicher Sohn gewesen war. Und das peinlichste für mich ist dass Deine schwer arbeitende Hände sollen noch jetzt für mich und meine Familie sorgen. Liebe Mutter schreibe auch Du paar Worte an Deinen Sohn. Ich befürchte dass Dein Gesundheitszustand nicht in Ordnung ist, denn viele Schmerzen hattest Du in letzter Zeit erleiden müssen. Der liebe Schwester Salomea wünsche ich baldigen Wiederbeginn provisorischer Gesundheit. Euch allen und vor allen Dingen Dir liebe Schwiegermutter spreche ich auf diesem Wege für die Sorge um meine Kinder meinen heissesten Dank aus. Ebenfalls danke ich herzlichst für das vierte Paket. In Zukunft schickt mir nur dann, wirklich nur dann, wenn Ihr selbst darauf nicht leidet. Auf Bestellung muss jedes Paket zwei Inhaltsverzeichnisse enthalten. Alois ist an der Ostfront. Hat Josef seine Hand schon ausgeheilt? Ist Sophie im Krankenhaus? Zum Schluss die herzlichsten Grüsse für Euch

Stanislaus. 1.

K. L. Auschwitz

O spotkaniach Stanisława ze swoim bratem w bloku szpitalnym i w bloku kwarantanny pisze szczegółowo w pamiętniku Józef Sobik. Spotykali się tak często, jak tylko pozwalały na to warunki obozowe.[163]

W szczególny sposób splotły się w obozie losy Stanisława Sobika i Karola Miczajki. Znali się oni bardzo dobrze z działalności w ZWZ/AK, tym samym też transportem dostali się do KL Auschwitz. Karol Miczajka przekazany został 16.03.1943 r. na blok kwarantanny, lecz ze względu na ostre zapalenie płuc z bloku tego zwolniony został przed upływem trzech tygodni i trafił na izbę chorych – do Häftlingskrankenbau (HKB). Po wyjściu z bloku szpitalnego spotkał swojego kolegę Józefa Hanusza (nr 1126). Hanusz miał bardzo dobre kontakty w obozowym wydziale zatrudnienia, więc załatwił Miczajce pracę w „Gerätekammer". Był to magazyn sprzętu siodlarskiego, w którym konserwowano wyroby skórzane. Od tej chwili Miczajka pracował w dwuosobowym komando z więźniem o nazwisku Duda.

Miczajka spotykał się często z Sobikiem wieczorami, gdy po apelu nie było zakazu opuszczania bloku. Był więc dobrze zorientowany, gdzie Sobik pracuje i jakie jest jego samopoczucie. Wiedział też o tym, że kapo jego komanda nieludzko się na nim wyżywa. Kiedy więc w połowie maja 1943 r. Duda przeniesiony został jako górnik na kopalnię Jawiszowice i Miczajka został w komandzie sam, natychmiast udał się z prośbą do Józefa Hanusza, aby ten uruchomił swoje wpływy. Efekt tych starań uwieńczony został sukcesem. Pod koniec maja 1943 r. Stanisław Sobik dostał się do pracy w „Gerätekammer" i przeniesiony został na blok 16. Na jego piętrze, w dużej sali po prawej stronie, leżeli nawet w tym czasie obok siebie na pryczach. Tak oto wspomina Karol Miczajka czas wspólnej pracy i wspólnego pobytu ze Stanisławem na bloku:

W komandzie było nas tylko dwóch. Pracowaliśmy pod zamknięciem, ale bez nadzoru, stąd mieliśmy sposobność prowadzenia ze sobą długich rozmów. Przeważnie jednak Staszek prowadził wywody moralne i filozoficzne o podłożu religijnym. Wiele też mówił wtedy o życiu pozagrobowym. Podziwu godna była jego postawa, pełna spokoju, równowagi ducha i modlitewnego skupienia przy pracy. Domyślałem się, że w pełni świadomości przygotowywał się na śmierć.[164]

Karol Miczajka wyjaśnił mi, co było powodem złych przeczuć Stanisława Sobika. Każdy więzień po zakończonych przesłuchaniach zapoznawany był z końcowym protokołem, który musiał podpisać. Następnie protokół ten wysyłano do Berlina, gdzie specjalna komisja badała ustalone w toku śledztwa przewinienia. Po upływie około trzech miesięcy z Berlina przychodził tzw. rozkaz uwięzienia ochronnego (Schutzhaftbefehl). Więzień musiał go podpisać i oddać władzom obozowym. Dokument ten stwierdzał zazwyczaj, że za przynależność do organizacji konspiracyjnej lub za działalność przeciwko Rzeszy dana osoba skazana zostaje na pobyt wobozie. Stanisław

[163] Zob. wspomnienia Józefa Sobika w niniejszym opracowaniu.
[164] Relacja Karola Miczajki.

Sobik takiego arkusza nie otrzymał, z czego wnioskował, że otrzyma ostrzejszy wyrok – karę śmierci. Przyznając się do działalności przeciwko okupantowi nie mógł zresztą spodziewać się innego wyroku.

Oto fragment wspomnień Józefa Sobika opisujący ostatnie spotkanie ze Stanisławem:

Dnia 24 czerwca 1943 r. Staszek przyszedł do mnie przed apelem. Zapytał, jak się czuję, i czy czegoś nie potrzebuję. Odpowiedziałem mu, że potrzebuję czosnku. Czosnek był w obozie równie wielkim skarbem jak chleb, gdyż wierzyliśmy w jego właściwości bakteriobójcze i witaminowe. Staszek wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął całą główkę. Wziąłem czosnek, po czym on niezdecydowanie powiedział, żebym mu dał parę ząbków. Lewą ręką rozłupałem główkę i dałem mu kilka ząbków. Staszek jednak nie odbierał ich, nie wyciągnął po nie ręki. Po chwili powiedział, żebym zostawił sobie całość.

Zdziwiło mnie to niespotykane dotychczas roztargnienie w jego zachowaniu. Oczy Staszka były jakieś inne niż zazwyczaj, widać w nich było smutek. Mało mówił i przyglądał mi się w taki sposób, jakby chciał się napatrzeć na zapas. Usłyszeliśmy sygnał na apel, więc podałem mu rękę na pożegnanie. Staszek przytrzymał ją i nie chciał odejść. Powiedziałem więc: „Idź, bo będą cię szukali". Ale on nadal stał jak w transie i nie puszczał mojej ręki. Jego oczy i twarz jakby jeszcze bardziej posmutniały. Wreszcie puścił moją rękę i powiedział: „Bądź zdrów i zostań z Bogiem. Przyjdę jutro". Potem odwrócił się i pobiegł na apel.[165]

Jak więc wspomina Józef - 24.06.1943 r. Stanisław Sobik otrzymał paczkę z domu. Po powrocie z apelu na blok rozpakował ją i rozłożył zawartość na łóżku. Nim jednak zdążył cokolwiek wziąć do ust, blokowy powiadomił go, że wzywany jest do „Schreibstuby". Stanisław zastygł w bezruchu. Po chwili powiedział najbliżej stojącym kolegom, aby podzielili się tym, co przesłała mu rodzina. Przeczuwał, że już nie wróci.

W „Schreibstubie" był już jego szwagier Jan Klistała, był też Alojzy Siąkała z Rybnika i kilku innych więźniów. Powiadomiono ich, że na polecenie oddziału politycznego zostają przekazani na blok 11, gdzie nazajutrz mają stanąć przed policyjnym sądem doraźnym. Następnie więźniowie odprowadzeni zostali na blok 11 przez Rapportführera. W pewnej odległości za nimi szedł Karol Miczajka. Asystował Staszkowi w ostatniej drodze jego życia. Po kilku latach Miczajka napisał na ten temat bardzo wzruszający artykuł *Wspomnienie towarzysza niedoli*. Oto jego przedruk:

Pracowałem wtedy w komandzie „Gerätekammer", mieszczącej się w tzw. „Stabsgebäude". Był to magazyn sprzętu siodlarskiego, a stan całego „komanda" wynosił 2 ludzi. Praca polegała na utrzymaniu w czystości siodeł, uprzęży końskiej i rowerów. Kiedy mój towarzysz Duda został jako górnik przeniesiony na kopalnię Jawiszowice, zostałem sam i zaraz pomyślałem o tym,

[165] Zob. wspomnienia Józefa Sobika.

żeby na to miejsce ściągnąć Staszka. Praca tu bowiem nie była ciężka, „pod dachem" i – co najważniejsze – do roboty nikt nie napędzał. Sobik, dawny przywódca w pracy organizacyjnej, został nadal w obozie naszym wodzem ideowym, stał się niejako naszym ojcem, który zawsze umiał pocieszać, wlać wiarę i nadzieję w rychłe wyzwolenie.

Pracował wtedy w tzw. „Kiessgrubie" przy wydobywaniu żwiru. Praca tam była ciężka, na domiar złego spotykały go tam ze strony Grzonki z Rybnika, zawodowego rzezimieszka, który był kapem tego „komanda", szykany i ostre napaści.

Przy pomocy kolegów – rybniczan: Jasia Gemskiego (Gembczyka) i Józka Hanusza, starych „lagrowców", wyzyskując ich stosunek w tzw. „Arbeitsdienst'cie", dostał Staszek pod koniec maja 1943 r. przydział do mojego „komanda".

Przebywając teraz całe dni razem w zamkniętym magazynie, miałem sposobność poznać go głębiej. Szlachetna to była postać. Już za czasów jego działalności podziemnej zdumiewał mnie jego zapał, który umiał przelewać na swoich ludzi. Umiał wydawać rozkazy z równoczesnym narzuceniem silnej woli wykonania rozkazu. Potrafił oceniać zdolności swoich podwładnych i postawić każdego na właściwym stanowisku. Miał przy tym bezgraniczne zaufanie w uczciwość ludzką i to było jego jedynym błędem. Sam bezgranicznie uczciwy, wielki idealista, widział w każdym tylko dobre cechy charakteru, w każdym widział takiego zapaleńca, ja on sam. Takim pozostał do końca.

Zawsze skromny i cichy, znosił cierpliwie wszystkie ciężary i upokorzenia, które przynosił z sobą każdy dzień w Oświęcimiu. Skombinował sobie polską książeczkę do nabożeństwa, którą starannie ukrywał w magazynie między sprzętem i wiele chwil spędzał na skupionej i żarliwiej modlitwie. Myśli swoje często zwracał w kierunku życie pozagrobowego, wszczynał ze mną dyskusje na tematy oderwane, dążył do pogłębienia swojej wiary na podstawie dogmatów i Pisma Św., przechodził do zagadnień metafizycznych.

W prostej jego filozofii przebijała głęboka wiara w życie wieczne i Najwyższą Sprawiedliwość.

Kiedyś mówił Stach do mnie: Wiesz, Karol, miałem dzisiaj piękny sen. Otóż śniło mi się, że byłem wolny. Było tak cudnie na świecie! Piękna i uroczysta zieleń pokrywała ziemię i tak pięknie lipy kwitły…

W jakiś czas potem zaczęły przychodzić wyroki z Berlina. Obserwować można było, jak według kolejnych numerów wzywano ludzi do podpisania tzw. „Schutzhaftbefehlu" (nakazu aresztowania) lub na blok jedenasty, skąd już nie wracali. Numery wzywanych wzrastały z dnia na dzień i nieustępliwie zbliżały się do naszych liczb. Ucichły rozmowy, rozproszyła się nasza grupka, która często schodziła się na pogawędki. Każdy dążył do samotności.

Pogodny czerwiec rozwinął wdzięki lata w całej krasie. Ci, którzy pracowali na „Aussenkomandach", opowiadali jak pięknie jest na świecie. Opowiadali o kołyszących się łanach kłosów, o czystej i wonnej zieleni łąk, pokrytych kobiercem kwiatów, opowiadali o drzewach przydrożnych,

udzielających rozłożystymi koronami ożywczego cienia…, gdy w obozie słońce prażyło bezlitośnie wychudzone twarze więźniów i bezwłose głowy, spalając je na ciemny brąz i pokrywając strudzone czoła kroplami potu.

Piękny i inny był świat za drutami. Ten świat nieznany był już nam, istniejący tylko w dziedzinie marzeń i wyobraźni. Jakże daleko był od nas!

Wstał cudny poranek święta Bożego Ciała, przynosząc z sobą wiele refleksyj i wspomnień z minionych lat: piękna pogoda, gałązki brzozowe, uroczysty i podniosły nastrój, procesja, dzieci w bieli, ksiądz z monstrancją pod baldachimem i kwiaty, kwiaty, kwiaty…

W obozie dzień ten nie różnił się niczym od tylu innych dni roboczych. A jednak… Wyruszamy rano ze Staszkiem do naszej „budy" do siodeł i rowerów, postanawiając zgodnie jak najmniej pracować. Istotnie tak się złożyło, że nie pilnowano nas w ten dzień tak dokładnie.

Stach był wyjątkowo poważny, ale ani cienia smutku nie odkryłem na jego twarzy. Uniesiony był jakimś radosnym nastrojem, twarz miał rozpromienioną. Marzyliśmy o tym, jak to wkrótce na wolności będziemy mogli uczestniczyć w procesji Bożego Ciała i śpiewać po polsku…

Patrzę do okna, przez które widać było kulistą koronę lipy, usianą złocistymi kwiatkami.

Patrz Stachu, – mówię do Sobika – jaka piękna jest lipa i jak cudnie kwitnie.

Otworzyliśmy lekko okno, by wpuścić trochę zapachu lipowego kwiecia. Wieczorem wróciliśmy na blok, gdzie oczekiwała na Stacha paczka z domu. Już się i apel skończył, więc Stach zabrał się do rozpakowania paczki i przyrządzenia kolacji.

Nie zaczął jeszcze jeść, gdy pisarz blokowy wywołał Jego numer: - Zgłosisz się zaraz w „Schreibstubie" – mówi.

Stach odłożył wszystko i zostawił na łóżku, a sam poszedł.

Tknęło mną złowrogie przeczucie, przypomniał mi się sen Stacha o wolności i o kwitnącej lipie.

Poszedłem z nim do „Schreibstuby", gdzie czekało już kilku innych o podobnych numerach.

Wiedziałem, co ich czeka.

Odprowadzano wszystkich na blok XI. Idzie nas kilku w pewnym oddaleniu za nimi. Oglądają się, rzucają nam drobne przedmioty, które mieli przy sobie: zapalniczkę, cygarniczkę, pędzel do golenia…

Weźcie to na pamiątkę! Już się nie zobaczymy!

Jeszcze jedno spojrzenie, jeszcze jedno skinienie ręki, jeszcze jeden uśmiech, w którym był żal i łzy, a potem zaciśnięte zęby i głowa dumnie odrzucona do góry i ostatnie słowa do nas: Trzymajcie się! Pozdrówcie nasze żony i dzieci!

A potem ciężkie, żelazne drzwi zamknęły się z łoskotem, i ciężka sztaba żelazna podparła je z wewnątrz.

Widziałem Go po raz ostatni. Stach przestał żyć dla świata. Ta, o którą tak nieugięcie walczył, zażądała od Niego ofiary życia i krwi…[166]

Na bloku jedenastym poddani zostali zwyczajowej procedurze. Wyznaczono im miejsca na pryczach. Jaka była ta ich ostatnia noc? Z całą mocą narzuca się tu ostatnia noc Chrystusa w Ogrójcu. W uszach dźwięczą słowa Jezusa wg św. Marka:

I odszedł nieco dalej, upadł na ziemię i modlił się, żeby – jeśli to możliwe – ominęła Go ta godzina. I mówił: Abba, Ojcze, dla Ciebie wszystko jest możliwe, zabierz ten kielich ode Mnie. Lecz nie to co Ja chcę, ale to co Ty (niech się stanie).

Oni zapewne też w żarliwej modlitwie prosili Boga, żeby zmienił ich los, żeby oddalił od nich śmierć.

Niestety, o godzinie 15:00 wezwano jego i pozostałych rybniczan - współwięźniów przed kilkuosobowy policyjny sąd doraźny, urzędujący na parterze bloku 11. Odczytano im wyrok, który przyszedł z Berlina. Usłyszeli powoli sylabizowane słowa – kara śmierci! W męskiej umywalni na parterze musieli rozebrać się do naga. Potem podprowadzeni zostali pod czarną tablicę przy murze. Przy Ścianie Straceń więzień słyszał ostatni ziemski odgłos – szczęk zamka karabinka małokalibrowego i... następowała cisza nieskończoności!

Dnia 25.06.1943 r. na dziedzińcu bloku nr 11 rozstrzelani zostali: Stanisław Sobik nr obozowy 107482, Jan Klistała nr 111912, Alojzy Siąkała nr 109857, Franciszek Kocur nr 123028, Józef Dziuk nr 123023, Teodor Mroczek nr 123032, Franciszek Wybrańczyk nr 107484, Archop Rudyj nr 107758, Alojzy Nawrat nr 111913, Alojzy Burysz nr 108694, Franciszek Stroba nr 108699, Piotr Kowalenko nr 47757, Henryk Hoffman nr 123025.[167]

Zofia Sobik pracowała w tym czasie w gospodarstwie rolnym w Budach koło Oświęcimia. Władze SS wezwały ją do kancelarii podobozu, gdzie powiadomiona została o śmierci męża. Przeżyła ten moment bardzo boleśnie, ale „nadludzie" z SS szybko zaradzili jej załamaniu – odesłali ją do wykonywania przerwanego zajęcia w gospodarstwie.

* * *

W czerwcu 1943 r., w związku z dekonspiracją ZWZ/AK w Cieszynie, gestapo uzyskało ślad wiodący do ZWZ/AK w Rybniku, w wyniku czego doszło do kolejnych aresztowań. Zatrzymanych zostało wtedy przeszło 40 rybnickich działaczy ZWZ, m. in.:Alojzy Fros, Karol Ogórek, Franciszek Sztramek, Władysław Weis, Jan Nosiadek, Wacław Kolonko, Józef Jaszek, Henryk

---

[166] Karol Miczajka, *Wspomnienie towarzysza niedoli*, Księga pamiątkowa Państwowego Gimnazjum i Liceum w Rybniku 1922-1947, wydana staraniem Komitetu Obchodu XXV-lecia Państwowego Gimnazjum i Liceum w Rybniku w 1947 r.

[167] Zob. Danuta Czech, *Kalendarz wydarzeń w KL Auschwitz*, s. 450.

Szlosarek, Henryk Miczajka – z Rybnika, Stanisław Strykowski z Żor, Wincenty Grodoń z kopalni „Szyby Jankowice", Henryk Mikułka z kop. „Dębieńsko", Alojzy Frelich z Gotartowic, Paweł Kłosok z Obszar, Albert Bochenek z Ligoty Rybnickiej, Franciszek Makowski z Wilchw, inż. Benedykt Kozielski z Jedłownika, Franciszek Kożdoń z Chwałowic, Feliks Kowol z Łazisk i Jerzy Kufieta z Zebrzydowic. Wszystkie te osoby wywiezione zostały do obozów koncentracyjnych.[168]

Niektórym członkom ZWZ/AK udało się uniknąć aresztowania. Przeczuwając niebezpieczeństwo zdołali ukryć się w bezpiecznych miejscach. Tak właśnie było z dowódcą kompanii, Antonim Steierem, który ukrył się w Rzędówce koło Rybnika. Po krótkim okresie „wyciszenia" objął on w grudniu 1943 r. kierownictwo komendy powiatowej AK. Organizacyjnie podlegał Inspektoratowi Rybnickiemu AK, na czele którego stał Władysław Kuboszek, a po jego śmierci w czerwcu 1944 r. – Paweł Cierpioł.

Po aresztowaniach w lutym i w czerwcu 1943 r. bardzo szybko zorientowano się, kto był zdrajcą. Odnowiona personalnie rybnicka komenda ZWZ/AK wydała na Jana Zientka wyrok kary śmierci. Gestapo wiedziało, co może grozić ich współpracownikowi, dlatego też w parę dni po tych wydarzeniach Zientek przeniesiony został przez niemieckich opiekunów do Krakowa, a później do Czech i prawdopodobnie w głąb Niemiec.

Kompania Antoniego Steiera w dalszym ciągu aktywnie walczyła z okupantem. Zdobywano żywność, odzież i broń, dokonywano dywersji i sabotaży, likwidowano szpicli i żandarmów niemieckich – szczególnie okrutnych dla rybniczan. Antoni Steier stał na czele kompanii do momentu wkroczenia wojsk radzieckich do Rybnika.

ANEKS I – DZIAŁALNOŚĆ KONSPIRACYJNA STANISŁAWA SOBIKA

Zbierając materiały do niniejszego opracowania natrafiłem na wiele sprzecznych informacji dotyczących działalności Rybnickiego Obwodu ZWZ/AK oraz jego komendanta, Stanisława Sobika. Z przykrością stwierdziłem też, że w książce o wymownym tytule *Rybnicki Inspektorat Armii Krajowej* autorstwa Mieczysława Brzosta o postaci tej nie ma żadnej wzmianki. W środowisku kombatanckim spotkałem się ze stwierdzeniem, że brak jest wystarczających dowodów na to, iż Stanisław Sobik działał w ZWZ/AK Rybnik. Postanowiłem więc w niniejszym aneksie przedstawić zebrane przeze mnie materiały potwierdzające działalność konspiracyjną Sobika z nadzieją, że staną się one bodźcem do dalszych badań historycznych.

W większości książek na temat działalności ZWZ/AK w Rybniku znaleźć można jedynie skromne wiadomości dotyczące Stanisława Sobika – ale i one chociaż skrone, potwierdzają rolę i działalność tej niezwykłej osoby.

W broszurze Alfonsa Mrowca *Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Rybnickiem* czytamy:

---

[168] Por. Alfons Mrowiec, *Z dziejów okupacji…*, s. 26.

Po aresztowaniu głównych działaczy Polskiej Organizacji Powstańczej na terenie Rybnika działały konspiracyjne drobne grupki. Stanisław Sobik (ur. 21.09.1911), wychowanek rybnickiego gimnazjum, organizuje Związek Walki Zbrojnej (październik 1940), utrzymując ścisły kontakt z Katowicami i Warszawą przez kuriera Pawła Jaszka z Rybnika. Organizacja miała charakter wojskowy, dzieliła się na kompanie, plutony i drużyny.[169]

Podobna wzmianka na ten temat znajduje się w książce *Rybnik. Zarys dziejów miasta od czasów najdawniejszych do 1980 roku*, w rozdziale autorstwa Wacława Wieczorka.[170]

O wiele więcej informacji przynosi lektura książki Józefa Musioła *Ślązacy*. W rozdziale o Stanisławie Sobiku cytowałem już wspomnienia Rafała Sitka dotyczące ewakuacji pracowników rybnickiej poczty oraz składania przysięgi. Oto inny fragment tej książki:

Wkrótce po przysiędze Rafał Sitek spotkał się w Jastrzębiu ze swoimi kolegami – Józefem Obracajem, Karolem Krótkim i Leonem Woryną, którzy zapoznali go z już istniejącą w Jastrzębiu tajną organizacją pod nazwą Polska Armia Krajowa. Rozpoczęła się żmudna praca organizacyjna, tworząca bazę pod przyszłą siedzibę Inspektoratu Rybnickiego ZWZ, a potem Armii Krajowej. Z ogromną ostrożnością werbowano nowych członków do organizacji, której nazwa o dwa lata wyprzedziła oficjalną nazwę AK, a mianowicie do Polskiej Armii Krajowej. […] Rafał Sitek doprowadził do ważnego spotkania w Jastrzębiu. Z Sobikiem z Rybnika przybyło też kilku innych organizatorów ruchu zbrojnego. Jak się okazało, jednym z tych nie znanych dotąd mężczyzn okazał się mgr Władysław Kuboszek, pseud. Kuba – pierwszy komendant Inspektoratu Rybnickiego AK.[171]

Wynika z tego, że Stanisław Sobik znał się z Władysławem Kuboszkiem pseud. „Kuba", „Robak", „Rokosz", „Bogusław", który był inspektorem Rybnickiego Inspektoratu Służby Zwycięstwu Polski, a następnie – Rybnickiego Inspektoratu ZWZ/AK.

Kolejna informacja dotycząca Sobika znajduje się w książce Juliusza Niekrasza *Z dziejów AK na Śląsku*. Pojawia się ona przy opisie działalności konspiracyjnej Huberta Hatki:

Hubert Hatko w nie znanych mi okolicznościach przestał działać w POP i przystąpił do organizowania w Brzozowicach-Kamieniu własnej organizacji pod nazwą Obóz Zjednoczenia Narodu Polskiego (OZNP). Będąc działaczem harcerskim i mając w harcerstwie szerokie kontakty, wciągnął do swojej organizacji wielu harcerzy (część z nich było już w ZWZ) oraz uczniów gimnazjalnych. Hatko miał najlepsze intencje, ale działalność jego była

---

[169] Alfons Mrowiec, *Z dziejów okupacji…*, s. 24.

[170] Por. *Rybnik. Zarys dziejów…*, s. 243.

[171] Józef Musioł, *Ślązacy*, Katowice 1987, s. 278.

nieprzemyślana; rozciągnął ją także na Piekary Śląskie, Mikołów, Chorzów, Świętochłowice, Bielszowice i Rudę Śląską. W działalność Hatki wkroczył ZWZ. Po przeprowadzeniu rozmów z oficerem organizacyjnym Stanisławem Stobikiem[172] Hatko podporządkował się ppor. Alojzemu Boguckiemu („Alek"), komendantowi Obwodu Tarnogórskiego; Hatce pozostawiono swobodę działania, co wszakże nie dało dobrych rezultatów, bo wydawał dalej gazetę konspiracyjną pod zmiennymi tytułami („Błyskawica", „Społem", „Orzeł Biały"), co przyczyniło się do dekonspiracji.

W toku śledztwa gestapo ujawniło, że OZNP udzielił pomocy w ukrywaniu się zbiegłemu z niewoli jeńcowi angielskiemu o nazwisku Stanley Clifford Hirt, co rozszerzyło aresztowania także na osoby nie należące do organizacji. Poza publiczną egzekucją w Brzozowicach-Kamieniu gestapo przeprowadziło dalsze egzekucje w innych miejscowościach. Z osób wyżej wymienionych losy tylko niektórych są mi znane. Stanisław Stobik, będący stałym łącznikiem między Hubertem Hatko a komendą obwodu, zdołał ujść aresztowaniu i objął funkcję oficera organizacyjnego w Inspektoracie Rybnickim. W początku 1943 r. otrzymał rozkaz zorganizowania oddziału partyzanckiego. W toku tych czynności został aresztowany 11.II.1943 r. wraz z żoną i bratem. Pracę jego dokończył i oddział partyzancki zorganizował, zostając jego dowódcą, Antoni Steier („Lew", „Feliks"). Stanisław Stobik został rozstrzelany w obozie oświęcimskim 23 czerwca 1943 r.[173]

To wszystkie informacje, jakie udało mi się znaleźć w książkach poruszających temat rybnickiego ZWZ/AK. Resztę wiadomości usystematyzowałem w niniejszym opracowaniu na podstawie dokumentów, pamiętników i wypowiedzi osób znających Stanisława Sobika.

Spośród zebranych przeze mnie dokumentów wymienić należy przede wszystkim oświadczenie naocznych świadków tamtych wydarzeń – Stefana Kuczatego i Henryka Miczajki. W dokumencie podpisanym 18.09.1948 r. w obecności notariusza, Kuczaty i Miczajka stwierdzają: „[…] ob. Sobik Stanisław, urodz. dnia 21.9.1911 r., zam. ostatnio w Rybniku, pracował w tajnej organizacji pod nazwą „Związek Walki Zbrojnej" na terenie powiatu rybnickiego i za działalność tą został aresztowany przez gestapo i osadzony w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, gdzie zmarł 25.6.1943 r.". Istotne są też oświadczenia Danuty Mosiewicz-Mikuszowej z 1986 r. oraz 1998 r., które nie mówią wprawdzie wprost o Stanisławie Sobiku, ale dotyczą innych działaczy rybnickiego ZWZ – Pawła Musiolika i Pawła Kowolika – oraz potwierdzają współpracę Zientka z gestapo.[174] Świadectwem potwierdzającym przywódczą rolę Stanisława Sobika w ZWZ/AK Rybnik jest właśnie list Pawła Musiolika, byłego członka ZWZ/AK i więźnia KL Auschwitz, do Danuty Mosiewicz-

---

[172] Tak w oryginale. Data i okoliczności aresztowania oraz data śmierci wskazują jednoznacznie, iż autor przekręcił nazwisko Sobik na Stobik. [Przyp. J. K.]

[173] J. Niekrasz, *Z dziejów AK na Śląsku*, Katowice 1993, s. 292.

[174] Kserokopie dokumentów w archiwum autora.

Mikuszowej – byłej więźniarki Birkenau i także członka ZWZ/AK – pisany ze Szwecji w 1992 r. Oto jego fragmenty dotyczące Stanisława Sobika (mimo iż list zawiera wiele błędów – autor, człowiek w podeszłym wieku, był przez wiele lat na emigracji – pozostawiam pisownię oryginalną):

[…] W Krakowie była silna grupa ludzi z Rybnika i okolicy, kolejarze, studenci i inni zagrożeni aresztowaniem na Śląsku. Tej grupie Rybniczan przewodził narzeczony mej siostry Fr. Pluta prezes korporacji Akademickiej „Odra" skupiająca i działająca w terenie. Śp. Franciszek Pluta pracował na stacji kolejowej w Krakowie. Tutaj też pracował konfident Jan Zientek, który należał do ZWZ w Rybniku.

Przed wojną do września 1939 r. pracował w Rybniku jako zawiadowca odcinka sygnałowego, oddział Rybnik w stopniu asesora. Po wojnie nadal pracował na kolei w okresie 1942-43 jako zawiadowca stacji kol. Rybnik należał też do organizacji ZWZ w Rybniku.

W tym to okresie komendantem ZWZ w Rybniku i okolicy był śp. Stanisław Sobik także pracownik kolejowy na stacji Rybnik. Śp. St. Sobik także w ramach swoich możliwości wyjeżdżał w celach organizacyjnych i kontaktów do Katowic i Krakowa. W tych wyjazdach często towarzyszył renegat J. Zientek, który chyba jesienią 1942 byli razem na Kalwaryjskiej. Były to kontakty z grupą Rybniczan w Krakowie. Zientek jak z tego wynika odgrywał podwójną rolę Kraków – Rybnik, to też zakres jego działalności, tym bardziej że śp. Stanisław Sobik Bogu ducha winien, nie wiedząc że z renegatem zdrajcą Zientkiem odwiedza Rybniczan, co spowodowało później ogromne straty. Aresztowano bodajże równocześnie grupy w Rybniku i Krakowie gdzieś 10-11 lutego 1943 r. W Rybniku aresztowano około 120 osób i przywieziono na badania na oddział polityczny do Oświęcimia, gdzie poddano ich okrutnemu śledztwu.

W połowie stycznia mieliśmy razem z Rawskim spotkania z Zientkiem chodziło o wyrobienie dowodów kolejowych, dla Rawskiego i dla mnie jako pracowników kolejowych daliśmy do tych przyszłych legitymacji swoje zdjęcia które później widzieliśmy w rękach gestapo, co utwierdzało mnie o roli Zientka jako agencie gestapo.[175]

Równie przekonujące dowody działalności Stanisława Sobika w ZWZ/AK Rybnik znajdują się w pamiętnikach świadków tamtych wydarzeń – Józefa Sobika (brata Stanisława) oraz Stefanii Kaszuby-Łęgowskiej. Oba pamiętniki współtworzą rozdziały poświęcone ich autorom, a ich wartość jako dokumentów nie wymaga komentarza.

Kolejnymi dowodami przynależności i działalności Stanisława Sobika w ZWZ/AK są rozmowy, które przeprowadziłem z żyjącymi świadkami tamtych wydarzeń – z Karolem Miczajką, Józefem Sobikiem, Rupertem Urlą, Alojzym Frosem i Franciszkiem Kożdoniem. Przekazali mi oni wiele informacji na temat

[175] Kserokopia dokumentu w archiwum autora.

przywódczej roli Stanisława w ZWZ/AK, a także roli poszczególnych osób w organizacji.[176]

Już niemal w trakcie druku książki (pierwszego wydania) *Dziełacze rybnickiego ZWZ/AK w obozach koncentracyjnych*, otrzymałem informację od Aleksandra Popiela, że w Rydułtowach mieszka osoba, która zapoznawszy się z moim tekstem o Stanisławie Sobiku, w całej rozciągłości potwierdza to, co napisałem. Pojechałem więc do Rydułtów i osobiście rozmawiałem z Pawłem Sosną, świadkiem owych okupacyjnych wydarzeń.

Paweł Sosna był dowódcą oddziału partyzanckiego Rybnickiego Inspektoratu ZWZ. Znał Stanisława Sobika osobiście, wymawiając Jego imię „Stasiek", - a tak zwracali się do Sobika najbliżsi i znajomi. Stwierdza więc Paweł Sosna, że Stanisław Sobik był komendantem ZWZ Obwodu Rybnik, że odbierał on przysięgę od ojca Sosny – który przebywał wówczas w szpitalu „Juliuszu" w Rybniku. Swiadkiem tej przysięgi był znany w Rybniku lekarz Eryk Winkler. Paweł Sosna często ubezpieczał Stanisława Sobika, gdy ten wybierał się na spotkania w „terenie" z kurierami (łącznikami) z Krakowa czy Katowic.

W dniu 10.03.2004 r. znalazłem w Muzeum w Rybniku takie oto dowody przy informacji o Antonim Sztajerze z relacji hm Zbigniewa Rusińskiego, Krypczyka, Bronisławy z d. Grodoń (żony A. Sztajera) i Wincentego Grodonia:

W latach 1937 - 1938 zostaje powołany do odbycia służby wojskowej w 4 pułku Strzelców Podhalańskich w Cieszynie, i tam skierowany zostaje do szkoły podchorążych rezerwy, którą kończy w stopniu plutonowego podchorążego. Już w sierpniu zostaje powołany do służby wojskowej i jako dowódca plutonu bierze udział w wojnie obronnej 1939 r. i na terenie Węgier jest internowany. Z internowania ucieka i przedostaje się do Polski do okupowanego Rybnika. Tu nawiązuje kontakt z podharcmistrzem Stanisławom Wolnikiem i wstępuje do konspiracyjne organizacji pod nazwą „Polskiej Organizacji Powstańczej", następnie do Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej w lutym 1942 r. do powstałego Inspektoratu AK Rybnik pseudonim „Klasztor". Tu nawiązuje dalsze kontakty z Alojzym Frosem, a następnie z dowódcą I kompanii 75 PP AK w Rybniku Stanisławem Sobikiem.

[176] Rozmowy te nagrałem i znajdują się w moim archiwum.

Najpierw był bunt i rozpacz
łzy gorzkie i cichy płacz
i ból i tęsknota
co sercem miota.
A potem z godzin, z dni,
co wciąż szeregiem szły,
rosły niedoli miesiące.[...]

fragment wiersza: **OBÓZ**
autorka Zofia Grochowalska-Abramowicz

SOBIK ZOFIA,
Więźniarka nr 38108 KL Auschwitz.

SOBIK ZOFIA,

Urodziła się 13.02.1911 w Langendreer (Westfalia), z ojca Stanisław Żurek i Tekli z d. Mocydlarz. Szkołę podstawową ukończyła w Korotoszynie woj. poznańskie. Przyjechała do Rybnika wraz z rodzicami w 1925 r. Przez jakiś czas pracowała jako ekspedientka w sklepie. W 1935 r. wyszła za mąż za Stanisława Sobika i z małżeństwa tego urodziła się dwójka dzieci – Marian w 1937 i Danuta w 1939 r. Nie należała do organizacji konspiracyjnej, ale oczywistym było, że wiedziała o konspiracyjnej działalności swojego męża - komendanta rybnickiego obwodu ZWZ/AK.

Niejednokrotnie w ich mieszkaniu odbywały się spotkania konspiracyjne. Pozorowała prowadzenie bardzo intensywnego życia towarzyskiego, żeby Niemiec i wielki sympatyk Hitlera - właściciel domu w którym wynajmowali mieszkanie, nie zorientował się o prawdziwych intencjach tych spotkań. Gdy Jej mąż został aresztowany dnia 11.02.1943 r., udała się następnego dnia wraz z siostrą Heleną Klistała na gestapo i pod pretekstem przyniesienia mężowi śniadania, wypraszała widzenie się z mężem. Po umożliwieniu „widzenia", rozmawiali ze sobą w języku polskim, za co i Ona została aresztowana (szczegółowy opis zajścia zamieszczony jest przy rozdziale poświęconym Stanisławowi Sobikowi).

Po przewiezieniu do KL Auschwitz i osadzeniu w bloku nr 2a – Politische Abteilung, przekazano ją od dnia 9.03.1943 na pobyt w obozie - w Birkenau i otrzymała numer obozowy 38108. Stamtąd przenoszono ją do różnych podobozów jak Budy, Rajsko, a w związku z tym przydzielano do różnych komand roboczych w gospodarstwach ogrodniczych. O śmierci męża dowiedziała się, następnego dnia po wykonaniu wyroku – poinformowały ją o tym władze podobozu.

Pod koniec 1944 r. (prawdopodobnie w październiku lub listopadzie) przesłana została do KL Ravensbrück. Gdy jednak na różnych frontach coraz niekorzystniej układały się sprawy dla Niemców i wojska alianckie zbliżały się do obozu, wraz z pozostałymi więźniarkami, uczestniczyła w ewakuacji obozu - w głąb Niemiec.

Podejrzewając hitlerowców o zamiar uśmiercenia wszystkich więźniarek, wraz z koleżanką, postanowiła zaryzykować ucieczkę z kolumny.

Dzięki dogodnym okolicznościom, gdy zapadła wieczorna szarówka a wzdłuż drogi którą odbywał się przemarsz kolumn rosły z jednej i drugiej strony krzaki, plan powiódł się. Po latach wspominała o Opatrzności Bożej dzięki której przechodzący w pobliżu esesmani z psami, nie zauważyli ich „wyskoku" z kolumny, a psy nie zareagowały na więźniarki ukryte w przydrożnych krzakach.

Po oddaleniu się kolumny więźniarek i eskorty SS, upewniwszy się, że jest już bezpiecznie, poszukały schronienia w opuszczonym poniemieckim domu. Tam też znalazły coś do zjedzenia, cywilne ubrania i spędziły noc. W następnym dniu, po ustaleniu nazwy miejscowości w jakiej się znajdują, ruszyły w kierunku swoich domów.

Powrotowi Zofii Sobik do domu towarzyszyły różne dramatyczne okoliczności. Dwie uciekinierki poruszały się przez tereny niemieckie, a nadto charakterystyczny wygląd więźniarek jaki nadal zachowywały, narażał je bardzo. Trafiały na różnych fanatyków Hitlera, którzy na widok więźnia – robili raban, że oto jest uciekinier z obozu i należy go z powrotem do obozu odtransportować!

Zofia Sobik po latach w Muzeum KL Auschwitz-Birkenau (Birkenau)

Ale i w Rybniku, do którego jeszcze nie dotarła Zofia po obozowej tułaczce, także działy się dosyć dziwne rzeczy dotyczące Jej osoby. Była bowiem poszukiwana przez rosyjskie jednostki „służby bezpieczeństwa". Funkcjonariusze ci przyszli do Jej rodziców (moich dziadków) i wypytywali z imienia i nazwiska o Zofię Sobik. Gdy nie zastali Jej u dziadków, poszli do Jej teściów (rodziców Stanisława Sobika) sprawdzić czy się tam nie ukrywa. Na szczęście nie znaleźli jej, ale natrafili na męża szwagierki (siostry Stanisława Sobika) - Karola Sładka. Karlik – jak go wszyscy wołali, miał wyjątkowo wesołe usposobienie, stale robił jakieś dowcipy. Widocznie zaczął pokpiwać z przybyłych Rosjan, gdyż go aresztowali i wysłali na Sybir. Może chodziło o to by zgadzały się „sztuki" aresztantów? Przesiedział na Sybirze około sześć lat, ale ponieważ pomysłowość i tam go nie opuszczała, więc wymigał się od dłuższego „siedzenia" i wrócił do domu.

Nawiązując jednak do poszukiwania Zofii przez rosyjskie służby bezpieczeństwa, prawdopodobnie dowiedziały się o jej „zbliżaniu" do domu – osoby, dla których stanowiła jakieś zagrożenie. Być może sądzili, że Zofia po powrocie z obozu, będzie się mściła i wskazywała „odpowiednim" służbom czy instytucjom, kto oprócz Zientka mógł donieść na gestapo o konspiracyjnej

działalności Jej męża. Ludzie, którzy potrafili donosić okupantowi - skazując sąsiadów niemal na pewną śmierć, nie mieli z pewnością żadnych skrupułów by czynić to w nowej rzeczywistości – donosić noewj tworzącej się władzy policyjnej. Wiadome zaś było, że Rosjanie nie „bawili" się w drobiazgowe dochodzenie by ustalić prawdę. Aresztowali wskazanego osobnika i wywozili w głąb Rosji. Zanim sprawa się wyjaśniła, lub gdy okazało się, że zaistniała pomyłka w doniesieniu, często było za późno na naprawienie krzywdy wobec danej osoby.

W pierwszej połowie maja 1945 r., Zofia dotarła wreszcie do domu i swoich dzieci, które przez cały okres okupacji były pod opieką Jej rodziców. Zagrożenie ze strony Rosjan okazało się przejściowym nieporozumieniem. Po dosyć długiej rekonwalescencji, odzyskała na tyle siły fizyczne, by ułożyć sobie z dwójką dzieci jako takie życie. Gorzej było z psychiczną stroną tego zdrowia. Warunki obozowej dyscypliny, bardzo skromne racje żywnościowe, przez długi jeszcze czas nie pozwalały na powrót do równowagi psychicznej. Charakterystyczny był Jej strach przed głodem, nawet okruszynki po chlebie skrzętnie były spożytkowane. „Pewność bytu" powodował bochenek chleba, stale leżący w zasięgu wzroku. Miało się wrażenie, że wszystkie czynności – nawet te najprostsze były wykonywane jak pod nadzorem, musiały być wykonane niezwykle skrupulatnie. Przed obozem, była osobą wyjątkowo delikatną, nieodporną na ból, choroby. Tymczasem w obozie nie zachorowała nawet na jakże dziesiątkujący więźniów – tyfus. Częstokroć wspominała o pomocy jakiej udzielał Jej Karol Miczajka, dostarczając lekarstwa. Dzięki nim przeżyła, chorując w zdecydowanie mniejszym stopniu niż inne więźniarki.

Po powrocie do domu, rodzice i rodzina nie mogli się nadziwić nad zmianą Jej osobowości. Jednak z biegiem lat, pamięć o obozowym piekle coraz bardziej się przytępiała, coraz bardziej pozwalała żyć normalnie. Niemniej, nigdy nie zdołała całkowicie zapomnieć o obozowych przeżyciach.

Nie mogę się tu modlić – niech się za mnie modlą
Te dni, przez które przebrnąć mi trudno i znojnie,
Te noce, kiedy marznę i śnię niespokojnie
Daleki dom, daleki las pachnący jodłą
I to moje zniżenie, co głowę mi chyli
I nagość ciała mego – szorstkie średniowiecze
I owe wszystkie rany – wszystkie moje miecze,
Którymi serce moje boleśnie przeszyli
I ta wielka tęsknota, która rozpętana
Głośniej krzyczy do Boga, niźli krew przelana.

wiersz: **Nie mogę się modlić**
autor: nieznany

TKOCZ - RODZINA

TKOCZ - RODZINA

Kolejna, niemniej liczna rodzina, której nazwiska i imiona wyryte są na pomniku w Chwałowicach, to rodzina Tkoczów. O ile jednak miałem szczęście rozmawiania z Franciszkiem Kożdoniem o Jego rodzicach i rodzeństwie, to w przypadku Tkoczów, mogłem opierać się jedynie na tym, co było osiągalne z poskładanych zdań, opublikowanych w różnych książkach. Jakże jednomyślne są jednak opinie autorów tych publikacji, że atrybutem ich wielkości, były: skromność, religijność i poczucie patriotyzmu, że aż 6 osób z tej rodziny należało do ZWZAK.

TKOCZ JAN (ojciec)

Urodzony 29.08.1886 w Chwałowicach, pracownik kopalni „Chwałowice". Był członkiem POW Górnego Śląska, uczestniczył w powstaniach śląskich. Działacz ruchu oporu w POP, ZWZ/AK. Aresztowany dnia 13.07.1944 r., w dniu 14.09.1944 r. wysłany został przez gestapo w Katowicach do Gross-Rosen, następnie 18.09.1944 przetransportowany do KL Mauthausen gdzie otrzymał numer 58487 i P/105183. Zginął 28.02.1945 w KL Mauthausen-Gusen.

TKOCZ MARIA (matka)

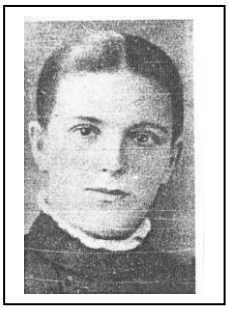

Urodzona 21.03.1888 r w Jankowicach Rybnickich, z d. Zniszczoł, żona Jana Tkocza, matka ośmiorga dzieci. Przed wojną zrzeszona w organizacji „Matka Polka", „Towarzystwo Przyjaciół Harcerzy". Pomagała materialnie żonom uwięzionych i podtrzymywała je na duchu. Współuczestniczyła w ruchu oporu ZWZ/AK. Była duchem opiekuńczym całej rodziny. Aresztowana 13.07.1944 r., po przesłuchaniach wywieziona została do KL Ravensbrück, gdzie zmarła 3.02.1945 r.

TKOCZ ALOJZY pseud. „Gruszka"Urodzony 12.08.1910 r., pracownik kopalni „Chwałowice". Należał do IX Drużyny ZHP im. Tadeusza Kościuszki w Chwałowicach. Uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 r. Z nastaniem okupacji działał w Szarych Szeregach, POW, ZWZ/AK. Został aresztowany przez gestapo 25.06.1943 r. zwolniony, i ponownie aresztowany 13.07.1944 r. Przewieziony do KL Mauthausen-Gusen, gdzie zginął dnia 23.04.1945 r.

TKOCZ ALFRED,

Urodzony 27.05.1914 r. Należał do IX Drużyny ZHP im. Tadeusza Kościuszki w Chwałowicach. Był uczniem Seminarium Nauczycielskiego w Pszczynie a następnie uczestniczył w kampanii wrześniowej w 1939 roku. Z nastaniem okupacji współorganizator Szarych Szeregów, działacz POP, ZWZ/AK. W stopniu kapitana pełnił funkcję zastępcy dowódcy kompanii AK w rejonie rybnickim. Aresztowany 9.02.1944 r. Więziony w KL Auschwitz i tam zginął na krótko przed wyzwoleniem obozu.

TKOCZ RYSZARD,

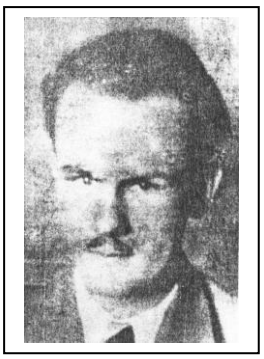

Urodzony 18.07.1916 r. Należał do IX Drużyny ZHP im. Tadeusza Kościuszki w Chwałowicach. Ochotniczo wstąpił do Wojska Polskiego, w 1939 r. uczestniczył w kampanii wrześniowej w stopniu sierżanta. Z nastaniem okupacji, działał aktywnie w Szarych Szeregach, POP, ZWZ/AK. W działalności konspiracyjnej współredagował (z pozostałym rodzeństwem) podziemne pismo „Zryw". Dowódca plutonu AK w Chwałowicach. Aresztowany przez gestapo w lipcu 1944 r. i w tymże roku powieszony w publicznej egzekucji w Tychach.

TKOCZ KLARA, pseud. „PAULA"

Urodzona 24.09.1918 r. Należała do Drużyny Harcerek im. Królowej Jadwigi w Chwałowicach. Z nastaniem okupacji razem z braćmi i siostrą Jadwigą działała w Szarych Szeregach, POP, ZWZ/AK. Aresztowana w lipcu 1944 r., osadzona została w KL Auschwitz. Wywieziona do KL Ravensbrück. Doczekała się wyzwolenia w 1945 r. przez wojska alianckie. Przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż wysłana została na rekonwalescencję do Szwecji, gdzie osiedliła się na stałe i założyła rodzinę. Zmarła 23.01.1996 r. – pochowana w Fritzaf.

TKOCZ JADWIGA,

Urodzona 9.10.1922 r. Należała do Drużyny ZHP im Królowej Jadwigi w Chwałowicach. Z nastaniem okupacji działała w Szarych Szeregach, POP, ZWZ/AK. Aresztowana 13.07.1944 r., wysłana została do KL Ravensbrück, gdzie zginęła w dniu 13.01.1945 r.

STEFEK ANNA,

Urodzona w 1919 r. mieszkanka Chwałowic. Żona Alfreda Tkocza. Harcerka, przyboczna Drużyny Harcerek im. Królowej Jadwigi w Chwałowicach. Uczestniczka pogotowia harcerek w 1939 r. Z nastaniem okupacji członkini Szarych Szeregów, POP i ZWZ. Była łączniczka, kolporterka i współredaktorka pisma konspiracyjnego „Zryw". Aresztowana 10.04.1941 r. przez gestapo. Osadzona w więzieniu cieszyńskim a następnie w obozie koncentracyjnym KL Auschwitz, gdzie 25.10.1943 została zamordowana.[177]
(Mimo usilnych poszukiwań, nie udało mi się dotrzeć do obszerniejszych informacji o Annie Stefek - zasłużonej działaczce konspiracyjnej).

*

Uniknęli aresztowania:

KAZIMIERZ TKOCZ

Urodzony 11.01.1925 r. w Chwałowicach. przed wojną należał do Drużyny ZHP im. T. Kościuszki w Chwałowicach. W czasie wojny pracował w fabryce sygnałów kolejowych w Gotartowicach. Z nastaniem okupacji działał w Szarych Szeregach, ZWZ/AK. Po aresztowaniu rodziców, ukrywał się w różnych miejscach aż do zakończenia wojny. Po wojnie znowu był czynnym harcerzem. W 1947 r. został powołany do czynnej służby wojskowej. Po odbyciu dwuletniej służby wojskowej, wrócił do domu i przyjął pracę na kopalni „Chwałowice", gdzie pracował do przejścia na emeryturę w roku 1982. Mieszka w swoim domu w Chwałowicach.

TKOCZ ŁUCJA,

Urodzona 22.06.1926 r. w Chwałowicach. Przed wojną należała do żeńskiej Drużyny Harcerskiej w Chwałowicach. W czasie wojny pracowała u rolnika w Żorach, co uratowało ją przed aresztowaniem w 1944 r. Brała czynny udział w ruchu oporu. Po wojnie przez jakiś czas pracowała w sklepie i równocześnie brała czynny udział w odradzaniu się harcerstwa w Chwałowicach. Była drużynową żeńskiej Drużyny Harcerek im. Królowej Jadwigi, do czasu zlikwidowania harcerstwa w 1948 r.. W 1948 r. wyszła za mąż za Jana Morgałę, od tego czasu zajmowała się prowadzeniem domu i wychowywaniem dzieci. W maju 1995 r. została wdową i mieszka samotnie w Chwałowicach.

TKOCZ JÓZEF,

Urodzony 5.03.1929 r. w Chwałowicach. Przed wojną był członkiem ZHP w Chwałowicach, tak jak jego starsi bracia. W czasie wojny pracował w firmie budowlanej, równocześnie biorąc czynny udział w działalności konspiracyjnej, szczególnie jako łącznik pomiędzy poszczególnymi członkami ruchu oporu. Członek Szarych Szeregów, ZWZ/AK. Po wojnie był aktywnym członkiem harcerstwa w Chwałowicach. Po wojnie pracował na kopalni „Chwałowice". W 1954 r. ożenił się i został ojcem dwójki dzieci. Po 40 latach pracy zawodowej,

---

[177] dosłowny przedruk z książki Longina Musiolika *Rybniczanie – Słownik Biograficzny*

przeszedł na emeryturę w roku 1982. Od maja 2002 r. wdowiec. Mieszka w Chwałowicach.

*

Mieszkali w Chwałowicach pod lasem, w niewielkim budynku z czerwonej cegły, przy domu była stodoła, kawałek ogrodu i pole. Ziemi było jednak za mało by z niej wyżywić 10 osobową rodzinę, więc głównym źródłem utrzymania była pensja za pracę w górnictwie - ojca Jana Tkocza i starszych synów.

Jan Tkocz, był aktywnym uczestnikiem powstań śląskich, brał udział w tych samych wydarzeniach politycznych – które opisałem w poprzednim rozdziale, gdy wyjaśniałem sytuację na Śląsku w okresie od 1918 do 1921 r.

O Marii Tkocz, jakże ciepło wypowiada się Innocenty Libura[178] - „*Duchem opiekuńczym i źródłem siły moralnej była Maria Tkoczowa, matka ośmiorga dzieci”*. Nie można bowiem w prostszy sposób wyrazić słów wielkiego uznania wobec matki, która przekazywała swoim dzieciom aż tyle patriotycznych wartości. Od najmłodszych lat, wszystkie dzieci Tkoczów miały związek z harcerstwem, w którym uczyły się miłości do Ojczyzny – ponad to, co codziennie podpatrywały u rodziców.

W przeddzień spodziewanego napadu hitlerowców na Polskę, zgodnie z zaleceniem władz ZHP, Tkoczowie czynnie włączyli się w przygotowania na ewentualność wojny. W porozumieniu z kierownikiem szkoły w Chwałowicach, zabezpieczyli bibliotekę Towarzystwa Czytelni Ludowych (TCL), ukrywając część księgozbioru w domach zaufanych osób z Chwałowic, a część ukryli we własnym domu. Pomagali w ukryciu dokumentacji harcerskiej by nie umożliwiała okupantowi represji wobec członków ZHP i innych miejscowych aktywistów. Oczywiście, jest to bardzo skromnie przedstawiony zakres poczynań przyszłych i bardzo skutecznych konspiratorów.

Zgodnie z nakazem Naczelnych władz ZHP, drużyny miały zaprzestać oficjalnej działalności, przygotowując się do działalności konspiracyjnej. Gdy więc czarny scenariusz czyli napaść Niemców na Polskę stał się faktem, od pierwszych dni okupacji, powstała w Chwałowicach konspiracyjna drużyna harcerska, z centrum dowodzenia w domu Tkoczów. W piwnicy ich domu pod lasem urządzono schron podziemny. Tam zainstalowano radio, wniesiono powielacz. Przez radioodbiornik wysłuchiwano wiadomości ze świata, a na podstawie informacji uzyskanych tą drogą, redagowano gazetki i ulotki.

Starsi synowie - Alfred, Alojzy i Ryszard Tkoczowie, od pierwszych dni istnienia organizacji konspiracyjnej Polska Organizacja Powstańcza, - zaangażowali się w działalność tej organizacji. Po dekonspiracji POP, działali równie aktywnie w ZWZ/AK. Byli redaktorami gazety podziemnej „ZRYW”, którą drukowano właśnie w piwnicy ich domu. Zasięg kolportażu obejmował miejscowości powiatu rybnickiego. W chlewie (pod żłobem), urządzono drugi

[178] Innocenty Libura – *Z Dziejów Domowych Powiatu, Gawęda o ziemi rybnickiej.*

schron – umożliwiający ukrycie się w nim kilku osób. W schronie tym ukrywali się okresowo poszukiwani „spaleni” Polacy a także zbiegli z obozów - więźniowie lub jeńcy wojenni. Zgromadzony w schronach księgozbiór, wypożyczano osobom godnym zaufania.

Bardzo przemyślnie urządzone schrony, były wręcz niewykrywalne mimo obserwacji budynku przez gestapo, policję, przez sprowadzone specjalnie wyszkolone psy śledcze. Nawet zaufani sąsiedzi i znajomi Tkoczów, nie znali wszystkich członków tej konspiracyjnej grupy i nie mieli pojęcia o zakresie działalności w budynku Tkoczów. Przybywający tam kurierzy, musieli znać hasło, by przekazać potrzebne materiały lub zabrać przygotowane ulotki i gazetki a następnie znikali niepostrzeżenie. Do konspiracyjnej drużyny harcerskiej, obok Tkoczów, Kożdoniów, należał Konrad Brachman (jako drużynowy), Anna Stefek (narzeczona, a później żona Alfreda Tkocza), Józef Lazar, Gerard Motyka i inni młodzi zapaleńcy.

Strzegącym niemal codziennie domu Tkoczów, był członek tej grupy konspiracyjnej i otrzymał zadanie zaskarbienia u Niemców zaufania, umożliwiającego „zaciągnięcia” się do hitlerowskiej formacji S.A.[179], by móc ostrzegać konspiratorów przed niebezpieczeństwem. Częste przebywanie w domu Tkoczów miał tłumaczyć tym, że zakochał się w Klarze Tkocz. Musiał niestety znosić niemało pogardy od mieszkańców Chwałowic, chodząc ulicami tej miejscowości w brązowo-żółtym mundurze. Nieznający jego konspiracyjnego zadania - dawne koleżanki i koledzy z harcerstwa, okazywali mu pogardę jako zdrajcy i kolaborantowi.

W Domu Tkoczów znalazła schronienie Franciszka Kożdoń z dziećmi po wyrzuceniu jej z familoków jesienią 1941 r. Mieszkała tam około dwóch lat, do czasu wywiezienia jej z dziećmi do Mysłowic, a potem do KL Auschwitz.

Niemal przez pięć lat okupacji, rodzina i dom Tkoczów były ośrodkiem konspiracyjnej działalności, ale - … terror i represje okupanta dosięgnęły i tą rodzinę.

Dnia 9.02.1944 r. wpadł w ręce żandarmów Alfred, ukrywający się po kampanii wrześniowej w rodzinnym domu, u teściów w Marklowicach i innych znajomych w okolicy Chwałowic. Od dłuższego czasu poszukiwany przez Niemców, miał na sumieniu niemało antyhitlerowskich przewinień. Był między innymi łącznikiem pomiędzy rybnicką komórką obwodową ZWZ/AK a Cieszynem i Raciborzem. Utrzymywał łączność z harcerzami w powiecie cieszyńskim. Aresztowanie miało miejsce w Pawłowicach, gdy jechał ze swym dowódcą Antonim Sztajerem pseud. „Lew”, „Feliks” na spotkanie z inspektorem ZWZ por. Kuboszkiem pseud. „Bogusław”, „Kuba”, „Rokosz”, „Robak”. Sztajerowi udało się uciec, natomiast Alfred dostał się w ten sposób do KL Auschwitz. W krótkim jednak czasie został wysłany „na przymusowe roboty” w okolice Bremen i tam zginął.

---

[179] S.A. – niemiecki skrót nazwy hitlerowskich Oddziałów Szturmowych Narodowosocjalistycznej Partii Robotniczej (Die Sturmabteilungen der Nationalsozialistischen Deutschen Arbeiterpartei).

W wyniku zorganizowanej zasadzki, 12 lipca (w nocy), na drodze ze Świerklan do Żor został zatrzymany przez żandarmów - Ryszard Tkocz. Następnego dnia tj. 13.07.1944 r., przed domem Tkoczów zjawili się gestapowcy i aresztowali matkę z córkami Jadwigą i Klarą. Jan Tkocz - ojciec, tego samego dnia został aresztowany na kopalni, zaś w szpitalu gestapowcy aresztowali syna Alojzego, który leżał tam po wypadku w pracy.

Ojciec i syn Alojzy po przesłuchaniu w więzieniu w Mysłowicach, zostali przekazani do KL Auschwitz, następnie przewiezieni zostali do Gross-Rosen, dnia 18.09.1944 r. do Mauthausen a 6.02.1945 do Gusen. Tam obydwaj zginęli.

Marię Tkocz i jej córkę Jadwigę, po aresztowaniu i kilkutygodniowym pobycie w więzieniu śledczym w Mysłowicach, wysłano do obozu KL Ravensbrück, gdzie obie zmarły. Ryszarda, – za przynależność do „polskich band zbrojnych", powieszono w publicznej egzekucji w Tychach 22.09.1944 r. Przeżyła obóz tylko Klara, którą po wyzwoleniu Czerwony Krzyż wysłał do Szwecji.

Z rodziny liczącej dziesięć osób, aresztowania uniknęło troje najmłodszych dzieci Tkoczów: Łucja, która służyła od dłuższego czasu u gospodarza pod Żorami, Józef pracujący z cieślami poza terenem Chwałowic oraz Kazimierz. Kazimierz wracając do domu nad ranem (po nocnej zmianie) z fabryki w Gotartowicach, zobaczył kilku mężczyzn koło domu. Wyczuł w tym zasadzkę, więc nie poszedł w kierunku budynku. Ukrył się u znajomych i tam dowiedział się o aresztowaniu rodziców i rodzeństwa. Od tego momentu ukrywał się do końca okupacji.

Dom Tkoczów, gestapo opieczętowało i zamknęło. Trudna jest dzisiaj do sprawdzenia wersja, jak to faktycznie było ze zburzeniem domu Tkoczów. Podobno gestapowcy z zemsty że nie potrafili sobie dać rady z wykryciem tak prężnej działalności konspiracyjnej w domu Tkoczów, budynek ten przekazali hitlerowskiej organizacji młodzieżowej Hitlerjugend (HJ), a po splądrowaniu budynku, członkowie tej organizacji – hajoty[180] budynek podpalili i wysadzili w powietrze. Tak czy inaczej, dnia 8.12.1944 r. budynek został faktycznie wysadzony w powietrze. Według relacji Franciszka Kożdonia, budynek został zniszczony pancerfaustem.

Gdy Rybnik, a z nim Chwałowice zostały wyzwolone spod okupacji, troje rodzeństwa Józef, Łucja i Kazimierz Tkoczowie, którzy przeżyli okupację, spotkali się przy gruzach rodzinnego domu pod lasem. W resztkach spalonej stodoły urządzili się na tyle, by można było przebywać tam przez jakiś czas. Kazimierz otrzymał wkrótce zatrudnienie przy prowadzeniu sklepu, przy którym był pokój z kuchnią, więc tam się przenieśli na pierwszą powojenną zimę. Po siedmiu latach, wspólnym wysiłkiem wybudowali skromny barak na fundamentach dawnego chlewu i stodoły. Urządzili się w nim Łucja z Józefem, zakładając własne rodziny. Kazimierz został kawalerem, ale z nadejściem

[180] Hajot – pospolicie członek Hitlerjugend.

lepszych czasów zbudował sobie w pobliżu ojcowizny własny dom. Klara zamieszkała na stałe w Szwecji, wyszła za mąż, urodziła trzech synów. Odwiedzała Ojczyznę i rodzeństwo od czasu do czasu – do 1996 r.

*

Wprawdzie nie miałem możliwości rozmawiania z przedstawicielem rodziny Tkoczów, lecz szczęśliwym zbiegiem okoliczności zdobyłem do wglądu kronikę rodzinną, napisaną przez wnuczkę Józefa Tkocza – Jarosławę Stolp i jej koleżankę Sylwię Szewczyk. Za zgodą autorek kroniki, zamieszczam ten tekst, uzupełniając nim pewne luki w moim opracowaniu, promując w jakimś sensie zdolności pisarskie młodych osób, tak bardzo zainteresowanych patriotyczną przeszłością chwałowiczan.

*

Jarosława Stolp, Sylwia Szewczyk
RODZINA W WIRACH HISTORII

WSTĘP

Teraźniejszość a przeszłość historyczna

Żyjemy w czasach, w których ludzie zapominają o przeszłości. Nie liczą się już dla nas wartości, które były od samego początku wpajane nam - Polakom przez dziadów i pradziadów. Zapominamy o patriotyzmie, walce o dobro kraju, sile w jedności narodu, o największym poświęceniu jakim jest oddanie życia za Ojczyznę. Żyjemy tylko dniem dzisiejszym. Dziś naszym celem jest zaspokajanie potrzeb materialnych, a największą wartością jest pieniądz. W oparciu o tę wartość rodzi się nowe pokolenie. Jedyną ostoją tradycji historycznych jest dom rodzinny, wspomnienia dziadków, pamiątki i zdjęcia.
Żyjemy w komforcie jaki zapewniają nam rodzice. Nie martwimy się o „dach nad głową", o brak pożywienia. Pod wpływem szybkiego rozwoju cywilizacji stajemy się coraz bardziej leniwi i obojętni na otaczający nas świat. Jednak nie wszyscy ludzie są tacy. Są wśród nas osoby, które potrafią się zjednoczyć, gdy zagraża nam jakieś niebezpieczeństwo lub kataklizm. Właśnie wtedy jesteśmy w stanie zrozumieć, ile cierpienia i poświęcenia wymagała walka o dobro narodu w czasie II wojny światowej.

Nie o wszystkich się pamięta, a żyli wśród nas.

Nie wszyscy jesteśmy świadomi jak wiele zdziałali nasi przodkowie, ile wysiłku włożyli w lepszą przyszłość Polski, a ile przez to stracili. Są ludzie wśród nas, którzy zastanawiają się nad tym i zagłębiają się bardziej w bohaterską działalność starszego pokolenia. Sięgają do rozmaitych książek historycznych, starych gazet, poszukują wiadomości w muzeach i sięgają do relacji świadków - starszych osób, którzy angażowali się w działalność o dobro kraju. Ja, chcąc dokładnie poznać losy mojej rodziny, korzystałam z relacji

dziadka oraz z książek i artykułów, które opierają się na jego wypowiedzi.

Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, że ich życie podczas II wojny światowej było takie trudne. Musieli wyrzekać się wielu rzeczy, większość czasu zajmowała im działalność konspiracyjna, przez co zaniedbywali sprawy osobiste i rezygnowali z wielu przyjemności. Nie tylko oni przyczynili się do wyzwolenia Polski. Większość Polaków brało aktywny udział w walce z najeźdźcą, a niektórzy ludzie ryzykowali własnym życiem lub je stracili: nielegalnie ukrywali w swoich domach ludzi poszukiwanych przez Gestapo, prowadzili działalność propagandową: roznosili ulotki zachęcające do walki o wolność kraju, ratowali życie innych, prowadzili działalność podtrzymującą tradycje narodowe - potajemne nauki języka polskiego, czytanie literatury polskiej.

Zrobili oni tak wiele, a my wraz z upływem czasu coraz bardziej o nich zapominamy. Nie wszyscy ci ludzie są nam znani, nie o wszystkich się pamięta, a żyli wśród nas.

Moje powiązania z rodziną Tkoczów

Praca moja jest poświęcona Klarze Tkocz, którą zawsze nazywałam ciocią, choć jest to dalsze pokrewieństwo (to siostra mojego dziadka - Józefa Tkocza). Od niedawna zaczęłam interesować się jej życiem, gdyż jej śmierć zrodziła we mnie mnóstwo pytań dotyczących jej działalności podczas II wojny światowej oraz wiele moich rozmyślań związanych z jej zamieszkaniem w Szwecji. Byłam również ciekawa jak przyczyniła się do tego, iż w 1990 r. Została odznaczona „Krzyżem za Zasługi z Rozetą – Mieczami". W lipcu tegoż roku ciocię wraz z całą rodziną zaproszono do Wapiennicy koło Bielska - Białej. Miałam wtedy osiem lat i nie wiedziałam dlaczego ciocia została wyróżniona spośród tylu osób tam się znajdujących.

Teraz mogę z dumą powiedzieć, że jestem krewną Klary Tkocz, która aktywnie działała na rzecz kraju. Jej życie nie było łatwe, przeżyła wiele ciężkich dni i tragicznych wydarzeń. Aby przedstawić jej los skorzystałam z relacji mojego dziadka, który choć młodszy od cioci o jedenaście lat, wiele pamięta z życia siostry.

ROZDZIAŁ I - Dom rodzinny Klary Tkocz

Gdy byłam w odwiedzinach u dziadka, wykorzystałam wolny czas i zapytałam o jego rodzinę, która jak dotąd nie była mi dobrze znana. Chcąc napisać o rodzinie Klary, poruszyłam jego bolesne wspomnienia. Gdy zaczął mi opowiadać historię swojej rodziny, zauważyłam, że przeniósł się w daleką przeszłość. Chociaż nie żyłam w tamtych czasach, myślami byłam razem z nim w okresie przedwojennym. Opowieść swą zaczął od: *„Było nas w domu dziesięciu: moja mama Maria, ojciec Jan i rodzeństwo - najstarszy był Alojzy, po nim kolejno: Alfred, Ryszard, Klara, Jadwiga, Kazimierz, Łucja. Ja byłem najmłodszy. Mieszkaliśmy w Chwałowicach - jednej z dzielnic Rybnika. Pieniędzy dużo nie było. Musieliśmy ciężko pracować na chleb. Cała nasza rodzina obrabiała 2 ha*

pola. Co roku sadziliśmy ziemniaki, buraki, sialiśmy pszenicę. Mieszkaliśmy w małym domku z cegły, przy nim był sad i mała stodoła. Ojciec ciężko pracował na kopalni „Donnersmarck" (obecnie KWK „Chwałowice"). Razem z nim pracowali tam również moi starsi bracia. Matka zajmowała się gospodarstwem domowym. Były to czasy, w których każdy z nas musiał pracować, aby pomóc rodzinie. Reszta mojego rodzeństwa pracowała na gospodarstwach u innych ludzi. Pomagali przy żniwach, przy zbiorach warzyw i w hodowli bydła. Nasze życie było niezbyt łatwe. Pracowaliśmy od rana do wieczora. Nikt z nas nie narzekał, gdyż wiedzieliśmy, że pomagamy rodzicom w utrzymaniu rodziny. Moi rodzice byli patriotami. Wychowywali nas w duchu miłości do Polski i walki o dobro kraju. Pamiętam, że co wieczór modliliśmy się z całą rodziną o lepsze czasy dla nas i dla ojczyzny."

Zainspirowała minie ta wypowiedź, gdyż w jego słowach było tyle żalu. Chociaż te czasy były dla nich ciężkie, myślę, że dziadek chciałby jednak jeszcze raz do nich powrócić.

ROZDZIAŁ II - Konspiracyjna działalność rodzeństwa.

Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o działalności rodzeństwa dziadka uświadomiłam sobie, że jest to jeden z tematów, który wymaga dłuższej rozmowy. Dziadek rozpoczął swoje opowiadanie długim milczeniem. Początkowo myślałam, że nie chce już powracać do tych czasów, ale się myliłam. Swoją wypowiedź ujął słowami: *„Jestem dumny ze swojej rodziny. Nasz dom w czasie II wojny światowej nazywany był przez Gestapo „Eine Polnische Festung", co znaczy „Twierdza Polskości". Niemcy określili tym mianem nasz dom, ponieważ cała nasza rodzina prowadziła szeroką działalność propagandową i konspiracyjną. Działalność tą rozpoczęli: Alfred, Ryszard, Klara, Jadwiga, Kazimierz i Łucja, wstępując do Związku Harcerstwa Polskiego. Działaliśmy wspólnie z rodziną Kożdoniów i Pukowców, którzy również pochodzili z Chwałowic. Razem z rodziną tworzyliśmy trzon chwałowickiego harcerstwa. Mój brat Alfred prowadził tzw. „Błękitną Piątkę" czyli V Harcerską Drużynę Żeglarską im. Jana z Kolna i założył w 1932 r. wraz z Ryszardem harcerską drużynę żeglarską w Chwałowicach, co było wielkim osiągnięciem, gdyż była to pierwsza o tej specjalności drużyna na ziemi rybnickiej. Poza tym zajmował się również przygotowywaniem materiałów do bombardowania obiektów przemysłowych, pilnowaniem grup przerzutowych i zaopatrzeniem w dokumenty i żywność więźniów - uciekinierów z Oświęcimia. Alfred i Ryszard byli czynnymi działaczami ruchu oporu AK.*

Nasza rodzina była aktywna w Towarzystwie Czytelni Ludowych. W piwnicy mojego domu i budynku gospodarczego zbudowaliśmy pomieszczenie bunkrowe, które znajdowało się pod piecem do pieczenia chleba. Wykorzystaliśmy je do pracy radiostacji, dzięki której informowaliśmy społeczeństwo o sytuacji na frontach. Była tam również drukarnia i pomieszczenie, w którym ukrywaliśmy ludzi. Tam starsze rodzeństwo drukowało gazetkę „Zryw" i propagandowe ulotki, które miałem za zadanie roznosić.

Produkowaliśmy granaty ręczne, gromadziliśmy broń, zbieraliśmy lekarstwa, przygotowywaliśmy różne preparaty chemiczne. Schowki w domu mieliśmy tak urządzone, że pozwalało na szybkie zniknięcie ukrywających się na wypadek nagłej rewizji. Mimo wielu prób poszukiwań kryjówek przez Gestapo i policji z psami, nie udało im się niczego u nas wykryć.

Dopiero 13 lipca 1944 r. - tej daty nigdy nie zapomnę, w moim domu zjawiło się Gestapo i aresztowało moich rodziców wraz z trojgiem mojego rodzeństwa: Alojzym, Ryszardom i Jadwigą. Alfred był aresztowany już w lutym tegoż roku w Pawłowicach. Ja uniknąłem aresztowania, gdyż 13 lipca byłem w pracy przy kopalni „Donnersmarck". Byłem przez to zmuszony do codziennego meldowania się na policji - mieszkałem wówczas u swojej cioci Macheckiej. Kazimierz wracając tego dnia z nocnej zmiany (pracował w Gotartowicach) zauważył przy swoim domu Gestapo i schował się w lesie chcąc uniknąć aresztowania. Przed niemiecką policją ukrywał się do końca wojny (również w przebraniu kobiety). Łucja także nie została aresztowana, gdyż wówczas była w pracy. Tak więc nasz dom - „Polska Twierdza" nie zapewniała już takiego bezpieczeństwa jak przed aresztowaniami, dlatego też ja z rodzeństwem, które tego uniknęło, nie mogłem przebywać dłużej w domu i prowadzić w nim żadnej działalności konspiracyjnej. Także w opustoszałym domu Gestapo nadaremno poszukiwało schowków, w których trzymaliśmy ważne dokumenty i książki z biblioteki TCL.

Dnia 8 grudnia 1944 r. Niemcy wysadzili nasz dom w powietrze i tym samym pogrzebali wszystkie informacje, które mogły stać się zagrożeniem dla nich i które my mogliśmy wykorzystać do dalszych działań przeciwko okupantowi.

Na ocalałej ścianie domu pozostał opalony obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Obraz ten obciąłem w miejscach nadpalonych, oprawiłem w ramki i powiesiłem u siebie w domu, który wybudowałem na fundamentach budynku gospodarczego na ojcowiźnie." Mój dziadek przechowuje ten obraz do dziś i jest on dla niego symbolem przywiązania do domu rodzinnego i „skarbnicą" wspomnień z tamtego okresu.

ROZDZIAŁ III - Młodość Klary i jej działalność w czasie II wojny światowej

Moja praca nawiązuje do najbardziej zasłużonej moim zdaniem działalności Klary Tkocz - starszej o jedenaście lat siostry dziadka. Wcześniejsze rozdziały wprowadzały do poznania jej otoczenia jej rodziny i sytuacji, w której ona się również znalazła. Poprosiłam dziadka, aby jak najdokładniej przedstawił mi jej życie, ponieważ to jej poświęcona jest ta praca. Dziadek zaczął dalszy ciąg swojego opowiadania od zdania: *Klara urodziła się 24 września 1918 r. na Kozich Górkach. Jej dzieciństwo nie jest mi zbyt dobrze znane przez znaczną różnicę wieku. Podczas, gdy ona dorastała, ja byłem jeszcze dzieckiem. Zawsze była dobrą siostrą - opiekowała się mną i pomagała w nauce. Wiem, że po szkole podstawowej, którą ukończyła w Chwałowicach uczyła się za krawcową u pani Zimnej. Przed wojną, w czasie wakacji szkolnych Klara opiekowała się*

dziećmi na półkolonii. Bardzo kochała dzieci. Działała aktywnie w ZHP - od zwykłej szeregowej, poprzez zastępową, przyboczną, aż po drużynową. Prowadziła młodszą grupę zuchów (od 6 - 8 lat). Wraz z bratem Alfredem zajmowała się wypożyczaniem książek z biblioteki TCL (Towarzystwo Czytelni Ludowych). Pamiętam, jak dwa dni przed wybuchem II wojny światowej, na wózku ręcznym pomagała przewieźć książki z biblioteki do naszego domu, które w czasie wojny wypożyczała osobom zaufanym (książki znajdowały się w bezpiecznym schowku w piwnicy). Podczas wybuchu wojny harcerki stworzyły grupę sanitarną, której zadaniem była opieka nad rannymi żołnierzami i innymi działaczami konspiracyjnymi walczącymi o wolność kraju. Klara zaopiekowała się postrzelonym przez okupantów żołnierzem, którego moi bracia znaleźli na pobliskiej ulicy i ukryli w domu. Jednak opieka ta nie trwała długo, gdyż nasi sąsiedzi donieśli o jego obecności żandarmerii wojskowej.

W czasie wojny Klarka wraz z moim starszym rodzeństwem wstąpiła do Związku Walki Zbrojnej, który w późniejszym okresie został przekształcony w Armię Krajową. Pod pseudonimem „Paula" redagowała podziemną gazetkę „Zryw", którą rodzeństwo drukowało w piwnicy, oraz inne ulotki rozpowszechniane wśród okolicznej ludności.

W latach 1942-1944 Klarę poszukiwało gestapo za jej konspiracyjną działalność na rzecz kraju. Ukrywała się na terenie powiatu rybnickiego i cieszyńskiego m.in. u Filomeny Giza w Marklowicach, u Rękosiewicza w Rybniku przy ul. Kościelnej (obecnie pralnia chemiczna) oraz u państwa Marciszów na Raszowcu. Ich syna Wilhelma poznała już wcześniej. Za dach nad głową i pożywienie pomagała w pracach domowych i prowadzeniu gospodarstwa. Była zakochana w Wilhelmie, który przez swą działalność konspiracyjną był zmuszony ukrywać się przed gestapo. Co dzień Klarka przynosiła mu do stodoły koszyk z jedzeniem, narażając tym samym swoje życie. W 1943 r. potajemnie wzięła z nim ślub w kościele franciszkanów w Rybniku. Jej świadkami byli Ryszard i brat zakonny. Ten ślub nie był wpisany w akta, gdyż w tym czasie Klara ukrywała się przed Gestapo i nie mogła się ujawnić. Po wojnie jednak ślub został unieważniony z powodu śmierci świadków. Klara działała w AK, przewoziła broń na trasie Rybnik - Kraków i utrzymywała łączność między organizacjami podziemnymi Chwałowic i powiatu cieszyńskiego. Dowiedziałem się, że w sierpniu 1944 r. Wilhelma Marcisza i Klarę aresztowali Niemcy. Wilhelm zginął w „marszu śmierci" pod Wodzisławiem, a Klarę przewieziono do obozu Ravensbrück - koło Berlina."

ROZDZIAŁ IV - Lata powojenne - wyjazd do Szwecji

„Wtedy nikt z nas nie wiedział jak potoczyły się jej losy po aresztowaniu. Dopiero po wielu latach poznaliśmy całą prawdę. Gdy po raz pierwszy nas odwiedziła, opowiedziała (Łucji, Kazimierzowi i mnie) o swoim życiu w Ravensbrück i po skończeniu wojny. Dowiedziałem się od niej, że widywała się w obozie z matką i Jadwigą. Było to dla niej bolesne, gdyż nie mogła czuć ciepła ich bliskości. Była zdana tylko na siebie, kiedy wbijano pod jej paznokcie szpilki. Dzięki jej sile charakteru udało jej się przeżyć wiele tortur. W późniejszym

czasie doczekała się wyzwolenia. Po opuszczeniu Ravensbrück Szwedzki Czerwony Krzyż proponował półroczną kurację najbardziej wycieńczonym i lagrowanym. Klara wyjechała na wypoczynek do Szwecji. Po upływie terminu kuracji Polacy mogli wrócić z powrotem do Ojczyzny lub znaleźć pracę i pozostać w Szwecji. Moja siostra nie miała z nami kontaktu. Pisała listy do Polski, na które nie otrzymywała żadnych odpowiedzi, przez co sądziła, że wszyscy zginęliśmy. Pozostała więc w małej miejscowości Fritsla niedaleko Goteborga. W przyspieszonym tempie nauczyła się języka szweckiego (zajęło jej to około trzech tygodni). W czasie kuracji mieszkała wraz z sześćdziesięcioma osobami z Polski w dużej kamienicy. Później znalazła pracę jako ekspedientka w sklepie we Fritslii. W tej miejscowości poznała Henryka Bergqvista, za którego w niedługim czasie wyszła za mąż i zamieszkała u niego w domu. Urodziło im się trzech synów: Rickard, Georg, Roger. Klarka chciała nauczyć dzieci swego ojczystego języka lecz matka jej męża była temu przeciwna i robiła wszystko żeby temu zapobiec.

ROZDZIAŁ V - Odwiedziny Ojczyzny.

Mieszkańcy Chwałowic ufundowali pomnik poświęcony „bohaterom i męczennikom, bojownikom o wolność i niepodległość Polski, poległym i pomordowanym w latach 1939 - 45, na którym po dzień dzisiejszy wyryte są m.in. nazwiska Tkoczów.

W lipcu 1958 r., siostra po raz pierwszy od końca II wojny światowej odwiedziła Polskę. Byłem bardzo zaskoczony jej przyjazdem. Na jej twarzy zauważyłem nie gojące się rany cierpienia z czasów wojennych. Jej smutna twarz rozpogodziła się z chwilą wspomnień z beztroskich lat dzieciństwa. Razem z rodzeństwem nie mogliśmy nacieszyć się jej pobytem, który trwał tylko trzy tygodnie.

Następne odwiedziny Klary były kolejno w latach: 1960, 1974, 1987, 1990. My również ją odwiedzaliśmy. Byłem u niej po raz pierwszy w 1964 r. wraz z Łucją. Podczas jej ostatnich odwiedzin w Polsce wraz z rodziną z Szwecji i Polski, zwiedziła były obóz zagłady w Oświęcimiu. Harcmistrz Walenty Kaczmarczyk (przewodniczący Komisji Historycznej ZHP przy Hufcu w Rybniku) dowiedział się o przyjeździe Klary i natychmiast wykorzystał sytuację, by zaprosić ją wraz z całą jej rodziną na uroczystość do ośrodka obozowego w Wapiennicy (koło Bielska - Białej), gdzie wręczono jej „Krzyż za Zasługi z Rozetą – Mieczami" - odznaczenie przyznawane harcerzom za walkę z okupantem w czasie II wojny światowej."

Tymi słowami dziadek zakończył opowiadanie historii Klary. Był tak zadumany, że trudno było przywołać go do rzeczywistości. W trakcie relacji przedstawił mi mnóstwo zdjęć z tamtego okresu. Niektóre z nich wykorzystałam do tej pracy. Nigdy nie sądziłam, że odtworzę tak bliski mi teraz obraz życia Klary i jej rodziny. Z całą pewnością ich życie nie było łatwe, a jednak próbowali osiągnąć zamierzony cel - próbowali odzyskać niepodległość i szczęście dla naszego kraju, narażając tym samym własne zdrowie oraz życie. Klara zmarła 24 stycznia 1996 r.

Bibliografia: Oprócz relacji Józefa Tkocza, wykorzystano do opracowania:

1. Książka Innocentego Libury - *Z dziejów domowych powiatu*, Wydawnictwo Instytutu Śląskiego w Opolu 1984 r.
2. Książka Longina Musiolika - *Spacerkiem po Rybniku i okolicy,* wydana w 1997 r. Nakładem Komendy Hufca ZHP w Rybniku.
3. Książka Longina Musiolika - *Śląscy patroni Rybnickich ulic,* wydano staraniem Zarządu Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Rybniku 1994 r.
4. Książka Bogdana Cimały - *Wypisy do dziejów Rybnika i Wodzisławia Śląskiego,* Wydawnictwo Instytutu Śląskiego w Opolu 1985 r.
5. Artykuł gazety *Nowiny,* wydanej w Rybniku 18 lipca 1990 r., kolumna - Z historii bohaterskich harcerzy Chwalowic - *Rodzina Tkoczów,* autor - Walenty Kaczmarczyk.
6. Artykuł gazety *Nowiny,* wydanej w Rybniku 25 lipca 1990 r. - *Bohaterka Szarych Szeregów,* autor- (par).
7. Wypis z kroniki KWK „Chwałowice" w Rybniku 1984 r., autor - Alfred Kaczmarczyk, Wacław Wieczorek - *Podziemny Ruch Oporu.*
8. Napis wyryty na pomniku w Chwałowicach przy ul. 1-go Maja.

„Ptaki przelotne, ptaki wędrowne,
czemuż wy tędy latacie?
Czy wśród błękitnych nieba przestworzy
już innej drogi nie macie?
O ... omijajcie z dala druty, nie tędy wasza droga.
To lager – miejsce przeklęte przez ludzi
i zapomniane przez Boga.”

wiersz: *** * ***
autorka: Halina Golczowa

URLA RUPERT,
Więzień nr 112780 KL Auschwitz.

URLA RUPERT,

Urodził się 6.04.1906 r. w Gogolinie. Członek POW Górnego Śląska. Uczestnik trzeciego powstania śląskiego. Po powstaniach czyli od 1922 r. zamieszkał w Rybniku. Pracował na stacji kolejowej PKP w Rybniku.

O Rupercie Urli wspominałem już w rozdziale o moim ojcu. Był serdecznym kolegą ojca, razem pracowali w parowozowni, razem dokształcali się na różnego rodzaju kursach, podnosząc w ten sposób kwalifikacje a poprzez to pięli się po szczeblach awansu zawodowego – byli nierozłączni.

Nasze rodziny mieszkały po sąsiedzku w dzielnicy Rybnika – nazywanej „Maroko" przy uliczce która przed 1939 r. nosiła nazwę Zebrzydowska, w czasie okupacji Finkeweg, natomiast po wojnie zmieniła nazwę na ulicę Wieczorka.Usytuowanie tej właśnie uliczki miało o tyle znaczenie, że naprzeciw budynku Urli, zamieszkiwał Jan Zientek, przez którego tak wiele osób z Rybnika, w szczególny sposób doznało represji od hitlerowców.

Wracając jednak do informacji o Urli, z chwilą rozpoczęcia okupacji niemieckiej w Rybniku i całym zresztą kraju, wspólnie z moim ojcem zdecydowali się podjąć walkę z okupantem. Już bowiem na początku 1940 r., gdy Stanisław Sobik powołał do istnienia Związek Walki Zbrojnej mający charakter organizacji wojskowej, stali się członkami tej organizacji.

Ilekroć rozmawiałem z byłymi działaczami ZWZ z Rybnika, każdorazowo słyszałem o niezwykle prężnej działalności tej organizacji właśnie w środowisku kolejarskim. W rozmowie z Rupertem Urlą w 1995 r., a więc w kilkadziesiąt lat po przeżyciach obozowych, Urla opowiedział mi o formie tej walki z okupantem. Kolejarze przeprowadzali akcje sabotażowe uszkadzając kolejowe łącza sygnalizacyjne, rozjazdy, szyny oraz inne urządzenia trakcyjne, które miały duże znaczenie dla sprawnej pracy kolei zarządzanej przez okupacyjne władze. Przewozili w parowozach, w schowkach pod wagonami, amunicję, broń i materiały wybuchowe. Oczywistą więc sprawa jest to, że gestapo usiłowało wprowadzić swojego człowieka w to właśnie środowisko, gdyż działania tych grup operacyjnych, przynosiły wiele negatywnych skutków upośledzających sprawne działanie kolei.

Jan Zientek – jeden z wielu konfidentów gestapo, był pracownikiem PKP od co najmniej 1936 r., był kierownikiem parowozowni w Rybniku, demonstracyjnie udawał patriotycznego Polaka w najbardziej przekonujący sposób. Nic więc dziwnego, że wiele osób – autentycznych patriotów z Rybnika, wierzyło mu. Ojciec mój i Rupert Urla stali się ofiarami szczególnego zainteresowania Zientka. Spowodowane to było owym bliskim sąsiedztwem.

Przede wszystkim z inicjatywy Zientka, odbywały się wieczorne koleżeńskie spotkania przy grze w karty z ojcem i Urlą. Spotykali się przemiennie u niego w mieszkaniu, u Urli, grywali także w naszym mieszkaniu. Zamiast jednak koncentrować się nad rozdanymi kartami, Zientek sprowadzał rozmowę na tematy polityczne, dyskutowano niemal wyłącznie o ruchu oporu, o konieczności podejmowania działań przeciwko okupantowi.

Rupert Urla był człowiekiem bardzo ostrożnym i wręcz do przesady nieufnym wobec Zientka. Wielokrotnie ostrzegał ojca przed nim, ale ojciec uznawał manifestowany przez Zientka zapał do walki z okupantem, jako bardzo szczery i nie traktował ostrzeżeń Urli z należytą powagą. Niestety nie tylko ojciec popełnił ten błąd. Również kierownictwo ZWZ łudziło się, że Zientek, jako urzędnik tak wysokich struktur niemieckiego kierownictwa kolei, będzie udostępniał organizacji tajne informacje o wojskowych transportach kolejowych.

Urla Rupert (w okularach) 1942 r.

Przeglądając dostępne publikacje o wydarzeniach z okresu okupacji w rybnickiem, niestety nie znalazłem zbyt wielu informacji o Janie Zientku. Bardzo cenne jest więc to, co na jego temat powiedział mi Rupert Urla. Uzasadniał on swą podejrzliwość wobec Zientka tym, że w pierwszym półroczu 1942 r., Zientek nie miał jeszcze możliwości ustalenia, kto jest członkiem organizacji, a kto nie. Podejrzliwa była tym bardziej jego nadgorliwość, gdy pragnął wymusić na Urli „w imię patriotycznego obowiązku" wstąpienie w szeregi ZWZ. Agitację tę przeprowadzał bardzo nachalnie - nie będąc członkiem tej organizacji! Gdy natomiast nie pomagała perswazja prowadzona przez kilkanaście karcianych wieczorów, Zientek straszył Urlę, że przyjdą „pewni ludzie" i unieszkodliwią go, gdyż Urla wie o organizacji zbyt dużo, a wzbrania się zostać jej formalnym członkiem. Gdy zaś Zientek na początku drugiego półrocza 1942 r. został członkiem ZWZ/AK, wykazywał niemal zdwojoną aktywność w działaniu. Nawiązywał kontakty z wielką liczbą szeregowych członków organizacji, czynił również zabiegi, żeby zaskarbić sobie względy kierownictwa ZWZ.

Poddając analizie tamte wydarzenia nie można uniknąć refleksji czy wręcz pretensji do kierownictwa ZWZ/AK, że przy tak daleko posuniętej ostrożności, było tak łatwowierne wobec osoby w sposób przesadny i fałszywie manifestującej zaangażowanie w walkę z okupantem. Jak mogło nie wzbudzać podejrzeń to, że regularnie i niemal bez trudności, dostarczał broń oraz materiały wybuchowe? Podobno dochodziło do sytuacji, że Zientek usiłował wpływać na zmiany niektórych decyzji Stanisława Sobika. Ten cieszył się jednak w organizacji tak wielkim autorytetem, że Zientek nie mógł liczyć na czyjekolwiek poparcie.

W połowie stycznia 1943, Urla uzyskał jednoznaczny dowód potwierdzający podejrzenia wobec Zientka. Urla szedł w jakiejś sprawie do

centrum Rybnika, kiedy na ul. Zebrzydowickiej usłyszał za sobą nawoływanie w języku polskim: *„Rupert, zaczekaj*!”. Poznał głos Zientka, więc udawał, że nie słyszy owego nawoływania. Gdy jednak wołanie stawało się coraz bardziej natarczywe, przystanął i odwrócił się. Zientek podbiegł dość ociężale. Urla skarcił go natychmiast za to, że tak prowokacyjnie wołał go i głośno mówił po polsku, gdyż znane były skutki podobnej manifestacji polskości. Zientek żartował z tych wymówek, ale po chwili ulegle ściszył głos i przyłączył się do Urli, by iść dalej z nim.

Towarzystwo to było dla Urli kłopotliwe, dlatego rozmyślał, jak uwolnić się od natręta. Gdy więc doszli do rynku, pod pretekstem odwiedzenia znajomego wszedł w najbliższą bramę, tuż za apteką Byśka. Po odczekaniu kilku minut wyszedł z tego przypadkowego ukrycia i zauważył, że Zientek wraca ul. Raciborską w kierunku rozwidlenia z Zebrzydowicką. Urla, wiedziony złym przeczuciem, poszedł za nim. Jego podejrzenia okazały się słuszne – Zientek skręcił przy rozwidleniu w prawo, w ulicę Św. Józefa, po czym wszedł do mieszczącego się tam budynku gestapo.

Kolejne ostrzeżenia ojca i innych członków ZWZ były niestety spóźnione. Zdrajca penetrował struktury ZWZ/AK od dłuższego czasu, dzięki czemu gestapo miało już wystarczające - szczegółowe informacje o działalności organizacji, oraz listę jej najaktywniejszych członków.

Urlę aresztowano w domu – w nocy z 12 na 13.02.1943 r. Zientek nie był w stanie dostarczyć gestapowcom poważniejszych dowodów winy przeciw Urli, gdyż jak już wspomniałem – Urla ukrywał przed Zientkiem swoją przynależność do organizacji. Jedynym więc zarzutem wobec było to, że razem z moim ojcem pracował i był uczestnikiem prowadzonych przy grze w karty rozmów o ruchu oporu. Przesłuchania Urli w Politische Abteilung trwały dosyć krótko, ale mimo to na pobyt w obozie przekazany został dopiero w pierwszych dniach marca 1943. Otrzymał numer obozowy 112780. Po okresie kwarantanny dostał się do komanda gospodarczego, w którym zajmował się przewozem produktów spożywczych „z zewnątrz” do obozu. W pracy tej, był woźnicą zaprzęgu konnego - przewoził różne produkty pod nadzorem wartownika. Jak wspominał, miał znośne warunki bytu w obozie i możliwość dożywiania się – „organizowania” jedzenia. Takie możliwości stawały się dla nielicznych, szansą przeżycia w obozie. W innych przypadkach więźniowie skazani byli na łaskę obozowej kuchni i przydzielanych przez funkcyjnych porcji chleba z wyjątkowo skromnymi „dodatkami”.

Urla spotykał się z moim ojcem, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Opowiadał mi: *„…spotykaliśmy się niejednokrotnie z Jankiem i staraliśmy się znaleźć bezpieczne miejsce na rozmowę, gdyż spotkania podpadające funkcyjnym, narażały więźniów na kopniaki i bicie pod byle pretekstem, także pod pretekstem spiskowania!”*. W jego opowiadaniach były także wzruszające wątki: *„…często popłakaliśmy w jakimś kącie nad swoją dolą i przy wspomnieniach o naszych rodzinach”*.

Urli udało się przeżyć w obozie do końca jego istnienia, i wraz z innymi więźniami 18.01.1945 r., zmuszony był brać udział w „marszu śmierci” z KL Auschwitz do Wodzisławia Śląskiego. Z Wodzisławia wywieziony został z pozostałymi więźniami do KL Mauthausen-Gusen. Doczekał się wyzwolenia przez aliantów, wrócił do domu. Powrócił do pracy na PKP w Rybniku. Był członkiem i działaczem ZBoWiD. Odznaczony Śląskim Krzyżem Powstańczym i Krzyżem Kawalerskim OOP.
Zmarł 30.05.1996 r. Spoczywa na rybnickim cmentarzu.

Przede mną lufy – za mną ściany,
Znikąd nadziei!
Bezdenny kres.
Szare postacie. Brzęk. Kajdany>
Gdzieś wyje pies ...

Oczy wpatrzone, deszcz zaczął mżyć –
Błysk ! ...
Ostatnia myśl:
Nie warto żyć!! ...

wiersz: **Rozstrzelanie**
autor: Henryk Nejman

WINKLER ERYK dr med., pseud. „Bengal”.

Więzień KL Auschwitz

WINKLER ERYK dr med. pseud. „Bengal”.

Urodził się dnia 3.12.1912 r. w Rybniku. Pochodził z rodziny bardzo zasłużonej dla śląska (ojciec uczestniczył w trzecim powstaniu śląskim). Ukończył gimnazjum państwowe w Rybniku w 1931 r. Był bardzo aktywnym członkiem Związku Harcerstwa Polskiego, działał w I Drużynie ZHP im. Adama Mickiewicza w Rybniku.

W roku 1937 ukończył studia medyczne, uzyskując dyplom lekarski. Bezpośrednio po studiach, odbył służbę wojskową, a pracę jako lekarz rozpoczął w szpitalu Spółki Brackiej w Rydułtowach. Krótko przed wybuchem wojny pracował w szpitalu Spółki Brackiej w Katowicach.

W 1939 r. został zmobilizowany i przydzielony jako lekarz do kolumny sanitarnej w Przemyślu. Po powrocie z kampanii wrześniowej pracował w szpitalu powiatowym w Rybniku. W marcu 1940 r. był wraz z bratem Emilem i mgr Kuboszkiem, zorganizowali służbę zdrowia przy organizacji konspiracyjnej Służba Zwycięstu Polski (SZP).

Podejrzany o zaangażowanie w pracę konspiracyjną, został aresztowany 2.05.1940 r. na terenie szpitala w Rybniku. Po krótkim pobycie w rybnickim więzieniu, przekazano go do obozu koncentracyjnego w Dachau i następnie Mauthausen-Gusen.

W wyniku usilnych starań rodziny oraz dzięki wstawiennictwu Izby Lekarskiej, został zwolniony z obozu, lecz wrócił do Rybnika w bardzo ciężkim stanie zdrowia, nadto, był zobowiązany do codziennego zgłaszania się na gestapo w Rybniku.

Gestapo bardzo długo nie wyrażało zgody na Jego zatrudnienie w charakterze lekarza i dopiero po interwencji Izby Lekarskiej, skierowano go do pracy w Wirku na Śląsku.

Pod koniec 1940 r. ponownie został aresztowany i osadzony w KL Auschwitz. Z obozu tego, był kilkakrotnie wywożony do więzienia w Katowicach, gdzie musiał asystować jako świadek przy wykonywaniu wyroków śmierci na placu więziennym.

W związku z brakiem lekarzy na tym terenie, katowicka Izba Lekarska zabiegała o zwolnienie go z obozu. Gdy więc starania te zakończyły się sukcesem, wrócił do pracy lekarskiej w Wirku.

Eryk Winkler – wielki patriota, nie zrezygnował z działalności konspiracyjnej, angażował się w niesienie pomocy medycznej rannym partyzantom, w czym bardzo pomagała Mu siostra Wanda. Warto zaznaczyć i to, że dzięki niemu wielu Polaków, nie wcielano do niemieckiego wojska.

Gdy Śląsk został wyzwolony spod okupacji hitlerowskiej, dr Eryk Winkler nadal pracował w charakterze lekarza w Wirku i Gliwicach. Był wielkim patriotą, człowiekiem znanym i cenionym za wyjątkową postawę moralną. Zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach dnia 6.05.1945 r.

Zimno. Z bezgwiezdnej nocy, sine się wyłania
Niebo. Jawią się druty. Przy nich brzozy smętne
I czerń krucza nad nimi. Złowieszcze krakania
Tłoczą pod ściany bloków pasiaki posępne.
Jeszcze nie świt. Do martwej przytuleni ciszy
Milczeniem się żegnamy, nim światło się stanie,
Czekamy. Nikt bezsłowia naszego nie słyszy.
Zbliża się dzień powszedni –
męka i konanie ...

wiersz: **Dzień powszedni**
autor: Kazimierz Wójtowicz

WOLNY STANISŁAW,

Więzień Więzienia w Rybniku, w KL Auschwitz nr 1092.

WOLNY STANISŁAW,

Urodzony 19.05.1914 r. w Gorzycach k.Wodzisławia Śl. pow. rybnicki, syn Józefa i Konstancji, mieszkaniec Rybnika. Uczeń rybnickiego gimnazjum, a od 5 klasy – gimnazjum kupieckiego w Rybniku. Harcerz – podharcmistrz, przed drugą wojną światową członek Komendy Hufca ZHP w Rybniku. Po zajęciu Rybnika przez Niemców 1.09.1939 r., inicjator powołania Polskiej Organizacji Powstańczej (POP). Nawiązał łączność z działającym na terenie Katowic harcmistrzem Józefem Pukowcem – współzałożycielem *„Ku Wolności”* i zorganizował w listopadzie 1939 r. w okręgu rybnickim Polską Organizację Powstańczą i został jej przywódcą.

Początkowo praca POP nastawiona była na prowadzenie propagandy antyniemieckiej, podtrzymywanie ducha polskiego, zamierzano prowadzić akcje dywersyjno – sabotażowe i wojskowe. Wielkim sukcesem było redagowanie własnego pisemka, któremu dano tytuł *„Zryw”*. W pierwszym numerze umieszczono fotografię gen. Władysława Sikorskiego, drukarnia była ulokowana w piwnicznym bunkrze w domu Tkoczów w Chwałowicach. Tam też znajdowała się radiostacja. Zarówno w środowisku harcerskim jak i konspiracyjnym szczególnie zapamiętany był jako niosący pomoc rodakom pokrzywdzonym przez okupanta. Aresztowany 17.04.1940 r. przez gestapo, więziony był wpierw w Rybniku gdzie podczas śledztwa był wieszany głową w dół, wbijano mu szpilki pod paznokcie. Następnie, 22.06.1940 r. przekazany został do KL Auschwitz i zarejestrowany jako więzień nr 1092. Dostał się do Bunawerke, do ciężkich robót ziemnych. W lecie 1942 r. zachorował na tyfus plamisty, i mimo opieki jaką otoczyli go koledzy z Rybnika i lekarz Leon Głogowski (także więzień – rybniczanin), zmarł 23.08.1942 r. Według aktu zgonu nr 24303/1942 zmarł o godz. 13:05, zapisana przyczyna zgonu: „Fleckfiebernr” (tyfus plamisty).

Bibliografia: L. Musiolik *Rybniczanie słownik biograficzny*, Rybnik 2000, s. 195; *Księga Pamiątkowa Państwowego Gimnazjum i Liceim w Rybniku 1922-1947*, 1947 r., s. 56; Ks. K. Szweda *Ponieśli swój krzyż,* Poznań 1989, s. 94; L. Musiolik *Nasza mała ojczyzna – kronika gminy smolna*, Rybnik 1995, s. 62; *Rybnik. Zarys dziejów miasta od czasów najdawniejszych do 1980 roku*, Katowice 1986, s. 239, 240, 241; A. Mrowiec *Z dziejów okupacji hitlerowskiej w rybnickiem*, Katowice 1958, s. 23; I. Libura *Z dziejów domowych powiatu – gawęda o ziemi rybnickiej,* Opole 1984, s. 382; *Ziemia rybnicko-wodzisławska,* red. J. Ligenzy, Katowice 1970, s. 271, 272; I. Pająk *Mieszkańcy Śląska, Podbeskidzia, Zagłębia Dąbrowskiego w KL Auschwitz,* Katowice 1998, s. 28; L. Musiolik *Śląscy patroni rybnickich ulic,* Wyd. 1994 r. s. 50; APMA-B *Księga zgonów,* t. 17, s. 303.

Oświęcim
- królestwo cieni,
królestwo spalonych,
każdy skrawek twej ziemi
jest kamieniodzwonem męczarni.

Tu człowiek
i po śmierci
idąc ścieżkami krwi,
gryzł język,
zaciskał zęby. [...]

wiersz: **Oświęcim**
autor: Nikos Chadzinikolau

ŻYMEŁKA FRANCISZEK pseud. „Sęp”, „Rębacz”, „Orlik”,
Więzień KL Auschwitz nr 7576.

ŻYMEŁKA FRANCISZEK pseud. „Sęp”, „Rębacz”, „Orlik”,

Urodzony 24.09.1914 r. w Biertułtowach k.Radlina pow. rybnicki. Wykształcenie wyższe – magister prawa (Uniwersytet Poznański), stopień wojskowy porucznik. Od początku okupacji hitlerowskiej brał udział w pracy konspiracyjnej. Od grudnia 1939 r. do 18.12.1940 r. (do czasu aresztowania) był dowódcą obwodu Sił Zbrojnych Polski (SZP) w Rybniku, następnie zastępcą dowódcy Inspektoratu SZP. Rybnik. Aresztowany w Rzuchowie i uwięziony w KL Auschwitz – podejrzany o udział w ruchu oporu, zarejestrowany w obozowej ewidencji jako więzień nr 7576. Zwolniony z obozu 30.06.1942 r.

* * *

Tyle danych - jak powyżej, posiadałem gdy przygotowywałem materiały do książki *Martyrologium mieszkańców Ziemi Rybnickiej, Wodzisławia Śląskiego, Żor, Raciborza w latach 1939-1945. - Słownik biograficzny*. Dopiero po wydaniu tej książki, otrzymałem od Krystiana Żymełki zaskakująco bogaty materiał – opracowanie Jego ojca Franciszka Żymełki pt. *Przeżyłem Auschwitz i Wronki (wspomnienia i refleksje żołnierza września i Armii Krajowej)*. Materiał ów, to cenne wspomnienia założyciela – twórcy na ziemi rybnickiej konspiracyjnej organizacji, noszącej następnie nazwę Siła Zbrojna Polski, są to także szczegółowo opisane przeżycia obozowe autora – więźnia KL Auschwitz nr obozowy 7576.

Wykorzystując więc tak cenny materiał nigdzie dotychczas nie publikowany, zaznaczam, że z tekstu wspomnień wybieram w dosłownym brzmieniu obszerne fragmenty, które uznaję jako wzbogacające wiedzę o ruchu konspiracyjnym w Rybnickiem, oraz bardzo wartościowe fragmenty – opisujące wyjątkowo dokładnie przeżycia obozowe autora wspomnień, a dotyczące początkowego okresu funkcjonowania KL Auschwitz, tj. od grudnia 1940 r.

Otóż, Franciszek Żymełka, po ukończeniu szkoły powszechnej w Rzuchowie, uczęszczał do Państwowego Gimnazjum Polskiego w Bielsku, następnie kontynuował studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim które ukończył w 1939 r., uzyskując tytuł magistra prawa. Aplikację adwokacką rozpoczął w Chorzowie, lecz wybuch wojny przerwał dalsze zdobywanie uprawnień adwokackich.

Niepokorny charakter młodego patrioty, należącego do Korporacji Odra, wyzwalał się poprzez zaangażowanie w okresie międzywojennym w działania dla przywrócenia do macierzy ziem „po drugiej stronie Odry”. Ze względu na tę to działalność, często wyjeżdżał wraz z kolegami do organizacji polskich w powiatach raciborskim, kozielskim, strzeleckim i innych miejscowości Rejencji Opolskiej. Wyjazdy te – z referatami oraz odczytami o Polsce, dawały także

możliwość obserwacji o koncentracji wojsk niemieckich w pobliżu granicy polskiej – już latem 1939 r. To zaś potwierdzało zamiary czy raczej konkretne przygotowywania hitlerowskiej agresji na Polskę. Tymczasem, ówczesne władze polskie – minister spraw zagranicznych Józef Beck oraz marszałek Rydz-Śmigły zapewniali naród, że wojny nie będzie! Cóż, nie po raz pierwszy i ostatni uwierzyli w zapewnienia rządu brytyjskiego po oświadczeniu premiera Chamberlaina: „*W przypadku jakiegokolwiek wydarzenia, które by jawnie zagrażało niepodległości Polski, i któremu rząd polski uważałby za konieczne stawić zbrojny opór, rząd Jego Królewskiej Mości będzie się czuł zobowiązany okazać natychmiast rządowi polskiemu wszelką pomoc*".

Skutkiem własnych obserwacji i przemyśleń o zagrożeniu wybuchu wojny, już w sierpniu 1939 r. jako oficer rezerwista – po przeszkoleniu wojskowym na studiach, Franciszek zdecydował się zgłosić do wojska jako ochotnik. Dnia 30.08.1939 r. zgłosił się do koszar 75 pułku piechoty w Chorzowie, skąd został skierowany do Jawiszowic k.Brzeszcz pow. oświęcimski. W tej też miejscowości zastał go wybuch wojny.

Pierwszy zbrojny opór, ta właśnie kompania bojowa stoczyła pod Wyrami. Następnie, w wyniku naporu wroga wycofali się pod Wadowice i dalej dotarli do Krakowa. Z Krakowa dalsze przemieszczanie się do Tarnowa, później w okolice Dębicy, Szczucina, Niska, Janowa Lubelskiego, Szczebrzeszyna, Zwierzyńca, Puszczy Solskiej, i ... kilka innych miejscowości, aż dotarli do miejscowości Tomaszów Lubelski. Tam po stoczeniu z wojskiem niemieckim kolejnych potyczek i uświadomieniu sobie beznadziejności dalszej walki, zapadła decyzja dowódcy batalionu – Franciszka Żymełki (po śmierci dotychczasowego dowódcy), by zniszczyć ciężki sprzęt i po rozproszeniu oddziałów, przebijać się małymi grupkami na Węgry lub do Rumunii.

Około 20.09.1939 r. w ostatnich potyczkach pod Tarnawatką – w okolicach Tomaszowa Lubelskiego, został ranny, a dostawszy się do niewoli niemieckiej, przewieziono go do szpitala w Zamościu. Stamtąd przewieziono go do Chełmna, gdzie w wyniku zajęcia tych terenów przez Rosjan i zawartej umowy z Niemcami, tereny te przejęli Rosjanie. W szpitalu chełmskim przeleżał cały październik, a w ostatni dzień tego miesiąca, wraz z czterema innymi oficerami po skutecznej ucieczce ze szpitala, każdy udał się w swoje rodzinne strony. Franciszek Żymełka dotarł bez specjalnych problemów do Rydułtów. Dodać należy, że w tym właśnie szpitalu, Rosjanie „wyławiali" polskich oficerów i wysyłali ich do swoich obozów w głąb ZSRR – a następstwem tego było zamordowanie ich w Katyniu, Charkowie czy Miednoje.

Radość powrotu do domu nie trwała długo, gdyż niemal następnego dnia został aresztowany i przewieziony do rybnickiego gestapo. Tam jednak natknął się na przedwojennego znajomego ojca więc tego samego dnia został zwolniony.

Już jednak niemal następnego dnia po powrocie do domu, Franciszek Żymełka rozpoczął organizować ruch oporu, a efektem tych działań, to powołanie do życia „zaczątku" Sił Zbrojnych Polski (SZP), zaś zamiarem

twórcy organizacja ta miała działać na terytorium trzech powiatów: rybnickiego, raciborskiego i kozielskiego.

Tak powstała na tych terenach tajna organizacja – prawdopodobnie jedna z pierwszych, a Franciszek Żymełka w listopadzie tegoż roku przybrał pseudonim „Sęp". Organizacja ta ukierunkowana była na dwa zasadnicze zadania: problematykę wywiadowczo wojskową, oraz szeroko pojętą opiekę nad rodzinami poległych: we wrześniu 1939 r., wziętych do niewoli, zmuszonych do opuszczenia kraju ze względów politycznych oraz powstańców śląskich.

Do maja 1940 r. udało się Franciszkowi Żymełce rozbudować organizację wojskową do stanu obejmującego jeden pełny batalion w Wodzisławiu Śl., kompanię w Rybniku oraz kadrową kompanię w Żorach – należącą do batalionu w Rybniku, pluton w Kobyli – należący do batalionu w Raciborzu, oraz dwie drużyny ochrony kopalń w Pszowie i Rydułtowach.

Zdając sobie sprawę, że organizacja wojskowa nie może funkcjonować bez wywiadu, od początku swojej działalności konspiracyjnej zaczął także tworzyć sieć wywiadu. W tym celu już w listopadzie 1939 r. polecił Janowi Margiciokowi z Rydułtów zorganizowanie siatki wywiadu, a Margiciok dobrał do pomocy Leopolda Hałaczka. Siatka ta nosiła nazwę „siatka Augusta".

Tu wtrącę fragmenty z opracowania Franciszka Żymełki o jego poczynaniach organizacyjnych:

Druga siatka wywiadu niestała istniała i działała niezależnie od pierwszej, składała się z informatorów, z którymi utrzymywałem kontakt przez Franciszka Piusa z Lubomi, który był moim adiutantem i jednym z najaktywniejszych współpracowników. Głównymi informatorami w tej siatce byli księża – nieocenione wówczas źródło wszelkich wiadomości.

Zapamiętałem nazwiska księży Karola Pilawy, Augustyna Raska, Franciszka Kubaloka, Kaspera Reginka, Masnego, Pieprzyka, Urbana, Rupika i Króla. Oprócz księży informatorami byli także Franciszek Seeman, Franciszek Pius, Leon Kudla, Augustyn Mrozek, Emanuel Jurecki, Jan Kindla, Antoni Kolorz, Jan Czorny, Szweda, Stanisław Klon, Kiebałko, Zychma, Franciszek Kolonko, Antoni Wilkus i wielu innych, których nazwiska zatarł w mej pamięci czas. Ta grupa działała na terenie powiatu rybnickiego.

W Raciborzu i powiecie raciborskim działali państwo Affa i Solich oraz Burgwald, podoficer Wehrmachtu ze stacjonującej tam jednostki. W powiecie kozielskim pracował Franciszek Bortel, który był głównym informatorem i współorganizatorem przy 3 batalionie. Siatka moich informatorów sięgała poza wymienione powiaty i obejmowała powiaty strzelecki i prudnicki. W powiecie prudnickim na czele siatki stał Paweł Świdergoł, który współpracował z byłą zastępczynią komendanta Harcerstwa Polskiego na Niemcy i Austrię – Jadwigą Kauczor, studentkę germanistyki w Krakowie oraz jej siostrą Gertrudę. Na tym terenie pracował również Józef Michalski, głównie w fabryce papieru w Krapkowicach. Tam mieliśmy też kontakt z jeńcami angielskimi, którym dostarczaliśmy żywność i papierosy w pierwszych, najtrudniejszych miesiącach niewoli, kiedy nie dostawali jeszcze paczek z Czerwonego Krzyża.

W zakładach zbrojeniowych w Krupskim Młynie działali Jan Pańczyk i Aleksander Wolny. Nie byli oni pracownikami tych zakładów, ale zorganizowali tam drużynę ochrony. Wszystkie nitki konspiracji skupiały się w Rzuchowie, miejscu zamieszkania moich rodziców. Ponieważ rodzice byli właścicielami między innymi restauracji i rozlewni piwa, więc miejsce to było idealne z uwagi na stały, duży ruch gości oraz interesantów. Skrzynki kontaktowe mieściły się w Lubomi u Franciszka Piusa – dla 2 batalionu, w Miejscu Odrzańskim u Franciszka Bortla – dla 3 batalionu oraz w Rybniku u Franciszku Piechy – dla 1 batalionu.[...]

*

W maju 1940 r. nastąpiły na Śląsku wzmożone aresztowania. Aresztowano ponad 500 osób, zaś przeważająca ilość tych osób to Polska inteligencja. Jednych wywieziono na roboty przymusowe do Niemiec, innych do obozów koncentracyjnych – KL Dachau, KL Mauthausen, KL Buchenwald.

Franciszek Żymełka także został aresztowany – po raz drugi, i po raz drugi po paru godzinach zwrócono mu wolność, gdyż znowu dostał się przed oblicze tego samego gestapowca - znajomego ojca z przed wojny. Ów gestapowiec podjął decyzję po tak nietypowej „metodzie przesłuchania": *No co? Znowu ciebie zamknęli. Do wojska nie chcesz iść, pracy nie podejmujesz. Musisz coś wybrać, bo inaczej pójdziesz do Kacetu. Ja nie będę tu zawsze, a mój następca nie będzie się z tobą patyczkował. Teraz marsz do domu i pozdrów ojca".*

W tymże maju 1940 r. odwiedził Franciszka Żymełkę kolega z Uniwersytecie w Poznaniu – mgr Władysław Kuboszek – późniejszy pierwszy dowódca Inspektoratu Rybnik organizacji Służba Zwycięstwu Polski a następnie Związku Walki Zbrojnej. Wynikiem tego spotkania było połączenie organizacji utworzonej przez Franciszka Żymełki ze Służbą Zwycięstwa Polski. Od tego czasu Franciszek Żymełka używał pseudonimu „Orlik".

Po przyłączeniu się do SZP pełnił początkowo funkcję szefa wywiadu na teren wspomnianych trzech powiatów, a później dowódcy pułku, zaś w okresie późniejszym tj. w 1943 r. został zastępcą dowódcy Inspektoratu Rybnik.

Organizacja ZSP przekształciła się tymczasem w Związek Walki Zbrojnej (ZWZ), ale były i ciężkie czasy dla ludności Śląska - kolejne masowe aresztowania, głównie inteligencji, powstańców śląskich, przedwojennych działaczy społeczno-politycznych, konspiratorów – tych wszystkich, którzy mieli lub mogli mieć wpływ na działalność ruchu oporu.

W tym miejscu niniejszego opracowania, aż kusi by wstawić oryginalny tekst Franciszka Żymełki, który polecam pod rozwagę niektórym mądralińskim, którzy mają tak wiele wspaniałych rad jak należało się zachować w okresie okupacji hitlerowskiej, a także w pierwszych dniach po okupacji! Może poniższy tekst uzmysłowi im, jakie były nadrzędne wartości ówczesnej mentalności i sposób rozumowania zdecydowanej większości działaczy ruchu oporu na terenie okupowanej Polski:

W czasie okupacji nikt z nas nie myślał, jaka będzie przyszła Polska, jaki system władzy naród wybierze. Nie interesował nas ani kapitalizm, ani komunizm, ani żaden inny system społeczny. Nam chodziło o wolną i niepodległą Polskę. O ustroju i rządzie miało zadecydować społeczeństwo w wolnej już Polsce, przez powszechne, tajne, proporcjonalne, niesfałszowane wybory. W wyborach nie spreparowanych przez żądnych władzy naprawiaczy świata. Najgorsza jest władza, która uważa się za najlepszą nie z racji dbałości o dobro społeczeństwa, ale z powodu idei, którą reprezentuje. Idei często nierealnej lub zgoła utopijnej, wyznawanej przez garstkę fanatyków lub, co gorsza przez zwykłych karierowiczów i sprzedawczyków. Jeśli taki rząd dojdzie do władzy to biada tym, którzy są innego zdania, mają inne przekonania, innej idei służą.

Ludzie i systemy silnej ręki nie mogą trwać zbyt długo, ponieważ nie są oparte na zdrowym podłożu i szerokiej platformie. Jest rzeczą oczywistą i zrozumiałą, że każda władza będzie się starała bronić swej idei, swego ustroju i systemu, będzie broniła i wspierała, będzie faworyzowała swych zwolenników, ale powinna pozwolić na istnienie, na rozwój i działalność innych partii i związków, których celem i zadaniem będzie dobro narodu, państwa i wszystkich jego obywateli. Monopartyjność musi z konieczności prowadzić do dyktatury, która nie znosi prawa i przeciwników. Tak było z Juliuszem Cezarem, Napoleonem, Hitlerem i Stalinem.

Jakże cenne są to wywody dla tych wszystkich, którzy w nienormalnie pojmowanych wersjach osobistego patriotyzmu, pouczają o tym, jak proroczo mieli myśleć i działać okupacyjni członkowie ruchu oporu (każda opcja polityczna ma inną wersję tych poglądów). Natomiast, już zupełnie opadają człowiekowi ręce, gdy dowiaduje się od tych przemądrzalców – jakimi to działaniami i sposobami myślenia powinni się kierować ich dziadkowie, ojcowie czy bracia – działając w konspiracji.

Po tej uwadze, przedstawiam dalszy ciąg stosownych fragmentów wspomnień:

W związku z objęciem stanowiska dowódcy batalionu SZP (pułków jeszcze wtedy nie było) zabrałem się z całą energią do formowania następnych drużyn, plutonów i kompanii. Oddziały te istniały wprawdzie na terenie trzech powiatów jeszcze z czasów mojej pierwszej, samodzielnej organizacji podziemnej, ale miały w większości charakter kadrowy. Należało przeprowadzić szkolenie drużyn, ponieważ większość żołnierzy nie odbyła służby wojskowej w okresie międzywojennym. Tylko sekcyjni, dowódcy drużyn, plutonów i kompanii byli podoficerami lub oficerami. Brakowało zwłaszcza tych ostatnich, większość siedziała w niewoli, część pozamykało gestapo podczas aresztowań.

Wkrótce miałem zorganizowane kompanie SZP w Wodzisławiu, Pszowie ,Raciborzu, Koźlu i Rybniku. Plutony miały swoje siedziby w Żorach, Knurowie, Marklowicach, Jastrzębiu Zdroju, Gorzycach, Lubomi, Kornowacu, Lyskach-Suminie, Żędowicach koło Zawadzkiego oraz Krupskim Młynie.

Poza wymienionymi oddziałami zorganizowałem samodzielne sekcje do zadań specjalnych. Chodziło mi o to, aby z każdej kopalni i w każdym większym zakładzie była zorganizowana grupa ludzi do ochrony mienia przed zniszczeniem przez cofających się hitlerowców. W 1940 roku sekcje takie miałem zorganizowane w kopalni Anna, gdzie dowódcami byli sztygarzy: Jerzy Świerzy i J. Bywalec, w kopalni Rydułtowy, gdzie dowódcami byli Karol Jurecki i Mandera, w kopalni Marcel (Emma) gdzie dowódcą był R. Zyla, w fabryce papieru w Krapkowicach gdzie dowódcą był J. Michalski były funkcjonariusz Straży Granicznej, w Krupskim Młynie gdzie dowódcą był Wolny – mieszkaniec Żędowic koło Zawadzkiego, oraz w tzw. „Czarnej Budzie" (obecna fabryka kotłów w Raciborzu) gdzie dowódcą był F. Cedziwoda z Rzuchowa.

Do maja 1940 roku udało mi się rozbudować organizację wojskową do stanu następującego.

Dowódcy 1 batalionu stacjonującego w Rybniku nie znalazłem, sam pełniłem jego funkcję. Obsada stanowisk dowódczych i miejsca postoju kompanii i plutonów była następująca:

- *1 kompania w Rybniku (Franciszek Piecha)*
  - *1 pluton w Czernicy (Jan Cedziwoda)*
  - *2 pluton w Suminie (Świerczek)*
- *2 kompania w Żorach (Franciszek Zipser)*
- *3 kompania w Knurowie (nieobsadzony)*

Lekarzem 1 batalionu został dr Eryk Winkler „Bengal".

Dowódcą 2 batalionu we Wodzisławiu (późniejszy batalion „Wodzisław" Armii Krajowej) został Antoni Basztoń „Wierzbowy". Obsada personalna i miejsca postoju kompanii i plutonów była następująca:

- *1 kompania w Lubomi (Teodor Łódka)*
  - *1 pluton w Lubomi (Józef Szymiczek)*
  - *2 pluton w Kornowacu (Jan Gorywoda)*
  - *3 pluton w Bukowie (Jan Bierawski)*
- *2 kompania w Pszowie (Wilhelm Bielaczek)*
  - *1 pluton w Pszowie (Józef Bywalec)*
  - *2 pluton w Rydułtowach (Kraszyna)*
  - *3 pluton w Biertułtowach (Franciszek Pluta)*
- *3 kompania we Wodzisławiu (Wawrzyńczyk)*
  - *1 pluton we Wodzisławiu (Jerzy Anderski)*
  - *2 pluton w Marklowicach (Hubert Musiolik)*
  - *3 pluton w Jastrzębiu Zdroju (nieobsadzony)*

Lekarzem 2 batalionu był dr Eugeniusz Peikert „Eskulap".

Dowódcą 3 batalionu w Raciborzu został Serafin Myśliwiec „Krwawik", „Rajski" z Brzezia koło Raciborza, późniejszy dowódca obwodu raciborsko – kozielskiego. Obsada personalna i miejsca postoju kompanii i plutonów była następująca:

- *1 kompania w Raciborzu (niezorganizowana)*

• 2 kompania w Koźlu (niezorganizowana)
• 3 kompania w Markłowicach koło Raciborza (nieobsadzony) w składzie
o 1 pluton w Kobyli (Jan Knura)
Plutony dzieliły się na drużyny, których siedziby znajdowały się w poszczególnych wioskach zgrupowanych wokół miejsca jego postoju. Niestety upływ czasu zatarł w mej pamięci nazwiska ich dowódców.
Drużyny ochrony kopalń miały na celu niedopuszczenie do ich zatopienia w czasie wycofywania się okupanta. Zorganizowałem je:
• w kopalni „Anna" (Walter Świerzy)
• w kopalni „Rydułtowy" (Karol Jurecki)

W owym czasie jeńcy byli bardzo biedni, pozbawieni paczek od swoich czy Czerwonego Krzyża. Dożywialiśmy ich i zaopatrywali w papierosy. Dostarczaliśmy im chleb, kiełbasę, masło i inne produkty, których zresztą sami nie mieliśmy w nadmiarze. Wszystkie te artykuły kupowaliśmy za zorganizowane przeze mnie pieniądze, oraz kupowane na kartki (Lebensmittelkarten) pochodzące ze skoków na biura gminne.

W międzyczasie zmienił się szef rybnickiego gestapo o nazwisku Stolzenheim (znajomy ojca Franciszka Żymełki - z przed wojny), co było dla Polaków i organizatorów podziemia poważnym ciosem – nastąpiło zdecydowanie brutalniejsze traktowanie wszystkich którzy mieli nieszczęście być aresztowanymi i znaleźć się na rybnickim gestapo.

Tak oto Franciszek Żymełka komentuje to wydarzenie:

Przeniesienie szefa rybnickiego gestapo zwiększyło moją ostrożność, ale pozbawiło też środków ochrony i obrony w przypadku ponownego aresztowania tym bardziej, że na krótko przedtem zmieniono również skład żandarmerii w Rzuchowie. Z poprzednią obsadą byłem w dobrych stosunkach ze względu na funkcję tłumacza, którą tam pełniłem .....[...]

Nasłuchałem się od nich (Niemców – moje dopowiedzenie) *wielu znamiennych i równie ciekawych wypowiedzi w okresie swego „dolmeczerowania" na tym posterunku. Mając takie zaplecze można było się czuć względnie bezpiecznie i pozwalać sobie na swobodniejszą nieco działalność. Te czasy się jednak skończyły. Wprawdzie do restauracji ojca przychodziło wielu gestapowców na bezpłatne wyżerki i popijawy, szczególnie w okresie rządów Stolzenheima, ale byli to już inni ludzie o zupełnie innych zapatrywaniach.[...]*

Niestety, mimo stosowanej ostrożności w swoich poczynaniach konspiracyjnych, coraz częściej dowiadywał się Franciszek Żymełka, że jego osoba jest „obiektem szczególniejszego zainteresowania" gestapo, a także nowego komendanta posterunku policji w Rzuchowie. Przyczyniło się to wprawdzie do zwiększenia czujności, lecz ani na moment nie zaprzestał dotychczasowej konspiracyjnej aktywności i działań. Tak czy inaczej,

niepokojące wieści o możliwości aresztowania docierały do momentu spełnienia się owych złych zapowiedzi, czyli aresztowania w nocy z dnia 18 na 19.12.1940 r.

Samochodem ciężarowym wraz z innymi wówczas aresztowanymi osobami – również konspiratorami, zawieziono ich do lokalnego aresztu w Dzimierzy. Około godziny 10:00 wszystkich aresztowanych dowieziono do więzienia w Rybniku, a stamtąd ok. 13:00 przez Żory, Pszczynę w zbiorowym transporcie przetransportowano do KL Auschwitz.

Oto wspomnienia o tych wydarzeniach:

Moje aresztowanie pośrednio związane było z wsypą w dowództwie Okręgu spowodowaną penetracją środowiska przez agentów Gestapo Helenę Matejankę i Pawła Ulczoka. W tym czasie aresztowano przeszło 450 osób, z których większość osadzono w Auschwitz. Odniosłem wtedy wrażenie, że moje aresztowanie jak również moich współpracowników Franciszka Piechy – dowódcy kompanii w Rybniku, dr Eryka Winklera - lekarza batalionu w Rybniku i Augustyna Mrozka – nauczyciela oraz informatora niestałej siatki wywiadu, były przypadkowe i nie miały związku z naszą działalnością konspiracyjną. Okupantowi chodziło raczej o uderzenie w śląską inteligencję i pozbawienie społeczeństwa przywództwa. Poza wymienionymi osobami aresztowania z 18 – 19 grudnia nie dotknęły Inspektoratu Rybnik, ani terenów raciborsko – kozielskich i prudnickich.[...]

[...]Po trzech miesiącach, w marcu 1941 roku byłem w Auschwitz przesłuchiwany przez rybnickie gestapo. Przesłuchanie upewniło mnie, że nic lub niewiele wiedziano o mojej działalności. Usiłowano mi przypasować różne pseudonimy między innymi „Sęp", a ja od czasu połączenia to znaczy od czerwca używałem pseudonimu „Orlik", o którym nie wspominano. Dzięki staraniom rodziny, głównie ojca zostałem zwolniony z Auschwitz w 1942 roku.[...]

Gdy stanęli przed bramą główną do KL Auschwitz – wzrok przybyłych skierował się na wyjątkowy w swej treści napis - zawieszony nad bramą: „Arbeit Macht Frei". Wywoływał chyba w każdym inne znaki zapytania i skojarzenia, zaś Franciszek Żymełka tak ujawnia swoje wspomnienia na ten temat:

W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć sensu tego napisu. Co to znaczy „Praca czyni wolnym". Znałem oczywiście różnego rodzaju powiedzenia na temat pracy. A to „praca nie hańbi" lub „praca nie hańbi, ale męczy" itp. Nie zdołałem zgłębiać przyczyny umieszczenia tego napisu w tym właśnie miejscu gdyż potężny cios bykowca i potworny ból głowy przerwał mój tok myślenia. Widzisz idioto nie po to tu jesteś by myśleć, przemknęło mi przez głowę.

Biegłem dalej rozglądając się, by nie narazić się na następny cios. Dobiegłem szczęśliwie i stanąłem w dwuszeregu. Przed kantyną naprzeciw kuchni, ale od strony bramy stało już około 500 podobnych do nas delikwentów.

W ich tłumie zobaczyłem kolegę ze studiów, ziemianina z Rybnika Franka Piechę i kilku innych znajomych.[...]

Na obserwacje nie było zresztą czasu, ponieważ SS-mani szaleli. Zaczęli sprawdzać obecność według trzymanych w ręku list. Ponieważ przy pierwszych wyczytanych nazwiskach nie padały żadne odpowiedzi, na wyczytanych spadły bezlitosne razy. Jeden upadł na ziemię, prawdopodobnie zabity, ponieważ nie dawał znaku życia, inni powoli wstawali. Okropnie krwawili. Po tym tańcu śmierci, prowadzonym przez czarownice XX wieku, zbitych i skopanych, zlanych potem i własną krwią, słaniających się na nogach i podupadłych na duchu ustawiono nas w dziesięciu szeregach, na placu apelowym przed kuchnią. Nie mogłem ustać na nogach, uginały się pode mną, były jak z waty. Bolały mnie ręce zwisające jak dwa straszliwe ciężary. Serce biło jak młot, usta łapały powietrze, którego ciągle mi brakowało. Oczy zalewane spływającym z czoła potem z trudem obejmowały sylwetki sąsiadów. Rozbiegane, mimo ogromnego zmęczenia, szukały podejrzliwie i ze strachem skąd nowy cios spadnie na nasze obolałe głowy.

W tym szaleńczym pląsie moje oczy spoczęły w końcu na dużej grupie SS-manów, która zbliżała się w naszym kierunku. Spoczęły ze zdziwieniem i strachem. Grupa złożona z oficera i kilkunastu podoficerów zatrzymała się przed naszym frontem. Oficer, po krótkiej rozmowie ze swoim otoczeniem, wystąpił nieco do przodu, stanął w charakterystycznym rozkroku i przemówił w te słowa, które w moim przekonaniu przytaczam dokładnie, bo zapadły mi w pamięci jak gdyby było to wczoraj:

> *„Ihre verfluchte Schweine, auf euch haben wir gerade gewartet. Jesteście nierobami i bandytami, dla których nie ma miejsca w Niemczech. Może niektórzy z was po reedukacji w tym obozie wyjdą na ludzi i będą pracować dla wielkich Niemiec, ale dla większości wyjście jest tylko jedno - przez komin. Nie będziemy się z wami patyczkować. Każdy (tu wskazał dymiący komin małego krematorium stojącego po lewej stronie bramy ze wspomnianym już napisem) dostanie to, na co zasłuży. Tu będziecie pracować aż wam się woda w d.... zagotuje! Wy psy przeklęte! Będziecie zdychać z głodu, bo nie dla was przeklęci bandyci polscy wielkie Niemcy produkują żywność. Żywność jest dla pracujących i walczących obywateli, żołnierzy Rzeszy. Dla was jest tylko praca do samej śmierci, na którą nie będziecie musieli długo czekać. Nikt z was nie będzie tu żył dłużej niż 3 miesiące. Już my się o to postaramy. W waszych zakutych polskich łbach nie powstanie już nigdy myśl o wolnej Polsce, bo zdechłe świnie nie myślą! Tyle na powitanie. Teraz wam pokażemy, co to jest obóz koncentracyjny Auschwitz! I co to są wielkie Niemcy!"*

Potem zwracając się do otaczających go SS-manów powiedział: -„Na, los!" I zaczęło się piekło na ziemi. „Hoffman?" - padło nazwisko odczytane przez SS-mana. – „Hier!" - dała się słyszeć odpowiedź.

Spojrzałem w tym kierunku i rzeczywiście zobaczyłem Jasia Hoffmana z Bielska, syna policjanta i mojego kolegę z Państwowego Gimnazjum Polskiego z Bielska, w którym się uczyłem i zdawałem maturę.

Długo wyczytywano listę nazwisk. Niejeden poznał smak bykowca czy potężnego kija. Niejeden zalał się własną krwią za nie w porę wypowiedzianą odpowiedź. Ciężki strach, jak gradowa chmura, padł na zwiezione tu setki mężczyzn. Pogłębił się jeszcze, gdy po sprawdzeniu obecności SS-mani utworzyli dwuszereg, przez który przepędzili nas bijąc wszystkim czym dysponowali, wśród okropnych wrzasków i przekleństw. Były więc w użyciu kije, bykowce, deski, pręty, pięści. Nie szczędzono kopniaków, pluto w twarz. Ludzie przewracali się od razów lub potknięć o podstawiane esesmańskie nogi. Przewróconych kopano, skakano im po klatkach piersiowych, bito kijami, deptano po krtani i duszono tak długo aż wyzionęli ducha. Byliśmy zlani własną krwią i potem. Piekło na ziemi.

Po tym maratonie wśród bestii w ludzkiej skórze, jeden z SS-manów prowadził jeszcze gimnastykę przez pół godziny. Na ćwiczenia gimnastyczne, które nam zaaplikował składały się powszechnie w obozie stosowane żabki, czyli skoki obunóż z rękami splecionymi na karku, przysiady z rękami dla odmiany wyciągniętymi do przodu, czołganie się z wkopywaniem leżącym śniegu w twarz. To ostatnie jest szczególnie okrutne, ponieważ leżący nie może złapać tchu i po prostu się dusi.

Po gimnastyce zapędzono nas do bloku 19, gdzie kopniakami skierowano do łaźni z natryskami i zatrzaśnięto drzwi. Na placu apelowym pozostało kilka nieruchomych postaci, niewiadomo żywych czy nie. My w łaźni, na betonowej podłodze, staliśmy skonani, wykończeni fizycznie i psychicznie. Nie był to jednak koniec męczarni.

Pomieszczenie nie było małe, a blisko 500 osób zajmuje jednak sporo miejsca, nawet wtedy gdy stoi. Nie można było dobrze stanąć nie mówiąc już o siedzeniu. Zmęczeni osuwaliśmy się na kolana, ale o tym by klęknąć też nie było mowy. Właściwie wisieliśmy opierając się wzajemnie o siebie. Jednocześnie wszystko było w ciągłym ruchu, wszystko falowało, ponieważ jeśli tylko ktokolwiek poruszył się wprawiał w ruch swoich sąsiadów, a ci swoich itd. Tak jak to czyni kamień wrzucony do spokojnej wody. Wyzwala swoim działaniem coraz większe kręgi aż ogarną cały akwen. Falowała więc masa ludzka na podobieństwo wody, masa umęczona, senna i obojętna. Zaczęło brakować powietrza. Jeszcze nie wysechł pot po niedawnej gimnastyce, a już nowy zaczął pokrywać nasze ciała. Rozległy się krzyki: „Powietrza! Otwierać"! Poczęto też walić pięściami w zamknięte drzwi. Nic to jednak nie pomogło. Próba otwarcia okna zakończyła się serią z karabinu maszynowego z wieży strażniczej. Jedna z kuł wpadła do łaźni szczęśliwie nie czyniąc nikomu krzywdy. Korzyść była tylko z wybitej strzałem szyby. Świeże powietrze wdarło się do łaźni.

W takich warunkach doczekaliśmy poranka. Trochę spaliśmy zawieszeni w powietrzu i wsparci o siebie. Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością tak jak nie

mogę stwierdzić, że wcale nie spaliśmy. Że można spać nie zdając sobie z tego sprawy doświadczyłem osobiście we wrześniu 1939 roku podczas kampanii wojennej. Rano wystrzyżono nam głowy na „zero" i nie tylko głowy. Właściwie nie można mówić o strzyżeniu a raczej o wyrywaniu włosów jako że używane do tego celu maszynki nie były ostrzone od czasu ich wyprodukowania. To też głowa i inne strzyżone miejsca wyglądały odpowiednio.

Po strzyżeniu skierowano nas do odpowiednich stanowisk na korytarzu gdzie przy stolikach siedzieli starzy więźniowie i dokonywali rejestracji nowego Zuganga. Wypełniali gotowe formularze zawierające cały szereg pytań, na które Żugang musiał odpowiedzieć i na koniec podpisać. Oczywiście wszystko odbywało się na głodno, bo nowi nie zostali jeszcze zaprowiantowani, więc formalnie nie było ich w obozie.[...]

Podczas ewidencji otrzymywało się numer, który należało naszyć na kurtkę, na lewej piersi oraz na spodniach na wysokości opuszczonej ręki. Nad nim należało naszyć winkiel, czyli trójkąt równoramienny, szpicem do dołu w kierunku środka numeru. Od tej chwili więzień przestawał być człowiekiem, stawał się numerem.

Otrzymałem numer 7576 i byłem tym numerem całe wieki. Tak przynajmniej mi się wydawało. Kolor trójkąta czerwony wskazywał więźnia politycznego. Inni więźniowie nosili kolor winkla odpowiednio: złodzieje - zielony, obiboki - czarny, Świadkowie Jehowy -fioletowy, homoseksualiści - różowy.

Po rejestracji zostaliśmy umundurowani. Po rozebraniu do rosołu, odebrano nam wszystkie rzeczy, wpakowano je do papierowego worka, który następnie wieszano w tzw. Effektenkammer. Numer otrzymywał od Wielkiej Rzeszy koszulę, kalesony płócienne, spodnie, kurtkę, miękką okrągłą czapkę bez daszka, pantofle drewniane lub tzw. Holenderki, czyli drewniaki wydłubane z jednego kawałka najczęściej lipowego drzewa i skarpety. Niektórzy otrzymali buty skórzane.

Sorty te otrzymywał Haftling, ale dopiero po trwającej całą minutę kąpieli pod natryskami. Nawet dobrze się człowiek, przepraszam numer nie zdążył namoczyć, gdy był wypędzany pięściami. W zimie umundurowanie uzupełniał płaszcz i nauszniki - niestety cienkie, nie chroniące przed zimnem.

Numer marzł jak gdyby był zupełnie goły. Po tych wszystkich czynnościach przyszedł czas na zakwaterowanie. Naszym domem stał się blok 14. [...]

W owym czasie, gdy śląska grupa, z masowego aresztowania w dniu 18 grudnia 1940 roku, trafiła do Auschwitz ilość i numeracja bloków była zupełnie inna niż w rok później. W grudniu 1940 i na początku 1941 roku bloków było 20 lub 21. Ich numeracja była inna niż ta, którą oglądają dzisiaj zwiedzający obóz. Naprzeciw kuchni, która mieściła się po prawej stronie bramy wejściowej, był duży płac apelowy mieszczący kilkadziesiąt tysięcy Haftlingów. Bloki usytuowane były po jego prawej i lewej stronie. Blok 14 stał jako pierwszy po lewej stronie patrząc w kierunku kuchni. Tak też ustawiano więźniów z poszczególnych bloków na apelu. Późniejszy czy obecny blok 11, ów straszny blok karny - blok śmierci, miał wtedy numer 13 i stał jako ostatni po lewej stronie od tyłu. Stał samotnie otoczony wysokim murem. Mało kto pamięta te czasy i usytuowanie bloków w początkowym okresie istnienia obozu. Po lewej stronie bramy wjazdowej stała tzw. kantyna gdzie można było, jeśli komendant obozu miał dobry humor, kupić papierosy i sałatkę z buraków. Były to jednak nadzwyczaj rzadkie przypadki. Zawsze jednak można było kupić kopertę, papier listowy i znaczek. Nie znaczy to wcale, że można było napisać list i wysłać go.[...]

[...]Przed kuchnią był duży plac, mniejszy jednak od apelowego, na którym stawała karna kompania - Strafkompanie - z 13 bloku. Blok ten, później i dzisiaj 11-y, był miejscem pobytu ukaranych ciężkimi karami, co w praktyce obozowej było równoznaczne ze śmiercią. Na strychu tego bloku znajdował się tzw. słupek, na którym wieszano więźniów za przewinienia mniejsze. Różnica pomiędzy przewinieniem mniejszym i większym była płynna i subiektywna, zależała od widzimisię SS-manów i kapo. Często zależała od nastroju komendanta, wyrazu twarzy więźnia oraz znajomości języka niemieckiego. To nie żart. Przeżyłem i doświadczyłem tego osobiście.

Naprzeciw bloku 14 stał blok 19, przez którego okna można było oglądać sceny rozstrzeliwania więźniów z karabinów maszynowych i dobijania ich przez „nadludzi" z SS, strzałami z broni krótkiej.

Na prawo od bloku 19 patrząc w kierunku bloku 14 stała tzw. Effektenkammer, zaś jeszcze bardziej na prawo stał blok chyba 21 tzw. Krankenbau, czyli jakbyśmy to dziś powiedzieli izba przyjęć i punkt opatrunkowy. Tu zgłaszali się, po wieczornym apelu, chorzy i tu robiono im opatrunki.

Naprzeciw Effektenkammer stał blok 20, w którym mieścił się wówczas obozowy szpital - Lazarett. Pozostałe bloki 3, 3a, 4, 5, 6, 7 i 8 stały po prawej stronie placu apelowego. (patrząc na kuchnię) a więc po tej samej stronie co kantyna. Później wszystko to zmieniło się. Wybudowano nowe bloki, zmieniono numerację bloków, zlikwidowano stopniowo plac apelowy, a apele odbywały się przed blokami. Każdy blok dla siebie.[...]

Przez 3 pierwsze dni pobytu w obozie nie chodziliśmy do pracy, musieliśmy za to całymi dniami śpiewać polskie piosenki tak ulubione przez

blokowego. Ten przypadkowy chór zorganizował i prowadził, aresztowany razem z nami, harcmistrz Pukowiec z Chwałowic pod Rybnikiem, nauczyciel z zawodu. Był to człowiek prawy, ruchliwy i odważny. Śpiewaliśmy więc pod jego batutą polskie pieśni patriotyczne, ludowe i wojskowe.[...]

Wśród śpiewu urozmaicanego gimnastyką, w rodzaju „Hupfen" czyli skakanie w przysiadzie z rękoma na karku oraz sprzątania bloku i robienia porządku na drogach pomiędzy blokami, upływał czas w początkowym okresie pobytu w obozie. Wyżywienie było beznadziejne. Rano więzień otrzymywał pół litra kawy. Był to napar z wysuszonych wytłoków buraczanych lub, co zdarzało się bardzo rzadko, z palonego zboża. Ten lekko osłodzony wywar stanowił całe śniadanie. Obiad składał się z mniej więcej litra zupy, którą stanowiła głównie woda, mikroskopijne ilości ziemniaków oraz pokrzywa. Z innych zup pamiętam jeszcze kapuśniak i „avo" zwaną również „Ochsenschwanz-Suppe".[...]

W okresie, gdy pracowaliśmy w tzw. Bunawerke w Dworach otrzymywaliśmy dodatkowo zupę zwaną Kornsuppe. Było to rozgotowane żyto. Taki „dobrobyt" nie mógł trwać długo. Toteż w krótkim czasie zupy zostały zlikwidowane.[...]

Kolacja Haftlinga składała się z kawy lub herbaty w ilości podobnej jak na śniadanie oraz 150-200 gramów chleba. Do chleba dodawano 15-20 gramów margaryny i łyżkę marmolady. Czasami także 50-70 gramów pasztetowej, krwawego salcesonu, kiełbasy lub sera czy owczej bryndzy. Chleb lub raczej to co tak nazywano był wypiekany z mąki niewiadomego pochodzenia. Był ciężki, nie wypieczony. Mówiono, że zawiera głównie mąką z kasztanowców. Jaki był jego prawdziwy skład nie mam pojęcia do dzisiaj.

Całe dzienne wyżywienie zawierało nie więcej niż 500-600 kalorii. Żyć nie umierać, otyłość nie groziła. W latach 1940-1941 w Auschwitz pracowało się w godzinach 7-13 i 14-18, a w lecie nawet do 19 czy 20-tej. Pobudka była o 6-tej, ale bunawerkowcy wstawali o 4 lub 5-tej i za to otrzymywali tę miskę zupy żytniej. Darmo Niemcy nie dawali niczego.

Pracowano codziennie. Początkowo także w niedziele, potem tylko w niedzielne przedpołudnia. Niedzielne popołudnia przeznaczone były na oporządzenie własnej osoby, golenie, strzyżenie, polowanie na wszy, szycie, czyszczenie oraz inne zajęcia czysto osobiste. Od połowy 1941 roku zajęcia osobiste odbywały się już w niedzielne przedpołudnia, a niedzielne popołudnia przeznaczone były w zasadzie na odpoczynek.

Ten rozkład dnia nie dotyczył oczywiście nieszczęśników ze Straffkompanie, czyli ówczesnego bloku 13, zwanego później blokiem 11 - blokiem śmierci. Rozpoczynali oni pracę razem z nami, ale musieli pracować do 20 czy 21-tej. Cały czas wśród poszturchiwania, popędzania i bicia. Śmierć zbierała wśród nich najobfitsze żniwo.[...]

Muszę zaznaczyć, że w latach 1940-41 nie było na blokach prycz, z wyjątkiem bloku zamieszkałego przez funkcyjnych. W pozostały były sienniki napchane słomą, a właściwie tym co ze słomy pozostało. Sienniki rozkładało się na noc na podłodze bloku. Szczęśliwym trafem właśnie w wigilię przywieziono

dla naszego bloku słomę, którą napchaliśmy sienniki zastępując nią dotychczas wypełniający je pył słomiany.[...]

Według kolejnych wspomnień, Franciszek Żymełka, zaraz po świętach Bożego Narodzenia wyznaczony został do pracy w Industierhofe-II. Ponieważ były dwa takie Industierhofe-I i II, więc wyjaśniam, że: Industierhofe-I znaczyło zatrudnienie w stajniach i chlewniach przeznaczonych do hodowli koni, krów i świń. Industierhofe-II skazywało na zatrudnienie przy piłowaniu drewna, rąbaniu go, układaniu w stosy, rozładowywanie wagonów z cegłą, wapnem czy cementem.

Dosyć ważny jest opis wyjścia do pracy, powrotu z niej, udawanie się na wieczorny spoczynek, więc i na ten temat przedstawiam kolejne fragmenty wspomnień:

Po śniadaniu blokowy wraz ze sztubowymi i schreiberem zaczyna ustawiać więźniów do apelu, przed blokiem. Po przeliczeniu sprowadza ich na plac apelowy na wyznaczone dla każdego bloku miejsce. Jest jeszcze ciemno, choć gwiazdy zaczynają już blednąć.

Przeliczywszy jeszcze raz swoich ludzi, blokowy rozkazuje przynieść z bloku konających by ułożyć ich na końcu stojącego szeregu więźniów. Do apelu stanąć muszą wszyscy - żywi i martwi. Ordnung muss sein! Leżące na śniegu postacie ludzkie nie przeżyją apelu. Położono ich na placu, aby mogli stanąć do ostatniego apelu przed majestatem prawdy, sprawiedliwości i miłości.

Powoli wyłaniają się stojące w dziesiątkowych szeregach poszczególne bloki. Z mgły ciągnącej od Wisły, która płynie tuż za obozem, wieje chłodem i wilgocią. Mgła spowija powoli, stopniowo cały obóz i jego mieszkańców, osiadając wolno na dachach budynków, na ubraniach więźniów, na ich twarzach i rękach, wreszcie także na ziemi.

Od bramy zbliża się grupa SS-manów z Raportführerem Palitschem na czele. Rozpoczyna się apel poranny. Blockführerzy odbierają raporty od blokowych, aby zapisawszy stan, pobiec do Raportführera i przekazać mu dane. Tym razem policzono dobrze.

Szeregi bloków załamują się, wszyscy biegną do swoich kommand, by tam po ustawieniu się i sprawdzeniu obecności, pomaszerować na miejsce pracy.[...]

Powrót z pracy ...:

Ze wszystkich stron, ze wszystkich dziur i zakamarków, z budynków i zagłębień wysuwają się pasiaste postacie i suną na miejsce zbiórki. To więźniowie Industriehofe-II wracają z pracy do obozu na obiad. Idą skuleni, trzęsący się z zimna, ale z nadzieją w oczach. Nadzieją, że za parę chwil ogrzeją się ciepłą strawą, na ciepłym i wolnym od wiatru bloku.[...]

Kommando wraca na obiad. Na końcu kolumny czterech kolegów niesie ciała tragicznie zmarłych. Z braku odpowiednich noszy czy taczek więźniowie we dwóch niosą zwłoki w ten sposób, że jeden zarzuca sobie na ramiona nogi

ofiary, drugi ręce i tak dźwigają bezładną i sztywniejącą postać. Czasem, gdy nie ma silnego mrozu głowa ofiary kiwa się w takt marszu, a niesiona postać ma wygięty kształt.

Kolumna maszeruje. W bramie obozu wita ją grająca orkiestra. Melodia nie podrywa jednak nóg idących, nie wkrada się do serca. Więźniowie są zmęczeni, zmarznięci i przygnębieni śmiercią kolegów. Idą smutni, mechanicznie zdejmują swe czapki i kierują się ku wyznaczonym, stałym miejscom na placu apelowym. Apel jest krótki. Wszystko się zgadza. Nikogo nie brakuje.[...]

Układanie się do nocnego spoczynku - przysłowiowa cisza nocna:

Pokrzepieni kromką czarnego jak ziemia i ciężkiego jak glina chleba z kawałkiem margaryny, łyżką marmolady i rozgrzani czarną lurą udaliśmy się na spoczynek. W baraku z czerwonej cegły podzielonym na tzw. Stube - izby o wymiarach przeciętnie 10 metrów na 6 metrów przebywa, a raczej śpi, bo tylko noc spędza więzień w izbie, około 800-900 mężczyzn. W baraku były przeważnie 3-4 izby. Baraki były zaś parterowe, jedno i dwustronne, były też piętrowe. Tak było w latach 1940, 1941 i na początku 1942 roku. Potem to się zmieniło.

Ciemność w naszej izbie jest całkowita. Nie rozjaśnia jej żaden promień, ponieważ izba położona jest z dala od lamp oświetlających drogi między blokami i nie jest w zasięgu reflektorów zainstalowanych na wieżach strażniczych. Powietrze jest gęste od wyziewów i oddechów śpiących. Koc jest cieniutki i nie grzeje. Człowiek zawija się weń szczelnie i przysuwa bliziutko do śpiącego sąsiada by było cieplej. Zresztą ciasnota wymusza takie zachowania.

Sen, przyjaciel więźnia szybko ogarnia śmiertelnie znużone i umęczone ciało. Czasem jednak, budząc się w nocy uświadamiam sobie ze zgrozą gdzie jestem. Jednocześnie jak błyskawica przebiega mi przez głowę myśl, że to jeszcze nie pobudka, że można jeszcze pospać w cieple i spokoju. Zapadam ponownie w sen.

Noce w obozie są jednak krótkie, za krótkie. W czasie snu trzeba wypocząć całym systemem nerwowym, całą fizyczną i duchową istotą. Trzeba koniecznie pozbyć się zmęczenia dnia poprzedniego i nabrać sił na nadchodzące zmagania z zimnem, wysiłkiem i nieustającym głodem. Mimo, że to późna noc, w izbie nie panuje cisza. Ciągle słychać kaszel, wybuchy kaszlu. Co ciekawe, nie budzi on ani kaszlących ani ich sąsiadów. Czasem ktoś krzyknie przez sen „mama"! Słowo to jest ucieczką, ratunkiem i nadzieją. Wszyscy śpią mocno, twardo.

Nikt właściwie nie słyszy przeraźliwego gwizdka pobudki. Dopiero kopanie w drzwi i ryk blokowego „Aufstehen" podrywa więźniów. Pobudka w obozie to ciężka i przykra chwila dla każdego więźnia. Każdy przeżywał ciągle na nowo ten sam przykry i bolesny wstrząs nim uświadomił sobie, że nic nie da ociąganie się, że trzeba wstać by nie narazić się na bicie.

Jest jeszcze zupełnie ciemno. Zaczyna się ruch. Więźniowie podnoszą się posłusznie, szukają w ciemności butów ukrytych pod siennikiem, czapek oraz pozostałego odzienia. Wciągam szybko spodnie i ubieram buty, łapię kurtkę,

płaszcz, czapkę i pędzę przed barak, by śniegiem zetrzeć z twarzy i rąk reszki snu, kurz siennika. Wody w bloku nie ma, myjemy się śniegiem. Ale co będzie latem? Na bloku nie wolno także od pobudki do apelu załatwiać swoich potrzeb naturalnych. Dlatego rano w latrynach jest niesamowity ścisk. Słychać przekleństwa i złorzeczenia.[...]

Pracując w Kiesgrube (w kommandzie Industierhofe-II) Franciszek Żymełka doznał odmożenia rąk i nóg. Natychmiastowe środki zaradcze by złagodzić skutki odmrożenia spowodowały, że niestety najgorzej przedstawiała się sprawa uratowania dużego palca prawej stopy, a wręcz skończyła się koniecznością amputacji połowy tegoż palca. Ta zaś okoliczność dała powód do jakże przejmujących wspomnień z pobytu w obozowej izbie chorych - obozowym szpitalu, panujących tam warunków leczenia więźniów i skuteczności tego leczenia.

Oto fragmenty wspomnień na ten temat:

KL Auschwitz to „Vernichtungslager", w którym każdy poważnie chory, szczególnie chory zakaźnie i kaleki podlegał eliminacji - wykończeniu.

Leczenie się we własnym zakresie też jest niekiedy niewystarczające. Wtedy trzeba skorzystać z pomocy lekarskiej w szpitalu. Przed Krankenbau to znaczy przed ambulatorium zawsze skupiała się gromada więźniów. Ciężko chorych i takich tylko do opatrunku. Większość nie ma widoków na dotarcie do lekarza. Krankenbau działa tylko od apelu do capstrzyku.

Ponieważ z moim palcem, według oświadczenia doktora Leksa, było całkiem źle, postanowiłem wykorzystać swoją znajomość z doktorem Erykiem Winklerem, który tam właśnie w ambulatorium pracował. Postanowiłem umówić się z nim nazajutrz, a tymczasem rozglądałem się wśród oczekujących przed ambulatorium. Niektórzy przedstawiali okropny widok. Oto młody chłopak, chudy jak chmielowa tyka, siedzi na ziemi i rozwija założony na lewej nodze bandaż. „Co się stało?" - pytam nieszczęśnika. „Kapo wyrżnął mnie kijem i teraz noga mi gnije" – odpowiedział, „byłem parę dni temu w ambulatorium, oczyszczono ranę, nałożono maść, zabandażowano i kazano zgłosić się po kilku dniach". I co, goi się? - indagowałem dalej. „Nie wiem, sądzę, że tak, bo strasznie swędzi. Słyszałem, że jak swędzi to się goi" - odpowiedział nie przestając zwijać bandaż. Już miałem odejść, gdy do moich uszu dobiegło głośne przekleństwo mego niedawnego interlokutora.„A to cholerny świąd! Co za świńskie robactwo! Niech to diabli porwą!" - krzyczał. Podekscytowany tymi okrzykami podszedłem bliżej i zobaczywszy odsłoniętą nogę omal nie zwymiotowałem. Odsłonięta i uwolniona od bandażu łydka była jedną wielką, obrzękłą raną, czerwoną na skrajach i pełną białej masy w środku. Ta biała masa ruszała się, przewalała i pełzła we wszystkie strony. Były to setki, a może nawet tysiące małych robaczków, które żerując na ludzkiej tkance wywoływały to okropne swędzenie.

Przerażony poczułem, że i mnie okropnie swędzi duży palec. W szalonym pośpiechu zdjąłem but i bandaż. Robaczków nie było. Było mnóstwo śmierdzącej ropy, spod której wyglądała kość. Trochę uspokojony zabandażowałem nogę i zamierzałem już wracać na swój blok, gdy nagle dostrzegłem potwornie zniekształconego starszego mężczyznę. Nogi miał spuchnięte do tego stopnia, że naciągnięta skóra lśniła jak nasmarowana oliwą. Rozdęta twarz nie zawierała nic ludzkiego. Oczu nie było prawie widać. Taka opuchlizna w obozie to pewna śmierć.

Rozglądnąłem się dalej wokoło. Opodal kuli się, oparty o mur, młodziutki chłopaczek o twarzy zielonkawej i rozszerzonych strachem oczach. Z nogawek cieknie wolniutko struga ciemnej, spieczonej krwi pomieszana z zielonkawymi odchodami.

Obok stoi ludzki cień. Jego wielkie czarne oczy świecą nieziemskim blaskiem niczym dwie gorejące pochodnie. Ma wychudłą, trupio bladą twarz. Rysy ostre, skóra prawie przeźroczysta pokrywa już tylko same kości. Zapadła klatka piersiowa z trudem unosi się, kiedy świszcząc chwyta powietrze spieczonymi wargami. To cień śmierci. W Auschwitz otwarta gruźlica nie daje szans na przeżycie. Nigdy i nikomu.

Nie opodal dwóch młodych chłopców smaruje sobie plecy czarną maścią. Pewnie są już po wizycie lekarskiej i teraz wypełniają otrzymane zalecenia. To chorzy na „Krätze" - świerzb. Smarują się szarym mydłem, pomaga niewiele albo pomaga w bardzo odległym terminie. świerzb, całe ciało szczególnie miejsca, do których światło nie dochodzi pokrywa się drobnymi, swędzącymi krostami często zakończonymi pęcherzykami. Drapiąc się chory powoduje rozprzestrzenienie się tego schorzenia. W obozie radykalnym środkiem był „Mitigal", rodzaj gęstej oliwy z jakimiś dodatkami.

Niedaleko dwóch więźniów prowadzi pod ręce towarzysza z bezwładnie zwisającą głową. Senne oczy i krótki oddech świadczą o wysokiej temperaturze. Pewnie przeziębił się, złapał grypę lub, co gorsza zapalenie płuc. Lekarze nie są w stanie przebadać wszystkich, o leczeniu nie ma mowy. Lekarzy jest za mało, brakuje lekarstw, zresztą nie w celu leczenia zbudowano obóz. „Wyjdziecie stąd ot tym tam kominem" – dźwięczą mi w uszach słowa komendanta lagru Fritscha.[...]

[...]„Ja chcę żyć! Dzięki ci Boże za łaskę ponownego życia, bo tak bardzo żyć pragnę!" Często jednak śmierć zbliżała się tylko, nie zabierała jednak chorego, nie wyrywała mu serca z umęczonej piersi – wtedy czekają go dalsze cierpienia. Tak umierał Jasio Hoffman, kolega z bielskiej gimnazjalnej ławy. Umierał na jakąś wewnętrzną chorobę, najprawdopodobniej na zapalenie wyrostka robaczkowego. Przeprowadzono operację, ale w obozie rozlany wyrostek był chorobą nieuleczalną. Zwijał się biedny Jasio w straszliwych boleściach, których nie można było uśmierzyć. Dla nas więźniów nie było środków przeciwbólowych, nie było morfiny. Jego opuchnięte nogi pokryte były ropiejącym owrzodzeniem roztaczającym wokół straszliwy smród. Cierpiał strasznie, w chwilach powracającej świadomości gryzł palce z bólu i prosił:

„Franku, pomóż mi. Postaraj się o trochę trucizny. Dłużej już nie wytrzymam! Wiem ze umieram, ale niech to się stanie już, natychmiast!”

Nie mogłem mu pomóc, nie mogłem podać mu trucizny. Nie miałem jej, a samobójstwo uważałem za czyn niegodny i niezgodny z moim światopoglądem. Konał więc powoli, w niebywałych cierpieniach i początkowo w pełnej świadomości tego co się z nim dzieje. Potem stopniowo tracił świadomość na coraz dłuższe okresy czasu. W okresach świadomości jęczał, przywoływał swą matkę, rozmawiał z nią pieszczotliwie. Czasami przeklinał kogoś, czasami przeklinał swój los, żalił się komuś i zaciśniętą pięścią komuś wygrażał. Wygrażał pewnie swym wrogom i krzywdzicielom. Po kolejnym takim cyklu opuścił rękę, zaczął mamrotać pod nosem, westchnął, otworzył szeroko oczy, popatrzał w dal nad moją głową, westchnął ponownie, zwrócił głowę w prawo i skonał.

Wielu więźniów umierało w podobny sposób w obozie, umierało codziennie. Była to śmierć bezimienna, ofiara daremna, bo krzyk pomordowanych nie znaczył nic, nikt go nie słyszał, bo na tym świecie słyszalny jest tylko głośny krzyk żywych.[...]

*

Pisząc o różnych sytuacjach egzystencji obozowej, a była ona dla więźniów makabryczną rzeczywistością, przytoczę bardzo drastyczny wycinek wspomnień o traktowaniu więźniów przez funkcyjnych - Kapo podczas pracy:

[..]Naszym kapo, tym głównym, bo w tym komandzie kapo było więcej, był niejaki Supl – nazwiska nie znałem. Był to wyskoki, bardzo szczupły złodziej z zielonym winklem o złych, kocich oczach. Nosił zawsze dosyć długi, dębowy kij, którym tłukł więźniów gdzie popadło, ale najczęściej i najchętniej po nerkach. Bił zaś tak długo aż ofiara przestała się poruszać. Wtedy, zapewne dla pewności kładł swój kij na krtani znieruchomiałej ofiary, stawał na obu jego końcach i trwał w tej pozie tak długo aż był pewien, że nieszczęśnik już o własnych siłach nie wstanie. Był zboczeńcem i sadystą jak większość esesmanów i kapo.

Przesiewaliśmy z Cyranem (współwięźniem – moje uzupełnienie) *piasek w piaskowni obserwując jednocześnie grupę więźniów, która naprzeciwko nas, nieco w głębi placu pracowała przy piłowaniu, rąbaniu i układaniu drewna w sterty. Grupa była stosunkowo duża, jako że i drewna było dużo, a sterty wysokie. „Patrz” – zawołał w pewnej chwili Cyran – „ta kreatura upatrzyła sobie nową ofiarę. Znowu zaniesiemy do obozu nieboszczyka na wieczorny apel. Co za bydle!” Spojrzałem we wskazanym kierunku i zobaczyłem Sepla rozmawiającego z nieznanym mi więźniem. Wymachiwał mu przed nosem swoim kijem. Widocznie rozmowa stawała się coraz gwałtowniejsza bo kapowski kij latał coraz szybciej. Po chwili nieszczęsny więzień, pchnięty na wysuniętą do przodu lewą nogę Sepla, zwalił się jak długi na ziemię. „No ten już jest gotów” – jakby do siebie mruknął Cyran – „Dlaczego święta ziemia nosi takie bydle!” – dodał po chwili i nie czekając na odpowiedź zabrał się z furią do pracy.*

Spojrzałem na Sepla i zobaczyłem jak walił swoją ofiarę po nerkach równo, metodycznie, jak brukarz osadzający granitową kostkę w piasku nowobudowanej szosy. W tych spokojnych, systematycznych, jednostajnych ruchach było coś potwornego, coś strasznego, coś co wywracało wszystkie wnętrzności, co powodowało, że żołądek podchodził do samego gardła wywołując mdłości. Zrobiło mi się słabo, oparłem się ciężko na łopacie by nie upaść. Z przejęcia pot spływał mi po plecach mimo panującego chłodu. Może ze strachu, że mnie też może to spotkać? Skupiłem cała siłą woli i całą energię, aby nie patrzeć na to potworne widowisko, na ten przerażający spektakl. Jest mi niedobrze, ale oczy nie mogą się oderwać od tego obrazu mimo, że przeraża i poraża zarazem. Obraz ten muszę przekazać potomnym by wiedzieli czym był Auschwitz, kim byli jego twórcy, do czego byli zdolni przedstawiciele narodu panów budującego nowy ład w Europie. Wszyscy pospołu, zarówno ci w mundurach zielonkawych, czarnych i żółtych jak i ci w pasiakach, granatowych bluzach z naszytymi czarnymi, zielonymi, fioletowymi i różowymi winklami. Mordowali na równi z innymi kapo jeśli tylko ich ojczystym językiem był niemiecki. Widziałem to na własne oczy, na własnej skórze to odczuwałem. Dajmy świadectwo prawdzie, nie fałszujmy historii bo może się wszystko powtórzyć w jeszcze gorszym wydaniu!

Spojrzałem ponownie. Dobiegał końca jeszcze jeden akt obozowej tragedii. Jeszcze jedna, ale pewnie nie ostatnia ofiara walki o sprawiedliwość, równość wobec prawa, władzy, przekonań i poglądów schodzi z tego świata. Czy zapobiegnie następnym, czy kogokolwiek czegokolwiek nauczy? Czy ta ofiara, czy te wszystkie ofiary coś zmienią? Późniejsze lata wykazały, że nie. Trud i poniesione ofiary, cierpienia, wyrzeczenia nikogo i niczego nie nauczyły. Nikt z wielkich tego świata nie starał się nawet wyciągnąć wniosków ze zdarzeń przeszłości. Dzisiejszą ofiarą był ksiądz jednej z lubelskich parafii rzymskokatolickich. Wieczorem odbył jeszcze ostatni apel by nazajutrz zmienić swą doczesną postać w proch, z którego powstał. Czy wspomni ktoś dzisiaj tą ofiarę ludzkiej żądzy władzy, ludzkiej pychy i chorej ambicji? Pomimo Auschwitz, Katynia i Norymbergii ludzkość nie zmądrzała. Dalej miotają nią te same namiętności i żądze, widocznie musi tak być do czasu aż nie zginie w jakimś dziejowym kataklizmie, wywołanym przez następnego naprawiacza świata.

*

Jedną z bardzo ważnych okoliczności obozowej egzystencji była możliwość kontaktu z najbliższymi, a oficjalnie polegał ten kontakt tylko na korespondencji, która jednak podlegała określonym rygorom – cenzurze, ustalonego szablonu w jakim list należało pisać, by mógł dotrzeć do adresata. Przy tej jednak okazji, trafiłem na bardzo cenny fragment wspomnień czyli spotkania z inną, jakże szlachetną postacią z Rybnika – Józefem Pukowcem. Wprawdzie wykorzystałem ten fragment przy opracowaniu o Pukowcu, niemniej powtarzam go w pełnej wersji jak niżej:

Listy można było pisać raz w miesiącu, ale tylko wtedy, gdy wcześniej nie zastało się ukaranym. Kara pozbawiała więźnia tych nielicznych uprawnień przez ściśle określony czas, nie krótszy jednak niż 1 miesiąc. List musiał być napisany w języku niemieckim i zawierać ogólną, obojętną treść dotyczącą samopoczucia i stanu zdrowia. Najczęściej list powinien wyglądać następująco: „Kochani Rodzice! Jestem zdrów i powodzi mi się dobrze. Co słychać u Was? Myślę, że jesteście zdrowi. Co robi Jasiu i Hanka? Pewnie wiedzie im się dobrze. Posyłam serdeczne pozdrowienia, uściski i ucałowania. Do prędkiego zobaczenia. Wasz Józek". Inna treść była nie do pomyślenia i powodowała w najlepszym razie zwrot listu oraz wstrzymanie prawa do korespondencji na okres 1 miesiąca. Można było jednak złapać raport karny, w konsekwencji słupek, a nawet SK to znaczy Strafkompanie - karną kompanię, czyli przydział na blok 13 (późniejszy 11).

Na list można było odpowiedzieć, jeśli z jakichkolwiek powodów prawa tego więźniowi nie odebrano. Dzień pisania listów celebrowano jak święto. Był to przywilej, którego dobrowolnie nie zrzekał się nikt, z którego nikt nie rezygnował, nawet umierający.

Zdrowi i chorzy, żywi i umierający zasiadali do pisania za stołami, na ziemi, przy oknach. Zgarbieni pisali listy do domu. Pisali swoje „Ich bin gesund und hoffe dasselbe von Euch". Piszący nie jest ani zdrów, ani nie czuje się dobrze, ale list musi być optymistyczny, żadnych narzekań, chorób, nieszczęść, bo list nie dojdzie do adresata. Nie może napisać, że jest mu źle, że jest ciągle głodny i bity, że pracuje ponad siły, że ciało pokrywają mu wrzody i blizny, że opuchnięte nogi ledwo go noszą, że często bliska jest godzina wiekuistej wolności. Nie może napisać by przysłano mu paczkę żywnościową, bo takich do obozu przesyłać nie wolno. Nie może napisać, że permanentny głód i strach przed utratą resztki sił do walki o życie odbiera mu resztki nadziei.

Garbi się nad kartką papieru i pisze, że ma dobrą pracę, którą wykonuje z przyjemnością, bo praca jak głosi napis nad bramą obozu „Arbeit mach frei" pozwoli mu wrócić do domu. Pisze człowiek list i marzy, bo nie stoi jeszcze u wrót śmierci.

Tam w rogu sali kuli się na swoim łożu boleści Pukowiec przeżywa dramatyczne chwile swego życia. Pukowiec nie jest wprawdzie chory, ale patriotyczne serca i przyjacielskie ręce tu na rewirze go zadekowały. Już wie, że dni jego życia są policzone. Wie, że w każdej chwili może zostać wywołany na sąd doraźny tysiącletniej Rzeszy, z którego nie wraca się nawet do Auschwitz. Podchodzę do niego i pytam czy potrzebuje pomocy. Patrzy na mnie swoimi wymownymi i smutnymi w tej chwili oczyma i powiada: „Kolego, jesteście z rybnickiego. Ja też. Kiedy wrócicie, a wierzę ba jestem pewien, że wrócicie, proszę, pozdrówcie moich znajomych i ziemię rybnicką od człowieka, który dla tej ziemi i Polski żył".

My pokolenie międzywojenne byliśmy „naładowani" patriotyzmem. Wbijano nam ten patriotyzm codziennie, na każdym kroku i w każdej sytuacji. Za ten wpojony patriotyzm płaciliśmy życiem, nie obce nam były ofiarność,

poświęcenie i walka dla umiłowanej ojczyzny. Ale postawa, determinacja i uwielbienie tego człowieka, zdającego sobie sprawę z powagi sytuacji i nieuniknionego, tragicznego losu wstrząsnęła całą moją istotą. Byłem przygotowany na śmierć, ale jeszcze nie stałem u jej wrót. On natomiast stał już przed jej majestatem. Jego spokój przykrywający dramatyczny stan, w jakim znajduje się zapewne każdy człowiek w chwili spotkania oko w oko ze śmiercią, był dla mnie czymś niepojętym i niezrozumiałym.

Mówicie kolego tak jakbyście jutro mieli być ścięci - powiedziałem. „Bo też tak będzie" – odpowiedział. Myślicie w czarnych barwach o przyszłości – ja na to. „Kolego wiem o sobie więcej niż wy. To samo wiedzą niestety Niemcy. Przez zdrajców idę na śmierć. Moje dni są policzone. Byłem harcerzem, ukochałem swoja ojczyznę Polskę, którą niestety nie wszyscy uważali za skarb największy, za źródło natchnienia i życia. Giniemy na skutek niefrasobliwości, sobkostwa, politycznej bezmyślności naszych przywódców. Im zdawało się pewnie, że Polska jest dalej krajem, z którego można czerpać zyski i korzyści bez jakiejkolwiek szkody dla Ojczyzny. A przecież Polska była Ojczyzną przynajmniej dla naszego pokolenia".

Patrzyłem na niego, na jego pokrytą rozpaczą twarz, na oczy zasnute mgłą żalu, boleści i nie znalazłem słów pocieszenia. Czy są jednak słowa zdolne dać pocieszenie, nadzieję, pokrzepienie człowiekowi, który wie, że jutro już żył nie będzie? Takich słów nie uczono nas w szkole, chociaż uczono jak Ojczyznę kochać i jak poświęcać dla niej wszystko, nawet życie.

Spojrzałem jeszcze raz na smutną twarz Pukowca i pomyślałem, że mimo tego smutku potrafi opanować wewnętrzne wzburzenie i zapanować nad nerwami w takiej chwili. Zastanawiałem się czy ja byłbym zdolny do takiego zachowania w chwili najwyższej próby. Nie potrafiłem na takie pytanie odpowiedzieć. A on rozważał w cichości ducha przeżyte dni i czekający go los, którego się domyślał i przeczuwał, ale któremu nie mógł zapobiec. Zabrany wiosną 1941 roku do katowickiego więzienia został przez Standgericht, czyli sąd doraźny, skazany na śmierć i ścięty toporem w 1942 roku. Nikt nie usłyszał jego słów „Niech żyje Polska", które tak często padały w tym miejscu straceń w owym czasie, a które wypowiedział. Jestem o tym przekonany.

*

Po trzymiesięcznym pobycie w KL Auschwitz, a więc w marcu 1941 r. Franciszek Żymełka został wezwany na przesłuchanie. Po zgłoszeniu się do bloku wskazanego przez Raportführera, i wejściu do wyznaczonego pomieszczenia, przy małym stoliku oczekiwało na niego dwóch znajomych gestapowców z rybnickiego urzędu – Panka i Maikę. Ich widok natychmiast uświadomił powód wezwania: „przesłuchanie w charakterze obwinionego o przynależność do tajnej organizacji i działalność przeciw III Rzeszy"!

Utartym zwyczajem, jeden z gestapowców zadawał pytania a drugi usiadłszy przy maszynie do pisania rejestrował treść zeznań. Po wstępnych pytaniach o dane personalne, następowały pytania coraz agresywniejsze i przy

użyciu takich „środków” pomocniczych jak pałka, pięści, nogi. Franciszek znający dobrze język niemiecki, uciekł się do podstępu, udając nieznającego ten język i poprosił o tłumacza. Kalkulował, że czas uzyskiwany na tłumaczenie, pozwoli na swobodniejsze myślenie, dające potrzebny czas do namysłu nad odpowiedziami na zadane pytania.

Nie mógł niestety spowalniać tempa przesłuchania, gdyż przybierało ono coraz szybsze tempo, padały coraz liczniejsze pytania, a zaprzeczanie wyzwalało w przesłuchujących coraz wymyślejsze przekleństwa pod adresem przesłuchiwanego. Rzecz oczywista że i razy były coraz dotkliwsze.

[...]„Cholerna polsko świnio! Ty psie! Ty bandyto! Zaraz wszystko wyśpiewasz! Mamy takie środki przekonywania, które niemowy zmuszają do mówienia!” – z tymi słowami doskoczył do mnie i zaczął okładać pałką gdzie popadło, ale głównie po głowie. Próbowałem zasłaniać się rękami by osłabić siłę uderzeń, poczułem krew cieknącą z rozbitego nosa, poczułem potężne uderzenie w skroń i straciłem przytomność.

Ocknąłem się pod wpływem bólu. Bolała mnie głowa, nogi i krzyż. Nade mną stał Maika i zaciekle kopał mnie buciorami. Poczułem straszny ból w okolicy żołądka, który rozprzestrzeniał się w górne części ciała aż do mózgu. Ból przywrócił mi pełnię świadomości, przed oczami zawirowały czerwone i czarne płatki. Głowa i bluza były mokre od lepkiej krwi. Zemdlałem ponownie. Ocknąłem się w strugach lodowatej wody.

„Wstawaj natychmiast” – usłyszałem dochodzący z oddali głos, a porażający ból poczułem w lewym pośladku. Był to wynik kopnięcia, które poderwało mnie na równe nogi. Wstałem, ale nogi uginały się pode mną, w głowie huczało, cały drżałem z bólu, strachu i zmęczenia. „Pod ścianę!” – ryknął mój oprawca wskazując przeciwległą ścianę. Podszedłem do ściany i stanąłem twarzą do niej. „Odwróć się!” – zrobiłem to, zobaczyłem Maikę z pistoletem w dłoni. Repetował Waltera.

„Żałosna szmato, zamienię cię w kupę gnoju. Tym pistoletem wpakuje ci w ten głupi łeb kulkę - eine kleine grüne. Nie ruszaj się!” – powoli podniósł broń do oka, wycelował we mnie.

Koniec za mną przeleciało mi przez myśl, zdrętwiałem cały, krew odpłynęła mi z twarzy. Ale trwało to tylko chwilę, dziwny spokój opanował mój umysł i ciało. Wyprostowałem się, odzyskałem równowagę. Bałem się okropnie, ale nie chciałem i nie mogłem tego okazać. Nie chciałem by ta kreatura miała satysfakcję, że jego pistolet robi ze mnie szmatę, że wreszcie Polak trzęsie się ze strachu przed nim, że boi się umrzeć za słuszną sprawę. Nie mogłem do tego dopuścić, wtedy zrozumiałem dlaczego dawni konspiratorzy umierali z honorem, zachowując godność i spokój. Potrafili nawet w tak trudnej chwili wznosić patriotyczne okrzyki.

Nie wiem czy Maika chciał mnie zastrzelić, czy był to tylko środek wywierania nacisku podczas śledztwa i tak już dostatecznie zastraszonych biciem i kopaniem przesłuchiwanych. Prosiłem jednak Boga, że jeśli pisana mi śmierć to niech będzie szybka od kuli, niech to się stanie zaraz, bowiem

najgorsze wydawało mi się to oczekiwanie, a nie sama śmierć. Strzał jednak nie padł.[...]

[...]Pomyślałem, że za dużo chcą się dowiedzieć, więc nic albo prawie nic o mnie nie wiedzą. Wiedzą, że dzwonią w kościele, ale nie wiedzą, w którym i ja im tego nie powiem. Mnie by to nie tylko nie pomogło, wręcz sam skręciłbym dla siebie stryczek, a ludziom którzy mi zaufali zgotowałbym straszny los. Niech mnie Bóg uchroni przed niemiecką wdzięcznością i dobrocią oraz przed stalinowską sprawiedliwością i praworządnością. Wiedziałem, że tylko milczenie i niedowierzanie gestapowskim obietnicom być może uratuje mi życie. Postanowiłem postępować dalej tak jak dotychczas, w najgorszym przypadku wykończą mnie, ale na to byłem przygotowany od chwili rozpoczęcia działalności podziemnej.[...]

[...]Pokazał mi jeszcze kilka fotografii. Byli na nich ludzie podziemia, części nie znałem, większość znałem, ale twierdziłem, że nie znam ich. Z tych, których znałem był tam adiutant inspektora rybnickiego Franek Zipser z Żor, który zginął potem pod Limanowa w GG gdzie walczył w partyzantce, Kornas, o którym już wspominałem, Ksiądz Kania aresztowany później wraz z Kuboszkiem pod Strumieniem oraz Matejanka - Helena Mateja, znana później jako konfidentka gestapo „Krwawa Julka".

Śledztwo przebiegało dalej, nabierało tempa wśród bicia, kopania, wkładania ołówków między palce i ściskania dłoni, wlewania wody do nosa i podobnie normalnych praktyk gestapo. Po ośmiu godzinach tortur, z pół godzinną przerwą na posiłek oprawców. Byłem zupełnie wykończony, bolało mnie wszystko, a całe ciało wyglądało jak jeden wieki siniak. Ledwo trzymałem się na nogach, ale do niczego się nie przyznałem. Protokół, który podpisałem zawierał stwierdzenia, że do żadnej tajnej organizacji nie należałem, mało tego nie wiedziałem, że taka istnieje na terenie powiatu rybnickiego.

„Wracaj na blok" – powiedział po podpisaniu protokołu Maika – „trzymaj język za zębami o wszystkim, co tu się działo. Biada ci, jeśli dowiem się, że pisnąłeś słówko. Pamiętaj, że to dopiero początek naszej znajomości. Wrócisz tu niedługo. Also pass auf!"

Ledwo dowlokłem się na blok, gdzie oblegli mnie współwięźniowie pytając o przebieg śledztwa. Nie mogłem nic powiedzieć obawiałem się bowiem obecności szpicli gestapowskich wśród więźniów. Widzieli podbite oko, sińce na twarzy, podsunęli mi taboret, na który ciężko się osunąłem. Poczułem ulgę, chociaż nie bardzo mogłem siedzieć cała niewymowną d....

Franek Piecha, który przyleciał dowiedzieć się, po co mnie wzywano rankiem, zobaczywszy mnie teraz tak zmaltretowanego domyślił się wszystkiego. Wziął ręcznik skoczył do WC i zmoczywszy go wrócił, po czym przyłożył na mą twarz. Poczułem ogromną ulgę. Jaką ulgę przynosi taki zimny kompres może ocenić tylko ten kto przeżył to co ja w ciągu dzisiejszego dnia.

Byłem tak zbity, tak osłabiony, że nie mogłem myśleć, nie byłem w stanie nawet pojąć strasznej w swej istocie groźby Maiki – to dopiero początek, my tu jeszcze wrócimy, niedługo. Jaki zatem będzie mój koniec? Jak mi się strasznie

chce spać, kiedy będę mógł się położyć? Głowa mi ciążyła, powieki same opadały. Wpadłem w jakieś odrętwienie, półsen. Nie byłem w stanie ani się podnieść, ani otworzyć oczu, ani uczynić jakikolwiek ruch. Nic mi się nie chciało, opanowała mnie apatia, zniechęcenie i zobojętnienie na wszystko.[...]

*

[...]„Cholera oby tylko apel się dzisiaj zgodził" – powiedział Staszek, nauczyciel pochodzący gdzieś spod Tarnowa – przy tej pogodzie zesztywnielibyśmy podczas długiego stania bez ruchu. „Nie kracz, bo wykraczasz jakieś nieszczęście" – zawołał Jaworski młodszy ładując swemu starszemu bratu szczapy drewna – mało nam jeszcze nieszczęścia – dorzucił po chwili.[...]

Takie to niestety obawy dręczyły więźniów, poza innymi zagrożeniami życia, gdyż i apele wieczorne stawały się kolejną przyczyną udręki dla więźniów. Czytający niniejsze opracowanie, miał okazję już wcześniej zapoznać się z ową niemiecką skrupulatnością – owego „ordnung muss sein". Na apel do obozu więźniowie z kommand roboczych musieli przynosić zwłoki także zakatowanych przy pracy współtowarzyszy niedoli. Rachunek stanu liczbowego kommanda jakie wychodziło do pracy, musiał być zgodny z tym, jaki wracał – sztuka – do sztuki! Każda niezgodność była skrupulatnie sprawdzana, a problem zaczynał się wówczas, gdy się w tym rachunku coś nie zgadzało. Dotyczyło to także ucieczki z obozu!

Tak więc i ten temat porusza Franciszek Żymełka w swoich wspomnieniach:

Jeszcze nie dotarliśmy do Industriehofe-I, gdy zawyła syrena. Jej wibrujący, przeciągły głos mroził i przeszył nas na wskroś gorzej niż wiejący, porywisty wiatr. „Ktoś uciekł" – szeptem podana wiadomość obiegła maszerujące szeregi. – „Straszny będzie zbliżający się apel, tyle czasu bez ruchu w takiej wichurze".[...]

Ze wszystkich stron ściągają do bramy komanda. Kapo krzykiem i biciem zachęcają idących do szybszego marszu. Na bramie wracających nie wita orkiestra, a SS-mani liczą skrupulatniej niż zwykle uformowanych w piątki więźniów.

Komanda w pośpiechu, ze strachem w oczach suną na swe zwykłe apelowe miejsca, ale zbliżający się apel nie będzie zwykłym. Nie będzie kolacji. Głód, wyczerpanie, porywisty i przenikliwy wiatr dadzą się nam we znaki.

Blokowi i schreiberzy liczą w gorączkowym pośpiechu ustawionych dziesiątkami mieszkańców swoich bloków i podają wyniki Blockführerom, oni dla kontroli liczą ponownie. Na końcu stojących bloków siedzą chorzy, którzy nie mogą stać o własnych siłach, dalej leżą zwłoki zmarłych i zabitych, przyniesione przez kolegów. Wszyscy, żywi i umarli muszą stanąć do apelu.

Dopiero teraz można ocenić ilu więźniów jest w obozie. Są to dziesiątki tysięcy ustawionych w czworoboki ułatwiające liczenie więźniów. Na wprost nich, przed kuchnią ustawiła się w podobnym szyku karna kompania. Na jej

końcu też leży kilka trupów. Koło karnej kompanii kręci się grupa SS-manów z Raportführerem Palitschem na czele. Widocznie uciekinier był członkiem karnej kompanii. Wydaje się to nieprawdopodobne, ponieważ kompania pracuje w macierzystym obozie przy kopaniu fundamentów pod nowy blok. Raportführer Palitsch kieruje się ku dzwonowi, a za nim cała jego świta.

„Wszyscy Blockführerzy, Blokowi, Kapo pod dzwon" – rozkazuje Raportführer. Wszyscy wymienieni biegiem ruszają pod dzwon. Więźniowie pierwszego szeregu pytają schreibera co się właściwie stało, dlaczego stoimy. Schreiber jeszcze nic nie wie, dowie się, gdy wróci blokowy, ale chyba rzeczywiście uciekł ktoś z karnej kompanii.

Czas płynie, jest coraz zimniej, ponieważ nie ma blokowego więźniowie usiłują się rozgrzać. Zbliżają się do siebie tak by przestrzeń między nimi była jak najmniejsza, zacierają dłonie, poklepują się, nawzajem rozcierają sobie plecy próbując się rozgrzać. Przestępują z nogi na nogę, poruszają palcami w butach, na przemian unoszą się na palcach i opuszczają na pięty, starając się za wszelką cenę uchronić przed przemarznięciem prowadzącym niechybnie do odmrożeń. Wysiłki te na niewiele się zdają. Nawet SS-manom na wieżach obserwacyjnych jest zimno, bo słychać jak przytupują i zabijają rękami o boki.

Panuje przejmująca cisza, tylko od strony karnej kompani dobiega wrzask jej blokowego Krankenmanna, jednego z największych sadystów i zbirów wśród blokowych. Właśnie znęca się nad więźniem, który wali się jak kłoda na ziemię uderzony silnym ciosem w szczękę. Gdy próbuje wstać potężny kopniak blokowego zwala go ponownie z nóg. Blokowy kopie go po głowie, nerkach, klatce piersiowej po prostu gdzie popadnie. Leżący więzień stara zasłonić się rękami. Niestety nie jest w stanie przeciwstawić się furii i sile sadystycznego blokowego. Nieszczęśnik broni się coraz słabiej wreszcie nieruchomieje. Krankenmann kopniakiem przewraca go na plecy, wskakuje mu na klatkę piersiową. Więzień mobilizuje wszystkie siły, stara się złapać buty blokowego. Daremnie, traci siły, ramiona jeszcze jakiś czas drgają, rozwarte dłonie drą ziemię, nogi żłobią w niej podłużne rowki. Ruchy te są coraz wolniejsze wreszcie więzień nieruchomieje, głowa opada w bok, z kącików ust wypływa cos ciemnego. Z dala trudno zobaczyć, ale to pewnie krew.

Krankenmann nie spojrzał nawet na ofiarę, on wiedział, że nie żyje. Miał spore doświadczenie i praktykę w tych sprawach. Nie spojrzał ponieważ na końcu tej geometrycznej bryły powstałej z ludzkiego budulca, jakaś jej składowa część poruszyła się. Poruszyła się pewnie z zimna, a może z osłabienia spowodowanego głodem. Ale bystre, wszechwidzące oko drapieżnej bestii w ludzkim ciele już to zauważyło. Blokowy skoczył w kierunku ruszającej się istoty jak ryś, roztrącił stojących nieruchomo w pierwszym szeregu więźniów, złapał winowajcę za płaszcz, wywlókł przed szeregi znieruchomiałych z przerażenia i trwogi więźniów. Jego złowrogie oczy, oczy jadowitego okularnika hipnotyzowały nieszczęsną ofiarę. Krankenmann, stojąc w szerokim rozkroku, z rękami na biodrach, przypatrywał się swej nowej ofierze, zastanawiając się, w jaki sposób najlepiej pozbawić ją życia. Jego mózg nie mógł jednak wymyślić nic

nowego. Silne uderzenie w szczękę, skopanie ofiary, przewrócenie na wznak i złamanie żeber przez skakanie po leżącym bezwładnie ciele. Każdy seryjny morderca wypracowuje swoją specyficzną metodę zabijania, która go identyfikuje, pozwala go rozpoznać, a czasami i zlikwidować. Tyle tylko, że Auschwitz nie likwidował morderców on ich tworzył.

Znów jednym uderzeniem Krankenmann zwalił z nóg swą ofiarę. Tym razem nie skoczył na jej pierś, ale kazał wstać i ponownie silnym uderzeniem - uderzeniem z rozmachu zwalił ją z nóg. Więzień padł niczym kłos pszenicy. Krankenmann jeszcze raz rozkazuje wstać więźniowi. Nieszczęśnik próbuje się podnieść, ale jego siły się wyczerpały. Opiera się na rękach, zgina kolana, próbuje podciągnąć je ku rękom, by podparłszy się na nich spróbować wstać. Może to śnieg był śliski, może sił już nie stało dość, że uniósłszy się na rękach, oparłszy na jednym kolanie stracił równowagę i runął twarzą w śnieg. Zamajaczył ciemną plamą na jaskrawo białym śniegu, ale jego słabość i bezradność nie wzbudziły litości oprawcy. Przeciwnie pobudziły zaciekłość i agresję. Niemoc ofiary podziałała na Krankenmanna jak czerwona płachta na rannego podczas korridy byka. Rzucił się na swą ofiarę, postawił ją na nogi i ponownym uderzeniem zwalił po raz trzeci. Rozciągnięty na śniegu więzień nie daje znaku życia. Krankenmann kopie dla pewności więźnia kilka razy to w głowę, to w nerki poczym rozkazuje znieruchomiały ludzki łach zanieść na koniec stojących szeregów swego bloku. Rozgrzany podwójnym morderstwem biegał wzdłuż szeregów szukając nowej ofiary. Dotychczasowy bilans nie zadawalał go. Nowej ofiary nie musiał daleko szukać, każdy ze stojących mógł nią być.

Tysiące współtowarzyszy niedoli stojących w zastygłych w przerażeniu szeregach patrzyło na śmierć swoich kolegów. Nikt z nich nie mógł ofiarom Krankenmanna pomóc. Tylko westchnienia, ukryta wściekłość i ciche przekleństwa towarzyszyły jego sadystycznym wyczynom i rechotowi SS-manów, którzy śmiechem i okrzykami zachęcali go do dalszych działań.

Blockführerzy i kapo rozbiegli się po obozie szukając uciekiniera, był nim jeden z więźniów SK. Nie mógł uciec poza obóz, ponieważ pracował przy kopaniu fundamentów pod nowy blok. Podejrzewano, że ukrył się na terenie obozu albo mając wszystkiego dość powiesił się w jakimś zakamarku. Zmarznięte, wychudłe ciała więźniów dygotały z zimna. Nogi zesztywniały od wichru i potęgującego się mrozu.

Wczesny mrok otulił obóz i stojących więźniów. Na słupach i budynkach rozbłysły żarówki, na wieżach wartowniczych reflektory rozświetlając zapadający zmrok. Karabiny maszynowe na wieżach wycelowano w uformowanych w czworoboki więźniów. Czas płynie, trwają poszukiwania uciekiniera. Słychać wrzaski blokowych i jęki więźniów towarzyszące zadawanym im razom.

Zapadła noc, zastygłe szeregi stoją nieruchomo na baczność. Nie wszyscy więźniowie są wstanie wytrzymać potężniejący z godziny na godzinę mróz i wzmagającą się zawieję. To tu to tam pada ktoś nagle na ziemię jak

podcięte drzewo by nie podnieść się więcej. Koledzy odnoszą leżących na koniec bloku i kładą na ziemi, liczba więźniów musi się zgadzać. Pozostali widać odporniejsi i mocniejsi trzymają się jeszcze. Ale mróz i wciskający się wszędzie wicher ze śnieżycą potęgują potrzeby fizjologiczne. Coraz częściej widać ciemne plamy u stóp stojących, wyczuwa się zalatujący od czasu do czasu fetor. Noc była zimna jak to często w marcu bywa. Więźniowie drżą, dygocą i tylko jedna natrętna myśl zaprząta wszystkie umysły: „Kiedy to się skończy, kiedy go wreszcie znajdą, niech już dziesiątkują za ucieczkę tamtego, niech zamkną do bunkra, ale niech ta męka wreszcie się skończy, byle szybko, już, zaraz! Wszystko jedno jak, ale niech to się skończy"

Obóz to jednak nie sanatorium, to miejsce zagłady podludzi. SS-mani są syci i dobrze, ciepło ubrani. Im nie grozi śmierć z głodu czy zimna. Mogą stać godzinami na mrozie i wichurze znęcając się nad więźniami głodnymi, źle ubranymi, osłabionymi, wycieńczonymi.

Poszukiwania nie dają rezultatu. Za naszym 3 blokiem leży już pięć ciał zmarłych więźniów. Tych, którzy nie wytrzymali. Leżą już spokojni, z zastygłymi od mrozu twarzami, obojętni na naszą mękę, cierpienia i łzy rozpaczy. Oni są już wolni, wolni od trosk i cierpień. Jutro przez komin opuszczą Auschwitz, tak jak zapowiadał Fritsch.

Zdenerwowanie zaczyna powoli udzielać się SS-manom, którzy są wściekli, że zostali pozbawieni zasłużonego wypoczynku i snu. Zaczynają odgryzać się na zmarzniętych na kość więźniach. To ten to ów podskoczy do swego bloku i kijem lub pięściami zaczyna okładać bitych już przez funkcyjnych więźniów. Razy wściekłych SS-manów spadają na głowy, ramiona i plecy stojących więźniów.

Wśród słabszych psychicznie zaczyna wytwarzać się psychoza nieżyczliwości i złośliwości do uciekiniera i wszystkich potencjalnych, przyszłych uciekinierów. Ludzie ci mają dość cierpienia, po co mają jeszcze cierpieć za cudze winy tym bardziej, że ucieczka się nie powiedzie, nic nie da uciekinierowi. Gdyby się chociaż powiodła, gdyby zorganizowana została mądrze to można by trochę wycierpieć. Ale w przypadku nieudanej ucieczki czy warta jest śmierci tylu ilu dzisiaj zginie podczas tego strasznego apelu?

Minęła północ, a poszukiwania trwały dalej i nie przynosiły rezultatów. SS-mani szaleli, szaleli kapo oraz ich pomocnicy. Ciemne plamy pomordowanych i zamarzniętych na końcach ustawionych w czworoboki więźniów powiększały się z godziny na godzinę. Coraz więcej schorowanych, wynędzniałych i wyczerpanych chłodem i głodem więźniów osuwało się z cichym jękiem, a często bez tego bolesnego westchnienia na zamarzniętą ziemię. Tylko głuchy stuk padającego ciała oznajmia pozostałym, jeszcze żyjącym i cierpiącym, że tamci są już wolni.

Zluzowano SS-manów. Ubrani w ciepłą bieliznę, długie kożuchy i czapki z nausznikami, nie odczuwali mrozu, ale wyrwani ze snu i ciepłych łóżek przejęli od poprzedników sposób postępowania, okrucieństwo i sadyzm. Bicie, które uprzednio nieco osłabło na skutek zmęczenia poprzedniej SS-mańskiej obsady

teraz wzmogło się. Do wszystkich poprzednich okropności doszła jeszcze jedna plaga obozowa – psy. Specjalnie tresowane psy, które nowa zmiana SS-manów przyprowadziła z sobą, wśród piekielnego ujadania rzucały się na więźniów, jeśli tylko ci ostatni znaleźli się w zasięgu kłów. Teraz więźniów kąsał nie tylko mróz, ale też wściekli SS-mani i szalejące psy. Cierpieniom nie było końca. Nie to było najgorsze, że na końcu tej drogi był grób, ale że wpychali nas tam tacy jak my młodzi ludzie.

Ile wytrzymać może człowiek, gdzie mieszczą się w nim te siły, które utrzymują go przy życiu wbrew nieprawdopodobnym sytuacjom, mimo krańcowego wyczerpania, głodu i zimna? Przyczyną jest pewnie odporność organizmu, wiara w przetrwanie, ufność we własne siły. Te trzy czynniki pchają człowieka do czynu, do czynienia wszystkiego, co dyktuje instynkt przetrwania. Żyć znaczy chronić, działać i ufać... [...]

Robi się szaro, wstaje nowy dzień, a poszukiwania trwają dalej. Może on rzeczywiście wydostał się z obozu i ucieczka się powiodła? Ukrycie się na terenie obozu wydaje się nieprawdopodobne. Może jest już wśród dobrych ludzi, którzy pomogą mu dostać się na teren GG. Granica jest niedaleko. Komendant nie zarządził poszukiwań poza obozem, bo uciekinier był z SK, a ta nie opuszczała obozu. Uciekinier miał całą noc na oddalenie się od obozu i zatarcie śladów. Ale czy wystarczyło mu sił? Przecież SK otrzymuje zmniejszone do połowy racje żywnościowe.

Przy kuchni dzwonią kotły z kawą. Kucharze wystawiają je przed kuchenne baraki i przygotowują obiad, bo czuje się w powietrzu zapach gotowanej brukwi. Wstrętna jest brukwiana zupa. Dla skostniałych, zgłodniałych dziś wyjątkowo więźniów, zupa nabiera jednak wyjątkowego znaczenia. Wszystkie głowy zwracają się stronę kuchni, daje się słyszeć leciutki szmer ożywienia w znieruchomiałych szeregach. Wszyscy zaczynają odmierzać czas do chwili, gdy będą się mogli posilić i rozgrzać. Ale to jeszcze straszliwie odległy czas, upłynie wiele godzin nim ta upragniona chwila nadejdzie. Oby tylko dano śniadanie, gorącą kawę, która pozwoli rozgrzać stygnące powoli ciała.

Tymczasem przed kuchnią wszczął się jakiś ruch. SS-mani i blokowi biegną w tamtym kierunku. Czyżby znaleziono uciekiniera? Niestety tak, prowadzą go teraz, wśród poszturchiwania i bicia, pod dzwon. Na piersiach i plecach wieszają mu tablice z napisem: „Hip, hip, hurra! Ich bin wieder da!“ i prowadzą pomiędzy ustawionymi w szereg blokami. Jest straszliwie bity, cała twarz to jedna wielka plama krwi. Ubranie czerwone od krwi. Prowadzi go kapo na łańcuchu. Kazali mu wykrzykiwać treść niesionych tablic. Nie jest już do tego zdolny. Co kilka kroków pada na kolana. Podnoszą go kopniakami, ale po chwili nawet kopniaki nie skutkują. Próbuje go postawić na nogi kapo. Bez powodzenia. Nogi są bezwładne, uginają się, gdy tylko kapo usiłuje go puścić. Gdy kapo wypuszcza więźnia z rąk ten wali się jak worek cementu. Kilku innych, którzy znaleźli się nie wiadomo skąd obok zaczęło go kopać w zapamiętaniu gdzie popadnie. Po chwili, za nogi i ręce, powlekli go pod bramę i tam porzucono tak, by wychodzące do pracy komanda mogły go oglądać. Oglądać

jako przestrogę i przypomnienie, że stąd nikt żywy bez wiedzy Niemców nie wyjdzie.

*

Przesłuchiwanie Franciszka Żymełki nie potwierdziło zarzutu jego przynależności do organizacji konspiracyjnej, więc i wyrok jaki w tej sprawie zapadł był na tyle łagodny, że dzięki usilnym staraniom rodziców, 30.06.1942 r. odzyskał wolność – zwolniony z obozu.

Po zwolnieniu, oficjalnie pracował w firmie spedycyjnej Joschke, Roszik & Herrmann, zamieszkał w Katowicach. Ponownie jednak – chociaż z jeszcze większą ostrożnością, zaangażował się w działalność konspiracyjną. We wrześniu 1942 r. został ostrzeżony, że gestapo ponownie zaczęło się nim interesować, więc od tego czasu aż do zakończenia się okupacji - ukrywał się, chociaż ani na chwilę nie przerwał konspiracyjnej działalności. W 1943 r. został zastępcą dowódcy Inspektoratu Rybnik używając pseudonimu „Rębacz" i funkcję tę pełnił do wyzwolenia w 1945 r.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich nie ujawnił się wbrew sugestii dowódcy Śląskiego Okręgu Armii Krajowej płk. Zygmunta Janke „Waltera". Wraz z kolegami i podkomendnymi chciał uniknąć losu, który spotkał żołnierzy podziemia ujawniających się na innych – wcześniej oswobodzonych terenach Polski.

A oto już końcowe fragmenty wspomnień:

Niezwłocznie zgłosiłem się do wojewody Jerzego Ziętka i na jego polecenie zająłem się organizacją starostwa w Rybniku, a po jego zorganizowaniu zostałem dyrektorem Biura Powiatowego. Nie skorzystałem również z amnestii ogłoszonej po sfałszowanych wyborach parlamentarnych 1947 roku. Ujawnił się wówczas mój dowódca Paweł Cierpioł „Makopol" wraz z częścią swoich podkomendnych. Cierpioł nie dowierzał jednak oficjalnie głoszonym zasadom i obawiając się aresztowania przez UB postanowił wyjechać na Zachód. W połowie roku wyjechał wraz z Antonim Staierem „Lwem" i wszelki ślad po nich zaginął. Ich dalsze losy pozostają zagadką do dnia dzisiejszego. Przypuszczam, że zostali zamordowani przez UB.

Starostwo Powiatowe
w Rybniku.
Przepustka Nr. 15
Obyw. Żymełka Franciszek
z Rybnika
ur. 24.4.1914
ma prawo swobodnego poruszania się w pow. Rybnickim łącznie podróży służbowych do Katowic w czasie od godz. 19-tej do 6-tej wg. czasu miejscowego.
Rybnik, dnia 7 maja 1945r.
p. o. Starosta

Przepustka Nr. 15
Obywatel Franciszek Żymełka urodzony 24.4.1914 r. w Rybniku, pow. Rybnik, ma prawo swobodnego poruszania się w Rybnickim Okręgu, a także może wyjechać po załatwieniu dowodu do Katowic z 14 na 15 czasu wg. miejscowego.
Rybnik, dnia 4.5.1945r.
Starosta
(podpis)

Nr. 2485/47
Woj. Śląsko-Dąbrowskie
Pow. Rybnik
Nazwisko i imię ŻYMEŁKA Franciszek
Data urodzenia 24.IX 1914 r.
Pseudonim "Sęp" "Orlik"
Organizacja (formacja) Z.W.Z.
Stopień
Odznaczenia
Zawód przem. umysłowy
Miejsce zamieszkania Rybnik ul. Głównska
Ważna do 31.XII.1947 r.

O świcie 13 grudnia 1947 roku zostałem aresztowany i osadzony w więzieniu UB początkowo w Rybniku, potem w Katowicach. Po przeszło rocznym brutalnym śledztwie zostałem w lutym 1949 roku oskarżony o „usiłowanie

zmiany przemocą demokratycznego ustroju Państwa Polskiego" i po parodii procesu skazany na 12 lat więzienia. Zostałem osadzony we Wronkach.

Przebywałem tam do 10 maja 1954 roku, kiedy udzielono mi rocznej przerwy w odbywaniu kary, ze względu na fatalny stan zdrowia. Do więzienia już nie wróciłem, a w czerwcu 1956 roku na mocy amnestii uznano karę za odbytą. Nie zakończyło to jednak moich kłopotów, bo przez długi okres czasu nie mogłem znaleźć żadnej pracy, zaś o wykonywaniu zawodu prawnika musiałem zapomnieć.

Bibliografia: *Rybnik. Zarys dziejów miasta od czasów najdawniejszych do 1980 roku*, Katowice 1986, s. 241; M. Brzost Rybnicki Inspektorat Armii Krajowej, Katowice 1995, s. 45, 47, 50-56, 58, 64, 65, 76, 102, 127, 147, 151, 158, 159, 165; I. Pająk *Mieszkańcy Śląska, Podbeskidzia, Zagłębia Dąbrowskiego w KL Auschwitz,* Katowice 1998, s. 65; APMA-B Ankieta z dn. 24.06.1975 r. (sygn. Mat./10637, nr inw. 161827): F. Żymełka *Przeżyłem Auschwitz i Wronki - Wspomnienia i relacje żołnierza września i Armii Krajowej.*

Bibliografia:

- I. Pająk *Mieszkańcy Śląska, Podbeskidzia, Zagłębia Dąbrowskiego w KL Auschwitz,* Katowice 1998 r.
- M. Walczak *Ludzie nauki i nauczyciele polscy podczas II wojny światowej. Księga strat osobowych,* Warszawa 1995 r.
- Zbiory dokumentów Kazimierza Wójtowicza.
- Juliusz Niekrasz *Z dziejów AK na Śląsku* Instytut Wydawniczy „PAX", Warszawa 1985.
- D. Czech *Kalendarz wydarzeń w KL Auschwitz,* Wydawnictwo Pańswowego Muzeum w Oświęcimiu-Brzezince, 1992 r,
- *Więzienia hitlerowskie na Śląsku, w Zagłebiu Dąbrowskim i w Częstochowie 1935-1945*, Śląski Instytut Wydawniczy, Katowice 1983 r., praca zbiorowa pod red. A. Szefera.
- *Księga pamiątkowa Szkoły Realnej, państwowego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. M. Kopernika w Żywcu* Żywiec 1959 r.
- A. Cyra *Pozostał po nich ślad,* Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, Oświęcim 2006 r.
- Joanna Kubaczka *700 lat Jasienicy, kronika dziejów Kościoła Katolickiego w Jasienicy na tle niektórycha wydarzeń dotyczących całej miejscowości i sąsiednich parafii do roku 2000,* Kraków 2006 r.
- *Kronika Beskidzka* – rok 2004 i 2005, lista ofiar mieszkańców Podbeskidzia, którzy w latach 1939-1945 stracili życie w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych.
- *Zaranie Śląskie,* zeszyt 3, lipiec-wrzesień 1964 r.
- *W cieniu Śmierci* Ewangelicy – ofiary prześladowań w czasie II wojny światowej, praca zbiorowa Warszawa 1970 r.
- *Ludzie dobrej woli* Księga pamięci mieszkańców ziemi oświęcimskiej niosący pomoc więźniom KL Auschwitz, pod red. H. Świebockiego, Oświęcim 2005 r.
- J. Klistała *Harcerstwo w miastach i powiatach Bielska i Białej w latach 1925-1949,* Bielsko-Biała 2005 r.
- J. Domagała *Ci, którzy przeszli przez Dachau* (Duchowni w Dachau), wyd. PAX Warszawa 1957 r.
- Sz. Kędtryna, A. Szefer *Nauczyciele śląscy polegli i zamordowani w latach hitlerowskiej okupacji,* Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1971.
- ks. E. Chart *Spis pomordowanych Polaków w obozie koncentracyjnym w Dachau,* Wyd. „Słowo Polskie", s.
- Opracowanie W. Łatkiewicza z KARTY GRONI nr XIX Żywiec 1997 r.

Wyjaśnienie skrótów i niektórych nazw.

Abbruch kommando – grupa robocza więźniów zajmująca się wyburzaniem domów po wyśiedlonych mieszkańcach wiosek w okolicy Oświęcimia.
AK – Armia Krajowa
APMA-B – Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau.
Arbeitsamt – Urząd Pośrednictwa Pracy.
aufzjerka (z niem. *Aufseherin*) – dozorczyni więźniarek, esesmanka.
brotkamera (z niem. *Brotkammer*) – magazyn chleba.
Buna – Zakłady Buna-werke w Dworach i Monowicach koło Oświęcimia, należące do koncernu IG-Farbeindustrie, gdzie w nowo wybudowanej fabryce podjęto produkcję sztucznej gumy, zwanej „buną", oraz syntetycznej benzyny. Na żądanie koncernu wybudowano na terenie przyfabryczny obóz, w którym w październiku 1942 r. osadzono więźniów KL Auschwitz zatrudnionych w zakładach Buny. W listopadzie 1943 r., w trakcie podziału KL Auschwitz na trzy obozy, został przemianowany na KL Auschwitz III-Auslager i stał się centralą dla podobozów oświęcimskich tworzonych przy zakładach przemysłowych, hutach i kopalniach.
Deutsche Ausrüstungswerke – Firma pracująca na terenie przyobozowym.
Durchfall (niem.) – biegunka.
Erziehungshäftling - więzień wychowawczy,
Geheime Staatspolizei (Gestapo) – Tajne Policja Panstwowa
Gandarmeriposten – żandarmeria,
Grenzschutz – służba ochrony granicy,
Hauptwirtschaftslager/Traupenwirtschaftslager (TWL) – Główny magazyn gospodarczy/ Magazyn gospodarczy załogi.
Hilspolizai – pomocnicy żandarmerii.HWL (Hauptwirtschaftslager) – pomieszczenie tuż za ogrodzeniem – dosyć długi budynek z wieżyczką
Hitlerjugend (HJ) – niemiecka organizacja młodzieżowa NSDAP w latach 1926 – 1945, wychowująca młodzież niemiecką w duchu hitlerowskiego faszyzmu.
Kiesgrube – żwirownia
KL – Koncentrationslager - obóz koncentracyjny
kreca – świerzb.
Leichenhalle – sala trupów.
Nr – numer
oberka (z niem. *Oberaufseherin*) – główna dozorczyni obozu kobiecego, esesmanka.
Pancerfaust (z niem. Panzerfaust) – typ ręcznej broni przeciwpancernej.
por. – porucznik
pow. – powiat
ppor. – podporucznik
ppłk – podpułkownik
RP – Rzeczpospolita Polska

s. – strona
schreibstuba (z niem. *Schreibstube*) – dział ewidencji więźniów.
Schutzhaft – areszt ochronny z pobudek politycznych.
Sipo – Policja bezpieczeństwa (niem. Sicherheitspolizei)
Sonderkommando – specjalna drużyna Żydów, zmuszona przez SS-manów do pracy przy usuwaniu ciał z komór gazowych i przy ich spalaniu
SS – Schutzstaffeln - sztafety ochronne NSDAP
„Stabsgebäude" – budynek sztabowy.
szelkuchnia (z niem. *Schälküche*) – pomieszczenie przy kuchni, gdzie obierano ziemniaki.
szupok – potoczne określenie policjanta niemieckiego z Schutz-Polizei – Policji Bezpieczeństwa. (w skrócie Schu-po).
t. – tom
Theatergebäude -
Volksbundowiec – członek największej organizacji mniejszości niemieckiej, działającej w latach międzywojennych w województwie śląskim, która po 1933 r. przyjęła ideologię narodowosocjalistyczną i stała się narzędziem hitlerowskiej polityki na Górnym Śląsku.
Volksdeutsch – w okresie okupacji hitlerowskiej, osoba dobrowolnie wpisana na listę pochodzenia niemieckiego, mająca znaczne przywileje w stosunku do ludności polskiej i ciesząca się zaufaniem władz okupacyjnych.
Volkslista – niemiecka lista narodowościowa, masowo narzucana mieszkancom Górnego Śląska, włączonego do Rzeszy.
Waschraum (niem.) – umywalnia,
Weberei (niem.) – tkalnia,
ZBoWiD – Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
z d. – z domu
Zementkommando – komando z podobozu w Goleszowie – wieźniowie zatrudnieni przy produkcji cementu.
Zimmermannkommando – komando cieśli.
ZWZ – Związek Walki Zbrojnej

Zdjęciowy miniprzewodnik Golgoty w KL Auschwitz, przez którą przechodzili rybniczanie. Niestety, Jan Klistała, Stanisław Sobik oraz Alojzy Siąkała przechodzili przez nią dosłownie, inni mieli więcej szczęścia, nie pokonywali drogi od Schreibstuby tj. bloku 24 - do bloku 11.

Przybywając do Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau a zarazem największego cmentarzyska świata, idę tymi samymi drogami wewnątrzobozowymi, którymi zmuszony był chodzić mój ojciec w 1943 r.

*

Aresztowanych w Rybniku w dniach 11 - 13 lutego 1943 r. (ok. 60 osób), w dniu 13 tegoż miesiąca i roku, przewieziono samochodami ciężarowymi wprost do KL Auschwitz, gdyż w więzieniu śledczym w Mysłowicach panowała epidemia tyfusu. Dokładnie o godzinie 14:00 samochody zatrzymały się w pobliżu Krematorium I. Przy wrzaskach i wulgarnych wyzwiskach SS-manów, musieli zeskakiwać ze skrzyń załadowczych samochodów i ustawiać się piątkami w kolumnę.

Drogą wzdłuż podwójnego ogrodzenia z drutu kolczastego, od miejsca „rozładunku” przy Krematorium, prowadzeni byli do bramy głównej do obozu.

Przy bramie głównej rzucał się w oczy wiele znaczący napis nad wejściem do obozu: ARBEIT MACHT FREI.
W prawo od bramy głównej, ciągnęło się dalej owo podwójne ogrodzenie i ustawione przed nim tabliczki na słupkach metrowej wysokości „HALT – STÓJ”. Przymocowane druty ogrodzenia do porcelitowych izolatorów oraz wymalowany na tabliczkach znak wymownie ostrzegał, że ogrodzenie jest pod napięciem!

Od bramy głównej szli drogą obok placyku przy baraku kuchni z drewnianą ścianą, gdzie było stałe miejsce zespółu obozowej – więźniarskiej orkiestry. Orkiestra przygrywała wychodzącym do pracy w komandom roboczym – wychodzącym poza terenem obozu a także przygrywając powracającym z pracy. Orkiestra witała także wnoszonych martwych więźniów, zakatowanym przy pracy. Martwi – wnoszeni byli na plecach słaniających się ze zmęczenia i osłabienia współtowarzyszy niedoli – współwięźniów.

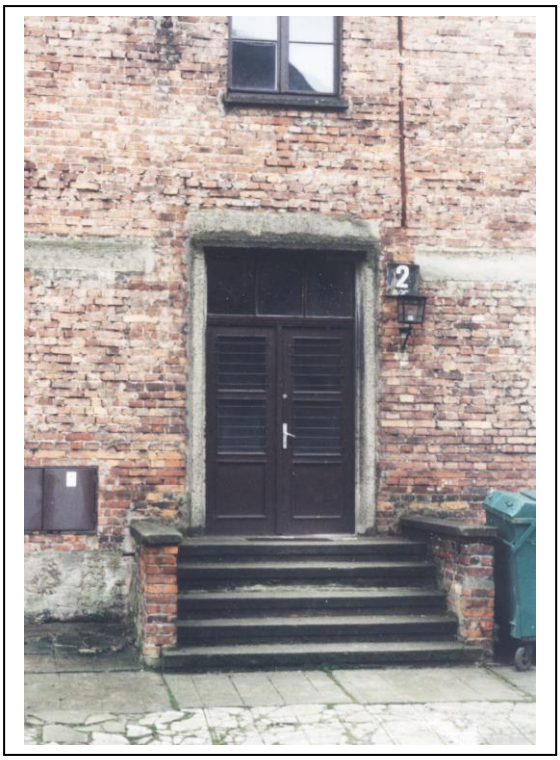

Aresztowani z Rybnika, prowadzeni byli wprost do piętrowego budynku z czerwonej cegły, oznaczonego „BLOCK No 2”. Wprowadzeni byli do jednej z dwóch sal na piętrze. Mężczyźni do sali z prawej strony korytarza, kobiety do sali z lewej strony. Blok ten oddany był do dyspozycji Wydziału II Politycznego (Abteilung II – Politische) gdzie przebywać mieli na okres śledztwa – przesłuchiwań. Ojciec przebywał tam od 13 lutego do 31 marca 1943.

[moje] ... bloku nr 2 oddany wówczas do dyspozycji Wydziału Politycznego - Politische Abteilung, od którego – tak jak ojciec – tylu więźniów zaczynało swoją golgotę w KL Auschwitz. Od tak dawna blok ten wypełniony jest przeraźliwą ciszą – stoi pusty, a ja mimo to słyszę wrzaski oprawców z SS i krzyki katowanych więźniów.

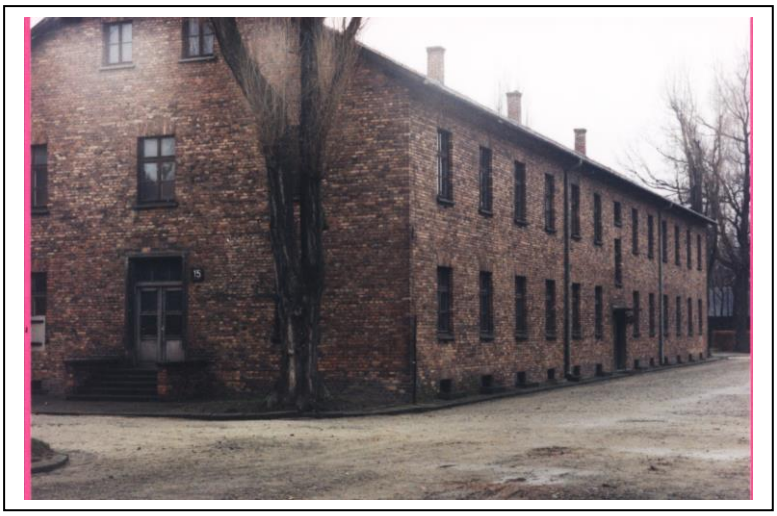

Po przekazaniu na pobyt w obozie, ojciec zakwaterowany został w bloku 15a, inni więźniowie do innych bloków – według przeznaczenia do odpowiednich komand roboczych. Posługując się przykładem bloku mojego ojca, wejściem „z czoła” budynku - wchodzili więźniowie umieszczeni na parterze, natomiast na piętro (oznaczanym jako 15a) wchodziło się bocznym wejściem.

Niemal naprzeciw bloków 15 i 16 usytuowane były baraki kuchni obozowej, a przy bramie wejściowej do kompleksu zabudowy kuchni, ustawiona była zbiorowa szubienica, na której wykonywane były pojedyncze lub zbiorowe egzekucje przez powieszenie. Droga między kuchnią a blokami, stanowiła główne miejsce zbiórek apelowych. Na apel poranny i wieczorny musieli stawać codziennie – niezależnie od pory roku i pogody i temperaturyna dworze.

W dniu 24 czerwca 1943 roku, Jan Klistała, Stanisław Sobik, Alojzy Siąkała z Rybnika oraz kilku innych więźniów, wezwani zostali do Schreibstuby (blok nr 24), skąd w asyście blokowego odprowadzeni zostali na blok 11, gdzie dnia następnego stanąć mieli przed policyjnym sądem doraźnym.

Ostatnia ich droga prowadziła „aleją brzóz do bloku 11. *„…drzewa w alei brzóz żegnały ich trzepotem liści…”* – jak po latach wspominał współwięzień Karol Miczajka.

Złowieszczy blok nr 11 z którego mało kto wracał do świata żyjących. W nim spędzili ostatnią noc swojego życia. W nim jakże mocno rozmyślali o najbliższych …!

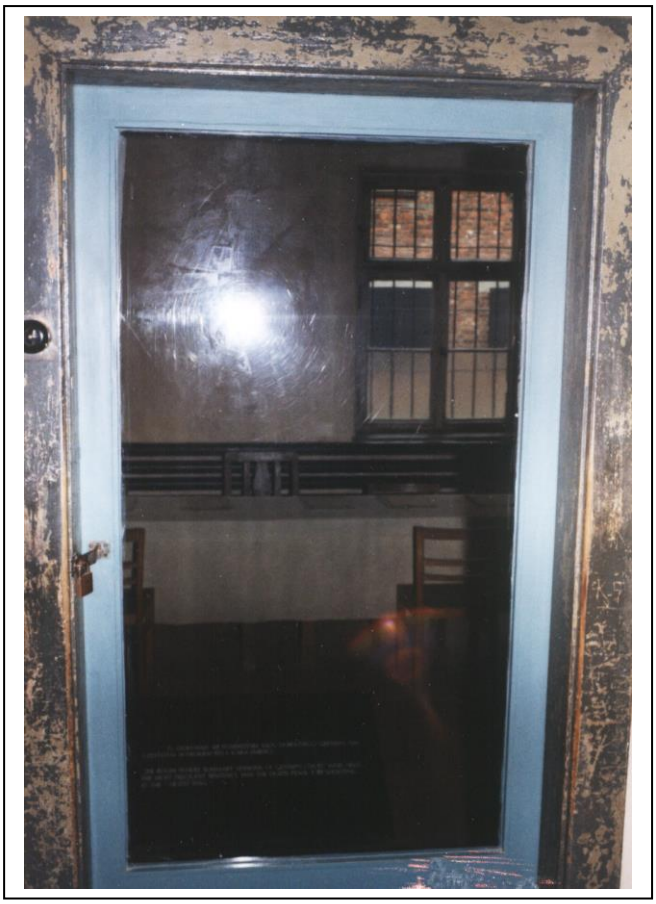

Wnętrze pomieszczenia bloku 11 w którym urzędował policyjny sad doraźny. Na krześle o podwyższonym oparciu siadał przewodniczący – pan życia i śmierci Górnego Śląska SS-Obersturmbannführer i nadradca rządowy (Oberregierungsrat) dr Mildner. W tym to pomieszczeniu wypowiadane były do więźnia słowa najbardziej okrutne „…kara śmierci!”

Po odczytaniu wyroku kary śmierci, w umywalni rozbierali się do naga. Z widocznych drzwi wychodzili po schodkach pod Ścianę Strąceń. To były ostatnie metry ich stąpania po ziemskim padole.

Pod Ścianą Straceń, do której odwróceni byli twarzą, ostatnim ziemskim odgłosem był szczek karabinowego spustu. Padł strzał i … martwe ciało osuwało się na ziemię!

[moje] ...Otrząsam się z napływu jednych myśli i odczuć, by poddać się uporczywemu napływowi innych. W którym miejscu stał ojciec, zanim padł strzał w tył głowy? Gdzie osunął się na ziemię? Czy wypływająca strużka krwi zostawiła jakiś ślad i znak dla mnie?

Przez ta bramę z dziedzińca bloku 11 wynoszono martwe ciała i ładowano je na tzw. platformę - „rolwagę” dla której zaprzęgiem byli więźniowie, lub stojący przy bramie samochód.

Zwłoki uśmierconych przewożone były do krematorium – do spalenia. W przypadku ojca, Stanisława Sobika i Alojzego Siąkały, - ich ciała wracały niemal do symbolicznego miejsca, od którego rozpoczęła się Ich Golgota w KL Auschwitz!

„…Wieczny odpoczynek racz Im dać Panie …”!

SPIS TREŚCI.

PRZEDMOWA
OD AUTORA
POCZĄTKI OKUPACJI W RYBNICKIEM
OŚWIĘCIMSKI TESTAMENT
AUGUSTYN TEODOR pseud. Tadeusz Twardowski,
BASISTA MAKSYMILIAN pseud. „Kwiecień”, „Gołucki”,
BLACHNICKI FRANCISZEK ks.,
BUCHALIKOWIE i ... inni patrioci z PTOP w Gotartowicach
CHROBOT WINCENTY,
FROS ALOJZY,
GEMBCZYK JAN wel Gemski Marian,
HAŁACZEK LEOPOLD pseud. Tadek, Góra, Herman, Leopold Wala,
JASZKOWIE - RODZINA.
HANUSZ JÓZEF,
KASZUBA ANDRZEJ,
KASZUBA-ŁĘGOWSKA STEFANIA,
MAŁŻONKOWIE KOJONKA
KLISTAŁA JAN,
KLISTAŁA HELENA z d. ŻUREK,
KOŻDONIOWIE – RODZINA,
KUBOSZEK WŁADYSŁAW, pseud. „Rogosz”, „Bogusław”, „Robak”, „Kuba”,
KUCZATY STEFAN,
MALCHER GERARD pseud. „Zefek”,
MALINOWSKI WŁADYSŁAW,
MICZAJKA HENRYK, pseud. „Wróbel”,
MICZAJKA KAROL, pseud. „Jaskółka”, „Akwamaryn”,
MUSIOLIK – rodzina ...
OGON FRANCISZEK,
PLUTA FRANCISZEK,
PUKOWIEC JÓZEF, pseud. „Chmura” i „Pukoc”.
SIĄKAŁA ALOJZY,
SOBIK JÓZEF, pseud. „Bukiel”,
SOBIK STANISŁAW,
SOBIK ZOFIA,
TKOCZ - RODZINA
URLA RUPERT,
WINKLER ERYK dr med. pseud. „Bengal”.
WOLNY STANISŁAW,
ŻYMEŁKA FRANCISZEK pseud. „Sęp”, „Rębacz”, „Orlik”,
Wyjaśnienie skrótów i niektórych nazw.